

ARTHUR C. CLARKE

***SPOTKANIE Z MEDUZĄ***

## 1. Przebudzenie

Marian nudził się – tą bezgraniczną nudą, jakiej można zaznać jedynie w Utopii. Stał przy wielkim oknie i spoglądał w dół na chmury, pędzone wiałem szalejącym u stóp miasta. Chwilami przez dziury we wzburzonej pokrywie białych chmur migwały mu jeziora, lasy i wijąca się wstęgą rzeki płynącej przez puste pola; obecnie tak rzadko zadawał sobie trud, by je odwiedzić. Trzydzieści kilometrów na zachód wznosiły się nad chmurami tęczowo zabarwione światłem Słońca, najwyższe szczyty sztucznej góry Dziewiątego Miasta – wyspy marzeń, dryfującej w mroźnym bezmiarze stratosfery. Marian zastanawiał się, ilu jej mieszkańców, jak on niezadowolonych z życia, patrzyło obojętnie w jego stronę.

Miał, rzecz jasna, jedną drogę ucieczki i wielu ją wybrało, ale była ona tak oczywista, Marian zaś nade wszystko unikał oczywistości. Poza tym, póki istniała szansa, że życie może jeszcze dostarczyć jakichś nowych doznań, poty nie chciał korzystać z drzwi prowadzących do zapomnienia.

Wtem z leżącej w dole mgły wystrzeliło coś płonącego i świecącego i rozdarłszy chmury zniknęło w błękicie zenitu. Marian obserwował wznoszący się statek przygasłymi oczami. Niegdyś – jakże dawno temu! – widok ten dodałby mu otuchy. On również kiedyś odbywał takie podróże, podążając drogą, na której Człowiek przeżył swe największe przygody. Lecz na dwunastu planetach i pięćdziesięciu księżycach nie znaleziono nic, czego nie byłoby na Ziemi. Być może, docierając do gwiazd, ludzkość wyszłaby ze ślepego zaułka, w którym znajdowała się teraz jak w pułapce; wówczas w dalszym ciągu miałyby nieograniczone perspektywy eksploracji i odkryć. Lecz rodzaj ludzki zląkł się straszliwego ogromu przestrzeni międzygwiazdowej. Człowiek dotarł do innych planet, kiedy był jeszcze młody, ale gwiazdy pozostały na zawsze poza jego zasięgiem.

A jednak – Marian aż sprężył się na samą myśl o tym i powiódł wzrokiem po spiralnym śladzie pary znaczącym drogę odlatującego statku – chociaż Kosmos go pokonał, mógł spróbować jeszcze jednego podboju. Zamyślony, długo stał w milczeniu, a tymczasem kończąca się burza odsłaniała daleko w dole podpory i umocnienia miasta, a pod nimi zapomniane pola i lasy, które niegdyś były jedynym domem Człowieka.

Pomysł ten przemówił do naukowej wyobraźni Sandraka, stawiając przed nim interesujące problemy techniczne, których rozwiązywanie zajmie go przez rok czy dwa. Zapewni to Marianowi dość czasu, by zlikwidował swoje sprawy lub, jeśli trzeba, zmienił zamiary.

Jeżeli nawet zawahał się w ostatniej chwili, był zbyt dumny, aby to okazać, kiedy żegnał się ze swymi przyjaciółmi. Rozpatrywali jego plany z niezdrową ciekawością, w przekonaniu, że chce poddać się eutanazji w jakiejś wyszukanej formie. Gdy za Marianem zamknęły się drzwi niewielkiego statku kosmicznego, powoli rozeszli się, by dalej ciągnąć swe bezcelowe życie; Roweena zapłakała nawet, lecz na krótko.

Marian dokonywał ostatnich przygotowań, a prowadzony automatycznie statek wznosił się swym kursem, nabierając szybkości, aż Ziemia stała się srebrnym półksiężycem, a potem malejącą gwiazdą, przyćmioną potężniejszym blaskiem Słońca. Odlatując prostopadle do płaszczyzny, po której poruszają się planety, statek wytrwale mknął ku gwiazdom, póki z samego Słońca nie zostało nic poza błyszczącym punktem światła. Marian zmniejszył szybkość statku, wprowadzając go na orbitę, która uczyniła zeń najbardziej oddalone dziecko Słońca. Tutaj nigdy już nic nie zakłóci mu spokoju, chyba że wskutek nie dającego się przewidzieć przypadku przechwyci go jakaś wędrująca kometa.

Po raz ostatni Marian sprawdził zbudowane przez Sandraka instrumenty, potem wszedł do najgłębszego przedziału i zakręcił ciężkie, metalowe drzwi. Kiedy ponownie je otworzy, wówczas pozna tajemnicę ludzkiego przeznaczenia.

Nie odczuwał żadnych emocji, leżąc na poduszkach pokrywających grubą warstwą tapczan i czekając, aż automaty spełnią swój obowiązek. Nie słyszał pierwszego syknienia wypływającego z przewodów gazu; świadomość odeszła jak fala odpływu.

Wkrótce z niewielkiego pomieszczenia ze świstem uszło powietrze, a pozostałe ciepło pochłonął lodowaty chłód Kosmosu. Nigdy tu się już nic nie zmieni i nie ulegnie zniszczeniu; Marian leżał w grobie, który przetrwa wszystko, co kiedykolwiek człowiek zbudował na Ziemi, a może nawet samą Ziemię. Jednak nie był to tylko grób, gdyż znajdujące się tam urządzenia czekały na stosowną chwilę, a co sto lat włączał się i wyłączał jakiś obwód, odmierzając wieki.

Marian spał więc w lodowatym półmroku za Plutonem. Nic nie wiedział o życiu, które przyplętało i odpływało na Ziemi i jej siostrzanych planetach, a tymczasem wieki wydłużały się w tysiąclecia, a tysiąclecia w ery. Na planecie, która niegdyś była Marianowi domem, rozpadały się góry i pochłaniało je morze; lód spływał z biegunów, jak to robił przedtem i uczyni jeszcze wielokrotnie. Na dnie oceanów, kolejnymi warstwami osadu powstawały góry, potem wylaniały się na światło dzienne, by wkrótce zginąć śladem zapomnianych Alp i Himalajów.

Słońce mimo wszystko bardzo niewiele się zmieniło, kiedy cierpliwe urządzenia na statku Mariana przebudziły się z długiego snu. Do pomieszczenia z sykiem powróciło powietrze; temperatura z wolna rosła od absolutnego zera do poziomu, w którym znów mogło rozpocząć się życie. Automaty ostrożnie zaczęły serię delikatnych zabiegów<sup>7</sup>, które powinny przywrócić życie ich panu.

Lecz on nawet nie drgnął. Przez długie wieki, jakie upłynęły od chwili, gdy zasnął, coś zawiodło w obwodach, które powinny były go zbudzić. Prawdziwy cud, że i tak wiele sprawnie funkcjonowało, bowiem Marian wciąż wymykał się śmierci, choć służące mu automaty nigdy nie wyrwą go ze snu.

A teraz cudowny statek przypominał sobie rozkazy otrzymane tak dawno temu. Przez krótką chwilę, kiedy jego mechanizmy powoli się rozgrzewały, unosił się bezwładnie w nikłym świetle Słońca, połyskującym na jego ścianach. Potem, nawet jeszcze szybciej niż w tę stronę, zaczął powracać drogą, którą przebył, gdy świat był młody. Nie zwalniał, póki znowu nie znalazł się wśród wewnętrznych planet, a jego kadłuba nie rozgrzały promienie odwiecznego, niestrudzonego Słońca. Tutaj zaczął poszukiwania – w strefie temperatury, w której kiedyś krążyła Ziemia – i tutaj odnalazł planetę, której nie poznawał.

Wielkość się zgadzała, lecz wszystko inne nie. Gdzie są morza, które niegdyś były największą chlubą Ziemi? Nie pozostały nawet ich wyschnięte dna – dawno zasypał je pył z nie istniejących już kontynentów. A przede wszystkim, gdzie jest Księżyc? W jakimś momencie zapomnianej przeszłości zbliżył się do Ziemi i spotkała go zguba, gdyż planetę, jak dawniej wyłącznie Saturna, otaczał teraz ogromny pierścień krążącego wokół niej pyłu.

Przez chwilę roboty sterujące przeszukiwały swą pamięć elektroniczną, kiedy statek rozważał sytuację. Następnie podjął decyzję – gdyby maszyny mogły wzruszać ramionami, na pewno by to zrobił. Wybrawszy na chybił trafił miejsce do lądowania, łagodnie opadł w rozrzedzonym powietrzu i zatrzymał się na płaskowyżu ze zniszczonego erozją piaskowca. Dowiózł Mariana do domu i niczego więcej nie mógł zrobić. Jeśli na Ziemi jeszcze istniało życie, wcześniej czy później ktoś go znajdzie.

I oto rzeczywiście wkraczali na statek Mariana nowi władcy Ziemi. Mieli dobrą pamięć i jajowaty przedmiot ze zmatowiałego metalu, leżący na piaskowcu, nie był im całkiem obcy. Podekscytowani stosownie do swej natury, szybko się naradzili, a potem, używając własnych, dziwnych narzędzi, zaczęli przebijać się przez odporne ściany, aż dotarli do przedziału, w którym spał Marian.

Na swój sposób byli bardzo mądrzy, gdyż potrafili zrozumieć cel urządzeń Mariana i ustalić, w którym miejscu nie wykonały swego zadania. Po krótkiej chwili specjaliści naprawili, co trzeba, choć zbytnio

nie łudzili się nadzieją. Mogli co najwyżej oczekiwać, że jeśli w ogóle uda się z powrotem doprowadzić umysł Mariana do świadomości, to tylko na krótką chwilę, zanim Czas wyrze na nim swą długo odkładaną zemstę.

Światło znów zaczęło docierać do mózgu Mariana z powolnością zimowego świtu. Od wieków znajdował się na granicy świadomości własnego istnienia, wiedząc, że żyje, lecz nie wiedząc, kim jest i skąd przybył. Później powróciły fragmenty pamięci i kolejno dopasowały się do siebie, tworząc zawiłą układankę osobowości, aż w końcu Marian wiedział, że jest – Marianem. Choć był słaby, świadomość powodzenia dała mu głębokie, aż palące poczucie satysfakcji. Ciekawość, która skierowała go na drogę przez wszystkie te wieki, podczas gdy jego towarzysze wybrali błogi sen eutanazji, zostanie wkrótce nagrodzona: dowie się, jacy ludzie mieszkają na Ziemi.

Powracały mu siły. Otworzył oczy. Łagodne światło nie oślepiało, lecz przez chwilę wszystko było zamazane i mgliste. Potem dostrzegł majaczące nad nim postacie i zdumiał się jak we śnie, wiedział bowiem, że kiedy wróci do życia, powinien być sam, otoczony jedynie automatami, które miały się nim opiekować.

I teraz wszystko nabrało ostrości – zobaczył wpatrzone weń, ni to wrogie, ni przyjazne, ani też podniecone czy obojętne, niezgłębione oczy Obserwatorów. Szczupłe, groteskowo zbudowane postacie otaczały go ciasnym kołem, patrząc nań z góry poprzez przepaść, której zarówno on, jak i oni nie mogli objąć umysłem.

Inny człowiek poczułby strach, lecz Marian tylko uśmiechnął się trochę smutno, kiedy zamykał oczy na zawsze. Jego dociekliwy umysł osiągnął swój cel: już nie miał o co pytać Czasu. Bowiem w ostatniej chwili życia, gdy zobaczył zebrane wokół siebie istoty, pojął, że odwieczna wojna między Człowiekiem a owadami już dawno się skończyła i że to nie Człowiek był zwycięzcą.

## 2. Lekcja historii

Nikt już nie pamiętał, kiedy szczep rozpoczął swą długą drogę – faliste niziny, które były jego pierwszym domem, pozostały jedynie na pół zapomnianym snem. Przez wiele lat Shann i jego lud uciekali poprzez krainę niskich wzgórz i połyskliwych jezior, a teraz mieli przed sobą góry. Tego lata muszą je przekroczyć, by dotrzeć do południowych łądów, a pozostało im tak niewiele czasu.

Spływające z biegunów białe zagrożenie, które ścierało kontynenty na pył i zamrazało nawet powietrze przed sobą, znajdowało się o niecały dzień drogi za nimi. Shann zastanawiał się, czy lodowce pokonają te góry, a w jego sercu nieśmiało tliła się maleńka iskierka nadziei. Mogły okazać się barierą, w którą nawet najtwardszy lód będzie walił na próżno. Może na południowych łądach, o których wspominają legendy, jego lud w końcu znajdzie schronienie.

Wiele tygodni minęło, zanim odkryto przejście dla szczepu i jego zwierząt. W połowie lata obozowali w samotnej dolinie, gdzie powietrze było rozrzedzone, a gwiazdy świeciły blaskiem, jakiego żaden z nich jeszcze nigdy nie widział. Dni stawały się coraz krótsze, gdy Shann zabrał swych dwóch synów i ruszył przodem na poszukiwanie drogi. Przez trzy dni wspinali się po zimnych skałach, śpiąc gdzie popadło. Czwartego dnia rano zobaczyli przed sobą jedynie łagodne podejście, prowadzące do kopca z szarego kamienia, usypanego przed wiekami przez innych podróżników.

Shann drżał, ale nie z zimna, kiedy szli w stronę niewielkiej kamiennej piramidy. Jego synowie pozostali nieco z tyłu; nikt nic nie mówił, gdyż stawka była zbyt wielka. Za chwilę dowiedzą się, czy nie zawiodły ich wszelkie nadzieje.

Ściany gór rozchodziły się na wschód i na zachód, jakby obejmując leżącą u ich stóp ziemię. Na wiele kilometrów rozciągała się falista nizina, przecięta rzeką, która wiła się ogromnymi zakolami. Ziemia była żyzna; jego szczep mógłby ją uprawiać bez obawy, że będzie musiał uciekać przed nadejściem zbiorów.

Potem Shann uniósł wzrok, spojrzał na południe i zobaczył coś, co pogrzebało jego wszystkie nadzieje. Bowiem tam, na skraju świata migotało to mordercze światło, które tak często widywał od północy – odbłask lodu za horyzontem.

Nie było już drogi do przodu. W ciągu tych wszystkich lat ucieczki lodowce z południa sunęły im na spotkanie. Wkrótce zostaną zmiażdżeni między dwiema poruszającymi się ścianami lodu...

Południowe lodowce dotarły do gór dopiero w następnym pokoleniu. Tego ostatniego lata synowie Shanna przenieśli najświętsze skarby szczepu pod górą nad niziną kopiec. Lód, który niegdyś błyszczał za horyzontem, sięgał teraz ich stóp – do wiosny zaczną kruszyć się o ścianę gór.

Obecnie nikt nie wiedział, na czym polegała wartość tych skarbów; pochodziły ze zbyt odległych czasów, aby ktokolwiek z żyjących mógł to wiedzieć. Ich początki ginęły w mrokach Złotego Wieku, a teraz nikt już nie opowie, jak ostatecznie znalazły się w posiadaniu tego wędrującego szczepu. Należały bowiem do historii pewnej cywilizacji, która odeszła w zapomnienie.

Niegdyś tych wszystkich żalonych pamiątek strzeżono jak skarbu, a teraz stały się święte, choć ich znaczenia od dawna nikt nie znał. Druk w starych księgach wyblakł już przed wiekami, choć jeszcze sporo można by odczytać, gdyby znalazł się ktoś do tego zdolny. Ale minęło wiele pokoleń od czasów, w których ludzie posługiwali się logarytmami sied-miocyfrowymi, atlasem świata i partyturą VII Symfonii Sibeliusa, wydrukowaną przez pekińską firmę H. K. Czu i Synowie w roku 2021.

W niewielkiej, specjalnie w tym celu wykonanej krypcie umieszczono z szacunkiem stare księgi, a następnie zbiór przeróżnych rozmaitości: złote i platynowe monety, rozbity teleobiektyw, zegarek, lampę jarzeniową, mikrofon, nożyk elektrycznej golarki, parę miniaturowych lamp radiowych – resztki tego, co pozostało, kiedy wielka fala cywilizacji odpłynęła na zawsze. Wszystko to

pieczołowicie złożono w miejscu wiecznego spoczynku. Potem ukryto jeszcze trzy pamiątki, najświętsze ze wszystkich, gdyż najmniej rozumiane.

Pierwsza z nich to kawałek metalu o dziwnym kształcie, którego barwa wskazywała, że działały nań wysokie temperatury. Na swój sposób był najbardziej wzruszającym spośród tych wszystkich symboli przeszłości, gdyż mówił o największym osiągnięciu Człowieka i o przyszłości, którą mógłby poznać. Na mahoniowej podstawie, do której go umocowano, znajdowała się srebrna tabliczka z następującym napisem:

*Pomocnicze urządzenie zapłonowe prawego silnika odrzutowego statku kosmicznego  
Gwiazda Poranna, Ziemia – Księżyc, 1985 r.n.e.*

Drugą był inny cud dawnej nauki: kula z przezroczystego plastyku z wtopionymi w nią kawałkami metalu o dziwnym kształcie. W jej środku znajdowała się mała kapsułka syntetycznego radioelementu, otoczona ekranami przetwarzającymi, które zmieniały widmo jej promieniowania.

Dopóki materiał zachowa swą aktywność, dopóty kula pozostanie małym nadajnikiem, wysyłającym we wszystkie strony fale radiowe. Zbudowano zaledwie kilka takich kul; miały służyć za wieczne radiolatarnie do oznaczania orbit asteroidów. Ale Człowiek do asteroidów nie dotarł i nigdy ich nie wykorzystano.

Ostatnią pamiątkę stanowiła płaska, okrągła puszka, bardzo szeroka w porównaniu z jej wysokością. Była szczelnie zamknięta i grzechotała, kiedy nią potrząsano. Według wierzeń szczepu jej otwarcie miało wywołać kataklizm, a nikt nie wiedział, że puszka zawiera jedno z wielkich dzieł sztuki sprzed bez mała tysiąca lat.

Zadanie wykonano. Dwaj ludzie przetoczyli kamienie z powrotem na miejsce i zaczęli powoli schodzić zboczem góry. Nawet w sytuacji ostatecznej Człowiek pomyślał o przyszłości i próbował coś po sobie zostawić.

Tej zimy wielkie fale lodu przypuściły pierwszy atak na góry od północy i od południa. W pierwszym szturmie pokonały podgórza, które lodowce roztarły na proch. Ale góry stały niewzruszenie, a kiedy nadchodziło lato, lód cofał się na jakiś czas.

W ten sposób każdej zimy trwała walka, a łoskot lawin, odgłosy kruszonej skały i trzaski pękającego lodu wypełniały powietrze zgiełkiem. Człowiek jeszcze nigdy nie prowadził tak zaciętej wojny, która by tak dokładnie objęła całą kulę ziemską. W końcu fale lodu zaczęły ustępować i powoli spływały z gór, których nigdy całkowicie nie pokonały, choć doliny i przełęcze pozostawały jeszcze w ich uścisku. To był pat – lodowce trafiły na godnego siebie przeciwnika.

Lecz ich porażka nastąpiła zbyt późno, aby przynieść jakiś pożytek Człowiekowi.

Minęły wieki, a teraz stało się coś, co musi się wydarzyć przynajmniej raz w historii każdej planety we Wszechświecie, bez względu na jej odosobnienie...

Statek z Wenus spóźnił się o pięć tysięcy lat, ale jego załoga nic o tym nie wiedziała. Jeszcze z odległości wielu milionów kilometrów teleskopy wykryły ogromny płaszcz lodu, który czynił z Ziemi najjaśniejszy obiekt na niebie, ustępujący tylko samemu Słońcu. Oślepiającą powierzchnię pokrywały miejscami czarne plamki, ujawniające obecność ledwie widocznych spod lodu gór. To wszystko. Falujące oceany, niziny i lasy, pustynie i jeziora – wszystko to, co niegdyś było światem Człowieka, tkwiło w okowach lodu, być może na zawsze.

Statek zbliżył się do Ziemi i wszedł na orbitę odległą od jej powierzchni o półtora tysiąca kilometrów. Przez pięć dni krążył wokół planety, a tymczasem kamery rejestrowały to, co jeszcze było widać, setka instrumentów zaś zbierała informacje, które zapewnią pracę wenusjańskim naukowcom na wiele lat. Nie zamierzano lądować, gdyż było to

prawie bezcelowe. Lecz szóstego dnia obraz się zmienił. Panoramiczny czujnik radiacji, nastawiony na maksymalne wzmocnienie, wykrył zamierające promieniowanie radiolatarni, która miała pięć tysięcy lat. Przez wszystkie te wieki wysyłała sygnały z coraz mniejszą mocą, w miarę nieustannego słabnięcia jej radioaktywnego serca.

Czujnik namierzył się na częstotliwość radiolatarni. W sterowni zabrzmiał dzwonek alarmowy. Wkrótce statek wenusjański oderwał się od swej orbity i łukiem poszybował ku Ziemi – w stronę

łańcucha gór, wciąż dumnie wznoszących się nad lodem, do piramidy z szarych kamieni, których minione lata prawie nie tknęły.

Wielka tarcza Słońca jaskrawo świeciła na niebie, którego już nie przysłaniała mgła, gdyż chmury, zakrywające niegdyś Wenus, teraz całkowicie zniknęły. Moce, które spowodowały zmianę promieniowania Słońca, zniszczyły jedną cywilizację, lecz dały życie drugiej. Przed niespełną pięcioma tysiącami lat półdzicy mieszkańcy Wenus po raz pierwszy ujrzeni Słońce. Podobnie jak na Ziemi, nauka również tutaj zaczęła się od astronomii, a na tej cieplej, bogatej planecie, której Człowiek nigdy z bliska nie oglądał, postęp dokonywał się nieprawdopodobnie szybko.

Być może Wenusjanie mieli szczęście. Nie wiedzieli, co to mroki średniowiecza, które trzymało Człowieka w okowach przez tysiąc lat; ominęła ich długa, okrężna droga poprzez chemię i mechanikę i od razu doszli do bardziej zasadniczych praw fizyki promieniowania. W czasie, w jakim Człowiek przeszedł od piramid do raketowych statków Kosmicznych, Wenusjanie odbyli drogę od rolnictwa do samej anty grawitacji – największego sekretu, którego Człowiek nigdy nie poznał.

Ciepłe oceany, w których wciąż egzystowała większość form życia tej młodej planety, ospale obmywały falami piaszczyste brzegi. Młodość kontynentu sprawiała, że piasek był gruby i chropawy – ocean jeszcze nie zdążył rozdrobnić go i wygładzić. Uczni leżeli do połowy w wodzie; ich wspaniałe, podobne do gadzich ciała połyskiwały w słońcu. Na brzegu zebrały się największe umysły Wenus, przybywając ze wszystkich wysp tej planety. Jeszcze nie wiedzieli, co usłyszą, poza tym, że miało to dotyczyć Trzeciej Planety i tajemniczej rasy, która ją zamieszkiwała przed zlodowaceniem.

Historyk wyszedł na ląd, ponieważ instrumenty, z których pragnął skorzystać, nie lubiły wody. Obok niego stała duża maszyna, przyciągająca zaciekawione spojrzenia jego kolegów. Niewątpliwie miała coś wspólnego z optyką, gdyż wystawał z niej układ soczewek skierowany w stronę odległego o dwadzieścia metrów ekranu z białego materiału.

Historyk zaczął mówić. Pokrótce przedstawił garstkę informacji, jakie udało się zdobyć na temat Trzeciej Planety i jej mieszkańców. Wspomniał o wiekach bezowocnych badań, w wyniku których nie udało się rozszyfro-

wać nawet jednego słowa pisma ziemiańskiego. Planetę zamieszkiwała wielce utalentowana technicznie rasa, czego dowodzi kilka okazów mechanizmów znalezionych w piramidzie na górze.

– Nie wiemy, dlaczego upadła tak rozwinięta cywilizacja. Możemy stwierdzić prawie z całkowitą pewnością, że dysponowała dostateczną wiedzą, aby przeżyć Erę Zlodowacenia. Musiał na to wpłynąć jakiś czynnik, o którym nic nie wiemy. Przypuszczalnie zdecydowała o tym jakaś choroba albo degeneracja rasy. Istnieją sugestie, że endemiczne konflikty plemienne, które w czasach prehistorycznych powstawały między naszymi gatunkami, mogły w dalszym ciągu trwać na Trzeciej Planecie, kiedy już rozwinęła się tam technika. Niektórzy filozofowie utrzymują, że posiadanie maszyn niekoniecznie musi wskazywać na wysoki stopień rozwoju cywilizacji, a wojny są teoretycznie możliwe w społeczeństwie dysponującym siłą mechaniczną, aparatami latającymi, a nawet radiem. Pojęcie takie jest nam obce, lecz musimy przyznać, że to możliwe. Z pewnością to właśnie spowodowało upadek rasy. Zawsze zakładaliśmy, że nigdy nie dowiemy się niczego o fizycznym wyglądzie istot, które żyły na Trzeciej Planecie. Przez całe wieki nasi artyści malowali sceny z historii wymarłej planety, zaludniając je wszelkiego rodzaju fantastycznymi istotami. W mniejszym lub większym stopniu przypominały one przeważnie nas samych, choć często podkreślano, że aczkolwiek jesteśmy gadami, gady niekoniecznie muszą być jedyną formą inteligentnego życia. Znamy już odpowiedź na jedno z najbardziej kłopotliwych pytań w historii. Po pięciuset latach badań, udało nam się odkryć dokładny wygląd i charakter najwyższej formy życia na Trzeciej Planecie.

Wśród zebranych uczonych dał się słyszeć szmer zaskoczenia. Niektórzy byli tak bardzo wstrząśnięci, że na moment zniknęli w7 pokrzepiającym oceanie, co wszyscy Wenusjanie zwykli

czynić w chwilach stresu. Historyk czekał, aż jego koledzy ponownie znajdą się w żywiole, którego tak nie lubili. On sam czuł się zupełnie dobrze dzięki niewielkim rozpylaczom, nieustannie zraszającym jego ciało. Z ich pomocą mógł przez wiele godzin przebywać na lądzie, zanim musiał powrócić do oceanu.

Podniecenie z wolna ustąpiło i wykładowca mówił dalej.

– Jednym z najbardziej zagadkowych przedmiotów, znalezionych na Trzeciej Planecie, jest płaski, metalowy pojemnik, zawierający bardzo długi odcinek przezroczystego plastiku, perforowanego na brzegach i ciasno nawiniętego na szpulę. Początkowo ta przezroczysta wstęga zdawała się niczym nie wyróżniać. Dopiero podczas badania przeprowadzonego za pomocą nowego, subelektronowego mikroskopu, okazało się, że tak nie jest. Na całej powierzchni tego tworzywa znajdują się tysiące maleńkich obrazków, niewidocznych dla naszych oczu, lecz bardzo wyraźnych w odpowiednich promieniach. Uważa się, że utrwalono je na tym tworzywie chemicznie i z czasem wyblakły.

Obrazki te – ciągnął Historyk – tworzą zapis życia i czasów rozkwitu cywilizacji na Trzeciej Planecie. Między nimi istnieje pewien związek; kolejne obrazki są prawie identyczne, różniąc się tylko szczegółami w ruchu. Cel takiego zapisu jest oczywisty – wystarczy szybko wyświetlić te scenki jedną po drugiej, aby uzyskać wrażenie ciągłego ruchu. Zbudowaliśmy w tym celu to urządzenie i mam tutaj dokładną reprodukcję obrazków z zachowaną kolejnością.

Sceny, które zaraz zobaczycie, cofają nas o tysiące lat, do wielkich dni naszej siostrzanej planety. Przedstawiają bardzo złożoną cywilizację i niezbyt rozumiemy wiele form jej funkcjonowania. Wydaje się, że życie tam było bardzo gwałtowne i pełne energii, a wiele z tego, co zobaczycie, trudno zrozumieć. Niewątpliwie Trzecią Planetę zamieszkiwała pewna liczba różnych gatunków, z których żaden nie reprezentował gadów. Fakt ten godzi w naszą dumę, ale wniosek taki jest nieunikniony. Dominującą formą życia był najwyraźniej dwurek dwunożny. Poruszał się w pozycji pionowej i okrywał swe ciało jakimś elastycznym tworzywem, prawdopodobnie dla ochrony przed zimnem, gdyż nawet przed nadejściem Ery Zlodowacenia, na planecie tej panowała znacznie niższa temperatura niż u nas. Jednakże nie będę już dłużej wystawiał na próbę waszej cierpliwości. Teraz zobaczycie zapis, o którym mówiłem.

Projektor błysnął jasnym światłem. Rozległ się cichy warkot i ekran wypełnił setki dziwnych istot, raczej konwulsyjnie poruszających się tam i z powrotem. Obraz powiększył się, obejmując jedną z istot i naukowcy zobaczyli, że przedstawiony przez Historyka opis odpowiadał prawdzie. Stwór miał dwoje oczu, raczej dość blisko osadzonych, ale pozostałe części ciała były trochę nieznane. W dolnej części głowy znajdował się duży otwór, który stale otwierał się i zamykał – prawdopodobnie miał coś wspólnego z oddychaniem.

Naukowcy obserwowali serię fantastycznych przygód tych dziwnych istot jak urzędnicy. Doszło do gwałtownej walki z drugą, trochę inną istotą. Zdawało się, że obie zginą, ale nie – po jej zakończeniu, żadna z nich nie wyglądała gorzej niż przedtem. Później oglądali wariacką jazdę w czterokołowym urządzeniu mechanicznym, które dokonywało nadzwyczajnych cudów zręczności. Jazda skończyła się w jakimś mieście, zatłoczonym innymi pojazdami, poruszającymi się we wszystkich kierunkach z zapierającą dech szybkością. Nikogo nie zdziwiło czołowe zderzenie dwóch maszyn, które miało katastrofalne skutki.

Potem wydarzenia jeszcze bardziej się skomplikowały. Teraz było całkiem jasne, że zanalizowanie i zrozumienie wszystkiego, co tam się działo, wymaga wielu lat badań. Nikt również nie miał wątpliwości, że zapis ten to raczej trochę stylizowane dzieło sztuki niż obraz rzeczywistego życia na Trzeciej Planecie.

Kiedy pokaz dobiegał końca, uczeni w większości czuli się całkowicie oszołomieni. Nastąpiło finałowe zamieszanie, podczas którego istota będąca ośrodkiem zainteresowania znalazła się w jakiejś straszliwej i niezrozumiałej katastrofie. Obraz zmniejszył się do koła obejmującego głowę tej istoty. Ostatnia scena przedstawiała powiększony widok jej



twarzy wyrażającej niewątpliwie jakieś silne uczucie, ale trudno odgadnąć, czy był to gniew, żal, bunt, rezygnacja, czy też coś innego.

Obraz zniknął. Na chwilę ukazał się na ekranie jakiś napis, a potem wszystko się skończyło.

Na kilka minut zapadła kompletna cisza, przerywana jedynie pluskiem fal na piasku. Naukowcy byli zbyt oszołomieni, aby coś powiedzieć. Przelotne spojrzenie na ziemską cywilizację wywarło wstrząsający wpływ na ich umysły. Potem zaczęli rozmawiać ze sobą w niewielkich grupkach, początkowo szeptem, a później coraz głośniej, w miarę jak znaczenie tego, co widzieli, stawało się jaśniejsze. Po chwili Historyk poprosił o uwagę i ponownie przemówił do zebranych.

– Obecnie – rozpoczął – zamierzamy przeprowadzić szeroko zakrojone badania, by wydobyć z tego zapisu jak najwięcej informacji. Przygotowuje się kopie, które roześlemy wszystkim pracownikom naukowym. Chyba wszyscy rozumieją związane z tym problemy; szczególnie psychologowie staną przed ogromnym zadaniem. Nie wątpię jednak, że z powodzeniem je wykonają. Któż może przewidzieć, czego następne pokolenie dowie się o tej wspaniałej rasie? Zanim się rozejdziemy, popatrzmy sobie jeszcze raz na tych naszych dalekich krewnych, którzy może przewyżs/ali nas mądrością, ale po których tak niewiele zostało.

I znów na ekranie zabłysnął finałowy obraz, lecz tym razem bez ruchu, gdyż zatrzymano projektor. Naukowcy ze swoistą czcią wpatrywali się w nieporuszoną postać z przeszłości, a im z kolei przyglądał się ten mały dwunóg ze swym charakterystycznym wyrazem aroganckiej złości.

Przez resztę Czasu będzie symbolem rasy ludzkiej. Wenusjańscy psychologowie będą analizować jego czyny i obserwować każdy ruch, póki nie /rekonstruują jego umysłowości. Powstaną tysiące książek na ten temat. Wymyśli się zawiłe teorie filozoficzne, żeby wytłumaczyć jego postępowanie. Lecz cała ta praca i wszystkie te badania będą daremne.

Ta dumna i samotna postać z ekranu zdawała się posyłać ironiczny uśmiech naukowcom, którzy rozpoczynali swe długotrwałe, bezowocne prace badawcze. Jej sekret pozostanie tajemnicą aż do końca Wszechświata, ponieważ nikt nigdy nie odczyta zaginionego języka Ziemi. Miliony razy te ostatnie kilka słów zaświeci na ekranie w nadchodzących stuleciach, a nikt nigdy nie odgadnie ich znaczenia:

Buł 10 film Walia Disneva.

### 3. Lew z Comarre

#### 1. Bunt

Pod koniec XXVI wieku wielka lala rozwoju nauki zaczęła ostatecznie słabnąć. Długa seria wynalazków, które kształtowały i zmieniały świat przez prawie tysiąc lat, zbliżała się do końca. Wszystko już odkryto. Wszystkie wielkie marzenia przeszłości stały się po kolei rzeczywistością.

Cywilizacja była całkowicie zmechanizowana, choć maszyny prawie zniknęły. Ukryte w murach miast czy zakopane głęboko pod ziemią, doskonałe maszyny dźwigały brzemień tego świata. Cicho, dyskretnie roboty służyły potrzebom swych panów, tak dobrze pracując, że ich obecność wydawała się równie naturalna jak słońce na niebie.

Jednak w sterze czystej nauki pozostawało jeszcze wiele do zdobycia i astronomowie, nie przywiązani już do Ziemi, mieli dość pracy na najbliższe tysiące lat. Lecz fizyka i nauki humanistyczne, którym dostarczali strawy, przestały być głównym zajęciem ludzkości. Po roku 2600 próżno by szukać największych ludzkich umysłów w laboratoriach.

Ludźmi, których nazwiska miały największe znaczenie dla świata, stali się artyści i filozofowie, prawodawcy i mężowie stanu. Inżynierowie i wielcy wynalazcy należeli do przeszłości. Tak dobrze wykonali swą pracę, że podobnie jak ci, którzy zwalczyli dawno wygasłe choroby, nie byli już potrzebni.

Miało upłynąć jeszcze pięćset lat, zanim nastąpi kolejny zwrot.

Widok z pracowni zapierał dech, gdyż to długie, łukowate pomieszczenie znajdowało się przeszło trzy kilometry ponad fundamentami Wieży Centralnej. Pozostałe pięć olbrzymich budynków miasta tworzyło w dole niewielką gromadkę, a ich metalowe ściany jaśniały wszystkimi kolorami tęczy w promieniach porannego słońca. Jeszcze niżej rozpościerała się szachownica pól automatycznych farm, ginących we wgnieceniu horyzontu. Lecz/ prz/ najmniej teraz piękna tej scenerii nie dostrzegał Richard Peyton II, gniewnie przemierzający pracownię między wielkimi blokami syntetycznego marmuru, który stanowił surowiec jego twórczości.

Olbrzymie, cudownie kolorowe bryły sztucznej skały całkowicie dominowały w pracowni. W większości były to z grubsza ociosane sześciany, ale niektóre przybierały już kształty zwierząt, ludzi czy abstrakcyjnych form, jakich nie ośmieliłby się nazwać żaden geometra. Siedząc niewygodnie na dziesięciotonowym diamencie – największym, jaki kiedykolwiek zsyntetyzowano – syn artysty rzucał wściekle spojrzenia swemu sławnemu rodzicowi.

– Nie miałbym nic przeciwko, temu – odezwał się poirytowany Richard Peyton II – żebyś nic nie robił, jeśli sprawi ci to przyjemność, o ile będzie to z wdziękiem. Niektórzy ludzie w tym celują i na ogół dzięki nim świat jest ciekawszy. Ale dlaczego przyszło ci do głowy zostać inżynierem, to przekracza moje wyobrażenia. Owszem, pozwoliliśmy ci wybrać technikę za główny przedmiot, ale nigdy nie sądziliśmy, że aż tak poważnie się nią zajmiesz. Kiedy byłem w twoim wieku, pasjonowałem się botaniką, lecz nigdy nie zrobiłem z niej głównego celu życia. Czy to profesor Chandras Ling cię namówił?

Richard Peyton III poczerwieniał.

– A dlaczego nie? Znam swoje powołanie i on się ze mną zgadza. Przecież czytałeś jego opinię.

Artysta gniewnie potrząsnął kilkoma kartkami papieru, które z obrzydzeniem trzymał dwoma palcami jak robaka.

– Czytałem, czytałem – rzekł z irytacją. – „Wykazuje niezwykle uzdolnienia do mechaniki – przeprowadził oryginalne prace badawcze w zakresie subelektroniki” i tak dalej, i tak dalej. Mój Boże, myślałem, że już przed wiekami ludzkość wyrosła z tych zabawek! Czy chcesz być mechanikiem pierwszej kategorii, który jeździ doglądać kalekich robotów? To nie zajęcie dla mojego syna, a tym bardziej dla wnuka członka Rady Świata.

– Nie mieszaj do tego dziadka – powiedział Richard Peyton III z rosnącą irytacją. – Fakt, że jest mężem stanu, nie przeszkodził ci zostać artystą. Dlaczego więc chcesz, żebym został albo jednym, albo drugim?

Starszy pan ze złością nastroszył wspaniałą złocistą brodę.

– Nie obchodzi mnie, co robisz, jeśli możemy być z tego dumni. Ale po co to szaleństwo na punkcie wynalazków? Mamy już wszystkie maszyny, jakie są nam potrzebne. Roboty osiągnęły doskonałość pięćset lat temu, statki kosmiczne nie zmieniły się przynajmniej przez taki sam okres i sędzę, że nasz obecny system łączności ma prawie osiemset lat. Po cóż więc zmieniać coś, co już jest doskonale?

– Mówisz tak, bo się uwziąłeś! – odpowiedział młody człowiek. – Zabawne, że artysta uważa coś za doskonałość! Ojciec, wstyd mi za ciebie!

– Nie dziel włosa na czworo. Doskonale wiesz, o co mi idzie. Nasi przodkowie skonstruowali maszyny dostarczające wszystko, czego potrzeba. Niewątpliwie niektóre z nich były wydajniejsze o kilka procent. Ale czy jest o co walczyć? Czy możesz wymienić choćby jedną ważną rzecz, jakiej brakuje światu?

Richard Peyton III westchnął.

2–Spotkanie....

– Posłuchaj, tato – rzekł cierpliwie. – Oprócz techniki studiowałem historię. Mniej więcej dwanaście wieków temu niektórzy ludzie twierdzili, że wszystko już wynaleziono, a było to przed nadejściem ery elektryczności, nie mówiąc już o lotnictwie i astronautyce. Po prostu nie patrzyli dostatecznie daleko w przyszłość – ich umysły trzymały się korzeni teraźniejszości. To samo dzieje się dzisiaj. Od pięćset lat świat żyje tym, co wymyśliły mózgi w przeszłości. Jestem gotów przyznać, że w pewnych dziedzinach rozwój doszedł do końca, ale są dziesiątki innych, które nawet jeszcze nie powstały. Świat opanowała techniczna stagnacja. To nie era ciemnoty, bo niczego nie zapomnieliśmy. Ale drepjemy w miejscu. Weź podróż kosmiczną. Dziewięćset lat temu dotarliśmy do Plutona, a teraz gdzie jesteśmy? W dalszym ciągu na Plutonie! Kiedy sięgniemy do gwiazd?

– A kto w ogóle chce do nich sięgać?

Chłopak parsknął z irytacją i zdenerwowany zeskoczył z diamentowego bloku.

– Też pytanie! Tysiąc lat temu ludzie mówili „Po co lecieć na Księżyc?”. Tak, wiem, że to niewiarygodne, ale wszystko jest w dawnych ksiązkach. Obecnie na Księżyc leci się tylko czterdzieści pięć minut i tacy ludzie, jak Harn Jansen, pracują na Ziemi, a mieszkają w Plato City. Przyjmujemy podróże międzyplanetarne za coś normalnego. Przyjdzie taki dzień, że będziemy tak samo traktowali prawdziwe podróże kosmiczne. Mógłbym podać dziesiątki innych przykładów, że coś przestało się rozwijać, bo po prostu ludzie myślą tak jak ty i zadowala ich to, co już mają.

– A dlaczegoż by nie?

Peyton zatoczył ręką po pracowni.

– Bądź poważny, tato. Czy byłeś kiedykolwiek naprawdę zadowolony z tego, co zrobiłeś? Tylko zwierzęta poprzestają na małym. Artysta uśmiechnął się smutno.

– Może i masz rację. Ale to nie zmienia mojego zdania. W dalszym ciągu uważam, że marnujesz sobie życie i tak samo myśli dziadek. – Co powiedziawszy, dodał z zakłopotaniem: – Właściwie przylatuje na Ziemię specjalnie po to, żeby zobaczyć się z tobą.

Peyton jakby się zaniepokoił.

– Posłuchaj, ojciec, już ci powiedziałem, co jnyślę. Nie mam zamiaru tego powtarzać. Ani dziadek, ani nawet cała Rada Świata nie zmieni mojej decyzji.

Oświadczenie to było napuszone i Peyton zastanawiał się, czy rzeczywiście tak myśli. Jego ojciec już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy w pracowni zawibrował niski, melodyjny dźwięk. Po sekundzie odezwał się mechaniczny głos.

– Pański ojciec, panie Peyton.

Spojrzał triumfująco na syna.

– Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że dziadek właśnie przyjeżdża

– rzekł. – Ale ty masz zwyczaj znikać, kiedy jesteś potrzebny.

Chłopak milczał. Popatrzył za wychodzącym ojcem, a potem na jego ustach pojawił się uśmiech.

Szyba z glasytu, stanowiąca frontową ścianę pracowni, była uniesiona i Peyton wyszedł na balkon. Trzy kilometry w dół bieląca w słońcu wielka betonowa płyta parkingowa poprzeczona tu i ówdzie kropkowanymi cieniami zaparkowanych statków.

Peyton obejrzał się i popatrzył w głąb pracowni. Jeszcze nikogo tam nie było; słyszał tylko dochodzący przez drzwi głos ojca. Nie czekał dłużej. Oparł się dłonią o balustradę i skoczył w przestrzeń.

Pół minuty później do pracowni weszli dwaj mężczyźni i rozglądali się zdziwieni. Właściwy Richard Peyton – bez kolejnego numeru

– był człowiekiem, który wyglądał na sześćdziesiąt lat, choć w rzeczywistości liczył sobie trzykrotnie więcej.

Miał na sobie purpurową szatę, noszoną jedynie przez dwadzieścia osób na Ziemi i nie więcej niż sto w całym Układzie Słonecznym. Autorytet zdawał się zeń emanować i nawet jego słynny i pewny siebie syn wyglądał przy nim na człowieka drobiazgowego i mało znaczącego.

– No więc, gdzie on jest?

– Niech go licha! Uciekł przez okno. Przynajmniej możemy choć o nim porozmawiać.

Ze złośliwą satysfakcją Richard Peyton II błyskawicznie odsłonił przegub swej ręki z komunikatorem osobistym i wybrał ośmiocyfrowy numer. Prawie natychmiast usłyszał odpowiedź. Odezwał się czysty, bezosobowy, mechaniczny głos.

– Mój pan śpi. Proszę nie przeszkadzać – powtarzał w kółko. – Mój pan śpi. Proszę nie przeszkadzać...

Richard Peyton II parsknął z irytacją, wyłączył aparat i odwrócił się do swego ojca. Starzec zachichotał.

– No, cóż, szybko myśli. Tutaj nas pobił. Nie skontaktujemy się z nim, dopóki nie wyłączy automatu. A w- moim wieku nie mam oczywiście zamiaru go ścigać.

Przez chwilę mężczyźni patrzyli na siebie z mieszanymi uczuciami, a potem, prawie jak na komendę, wybuchnęli śmiechem.

## 2. Legenda o Comarre

Zanim Peyton włączył neutralizator, spadał jak kamień przez dwa kilometry. Pęd powietrza, chociaż utrudniał oddychanie, napawał go radością. Opadał z prędkością prawie dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale fakt, że ściana ogromnego budynku błyskawicznie uciekała

w górę w odległości zaledwie kilku metrów, pozornie zwiększała tę szybkość.

Delikatne szarpnięcie deceleratora przyhamowało go jakieś trzysta metrów nad ziemią. Łagodnie opadł między rzędami statków zaparkowanych u stóp wieży.

Jego pojazd był małym, jednomiejscowym, w pełni zautomatyzowanym statkiem sportowym. A przynajmniej miał pełną automatykę, kiedy go zbudowano trzysta lat temu, lecz jego obecny właściciel dokonał w nim tylu nielegalnych modyfikacji, że nikt inny na świecie nie mógł z niego korzystać, gdyż nie przeżyłby nawet pierwszego lotu.

Odpiął pas z neutralizatorem – zabawnym urządzeniem, które wprawdzie było technicznie przestarzałe, lecz wciąż jeszcze miało interesujące możliwości – i wszedł do śluzy powietrznej swego statku. Po dwóch minutach wieże miasta pozostały daleko w dół, poniżej linii horyzontu, a pod statkiem z szybkością sześciu i pół tysiąca kilometrów na godzinę przemykały dzikie, bezludne tereny.

Peyton wziął kurs na zachód i prawie natychmiast znalazł się za oceanem. Nie musiał nic robić – pozostawało mu jedynie czekać, aż automatycznie sterowany statek sam dotrze do celu. Wyciągnął się wygodnie w fotelu pilota i zagłębił w gorzkich myślach, pełnych żalu nad własnym losem.

Był bardziej poruszony, niż chciałby się przyznać. Już przed laty pogodził się z faktem, że rodzina nie podziela jego zainteresowań technicznych. Ale stopniowo narastający sprzeciw, który teraz doszedł do szczytu, to coś zupełnie nowego. W ogóle nie mógł tego zrozumieć.

Po dziesięciu minutach lotu z oceanu wychynał biały pylon, jak wynurzający się z fal miecz króla Artura, Excalibur. Osiem wieków temu na wyspie oddalonej od wielkich lądów zbudowano miasto znane na całym świecie jako Scientia, które co bardziej cyniczni mieszkańcy nazywali Wariatkowem. Przedsięwzięcie to wynikało z poczucia niezależności, gdyż w owych czasach utrzymywały się jeszcze ślady nacjonalizmu.

Peyton wylądował na płycie lotniska i skierował się ku najbliższemu wejściu. Ogłuszający szum wielkich fal, załamujących się na odległych o sto metrów skałach, zawsze robił na nim wrażenie.

W wejściu przystanął na chwilę, wdychając przesycone solą powietrze i obserwując fruujące wokół wieży mewy i ptaki wędrowne. Używały już tego skrawka lądu jako miejsca do odpoczynku, kiedy człowiek jeszcze niepewnie patrzył na świt i zastanawiał się, czy w ten sposób nie objawia się jakiś bóg.

Urząd Genetyki zajmował setne piętro, blisko środka wieży. Dotarcie do Miasta Nauki zajęło Peytonowi dziesięć minut. Prawie tyle samo trwały poszukiwania potrzebnego mu człowieka w tym ogromnym labiryncie biur i laboratoriów.

Alan Henson II był w dalszym ciągu jednym z najbliższych przyjaciół Peytona, a choć skończył Uniwersytet Antarktyki dwa lata wcześniej, studiował tam biogenetykę, a nie przedmioty techniczne. Kiedy Peyton miał kłopoty, a miewał je często, zdrowy rozsądek przyjaciela bardzo mu pomagał. Jego obecna wizyta w Scientii była całkiem normalna, gdyż poprzedniego dnia Henson wezwał go do siebie w jakiejś pilnej sprawie.

Biolog powitał Peytona z radością i ulgą, choć w jego zachowaniu odczuwało się pewną nerwowość.

– Cieszę się, że przyleciałeś. Mam wiadomości, które mogą cię zainteresować. Ale wyglądasz na zmartwionego – czyżby coś się stało?

Peyton opowiedział mu wszystko, nie bez pewnej przesady. Henson milczał przez chwilę.

– A więc już zaczęli – rzekł. – Mogliśmy się tego spodziewać!

– Co masz na myśli? – spytał zaskoczony Peyton.

Biolog otworzył szufladę i wyjął z niej zapieczętowaną kopertę zawierającą dwa arkusze plastikowej folii, w których wycięto kilkaset równoległych szczelin o różnej długości. Jeden z nich podał przyjacielowi.

– Wiesz, co to jest?

– Wygląda na czyjąś charakterystykę.

– Słusznie. I przypadkowo dotyczy ciebie.

– Ale chyba nie wolno mi tego oglądać?

– Daj spokój. Klucz jest u dołu: od oceny estetycznej do poziomu umysłowego. Na końcu podano twój iloraz inteligencji. Nie bierz sobie tego zbyt do serca.

Peyton uważnie studiował kartę. W pewnym momencie z lekka się zaczerwienił.

– Nie mam pojęcia, skąd to wzięłeś.

– Nieważne – Henson pokazał zęby w uśmiechu i podał mu drugi arkusz. – A teraz spójrz na tę charakterystykę.

– Po co, przecież jest taka sama?

– Niezupełnie, choć prawie.

– A ta jest czyja?

Henson wyciągnął się w fotelu.

– Ta charakterystyka, Dick – powoli cedził słowa – dotyczy twojego praprzodka, dwadzieścia dwa pokolenia wstecz w głównej linii męskiej, wielkiego Rolfa Thordarsena.

Peyton podskoczył jak rakieta.

– Cooo?!

– Nie wydzieraj się tak tutaj. Gdyby ktoś wszedł, wspominamy stare, studenckie czasy.

– Ale... Thordarsen!

– Jeśli odpowiednio cofnąć się w czasie, każdy znajdzie w swojej rodzinie jakiegoś wybitnego przodka. Ale do rzeczy. Teraz już wiesz, dlaczego twój dziadek tak bardzo boi się o ciebie.

– Zbyt długo z tym czekał. Studia już praktycznie skończyłem.

– To, że się o tym dowiedziałeś, zawdzięczasz tylko nam. Zwykle nasze analizy nie przekraczają dziesięciu pokoleń, a w szczególnych przypadkach – dwudziestu. To straszna robota. W Bibliotece Genealogicznej są setki milionów takich kart, dla wszystkich mężczyzn i kobiet od XXIII wieku. Tę zbieżność charakterystyk wykryto całkiem przypadkowo około miesiąca temu.

– Właśnie wtedy zaczęły się moje kłopoty. Ale dalej tego wszystkiego nie rozumiem.

– Powiedz mi, Dick, co ty właściwie wiesz o swoim słynnym przodku?

– Sądzę, że nie więcej niż inni. Z całą pewnością nie wiem, jak i dlaczego zniknął, jeśli to masz na myśli. Czy nie odleciał poza Ziemię?

– Nie. Odszedł wprawdzie z tego świata, ale nigdy nie opuścił Ziemi. Niewiele osób o tym wie, Dick, ale to właśnie Rolf Thordarsen był tym człowiekiem, który zbudował Comarre.

Comarre! Peyton wyszeptał to słowo półotwartymi ustami, delektując się jego znaczeniem i osobliwym brzmieniem. Jednak istniało! A niektórzy temu przeczyli.

– Nie przypuszczam, byś zbyt dużo wiedział o Dekadentach – mówił dalej Henson. – Książki historyczne redagowano raczej ostrożnie. Ale cała ta historia wiąże się z wydarzeniami z końca II Ery Elektroniki...

Trzydzieści dwa tysiące kilometrów od Ziemi sztuczny księżyc, który był siedzibą Rady Świata, krążył po swej wiecznej orbicie. Dach sali obrad wykonano z jednej płyty krystalitu bez najmniejszej skazy – kiedy trwała sesja Rady, wydawało się, że między zebranymi jej członkami a olbrzymim globem obracającym się w oddali nie było nic.

Fakt ten miał głęboko symboliczne znaczenie – w takiej scenerii nie było miejsca dla wąskich, lokalnych poglądów. Jak w żadnym innym miejscu, umysły ludzkie mogły tu z pewnością stworzyć wielkie dzieła.

Richard Peyton Starszy spędził tu większość swego życia kierując losami Ziemi. Od pięciuset lat ludzkość zaznawała pokoju i nie brakowało jej niczego, co tylko sztuka i nauka potrafiły zapewnić. Ludzie rządzący planetą mogli być dumni ze swej pracy.

Jednak leciwy mąż stanu był niespokojny. Być może nadchodzące zmiany rzucały przed sobą jakiś cień. A może podświadomie odczuwał, że zbliża się koniec pięćsetletniego okresu spokoju?

Włączył maszynę piszącą i zaczął dyktować.

Peyton wiedział, że Pierwsza Era Elektroniki rozpoczęła się w roku 1908, przeszło jedenaście wieków temu, wraz z wynalezieniem triody przez De Foresta. W tym samym, legendarnym już stuleciu, które było świadkiem powstania Państwa Ogólnoświatowego, samolotu, statku kosmicznego i początków wykorzystania energii atomowej, wynaleziono wszystkie urządzenia katodowe, jakie umożliwiły rozwój obecnej cywilizacji.

Druża Era Elektroniki nadeszła pięćset lat później. Zapoczątkowali ją nie fizycy, lecz lekarze i psychologowie. Przez blisko pięć wieków rejestrowali prądy elektryczne przepływające przez mózg podczas procesu myślenia. Analiza tych prądów była przeraźliwie skomplikowana, ale dokorano jej po wiekach mozołu całych pokoleń. Wówczas stanęła otworem droga do pierwszych maszyn odczytujących ludzkie myśli.

Lecz był to zaledwie początek. Kiedy człowiek odkrył mechanizm działania własnego mózgu, mógł posunąć się dalej. Potrafił już zbudować podobne mu urządzenia za pomocą tranzystorów i sieci obwodów, zastępujących żywe komórki.

Pod koniec dwudziestego piątego stulecia zbudowano pierwsze maszyny myślące. Były bardzo toporne: jednemu centymetrowi sześciennemu ludzkiego mózgu odpowiadały urządzenia zajmujące sto metrów powierzchni. Ale kiedy już zrobiono pierwszy krok, nie upłynęło zbyt wiele czasu i udoskonalony mózg mechaniczny znalazł się w powszechnym użyciu.

Mógł wykonywać operacje myślowe tylko na niższym poziomie i brakowało mu takich ludzkich cech, jak inicjatywa, intuicja czy uczucia. Jednakże w określonych, prawie niezmiennych warunkach, kiedy ograniczenia te nie stanowiły poważnej przeszkody, zastępował człowieka.

Powstanie mózgow metalowych wywołało jeden z największych kryzysów ludzkiej cywilizacji. Chociaż w dalszym ciągu sprawami kierowania państwem i społeczeństwem zajmowali się ludzie, całą ogromną pracę administracyjną przejęły roboty. Człowiek w końcu osiągnął swobodę. Nie musiał już łamać sobie głowy nad układaniem skomplikowanych harmonogramów transportu, planowaniem produkcji czy sporządzaniem budżetów. Maszyny, które przed wiekami przejęły wszystkie prace fizyczne, teraz po raz drugi poważnie przysłużyły się ludzkości.

Miało to ogromny wpływ na sprawy ludzi, a ci zareagowali na nową sytuację dwojako. Jedni wykorzystywali zwiększoną swobodę na szlachetne cele i zajęli się dążeniem do tego, co zawsze frapowało największe umysły: do ideałów piękna i prawdy, które pozostawały tak samo niedoścignione, jak za czasów budowy Akropolu.

Byli też i tacy, którzy myśleli inaczej. Mówili, że w końcu na zawsze przyszedł kres klątwy rzuconej na Adama. Teraz można budować miasta, w których maszyny zaspokoją każdą naszą potrzebę, gdy tylko o niej

pomyślimy; a nawet wcześniej, ponieważ analizatory mózgu mogą odczytać najgłębsze pragnienia powstające w podświadomości. Celem całego życia jest przyjemność i dążenie do szczęścia. Człowiek zasłużył sobie na prawo do tego. Przejadły się nam nieustanne zmagania o zdobywanie wiedzy i mamy dość ślepego pragnienia dotarcia do gwiazd.

Było to odwieczne marzenie Lotofagów, tak stare, jak sama ludzkość. Dopiero wówczas po raz pierwszy udało się je urzeczywistnić. Początkowo niewielu podzielało ten pogląd. Płomienie Drugiego Renesansu jeszcze nie zaczęły przygasać. Lecz z upływem lat sposób myślenia Dekadentów zdobywał sobie coraz więcej zwolenników. W ukrytych miejscach na planetach wewnętrznych budowali miasta swoich marzeń.

Przez sto lat rozwijały się one jak niezwykle, egzotyczne kwiaty, aż bez mała religijny zapał, który inspirował ich budowę, wygasł. Istniały jeszcze przez 'jedno pokolenie, a potem kolejno poszły w zapomnienie. Ginąc pozostawiły po sobie mnóstwo bajek i legend, które rozrosły się z upływem wieków.

Tylko jedno takie miasto zbudowano na Ziemi, a jego tajemnic nigdy nie wyjaśniono. Z sobie tylko znanych powodów Rada Świata zniszczyła wszystko, co mogło naprowadzić na ślad jego istnienia. Nawet jego położenie zachowano w tajemnicy. Niektórzy twierdzili potem, że znajduje się na pustkowiu Arktyki, inni uważali, iż ukryto je na dnie Pacyfiku. Z całą pewnością znano tylko jego nazwę: Comarre.

Henson przerwał na chwilę swój monolog.

– Dotychczas nie powiedziałem ci nic nowego, nic, co nie byłoby powszechnie znane. Resztę tej historii trzyma w sekrecie Rada Świata i może ze sto osób w Scientii. Jak wiesz, Rolf Thordarsen był największym geniuszem techniki, jakiego znał świat. Nawet Edison nie mógł się z nim równać. Thordarsen położył podwaliny robotyki i skonstruował pierwszą użyteczną maszynę myślącą. Przez ponad dwadzieścia lat z jego pracowni płynęły nieprzerwanym strumieniem najwspanialsze wynalazki. A potem nagle zniknął. Wymyślono historię, że poleciał do gwiazd. A teraz opowiem ci, co naprawdę się stało.

Thordarsen uważał, że jego roboty – maszyny, na których w dalszym ciągu opiera się nasza cywilizacja – to dopiero początek. Przedstawił Radzie Świata pewne propozycje, które miały zmienić oblicze ludzkiej społeczności. Nie wiemy, jakich zmian dotyczyły te propozycje, lecz Thordarsen uważał, że ich odrzucenie sprawdzi w końcu ludzkość na ślepy tor, co zdaniem wielu z nas w rzeczywistości już się stało. Rada zareagowała ostrym sprzeciwem. Widzisz, w tym czasie dopiero co rozpoczęło się integrowanie robotów w7 cywilizacji i powoli powracała stabilizacja – stabilizacja, którą utrzymano już przez pięćset lat. Thordarsen był gorzko rozczarowany. Dekadenci sprytnie podeszli geniusza, przeciągnęli go na swoją stronę i namówili do wyrzeczenia się świata. Był jedynym człowiekiem, który mógł urzeczywistnić ich marzenia.

– No i co, urzeczywistnił?

– Tego nie wie nikt. Ale wiadomo, że na pewno zbudowano Co-marre. Znamy także jego położenie i również Rada Świata je zna. Pewnych rzeczy nie można utrzymać w sekrecie.

Peyton w duchu przyznał mu rację. Nawet jeszcze teraz znikają ludzie i krążą plotki, że udali się na poszukiwania tego miasta marzeń. Zwrot „poszedł do Comarre” rzeczywiście tak mocno wrósł w język, że prawie zapomniano jego początkowego znaczenia.

Henson pochylił się do przodu i mówił z coraz większym przejęciem.

– Dziwna rzecz: Rada Świata mogłaby zniszczyć Comarre, ale tego nie robi. Wiara w istnienie Comarre wywiera określony, stabilizujący wpływ na społeczeństwo. Mimo wszystkich naszych wysiłków, w dalszym ciągu mamy psychopatów. Bez żadnych trudności, w czasie snu hipnotycznego można im napomknąć o Comarre. Pewnie nigdy go nie znajdą, ale szukając miasta, stają się nieszkodliwi.

W pierwszych dniach po założeniu Comarre Rada wysłała tam swych agentów. Żaden z nich nigdy nie wrócił. To była czysta gra, po prostu woleli tam pozostać. Wiemy o tym z całą pewnością, bo wyraźnie to stwierdzili w przesłanych raportach. Przypuszczam, że Dekadenci zdawali sobie sprawę, iż Rada zburzy miasto, gdyby z premedytacją zatrzymali jej agentów. Widziałem niektóre z tych wiadomości. Są zadziwiające. Jednym słowem: pełne egzaltacji. Dick, w Comarre musi być coś, co sprawia, że człowiek zapomina o świecie, znajomych i rodzinie, o wszystkim! Spróbuj to sobie wyobrazić! Później, kiedy już było pewne, że żaden Dekadent nie żyje, Rada jeszcze raz spróbowała. Ostatnią próbę przeprowadzono pięćdziesiąt lat temu. Ale do dziś dnia nikt nigdy z Comarre nie wrócił.

Kiedy Richard Peyton dyktował, robot rozkładał jego słowa na grupy fonetyczne, wstawiał znaki przestankowe i automatycznie kierował zapis do właściwej kartoteki elektronicznej.

„Odpis dla Prezydenta i do moich akt osobistych.

Dotyczy waszego zapisu z dwudziestego drugiego i naszej rozmowy dziś rano.

Widziałem się ze swym synem, lecz R. P. III zdołał się wymknąć. Jest całkowicie zdecydowany, a nasze prośby zmuszenia go jedynie zaszkodzą. Powinniśmy pamiętać lekcję, jaką dał nam Thordarsen.

Proponuję, żeby pozyskać sobie jego wdzięczność udzielając wszelkiej potrzebnej mu pomocy. Wówczas będziemy mogli skierować go na

bezpieczne tory w prowadzonych przezeń badaniach naukowych. O ile nigdy nie odkryje, że R. T. jest jego przodkiem, nie powinno być żadnego niebezpieczeństwa. Pomimo zbieżności charakterów jest nieprawdopodobne, by spróbował powtórzyć prace R. T.

Przed wszystkim nie wolno nam dopuścić, by poznał położenie Comarre lub próbował tam dotrzeć. Jeśli to się stanie, nikt nie będzie mógł przewidzieć konsekwencji”.

Henson przerwał opowieść, lecz jego przyjaciel nie odezwał się. Był za bardzo pod jej wrażeniem, żeby mu przerywać, więc po minucie biolog mówił dalej.

– I tu dochodzimy do współczesności i do ciebie. Rada Świata, Dick, miesiąc temu dowiedziała się o twoim dziedzictwie. Szkoda, że ją o tym zawiadomiliśmy, ale teraz jest już za późno. Genetycznie jesteś ponownym wcieleniem Thordarsena, w jedynym możliwym, naukowym



znaczeniu tego słowa. Ma tu miejsce jeden z najodleglejszych w naturze przypadków atawizmu, które zdarzają się co kilkadziesiąt lat w tej czy innej rodzinie. Ty, Dick, mógłbyś kontynuować pracę, którą Thordarsen został zmuszony porzucić – bez względu na jej charakter. Być może straciliśmy ją na zawsze, lecz jeśli pozostał po niej jakikolwiek ślad, sekret leży w Comarre. Rada Świata o tym wie, toteż próbuje odciągnąć cię od tego. Nie bądź rozgoryczony. W Radzie jest kilka najszlachetniejszych umysłów, jakie dotychczas zrodziła rasa ludzka. Nie mają zamiaru cię skrzywdzić i nic złego cię nie spotka. Ale całym sercem pragną zachować obecną strukturę społeczną, którą uważają za najlepszą.

Peyton powoli wstał. Przez chwilę zdawało mu się, że jest bezstronnym obserwatorem, patrzącym z boku na tę zwykłą postać zwaną Ri-chardem Peytonem III, który nie był już człowiekiem, lecz symbolem, jednym z kluczy do przyszłości świata. Z prawdziwym wysiłkiem na powrót stał się sobą.

Przyjaciel patrzył nań w milczeniu.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś, Alan, skąd ty to wszystko wiesz? Henson uśmiechnął się.

– Czekałem na to pytanie. Miałem ci to tylko przekazać, a wybrano mnie dlatego, że cię znam. Kim są pozostałe osoby, nie mogę zdradzić nawet tobie. Ale jest wśród nich kilku uczonych, których, jak wiem, podziwiasz. Między Radą a naukowcami, którzy jej służą, zawsze istniała przyjacielska rywalizacja, lecz w ostatnich latach nasze poglądy zaczęły się różnić. Wielu z nas twierdzi, że obecne czasy, które zdaniem Rady będą trwały wiecznie, są tylko okresem przejściowym. Uważamy, że zbyt długi okres stabilizacji doprowadzi do upadku. Psychologowie Rady są przekonani, że mogą temu zapobiec.

Peytonowi zabłyśły oczy.

– Zawsze tak mówiłem! Czy mogę się do was przyłączyć?

– Później. Najpierw musisz coś zrobić. Widzisz, jesteśmy w pewnym sensie rewolucjonistami. Zamierzamy wywołać pewne reakcje w społeczeństwie, a kiedy skończymy, niebezpieczeństwo dekadencji rasy ludzkiej odsuniemy na tysiąc lat. Ty, Dick, jesteś jednym z naszych katalizatorów, ale oświadczam ci, że nie jedynym.

Przerwał na chwilę.

– Jeśli nawet Comarre nie wypali, mamy jeszcze jedną kartę w rękawie. Spodziewamy się, że za pięćdziesiąt lat będziemy mieli napęd statków międzygwiazdnych.

– Nareszcie! – rzekł Peyton. – I co wtedy zrobicie?

– Zaprezentujemy go Radzie i powiemy: „Proszę, teraz możecie lecieć do gwiazd. Czy nie jesteśmy grzeczni?” A Rada będzie po prostu musiała krzywo się uśmiechnąć i rozpocząć ekspansję cywilizacji. Dysponując możliwościami odbywania podróży międzygwiazdnych, znów będziemy mieli społeczeństwo ekspansywne i odsuniemy stagnację na czas nieokreślony.

– Mam nadzieję, że tego dożyję – powiedział Peyton. – Ale co chcecie, żebym zrobił?

– Tylko jedno: chcemy, żebyś dotarł do Comarre i ustalił, co tam jest. Wierzymy, że tobie uda się to, czego inni nie dokonali. Wszystkie plany są gotowe.

– A gdzie jest Comarre? Henson uśmiechnął się.

– To naprawdę proste. Może znajdować się tylko w jednym miejscu: tam, gdzie nie latają samoloty, gdzie nikt nie mieszka, gdzie podróżuje się na piechotę. W Wielkim Rezerwacie.

Starzec wyłączył maszynę piszącą. W górze – lub w dole, wszystko jedno – wielki sierp Ziemi przysłał gwiazdy. W swym wiecznym obiegu mały księżyc minął terminator i pograżał się w ciemnościach nocy. Na ciemnym lądzie tu i ówdzie jaśniały światła miast.

Widok ten nappełnił starca smutkiem. Przypomniał mu, że jego własne życie dobiega końca; wydawał się zapowiadać koniec kultury którą starał się uchronić. Być może, mimo wszystko, ci młodzi uczeni mają rację. Kończyła się długotrwała stagnacja i świat zmierzał do nowych celów, których on już nie ujrzy.

### 3. Dziki lew

Była już noc, kiedy statek Peytona leciał na zachód nad Oceanem Indyjskim. W dole nie widział nic poza białą linią załamujących się fal przy-boju wzdłuż brzegów Afryki, lecz ekran nawigacyjny pokazywał każdy szczegół lądu. Noc oczywiście nie stanowiła już żadnej ochrony czy zabezpieczenia, ale dzięki niej ludzkie oko nie mogło go dostrzec. Jeśli zaś idzie o urządzenia obserwacyjne – cóż, już ktoś inny się nimi zajął. Jak można było przypuszczać, wielu myśli podobnie jak Henson.

Plan przygotowano zreżymnie. Jego szczegóły, zdradzające pełną zaangażowania dbałość, opracowali ludzie, którzy najwyraźniej robili to z przyjemnością. Miał wylądować na skraju lasu, jak najbliżej bariery siłowej.

Nawet jego nieznani przyjaciele nie mogli jej wyłączyć bez wzbudzania podejrzeń. Na szczęście, od niej do Comarre pozostawało jedynie około trzydziestu kilometrów drogi przez otwarte pola. Podróż wypadnie mu kończyć pieszo.

Z głośnym trzaskiem gałęzi jego niewielki statek wylądował w niewidocznym lesie i łagodnie się zatrzymał. Peyton wyłączył przyćmione światła w kabinie i popatrzył w okno. Nie widział nic. Pamiętał, co mu powiedzieli, więc nie otwierał drzwi. Usadowił się, jak mógł najwygodniej, i czekał świtu.

Obudziło go ostre światło słońca, padające mu prosto w oczy. Szybko włożył na siebie ekwipunek dostarczony przez przyjaciół, otworzył kabinę i wszedł w las.

Miejsce do lądowania wybrano starannie i bez trudności wydostał się na otwarty teren, odległy o kilka metrów. Przed sobą miał niewielkie, pokryte trawą wzgórza, upstrzone tu i ówdzie kępami wysmukłych drzew. Dzień był łagodny, choć w pełni lata, a równik nie znajdował się zbyt daleko. Łagodność ta wynikała z ośmiuset lat sterowania klimatem i z sąsiedztwa wielkich, sztucznych jezior, które pokryły pustynie.

Chyba po raz pierwszy w życiu Peyton miał do czynienia z Naturą w jej kształcie z czasów przed pojawieniem się człowieka. Jednakże nie dzikość krajobrazu zdziwiła go najbardziej. Dotychczas Peyton nie wiedział, co to cisza. Zawsze słyszał szmer maszyn czy odległy szum statków pasażerskich, lecących w stratosferze na niebotycznych wysokościach.

Tutaj nie słyszało się żadnego z tych dźwięków, ponieważ maszyny nie mogły przekroczyć bariery siłowej otaczającej Rezerwat. Do uszu docierał jedynie szum wiatru w trawie i ledwo uchwytny odgłosy wydawane przez owady. Cisza odbierała Peytonowi odwagę, więc zrobił to, co uczyniłby prawie każdy w jego czasach: włączył radio i wybrał pasmo z muzyką dla wszystkich.

Kilometr za kilometrem wędrował wytrwale przez pofałdowany teren Wielkiego Rezerwatu, który był największym na Ziemi obszarem, zachowanym w stanie naturalnym. Maszerował z łatwością, gdyż neutralizatory stanowiące część jego wyposażenia prawie równoważyły przyciąganie ziemskie. Otaczała go owa mgielka dyskretnej muzyki, która jest tłem ludzkiego życia prawie od chwili wynalezienia radia. Choć wystarczał

jeden ruch palca, by skontaktować się z każdym mieszkańcem planety, całkiem serio wyobraził sobie, że jest sam w sercu Natury i przez chwilę odczuwał to samo, co musiał przeżywać Stanley i Livingstone, kiedy po raz pierwszy znaleźli się na tym lądzie ponad tysiąc lat temu.

Na szczęście Peyton był dobrym piechurem i do południa przeszedł połowę drogi do celu. Na obiad zatrzymał się pod kępą sprowadzonych z Marsa drzew, które wprawiłyby w poważne zakłopotanie podróżnika sprzed wieków. W swej niewiedzy Peyton uznał je za całkowicie na miejscu.

Ułożywszy w niewielki stos puste puszki, zauważył, że coś szybko porusza się po równinie, tą samą drogą którą niedawno przebył. Obiekt znajdował się zbyt daleko, by mógł go rozpoznać. Dopiero kiedy się zbliżył, Peyton zadał sobie trud, żeby wstać i lepiej mu się przyjrzeć. Po drodze nie widział żadnych zwierząt, choć jego zauważyło ich mnóstwo, więc z zainteresowaniem przyglądał się przybyszowi.

Nigdy jeszcze nie widział lwa, lecz bez trudu rozpoznał go we wspaniałym zwierzęciu, które się doń zbliżało. Chwali się Peytonowi, że tylko raz spojrział na koronę drzewa. Postanowił jednak się nie wycofywać.

Wiedział, że naprawdę niebezpiecznych zwierząt nie ma już na świecie. Rezerwat stanowił coś pośredniego między pracownią biologiczną a parkiem narodowym, który co roku zwiedzały tysiące ludzi. Wszyscy rozumieli, że jeśli jego mieszkańców pozostawi się w spokoju, odpłacą tym samym. Układ ten na ogół funkcjonował bez zakłóceń.

Zwierzę najwyraźniej zachowywało się przyjaźnie. Podbiegło do Peytona i zaczęło przymilnie ocierać się o jego bok. Kiedy Peytonowi udało się wstać, z wielkim zainteresowaniem przyglądało się pustym puszkom po jedzeniu. Teraz odwróciło się doń z wyrazem prośby, której nie sposób było się oprzeć.

Peyton roześmiał się, otworzył nową puszkę i ostrożnie położył jej zawartość na płaskim kamieniu. Lew przyjął poczęstunek ze smakiem, a kiedy jadł, Peyton wertował indeks oficjalnego przewodnika, w który roztropnie wyposażyli go nieznanymi mocodawcy.

Lwom poświęcono w nim kilka stron zaopatrzonych w fotografie dla potrzeb turystów spoza Ziemi. Zawarte w przewodniku informacje podniosły Peytona na duchu. Tysiąc lat naukowej hodowli znacznie udoskonaliło króla zwierząt. W ciągu ostatnich stu lat lwy zjadły jedynie dwanaście osób – w dziesięciu przypadkach w wyniku dochodzenia uwolniono je od winy, a pozostałe dwa okazały się „nie potwierdzone”.

Jednak przewodnik nic nie wspominał na temat niepożądanych lwów i sposobów pozbywania się ich. Nie wspominał również, że normalnie są tak przyjazne, jak ten osobnik.

Peyton nie odznaczał się szczególną spostrzegawczością. Dopiero po jakimś czasie zauważył cienką, metalową obręcz na prawej przedniej

łapie lwa. Znajdowały się na niej jakieś cyfry i litery oraz urzędowa pieczęć Rezerwatu.

Nie było to więc dzikie zwierzę; być może w młodości przebywało wśród ludzi. Przypuszczalnie należało do tych słynnych superlwów, które biologowie wyhodowali, a następnie wypuścili na wolność w celu poprawienia rasy. Peyton widział sprawozdania, które stwierdzały, że niektóre spośród nich prawie dorównują inteligencją psom.

Szybko odkrył, że zwierzę rozumie kilka prostych słów, a szczególnie związanych z jedzeniem. Nawet jak na obecne czasy był to wspaniały okaz, o dobre trzydzieści centymetrów wyższy od swego chuchrowatego przodka sprzed dziesięciu wieków.

Kiedy wyruszył w dalszą drogę, lew dreptał przy jego boku. Peyton wątpił, by ta przyjaźń była więcej warta niż pół kilograma syntetycznej wołowiny, ale dobrze jest mieć do kogo się odezwać, jeśli w dodatku ten ktoś niczemu się nie sprzeciwia. Po głębokim namyśle zdecydował, że „Leo” to najodpowiedniejsze imię dla nowego przyjaciela.

Po przejściu kilkuset metrów, Peytona oślepił nagle błysk światła w powietrzu. Choć natychmiast zorientował się, co to jest, błysk go zaskoczył, więc zatrzymał się mrugając powiekami. Leo uciekł pospiesznie i już zniknął mu z oczu. Peyton pomyślał, że nie miałby zeń wielkiego pożytku w nagłych wypadkach. Jeszcze nie wiedział, jak bardzo się myli.

Kiedy całkowicie odzyskał wzrok, zobaczył przed sobą zawieszony w powietrzu wielobarwny napis, płonący ognistymi literami:

**U W A G A i ZBLIŻASZ SIĘ DO STREFY ZAKAZANEJ!**

**ZAWRACAJ! Z nakazu Rady Świata**

Przez kilka chwil uważnie przyglądał się napisowi, a potem rozejrzał za projektorem. Znalazł go w metalowej skrzynce, niezbyt dokładnie ukrytej na poboczu drogi. Szybko otworzył ją uniwersalnym kluczem, który z pełnym zaufaniem wręczyła mu Komisja Elektroniki, kiedy otrzymał pierwszy stopień naukowy.

Przez parę minut badał jej zawartość, po czym westchnął z ulgą. Projektor był prostym urządzeniem, sterowanym pojemnościowo. Pobudzał go każdy poruszający się drogą obiekt. Wyposażono go w aparat fotograficzny, który był jednak odłączony. Nie zdziwiło to Peytona, gdyż

każde przechodzące zwierzę uruchamiałyby migawkę. Szczęśliwie się więc złożyło, nikt się bowiem nie dowie, że kiedyś przechodził tędy Richard Peyton lii.

Zawołał Leo, który powoli wrócił, wstydząc się swego czynu. Napis zniknął, a Peyton rozłączył przekaźniki, by nie ukazał się ponownie. Na-

stępnie zamknął skrzynkę i ruszył w dalszą drogę, zastanawiając się, co go jeszcze może czekać.

Kilkaset metrów dalej przemówił doń surowo jakiś bezcielesny głos. Nie powiedział nic nowego, ale zagroził kilkoma pomniejszych karami, z których Peyton kilka już poznał.

Zabawnie wyglądał Leo szukający źródła dźwięku. Peyton znowu odnalazł projektor i wyłączył go, zanim ruszył dalej. Pomyślał, że będzie bezpieczniej w ogóle zejść z drogi, ponieważ na dalszej jej części mogą znajdować się urządzenia rejestrujące.

Z pewnym trudem nakłonił lwa do pozostania na metalowej nawierzchni, a sam poszedł pustym polem, graniczącym z drogą. Przez następne kilkaset metrów lew uruchomił jeszcze dwie elektroniczne pułapki. Ostatnia najwyraźniej zrezygnowała już z perswazji. Ukazał się po prostu napis:

### STRZEŻ SIĘ DZIKICH LWÓW

Peyton spojrzał na Leo i roześmiał się. Lew nie zrozumiał dowcipu, ale grzecznie się przyłączył. Napis z tyłu zgasł w ostatnim, rozpaczliwym błysku.

Peyton zastanawiał się, po co w ogóle były te znaki. Być może miały odstraszać przypadkowych gości. Tych, którzy znali swój cel, trudno byłoby w ten sposób odwieść od zamiaru.

Droga nagle skręciła pod kątem prostym i oto przed nim leżało Co-marre. Dziwne, że coś, czego oczekiwał, mogło tak wstrząsnąć. Zobaczył przed sobą ogromną polanę w dżungli, którą w połowie zajmowała czarna, metaliczna budowla.

Miasto miało kształt zbudowanego tarasowo stożka o wysokości około ośmiuset metrów i podstawie o średnicy kilometra. Peyton nie potrafił odgadnąć, jak głęboko sięgało pod ziemię. Zatrzymał się, przytłoczony rozmiarami i dziwnym wyglądem tego ogromnego budynku. Potem powoli ruszył w jego stronę.

Jak drapieżne zwierzę przyczajone w mateczniku, miasto trwało w o-czekiwaniu. Choć obecnie rzadko kto je odwiedzał, gotowało się na przyjęcie gości, kimkolwiek by nie byli. Czasem zawracali przy pierwszym znaku ostrzegawczym, a czasem przy drugim. Niewielu dotarło do wejścia, zanim opuściła ich odwaga. Lecz większość, doszedłszy aż dotąd, wchodziła z ochotą.

Peyton dotarł zatem do marmurowych stopni, prowadzących do niebotycznej metalowej ściany i dziwnego czarnego otworu, który zdawał się być jedynym wejściem. Leo spokojnie biegł obok, prawie nie zwracając uwagi na dziwne otoczenie.

Przed samymi stopniami Peyton zatrzymał się i włączył komunikator. Odczekał, aż zabrzmiał sygnał potwierdzający, odbiór, i zaczął powoli mówić do mikrofonu.

– Mucha wchodzi do salonu.

Powtórzył to jeszcze dwukrotnie, czując się raczej głupio. Pomyślał sobie, że ktoś ma przedziwne poczucie humoru.

Nie było żadnej odpowiedzi. Tak przewidywał pian. Lecz Peyton nie wątpił, że wiadomość została odebrana, prawdopodobnie w jakiejś pracowni w Scientii, gdyż numer, który wybrał, należał do aparatu z zachodniej półkuli.

Otworzył największą puszkę z mięsem, które rozłożył na marmurze. Zanurzył palce w grzywie lwa i zaczął się nią bawić.

– Chyba będzie lepiej, - jak tu zostaniesz – rzekł. – Może mnie dość długo nie być. Nie próbuj iść za mną.

U szczytu stopni obejrzał się. Z ulgą stwierdził, że lew pozostał na miejscu. Siedział na zadzie, tęsknie spoglądając za Peytonem. Ten pomachał mu ręką i odwrócił się.

Nie było żadnych drzwi, jedynie zwykła czarna dziura w wypukłej metalowej powierzchni. Zastanowiło to Peytona – był ciekaw, w jaki sposób budowniczowie zamierzali uniemożliwić wejście zwierzętom. Wówczas coś w otworze przykuło jego uwagę.

Był zbyt czarny. Choć ściana znajdowała się w cieniu, wejście nie miało prawa być aż tak ciemne. Wyjął z kieszeni monetę i wrzucił ją w czeluść otworu. Dźwięk jej upadku rozproszył wątpliwości Peytona więc ruszył naprzód.

Precyzyjnie dostrojone obwody czujnika nie zareagowały na monetę, jak nie reagowały na zabłąkane zwierzęta, które przechodziły tą ciemną bramą. Lecz wystarczyła jedynie obecność ludzkiego mózgu, by uruchomić przekaźniki. Przez ułamek sekundy ekran, który przekraczał Peyton, za-pulsował energią, a potem znów stał się obojętny.

Peytonowi zdawało się, że minęło bardzo dużo czasu, zanim jego stopa dotknęła ziemi, ale to było najmniejsze zmartwienie. Daleko bardziej zaskoczyło go nagle przejście od ciemności do światła, od nieco uciążliwego gorąca dżungli do temperatury, która przez kontrast sprawiała wrażenie chłodu. Zmiana nastąpiła tak gwałtownie, że Peytonowi zaparło dech. Z bardzo nieprzyjemnym uczuciem odwrócił się w stronę bramy, przez którą właśnie wszedł.

Już jej tam nie było. Nigdy jej nie było. Stał na metalowym podium w samym środku dużej, okrągłej sali z dwunastoma ostrołukowymi bramami na obwodzie. Można by przypuszczać, że wszedł przez którąś z nich, gdyby nie to, że znajdowały się o czterdzieści metrów od niego.

Na chwilę Peytona ogarnęła panika. Serce mu waliło i coś dziwnego działo się z jego nogami. Z uczuciem wielkiego osamotnienia usiadł na podium i zaczął logicznie zastanawiać się nad sytuacją.

#### 4. Znak maku

Coś go musiało błyskawicznie przenieść z czarnego wejścia na środek sali. Dawało się to wyjaśnić dwojako, lecz oba przypuszczenia były równie fantastyczne. Albo z przestrzenią w Comarre działo się coś dziwnego, albo jego budowniczowie opanowali sekret przenoszenia materii.

Od czasu, gdy ludzie nauczyli się przysyłać dźwięki i obrazy przez radio, zawsze marzyli o przenoszeniu w ten sam sposób materii. Peyton przyjrzał się podium, na którym stał. Z łatwością mogło pomieścić urządzenia elektroniczne, a przy tym, na suficie znajdowało się nad nim jakieś bardzo dziwne wyrzucenie.

Jakkolwiek by tego nie zrobiono, nie potrafił wyobrazić sobie lepszego sposobu unikania niepożądanych gości. Raczej pospiesznie zsunął się z podium. Nie było to miejsce, w którym pragnął pozostać dłużej.

Z niepokojem uzmysłowił sobie, że nie mógłby się stąd wydostać bez pomocy maszyny, która go tam przeniosła. Postanowił, że za każdym razem będzie zajmował się tylko jedną sprawą. Kiedy skończy poszukiwania, będzie znał zarówno ten, jak i wszystkie pozostałe sekrety Comarre.

Przekonanie to naprawdę nie wynikało z zarożumiałości. Od czasu zbudowania miasta minęło pięć wieków badań naukowych. Chociaż mógł tam znaleźć wiele informacji, które będą dla niego czymś nowym, każdą z nich potrafi zrozumieć. Wybrawszy na chybił trafił jedno z wyjść, rozpoczął przeszukiwanie miasta.

Maszyny obserwowały, czekając na stosowną chwilę. Zbudowano je, by służyły pewnemu celowi, i dalej ślepo wywiązywały się ze swego zadania. Dawno temu dały spokój zapomnienia znużonym umysłom swych budowniczych. Mogły jeszcze dać zapomnienie tym wszystkim, którzy przekroczyli progi Comarre.

Instrumenty poczęły analizować Peytona, kiedy wyszedł z lasu. Szczegółowej analizy ludzkiego umysłu, z wszelkimi jego nadziejami, pragnieniami i obawami, nie można dokonać w krótkim czasie. Upłyną jeszcze całe godziny, nim zaczną działać syntezatory. Do tej chwili gościa jedynie zabawiano, równocześnie przygotowując wystawniejsze przyjęcie.

Niewielki robot miał mnóstwo kłopotu z ciągle wymykającym się gościem, nim w końcu go zlokalizował, gdyż podczas przeszukiwania miasta Peyton szybko przechodził z jednego pomieszczenia do drugiego. Teraz maszyna zatrzymała się pośrodku małego, oświetlonego pojedynczą jarzeniówką, okrągłego pokoju, którego ściany pokrywały magnetyczne przełączniki.

Czujniki robota wykazywały obecność Peytona w odległości zaledwie kilku metrów, lecz cztery zastępujące oczy obiektywy nie widniały nawet śladu po nim. Zaintrygowana maszyna stała bez ruchu w ciszy, w której

3 – Spotkanie..

słysząc było jedynie delikatny szmer jej silników i sporadyczne trzaski przekaźników.

Stojąc na pomoście trzy metry nad podłogą, Peyton obserwował robota z wielkim zainteresowaniem. Ten metalowy cylinder na grubej podstawie poruszał się na niewielkich kółkach. Nie miał żadnych kończyn: na gładkiej powierzchni cylindra widać było jedynie obiektywy i kilka niewielkich otworów, w których znajdowały się ukryte za siatką mikrofony.

Zabawnie wyglądała maszyna w swym zakłopotaniu, kiedy jej mały mózdzek borykał się z dwiema sprzecznymi informacjami. Chociaż wiedziała, że Peyton musi być w pokoju, jej oczy mówiły, iż w pomieszczeniu nikogo nie ma. Poczęła zataczać kółeczka, aż Peytonowi zrobiło się jej żal i zszedł z pomostu. Maszyna z miejsca przestała się kręcić i rozpoczęła mowę powitalną.

– Nazywam się A-5. Zaprowadzę cię, dokądkolwiek pragniesz. Proszę wydawać mi rozkazy w standardowym języku robotów.

Peyton był raczej rozczarowany. Toż to najzwyczajniejszy, typowy robot, a on miał nadzieję zastać coś lepszego w mieście zbudowanym przez Thordarsena. Jednak maszyna ta może okazać się przydatna, jeśli umiejętnie ją wykorzysta.

– Dziękuję – powiedział niepotrzebnie. – Proszę zaprowadzić mnie do pomieszczeń mieszkalnych.

Choć miał teraz pewność, że miasto było całkowicie zautomatyzowane, mogło w nim jeszcze istnieć jakieś ludzkie życie. Może znajdowali się tam inni ludzie, którzy pomogą mu w poszukiwaniach, choć prawdopodobnie nie powinien liczyć na więcej niż brak sprzeciwu z ich strony.

Robot bez słowa wykonał zwrot na swych kółkach i wytoczył się z pokoju. Poprowadził Peytona korytarzem kończącym się pięknie rzeźbionymi drzwiami, które na próżno próbował już otwierać. Widocznie A-5 znał ich sekret, gdyż gruba, metalowa płyta odsunęła się bezszelestnie, kiedy się zbliżyli. Robot wtoczył się do niewielkiej sześciennej komory.

Peyton zastanawiał się, czy nie jest to jeszcze jeden teleporter, lecz wkrótce stwierdził, że to po prostu najzwyczajniejsza winda. Sądząc po czasie jazdy w górę, musiała ich zawieźć na sam szczyt miasta. Kiedy drzwi się rozsunęły, Peyton miał wrażenie, jakby znalazł się w 'innym świecie,

Korytarze, którymi przechodził na początku, uderzały bezbarwnością i brakiem jakichkolwiek ozdób – miały czysto użytkowy charakter. Przez kontrast z nimi owe ogromne pomieszczenia i sale posiedzeń wydawały się prawie luksusowe. Dwudzieste szóste stulecie było okresem kwie-cistycty ozdób i barw, traktowanym z pogardą w następnych wiekach.

Lecz Dekadend wybiegli daleko w przód. Projektując Comarre w pełni korzystali ze zdobyczy psychologii i sztuki

Nie starczyłoby życia na obejrzenie wszystkich malowideł ściennych i rzeźb, obrazów i wymyślnych tkanin, które wyglądały tak samo jak dawniej. Pozostawienie tak cudownego miejsca w ukryciu przed światem zdawało się przestępstwem. Peyton prawie zapomniał o swym naukowym zapale i biegał jak dziecko, oglądając te cuda.

Oto prace geniusza, może największego, jakiego kiedykolwiek znał świat. Był to jednak geniusz chory i zropaczony, który utracił wiarę w siebie, Jachowując niezmiernie zdolności uschli icztffc. Po raz pierwszy Peyton naprawdę zrozumiał, dlaczego budowniczych Comarre nazwano Dffcadntfami. ,

Ich sztuka jednocześnie odpychała go i fascynowała. Nie było w niej zła, całkowicie bowiem odbiegała od wszelkich zasad moralnych. Chyba najważniejszą jej cechą było znużenie i rozczarowanie. Po jakimś czasie Peyton, który nigdy nie uważał się za osobę szczególnie wrażliwą na sztukę wizualną, poczuł, że opanowuje go ledwo uchwytnie przygnębienie. Jednak absolutnie nie potrafił oderwać wzroku. W końcu ponownie zwrócił się do robota.

– Czy kłus\* tu teraz mics/ka?

– Tak.

– Gdzie oni są?

Odpowiedź zdawała się całkiem naturalna. Peyton poczuł ogromne znużenie. Od godziny walczył z nieodpartym snem; prawie, jakby go coś doń aimiszało. Jutro będzie doić czasu, by poznać napotkane sekrety. Przez chwilę pragnął jedynie zasnąć.

Machinalnie szedł za robotem, który z przestronnych sal poprowa-dzft go do długiego korytarza z mnóstwem, metalowych itatwi. Na wszystkich widniał na poły znajomy symbol, którego Peyton nie mógł rozpoznać. Jego senny umysł ociężałe zmagał się jeszcze z tym problemem, kiedy maszyna stanęła przed lednymi z hcznymi drzwiami, które cicho się rozsunęły.

Wygodnie zasłany tapczan w przyćmionym świetle wypełniającym pokój zapraszał nieodparcie. Peyton automatycznk skierował się ku niemu niepewnym krokiem. Kiedy zapadał w sen, ogarnęło go ciepłe uczucie za-dowolenia. Uświadomił sobie bowiem, co przedstawiał symbol na drzwiach, choć zbyt zmęczony umysł nie zrozumiał jego znaczenia. - Był to mak.

Miasto fmkcjonowato bez żadnego podstęp\*, sądnej xłej woK. Bezosobowo spehuah wyznaczone mm sodoma. Wszyscy przybysze ckftme korzystali z darów Comarre. Ten jest pterwszytn, który je zignorował.

Integratory pozostawały w gotowości od wielu godzin, lecz niespokojny, badawczy umysł ciągle im umykał. Mogły jeszcze poczekać, co robiły nieprzerwanie przez ostatnie pięćset lat.

A teraz obrona tego dziwnie opornego umysłu załamała się, kiedy Ri-chardPeyton spokojnie zasnął. Gdzieś w głębi Comarre zadziałał jakiś przekaźnik i skomplikowane, powoli oscylujące prądy popłynęły przez szeregi lamp elektronowych. Osobowość, która była Richardem Peytonem III, przesiała istnieć.

Peyton zasnął natychmiast. Na chwilę zupełnie stracił świadomość, która jednak z wolna powracała nikłymi przeblaskami. I wówczas, jak zwykle, pojawiło się marzenie senne.

Dziwne, że był to jego ulubiony sen, wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Całe życie Peyton kochał morze, a pewnego razu z pokładu obserwacyjnego nisko lecącego statku pasażerskiego ujrzał niewiarygodne piękno wysp Pacyfiku. Nigdy ich nie zwiedził, ale często pragnął spędzić resztę życia na jakiejś odludnej, spokojnej wysepce, nie troszcząc się o przyszłość świata.

W pewnym okresie życia prawie wszyscy mają podobne marzenia, lecz Peyton był na tyle rozsądny, by wiedzieć, że po dwóch miesiącach takiej egzystencji oszalałby z nudów i powrócił do cywilizacji. Jednak nigdy tego rodzaju myśli nie trapiły go we śnie i teraz znów leżał pod kołyszącymi się palmami, zasłuchany w szum fal uderzających w rafę wokół laguny, w której jak w lazurowym lustrze odbijało się słońce.

Sen był nadzwyczaj sugestywny; nawet śniąc Peyton pomyślał, że żaden inny nie miał prawa być tak wyrazisty. Potem skończył się tak nagle, że w umyśle Peytona powstała po nim jakby pustka. Raptownie odzyskał świadomość.

Gorzko rozczarowany, leżał przez chwilę z mocno zaciśniętymi powiekami, próbując odzyskać utracony raj. Lecz próżne były jego wysoki. Coś atakowało mózg, nie pozwalając spać. Poza tym posłanie stało się nagle twarde i niewygodne. Niechętnie skierował myśli ku temu, co go zbudziło.

Peyton był zawsze realistą i nigdy nie nachodziły go filozoficzne wątpliwości, wstrząs więc okazał się znacznie większy niż w przypadku mniej inteligentnych umysłów. Nigdy nie wątpił we własne zdrowie psychiczne, ale teraz było inaczej.- Bowiem dźwięk, który go obudził, był szumem fal uderzających o rafę. Leżał na złotym piasku nad laguną. Spośród palm dochodził poszept wiatru, który delikatnie pieścił go swymi ciepłymi palcami.

Przez moment Peyton myślał, że to wr dalszym ciągu tylko sen. Lecz tym razem nie mogło być żadnych wątpliwości. Jeśli jest się przy zdrowych zmysłach, nigdy nie można wziąć rzeczywistości za sen. A to działa się naprawdę, jeśli w ogóle cokolwiek na świecie jest rzeczywiste.

Powoli uczucie zdziwienia zaczęło ustępować. Wstał, a z jego ciała osypał się złoty deszcz piasku. Dłonią przysłonił oczy przed słońcem i popatrzył wzdłuż plaży.

Nie zastanowiło go nawet, dlaczego to miejsce jest tak znajome. Za rzecz naturalną przyjął, że nieco dalej na plaży znajdowała się wioska. Za moment przyłączy się do przyjaciół, pozostawionych tylko na krótką chwilę, kiedy przebywał w świecie, o którym szybko zapomniał.

W pamięci zacierał się obraz młodego inżyniera – teraz uciekło mu nawet jego imię – który chciał być sławny i mądry. W tym drugim życiu dobrze znał tę niemądrą osobę, lecz obecnie już nigdy jej nie wytłumaczy, jak próżne były te ambicje.

Leniwie ruszył plażą, a z każdym krokiem coraz bardziej zacierały się ostatnie, mgliste wspomnienia jego dawnego życia, jak szczegóły snu ginące w świetle dnia.

Po drugiej stronie planety trzech bardzo zaniepokojeni naukowcy czekali w pustym laboratorium, wpatrzni w szczególny model wielokanałowego komunikatora. Aparat milczał od dziewięciu godzin. W ciągu pierwszych ośmiu nikt nie oczekiwał, że przemówi, ale umówiony sygnał spóźnił się teraz o ponad godzinę.

Alan Henson zerwał się z gestem zniecierpliwienia.

– Musimy coś zrobić! Wywołam go! Pozostali dwaj nerwowo popatrzyli na siebie.

– Ktoś może być na podsłuchu!

– Na pewno nie, chyba że nas teraz śledzą. A jeśli nawet, nie po-Wiem nic niezwykłego. Peyton zrozumie, o ile w ogóle będzie mógł odpowiedzieć...

Jeżeli kiedykolwiek Richard Peyton wiedział, co to czas, już o tym zapomniał. Istniała dlań jedynie terażniejszość, gdyż zarówno przeszłość jak i przyszłość leżały ukryte za szczelnym ekranem, jak rozległy krajobraz przysłonięty strugami ulewnego deszczu.

Peyton cieszył się terażniejszością z ogromnym zadowoleniem. W ogóle nic nie pozostało z niespokojnego, pełnego porywów ducha, który kiedyś trochę niepewnie postanowił zawojować nowe dziedziny wiedzy. Wiedza ta była teraz dlań bezużyteczna.

Później nie mógł już niczego sobie przypomnieć z życia na wyspie. Miał tam wielu towarzyszy, lecz ich imiona i twarze całkowicie zatarły się w pamięci. Miłość, spokój ducha, szczęście – wszystko to było jego udziałem przez krótką chwilę. A jednak nie zapamiętał nic poza kilkoma ostatnimi momentami swego życia w raj.

Dziwne, że skończyło się to tak jak zaczęło. Znowu znalazł się nad laguną, lecz tym razem nocą i nie sam. Księżyc zdawał się być w wiecznej pełni i sunął nisko nad

gdzie pozostawiał długi\* srebrną wstę-

gę, ciągnącą się daleko, aż po skraj świata. Gwiazdy, które zawsze tkwiły w tym samym miejscu, swkriły na niebk bez mrugania jak wspaniałe klejnoty, piękniejsze od zapomnianych gwiazd na Ziemi.

Lecz Peytona pochłaniały myśli o innym pięknie i znów pochyła się nad postacią leżącą na piasku, który złocfl się tak samo, jak włosy medokładnk przykrywające jej ciało.

Potem raj wokół niego zatrząsł się i rozplynał. Peyton wydał głośny okrzyk bólu, kiedy wszystko, co kochał, skręcąc się zniknęło. Nk oszalał tylko dlatego, że zmiana nastąpią szybko. Kiedy wszystko się skończyło, doznał tego samego, co musiał przeżywać Adam, gdy ze szczękiem na zawsze zamknęły się za nim bramy raj.

Dźwięk, który go sprowadził z powrotem, był najzwyczajniejszy w świecie. Chyba naprawdę zaden inny nie dotarłby do jego świadomości tam, gdzie się znajdował. Był to przenikliwy pisk jego własnego komunikatora, który leżał na podłodze obok tapczanu, tutaj, w przyciemnionym pokoju, w mieście Comarre.

Dźwięk ucichł, kiedy machinalnie wyciągnął rękę i n~\*\*\*\*f guzik odbioru. Musiał powiedzieć coś, co zadowoliło jego nieznanego rozmówcę – a może to był Alan Henson? – gdyż ten bardzo szybko się wyłączył. Jeszcze oszołomiony, Peyton usiadł na tapczanie trzymając się oburącz za głowę i próbując połapać się w sytuacji



Nk Śnił – to pewne. Wszystko wskazywało raczej, że żył jakimś drugim życiem, a teraz wracał do swej dawnej egzystencji jak człowiek odzyskujący pamięć. Chociaż oszołomienie jeszcze trwało, w jego umyśle powstało jasne, głębokie przekonanie: nigdy już nk może zasnąć w Comarre.

Z wolna charakter j wola Richarda Peytona III wracały z wygnania. Niepewak wsiadł i wyszeol z pokoju. Ponownie znalazł się w długim korytarzu z setkami identycznych drzwi. Tym razem inaczej odczytywał wyrzeźbaony. na nich symbol.

Prawie nk zwracał uwagi, którądy idzie. Jego umysł zbyt skoncentrował się na rozważanym problemie. Kiedy tak szedł, mózg pracował mu coraz sprawniej, aż powoli przyszło zrozumienie. Chwilowo była to tylko teoria\* lecz wkrótce. 9% sprawdzi.

Mózg ludzki jest delikatną, osłoniętą strukturą, nk mającą bezpośredniego kontaktu ze światem i gromad/ara całą swoją wiedzę i doświadczenia za pomocą zmysłów. Można zatem rejestrować i przechowywać myśli, tak jak niegdyś ludzki zapisywali dźwięki na kilometrach drutu.

Jeśli zarejestrowane myśli przejdą się innemu mózgowi, kiedy wszyscy zmysły pozbawionego świadomości ciała są wyłączone, wówczas weźmie je za rzeczywistość. W żaden sposób nk wykryje, że został oszukany, jak nk można odróżnić doskonalą nagraną symfonię od oryginalnego wy]

O tym wszystkim wiedziano od wieków, lecz budowniczowie Comarre, jak jeszcze nikt na świecie, wykorzystali tę Wiedzę w taki sposób. Gdzieś w mieście muszą być maszyny, które analizują wszystkie myśli i pragnienia przybyszów. Budowniczowie miasta musieli też magazynować każde przeżycie i doznanie ludzkiego umysłu. Z tego surowca da się zbudować wszystkie możliwe rodzaje przyszłości.

Nareszcie Peyton zrozumiał, jakiej miary geniusz stworzył Comarre. Maszyny zanalizowały jego najgłębsze myśli i zbudowały dlań świat oparty na jego własnych, podświadomych pragnieniach. Potem, kiedy nadarzyła się sposobność, zawładnęły jego umysłem i wypełniły go tym wszystkim, co przeżył podczas snu w Comarre.

Nic dziwnego, że w tym rajku, którego już prawie nie pamiętał, znalazły się wszelkie jego tęsknoty. I nie można się dziwić, że przez wieki tak wielu szukało spokoju, który mogło przynieść jedynie Comarre!

## 5. Inżynier

Peyton znowu był sobą, kiedy usłyszał odgłos toczących się kolek. Obejrzał się. To powracał mały robot, jego przewodnik. Kierujące nim duże maszyny bez wątplenia zastanawiały się, jakie są losy jego podopiecznego. Peyton czekał, a w jego głowie powoli kształtowała się pewna myśl.

A-5 znow zaczął powtarzać swój zaprogramowany tekst. Tutaj, gdzie automatronika osiągnęła szczyty rozwoju, ta prosta maszyna wydawała się bardzo nie na miejscu. I wtedy Peyton uprzytomnił sobie, że najpewniej celowo wybrano nieskomplikowanego robota. Korzystanie z jakiejś bardziej złożonej maszyny tam, gdzie równie dobrze albo nawet lepiej mogło służyć to proste urządzenie, nie miaoby większego sensu.

Peyton nie zareagował na słowa już mu znane. Wiedział, że wszystkie roboty muszą słuchać rozkazów człowieka, o ile ktoś inny przedtem im tego nie zabroni. Nawet projektory w mieście, pomyślał kwaśno, były posłuszne nie znanym im uprzednio i nie wypowiedzianym rozkazom jego własnej świadomości.

– Zaprowadź mnie do projektorów myśli – rozkazał. Zgodnie z jego oczekiwaniami, robot nawet nie drgnął.

– Nie rozumiem – odpowiedział tylko.

Peytonowi poprawił się humor, kiedy poczuł, że znow panuje nad sytuacją.

– Choć tu i nie ruszaj się stąd, dopóki ci nie każę.

Selektory i przekaźniki robota przeanalizowały zaprogramowane instrukcje, w których nie znalazły nic, co by się temu sprzeciwiało. Powoli niewielka maszyna potoczyła się do przodu. Podała się rozkazom i już nie miała odwrotu. Nie mogła się ruszyć, póki Peyton nie wyda nowego rozkazu lub coś nie unieważni jego komend. Zahipnotyzowanie robota było starym chwytem, tak uwielbianym przez małych chłopców.

Peyton błyskawicznie wyjął ze swej torby wszystkie narzędzia, jakie każdy inżynier ma zawsze przy sobie: uniwersalny śrubokręt, klucz nastawny, automatyczną wiertarkę i najważniejsze z nich – atomowy przecinak, który przegryzał na wylot najtwardszy metal w ciągu paru sekund. Potem z wprawą, wynikającą z długiej praktyki, przystąpił do pracy nad niczego nie spodziewającą się maszyną.

Na szczęście robota zbudowano w sposób ułatwiający obsługę techniczną, dał się więc otworzyć bez szczególnych trudności. W jego mechanizmie sterującym nie było nic, czego Peyton by nie znał, więc szybko znalazł zespół napędowy. Teraz, cokolwiek by się nie stało, maszyna nie mogła uciec. Została unieruchomiona.

Następnie pozbawił ją wzroku i odszukał jej pozostałe zmysły elektryczne, kolejno je wyłączając. Wkrótce stała się zwykłym cylindrem pełnym elektronicznego złomu. Z uczuciem małego, psotnego chłopca, który właśnie dobrał się do bezbronnego zegarka dziadka, Peyton usiadł i czekał na to, o czym wiedział, że musi nastąpić.

Trochę nieopatrznie dopuścił się sabotażu na robocie tak daleko od kondygnacji z głównymi maszynami. Droga stamtąd zajęła transporterowi robotów prawie kwadrans. Peyton usłyszał z oddali turkot jego kółek i utwierdził się w swych przypuszczeniach. Nadjeżdżało pogotowie techniczne.

Transporter był nieskomplikowaną maszyną, zaopatrzoną w zespół ramion, którymi mógł chwytać i trzymać uszkodzone roboty. Zdawało się, że nie miał receptorów optycznych, choć bez wątpienia jego specjalne zmysły całkowicie mu wystarczały.

Peyton odczekał, aż transporter podniesie nieszczęsnego A-5; potem wskoczył nań, trzymając się z dala od mechanicznych ramion. Nie chciał być wzięty za inny zepsuty robot. Na szczęście wielka maszyna w ogóle go nie zauważyła.

Tak więc Peyton zjeżdżał na coraz niższe kondygnacje olbrzymiego budynku, mijając po drodze pomieszczenia mieszkalne, salę, w której znalazł się na samym początku, a potem jeszcze niżej, do nie znanych mu rejonów. W czasie jazdy stale zmieniał się charakter miasta wokół niego.

Zniknęły teraz luksus i bogactwo wyższych kondygnacji, a ich miejsce zajęły niegościnne korytarze, które służyły właściwie za gigantyczne tunele kablowe. Aż wreszcie i one się skończyły.

Transporter przejechał przez rozsuwaną bramę i znalazł, się u celu.

Rzędy tablic z przekaźnikami i mechanizmów rozdzielczych zdawały się nie mieć końca i choć Peytona kusiło, by zeskoczyć z nieświadomego jego obecności rumaka, jednak zaczekał z tym, póki nie ukazały się głów-

ne tablice sterownicze. Wówczas zsunął się z transportera i obserwował go, jak zniknął w oddali kierując się ku jeszcze odleglejszej części miasta.

Zastanawiał się, ile czasu zajmie superautomatowi naprawa A-5. Uszkodził go dość dokładnie i sądził, że teraz ta mała maszyna nadaje się raczej na złom. Następnie z uczuciem wygłodzonego człowieka, który nagle znalazł się na bankiecie, zaczął badać cuda miasta.

W ciągu następnych pięciu godzin tylko raz zrobił przerwę, by wysłać swym przyjaciółom umówiony sygnał. Pragnął również zawiadomić ich, że wszystko przebiega pomyślnie, lecz było to zbyt ryzykowne. Dokonując niebywałych wyczynów w śledzeniu przebiegu obwodów odkrył funkcjonowanie głównych zespołów i rozpoczął badanie niektórych elementów urządzeń wtórnych. Było tak, jak przewidywał. Analizatory i projektory myśli znajdowały się piętro wyżej i mogły być sterowane z tego centralnego urządzenia. Nie miał pojęcia, jak funkcjonowały – wykrywanie ich wszystkich' tajemnic mogło równie dobrze potrwać całe miesiące. Jednak zidentyfikował je i sądził, że prawdopodobnie w razie potrzeby uda mu się je wyłączyć.

Nieco później odkrył monitor myśli. To niewielkie urządzenie przypominało raczej starodawną łącznicę telefoniczną, lecz było o wiele bardziej skomplikowane. Miejsce operatora skonstruowano w dziwny sposób: odizolowano je od podłogi, a jego dach stanowiła sieć kabli i kryształowych prętów. Było to pierwsze wykryte przez Peytona urządzenie, które wyraźnie przeznaczono do bezpośredniego użytku człowieka. Przypuszczalnie zbudowali je pierwsi inżynierowie do montowania urządzeń w początkowym okresie istnienia miasta.

Peyton nie odważyłby się włączyć monitora myśli, gdyby na jego tablicy sterowniczej nie wydrukowano szczegółowej instrukcji obsługi. Po kilku próbach włączył go do jednego z obwodów i powoli zwiększał moc, utrzymując natężenie znacznie poniżej czerwonej kreski bezpieczeństwa.

Dobrze się stało, że tak postąpił, gdyż wrażenie było wstrząsające. Zachował wrprawdzie swą osobowość, lecz całkowicie mu obce pojęcia i obrazy wypełniły jego myśli. Patrzył na jakiś inny świat oczami obcego umysłu.

Jego ciało jakby znajdowało się równocześnie w dwóch miejscach, choć odczucia tej drugiej osobowości nie były tak żywe, jak prawdziwego Richarda Peytona III. Dopiero teraz uzmysłowił sobie znaczenie kreski bezpieczeństwa. Zbytne zwiększenie natężenia z pewnością doprowadziłoby go do obłądu.

Wyłączył urządzenie i mógł już myśleć bez zakłóceń. Teraz rozumiał, co znaczyły słowa robota, że wszyscy mieszkańcy śpią. W Comarre znaj-

dowali się inni ludzie, pogrążeni we śnie hipnotycznym pod działaniem projektorów myśli

Powiódł myślą do długiego korytarza z setkami metalowych drzwi. Zjeżdżając w dół, mijał po drodze wiek takich korytarzy i było jasne, że większą część miasta zajmowały tworzące jakby plaster miodu izby, w których tysiące ludzi mogło prześnić życie.

Kolejno sprawdził obwody na tablicy. W snarmcj większości były wyłączone, lecz około pięćdziesięciu w dalszym ciągu działało. Każdy z nich przenosi wszystkie myśli, pragnienia i emocje ludzkiego umysłu.

Teraz, kiedy już miał pełnię świadomości, Peyton mógł zrozumieć, w jaki sposób go omamiono; kcż wiedza ta niezbyt go pocieszyła. Mógł zobaczyć niedostatki tych syntetycznych światów i obserwować, jak paraliżowano niezależność umysłu, wypełniając go nie kończącym się strumieniem prostych, lecz żywych emocji.

Tak, teraz wszystko wydawało się bardzo proste. Ale nic nie zmieniało faktu, że dla odbiorcy ten sztuczny świat byt absolutnie rzeczywisty — tak rzeczywisty, że ten, rozstawszy się z nim, długo odczuwał towarzyszący temu ból

Przez Misko godzinę Peyton śledzi światy istniejące w pięćdziesięciu śpiących umysłach — fascynujące, a zarazem odpychające zajęcie. W ciągu tej niecałej godziny więcej się dowiedział o ludzkim mózgu i jego tajnikach, niż kiedykolwiek mógł marzyć. Potem przez dłuższy czas siedział bez ruchu przy regulatorach maszyny, analizując swą nowo zdobytą wiedzę. Zmądrzał o wiek lat, a jego młodość wydała mu się nagle bardzo odległa.

Po raz pierwszy tak bezpośrednio zetknął się z faktem, że wszystkie istoty ludzkk dzielą z nim perwersyjne i złe pragnienia, które od czasu do czasu wzburzały mu umysł. Budowniczych Comarre nie obchodziło, czy coś jest dobre, czy złe — a maszyny wiernie im służyły.

Wystarczyło wiedzieć\*, że jego teorie potwierdziły się. Dopiero teraz Peyton zrozumiał, jak niewiele brakowało: gdyby ponownie zasnął w tych murach, mógłby się już nigdy nk obudzić. Przypadek raz go uratował, ale to może się nk powtórzyć.

Musi unieszkodliwić projektory myśli tak dokładnie, żeby roboty nigdy nk mogły ich naprawić. Chociaż umiały usuwać normalne awarie, nk potrafią poradzić sobk z rozmyślnym sabotażem na skalę planowaną przez Peytona. Kiedy skończy, Comarre na zawsze przestank być groźne. Nigdy już nk złąpk w pułąpkę jego umysłu, ani też umysłów żadnych innych ludzi, którzy znajdą się tutaj w przyszłości.

Najpierw musi odnaleźć śpiących i doprowadzić ich do przytomności. To może potrwać dłuższy czas, ale na szczęście kondygnację z maszynami wyposażono w typowy sprzęt monowizyjny, z którego pomocą mógł zobaczyć i usłyszeć wszystko, co działo się w mieście, po prostu nastawiając nośną falę kierunkową na wybrane miejsce. W razie potrzeby mógł tą drogą przesłać nawet swój głos, ale nie obraz. Maszyny zdolne przesyłać w ten sposób obraz weszły w powszechne użycie dopiero po zbudowaniu Comarre,

Nieco czasu zabrakło mu na opanowanie umiejętności sterowania tym urządzeniem i początkowo fala niepewnie błądziła po całym mieście. Oglądał różne dziwne miejsca, a raz przelotnie zobaczył to, choć obraz był odwrócony. Zastanawiał się, czy Leo jeszcze czeka i z pewnym trudem odnalazł wejście.

Tak, jeszcze tam był dokładnie w tym samym miejscu, w którym zostawił go wczoraj. Wiemy, Leo leżał w odległości kilku metrów z głową skierowaną w stronę miasta, rzucając niespokojne spojrzenia, co do głębi wzruszyło Peytona. Ciekaw był, czy poradzi sobie ze sprowadzeniem Leo do Comarre. Przydałaby się taka podpora duchowa, gdyż po nocnych przeżyciach coraz bardziej potrzebował towarzystwa.

Zaczął metodycznie przeszukiwać zewnętrzny mur miasta i z wielką ulgą odnalazł kolca okrytych wejść na poziomie ziemi. Ciekaw był, jak stąd się wydostanie. Jeśli nawet uda mu się uruchomić teleporter, taka perspektywa wcale mu się nie uśmiechała. Tnarznir bardziej wołał staroświeckie, fizyczne poruszanie się w przestrzeni.

Wszystkie otwory wejściowe były zamknięte, co na chwilę wprawiło go w zakłopotanie. Zaczął więc szukać jakiegoś robota. Po pewnym czasie odnalazł bliźniaka byłego A-5, który toczył się korytarzem z jakąś tajemniczą misją. Na szczęście bez sprzeciwu posłuchał rozkazu i otworzył drzwi.

Peyton skierował falę tak, że ponownie przeniknęła mur budynku, i naprowadza ją na punkt leżący w odległości kilku metrów od Leo. Następnie cicho zawołał:

– Leo!

Zaskoczony lew spojrział w górę.

– Halo, Leo, to ja, Peyton!

Zaintrygowany lew powoli zatoczył koło, a potem zrezygnowany usiadł bezradnie.

Po dłuższych namowach Peyton zwał Leo do wejścia. Lew poznał jego głos i jakby okazywał chęć pójścia za nim, lecz był zwierzęciem raczej nerwowym i okropnie zaintrygowanym. W wejściu zawahał się na moment: nie podobało mu się ani Comarre, ani spokojnie czekający robot.

Z wielką cierpliwością Peyton przekonywał Leo, by podążył za robotem. Polecenia swe powtarzał na różne sposoby, aż upewnił się, że lew go zrozumiał. Wówczas zwrócił się bezpośrednio do robota i rozkazał mu przyprowadzić lwa do centrali. Przez chwilę obserwował, czy lew idzie za maszyną, a potem ze słowami zachęty zostawił tę dziwną pacę.

Z rozczarowaniem stwierdził, że nie może zajrzeć do żadnego z zamkniętych pokoiów za drzwiami z symbolem maku. Albo zabezpieczono je przed działaniem fali kierunkowej, albo regulatory monowizora nastawiono tak, by uniemożliwić zaglądnienie do tej części przestrzeni.

Nie zniechęciło to Peytona. Śpiący obudzą się tak brutalnie, jak on. Zajrzawszy do ich prywatnych światów, nie współczuł im znowu i tylko poczucie obowiązku kazało mu ich obudzić. Nie zasługiwali na żadne względy.

Nagle uderzyła go straszna myśl. Co projektor myśli wprowadziły mu do mózgu w odpowiedzi na jego pragnienia w tej zapomnianej idylli, z której tak niechętnie powracał? Czy jego własne, skryte myśli były również haniebne, jak pozostałych śpiących?

Myśl ta nie sprawiła mu zbyt przyjemności, więc odsunął ją od siebie, kiedy ponownie zasiadł przed głównym pulpitem sterowniczym. Najpierw wyłączył obwody, potem uszkodził projektor, tak że już nigdy nie będzie można z nich korzystać. Zły urok, który Comarre rzuciło na tyle umysłów, rozwieje się na zawsze.

Peyton wyciągnął rękę, chcąc uruchomić wielokanałowe wyłączniki obwodów, ale nie dokończył tego ruchu. Delikatnie lecz mocno schwyciły go od tyłu cztery metalowe ramiona. Kopiającego i szamocącego się przeniosły go w powietrze daleko od przełączników na środek sali. Tam posadziły go i uwolniły.

Bardziej zły niż przestraszony, Peyton zwrócił twarz w stronę swego prześladowcy. Spokojnie go obserwując z odległości kilku metrów, stał ogromnie skomplikowany robot, jakiego dotąd nie widział. Miał około dwóch metrów wysokości i spoczywał na dwunastu grubych oponach balonowych.

Z różnych części jego metalowego podwozia wystawały we wszystkie strony jakieś macki, ramiona, pręty i inne, trudne do opisanego mechanizmy. Dwie grupy tych ramion pośpiesznie demontowały i naprawiały części aparatury, które Peyton natychmiast rozpoznał z poczuciem winy.

W milczeniu oceniał swego prześladowcę. Oczywiście to robot wysokiej klasy. Ale użył wobec niego przemocy fizycznej – a przecież żaden robot nie może tego zrobić w stosunku do człowieka, choć mógłby nie posłuchać jego rozkazów. Tylko robot sterowany bezpośrednio przez ludzki umysł dokonałby takiego czynu. Gdzieś w mieście było zatem życie, życie świadome i wrogie.

– Kim jesteś? – wykrzyknął w końcu Peyton, kierując pytanie nie do robota, lecz do osoby, która nim sterowała.

Prawie natychmiast maszyna odpowiedziała precyzyjnym, mechanicznym głosem nie sprawiającym wrażenia zwykłej, wzmocnionej mowy ludzkiej.

– Jestem Inżynierem.

– A więc wyjdź i pozwól, że cię zobaczę.

– Patrzysz na mnie.

Zarówno pozbawiony ludzkich cech ton tego głosu, jak i treść samych słów sprawiły, że w jednej chwili Peytonowi minęła złość wyparta przez zdumienie, połączone z niedowierzaniem.

Żadna ludzka istota nie sterowała tą maszyną. Była automatem jak pozostałe roboty w mieście – lecz w przeciwieństwie do nich i wszystkich znanych mu robotów na świecie, ten miał swoją własną wolę i świadomość.

## 6. Koszmar

Kiedy tak Peyton wpatrywał się w maszynę szeroko otwartymi oczami, poczuł, że cierpnie mu skóra na głowie, ale nie ze strachu, lecz po prostu z nadmiaru emocji. Jego poszukiwania zostały nagrodzone – oto patrzył na prawie tysiącletnie marzenie.

Dawno temu maszyny zyskały ograniczoną inteligencję. Teraz osiągnęły w końcu cel, do którego zmierzały – samą świadomość. To właśnie jest ten sekret, który Thordarsen chciał przekazać światu i który Rada wolała zataić z obawy przed konsekwencjami jego ujawnienia.

Znów odezwał się beznamiętny głos.

– Cieszę się, że jesteś świadom prawdy. Z tym będzie ci łatwiej.

– Możesz czytać w moich myślach? – wykrztusił Peyton.

– Naturalnie. Od chwili, gdy wszedłeś.

– Tak. Domyślałem się tego – rzekł ponuro Peyton. – I co zamierzasz teraz ze mną zrobić?

– Przeszkodzić ci w niszczeniu Comarre. Peyton pomyślał, że to całkiem logiczne.

– Przypuśćmy, że teraz stąd odejdę. Czy to by cię urządziło?

– Tak byłoby najlepiej.

Peyton musiał się roześmiać. Inżynier jest jednak robotem, mimo wszystkich jego prawie ludzkich cech. Nie był zdolny do przebiegłości i może to właśnie dawało Peytonowi przewagę. Musi go jakoś podejść, żeby wyjawiał swe tajemnice. Ale robot dalej czytał w jego myślach.

– Nie pozwolę na to. Już i tak wiesz za dużo. Musisz natychmiast odejść. Jeśli trzeba, użyję siły.

Peyton postanowił grać na zwłokę. W końcu uda mu się ustalić granice inteligencji tej zdumiewającej maszyny.

– Zanim sobie pójdę, powiedz mi, dlaczego nazywasz się Inżynierem?

Robot odpowiedział dość chętnie.

– Jeżeli dochodzi do jakiegoś poważnego uszkodzenia, którego nie widać roboty, ja się tym zajmuję. W razie potrzeby mogę odbudować Gomarre. Zazwyczaj\* gdy wszystko funkcjonuje właściwie, pozostaję w spoczynku.

Peyton pomyślał sobie, jak obce Indritieimi

ysłowi jest pojęcie

spoczynku. Ubawi go sposób, w jaki Inżynier odrzucił siebie od robotów. Zadał mu pytanie, które samo się narzucało.

– A jeśli tobie coś się stanie?

– Jest nas dwoili. Ten drugi jest teraz w spoczynku. Możemy wzajemnie się naprawiać. Tylko raz wyflęła taka potrzeba. Trzysta lat

Był to system niezawodny. Cc

abezp

przed wypadk

na miliony lat. Budowniczości miasta postawili tych wiecznych wartowników aa straży, by ich pitoowati, kiedy pójdą szukać swych marzeń. Nic dziwnego więc, że drogo po śmierci swych twórców Comarre w dalszym ciągu służyło temu osobliwemu celowi.

Go za tragedia, pomyślał Peyton, że zmarnował się taki geniusz! Sekrety Inżyniera mogą zrewolucjonizować technikę budowy robotów t urzeczywistnić marzenia o nowym świecie. Teraz, kiedy już istnieją pierwsze, świadome maszyny, czy to, co nastąpv będzie mato jakieś granice?

– Nie – odezwał się nieoczekiwanie Inżynier. – Thordanen powiedział mi, że pewnego ómią roboty staną się inteligentniejsze od człowieka.

Dziwnie zabrzmiało wypowiedziane przez maszynę nazwisko jej twórcy. A wiec to było marzenie Thordanena! Jeszcze nie zupełnie Peyton pojął jego ogrom. Chociaż częściowo się tego spodziewał, niełatwo przyszło mu pogodzić się z tymi wnioskami. Ostatecznie między robotem a ludzkim umysłem jest ogromna przepaść.

– Nie większa niż między człowiekiem a zwierzętami, z których się rozwinął, jak powiedział kiedyś Thordanen. Ty, Człowiek, me jesteś niczym więcej niż bardzo skomplikowanym robotem. Ja jestem mniej skomplikowany, ale sprawniejszy. I tyle.

Peyton głęboko zastanawiał się nad tą wypowiedzią. Jeśli Człowiek naprawdę nie jest niczym więcej niż ftkomptkwaui robotem – maszyną zbudowaną z żywych komórek, a nie z kabli i lamp próżniowych – pewnego dnia powstaną jeszcze bardziej złożone roboty. Kiedy nadejdzie ten dzień, skończy się jego supremacja. Może maszyny będą mu jeszcze służyły, lecz staną się inteligentniejsze od swego pana.

W wielkiej sali, w której stelaże z analizatorami i taMŁn«mt przekaźnikowymi pokrywały całe ściany, panowała głęboka cisza. Ramiona i macki Inżyniera w dalszym ciągu były zajęte naprawą, lecz on sam uważnie obserwował Peytona, który zaczynał wpadać w rozpacz. Rzecz osobowa, przeciwności zwiększały jego determinację jak jeszcze nigdy

dotąd. Musi jakoś rozszyfrować budowę Inżyniera. W przeciwnym razie straci całe życie na próbach dorównania geniuszowi Thordarscna.

To bezcelowe. Robot znajdował się w odległości zaledwie jednego skoku.

– Nie możesz niczego planować przeciwko mnie. Jeśli spróbujesz uciec przez drzwi, rzucę ci pod nogę ten agregat napędowy, aż takiej odległości mogę chybić najwyżej o pół centymetra.

Nk się me ukryje przed analizatorami myśli. Ledwie w mózgu Pey-tona zarysował się plan, Inżynier już go znał.

Wszystko stało się tak nieoczekiwanie, że zaskoczyło zarówno Pey-tona, jak i Inżyniera. Nagle błysnęło płowe złoto i z szybkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę pół tony kości i mięśni zważyło się na robota.

Przez chwilę macki bły jak cepy. Później, z łoskotem, jakby nastąpi koniec świata, Inżynier rozciągnął się na podłodze. Na powalonej maszynie leżał Leo, uważnie liżąc swe łapy.

Nk bardzo się orientował, czym jest to błyszczące zwierzę, które zagrażało jego panu. W każdym razie miało najtwardszą skórę, z jaką kiedykolwiek się zetknął od czasu bardzo nieroztropnego spotkania z nosorożcem przed wielu laty.

– Brawo, lewku! – wykrzyknął uradowany Peyton. – Przytrzymaj go tak.

Inżynier złamał sobie kilka większych ramion, a macki byty za słabe, by komukolwiek mogły zrobić krzywdę. Znowu narzędzia Peytona okazały się nieocenione. Kiedy skończył, Inżynier oczywiście nk mógł się poruszyć, chociaż Peyton nk tknął żadnego z jego obwodów neutramych, gdyż za bardzo by to przypominało morderstwo.

– Teraz możesz zejść? Leo – powiedział po wykonaniu -^Aę™? Leo posłuchał rozkazu jak z łaski

– Przykro mi, że musiałem to zrobić – rzekł obłudnie Peyton – ak mam nadzieję, że rozumiesz mój punkt widzenia. Czy możesz jeszcze mówić?

– Tak – odparł Inżynier. – Co zamierzasz teraz zrobić?

Peyton uśmiechnął się; pięć minut temu on sam zadawał identyczne pytanie. Zastanawiał się, ile upłynęło czasu, zanim na scenie pojawi się bliźniak Inżyniera. Chociaż Leo zapewne poradziłby sobie z sytuacją, gdyby wymagała użycia siły fizycznej, jednak ten drugi robot może już wszystko wiedzieć i postara się, żeby sprawy przyjęły nieprzyjemny dla nich obrót. Może na przykład wyłączyć światło.

Zgasły świetlówki i zapadła ciemność. Leo płaczkliwie zawył z przerażenia. Poirytowany Peyton wyciągnął latarkę i zapalił ją.

– Naprawdę nk robi mi to żadnej różnicy – rzekł. – Równie dobrze mógłbyś znowu włączyć światło.

Inżynier nic nie powiedział, lecz świetlówki znowu zajaśniały.

Peyton zadawał sobie pytanie, jak można walczyć z wrogiem, który czyta w myślach, a nawet śledzi przygotowania do obrony? Musi zatem unikać myślenia o planach, które mogą działać na jego niekorzyść, na przykład... – powstrzymał się w samą porę. Przez chwilę blokował swe myśli, próbując WT pamięci scałkować funkcję omega Armstronga. Wówczas znowu odzyskał panowanie nad swym umysłem.

– Posłuchaj – rzekł w końcu. – Potargujmy się.

– Co to? Nie znam tego słowa.

– Nie szkodzi – pospiesznie odpowiedział Peyton. – Chcę ci coś zaproponować. Pozwól mi obudzić ludzi, którzy znajdują się tutaj w potrzasku i podaj mi schematy swoich podstawowych obwodów, a ja stąd odejdę, niczego nie dotykając. Ty pozostaniesz posłuszny rozkazom tych, którzy cię zbudowali, i nikt nie będzie pokrzywdzony.

Człowiek próbowałby dyskutować, ale nie robot. Ocena każdej sytuacji, bez względu na jej złożoność, zajmie mu może jedną tysięczną sekundy.

– Dobrze. Z twoich myśli widać, że masz zamiar dotrzymać umowy. Ale co oznacza słowo „szantaż?” Peyton poczerwieniał.

– Nieważne – rzekł pospiesznie. – To tylko takie powiedzenie. Przypuszczam, że za chwilę przyjdzie tu twój... mmm... kolega?

– Od pewnego czasu czeka za drzwiami – odpowiedział robot. – Zechciej przytrzymać swego psa.

Peyton roześmiał się. To zbyt wiele – oczekiwać od robota znajomości zoologii.

– No to lwa – poprawił się robot, czytając w jego myślach.

Peyton powiedział coś do Leo i żeby mieć całkowitą pewność, schwycił go za grzywę. Zanim wypowiedział słowa zaproszenia, drugi robot cicho wtoczył się do sali. Leo warknął i chciał się wyrwać, lecz Peyton go uspokoił.

Inżynier II był pod każdym względem kopią swego kolegi. Kiedy zbliżał się do Peytona, przenikał jego myśli nawet w ten sam deprymujący sposób, do którego ten nigdy nie mógł przywyknąć.

– Widzę, że pragniesz iść do śpiących – rzekł. – Za mną. Peytona męczyło to ciągle rozkazywanie. Dlaczego roboty nigdy nie używają słowa „proszę”?

– Proszę za mną – powtórzyła maszyna z ledwie wyczuwalnym naciskiem.

Peyton ruszył.

Ponownie znalazł się w korytarzu o setkach drzwi z wyrzeźbionym makiem – albo w podobnym korytarzu. Robot zaprowadził go pod drzwi niczym nie różniące się od pozostałych i zatrzymał się przed nimi.

Cicho odsunęła się metalowa płyta i Peyton, nie bez obaw, wszedł do przyciemnionego pokoju.

Na tapczanie leżał bardzo stary mężczyzna. Na pierwszy rzut oka zdawał się martwy. Jego oddech z pewnością był bliski zatrzymania. Peyton patrzył nań przez chwilę, a potem zwrócił się do robota.

– Obudź go.

Gdzieś w głębi miasta, w jednym z analizatorów myśli, zatrzymał się strumień impulsów. Świat, który nigdy nie istniał, legł w gruzach.

Z tapczanu patrzyło na Peytona dwoje płonących oczu z błyskami szaleństwa. Ich spojrzenie przechodziło przez Peytona gdzieś dalej, a z wąskich warg płynął potok bełkotliwych słów, które z trudem rozróżniał. Starzec nieprzerwanie wykrzykiwał jakieś słowa – zapewne imiona ludzi czy nazwy miejsc w świecie marzeń, skąd go przed chwilą wyrwano. Scena ta sprawiała okropne wrażenie, a zarazem budziła współczucie.

– Przestań! – krzyknął Peyton. – Wróciłeś do rzeczywistości. Pałające oczy zdawały się dostrzegać go po raz pierwszy. Starzec podniósł się z ogromnym wysiłkiem.

– Ktoś ty!? – wykrztusił, a potem, zanim Peyton zdążył odpowiedzieć, mówił dalej przerywanym głosem: – To na pewno jakiś koszmar... idź sobie... odejdz... Obudźcie mnie!

Pokonując odrazę, Peyton położył dłoń na wychudzonym ramieniu.

– Uspokój się, to nie sen. Nie pamiętasz? Starzec zdawał się go nie słyszeć.

– Tak, to musi być koszmar... musi! Ale dlaczego nie mogę się obudzić? Nyran, Cressidor, gdzie jesteście!? Nie mogę was znaleźć!

Peyton starał się jak mógł, ale w żaden sposób nie zdołał ponownie skierować na siebie uwagi starca. Z ciężkim sercem zwrócił się do robota.

– Odeślij go tam z powrotem.

## 7. Trzeci renesans

Szał z wolna mijał. Wątle ciało opadło na tapczan i znów pomarszczona twarz stała się pozbawioną wyrazu maską.

– Czy oni wszyscy są tak obłąkani? – spytał WT końcu Peyton.

– Ale on nie jest obłąkany.

– Jak to? Z całą pewnością oszalał!

– Od wielu lat znajduje się we śnie hipnotycznym. Przypuśćmy, że pojechałeś do jakiegoś dalekiego kraju i całkowicie zmieniłeś tryb życia, zapominając o wszystkim, co poprzednio znałeś. W końcu będziesz pamiętał z tego nie więcej niż z czasów wczesnego dzieciństwa. I gdybyś teraz jakimś cudem cofnął się w czasie, zachowywałbyś się dokładnie

4 –Spotkanie... tak samo. Pamiętaj, że on odbiera to życie w marzeniach zupełnie jak rzeczywistość, a trwa to od wielu lat.

To prawda, ale skąd się wzięła u Inżyniera taka wnikliwość? Zdumiony Peyton odwrócił się doń, lecz jak zwykle nie musiał zadawać żadnych pytań.

– Powiedział mi to parę dni temu Thordarsen, kiedy jeszcze budowaliśmy Comarre. Już wtedy niektórzy spali snem hipnotycznym od dwudziestu lat.

– Parę dni temu?



– Ty byś powiedział „około pięciuset lat temu”.

Słowa te wywołał dziwny obraz w myślach Peytona. Ujrzał samotnego geniusza, który tutaj pracował wśród swych robotów, pozbawiony ludzkiego towarzystwa. Wszyscy inni już dawno odeszli w poszukiwaniu swych marzeń.

Thordarsen mógł przecież pozostać, w dalszym ciągu związany ze światem pragnieniem tworzenia, aż do ukończenia swego dzieła. Oba roboty, które nazwał inżynierami – jego największe osiągnięcie i być może najcudowniejszy wytwór elektroniki, jaki znał świat – były jego ostatnimi arcydziełami.

Peytona opanowało uczucie żalu z powodu takiego marnotrawstwa. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnął ocalić od zagłady i przekazać światu dzieło tego zgorzkniałego geniusza, który zmarnował swe życie.

– Czy wszyscy śpiący po obudzeniu zachowują się podobnie?

– Wszyscy, oprócz tych, którzy zasnęli ostatni. Ci mogą jeszcze pamiętać swoje życie.

– Zaprowadź mnie do jednego z nich.

Pokój, do którego weszli, wyglądał identycznie jak pozostałe, lecz ciało leżące na tapczanie należało do mężczyzny co najwyżej czterdziestoletniego.

– Jak długo tu przebywa? – spytał Peyton.

– Przyszedł zaledwie kilka tygodni temu. Był pierwszym gościem od wielu lat, a potem ty się zjawiliś.

– Obudź go, proszę. .

Powoli otworzyły się oczy. Nie dostrzegł w nich obłądu, lecz jedynie zdumienie i smutek. Potem zaczęła wracać pamięć i mężczyzna uniósł się do pozycji siedzącej. Pierwsze jego słowa były całkiem do rzeczy.

– Dlaczego przywołałeś mnie z powrotem? Kim jesteś?

– Ja dopiero co uciekłem projektorom myśli – wyjaśnij Peyton. – Chcę uwolnić wszystkich, których można uratować. Mężczyzna zaśmiał się gorzko.

– Uratować! Od czego! Czterdzieści lat minęło, zanim zdołałem uciec przed światem, a ty teraz chcesz mnie tam wciągnąć z powrotem! Odejdź i zostaw mnie w spokoju.

Peyton łatwo się nie poddawał.

– Uważasz, że ten twój /myślony świat jest lepszy od rzeczywistości? W ogóle nie chcesz od niego uciec?

– Dla mnie rzeczywistością jest Comarre. Świat nigdy niczego mi nie dał, po cóż wrócić miałbym tam wracać? Tu znalazłem spokój, a to wszystko, czego mi potrzeba.

Peyton nagle odwrócił się na pięcie i wyszedł. Usłyszał za sobą, jak mężczyzna opadł z powrotem na tapczan z westchnieniem zadowolenia. Wiedział, że przegrał. Teraz wiedział również, dlaczego pragnął ożywić pozostałych.

Nie kierował się żadnym poczuciem obowiązku, lecz własnym, egoistycznym celem. Chciał przekonać samego siebie, że Comarre to zło. A teraz wiedział, że wcale tak nie było. Zawsze, nawet w Utopii, znajdują się tacy, którym świat, poza smutkiem- i rozczarowaniem, nie ma nic do zaoferowania.

/ upływem czasu będzie ich coraz mniej. W mrocznych czasach przed tysiącem lat większość ludzi stanowili różnego rodzaju nieszczęśliwcy. Bez względu na to, jak wspaniale rysuje się przyszłość świata, zawsze będą istniały jakieś tragedie – dlaczego wTięc potępiać Comarre, jeśli stworzyło im jedyną nadzieję na osiągnięcie spokoju?

Nie będzie już więcej próbował. Jego głęboka wiara i pewność siebie uległy poważnemu zachwianiu. A marzyciele z Comarre nie podziękują mu za jego trudy.

Znowu zwrócił się do Inżyniera. Pragnienie opuszczenia miasta od kilku minut stawało się coraz silniejsze, ale najważniejszą pracą miał jeszcze przed sobą. Jak zwykle, robot go ubiegł.

– Mam to, czego chcesz – rzekł. – Proszę za mną.

Peyton sądził, że robot zaprowadzi go z powrotem na kondygnację z gmatwaną urządzeń sterowniczych. Kiedy jednak doszli do celu, znaleźli się wyżej, niż kiedykolwiek zdążył dotrzeć – w małym, okrągłym pokoju, który, jak przypuszczał, leżał na samym szczycie miasta. Pokój nie miał okien, chyba że te dziwne wmontowane w ściany płyty mogły jakimś tajemniczym sposobem stać się przezroczyste.

Był to gabinet; Peyton rozglądał się po nim z szacunkiem, gdy uświadomił sobie, kto tu pracował przed wiekami. Pod ścianami stały półki pełne starych podręczników. Zdawać by się mogło, że Thordarsen wyszedł stąd .zaledwie przed kilkoma godzinami. Na opartej o ścianę tablicy znajdował się nawet niedokończony schemat jakiegoś obwodu.

– Wygląda na to, że mu nagle przerwano – rzekł Peyton jakby do siebie.

– To prawda – odpowiedział robot.

– Co masz na myśli? Czyż nie przyłączył się do pozostałych, kiedy skończył .was budować?

Aż trudno uwierzyć, że odpowiedź brzmiała całkowicie obojętnie, lecz robot mówił takim samym, beznamiętnym tonem jak zawsze.

– Kiedy Thordarsen skończył nas budować, w dalszym ciągu nie był zadowolony. On nie był taki jak inni. Często mówił nam, że w budowie Comarre znalazł szczęście. Stale powtarzał, że przyłączy się do pozostałych, lecz ciągle chciał jeszcze coś ulepszać. Trwało to do dnia, kiedy znaleźliśmy go na podłodze w tym pokoju. Wyłączył się. W twoich myślach widzę słowo „śmierć”, ale go nie rozumiem.

Peyton milczał. Koniec tego wielkiego naukowca nie wydał mu się żałosny. Rozgoryczenie, które kładło się cieniem na jego życiu, w końcu ustąpiło. Zaznał radości tworzenia. Był największym artystą, jaki znalazł się w Comarre, a jego dzieło nie pójdzie na marne.

Robot bezszelestnie potoczył się do stalowego biurka i jedna z jego macek zniknęła w szufladzie. Kiedy ukazała się z powrotem, trzymała gruby tom, oprawiony w dwie metalowe płytki. Maszyna bez słowa podała księgę Peytonowi, który otworzył ją drżącymi rękami. Zawierała tysiące kartek z cienkiego, bardzo mocnego tworzywa.

Śmiała, pewna ręka napisała na stronie tytułowej te oto słowa:

Roi f Thordarsen Uwagi o subelekironice

Rozpoczęto dnia 2, miesiąca 13, roku 2Poniżej jeszcze coś dopisano, lecz widocznie w wielkim pośpiechu, gdyż trudno było to odcyfrować. Peyton zabrał się do czytania i w pewnej chwili przyszło zrozumienie z nagłością świtu na równiku. Do czytającego te słowa

Ja, Rolf Thordarsen, nie spotkawszy się ze zrozumieniem w moich czasach, kieruję 10 posanie w przyszłość. Jeśli Comarre jeszcze istnieje, widziałeś dzieło moich rąk i uniknąłeś pułapek, które zastawiłem na mniej sprawne umysły. Jesteś zatem odpowiednią osobą, żeby przekazać tę wiedzę światu. Przekaz ją naukowcom i powiedz im, by mądrze z niej korzystali.

Pokonałem barierę między Człowiekiem a Maszyną. Teraz, jak równy z równym, muszą dzielić z nami przyszłość.

Peyton kilkakrotnie przeczytał posłanie z sercem wypełnionym sympatią dla swego od dawna martwego przodka. To był wspaniały plan. Chyba w żaden inny sposób Thordarsen nie mógłby bezpiecznie przekazać swego posłania przez wieki, wiedząc, że trafi jedynie do właściwych rąk. Peyton zastanawiał się, czy właśnie z tym zamiarem Thordarsen przyłączył się do Dekadentów, czy też powstał on później. Nigdy się tego nie dowie.

Znów spojrział na Inżyniera i pomyślał o przyszłym świecie, w którym wszystkie roboty posiadą świadomość. Potem wybiegł myślami jeszcze dalej, w mglistą przyszłość.

Pozbawiony godnych politowania słabości Człowieka i jego niedostatków, robot stanie się od niego wszechstronniejszy. Jego logiki nigdy nie zakłócą namiętności, a jego postępowania – własny interes czy ambicja. Będzie uzupełnieniem człowieka.

Peyton przypomniał sobie słowa Thordarsena: „Teraz, jak równy z równym, muszą dzielić z nami przyszłość”.

Przestał marzyć. Zanim w ogóle wszystko to się ziści, mogą jeszcze upłynąć wieki.

– Mogę już odejść – zwrócił się do Inżyniera – ale pewnego dnia wrócę.

Robot powoli odsunął się od niego.

– Nie ruszaj się – rozkazał.

Zaskoczony Peyton popatrzył na Inżyniera, a potem rzucił szybkie spojrzenie na sufit. Dostrzegł tam takie samo wybrzuszenie, pod jakim się znalazł, kiedy wszedł do miasta tak już dawno temu.

– Ej! – krzyknął. – Nie chcę...

Za późno. Z tyłu miał ciemny ekran, czarniejszy od samej nocy. Przed sobą zobaczył łąkę, a na jej skraju las. Był wieczór, słońce prawie dotykało drzew.

Nagle usłyszał za sobą skomlenie: bardzo wystraszony lew z niedowierzaniem spoglądał na las. Widocznie nie spodobał mu się taki sposób podróżowania.

– Już po wszystkim, przyjacielu – pocieszał go Peyton. – Nie można mieć do nich pretensji, że jak najszybciej chcieli się nas pozbyć. Tak między nami, trochę jednak narozrabialiśmy. Chodź, nie chcę nocować w7 lesie.

Po drugiej stronie planety, z największą cierpliwością, na jaką mogli się zdobyć, rozchodzili się uczeni, jeszcze nie znający rozmiarów swego triumfu. W Wieży Centralnej Richard Peyton II właśnie odkrył, że jego syn nie spędził dwóch ostatnich dni z kuzynami w Ameryce Południowej, przygotowywał więc mowę powitalną na jego powrót.

Daleko nad Ziemią Rada Świata kreśliła plany, które wkrótce miało zniweczyć nadejście Trzeciego Renesansu. Lecz osoba, która była przyczyną tych wszystkich kłopotów, nic o tym nie wiedziała, a na razie jeszcze mniej dbała o to.

Peyton powoli schodził po marmurowych stopniach, prowadzących do tajemniczej bramy, której sekretu jeszcze nie poznał. Leo szedł nieco z tyłu, od czasu do czasu oglądając się i pomrukując.

Razem ruszyli z powrotem metalową drogą, wysadzaną karłowatymi drzewami. Peyton cieszył się, że słońce jeszcze nie zaszło. Nocą wewnętrzna radioaktywność drogi powoduje jej świecenie, a sylwetki pokręconych drzew nie wyglądają zbyt przyjemnie na tle gwiazd.

Na zakręcie drogi na chwilę przystanął i jeszcze raz spojrzął na wypukłą metalową ścianę z pojedynczym czarnym otworem, którego wygląd był tak zwodniczy. Całe uczucie triumfu zdawało się znikać. Wiedział, że póki żyje, nigdy nie zapomni tego, co kryją te strzeliste mury – obietnicy spokoju i całkowitego zadowolenia.

W głębi duszy żywił obawę, że każda satysfakcja, każde osiągnięcie w Kosmosie może wydać się niczym wobec łatwego do zdobycia szczęścia, jakie oferowało Comarre. Przez chwilę miał koszmarną wizję: zobaczył siebie samego, jak złamany i stary wraca tą drogą, by znaleźć zapomnienie. Wzruszył ramionami i odsunął od siebie tę myśl.

Kiedy znalazł się już na równinie, humor szybko mu powrócił. Znow otworzył cenną księgę i szybko odwracał jej pokryte mikrodrukiem kartki, podniecony zawartą w niej obietnicą. Przed wiekami tą samą drogą podążały powolne karawany ze złotem i kością słoniową dla Salomona Mądrego. Lecz wszystkie te skarby są niczym wobec tej księgi, a przy całej swej mądrości Salomon nie mógłby nawet wyobrazić sobie nowej cywilizacji, której zacynem ma być ta księga.

Peyton zaczął śpiewać, a robił to niezwykle rzadko i nad wyraz źle. Była to bardzo stara pieśń, tak stara, że śpiewano ją jeszcze przed nadejściem ery atomowej, przed początkiem podróży międzyplanetarnych, nawet zanim człowiek po raz pierwszy wszedł do samolotu. Dotyczyła pewnego cyrulika z Sewilli, a licho wie, gdzie leżała ta miejscowość.

Leo w milczeniu znosił ten koncert, a potem nie wytrzymał i zaczął wtórować Peytonowi. Duet ów nie prezentował się nadzwyczajnie.

Kiedy zapadła noc, las ze wszystkimi swymi sekretami pozostał daleko za horyzontem. Z twarzą zwróconą ku gwiazdom i czujnym Leo u boku, Peytonowi spało się dobrze.

Tym razem snem bez marzeń.



#### 4. Przemijanie

Las, który dochodził prawie do skraju plaży, ginął w oddali, wspinając się na zbocza niskich, okrytych mgiełką wzgórz. Piasek pod nogami był ostry, wymieszany z miriadami połamanych muszli. Cofający się odpływ pozostawił gdzieś pasma zielska rozciągnięte w poprzek plaży. Rzadko ustający deszcz przesunął się w głąb łądu, ale duże krople co i raz wściekle uderzały w piasek, tworząc maleńkie kraterki.

Było gorąco i duszno, gdyż wojna między słońcem i deszczem trwała bez końca. Mgła czasem unosiła się na chwilę i wtedy wzgórza wyraźnie rysowały się nad łądem, którego strzegły. Tworzyły łuk obejmujący zatokę równoległą do plaży, a za nimi, w ogromnej odległości, od czasu do czasu można było zobaczyć ścianę gór przykrytych wiecznymi chmurami. Drzewa rosły wszędzie, zmiękczając kontury łądu, tak że wzgórza łagodnie przechodziły jedno w drugie. Tylko w jednym miejscu widać było nagą, odkrytą skałę, gdzie dawno temu jakiś uskok osłabił fundamenty wzgórz i ich zarys na niebie raptownie się urywał, opadając ku morzu jak złamane skrzydło.

Poruszając się z ostrożną czujnością dzikiego zwierzęcia, spośród karłowatych drzew na skraju lasu wyszło dziecko. Na chwilę zawahało się, a potem z wolna weszło na plażę, gdyż uznało, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

Dziecko było nagie, krępe i miało grube, czarne włosy, zmierzwione na ramionach. Jego twarz, choć zwierzęca, mogła ujść za ludzką w społeczności człowieka, ale zdradziłyby ją oczy. Nie były to oczy zwierzęcia, gdyż miały w głębi coś, czego żadne zwierzę nigdy nie znało; była to wszakże dopiero zapowiedź. U tego dziecka, jak w jego całej rasie, światło rozumu jeszcze nie zabłysło. Od zwierząt, wśród których przebywało, wciąż różniło się tylko o włos.

Jego szczerp przybył tutaj niedawno i ono pierwsze postawiło stopę na tej samotnej plaży. Nawet gdyby umiało mówić, nie potrafiłoby powiedzieć, co wywabiło je spośród znanych mu niebezpieczeństw lasu, narażając na nieznaną, a więc tym straszniejszą zagrożeń ze strony tego nowego żywiołu. Z wolna wyszło na brzeg wody, nieustannie oglądając się za siebie wr kierunku lasu; wówczas to, po raz pierwszy w całej historii, na gładkiej powierzchni piasku pozostały ślady stóp, które kiedyś będą jej tak dobrze znane.

Dziecko zetknęło się już przedtem z wodą, ale zawsze jej powierzchnię ograniczał otaczający ją ze wszystkich stron łąd. Teraz rozpościerała się przed nim bez końca, a odgłos jej falowania bił nieustannie w jego uszy.

Z niewyczerpaną cierpliwością dzikusa stało na wilgotnym piasku, z którego dopiero co spłynęła woda, a potem, z wolna, krok za krokiem, ruszyło w ślad za oddalającym się odpływem. Kiedy fale w nagłym przypiływie energii dosięgały jego stóp, dziecko cofało się kawałek w stronę łądu. Lecz coś zatrzymywało je tutaj, na skraju wody, aż jego cień na piasku się wydłużył i zaczął się zrywać zimny, wieczorny wiatr.

Być może do jego mózgu dotarło coś z cudowności morza, jakiś cień tego, czym kiedyś będzie dla człowieka. Chociaż pierwsi bogowie jego ludu wciąż jeszcze należeli do przyszłości, poruszyło je wewnątrz niejasne uczucie uwielbienia. Wiedziało, że stoi przed obliczem czegoś większego od sił i mocy, z jakimi kiedykolwiek się spotkało.

Zaczynał się przypiływ. Daleko w lesie zawył wilk i nagle ucichł. Wokół dziecka coraz głośniejsz rozbrzmiewały odgłosy nocy; czas już o-dejść.

W świetle nisko zawieszzonego na niebie księżycy przeplatały się dwa ślady stóp. Szybko zmywał je postępujący przypiływ. Ale powrócą tysiącami i milionami w ciągu stuleci, które miały jeszcze nadejść.

Bawiące się wśród rozlewisk między skałami dziecko nic nie wiedziało o lesie, który niegdyś panował tutaj na całym łądzie. Nie pozostawił żadnego śladu swego istnienia. Równie ulotny jak

mgły, które tak często spływały z wzgórz, on również pokrył je niegdyś na krótko, a teraz go nie było. Jego miejsce zajęła szachownica pól, dziedzictwo tysiąca lat cierpliwego mozołu. W ten sposób trwało złudzenie stałości, chociaż wszystko się zmieniło, oprócz sylwetki wzgórz na niebie. Piasek na plaży był teraz drobniejszy, a ląd się podniósł, tak więc dawna linia przyływu leżała teraz daleko poza zasięgiem goniących za nią fal.

Za falochronem i promenadą, w złotym świetle tego letniego dnia spało niewielkie miasteczko. Tu i ówdzie na plaży leżeli ociężały od upału ludzie, usypiani szumem fal.

W stronę otwartego morza powoli płynął przez zatokę wielki statek, świecąc bielą i złotem na tle wody. Chłopiec słyszał słaby i odległy rytm jego śrub i wciąż jeszcze widział maleńkie figurki poruszające się po pokładzie i nadbudówce. Dla tego dziecka – i nie tylko dla niego – statek był piękny i godny podziwu. Chłopiec znał jego nazwę i kraj, do którego płynął, ale nie wiedział, że ten wspaniały olbrzym jest zarówno największym, jak i ostatnim statkiem tego typu. Ledwo dostrzegł prawie niezauważalne w blasku słońca, rzadkie smugi pary, zapowiadające koniec tego dumnego i pięknego giganta.

Wkrótce z wielkiego statku pasażerskiego pozostała tylko ciemna plamka na horyzoncie i chłopiec powrócił do przerwanej zabawy, by niezmordowanie budować swoje zamki z piasku. Słońce na zachodzie zaczęło się już zniżać, ale do wieczora było jeszcze daleko.

Jednak w końcu nadszedł, gdy fala przyływu powracała na ląd. Na wezwanie matki dziecko pozbierało zabawki i zadowolone, choć zmęczone, ruszyło za rodzicami z powrotem na brzeg. Chłopiec tylko raz spojrzął na zamki z piasku, które zbudował z takim trudem i których nigdy więcej nie zobaczy. Nie żałował, że zostawił je coraz bliższym falom, gdyż jutro powróci tu, a przyszłość rysowała mu się bez końca.

Był jeszcze za mały, aby wiedzieć, że pewnego dnia on sam, czy też świat, może nie mieć jutra.

A teraz nawet wzgórza się zmieniły pod ciężarem lat. Zmiana ta nie była tylko dziełem natury, gdyż pewnej nocy, w dawno zapomnianej przeszłości, coś nadleciało od strony gwiazd i niewielkie miasteczko zniknęło w wirującym ślupie ognia. Ale zdarzyło się to tak dawno temu, że nikt już nie odczuwał żalu czy smutku z tego powodu. Jak upadek legendarnej Troi czy zniszczenie Pompei, było to częścią przeszłości nie do naprawienia i teraz nie budziło już współczucia.

Na zmienionej linii horyzontu stał długi, metalowy budynek, który podtrzymywał labirynt obracających się i połyskujących w słońcu luster. Nikt z dawnych wieków nie odgadłby jego przeznaczenia, podobnie jak starożytni nie wiedzieliby, co to obserwatorium czy radiostacja. Ale nie był ani jednym, ani drugim.

Od południa Bran bawił się wśród płytkich kałuż, pozostawionych przez odpływ. Był zupełnie sam, choć pilnująca go maszyna dyskretnie patrzyła nań z brzegu. Zaledwie przed kilkoma dniami również inne dzieci bawiły się nad błękitnymi wodami tej pięknej zatoki. Bran zastanawiał się czasem, dlaczego już ich nie ma, lecz jako jedynak nie przejmował się tym zbyt. Pograżony w swych marzeniach, był zadowolony, że jest sam.

W ciągu paru godzin połączył niewielkie kałuże skomplikowaną siecią kanałów. Myślą odbiegł daleko od Ziemi, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Teraz otaczały go czerwone piaski innej planety. Był Carden-nisem, księciem inżynierów, walczącym o uratowanie swego ludu przed atakującymi jego tereny pustyniami. Oglądał bowiem spustoszoną powierzchnię Marsa; znał historię jego długotrwałej tragedii i spóźnionej pomocy z Ziemi.

Aż po horyzont morze było puste, od wieków nie zmaćcone przez statki. Zaraz na początku czasu człowiek przez krótką chwilę toczył wojnę z oceanami świata. Teraz wydawało się, że między powstaniem pierwszych łodzi a zniknięciem gigantów morskich minął tylko moment.

Bran nawet nie spojrzął w niebo, kiedy potworny cień przemknął po plaży. Ostatnio te srebrne giganty wzbijały się nad wzgórzami nie kończącym się potokiem i teraz prawie nie zwracał już na nie uwagi. Przez całe życie oglądał wielkie statki, wzbijające się w ziemskie niebo w drodze ku odległym planetom. Często widział, jak powracają z tych długich podróży, opadając przez chmury z niewyobrażalnymi ładunkami.

Czasem zastanawiał się, dlaczego podróżnicy już nie wracają. Wszystkie statki, które teraz widywał, odlatywały, ale żaden nie wylądował w wielkim porcie za wzgórzami. Nikt nie chciał mu powiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Nauczył się o tym nie wspominać, zauważywszy smutek, jaki wywoływały jego pytania.

Z brzegu cicho przyzywał go robot.

– Bran – dolatywały go słowa, odbijające się echem głosu jego matki. – Bran, czas wracać.

Dziecko podniosło wzrok z wyrazem pełnej oburzenia odmowy. Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, a fala przyływu była daleko. Lecz brzegiem nadchodzili już jego rodzice.

Maszerowali szybkim krokiem, jakby mieli mało czasu. Co chwila ojciec spoglądał w niebo, a potem szybko odwracał głowę, jak gdyby dobrze wiedział, że nie ma nadziei na ujście czegokolwiek. Ale za chwilę znów patrzył.

Uparty i zagniewany Bran stał nad zatoką wśród swych kanałów i jezior. Jego matka dziwnie milczała, ale teraz ojciec wziął go za rękę i powiedział cicho:

– Musisz iść z nami, Bran. Już czas. Dziecko ze złością wskazało na plażę.

– Ale jest jeszcze wcześnie. Przecież nie skończyłem. W odpowiedzi ojca nie było gniewu, tylko wielki smutek.

– Jest wiele rzeczy, Bran, które teraz pozostaną niedokończone. Ciągłe nie rozumiejąc, chłopiec zwrócił się do matki.

– A czy będę mógł tu przyjść jutro?

Z ogromnym zdziwieniem Bran zauważył, że oczy matki nagle wypełniły się łzami. Teraz już wiedział, że nigdy już nie będzie się bawił w piasku nad lazurowymi wodami, nigdy już nie poczuje dotknięcia drobnych fal na swych stopach. Za późno znalazł morze, a teraz musi je opuścić na zawsze. Z przyszłości, mroząc mu duszę, nadeszła pierwsza, niewyraźna zapowiedź zbliżających się długich wieków wygnania.

Ani razu się nie obejrzał, kiedy w milczeniu odchodzili razem po skrzypiącym piasku. Chwilę tę zapamięta na całe życie, ale wciąż jeszcze był za bardzo oszołomiony, aby cokolwiek zrobić, i tylko ślepo maszerował w przyszłość, której nie mógł pojąć.

Trzy postacie powoli ginęły w oddali, aż znikły. W dłuższy czas potem nad wzgórzami uniosła się jakby srebrna chmura i z wolna su-

nęła nad morzem. Łagodnym łukiem, jak gdyby niechętnie opuszczając tę planetę, ostatni z wielkich statków wzbijał się nad horyzontem, aż zupełnie zniknął w nicości nad krańcem Ziemi.

Z kończącym się dniem powracał przyływ. Niski, metalowy budynek na wzgórzach rozjaśniły światła, jakby jego budowniczy w dalszym ciągu tam przebywali. Blisko zenitu jedna z gwiazd nie czekała, aż słońce zajdzie, i płonęła już ostrym, białym światłem na tle ciemniejszego nieba. Wkrótce jej towarzyszyki zaczęły wypełniać nieboskłon, już nie tak nieliczne, jak kiedyś. Ziemia znajdowała się obecnie blisko środka wszechświata i całe niebo było jednym, nieprzerwanym blaskiem światła.

Lecz za morzem, dwoma długimi, wygiętymi ramionami unosiło się coś czarnego i potwornego, przysłaniało gwiazdy i zdawało się rzucać cień na całą planetę. Macki Ciemnej Mgławicy penetrowały już granice Układu Słonecznego...

Na wschodzie wielki żółty księżyc wspinał się na fale. Choć człowiek zniwelował jego góry i sprowadził tam powietrze i wodę, jego tarcza wyglądała tak samo jak wówczas, gdy zaczęła się historia Ziemi. W dalszym ciągu rządził przyływami. Po piasku nieustannie posuwała się naprzód linia piany, zalewając małe kanały i rozmywając odcisnięte w piasku ślady stóp.

W stojącym na wzgórzach, dziwnym budynku z metalu raptownie zgasło światło, a jego obracające się lustra przestały odbijać światło księżyca. Z głębi łądu oslepiająco błysnęła potężna eksplozja, a potem jeszcze dwie, coraz słabsze.

Teraz ziemia lekko zadrżała, ale już żaden dźwięk nie zakłócał samotności opuszczonej plaży.

W świetle Księżyca, pod miriadami gwiazd leżała plaża, czekając na koniec. Była teraz samotna jak na początku. Jedyne fale będą omywały jej złoty piasek, ale tylko przez krótką chwilę. Bowiem Człowiek przybył i odszedł.



## 5. Droga przez ciemność

Według swej oceny Robert Armstrong przeszedł już ponad trzy kilometry, kiedy zgasła mu latarka. Przez chwilę stał bez ruchu, nie wierząc, że naprawdę mógł mu się przytrafić taki pech. Potem, wściekły prawie do szaleństwa, cisnął daleko bezużyteczny przedmiot ^Latarka wylądowała gdzieś w ciemności, zakłócając ciszę tej niewielkiej/ planety. Metaliczne echo jej upadku odbiło się od niskich wzgórz, a potem znów wszystko ucichło.

Armstrong pomyślał, że to już chyba ostatnie z nieszczęść. Nic więcej nie mogło mu się teraz przydarzyć. Miał ochotę wybuchnąć gorzkim śmiechem nad swym losem i postanowił już nigdy nie uważać się za dziecko szczęścia. Któż by uwierzył, że zepsuje się jedyny traktor w Obozie IV, gdy on akurat wyruszał do Port Sanderson? Przypomnił sobie gorączkową naprawę, ulgę, kiedy maszyna ruszyła i ostateczną porażkę, gdy zablokowała się gaśienica.

Nie było sensu żałować, że spóźnił się z wyjazdem; nie mógł przecież przewidzieć tych wypadków, a poza tym do startu Kanopusa pozostawały jeszcze dobre cztery godziny. Musi go złapać, bez względu na to, co się stało, ponieważ żaden statek nie wylądowuje tutaj przez najbliższy miesiąc.

Poza tym, że miał pilną sprawę, spędzenie jeszcze czterech tygodni na tej leżącej na uboczu planecie było nie do pomyślenia.

Mógł zrobić tylko jedno. Na szczęście Port Sanderson leżał w odległości niespełna dziesięciu kilometrów od obozu – niezbyt daleko, jeśli nawet idzie się pieszo. Musiał pozostawić cały swój sprzęt, który może przylecieć następnym statkiem, a na razie poradzi sobie bez niego. Droga, po prostu wyciśnięta w skale przez jeden ze stutonowrych walców, Zarządu, była zła, lecz nie obawiał się, że ją zgubi.

Nawet teraz nie groziło mu żadne rzeczywiste niebezpieczeństwo poza spóźnieniem się na statek. Będzie posuwał się wolno, gdyż nie chciał ryzykować, by nie zgubić drogi w tym rejonie pełnym jarów i tajemniczych tuneli, których jeszcze nie zbadano. Oczywiście było ciemno, choć oko wykol. Tu, na krańcach Galaktyki, błyszczało niewiele gwiazd, a przy tym były tak rozproszone, że dawały mało światła. Obce, purpurowe słońce tej samotnej planety nie wszędzie przed upływem wielu godzin, a choć na niebie wisiało pięć małych księżyców, nie było ich widać gołym okiem. Żaden z nich nie rzucał nawet cienia.

Armstrong nie należał do ludzi, którzy długo lamentują nad swym losem. Zaczął z wolna posuwać się drogą, wymacując ją nogami. Wiedział, że biegnie ona dość prosto, wijąc się jedynie przez Przełęcz Car-vera. Żałował, że do jej sondowania nie ma laski albo czegoś podobnego, dla orientacji więc musiał polegać na wyczuwaniu gruntu stopami.

Początkowo szło mu to strasznie wolno, póki nie nabrał wprawy. Dotychczas nie miał pojęcia, jak trudno maszerować po linii prostej. Choć blade gwiazdy służyły mu za punkty orientacyjne, co i raz potykał się o dziewicze skały na poboczu nierównej drogi. Poruszał się długimi zygzakami, od jednego pobocza do drugiego, gdzie wpadał na sterczące skały i po omacku wracał na ubitą powierzchnię.

Wkrótce robił to z biegiem. Nie potrafił ocenić szybkości marszu – mógł tylko z trudem posuwać się naprzód i mieć nadzieję, że się uda. Pozostało mu jeszcze sześć kilometrów czyli cztery godziny drogi. Pójdzie mu dość łatwo, jeśli nie zgubi kierunku, ale bał się nawet myśleć o tym.

Opanowawszy technikę marszu w takich warunkach, mógł pozwolić sobie na luksus myślenia. Nie udawał, że mu się to wszystko podoba, choć przedtem bywał w znacznie gorszych sytuacjach. Dopóki trzyma się drogi, jest całkowicie bezpieczny. Miał nadzieję ją widzieć, kiedy wzrok przyzwyczai się do światła gwiazd, ale teraz wiedział, że całą podróż odbędzie na ślepo. Świadomość ta sprawiła, że oświdnęło nim silne poczucie oddalenia od środka Galaktyki. W taką noc jak ta niebo oglądane z prawie wszystkich pozostałych planet płonęłoby od gwiazd. Z tego wysuniętego skrawka Wszechświata na niebie widziało się może ze sto blado połyskujących

puncyków światła, w równym stopniu nieprzydatnych, co te pięć księżyców tak śmiechu warty, że nawet nikt jeszcze nie zadał sobie trudu, by na nich wylądować.

Niewielka zmiana w przebiegu drogi przerwała mu tok myśli. Czy to zakręt, czy też ponownie zboczył w prawo? Bardzo wolno poruszał się wzdłuż niewidocznej i prawie niewyczuwalnej granicy. Tak, nie pomylił się – droga skręcała w lewo. Próbował przypomnieć sobie jej wygląd za dnia, ale dotychczas widział ją zaledwie raz. Czy to znaczy, że zbliża się do przełęczy? Miał nadzieję, że tak, gdyż wówczas byłby już w połowie drogi.

Popatrzył przed siebie w ciemność, ale postrzępiona linia horyzontu nic mu nie mówiła. Wkrótce stwierdził, że droga znów biegnie prosto i ogarnęło go przygnębienie. Przełęcz musi być jeszcze daleko – miał do przejścia co najmniej sześć kilometrów.

Sześć kilometrów – jak śmieszna zdawała się ta odległość! Ile czasu zajęłoby Kanopusowi pokonanie sześciu kilometrów? Wątpił, by człowiek mógł zmierzyć tak krótki odstęp czasu. A ile bilionów kilometrów przebył w swym życiu on sam, Robert Armstrong? Musiała to już być liczba oszałamiająca, gdyż w ciągu ostatnich dwudziestu lat rzadko przebywał na każdej z planet dłużej niż miesiąc. W tym roku dwukrotnie przemierzył Galaktykę, co jest godne uwagi nawet w obecnych czasach napędu widmowego.

Potknął się o kamień i wstrząs ten przywołał go do rzeczywistości. Tutaj nie ma sensu myśleć o statkach, które połykają lata świetlne. Tu stawiał czoło naturze, za jedyną broń mając własną siłę i umiejętność.

Dziwne, że tyle czasu zajęło mu ustalenie prawdziwej przyczyny swego niepokoju. Ostatnie cztery tygodnie wypełniała mu praca, a gorączkowe przygotowania do odjazdu, w połączeniu z kłopotami i obawami związanymi z awariami traktora, nie pozwalały mu myśleć o innych rzeczach. Ponadto zawsze szczylił się swą praktycznością i brakiem wyobraźni. Dopiero teraz przypomniał sobie swój pierwszy wieczór w bazie, kiedy załoga uraczyła go zwykłymi w takich przypadkach niestworzonymi historiami, wymyślanymi specjalnie dla nowo przybyłych.

To właśnie wówczas stary urzędnik bazy opowiedział o swym nocnym marszu z Port Sanderson do obozu i o czymś, co wówczas śledziło go na Przełęczy Carvera, pozostając przez cały czas poza zasięgiem światła jego latarki. Armstrong, który słuchał już takich historii na kilkunastu innych planetach, nie zwrócił wówczas na nią uwagi. Poza wszystkim wiadomo, że ta planeta jest nie zamieszkała. Lecz sama logika nie mogła tak łatwo rozproszyć niepokoju. Może jednak fantastyczna opowieść starca zawierała cześć prawdy...?

Myśl ta nie sprawiała mu przyjemności i Armstrong nie zamierzał dłużej się nią zajmować. Ale wiedział, że choć odsunie ją od siebie, ona i tak będzie go dręczyć. Jedynym sposobem rozproszenia urojonych obaw było odważne stawianie im czoła i musi to teraz uczynić.

Jego najmocniejszym argumentem była zupełna jałowość planety i panująca na niej całkowita pustka, chociaż przeciwko temu można wytoczyć wiele kontrargumentów, co właśnie zrobił stary urzędnik. Człowiek mieszkał tutaj od zaledwie dwudziestu lat i wiele jeszcze pozostało do zbadania. Nikt nie przeczył, że te tunele na pustkowiu były dość zagadkowe, ale wszyscy uważali je za wyloty wulkanów. Tym niemniej, życie oczywiście mogło pojawić się i w takich miejscach. Ciarki go przeszły na wspomnienie gigantycznych polipów, które zaskoczyły pierwszych badaczy Yargona III.

Wszystko to bardzo nieprzekonywające. Ale przypuśćmy, że istnieje tu życie. Co z tego wynika?

Większość form życia we Wszechświecie nie zwraca uwagi na człowieka. Niektóre z nich, takie gazowce z Alcorana, czy pływające kratowce z Shandaloona, nawet go nie dostrzegają, przenikając przezeń lub opływając go, jakby w ogóle nie istniał. Tylko naprawdę nieliczne mogą zaatakować niczym nie sprowokowane.

Niemniej jednak obraz namalowany przez starego urzędnika był ponury. Tam, w ciepłej, jasno oświetlonej palarni łatwo było się z tego śmiać. Ale tutaj, w ciemności, o kilometry od jakiegokolwiek ludzkiej siedziby wszystko przedstawiało się zgoła inaczej.

Poczuł bez mała ulgę, kiedy potykając się zgubił drogę i dopiero rękami ponownie ją wymacał. Ten odcinek zdawał się bardzo nierówny i ledwo mógł odróżnić drogę od pobliskich skał. Jednak po kilku minutach znów bezpiecznie szedł we właściwym kierunku.

Z niezadowoleniem stwierdził, że jego myśli szybko powróciły do tego samego niepokojącego tematu. Najw/rażniej sprawa ta trapiła go bardziej, niż sam chciałby się do tego przyznać.

Pocieszał go fakt, że nikt w bazie oczywiście nie wierzył w historię opowiedzianą przez starca. Dowodziły tego ich pytania i kpiny. Śmiał się wówczas tak samo głośno jak wrszyscy. Poza wszystkim czy istniał jakiś dowód? Po prostu tylko niewyraźny cień w ciemności, który równie dobrze mógł być jakąś osobiście ukształtowaną skałą. A ten dziwny klekot, który wywarł tak ogromne wrażenie na starcu – z przemęczenia każdemu mogło się zdawać, że słyszy takie dźwięki w nocy. Skoro ta istota miała wrogie zamiary, to dlaczego się nie zbliżyła?

– Bała się światła – powiedział starzec.

Cóż, to prawdopodobne i wyjaśniałoby, dlaczego nikt tego nie widział za dnia. Taka istota mogła żyć pod ziemią, wychodząc na powierzchnię jedynie nocą – dlaczego, do cholery, bierze poważnie te brednie starca! Armstrong znów zapanował nad swymi myślami. W duchu powiedział do siebie, że gdyby tego nie zrobił, w końcu zacząłby widzieć i słyszeć całą menażerię potworów.

Był oczywiście pewien czynnik, który natychmiast rozproszył wszelkie wątpliwości związane z tą historią – naprawdę bardzo prosty, aż Armstrong żałował, że wcześniej na to nie wpadł. Czym żywiłaby się ta istota? Na całej planecie nie było przecież nawet śladu roślinności. Roześmiał się na myśl, że tak łatwo pozbył się strasydła, i w tej samej chwili poczuł złość do siebie, że nie zaśmiał się w głos. Jeśli był taki pewny swego rozumowania, to dlaczego nie gwizdał, nie podśpiewywał albo nie robił czegokolwiek innego, żeby dodać sobie otuchy? Jasno postawił tę sprawę przed sobą, żeby poddać próbie swroje męstwo. Ze wstydem musiał przyznać, że w dalszym ciągu odczuwał obawy; mimo wszystko, coś w tym mogło być. W końcu jednak trzeźwa analiza bez mała zrobiła swoje.

Byłoby lepiej, gdyby na tym poprzestał, już prawie przekonany własną argumentacją. Ale jakaś część jego umysłu wciąż próbowała podważyć to staranne rozumowanie. Udało jej się to aż za dobrze i kiedy przypomniał sobie te rośliny z Xantil Maior, z wrażenia stanął jak wryty.

Tamte rośliny z Xantil w ogóle nie były straszne, a przeciwnie – nadzwyczaj piękne. Teraz jednak zaniepokoiło go w nich to, że mogły

żyć nieskończenie długo bez żadnego pożywienia. Całą potrzebną im do życia energię czerpały z promieniowania kosmicznego, a tutaj było ono równie intensywne jak wszędzie w całym Wszechświecie.

Zaledwie przyszedł mu do głowy ten przykład, a już inne tłoczyły mu się w myślach i właśnie przypominał sobie pewną formę życia z Tran-tora Beta, która była jedynym ze znanych mu gatunków, wykorzystującym bezpośrednio energię atomową. Ona również wegetowała na całkowicie jałowej planecie, bardzo przypominającej właśnie tę...

Umysł Armstronga szybko rozdzielił się na dwie różne części, z których każda bez większego powodzenia próbowała przekonać drugą. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo nadwątlilo to jego ducha, póki nie złapał się na tym, że powstrzymuje oddech, by nie zagłuszył żadnych dźwięków, które mogłyby dochodzić z otaczającej go ciemności. Ze złością uwolnił myśli od tych bzdur i skierował je na pilniejszą sprawę.

Teren niewątpliwie powoli się wznosił i miał wrażenie, że horyzont rysuje się na niebie znacznie wyżej. Droga zaczynała się wic i nagle uświadomił sobie obecność wielkich skał po obu jej stronach. Wkrótce widział jedynie wąski pasek nieba i ciemność pogłębiła się, jeśli w ogóle było to możliwe.

Poczuł się trochę bezpieczniej między dwiema skalnymi ścianami – oznaczało to, że tylko z dwóch stron nie miał osłony. Ponadto drogę wyrównano tu dokładniej i łatwo było się jej trzymać. A co najważniejsze, wiedział, że ma za sobą ponad połowę podróży.

Chwilowo poprawił mu się nastrój. Lecz zaraz myśli znów potoczyły się dawnym torem z irytującą przekornością. Przypomniał sobie, że przygoda starego urzędnika miała miejsce po drugiej stronie Przełęczy Carvera – jeśli w ogóle wydarzyła się kiedykolwiek.

Po przejściu ośmiuset metrów znów znajdzie się na otwartej przestrzeni i skały już go nie będą chroniły. Teraz myśl ta zdawała się w dwójnasób straszna i miał wrażenie, że jest nagi. Mógł być zaatakowany z każdej strony, a był całkowicie bezbronny...

Pozostało mu jeszcze trochę opanowania. Bardzo rozsądnie trzymał swe myśli z dala od faktu, który ubarwił nieco opowieść starca – jedyne dowodu, jaki przerwał kpiny w zatłoczonej sali w obozie i nagle uciszył rozbawione towarzystwo. Teraz, gdy osłabła woła Armstronga, znów przypomniał sobie słowa, które wszystkich zmroziły w jednej chwili, nawet w ciepłe budynku bazy.

Nieduży urzędnik bardzo się upierał przy jednym – nie słyszał żadnych dźwięków pogoni od strony niewyraźnego kształtu, który raczej wyczuwał, niż widział na granicy światła. Nie dochodziło go żadne szuranie pazurów czy kopyt po skale, ani łoskot przesuwanych kamieni. Starzec oświadczył z całą powagą, że miał wrażenie, jakby to coś, które za nim szło, potrafił doskonale widzieć w ciemnościach i miało wiele

nózek czy łapek, co pozwalało mu szybko i z łatwością poruszać się po skałach jak gigantyczna gąsienica, czy też jedno z tych dywanowych stworzeń z Kralkora II.

Choć jednak nie dochodziły żadne odgłosy pogoni, starzec kilkakrotnie usłyszał pewien dźwięk. Był on tak niezwykły, że samo to niepokoiło w dwójnasób. Ten dźwięk to słabe, lecz przerażające, uporczywe klekotanie.

Starzec opisał je dokładnie – aż nazbyt dokładnie, szczególnie dla Armstronga w obecnej sytuacji.

– Czy kiedykolwiek słyszeliście dużego owada chrupiącego swą zdobycz? – spytał. – To brzmiało zupełnie tak samo. Przypuszczam, że krab wydaje dokładnie takie same dźwięki swymi szczypcami, gdy uderza nimi o siebie. Był to, że tak powiem, dźwięk c h i t y n o w y.

Armstrong pamiętał, że w tym miejscu głośno się roześmiał. (Jakie to dziwne, że teraz wszystko mu się przypominało.) Ale nikt poza nim tego nie zrobił, choć tak niedawno wszyscy byli skorzy do śmiechu. Czując zmianę tonu, natychmiast spoważniał i poprosił starca, by dalej opowiadał swoją historyjkę. Jakże teraz pragnął, by wówczas opanował swą ciekawość!

Starzec szybko dokończył opowieści. Następnego dnia grupa sceptycznych techników wyruszyła na bezludzie za Przełęczą Carvera. Nie byli jednak na tyle sceptyczni, by pozostawić broń, ale nie mieli okazji jej użyć, gdyż nie znaleźli śladu żywej istoty. Widzieli oczywiście te studnie i tunele, połyskujące dziury, w których światło latarek odbijało się bez końca, póki nie zginęło w głębi – ale cała planeta była podziurawiona nimi jak rzeszoto.

Chociaż nie znaleźli najmniejszego śladu życia, odkryli pewną rzecz, która bardzo im się nie podobała. W głębi jałowego i jeszcze nie zbadanego obszaru za przełęczą natknęli się na tunel większy od pozostałych. W pobliżu prowadzącego doń otworu znajdowała się potężna skała, do połowy wryta w ziemię, a jej boki były tak wygładzone, jakby używano jej jak gigantycznej osełki. Przynajmniej pięciu spośród obecnych widziało tę niepokojącą skałę. Żaden z nich nie umiał w zadowalający sposób uzasadnić jej naturalnego pochodzenia, ale w dalszym ciągu nie dawali wiary opowieści starca. Armstrong spytał ich, czy kiedykolwiek ją sprawdzili. Zapadło wówczas kłopotliwe milczenie. Potem odezwał się potężny Andrew Hargraves:

– Któż by poszedł na przełęcz nocą dla zabawy!

I na tym się skończyło. I rzeczywiście, nie odnotowano, by ktokolwiek szedł z Port Sanderson do obozu przez przełęcz nocą, a tym bardziej za dnia. W świetle dziennym bowiem żadna istota ludzka bez specjalnych osłon nie wyżyłaby pod ogromnym, niesamowitym słońcem, które zdawało się wypełniać pół nieba. I mając do dyspozycji traktor,

5–Spotkanie....

nikt by nie chciał maszerować dziesięć kilometrów w pancerzu przeciw-radiacyjnym.

Armstrong wyczuł, że przełęcz się kończy. Skały po obu stronach odsuwały się, a droga nie była już tak twarda i zbita jak przedtem. Ponownie wychodził na otwartą nizinę, a gdzieś niedaleko, w ciemności, znajdował się ten tajemniczy słup, który mógł być używany do ostrzenia potwornych kłów czy szponów. Myśl ta nie działała uspokajająco, lecz nie mógł jej odpędzić.

Czując wyraźne zaniepokojenie, Armstrong z ogromnym wysiłkiem starał się opanować. Próbował znów być rozsądny i myśleć o pracy, którą wykonał w obozie, o czymkolwiek, byle nie o tym piekielnym miejscu. Przez chwilę nieźle mu to szło, lecz teraz każdy wątek myśli powracał irytująco uporczywie do tego samego punktu. Nie mógł uwolnić się od obrazu tej tajemniczej skały i związanych z nią przerażających skojarzeń. Co i raz łapał się na tym, że się zastanawia, jak daleko może być ta skała, czy już ją minął albo czy jest z prawej, czy też z lewej strony...

Teren ponownie był płaski i droga biegła teraz prosto jak strzała. Pocieszało go tylko jedno – Port Sanderson nie mógł być dalej niż o trzy kilometry. Armstrong nie miał pojęcia, jak długo już idzie. Niestety jego zegarek nie miał oświetlenia i można było tylko zgadywać, ile czasu minęło. Jeśli odrobinę dopisze mu szczęście, to Kanopus nie wystartuje w ciągu najbliższych dwu godzin. Nie miał jednak pewności i teraz jeszcze jedna obawa zaczęła go dręczyć, a mianowicie, że po dotarciu na miejsce zobaczy tylko szybko wzbijającą się w niebo konstelację światel i dowie się, że na próżno przeżywał te tortury psychiczne.

Teraz nie szedł już takimi zygzakami jak przedtem i miał wrażenie, że potrafi wyczuć zbliżający się brzeg drogi, zanim z niej zboczy. Pocieszał się myślą, że prawdopodobnie maszeruje prawie z taką samą szybkością, jak wówczas, gdy miał latarkę. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w pobliżu Port Sanderson znajdzie się za trzydzieści minut – w śmiesznie krótkim czasie. A jak bardzo będzie się wówczas śmiał ze swych strachów, wchodząc do zarezerwowanego apartamentu na pokładzie Ka-nopusa i czując dziwne drżenie, gdy napęd widmowy wyniesie wielki statek z tego układu, z powrotem do skupisk gwiazdnych chmur blisko środka Galaktyki – z powrotem ku Ziemi, której nie widział przez tyle lat. Pomyślał, że kiedyś naprawdę musi znów odwiedzić Ziemię. Obiecywał to sobie przez całe życie, lecz zawsze miał tę samą odpowiedź: brak czasu. Jakież to dziwne, że taka mała planeta odegrała tak ogromną rolę w rozwoju Wszechświata i że zdominowała inne planety, nawet daleko mądrzejsze i inteligentniejsze od niej!

Myśli Armstronga znów były swobodne, a on sam poczuł się spokojniejszy. Świadomość, że zbliża się do Port Sanderson, ogromnie dodawała mu pewności siebie, a on celowo koncentrował swe myśli na zwy-

kłych, mało ważnych sprawach. Przełęcz Carvera pozostała już daleko z tyłu, a wraz z nią to coś, o czym więcej nie chciał już pamiętać. Pewnego dnia, jeśli kiedykolwiek powróci na tę planetę, pójdzie na przełęcz za dnia i będzie się śmiał ze swych dawnych strachów, które za dwadzieścia minut odejdą w przeszłość za koszmarami dzieciństwa.

Doznał wstrząsu, choć był to jeden z najprzyjemniejszych wstrząsów w jego życiu, kiedy zobaczył ukazujące się zza horyzontu światła Port Sanderson. Krzywizna tej małej planety była bardzo zwodnicza – to chyba nie w porządku, że na planecie o grawitacji niewiele mniejszej od ziemskiej horyzont jest tak blisko. Pewnego dnia ktoś musi odkryć, co zawiera jej jądro, że ma ona aż taką gęstość. Być może pomogą w tym te liczne tunele – nie była to najszcześniejsza myśl, lecz teraz przerażeniu, które ze sobą niosła zapobiegła bliskość celu. Myśl, że mógł naprawdę być w niebezpieczeństwie, w rzeczywistości chyba tylko dodawała jego przygodzie pewnej pikanterii i pobudzała ciekawość. Teraz, gdy miał przed sobą tylko dziesięć minut drogi i widział światła Port Sanderson, nic już nie mogło mu się przydarzyć.

Kilka minut później jego nastrój raptownie się zmienił, kiedy doszedł do nagłego zakrętu drogi. Zupełnie zapomniał o rozpadlinie, która sprawiła, że droga była dłuższa prawie o kilometr.

– No i co z tego – pomyślał nieustępliwie. – Kilometr nie robi teraz żadnej różnicy, co najwyżej przedłuży marsz o dodatkowe dziesięć minut.

Zniknięcie świateł miasta podziało nań deprymująco. Armstrong nie pamiętał wzgórza, które omijała droga – mógł to być jakiś niski grzbiet, prawie niezauważalny za dnia. Jednak zasłaniając światła miasta, odebrał mu najważniejszy talizman i ponownie rzucił na pastwę lęków.

Bardzo nierozsądnie, przed czym przestrzegął go rozum, zaczął myśleć, jakże byłoby to straszne, gdyby coś się stało właśnie teraz, pod sam koniec drogi. Chwilowo trzymał swe najgorsze obawy na wodzy, rozpaczliwie czepiając się nadziei, że wkrótce znów ujrzy światła miasta. Czas włókł się niemiłosiernie; zdał sobie sprawę, że grzbiet musi być dłuższy niż sądził. Próbował pocieszać się myślą, że miasto będzie o wiele bliżej, kiedy ponownie je zobaczy, lecz tym razem logika jakoś go zawodziła. W tej chwili bowiem zauważył, że teraz zrobił coś, do czego jeszcze się nie zniżył, nawet na pustkowiach Przełęcz Carvera.

Pochylił się, rozejrzał na wszystkie strony i wstrzymał oddech, aż mu prawie zaczęło rozsadać płuca.

Dookoła panowała niesamowita cisza, choć Port Sanderson musiał już być blisko. Z całą pewnością z tyłu nie dochodziły żadne dźwięki. Ze złością powiedział do siebie w duchu, że oczywiście nie mogły. I w tym momencie poczuł ogromną ulgę. Myśl o tamtym słabym, uporczywym klekotaniu, przez ostatnią godzinę nie dawała mu spokoju.

Usłyszawszy przyjazny i znajomy dźwięk, który w końcu dotarł do jego uszu, tak się odprężył, że wybuchnął głośnym śmiechem. W spokojnym powietrzu, z odległości najwyraźniej nie przekraczającej półtora kilometra, niósł się dźwięk traktora z lądowiska, być może jednej z tych maszyn, które załadowywały samego Kanopusa. Armstrong pomyślał, że za kilka sekund minie grzbiet i zobaczy przed sobą Port Sanderson w odległości zaledwie kilkuset metrów. Marsz dobiegał końca. Za parę chwil ta nieszczęsna nizina pozostanie jedynie zacierającym się koszmarem.

Wydało mu się to ogromną niesprawiedliwością, że wszystko, czego teraz potrzebował, było jedynie taką odrobiną czasu, tak niewielkim ułamkiem ludzkiego życia. Lecz bogowie zawsze byli niesprawiedliwi wobec ludzi, a teraz cieszyli się, że zrobili mu kawał. Nie mógł się mylić – klekot potwornych szponów usłyszał bowiem w ciemności przed sobą.

## 6. Droga do morza

Opadały już pierwsze jesienne liście, kiedy Durven spotkał się ze swym bratem na cyplu, przy Złotym Sfinksie. Zostawił pojazd w krzakach przy drodze, wszedł na szczyt wzgórza i spojrzął w dół na morze. Ostry wiatr z trudem przedzierał się przez wrzosowiska, niosąc zapowiedź wczesnych mrozów, lecz tam, w dolinie, gdzie leżała osłonięta sierpem wzgórz Piękna Shastar, było jeszcze ciepło. Jej puste, marmurowe nabrzeża, delikatnie omywane falami granatowego morza, drzemały w bladym świetle zachodzącego słońca. Kiedy znów spoglądał na znane ulice i parki swej młodości, gdzie niegdyś tak często przebywał, Durven poczuł, że znika całe jego zdecydowanie. Był zadowolony, że tu właśnie ma spotkać się z Han-narem, o półtora kilometra od miasta, a nie wśród widoków i dźwięków, które zwał się nań wspomnieniami dzieciństwa.

Wspinający się po stoku wzgórza na swój dawny, niespieszny, leniwy sposób, Hannar wyglądał z góry jak niewielka kropka. Durven mógł w jednej chwili znaleźć się przy nim, gdyby skorzystał ze swego pojazdu, lecz wiedział, że tamten co najwyżej (jeśli w ogóle) zdawkowo mu za to podziękuje. Cekał więc, chroniąc się przed wiatrem za wielkim Sfinksem i od czasu do czasu przytupując dla rozgrzewki. Raz czy dwa podszedł do głowy potwora i patrzył na nieruchomą twarz w górze, spoglądającą w zadumie na miasto i morze. Pamiętał, że jako dziecko widział jego przyczajoną postać na tle nieba i zastanawiał się, czy Sfinks jest żywy.

Hannar nie wyglądał starzej niż w czasie ich ostatniego spotkania przed dwudziestu laty. Jego włosy były wciąż ciemne i grube, a na twarzy nie miał zmarszczek, gdyż prawie nic nie zakłócało spokoju Shastar i jej mieszkańcom. Wydawało się to gorzką niesprawiedliwością i Durven, posiwiwały przez lata nieustannego trudu, poczuł nagle ukłucie zazdrości.

Powitanie ich było krótkie, lecz nie pozbawione ciepła. Potem Hannar podszedł do pojazdu spoczywającego na łożu z wrzosów i powykręcanych krzewów janowca, postukał laską w wypukły metal i odwrócił się do Durvena.

– Jest bardzo mały. Całą podróż nim odbyłeś?

– Nie, tylko z Księżyca. Wróciłem z Projektu statkiem pasażerskim, sto razy większym od tego.

, – A gdzie jest ten Projekt? A może nie chcesz, żebyśmy o tym wiedzieli?

– To żadna tajemnica. Budujemy statki w Kosmosie za Saturnem, gdzie współczynnik grawitacji Słońca jest prawie zerowy i wystarcza niewielki ciąg, by wysłać je poza Układ Słoneczny.

Hanna? pomachał laską w stronę granatowych fal w dole, kolorowych wieżyczek z marmuru i szerokich ulic, na których panował niespieszny ruch.

– Z dala od tego, w ciemnościach i samotności, w pogoni za czym? Durven zacisnął usta, które teraz tworzyły cienką, zdecydowaną kre-  
skę.

– Pamiętaj – rzekł cicho – że już całe życie spędziłem poza Ziemią.

– A dało ci to szczęście? – powiedział Hannar, wciąż z wyrzutem. Durven milczał przez chwilę.

– Dało mi to coś więcej niż szczęście – odpowiedział w końcu. – Wykorzystałem swoje możliwości do ostatnich granic i zasmakowałem sukcesów^ jakich nigdy sobie nie wyobrazisz. Dzień, kiedy Pierwsza Ekspedycja powróciła do Układu Słonecznego, był wart całego życia w Sha-star.

– Czy myślisz – spytał Hannar – że kiedy opuścicie naszą planetę na zawsze, zbudujecie piękniejsze miasta od tego, które leży z dala od tych dziwnych słońc?

– Jeśli tego zapagniemy, to tak. Jeśli nie, zbudujemy inne rzeczy. Ale musimy budować. A co stworzyli twoi ludzie w ciągu ostatnich stu lat?

– Tylko dlatego, że nie zrobiliśmy żadnych maszyn, że odwróciliśmy się tyłem do gwiazd i że jesteśmy zadowoleni z naszej planety, nie możesz twierdzić, iż staliśmy z założonymi rękami. Tu, w Shastar, stworzyliśmy styl, jaki moim zdaniem nie ma sobie równych. Studiowaliśmy sztukę

życia i jesteśmy pierwszą arystokracją bez niewolników. To jest nasze osiągnięcie, po którym sądzić nas będzie historia.

– Przyznaję – odparł Durven – ale nie zapominajcie, że wasz raj zbudowali uczeni, którzy o urzeczywistnienie swych marzeń musieli walczyć tak jak my.

– Nie zawsze z powodzeniem. Planety raz ich pokonały. Dlaczego planety innych słońc mają być gościnniejsze?

Było to słuszne pytanie. Jeszcze po pięciuset latach z rozgoryczeniem wspomniano to pierwsze niepowodzenie. Z wielkimi nadziejami i marzeniami Człowiek wyruszył na podbój planet w ostatnich latach XX wieku jedynie po to, by stwierdzić, że są nie tylko jałowe i pozbawione życia, ale również wręcz wrogie! Od posępnego ognia mórz lawy na Merkurym po pełną lodowce ze skrzepłego azotu na Plutonie,

nigdzie poza własną planetą nie mógł żyć bez osłony i po stu latach bezowocnych zmagania powrócił na Ziemię.

Jednak wizja przetrwała – kiedy porzucono myśl o planetach, znaleźli się tacy, którzy ośmielili się marzyć o podboju gwiazd. W końcu marzenie to doprowadziło do powstania Napędu Transcendentalnego, Pierwszej Ekspedycji, a teraz do tak spóźnionego sukcesu, który uderza do głowy jak wino.

– W odległości dziesięciu lat lotu od Ziemi jest pięćdziesiąt gwiazd podobnych do Słońca – rzekł Durven – i prawie wszystkie z nich mają planety. Obecnie uważamy, że posiadanie planet jest prawie tak samo charakterystyczne dla gwiazdy typu G, jak jej widmo, choć nie wiemy dlaczego. Tak więc poszukiwanie planet podobnych do Ziemi musiało z czasem zakończyć się powodzeniem. To nie było jakieś wyjątkowe szczęście, że tak szybko znaleźliśmy Eden.

– Eden? Czy tak nazwaliście waszą nową planetę?

– Tak, nam ta nazwa wydawała się odpowiednia.

– Ale z was, uczonych, niepoprawni romantycy! Kto wie, może aż za dobrze wybraliście tę nazwę. O ile pamiętasz, biblijny Eden nie był zbyt przychylny dla człowieka.

Durven uśmiechnął się niewyraźnie.

– Zależy z jakiego punktu widzenia – odparł i wskazał na Sha-star, gdzie zabłyśły pierwsze światła.

– Gdyby nasi przodkowie nie nakarmili się do syta z Drzewa Wiadomości, nigdy byście tego nie mieli.

– A co się teraz z tym stanie? – spytał gorzko Hannar. – Kiedy otworzyliście drogę do gwiazd, cała siła i energia rasy ludzkiej odpłynie z Ziemi jak krew z otwartej rany.

– Nie przeczę. Tak było dawniej i tak będzie. Shastar podzieli los Babilonu, Kartaginy i Nowego Jorku. Przyszłość buduje się na gruzach przeszłości. Mądrość polega na tym, żeby liczyć się z tym faktem, a nie walczyć z nim. Kochałem Shastar jak ty, tak bardzo, że teraz, kiedy już nigdy jej nie zobaczę, nie mam odwagi zejść na dół i przespacerować się jej ulicami. Pytasz, co się z nią stanie, a więc ci powiem. To, co robimy, tylko przyspieszy jej koniec. Nawet dwadzieścia lat temu, kiedy byłem tu ostatnim razem, czułem, że moją wolę podkopuje bezcelowy rytuał waszego życia. Wkrótce będzie to samo we wszystkich miastach na Ziemi, bo każde z nich naśladuje Shastar. Uważam, że Napęd nie pojawił się bynajmniej za wcześnie; może nawet ty byś mi uwierzył, gdybyś przedtem porozmawiał z ludźmi, którzy powrócili z gwiazd, i poczuł, jak krew znowu żywiej ci krąży w żyłach, po tych wszystkich sennych wiekach. Wasz świat ginie, Hannar; to, co macie w tej chwili, możecie zachować przez wieki, lecz w końcu wymknie wam się z rąk. Przyszłość należy do nas; zostawimy was razem z waszymi marzeniami. My też marzyliśmy, a teraz lecimy urzeczywistniać nasze marzenia.

Ostatnie błyski światła migotały na czole Sfinksa, kiedy Słońce zanurzało się w morzu, pogrążając Shastar w nocy, lecz nie w ciemnościach. Szerokie ulice stały się rzekami, wypełnionymi miliardami świecących punkcików; wieże i wieżyczki świeciły jak kolorowe klejnoty, a wiatr niósł ciche dźwięki muzyki z pokładu statku wycieczkowego, wolno wychodzącego w morze. Z lekka się uśmiechając, Durven obserwował statek odbijający od łukowatego nabrzeża. Minęło pięćset lat



albo i więcej od czasu, gdy rozładowano ostatni statek handlowy, ale dopóki istnieje morze, dopóty człowiek będzie po nim żeglował.

Niewiele więcej mieli sobie do powiedzenia i po chwili Hannar stał na wzgórzu sam, z głową uniesioną ku gwiazdom. Nigdy już nie zobaczy brata; Słońce, które na kilka godzin zginęło z jego oczu, wkrótce na zawsze znajdzie się poza zasięgiem wzroku Durvena, pogrążając się w otchłani Kosmosu.

Świecąc w ciemnościach, Shastar leżała obojętnie na brzegu morza. Opanowany złymi przeczuciami Hannar miał wrażenie, że jej zguba bez mała już nad nią wisi. W słowach Durvena była prawda: właśnie zaczynał się exodus.

Dziesięć tysięcy lat temu inni odkrywcy opuścili pierwsze miasta stworzone przez człowieka i wyruszyli na poszukiwanie nowych lądów. Znaleźli je i nigdy nie powrócili, a ich opuszczone domy strawił Czas. Tak też musi być z Piękną Shastar.

Ciężko opierając się na lasce, Hannar powoli schodził z boczem wzgórza w kierunku światła miasta. Sfinks patrzył obojętnie na jego postać ginącą w oddali w ciemnościach.

Tak samo patrzył jeszcze pięć tysięcy lat później.

Brant nie miał jeszcze dwudziestu lat, kiedy jego ziomkowie, wygnani z własnych domów i pędzeni na zachód przez dwa kontynenty i ocean, wypełniali eter żalnymi wołaniami skrzywdzonej niewinności. Reszta mieszkańców planety prawie nie okazała im współczucia, gdyż sami byli sobie winni i nie mogli mieć najmniejszych pretensji do Rady Najwyższej, że tak surowo się z nimi obeszła. Wysłała im przecież kilkanaście wstępnych ostrzeżeń i przynajmniej cztery razy absolutnie ostateczne ultimatum, zanim niechętnie podjęła tę akcję. A potem, pewnego dnia nadleciał niewielki statek z bardzo dużym radiatorem akustycznym i z wy-skości trzystu metrów nad wsią zaczął nadawać czysty hałas o mocy kilku kilowatów. Po paru godzinach takiej muzyki rebelianci skapitulowali i zaczęli pakować dobytek. Tydzień potem przybyła flota transportowa i przeniosła ich, wciąż ostro protestujących, do nowych domów po drugiej stronie planety.

I w ten sposób stało się zadość Prawu. Prawu, które postanawiało, że żadna społeczność nie może żyć w jednym i tym samym miejscu dłu-

żej niż przez trzy pokolenia. Posłuszeństwo oznaczało zmianę, wykorzenienie tradycji i zburzenie starych, ukochanych domów. Taki był główny cel Prawa, kiedy je ustanawiano cztery tysiące lat temu, lecz stagnacji, której miało zapobiec, na dłuższą metę nie uda się uniknąć. Pewnego dnia zabraknie centralnej organizacji stojącej na jego straży, a wsie pozostaną tam, gdzie powstały, aż pochłonie je Czas, jak to uczynił z wcześniejszymi cywilizacjami, których są spadkobiercami.

Całe trzy miesiące stracili ludzie z Chaldis na budowę nowych domów, karczowanie dwóch kilometrów kwadratowych lasu, zakładanie jakichś niepotrzebnych upraw egzotycznych i luksusowych owoców, przesuwanie rzeki i niwelowanie wzgórza, które raziło ich poczucie estetyki. Spisali się nienajgorzej, kiedy więc miejscowy Inspektor przeprowadził oględziny, wszystko im wybaczone. Z ogromną satysfakcją patrzyli, jak transportery, koparki i cały pozostały sprzęt ruchomej i zmechanizowanej cywilizacji wznosiły się w niebo. Ledwo wszystko ucichło po ich odlocie, a cała wieś jak jeden mąż oddała się lenistwu w szczerzej nadziei, że nic go nie zakłóci przynajmniej przez następne stulecie.

Brantowi ta przygoda nawet się spodobała. Było mu oczywiście przykro, że stracił dom swego dzieciństwa, że nigdy już nie będzie się wspinał na samotną górę, dumnie wznoszącą się nad jego rodzinną wioską. Tutaj nie było gór – tylko niskie, faliste wzgó-za i żyzne doliny, w których od tysięcy lat rosły jedynie bujne lasy, ponieważ rolnictwo przestało istnieć. Było tu również ciepłej, gdyż znajdowali się bliżej równika, dokąd nie docierały gwTałtowne wiatry północy. Prawie pod każdym względem zmieniło się na lepsze, lecz przez rok czy dwa mieszkańcy Chaldis zachowują przyjemne poczucie, że są męczennikami.

Te polityczne sprawy nie obchodziły Branta w najmniejszym stopniu. Cała historia ludzkości – od mrocznych wieków aż po nieznaną przyszłość – była w tym momencie znacznie mniej ważna od

Yradne i jej uczuć dla niego. Zastanawiał się, co teraz robiła, i próbował wymyślić jakiś pretekst do odwiedzin. Ale to oznaczałoby spotkanie z jej rodzicami, którzy oędą go krępować udawaniem, że to zwykła, towarzyska wizyta.

Wobec tego postanowił pójść do kuźni, żeby tylko wybadać zamiary Jona. Szkoda, że wynikła ta sprawa z Jonem. Jeszcze tak niedawno byli dobrymi przyjaciółmi, lecz miłość jest śmiertelnym wrogiem przyjaźni i dopóki Yradne nie wybierze kóregoś z nich, zachowają wobec siebie zbrojną neutralność.

Wieś rozciągała się w dolinie na długości półtora kilometra, a jej schludne, nowe domy stały w artystycznym nieładzie. Kilka osób poruszało się w różnych kierunkach bez szczególnego pośpiechu lub plotkowało w7 niewielkich grupkach pod drzewami. Brant miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą i obmawiają go, kiedy przechodził – a tak się złożyło, że przypuszczenie to było akurat słuszne. W zamkniętej społeczności, obejmującej niespełna tysiąc osób o wysokiej inteligencji, nikt nie mógł oczekiwać, że będzie miał jakieś życie prywatne.

Kuźnia znajdowała się na polanie, po drugiej stronie wsi, gdzie zwykle towarzyszący jej nieporządek raził stosunkowo najmniej. Wokół niej walały się połamane i w połowie rozmontowane maszyny, których stary Johan nie zdążył jeszcze naprawić. Jeden z trzech autolotów wioski, wystawiając odsłonięte wjręgi do słońca, leżał wśród nich tam, gdzie złożono go kilka tygodni temu z prośbą o natychmiastową naprawę. Stary Johan zajmie się nim pewnego dnia, ale tylko on wie kiedy.

Szerokie wejście do kuźni było otwarte, a z jasno oświetlonego wnętrza dochodził zgrzyt metalu obrabianego przez automatyczne maszyny zgodnie z wolą ich pana. Brant ostrożnie przeszedł między tymi niewolnikami pracy i znalazł się w stosunkowo spokojnym pomieszczeniu za warsztatem.

Stary Johan leżał w przesadnie wygodnym fotelu, paląc fajkę z miną, jakby nigdy w życiu nie przepracował nawet jednego dnia. Był porządnym człowiekiem niewielkiego wzrostu, z brodą pieczołowicie uczesaną w szpic; jedynie jego świecące, rozbiegane oczy zdradzały oznaki ożywienia. Można by go wziąć za jakiegoś drugorzędnego poetę – za którego rzeczywiście się uważał – ale nigdy za wioskowego kowala.

– Szukasz Jona? – spytał między pyknięciami. – Gdzieś tu się kręci i coś tam robi dla tej dziewczyny. Nie mam pojęcia, co wy obaj w niej wadzicie.

Brant z lekka poróżowił i już miał coś bąknąć w odpowiedzi, gdy jedna z maszyn zaczęła głośno dopominać się opieki. Stary Johan wyskoczył z pokoju jak błyskawica i przez minutę dolatywały z warsztatu dziwne zgrzyty, huki i przekleństwa. Bardzo prędko jednak znalazł się z powrotem w fotelu, najwyraźniej z przekonaniem, że przez jakiś czas nic nie zakłóci mu spokoju.

– Pozwól, że ci coś powiem, Brant – mówił dalej, jakby nie było żadnej przerwy. – Za dwadzieścia lat będzie wyglądała dokładnie jak jej matka. Pomyślałeś kiedyś o tym?

Brant nie pomyślał i lekko się przestraszył. Lecz kiedy jest się młodym, dwadzieścia lat to cała wieczność. Jeśli Yradne uda mu się zdobyć teraz, przyszłość jakoś sama się ułoży. I to właśnie powiedział Johanowi.

– Niech ci będzie – powiedział kowal nawet życzliwie. – Przypuszczam, że gdybyśmy wszyscy patrzyli tak daleko w przyszłość, rasa ludzka wyginęłaby milion lat temu. Dlaczego o tę dziewczynę nie zagracie w szachy, jak rozsądni ludzie?

– Bo Brant by szachrował – odpowiedział Jon, ukazując się nagle w wejściu, które prawie sobą wypełnił.

Był to młodzieniec wysoki i dobrze zbudowany, zupełnie odwrotnie niż jego ojciec... Trzymał kartkę papieru z jakimś schematem konstrukcyjnym. Branta ciekawiło, jaki prezent przygotowywał dla Yradne.

– Co robisz? – spytał tonem dalekim od zdawkowego zainteresowania.

– Niby dlaczego miałbym ci to powiedzieć? – zapytał Jon z humorem. – Podaj choć jeden uzasadniony powód. Brant wzruszył ramionami.

– To na pewno jakieś głupstwo. Chciałem tylko być uprzejmy.

– Nie przesadzaj z tą uprzejmością – rzekł kowal. – Kiedy ostatnim razem byłeś uprzejmy dla Jona, przez tydzień chodziłeś z podbitym okiem. Pamiętasz?

Potem szorstko zwrócił się do syna:

– Daj ten schemat, to ci powiem, dlaczego nie można tego zrobić. Krytycznie oglądał schemat, a Jon okazywał coraz większe zmieszanie. W końcu Johan parsknął z dezaprobatą.

– Skąd weźmiesz te części? – spytał. – Wszystkie są nietypowe, a większość to submikro.

Jon z nadzieją rozglądał się po warsztacie.

– Nie ma ich zbyt wiele – rzekł. – To przecież proste i zastanawiam się...

– ... czy pozwolę ci grzebać w integratorach, aby wykonać te detale? No, cóż, zobaczymy, może coś da się zrobić. Wiesz, Brant, mój bardzo zdolny syn próbuje udowodnić, że poza muskularni ma jeszcze coś w głowie, i chce zrobić zabawkę, która wyszła z użycia jakieś pięć wieków temu. Mam nadzieję, że ty byś wymyślił coś lepszego. Kiedy ja byłem w waszym wieku...

Nagle przerwał wspomnienia i zamilkł. W drzwiach prowadzących do hałaśliwego warsztatu ukazała się Yradne i patrzyła na nich z lekkim uśmiechem na ustach.

Gdyby ktoś poprosił Branta i Jona, by opisali Yradne, prawdopodobnie odniósłby wrażenie, że mówią o dwóch zupełnie innych osobach. Oczywiście obaj by podali te same cechy zewnętrzne: kasztanowe włosy, duże, błękitne oczy i skóra o najrzadszym z kolorów – perłowobiała. – Lecz Jonowi jawiła się jako istota krucha, którą należy pieścić i ochraniać, zaś dla Branta jej absolutna pewność siebie i swoboda były tak oczywiste, że z rozpaczą zastanawiał się, czy może być jej w czymkolwiek przydatny. Ta różnica poglądów częściowo wynikała z dodatkowych piętnastu centymetrów wzrostu Jona i z większego o dwadzieścia centymetrów obwodu jego klatki piersiowej, ale w gruncie rzeczy miała głębsze, psychologiczne podłoże. Osoba, którą się kocha, właściwie w rzeczywistości nie istnieje, lecz jest projekcją wyobrażeń na obiekt pasujący do nich z możliwie najmniejszymi zniekształceniami. Otóż ideały Branta i Jona całkowicie różniły się od siebie, obaj zaś uważali, że Yradne jest

ich uosobieniem. Jej by to w najmniejszym stopniu nie zaskoczyło, gdyż rzadko co ją dziwiło.

– Idę nad rzekę – powiedziała. – Po drodze wpadłam do ciebie, Brant, ale cię nie zastałam.

Był to cios dla Jona, jednak ona szybko wyrównała mu tę stratę.

– Pomyślałam sobie, że poszedłeś z Lorayne albo z jakąś inną dziewczyną, lecz wiedziałam, że zastanę Jona.

Jonowi najwyraźniej pochlebił ten dobrowolny i oszalamiający dowód uznania. Zadowolony z siebie zwinął swój schemat i popędził do domu.

– Poczekaj, zaraz wracam! – krzyknął przez ramię pełnym szczęścia głosem.

Przestępując z nogi na nogę, Brant z niepokojem wpatrywał się w Yradne. Właściwie, żadnego z nich nie poprosiła, by jej towarzyszył, nie zamierzał się więc poddawać. Pamiętał jednak stare porzekadło, że dwoje to para, a troje to o jedną osobę za dużo.

Powrócił Jon, olśniewając zaskakującym zielonym płaszczem z ukośnymi wybuchami czerwieni po bokach. Tylko bardzo młody człowiek mógł nosić coś takiego i nawet Jonowi ledwo to uchodziło. Brant zastanawiał się, czy zdąży pobiec do domu i włożyć na siebie coś jeszcze bardziej oszalamiającego, lecz uznał to za zbyt ryzykowne. Za bardzo by przypominało ucieczkę w obliczu wroga, a i tak byłoby już pewnie po bitwie, zanim zdąży wrócić z posiłkami.

– Ale tłum – złośliwie zauważył stary Johan, kiedy odchodzili. – A może i ja pójdę, co?

Chłopców to speszyło, lecz Yradne zaśmiała się w taki sposób, że nie można było jej nie lubić. Johan postać chwilę z uśmiechem na twarzy, kiedy oddalali się między drzewami, a potem szli porośniętym trawą stokiem ku rzece. Lecz teraz już za nimi nie patrzył, bowiem zatopił się w najpróżniejszych marzeniach, jakie może mieć człowiek – w marzeniach o powrocie własnej,

minionej młodości. Wnet odwrócił się tyłem do słońca i już się nie uśmiechając, zniknął w pełnym odgłosów pracy warsztacie.

Słońce, które świeciło na północnym niebie, miało teraz równik i wkrótce dni będą dłuższe od nocy; kończyła się zima. Niezliczone wsie na całej półkuli szykowały się do powitania wiosny. Wraz ze śmiercią wielkich miast i powrotem człowieka do pól i lasów przywrócono również wiele dawnych zwyczajów, które zapadły w sen na tysiąc lat miejskiej cywilizacji. Kilka z nich umyślnie wskrzesili antropologowie i socjotechnicy trzeciego tysiąclecia, których geniusz umożliwił przekazanie z pokolenia na pokolenie tak wielu wzorców kultury człowieka w nienaruszonej formie. Tak też się stało z obrzędami, którymi w dalszym ciągu witano wiosenne zrównanie dnia z nocą i które, mimo całej swej złożoności, mogły wciąż wydawać się mniej obce pierwotnemu człowiekowi niż mieszkańcom przemysłowych miast, zadymiających niegdyś atmosferę Ziemi.

Przygotowania do Święta Wiosny zawsze były obiektem intryg i sporów między sąsiednimi wsiami. Chociaż wymagało to przerwania wszystkich innych zajęć przynajmniej na miesiąc, każda wieś czuła się wielce uhonorowana wyborem jej na gospodarza uroczystości. Oczywiście nikt nie oczekiwał, by świeżo przeniesiona społeczność, która jeszcze nie doszła do siebie po transplantacji, mogła podjąć się tak odpowiedzialnego zadania. Jednakże ziomkowie Branta znaleźli pomysłowy sposób na odzyskanie dawnych względów i zmazanie jeszcze świeżej plamy niesławy. W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów leżało pięć innych wiosek i wszystkie zaproszono do Chaldis na święto.

Układając zaproszenie, bardzo starannie dobierano słów. Dawano w nim delikatnie do zrozumienia, że z oczywistych powodów Chaldis nawet nie może marzyć o takim przygotowaniu ceremonii, jak by sobie tego życzyła, i wobec tego sugerowano gościom, aby udali się gdzie indziej, jeśli naprawdę pragną się zabawić. Chaldis spodziewała się, że co najwyżej jedna wieś przyjmie zaproszenie, jednak rozbudzona ciekawość sąsiadów przeważyła ich poczucie moralnej wyższości. Wszyscy odpowiedzieli, że przybędą z rozkoszą i teraz Chaldis w żaden sposób nie mogła się już uchylić od wypełnienia swych zobowiązań.

Dla doliny noc przestała istnieć, a jej mieszkańcy spali niewiele. Wysoko nad drzewami niebieskobiałym światłem palił się rząd sztucznych słońc, przyćmiewających swym blaskiem gwiazdy, rozpraszających ciemności i pograżających w chaosie utarty, naturalny tok życia wszystkich dzikich zwierząt w promieniu wielu kilometrów. Zmagania ludzi i maszyn o przygotowanie dużego amfiteatru dla czterech tysięcy widzów wypełniały coraz dłuższe dni i coraz krótsze noce. Przynajmniej pod jednym względem mieli szczęście: w tym klimacie niepotrzebny był dach ani żadne sztuczne ogrzewanie. W kraju, który tak niechętnie opuszczali, jeszcze pod koniec marca śnieg pokrywał ziemię grubą warstwą.

W dniu wielkiego święta wcześniej rano Branta obudziły odgłosy nadlatujących autolotów. Przeciągnął się znużony, zadając sobie pytanie, kiedy ponownie znajdzie się w łóżku, a potem włożył ubranie. Stopą nacisnął ukryty przełącznik i prostokąt miękkiej gumy piankowej, zagłębiony na kilka centymetrów w podłodze, całkowicie przykryła sztywna, plastikowa płyta, która wysunęła się ze ściany. Tu nikt nie musiał martwić się o pościel, gdyż pokój był automatycznie ogrzewany do temperatury ciała. Wiele takich udogodnień sprawiało, że Brantowi żyło się łatwiej niż jego odległym przodkom – dzięki nieustannym, trwającym od pięciu tysięcy lat staraniom nauki, o których prawie nie pamiętano.

Pokój, w którym panował nieopisany bałagan, wypełniało łagodne światło, dochodzące przez półprzeźroczystą ścianę. Jedyne kawałek podłogi kryjący pod sobą łóżko nie nosił śladów nieporządku, lecz prawdopodobnie i tam trzeba będzie sprzątać przed zapadnięciem nocy. Brant wszystko chomikował i nie lubił niczego wyrzucać. Było to bardzo dziwne w świecie, gdzie niewiele rzeczy miało jakąś wartość, gdyż tak łatwo je wytwarzały integratory. W jednym rogu stał oparty o ścianę pieńek drzewa, w którym częściowo wyrzeźbiono zarys postaci ludzkiej. Gdzie indziej leżały na podłodze duże bryły piaskowca, czekając, aż Brant zacznie nad nimi pracować.

Malowidła, przeważnie o charakterze abstrakcyjnym, całkowicie pokrywały ściany. Nawet niezbyt bystra osoba wydedukowałaby, że Brant jest artystą, choć niełatwo dało się rozstrzygnąć, czy dobrym.

Znalazł drogę w tym bałaganie i udał się na poszukiwanie jedzenia. Kuchni nie było – niektórzy historycy utrzymywali, że przetrwała aż po rok 2500, ale już dużo wcześniej większość rodzin tak rzadko sama przygotowywała sobie posiłki, jak sama sobie szyła ubrania. Brant wszedł do głównego pokoju dziennego i zbliżył się do metalowej skrzynki, wbudowanej w ścianę na wysokości piersi. Pośrodku skrzynki znajdowało się urządzenie, którym od pięćdziesięciu wieków umiała posługiwać się każda istota ludzka – dziesięciocyfrowa, impulsowa tarcza numerowa. Brant wybrał czterocyfrowy numer i czekał. W ogóle nic nie nastąpiło. Z lekka poirytowany przycisnął ukryty guzik i wtedy wysunęła się przednia część skrzynki, ukazując wnętrze, które, według wszelkich prawideł, powinno zawierać apetyczne śniadanie. Było jednak zupełnie puste.

Brant mógł połączyć się z centralną maszyną żywieniową i zażądać wyjaśnień, ale prawdopodobnie nie otrzymałby żadnej odpowiedzi. Oczywiście dział gastronomiczny jest tak zajęty przygotowaniem dodatkowych ilości jedzenia, że Brant może mówić o dużym szczęściu, jeśli w ogóle dostanie coś na śniadanie. Wyłączył obwód, a potem spróbował jeszcze raz, wybierając mało używany numer. Tym razem usłyszał cichy warkot, stłumiony trzask i otworzyły się drzwiczki, ukazując filiżankę jakiegoś ciemnego, parującego napoju, kilka kanapek o niezbyt zachęcającym wyglądzie i spory kawałek melona. Marszcząc nos i zastanawiając się, jak prędko ludzkość osiągnie stadium barbarzyństwa cofając się w ten sposób, Brant zaczął jeść swój zastępczy posiłek i bardzo szybko go spałaszował.

Rodzice jeszcze spali, kiedy cicho wyszedł z domu na szeroki, porośnięty trawą plac w środku wsi. Było jeszcze wcześniej i powiewało lekkim chłodem, lecz wstawał już jasny i piękny dzień, orzeźwiający świeżością, która rzadko utrzymuje się po zniknięciu rosy. Ze stojących na trawniku kilku autolotów wysypywali się pasażerowie, którzy dreptali w kółko lub rozchodzili się po wsi, by krytycznym okiem obejrzeć Chal-dis. Brant zobaczył, jak jedna z maszyn z szumem wystrzeliła w niebo, ciągnąc za sobą ledwo widoczną smugę jonizacji. W chwilę później jej śladem ruszyły pozostałe: jednorazowo mogły przewieźć tylko kilkudziesięciu pasażerów i do wieczora obrócić jeszcze wiele razy.

Brant wolno podszedł do gości, starając się zachować pewność siebie, lecz bez szczególnej rezerwy, żeby nie utrudniać kontaktu. Przybysze w większości byli mniej więcej jego rówieśnikami; starsi przybędą w dogodniejszej dla nich porze.

Patrzyli nań z wyraźnym zaciekawieniem, a on odwzajemniał się podobnym uczuciem. Zauważył, że mają ciemniejszą od niego skórę, a ich głosy są bardziej miękkie i mniej modulowane. Niektórzy zdradzali ślady obcego akcentu, gdyż pomimo uniwersalnego języka i systemu natychmiastowej łączności wciąż istniały odmiany regionalne. Przynajmniej Brant uznał ich wymowę za obcy akcent, lecz raz czy dwa dostrzegł ich uśmiechy, kiedy on coś powiedział.

Przez cały ranek goście zbierali się na placu, a potem szli w stronę wielkiej areny, zajmującej bezlitośnie wyciętą część lasu. Stały tam namioty i powiewały kolorowe flagi, a zewsząd rozbrzmiewały głośnie okrzyki i śmiech, gdyż rano bawiła się młodzież. Choć już od dziesięciu tysięcy lat Ateny płynęły z nurtem czasu jak coraz słabiej widoczna, lecz nigdy nie gasnąca boja świetlna, jednak charakter sportu prawie się nie zmienił od Olimpi. Ludzie w dalszym ciągu biegali i skakali, stawiali w zapasy i pływali, ale wszystko to robili znacznie lepiej od swych przodków. Brant był niezłym biegaczem na krótkich dystansach i na setkę udało mu się zająć trzecie miejsce. Uzyskał nieco powyżej ośmiu sekund

– niezbyt dobry wynik, gdyż rekord wynosił poniżej siedmiu. Z pewnością byłby bardzo zdumiony dowiedziawszy się, że w dawnych czasach nikt nawet nie marzył o zbliżeniu się do tego rezultatu.

Jon miał ogromną uciechę, zwalając nawet większych od siebie młodzieńców na cierpliwą darr, a kiedy podsumowano wyniki porannych zawodów, okazało się, że Chaldis zdobyła najwięcej punktów, choć zajęła pierwsze miejsca w stosunkowo niewielkiej liczbie konkurencji.

Tuż przed południem tłum zaczął przelewać się jak ameba na Polanę Pięciu Dębów, gdzie syntezatory molekularne pracowały już od wczesnych godzin rannych, by zastawić jedzeniem setki stołów. Ogromnych umiejętności wymagało przygotowanie dań prototypowych, które potem reprodukowano, z absolutną wiernością do ostatniego atomu; chociaż mechanika produkcji żywności uległa całkowitej zmianie, kunszt kucharski przetrwał, a nawet odnotował wielkie sukcesy, w których natura nie miała w ogóle żadnego udziału.

Głównym punktem popołudniowego programu był długi dramat wierszem – bardzo umiejętnie napisany pastisz, naśladujący dzieła poetów, których nawet nazwiska zapomniano już przed wiekami. Brant uznał go na ogół za nudny, choć gdzieniegdzie znalazł pewne piękne fragmenty, które utkwily mu w pamięci:

Koniec zimowym deszczom i ruinom, Minał czas śniegów i grzechów...

Brant wiedział, co to śnieg, i cieszył się, że ma go już za sobą. Słowo „grzech” było jednak archaiczne i wyszło z użycia trzy czy cztery tysiące lat temu, lecz brzmiało złowieszczo i podniecająco.

Yradne udało mu się spotkać dopiero przed zmierzchem, kiedy zaczęły się tańce. Wysoko nad dolinę poczęły wlatywać światła, zalewając lasy nieustannie zmieniającymi się połączeniami błękitu, czerwieni i złota. Początkowo dwójkami i trójkami, a potem dziesiątkami i setkami wychodzili tańczący na wielki owal areny amfiteatru, aż wypełniła się morzem śmiejących się i wirujących postaci. Tutaj Brant mógł nareszcie pokazać, że w czymś jest lepszy od Jona, i dał się porwać fali czysto fizycznej rozrywki.

Muzyka reprezentowała pełen zakres dziedzictwa kulturalnego ludzkości. W jednej chwili powietrze drgało od uderzeń bębnów, które można by usłyszeć w jakiejś dziewiczej dżungli, kiedy świat był jeszcze młody, a zaraz potem rozbrzmiewało misterną fakturą ćwierćtonów muzyki elektronicznej. Wędrujące po niebie gwiazdy bladły, patrząc na to z góry, lecz nikt ich nie widział i nikt nie pamiętał o upływie czasu.

Brant tańczył z wieloma dziewczętami, zanim odnalazł Yradne. Tryskając radością życia, wyglądała bardzo pięknie, ale nie sprawiała wrażenia, że jej spieszo do niego, kiedy jest tylu innych do wyboru. Lecz w końcu wirowali razem, co sprawiało Brantowi szczególną przyjemność, gdy pomyślał sobie, że Jon z oddali prawdopodobnie przygląda się temu ponuro.

Uciekli od tańczących, kiedy muzyka na chwilę ucichła, ponieważ Yradne oświadczyła, że jest trochę zmęczona. Doskonale odpowiadało to Brantowi i teraz siedzieli razem pod jednym z wielkich drzew, obserwując pulsujące wokół życie, co zwykle się robi w chwilach całkowitego spokoju.

Brant pierwszy przerwał milczenie. Musiał to zrobić, bo może upłynąć jeszcze wiele czasu, zanim znów nadarzy się podobna okazja.

– Yradne – rzekł – dlaczego mnie unikałaś? Popatrzyła nań niewinnie szeroko otwartymi oczami.

– Oj, Brant – powiedziała – jesteś niedobry. Wiesz, że to nieprawda! Nie bądź taki zazdrosny. Nie spodziewaj się, że przez cały czas będę wszędzie za tobą chodziła.

– Och, no dobrze – rzekł Brant niezdecydowanie, zastanawiając się, czy nie robi z siebie durnia. Lecz teraz, jak już zaczął, mógł mówić dalej.

– Wiesz, kiedyś musisz się zdecydować na kogoś z nas. Jeśli będziesz odkładała to WT nieskończoność, zostaniesz na lodzie jak te twoje ciotki.

Yradne zaśmiała się i wielce ubawiona pokręciła głową na myśl, że kiedykolwiek może być stara i brzydka.

– Jeśli ci tak pilno – odpowiedziała – zawsze mogę liczyć na Jona. Widziałeś, co mi podarował?

– Nie – rzekł Brant z ciężkim sercem.

– Podobno jesteś taki spostrzegawczy! Zauważyłeś ten naszyjnik?

Na piersi Yradne połyskiwało duże grono klejnotów zawieszonych na cienkim, złotym łańcuszku. Był to całkiem ładny wisiorek, ale nie wyróżniał się niczym szczególnym i Brant nie omieszkał tego powiedzieć. Yradne uśmiechnęła się tajemniczo, a jej palce dotknęły naszyjnika. Naraz

powietrze wypełniły dźwięki muzyki, która początkowo mieszała się z melodią towarzyszącą tańczącym, a potem całkowicie ją zagłuszyła.

– Widzisz – powiedziała z dumą – wszędzie mogę mieć własną muzykę. Jon mówi, że jest jej tam tyle tysięcy godzin, że nigdy się nie zorientuję, kiedy będzie się powtarzać. Prawda, jakie to pomysłowe?

– Może i tak – przyznał niechętnie Brant – ale to nic nowego. Kiedyś wszyscy nosili to ze sobą, aż nigdzie na Ziemi nie było ciszy i musieli wydać zakaz używania tych urządzeń. Pomyśl tylko, co by się działo, gdybyśmy wszyscy mieli coś takiego!

Yradne odskoczyła od niego ze złością.

– Znowu to samo, ta wieczna zazdrość o coś, czego sam nie możesz zrobić! Czy kiedykolwiek dałeś mi coś, co choć w połowie byłoby tak pomysłowe lub przydatne jak to? Odchodzę i nie próbuj iść za mną!

Brant patrzył z otwartymi ustami, jak się oddalała, zupełnie zaskoczony gwałtownością jej reakcji.

– Hej, Yradne! – zawołał. – Nie chciałem...

Ale jej już nie było.

Opuszczał amfiteatr w bardzo podłym nastroju. Doskonale rozumiał przyczyny jej wybuchu, co jednak wcale nie poprawiło mu humoru. Jego uwraży, choć raczej złośliwe, nie miały się z prawdą, a czasem nic tak bardzo nie denerwuje jak prawda. Podarunek Jona jest pomysłową zabawką, lecz banalną i tylko dlatego interesującą, że teraz nie miała konkurencji.

Jedna rzecz, o której wspomniała Yradne, nie dawała mu spokoju. Czy kiedykolwiek coś jej podarował? Nie miał nic poza swymi obrazami, a one naprawdę nie były zbyt dobre. W ogóle nimi się nie zainteresowała, kiedy zaproponował jej kilka z najlepszych i ciężko mu przyszło wytłumaczyć Yradne, że nie jest portrecistą i wołałby jej raczej nie malować. Tak naprawdę nigdy tego nie zrozumiała, a bardzo łatwo było ją urazić. Brant lubił czerpać natchnienie z natury, lecz nigdy nie malował tego, co widzi. Kiedy już skończył jakiś obraz, co czasem się zdarzało, najczęściej tytuł był jedyną wskazówką, co przedstawia.

Wokół niego rozbrzmiewała jeszcze muzyka do tańca, ale zupełnie stracił zainteresowanie: widok rozbawionych ludzi działał mu na nerwy. Postanowił uciec od tłumu, a jedyne spokojne miejsce, które przyszło

6 –Spotkanie... mu do głowy, znajdowało się nad rzeką, przy końcu przecinającego las, błyszczącego dywanu ze świeżo posadzonego świecącego mchu.

Siedział nad brzegiem wody, rzucał patykami w nurt i obserwował, jak spływały w dół rzeki. Od czasu do czasu przechodzili obok niego jacyś spacerowicze, lecz zwykle parami i nie zwracali nań uwagi. Patrzył na nich z zazdrością i rozmyślał nad niezadowolającym stanem swych spraw.

Uważał, że chyba byłoby nawet lepiej, gdyby Yradne skróciła mu cierpienia, decydując się na wrybór Jona. Lecz ona w żaden sposób nie okazywała, że woli któregoś z nich. Może po prostu bawiła się ich kosztem, jak sądzili pewni ludzie, a szczególnie stary Johan, choć było równie prawdopodobne, że nie umiała dokonać wyboru. Brant pomyślał ze smutkiem, że w tej sytuacji trzeba, żeby jeden z nich wykazał się czymś rzeczywiście niezwykłym, w czym drugi nie potrafiłby mu dorównać.

– Hej – odezwał się jakiś cichy głos za jego plecami.

Odwrócił się i spojrzał przez ramię. Przekrzywiając głowę jak ciekawski wróbel, wpatrywała się w niego mała, chyba ośmioletnia dziewczynka.

– Hej – odpowiedział bez entuzjazmu. – Dlaczego nie patrzysz, jak tańczą?

– A ty dlaczego nie tańczysz? – odparowała.

– Jestem zmęczony – rzekł z nadzieją, że to wystarczające usprawiedliwienie. – Nie powinnaś biegać sama, bo się zgubisz.

– Już się zgubiłam – powiedziała radośnie, siadając na brzegu koło niego. – Lubię tak siedzieć.

Brant zastanawiał się, z której wsi mogła przyjechać. Była całkiem ładnym maleństwem, choć wyglądałaby jeszcze ładniej, gdyby nie rozmazana czekolada na buzi. A więc skończyła się jego samotność.

Wpatrywała się w niego z tą deprymującą bezpośredniością, która na szczęście zwykle mija w starszym wieku.

– Wiem, co ci jest – powiedziała nagle.

– Naprawdę? – spytał Brant z uprzejmym niedowierzaniem.

– Zakochałeś się!

Brantowi wypadła z ręki gałązka, którą właśnie zamierzał wrzucić do rzeki; odwrócił się i zdumiony wytrzeszczył oczy na swą inkwizytorkę. Patrzyła nań współczująco z taką powagą, że po chwili cały jego niezdrowy żal nad sobą zniknął w wybuchu śmiechu. Chyba ją to bardzo dotknęło, więc szybko się opanował.

– Skąd wiesz? – zapytał z głęboką powagą.

– Czytałam o tym – odpowiedziała uroczyście. – A kiedyś widziałam taki film i był tam mężczyzna, co poszedł nad rzekę, i siedział tam jak ty, a potem wskoczył do wody. Grała wtedy strasznie piękna muzyka.

Brant przyjrzał się uważnie temu przedwcześnie rozwiniętemu dziecku i poczuł ulgę, że dziewczynka nie pochodziła z jego wsi.

– Przykro mi, że nie mogę załatwić ci tej muzyki – powiedział z poważną miną – a zresztą rzeka jest za płytka.

– Tam dalej jest głębiej – padła usłużna odpowiedź. – Tu jest tylko mała rzeczka, a rośnie dopiero za lasem. Widziałam z autolotu.

– A co potem się z nią dzieje? – spytał Brant bez najmniejszego zainteresowania, lecz zadowolony, że rozmowa zesłała na neutralny grunt. – Chyba płynie do morza?

– Głupi jesteś, bo wcale nie – prychnęła pogardliwie w sposób niegodny damy. – Wszystkie rzeki z tej strony wzgórz płyną do Wielkiego Jeziora. Wiem, że jest wielkie jak morze, ale prawdziwe morze jest po drugiej stronie wzgórz.

Brant znał niewiele szczegółów położenia geograficznego swego nowego domu, lecz uzmysłowił sobie, że dziecko miało rację. Ocean leżał niespełna trzydzieści pięć kilometrów na północ, za łańcuchem niskich wzgórz. W odległości stu pięćdziesięciu kilometrów, w głębi lądu, znajdowało się Wielkie Jezioro, dające życie terenom, które niegdyś były pustynią, zanim inżynierowie geolodzy przekształcili ten kontynent.

Mały skrzat układał z patyków mapę i cierpliwie tłumaczył te sprawy swemu raczej tępemu uczniowi.

– Tu jesteśmy – powiedziała – a tu jest rzeka, i wzgórze, a tam, przy twojej nodze, jest jezioro. Alorze idzie tędy i... powiem ci tajemnicę.

– Jaką tajemnicę?

– Nigdy nie zgadniesz!

– Nawet się nie domyślam.

Jej głos przeszedł w konfidencjonalny szept.

– Jeśli pójdziesz brzegiem morza, a to niedaleko stąd, dojdiesz do Shastar.

Brant próbował udawać, że informacja ta zrobiła na nim ogromne wrażenie, ale mu nie wyszło).

– Na pewno o tym nie słyszałeś! – wykrzyknęła głęboko zawiedziona.

– Przykro mi – odparł Brant. – Przypuszczam, że to jakieś miasto i wiem, że już gdzieś o nim słyszałem. Ale tyle ich było, wiesz... Kartagina i Chicago, Babilon i Berlin... po prostu nie można wszystkich zapamiętać. W każdym razie żadnego z nich już nie ma.

– A nie, bo Shastar jeszcze jest.

– Hm, niektóre z późniejszych w dalszym ciągu stoją, tak mniej więcej, i ludzie często tam chodzą. Jakies osiemset kilometrów od mojego dawnego domu było jedno całkiem duże miasto, które nazywało się...



– Shastar to nie jakieś tam stare miasto – przerwało dziecko z tajemniczą miną. – Dziadek mi mówił, bo on tam był. Zupełnie je zepsuli, ale pełno w nim cudownych rzeczy, których nikt już nie ma.

Brant uśmiechnął się w duchu. Opuszczone miasta Ziemi były wylęgarnią legend od niepamiętnych czasów. Minęło już chyba ze czterysta, nie, pięćset lat, jak opuszczono Shastar. Jeśli jej domy jeszcze stoją, co jest zupełnie prawdopodobne, z pewnością już przed wiekami odarto je z rzeczy przedstawiających jakąkolwiek wartość. Zdaje się, że jej dziadek wymyśla jakieś bajeczki, żeby rozerwać dziecko. Zyskał tym sympatię Branta.

Nie zważając na jego sceptycyzm, dziewczynka trajkotała dalej jak najęta. Brant poświęcał jej słowom niewiele uwagi, wtrącając w stosownych momentach uprzejme „Tak” lub „Coś takiego!” Nagle zapadła cisza.

Podniósł wzrok i zobaczył, że jego towarzyszka niespokojnie spogląda w stronę szpaleru drzew górujących nad krajobrazem.

– Do widzenia – powiedział nieoczekiwanie. – Muszę się gdzieś schować, bo idzie moja siostra.

Odeszła tak niespodziewanie jak się zjawiała. Rodzina musiała nieźle się jej naszukać, pomyślał Brant, lecz dziewczynka wyświadczyła mu wielką przysługę, rozpraszając nastrój melancholii.

Po kilku godzinach uświadomił sobie, że zrobiła o wiele więcej.

Simon stał oparty o framugę drzwi, obserwując przechodzących ludzi, kiedy nadszedł Brant, który go szukał. Ludzie zazwyczaj lekko przyspieszali kroku, gdy droga. wypadła im akurat w pobliżu wejścia do jego domu, ponieważ Simon mógł zagadać każdego na śmierć, a jak usidlił ofiarę, nie miała ucieczki przez co najmniej godzinę. Niezwykle rzadko ktokolwiek narażał się na to dobrowolnie, jak teraz Brant.

Kłopot z Simonem polegał na tym, że miał wspaniały umysł, lecz lenistwo przeszkadzało mu go używać. Może byłoby dlań lepiej, gdyby urodził się w erze większej aktywności; jedyne, co mógł zrobić w Chal-dis, ograniczało się do ostrzenia swego dowcipu kosztem innych, czym zdobywał sobie więcej sławy niż popularności. Ale w dużym stopniu był niezastąpiony jako skarbnica wiedzy, przeważnie bardzo dokładnej.

– Simon – zaczął Brant bez żadnych wstępów – chcę się czegoś dowiedzieć o tym kraju. Mapy za wiele mi nie mówią i nie są zbyt nowe. Co tu było przedtem, w dawnych czasach?

Simon podrapał się po szczeciniastej brodzie.

– Nie przypuszczam, by się wiele zmieniło. A o jakie czasy ci idzie?

– No, powiedzmy, czasy miast.

– Nie rosło oczywiście tyle drzew. Prawdopodobnie kraj był rolniczy i produkował żywność. Widziałeś tę maszynę rolniczą, którą wykopali w czasie budowy amfiteatru? Musi być bardzo stara, nie miała nawet napędu elektrycznego.

– Tak, tak – rzekł niecierpliwie Brant. – Widziałem ją. Ale powiedz mi coś o tutejszych miastach. Według mapy istniała tu miejscowość o nazwie Shastar, leżąca na wybrzeżu o kilkaset kilometrów stąd na zachód. Czy wiesz coś o niej?

– Aaa, Shastar – mruknął Simon, chcąc zyskać na czasie. – To bardzo interesujące miejsce. Mam tu gdzieś jej zdjęcie. Chwileczkę, pójdę i spróbuję je odnaleźć.

Zniknął w głębi domu i nie było go prawie pięć minut. W tym czasie bardzo dokładnie przeszukał bibliotekę, choć człowiek z epoki książek chyba by się tego nie domyślił, sądząc po wykonywanych przezeń czynnościach. Całe archiwum Chaldis mieściło się w metalowej skrzyni o boku jednego metra, w której, zapisany trwale w układach subatomo-wych, znajdował się odpowiednik miliarda tomów druku. Zgromadzono tam prawie całą wiedzę ludzkości i wszystko, co przetrwało z literatury.

Skrzynia nie była jedynie biernym magazynem mądrości, miała bowiem bibliotekarza. Kiedy za pomocą odpowiedniego sygnału Simon przekazał swe pytanie niestrudzonej maszynie, rozpoczęły się poszukiwania w kolejnych warstwach prawie nieskończonej sieci obwodów. Zaledwie ułamek sekundy trwało znalezienie potrzebnej informacji, gdyż podał nazwę i przybliżoną datę. Potem

rozluźnił się, kiedy fala obrazów myślowych dotarła do jego mózgu pod bardzo lekką autohipnozą. Zdobyta tą drogą wiedza pozostanie w posiadaniu Simona tylko przez kilka godzin – dostatecznie długo dla jego celów<sup>7</sup> – a potem zniknie. Nie chciał zaśmieszać swego dobrze zorganizowanego umysłu niepotrzebnymi wiadomościami, a cała ta sprawa rozwoju i upadku wielkich miast była dlań historyczną dygresją o niewielkim znaczeniu. Stanowiła jedynie interesujący, choć godny pożałowania epizod, a w dodatku należała do przeszłości, która bezpowrotnie minęła.

Brant wciąż czekał cierpliwie, kiedy Simon ukazał się z bardzo mądrą miną.

– Nie mogłem znaleźć żadnego zdjęcia – powiedział. – Moja żona znowu robiła sprzątaninę. Ale za to powiem ci, co pamiętam o Shastar.

Brant usadowił się, jak mógł najwygodniej; prawdopodobnie spędzi tu jakiś czas.

– Shastar była jednym z ostatnich miast, jakie człowiek kiedykolwiek zbudował. Wiesz, oczywiście, że miasta powstały stosunkowo późno w rozwoju kultury człowieka, zaledwie około dwunastu tysięcy lat temu. Ich liczba i znaczenie rosły przez kilka tysięcy lat, aż w końcu powstały takie, które skupiały miliony ludzi. Byłoby nam bardzo trudno wyobrazić sobie, jak tam musiało wyglądać życie: stalowo-kamienne pustynie, gdzie całymi kilometrami nie widziało się nawet źdźbелka trawy. Ale były potrzebne, zanim udoskonalono łączność i komunikację, gdyż ludzie musieli mieszkać blisko siebie, żeby przeprowadzać te wszystkie skomplikowane operacje, związane z handlem i wytwórczością, od których zależało ich życie. Te rzeczywiście duże miasta zaczęły zanikać, kiedy upowszechnił się transport lotniczy. Groźba ataku wroga w tych odległych, barbarzyńskich czasach, również przyczyniła się do tego. Ale przez dłuższy czas...

– Uczyłem się historii tego okresu – wtrącił Brant niezbyt zgodnie z prawdą. – Wiem wszystko o...

– ... ale prze? dłuższy czas w dalszym ciągu istniało wiele małych miast, które łączyły kontakty raczej kulturalne niż handlowe. Każde z nich miało po kilkadziesiąt tysięcy mies/kańców, a przetrwały całe wieki po upadku miast-gigantów. Dlatego też Uxford, Princeton i Heidelberg jeszcze coś dla nas znaczą, natomiast o wiele większe miasta pozostały jedynie nazwami. Lecz nawet ich los był przesądzony, kiedy wynaleziono integrator, który każdej, nawet najmniejszej społeczności dawał możliwość łatwego wytwarzania wszystkiego, co potrzebowała do prowadzenia cywilizowanego życia. Shastar powstała, kiedy – formalnie – już nie istniała żadna potrzeba budowania miast i zanim jeszcze ludzie uświadomili sobie, że zbliża się koniec kultury miejskiej. Wydaje się, że była świadomym dziełem sztuki, wymyślonym i zaprojektowanym jako całość, a mieszkali w niej głównie różnego rodzaju artyści. Nie przetrwała jednak zbyt długo: tym, co ją w końcu zgubiło, był exodus.

Simon nagle zamilkł, jakby dumając nad owymi burzliwymi czasami, kiedy otwarto drogę do gwiazd, a ludzkość rozdarła się na dwoje. Exodus zabrał kwiat rasy ludzkiej, reszta zaś pozostała; a potem wydawało się, że nastąpił koniec historii na Ziemi. Przez tysiąc albo i więcej lat uchodźcy na krótko wracali do Układu Słonecznego, pragnąc opowiedzieć o dziwnych słońcach i odległych planetach, a także o wielkim imperium, które pewnego dnia obejmie całą galaktykę. Ale są otchłanie, których nawet najszybsze statki nie mogą przemierzyć, i taka otchłań otwierała się teraz między Ziemią a jej wędrującymi dziećmi. Coraz mniej ich z nią łączyło, coraz rzadziej pojawiały się powracające statki, aż w końcu między wizytami z zewnątrz mijały całe pokolenia. Simon nie słyszał, by jakaś miała miejsce w ciągu ostatnich prawie trzystu lat.

Było rzeczą zupełnie niezwykłą, by ktoś musiał ponaglać Simona do mówienia, a właśnie teraz zrobił to Brant.

– Tak czy inaczej, bardziej interesuje mnie samo miasto niż jego historia. Sądziś, że jeszcze stoi?

– Do tego zmierzalem – powiedział Simon, nagle wyrwany z : i-dumy. – Pewnie, że stoi. Wówczas dobrze budowano. Ale czy wolno wiedzieć, dlaczego tak cię to interesuje? Czyżbyś raptem zaczął się pasjonować archeologia? Aaa, chyba rozumiem!

Brant doskonale zdawał sobie sprawę z bezcelowości prób ukrycia czegokolwiek przed takim zawodowym plotkarzem, jak Simon.

– Miałem nadzieję – powiedział, broniąc się – że mogą tam jeszcze być jakieś rzeczy, które warto by odszukać, choć minęło tyle czasu.

– Może i tak – rzekł Simon z powątpiewaniem. – Muszę kiedyś odwiedzić to miasto. Leży prawie pod nosem. Ale jak sobie poradzisz? Wiesz chyba nie pożyczysz ci auto lotu! Przecież nie pójdziesz piechotą. Zajęłoby ci to przynajmniej tydzień.

Ale tak właśnie zamierzał zrobić Brant. Bowiem przez kilka następnych dni prawie wszystkim we wsi starał się udowodnić, że tylko to, co osiąga się z trudem, warte jest zachodu. Nie ma to jak robić cnotę z konieczności.

Przygotowania Branta odbywały się w niesłychanej tajemnicy. Nie chciał ujawnić zbyt wielu szczegółów swych planów na wypadek, gdyby któraś z tych kilkunastu osób w Chaldis, mających prawo korzystania z autolotu, zechciała pierwsza zobaczyć Shastar. Było to oczywiście tylko sprawą czasu, lecz gorączkowe zajęcia ostatnich miesięcy nie pozwalały na prowadzenie tego rodzaju poszukiwań. Najbardziej upokarzające byłoby dotarcie do Shastar na ostatnich nogach po tygodniowej podróży tylko po to, by spotkać się z chłodnym powitaniem ze strony sąsiada, który znalazł się tam po dziesięciominutowym locie.

Z drugiej strony, równie ważne było uświadomienie wsi w ogóle, a szczególnie Yradne, że Brant dokonuje czegoś niezwykłego. Jedynie Simon znał prawdę i niechętnie zgodził się na razie milczeć. Brant miał nadzieję, że udało mu się odwrócić uwagę od prawdziwego celu wyprawy, okazując wielkie zainteresowanie obszarami, leżącymi na wschód od Chaldis, gdzie również znajdowały się jakieś archeologiczne zabytki o pewnym znaczeniu.

Ilość żywności i sprzętu potrzebna na dwa do trzech tygodni okazała się naprawdę zdumiewająca; pierwsze obliczenia pograżyły Branta w bardzo ponurym nastroju. Przemknęła mu nawet myśl, by wypożyczyć albo poprosić o autolot, lecz zapewne nikt -nie spełniłby tej prośby, a przy tym wys/edlby na jaw cel przedsięwzięcia. Jednakże z całą pewnością nie uniesie wszystkiego, czego potrzebował w podróży.

Dla osoby żyjącej w mniej zmechanizowanych czasach rozwiązanie byłoby oczywiste, ale Brantowi zajęło trochę czasu, zanim sam do tego doszedł. Latające maszyny uśmierciły wszystkie formy transportu naziemnego poza jedną – jedną, która sama się uwieczniła i nieźle radziła sobie, jak niegdyś, w ogóle bez żadnej pomocy człowieka.

Chaldis miała sześć koni, raczej mało jak na gminę tej wielkości. W niektórych wsiach było więcej koni niż ludzi, ale ziomkowie Branta, żyjąc w dzikim i pagórkowatym rejonie, nie mieli dotychczas wiele okazji do jazdy konnej. Sam Brant jeździł na koniu zaledwie dwa czy trzy razy w życiu, a wszystkie te przejażdżki trwały niezmiernie krótko.

Ogierem i pięcioma kłaczami opiekował się Treggor – niski, szorstki w obejściu człowiek, który poza zwierzętami nie miał żadnego wyraźniej-s/ego zainteresowania w życiu. Nie należał do najwybitniejszych umysłów Chaldis, lecz zdawał się szczęśliwy ze swą prywatną menażerią, składającą się z psów różnej maści i wielkości, pary bobrów, kilku małp, lwiatka, dwóch niedźwiedzi, młodego krokodyla i innych zwierząt, którymi ludzie wolą zachwycać się na odległość. Jedynym zmartwieniem rzucającym cień na jego dotychczasowe spokojne życie był fakt, że nie udało mu się jeszcze zdobyć słonia.

Zgodnie z przewidywaniami, Brant znalazł Treggora opartego o bramę wybiegu dla koni. Towarzyszył mu jakiś obcy, którego przedstawił Brantowi jako miłośnika tych zwierząt z sąsiedniej wsi. Zdumiewające podobieństwo między dwoma mężczyznami – od sposobu ubierania się po wyraz twarzy – czyniło to wyjśnienie zupełnie niepotrzebnym.

W obecności nie kwestionowanych ekspertów człowiek zawsze czuje się trochę niepewnie i Brant opisał swój kłopot z niejakim zażenowaniem. Treggor wysłuchał go z poważną miną i dopiero po chwili udzielił odpowiedzi.

– Taak – rzekł z wolna, wskazując kciukiem na kłacze – każda z nich się nada, jeśli umiesz obchodzić się z końmi. Popatrzył przy tym na Branta z powątpiewaniem.

– Widzisz, one są jak ludzie. Jeśli cię nie lubią, nic z nimi nie zrobisz.

– Nic – powtórzył jak echo obcy, z wyraźną przyjemnością.  
– Ale z pewnością mógłbyś mnie nauczyć, jak mam się z nimi obchodzić?  
– Może tak, a może nie. Pamiętam, jak jeden młody facet, dokładnie taki jak ty, chciał się nauczyć konnej jazdy. Konie po prostu nie chciały dopuścić go do siebie. Nie lubiły go i już.  
– Koń wszystko pozna – wtrącił z tajemniczą miną ten drugi.  
– Racja – zgodził się Treggor. – Dobrze go traktujesz i o nic nie musisz się martwić.

Brant doszedł do wniosku, że z mniej kapryśną maszyną nie byłoby przynajmniej tyle gadania.

– Ale ja nie chcę jeździć na koniu – odpowiedział z naciskiem. – Chcę tylko, żeby niósł moje rzeczy. Chyba za miałby coś przeciwko temu?

Jego łagodna ironia trafiła w próżnię. Treggor z powagą skinął głową.

– Z tym nie będzie żadnego kłopotu – powiedział. – One wszystkie pozwolą ci prowadzić się na postronku: zniaczy wszystkie z wyjątkiem Daisy. J e j nigdy byś nie złapał.

– A więc uważasz, że mógłbym na jakiś czas pożyczyć jedną z tych... eee... uleglejszych?

Treggor kręcił się niezdecydowanie, rozdierany dwoma sprzecznymi pragnieniami. Cieszył się, że jego ukochane zwierzęta mogą się komuś przydać, lecz nie chciał, żeby spotkało je coś złego. Cokolwiek by się przytrafiło B rantowi, miało dlań drugorzędne znaczenie.

– Ale – zaczął niepewnie – wr tej chwili to... nie za bardzo...

Brant uważniej przyjrzał się klaczom i zrozumiał. Tylko jednej z nich towarzyszyło źrebię, lecz wygląd pozostałych wskazywał, że brak ten najwyraźniej wkrótce zostanie uzupełniony. Oto była dodatkowa komplikacja, którą przeoczył.

– Długo cię nie będzie? – spytał Treggor.

– Najwyżej trzy tygodnie, a może tylko dwa. Treggor dokonał szybkich obliczeń ginekologicznych.

– Możesz więc wziąć Sunbeam – postanowił. – W ogóle nie sprawi ci kłopotu. Jest najłagodniejszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek miałem.

– Bardzo ci dziękuję – rzekł Brant. – Obiecuję, że będę o nią dbał. A teraz, czy mógłbyś nas sobie przedstawić?

– Nie rozumiem, dlaczego akurat ja muszę to robić – narzekał żartem Jon, poprawiając torby na lśniących bokach Sunbeam – tym bardziej, że nawet mi nie powiedziałeś, dokąd jedziesz i czego będziesz szukał?

Na to ostatnie pytanie Brant nie mógł odpowiedzieć, nawet gdyby chciał. Kiedy dobrze się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że nic wartościowego w Shastar nie znajdzie. Naprawdę trudno byłoby wymyślić coś, czego brakowało jego ziomkom albo czego nie mogli natychmiast mieć, gdyby chcieli. Ale sama wyprawa będzie dowodem – najbardziej przekonującym, jaki tylko mógł sobie wyobrazić – jego miłości do Y radne.

Niewątpliwie przygotowania zrobiły na niej spore wrażenie, a zadbał o to, by podkreślić niebezpieczeństwa, z którymi wkrótce zetknie się oko w oko. Spanie pod gołym niebem jest niewygodne, a i posiłków nie będzie miał zbyt urozmaiconych. Może nawet zabłądzić i nikt już go nigdy nie zobaczy. A może tam, wśród wzgórz albo w lesie, są jeszcze dzikie zwierzęta i do tego niebezpieczne?

Stary Johan, którego nie wzruszały historyczne tradycje, protestował mówiąc, że zajmowanie się tak prymitywnym przeżytkiem, jak koń, jest niegodne kowala. Sunbeam delikatnie uszczypnęła go za to bardzo zręcznie i precyzyjnie, kiedy pochylony sprawdzał jej kopyta. Jednak szybko wykonał komplet toreb, do których Brant mógł włożyć wszystko, czego potrzebował w podróży; nawet przybory rysunkowe, gdyż nie chciał się z nimi rozstawać. Treggor posłużył jako doradca techniczny w sprawie upręży i według starych wzorów wykonał prototyp, głównie ze sznurka.

Ostatnie przygotowania zakończono dopiero wczesnym rankiem. Brant zamierzał wyruszyć w drogę w sposób jak najmniej rzucający się w oczy, co mu się udało, lecz raniło jego uczucia. Tylko Jon i Yradne przyszli go odprowadzić.

Zamyśleni doszli w milczeniu do końca wsi i przekroczyli rzekę wąskim metalowym mostem. Wówczas Jon burknął:

– No, tylko sobie nie złam tego głupiego karku.

Potem podał Brantowi rękę i odszedł, pozostawiając go samego z Yradne. Był to bardzo miły gest i Brant to docenił.

Korzystając z tego, że jej pan zajmował się czym innym, Sunbeam zaczęła skubać wysoką trawę na brzegu rzeki. Brant przez chwilę niezgrabnie przestępował z nogi na nogę, a potem powiedział bez przekonania:

– Chyba już pójde.

– Jak długo cię nie będzie? – spytała Yradne.

Nie miała na sobie prezentu od Jona: być może już ją zmęczył. Brant miał taką nadzieję i wtedy przyszło mu do głowy, że równie szybko mogłaby się znudzić tym, co przywiezie dla niej.

– O, tylko około dwóch tygodni – odparł i dodał pośpiesznie: – jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

– Uważaj na siebie – powiedziała Yradne, jakby z naleganiem – i nie rób niczego pochopnie.

– Postaram się – odrzekł Brant, w dalszym ciągu nie robiąc nawet kroku – ale czasem trzeba ryzykować.

Taka przerywana rozmowa mogłaby trwać znacznie dłużej, gdyby nie interwencja Sunbeam. Szarpnęła nagle postronkiem i ciągnąc Branta za rękę, zmusiła go do szybkiego marszu. Odzyskał równowagę i już miał pomachać Yradne na pożegnanie, gdy ta nagle podskoczyła doń, mocno pocałowała i pobiegła w stronę wioski. Zniknęła, zanim zdążył ochłonąć.

Przestała biec, kiedy Brant nie mógł już jej widzieć. Jon wyprzedzał ją jeszcze o spory kawałek drogi, lecz nie starała się go dogonić. Opanował ją jakiś dziwnie poważny nastrój, całkiem nie na miejscu w taki jasny, wiosenny poranek. Przyjemnie jest być kochaną, lecz jeśli się zastanowić, ma to również swoje ujemne strony. Yradne przemknęło przez myśl, że nie jest w porządku wobec Jona, wobec Branta, a nawet wobec siebie samej. Pewnego dnia będzie musiała powziąć decyzję; nie mogła odkładać jej w nieskończoność. W żaden sposób nie potrafiła zdecydować, którego z chłopców bardziej lubi; i nie wiedziała też, czy w ogóle któregoś z nich kocha.

Nikt nigdy jej o tym nie mówił, a sama jeszcze się nie przekonała, że jeśli ktoś zadaje sobie pytanie, czy jest naprawdę zakochany, odpowiedź brzmi zawsze: Nie.

Przez pięć kilometrów na wschód od Chaldis ciągnął się las, który potem przechodził w wielką równinę, obejmującą resztę kontynentu. Sześć tysięcy lat temu kraina ta była jedną z największych pustyń na świecie, a jej zmeliorowanie należało do najważniejszych osiągnięć Ery. Atomowej.

Brant zamierzał podążać na wschód, póki nie skończy się las, a potem skręcić w stronę północnej wyżyny. Na mapach widniała droga, która niegdyś biegła grzbietami wzgórz, łącząc w łańcuch wszystkie miasta wybrzeża z Shastar na końcu. Najłatwiej będzie pójść jej szlakiem, chociaż Brant nie spodziewał się, by po tylu wiekach zbyt wiele z drogi pozostało.

Trzymał się blisko rzeki, w nadziei, że nie zmieniła koryta od czasu sporządzenia map. Służyła mu zarówno za przewodniczkę, jak i za najkrótszą drogę przez las; kiedy drzewa rosły zbyt gęsto, zawsze je omijał, brodząc w płytkiej wodzie. Sunbeam sprawowała się dość dobrze, gdyż nie było tam odwracającej jej uwagę trawy, więc klacz systematycznie posuwała się naprzód, tylko trochę ponagliana.

Zaledwie minęło południe, drzewa zaczęły się przerzadzać i Brant dotarł do granicy, od wieków przekraczanej w marszu poprzez tereny, których Człowiek nie chciał już dłużej posiadać. Wkrótce las pozostał z tyłu i Brant znalazł się na otwartej przestrzeni.

Sprawdził swą pozycję za pomocą mapy i zauważył, że od momentu jej wykonania zasięg lasu dostrzegalnie przesunął się na wschód. Lecz dojrzał tam wyraźny szlak prowadzący do niskich wzgórz, którymi biegła dawna droga; powinien z powodzeniem dotrzeć do nich przed wieczorem.

W tym momencie wynikły nieprzewidziane trudności natury technicznej. Znalazłszy się w otoczeniu najapetyczniejszej trawy, jakiej nie widziała od dłuższego czasu, Sunbeam nie mogła się powstrzymać i przystawała co parę kroków, by jej skubnąć. Ponieważ Branta łączyła z jej uzdą raczej krótka linka, każde szarpnięcie prawie wrywało mu rękę ze stawu. Przedłużenie linki nawet pogarszało sprawę, bo wówczas nie miał nad klaczą żadnej kontroli.

Chociaż Brant dosyć lubił zwierzęta, lecz wkrótce stało się dlań jasne, że Sunbeam po prostu nadużywała jego dobroci. Cierpliwie znosił to przez kilometr, a potem wziął kurs na drzewo, które zdawało się mieć szczególnie cienkie i giętkie gałęzie. Sunbeam uważnie go obserwowała kącikami swych jasnobrażowych oczu, kiedy odcinał cienką, elastyczną witekę i ostentacyjnie wsadzał ją sobie za pasek. Od razu ruszyła tak szparko, że z ledwością mógł za nią nadążyć.

Była niewątpliwie, jak utrzymywał Treggor, wyjątkowo inteligentna bestia.

Pasma wzgórz, stanowiące pierwszy cel Branta, miało około sześciuset metrów wysokości i bardzo łagodne stoki. Przedtem jednak, w drodze

do jego grzbietu, należało pokonać dokuczliwe pagórki i niewielkie doliny; było więc już dobrze pod wieczór, zanim znaleźli się w najwyższym punkcie. Od południa Brant zobaczył las, który przebył i który teraz już go nie osłaniał. Chaldis znajdowała się gdzieś w jego środku, choć tylko z grubsza orientował się w jej położeniu. Zaskoczyło go, że nie mógł dostrzec żadnego śladu wielkich polan wyrąbanych przez jego ziomków. Na południowy wschód nizina ciągnęła się bez końca równym morzem trawy, usianym tu i ówdzie niewielkimi kępami drzew. Blisko horyzontu dojrzał małe pełzające plamki i domyślił się, że to jakieś duże stado dzikich zwierząt w ruchu.

Na północy znajdowało się morze, w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów drogi po opadającym stoku, a potem niziną. W gasnącym świetle słońca wydawało się prawie czarne, z wyjątkiem miejsc, gdzie maleńkie fale przyboju pokrywały je plamkami piany.

Przed zapadnięciem nocy Brant znalazł osłoniętą od wiatru kotlinę, przywiązał Sunbeam do tęgiego krzaka i rozstawił niewielki namiot, który zrobił mu stary Johan. Teoretycznie jest to bardzo prosta operacja, lecz – o czym przekonało się już mnóstwo ludzi – wymaga najwyższych umiejętności i opanowania. W końcu Brant poradził sobie ze wszystkim i ułożył się do snu.

Są rzeczy, których nawet najtęższy umysł nie potrafi z góry przewidzieć i które można poznać jedynie dzięki gorzkiemu doświadczeniu. Któż by odgadł, że ludzkie ciało może aż tak reagować na prawie niedostrzegalny spadek stoku, na którym stał namiot Branta? Lecz jeszcze bardziej przykre były chwilowe zmiany temperatury, wywołane przypuszczalnie przez zdające się niepodzielnie panować w namiocie przeciągi. Brant wytrzymałby jakąkolwiek stałą temperaturę, ale nie dające się przewidzieć zmiany doprowadziły go do szału.

W czasie tego nierównego snu wielokrotnie się budził, albo tak mu się wydawało, a przed świtem stan jego ducha osiągnął najniższy punkt. Czuł się fatalnie, zmarł i zeszywniał, jakby nie wysypiał się przez kilka dni, i niewiele brakowało, żeby w ogóle zrezygnował z całego przedsięwzięcia. Był gotów, a nawet chciał stanąć oko w oko z niebezpieczeństwem w imię miłości, lecz lumbago to zupełnie co innego.

W blasku nowego dnia szybko zapomniał o nocnych niewygodach. Tu na wzgórzach powietrze orzeźwiło wonią soli, którą niósł wiatr od morza. Wszystko pokrywała gęsta rosa, zwieszająca się kroplami na każdym źdźble trawy, ale wkrótce miała zniknąć bez śladu w promieniach palącego słońca. Dobrze jest żyć, jeszcze lepiej – być młodym, a najlepiej – zakochanym.

Na drogę natknęli się prawie zaraz po wyruszeniu. Brant nie zauważył jej wcześniej, gdyż leżała w pewnym oddaleniu na opadającym ku morzu stoku, a spodziewał się ją znaleźć na grani wzgórz. Zbudowano

ją doskonale: minione tysiąclecia prawie jej nie uszkodziły. Natura na próżno próbowała ją zniszczyć: tylko gdzieniegdzie udało się jej przykryć kilka metrów nawierzchni cienką warstwą ziemi, lecz później jej słudzy obrócili się przeciwko niej: deszcze i wiatry na powrót dokładnie oczyściły drogę. Długie pasmo bez spojeń ciągnęło się wzdłuż brzegu morza przez ponad półtora tysiąca kilometrów; droga wciąż łączyła miasta, które Człowiek tak kochał w dzieciństwie.

Była to jedna z wielkich dróg świata; niegdyś zaledwie ścieżka, którą dzikie plemiona podążały na brzeg morza, by prowadzić handel wymienny z chytrymi, jasnookimi kupcami z dalekich krajów. Później miała nowych i bardziej wymagających panów: żołnierze potężnego imperium zaprojektowali i położyli drogę przez wzgórza tak umiejętnie, że jej nawierzchnia nie zmieniła się przez wieki. Wyłożyli ją kamieniem, by ich armie mogły poruszać się najszybciej ze wszystkich,

znanych wówczas światu; ich legiony pędziły po niej jak błyskawice na rozkaz miasta. Po wiekach miasto wezwało je z powrotem do domu w swej ostatniej potrzebie, a potem przez pięćset lat droga odpoczywała.

Ale miały nadejść jeszcze inne wojny: pod sztandarami z półksiężycem wojska Proroka uderzyły później na zachód, atakując chrześcijaństwo. Jeszcze później – po wiekach – przetoczyła się tędy fala największego konfliktu zbrojnego, kiedy to stalowe potwory starły się ze sobą na pustyni i nawet z nieba padał śmiercionośny deszcz.

Centurioni, paladyni, dywizje pancerne, a nawet pustynia – wszystko minęło. Lecz droga pozostała – najtrwalszy ze wszystkich tworów człowieka. Już wystarczająco długo nosiła swe brzemień, a teraz na jej całej długości – ponad półtora tysiąca kilometrów – poruszał się tylko jeden chłopiec z koniem.

Brant szedł drogą przez trzy dni, cały czas widząc morze. Przywykł już do drobnych niewygód koczowniczego życia i nawet noce przestały być nieznośne. Pogoda była wspaniała – długie, ciepłe dni i łagodne noce – lecz wkrótce miało się to skończyć.

Czwartego dnia wieczorem ocenił, że znajduje się około ośmiu kilometrów od Shastar. Droga oddalała się teraz od brzegu, by ominąć potężny, wrzynający się w morze cypel. Za nim kryła się zatoka, na której brzegach zbudowano to miasto. Za wzniesieniem droga wielkim łukiem skieruje się ku północy i pobiegnie w dół do Shastar.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku stało się jasne, że Brant nie osiągnie celu swej wyprawy tego samego dnia. Psuła się pogoda, od zachodu szybko napływały gęste, groźne chmury. Teraz szedł pod górę – droga wznosiła się lekko przed ostatnim szczytem – naprzeciw burzy. Chciał na noc rozbić obóz, ale nie znalazł żadnego osłoniętego miejsca, gdyż wzgórze było zupełnie nagie i nie pozostawało mu nic innego jak tylko uparcie iść naprzód.

Daleko przed sobą, na samym szczycie skały, zobaczył jakąś ciemną, niską sylwetkę, odcinającą się na tle groźnego nieba. Nadzieja, że może tam znajdzie schronienie, dodała mu sił. Sunbeam z nisko opuszczoną głową walczyła z wiatrem, mozolnie prac do przodu obok Branta, z taką samą determinacją.

Do szczytu pozostawało jeszcze około półtora kilometra, kiedy zaczął padać deszcz – początkowo bił wściekle pojedynczymi kroplami, a potem lunął strumieniem. Brant widział tylko na kilka kroków, jeśli w ogóle udało mu się otworzyć oczy w zacinającym deszczu. Zmókł do tego stopnia, że ulewa zaczęła mu sprawiać wprost masochistyczną przyjemność. Jednak fizyczne zmaganie się z wichrem po prostu go wyczerpywało.

Zdawało mu się, że upłynęły wieki, zanim droga wróciła do poziomu i zorientował się, że osiągnął szczyt. Wyteżył wzrok i niedaleko przed sobą dojrzał wielki, ciemny kształt, który przez chwilę wziął za budynek. Jeśli nawet jest zrujnowany, może dać schronienie przed burzą.

Kiedy zbliżał się doń, deszcze ustawał, chmury przeredzały się przepuszczając ostatnie, gasnące światło zachodniego nieba. To wystarczyło Brantowi, by stwierdzić, że kształt przed nim wcale nie jest budynkiem, lecz wielkim zwierzęciem z kamienia, przyczajonym na szczycie wrzgórza i spoglądającym w morze. Nie miał czasu przyjrzeć mu się dokładniej – korzystając z osłony, jaką dawał, pospiesznie rozbijał namiot poza zasięgiem wiatru, który jeszcze szalał nad jego głową.

Było już zupełnie ciemno, kiedy się wysuszył i przygotował sobie posiłek. Przez chwilę odpoczywał w swej niewielkiej oazie ciepła, w stanie błogiego wyczerpania jak po ciężkiej, dającej satysfakcję pracy. Potem wstał, wziął latarkę i wyszedł z namiotu.

Wiatr przegonił chmury i noc rozbłysła gwiazdami. Wąski sierp księżyca znikał na zachodzie, mozolnie podążając śladem słońca. Od północy odczuwał – choć nie mógł powiedzieć, w jaki sposób – bezsensną obecność morza. Tam w dole, w ciemności, leżała wiecznie omywana falami Shastar, lecz choć z całych sił wyteżał wzrok, w ogóle niczego nie mógł dostrzec.

Przeszedł wzdłuż boków wielkiego posągu i dokładnie go obejrzał w świetle latarki. Na jego gładkiej powierzchni nie było żadnych spojeń i chociaż kamień zmienił barwę pod wpływem czasu, nie nosił w ogóle śladów zwiędnięcia. Określenie jego wieku okazało się niemożliwe: mógł

równie dobrze być starszy od Shastar, jak i powstać kilka wieków później. Żadnym sposobem nie dało się tego ustalić.

Promień silnego, niebieskawego światła latarki błdził po lśniących od wilgoci bokach potwora, a potem zatrzymał się na jego wielkiej, spokojnej twarzy i pustych oczach. Można by ją wziąć za ludzką, lecz później Brantowi zabrakło słów do jej opisania. Ni to męska, ni kobieca, na pierwszy rzut oka zdawała się obojętna na wszelkie sprawy człowieka; potem jednak zauważył, że burze i wieki pozostawiły na niej swój znak. Niezliczone krople deszczu spływały po tych twardych jak diament policzkach, aż wyrzeźbił' jakby ślady łez – łez może z żalu za miastem, którego narodziny i śmierć zdawały się teraz jednakowo odległe.

Brant był tak zmęczony, że kiedy się obudził, słońce stało już wysoko na niebie. Leżał jeszcze przez chwilę w świetle filtrowanym przez płótno namiotu, otrząsając się z resztek snu i przypominając sobie, gdzie jest. Potem wstał, mrugając powiekami wyszedł na światło dzienne i zasłonił sobie oczy przed oślepiającym blaskiem.

Sfinks wydawał się mniejszy niż w nocy, choć i tak wyglądał imponująco. Brant dopiero teraz zauważył, że był pomalowany: głęboka barwa jesiennego złota nie jest naturalnym kolorem żadnej ze skał. Wywnioskował z tego, że posąg nie należał do jakiejś prehistorycznej kultury, jak do niedawna skłonny był przypuszczać. Ten twór nauki powstał z jakiegoś nieprawdopodobnie odpornego, syntetycznego materiału i Brant domyślił się, że musiał być zbudowany mniej więcej w połowie czasu, jaki upłynął między jego bajkowym pierwowzorem a teraźniejszością.

Obawiając się trochę tego, co zobaczy, z wolna odwrócił się tyłem do Sfinksa i spojrzął na północ. Wzgórze u jego stóp opadało, po długim zaś stoku biegła w dół droga, jakby niecierpliwie spiesząc na powitanie morza, a tam, na jej końcu leżała Shastar.

Miasto chwyciło światło słońca i odbijało je w stronę Branta wszystkimi barwami marzeń jego twórców. Przestronne domy przy szerokich ulicach wydawały się nie tknięte przez czas; długa, jeszcze nienaruszona wstęga marmuru osłaniała zatokę przed morzem, parki i ogrody, choć porośnięte chwastami, nie zdążyły zamienić się w dżunglę. Miasto przylegało do łuku zatoki na długości jakichś trzech kilometrów i rozciągało się w głąb lądu na półtora kilometra; według dawnych kryteriów było rzeczywiście bardzo małe. Brantowi wydawało się jednak ogromne i nie mógł się połapać w jego zawilum labiryncie ulic i placów. Potem zaczął dostrzegać ukrytą w jego układzie harmonię, rozróżniać główne ulice, a w końcu uzmysłowił sobie, jak umiejętnie jego twórcy uniknęli zarówno monotonii, jak i dysonansów.

Przez dłuższy czas Brant stał bez ruchu na szczycie, świadom jedynie cudownego widoku, który roztaczał się przed jego oczami. Stał tak samotnie – mały, pokorny i zagubiony – wobec osiągnięć wielkich ludzi, przytłoczony historią, wizją długiej i ciężkiej drogi pod górę, z jaką zmagali się Człowiek przez milion lat albo dłużej. W chwili tej Brant miał wrażenie, że patrzy nie na Przestrzeń, lecz raczej na Czas: że w uszach szumią mu wiatry wieczności, odsłaniając przeszłość.

Kiedy zbliżali się do przedmieść, Sunbeam, która nigdy w życiu

nie widziała czegoś takiego, zdawała się denerwować, a i Brant nie mógł pozbyć się uczucia zaniepokojenia. Czy ma się bujną wyobraźnię, czy też nie, w domach puszczonej przed wiekami zawsze jest coś niepokojącego, a w Shastar pozostawały one puste przez prawie pięć tysięcy lat.

Droga biegła jak strzała między dwoma wysokimi słupami z białego metalu, które, podobnie jak Sfinks, jedynie zmatowiały. Brant i Sun-beam przeszli między tymi milczącymi stróżami i znaleźli się przed niskim, długim budynkiem, który zapewne służył ongiś za rodzaj recepcji dla przyjezdnych.

Z daleka Shastar wyglądała, jakby opuszczono ją zaledwie poprzedniego dnia, lecz teraz Brant dostrzegał mnóstwo oznak zniszczenia i braku opieki. Patyna czasu pokrywała kamienne, malowane budynki, patrzące pustymi oczodołami powybijanych okien, w których tylko miejscami zachowały się cudem ocalałe kawałki szyb.

Brant przywiązał Sunbeam przed pierwszym budynkiem i ruszył do wejścia po grubej warstwie gruzu i śmieci. Nie zauważył żadnych drzwi, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam istniały. Poprzez



łukowato sklepioną bramę wszedł do westybulu, który chyba biegł przez całą długość budynku. Po obu jego stronach, w regularnych odstępach znajdowały się otwory prowadzące do dalszych pomieszczeń, a wprost przed sobą Brant zobaczył szerokie schody, łączące parter z jedynym piętrem.

Prawie godzinę zajęło mu przeszukiwanie budynku, a kiedy go opuścił, poczuł bezgraniczne przygnębienie. Jego staranne poszukiwania absolutnie nic nie dały. Wszystkie pomieszczenia, duże i małe, zionęły pustką; czuł się jak mrówka wędrująca po kościach do czysta objedzo-nego szkieletu.

Kiedy jednak wyszedł na słońce, nastrój mu się nieco poprawił. Budynek prawdopodobnie służył niegdyś za biuro, w którym nigdy nie znajdowało się nic poza rejestrami i automatycznymi informatorami; gdzie indziej wszystko mogło wyglądać odmiennie. Gdyby nawet tak było, przeraziły go rozmiary poszukiwań.

Powoli skierował swe kroki w stronę przylegającej do morza części miasta, z obawą przemierzając szerokie aleje i podziwiając wysokie fasady budynków po obu stronach. W pobliżu centrum miasta natknął się na jeden z licznych parków. Porastały go przeważnie chwasty i krzaki, lecz na sporej powierzchni rosła jeszcze trawa, postanowił więc zostawić tu Sunbeam na czas dalszych poszukiwań. Niepodobna, by się oddaliła, mając tyle jedzenia.

W parku panował taki spokój, że przez chwilę Brant wcale nie miał ochoty wracać do opustoszałego miasta. Zauważył tam nie znane mu przedtem rośliny: zdziczałe potomstwo tych, które przed wiekami pielęgowali mieszkańcy Shastar. Stojąc tak wśród wysokich traw i nieznanych kwiatów, Brant po raz pierwszy usłyszał w cichym spokoju poranka dźwięk, który potem zawsze kojarzył mu się z Shastar. Dochodził od strony morza i choć jeszcze nigdy w życiu nie słyszał tego dźwięku, miał wrażenie, że rozpoznaje go aż do bólu w głębi serca. Teraz, kiedy dawno już ucichły wszystkie inne dźwięki, jedynie ów żalony krzyk samotnych mew niósł się nad falami.

Było całkiem jasne, że potrzeba wielu dni na choćby najbardziej powierzchowne zbadanie miasta, a przede wszystkim należało znaleźć jakieś mieszkanie. Brant stracił kilka godzin na poszukiwanie dzielnicy mieszkaniowej, zanim zaczęło mu świtać, że Shastar ma w sobie coś dziwnego. Wszystkie budynki w mieście służyły bez wyjątku pracy, rozrywce i podobnym celom, lecz żadnego z nich nie zaprojektowano, by w nim mieszkać. Powoli znalazł rozwiązanie. Kiedy coraz bardziej poznawał układ miasta, zauważył, że przy niemal każdym skrzyżowaniu ulic stały niskie, jednopiętrowe, prawie identyczne budowle. Do tych okrągłych lub owalnych budynków prowadziły ze wszystkich stron liczne wejścia. Brant wybrał jedno z nich i znalazł się przed szeregiem dużych, metalowych drzwi, z których każde miały z boku pionowy rząd lampek sygnalizacyjnych. Teraz już wiedział, gdzie mieszkało się w Shastar.

Ideę podziemnych domów uznał początkowo za całkowicie odrażającą. Później jednak pokonał uprzedzenia i zrozumiał, jak bardzo sensowny – a także nieunikniony – był ten pomysł. Uwolniono się w ten sposób od konieczności zaśmiecania powierzchni budynkami, wzajemnie odbierającymi sobie światło słoneczne, przeznaczonymi jedynie do spania i jedzenia, które bądź co bądź są czynnościami wykonywanymi automatycznie. Chowając to wszystko pod ziemię, mieszkańcy Shastar zbudowali wspaniałe i przestronne miasto, a przy tym ograniczyli jego wielkość, tak by w ciągu godziny dało się przejść z jednego końca na drugi.

Windy oczywiście już nie działały, lecz do ciemnych podziemi wiodły liczne klatki kręconych schodów zapasowych. Niegdyś ten podziemny świat musiał być pełen światła, ale teraz Brant zawahał się, zanim ruszył w dół. Miał wprawdzie ze sobą latarkę, lecz nigdy jeszcze nie przebywał pod ziemią i obawiał się zabłądzić w jakichś katakumbach. Potem wzruszył ramionami i zaczął schodzić: w każdym razie nie spotka go żadne niebezpieczeństwo, jeśli zachowa najbardziej elementarne środki ostrożności, a prócz tego mógł skorzystać z setek innych wyjść, gdyby zgubił drogę.

Zszedł na pierwszą kondygnację i znalazł się w długim, szerokim korytarzu, który ciągnął się w głąb tak daleko, jak tylko sięgało światło latarki Branta. Z obu stron dostrzegł rzędy ponumerowanych drzwi, lecz dopiero po kilkunastu próbach jedno z nich ustąpiło. Powoli, nawet z pewnym szacunkiem, wszedł do niewielkiego mieszkania, które stało puste przez prawie połowę pisanej historii.

7–Spotkanie,.

Było schludne i wysprzątane – nie zauważył ani kurzu, ani żadnych śmieci. W pokojach o doskonałych proporcjach brakowało mebli – powolny exodus sprzed wieków nie pozostawił po sobie nic wartościowego. Półstałe wyposażenie częściowo znajdowało się jeszcze na miejscu: dystrybutor żywności, z dobrze znaną Brantowi tarczą numerową, tak uderzająco przypominał urządzenie, jakie miał we własnym domu, że jego widok pozwolił mu na chwilę zapomnieć o minionych wiekach. Tarcza, choć opornie, jeszcze się kręciła, i wcale by się nie zdziwił, gdyby zobaczył nagle jakieś danie w komorze materializacyjnej.

Obejrzał również kilka innych mieszkań, zanim powrócił na powierzchnię. Chociaż nie znalazł nic wartościowego, narastało w nim poczucie pokrewieństwa z ludźmi, którzy niegdyś tu mieszkali. Jednak w dalszym ciągu uważał, że stali niżej od niego, ponieważ żyli w mieście – choćby najpiękniejszym i najwspanialej zaprojektowanym – a dla Branta miasto symbolizowało barbarzyństwo.

W ostatnim mieszkaniu znalazł kolorowo pomalowany pokój, którego ściany pokrywał fresk przedstawiający tańczące zwierzęta. Pełne zabawnego humoru obrazki musiały zachwycać dzieci, dla których je przeznaczono. Brant obejrzał je z zainteresowaniem, gdyż były to pierwsze przykłady sztuki przedstawiającej, jakie napotkał w Shastar. Zbierał się już do wyjścia, kiedy w rogu pokoju zauważył niewielką kupkę śmieci. Pochylił się, by ją zbadać, i dostrzegł dające się jeszcze rozpoznać kawałki jakiejś lalki. Z trwalszych fragmentów pozostało tylko kilka guzików, lecz kiedy chciał je podnieść, rozsypały się między palcami w proch. Zastanawiał się, dlaczego właścicielka lalki zostawiła tę smutną pamiątkę, a potem cichutko wyszedł i wrócił na powierzchnię do pustych, lecz zalanych słońcem ulic. Do podziemnego miasta nie poszedł już nigdy więcej.

Pod wieczór wrócił do parku, by sprawdzić, czy nic złego nie spotkało Sunbeam, i przygotować się do spędzenia nocy w jednym z licznych niewielkich budynków, stojących w ogrodach. Tutaj otaczały go kwiaty i drzewa, mógł więc czuć się prawie jak w domu. Spał najlepiej od czasu opuszczenia Chaldis i po raz pierwszy od wielu dni zasnął nie myśląc o Yradne. Na jego umysł zaczął już oddziaływać czas Shastar; nieskończona złożoność cywilizacji, którą traktował z pogardą, zmieniła go bardziej niespostrzeżenie, niż mógłby się spodziewać. Im dłużej przebywał w tym mieście, tym bardziej oddalał się od naiwnego, choć pewnego siebie chłopca, który tu przybył przed zaledwie kilkoma godzinami.

Drugi dzień potwierdził wrażenia pierwszego. Shastar nie umierała przez rok czy nawet przez jedno pokolenie. Jej mieszkańcy opuszczali ją powoli, gdy rozwinął się nowy – i jakże już stary! – model społeczeństwa i ludzie powrócili do lasów i wzgórz. Nie zostawili nic po sobie oprócz tych marmurowych pomników dawnego stylu życia, który odszedł

na zawsze. Jeśli nawet pozostało coś wartościowego, liczni ciekawi badacze, którzy docierali tu w ciągu minionych pięćdziesięciu wieków, już dawno zdążyli to zabrać. Brant odnalazł wiele śladów swych przodków – widział ich imiona wyrżnięte na murach w całym mieście, gdyż temu sposobowi zapewniania sobie nieśmiertelności ludzie nigdy nie mogli się oprzeć.

Znużony w końcu bezowocnymi poszukiwaniami, zszedł na brzeg morza i usiadł na szerokim, marmurowym falochronie. Leżące y jego stóp ciemnoniebieskie morze było zupełnie spokojne, tak gładkie i przejrzyste, że mógł obserwować ryby pływające w głębinach, a w pewnym miejscu dostrzegł leżący na burcie wrak, porośnięty wodorostami, które unosiły się prosto do góry niczym długie, zielone włosy. Wiedział jednak, że przez ten masywny mur muszą się czasem przetaczać z

grzmiotem fale, gdyż falochron za jego plecami pokrywały grubym dywanem kamienie i muszle, ciskane tam przez liczne sztormy w ciągu wieków.

Kojący spokój tej scenerii i niezapomniane, pogładowe lekcje bezsensu ambicji, jakie otrzymywał na każdym kroku, sprawił, że zupełnie opuściło go uczucie rozczarowania czy porażki. Chociaż Shastar nie dała mu nic, co miałyby wartość materialną, Brant nie żałował, że zdecydował się na tę podróż. Siedząc tutaj, na falochronie, tyłem do lądu, z oczami pełnymi oślepiającego błękitu, już teraz czuł się daleki od swych dawnych problemów i bez żadnego bólu, jedynie z beznamiętną ciekawością mógł patrzeć wstecz na wszystkie troski sercowe i niepokoje trapiące go w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Powoli wracał do miasta, zrobiwszy przedtem krótki spacer wzdłuż wybrzeża, by w drodze powrotnej iść inną trasą. Wkrótce znalazł się przed dużym, okrągłym budynkiem, przykrytym płaską kopułą z jakiegoś przezroczystego tworzywa. Wyczerpanie psychiczne sprawiło, że patrzył nań z niewielkim zainteresowaniem, uznając go za jeszcze jeden teatr czy salę koncertową. Już prawie minął wejście, gdy jakiś niejasny impuls kazał mu zawrócić i przekroczyć otwarte drzwi.

Dach zatrzymywał tak niewiele wpadającego do wnętrza światła, że Brant miał wrażenie, jakby stał pod gołym niebem. Cały budynek był podzielony na liczne sale, których przeznaczenie uświadomił sobie z nagłym ożywieniem. Wymowne prostokątne ślady na ścianach zdradzały, że niegdyś prawie całkowicie pokrywały je obrazy, istniała więc możliwość, że niektóre z nich gdzieś pozostały, a byłoby interesujące zobaczyć, co Shastar miała do zaoferowania w dziedzinie poważnej sztuki. W dalszym ciągu przekonany o swojej wyższości, Brant nie spodziewał się żadnych rewelacji, tym większy więc przeżył szok.

Niby nagły dźwięk fanfary poraził go wybuch koloru na całej długości ściany. Przez chwilę stał w wejściu jak sparaliżowany, niezdolny pojąć ani formy, ani znaczenia tego, co zobaczył. Potem z wolna zaczął

rozróżniać szczegóły ogromnego i rozbudowanego fresku, który nagle wybuchnął mu przed oczami.

Miał około trzydziestu metrów długości i był bez porównania najcudowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek w życiu widział Brant. Shastar napawała go lękiem i przytłaczała, a jednak, rzecz dziwna, jej tragedia nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Lecz ten fresk trafił mu wprost do serca i przemawiał zrozumiałym dlań językiem; a kiedy tak patrzył, do reszty zniknęła cała jego protekcyjność wobec przeszłości, rozwiana jak niesione wiatrem liście.

Wzrok biegł po obrazie w sposób naturalny – od lewej do prawej – w ślad za krzywą rosnącego napięcia, aż do punktu kulminacyjnego. Z lewej strony było morze, modre jak wody zatoki, omywające Shastar; jego płaszczyznę przecinała flota jakichś dziwnych okrętów, poruszanych kilkoma rzędami wiosł i żaglami wydętymi w kierunku odległego lądu. Obraz obejmował nie tylko kilometry przestrzeni, ale również chyba całe lata, gdyż w innym miejscu okręty dobijały do brzegu, a na rozległej równinie obozowało jakieś wojsko ze sztandarami, namiotami i rydwanami, pomniejszonymi przez mury obleganego przezeń miasta-fortecy. Wzrok przemierzał te jeszcze całe mury i zatrzymywał się, co było intencją artysty, na stojącej tam kobiecie, spoglądającej z góry na wojska, które w ślad za nią przybyły zza oceanu.

Pochylona do przodu, patrzyła ponad blankami, a wiatr rozwiewał jej włosy, które tworzyły złotą mgiełkę wokół głowy. Na jej twarzy malował się trudny do opisu słowami, głęboki smutek, który jednak nie szpecił tej niewiarygodnej urody, urody tak wielkiej, że urzeczony Brant przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać od niej oczu. Kiedy w końcu udało mu się to uczynić, podążył wzrokiem za jej spojrzeniem w dół, po tych z pozoru nie do zdobycia murach, do grupy żołnierzy ciężko pracujących w ich cieniu. Otaczali coś tak zniekształconego perspektywą, że dopiero po jakimś czasie Brant uzmysłowił sobie, co to jest. Była to ogromna figura konia, zaopatrzona w koła, żeby dało się ją przetaczać. Z niczym mu się nie kojarzyła, więc szybko powrócił do samotnej postaci na murach, która, co dostrzegł dopiero teraz, stanowiła oś i centralny punkt całego obrazu. Kiedy bowiem wzrok przesunął się dalej, przenosząc myśl w przyszłość, spoczywał na ruinach

fortyfikacji, a potem na przysłaniających niebo dymach płonącego miasta, w końcu zaś na flocie, powracającej do domu po wypełnieniu swej misji.

Brant wyszedł stamtąd dopiero wówczas, gdy zrobiło się tak ciemno, że już nic nie widział. Kiedy minął pierwszy szok, dokładniej przyjrzał się wielkiemu malowidłu i przez chwilę na próżno szukał sygnatury artysty. Próbował również znaleźć jakiś podpis albo tytuł, lecz najwyraźniej nic takiego nigdy nie istniało, być może dlatego, że było zbędne, gdyż zapewne wszyscy zbyt dobrze znali tę historię. Jednak jakiś późniejszy gość, który znalazł się w Shastar przed Brantem, wskrobał obok na ścianie dwuwiersz:

• Czy do Troi tysiąc statków ściągnęły te lica, By spaliły strzeliste jej wieże do nica?

Troja, Dziwna i magiczna nazwa, lecz Brantowi nic nie mówiła. Zastanawiał się, czy istniała naprawdę, czy tylko w bajkach, nie wiedząc, jak wielu borykało się przed nim z tym problemem.

Kiedy wychodził stamtąd o zmierzchu, w oczach miał jeszcze obraz tej smutnej, eterycznej piękności. Być może, gdyby sam nie był artystą i gdyby miał inny nastrój, obraz ten nie wywarłby na nim takiego wrażenia. Jednak nieznanemu artyście pragnął wywołać właśnie takie wrażenie, które, jak Feniks z popiołów, powstaje ze zgliszcz wielkiej legendy. Udało mu się uchwycić i przekazać wszystkim przyszłym pokoleniom to piękno, któremu służenie jest celem życia i jego jedynym uzasadnieniem.

Przez dłuższy czas Brant siedział pod gwiazdami, obserwując sierp Księżyca chowający się za wieże miasta, a w głowie kłębiły mu się pytania, na które nigdy nie miał znaleźć odpowiedzi. Wszystkie pozostałe obrazy z tej galerii zniknęły bez śladu, rozproszone nie tylko po całym świecie, lecz w całym Kosmosie. Jak one miały się to tego jedynego, genialnego dzieła, które na zawsze musi reprezentować sztukę Shastar?

Następnego dnia rano Brant powrócił tam po nocy pełnej dziwnych snów. Przyszedł mu do głowy pewien plan, lecz tak szalony i ambitny, że w pierwszej chwili sam go wyśmiał. Jednak myśl o nim nie dawała mu spokoju, więc prawie niechętnie rozstawił swe składane sztalugi i przygotował farby. Znalazł w Shastar tylko jedną rzecz, zarówno piękną, jak i wyjątkową; być może wystarczy mu zdolności, by zabrać ze sobą do Chaldis choć marne jej odbicie.

Nie mógł oczywiście skopiować więcej niż tylko jakiś fragment tego wielkiego malowidła, lecz sprawa jego wyboru nie nastęrczała trudności. Chociaż nigdy nie próbował s portretować Y radne, teraz będzie malował kobietę, która – jeśli w ogóle istniała – od pięciu tysięcy lat była prochem.

Kilkakrotnie przerywał pracę, zastanawiając się nad tym paradoksem, aż w końcu uznał, że znalazł rozwiązanie. Nigdy nie malował Yradne, bo wątpił w swoje zdolności i obawiał się krytyki z jej strony. „Tu nie będzie z tym żadnego kłopotu”, powiedział do siebie. Ani na chwilę nie przestał malować, by zadać sobie pytanie, jak zareaguje Yradne na jego powrót do Chaldis z portretem innej kobiety jako jedynym podarunkiem.

Tak naprawdę malował tylko dla siebie, dla nikogo więcej. Po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z wielkim dziełem sztuki klasycznej,

które ścięło go z nóg. Dotychczas był dyletantem i mógł pozostać nim na zawsze, ale przynajmniej spróbuje.

Pracował uparcie przez cały dzień i sam fakt, że skoncentrował się na tym, co robi, dał mu pewien spokój ducha. Do wieczora naszkicował ściany pałacu i mury obronne i już zabierał się do samego portretu. Tej nocy spał dobrze.

Następnego dnia rano opuścił go prawie cały poprzedni optymizm

– kończyła się żywność i chyba myśl, że ściga się z czasem, odebrała mu pewność siebie. Miał wrazenie, że nic mu nie wychodzi, że źle dobiera kolory, a obraz, który wczoraj wyglądał tak obiecująco, z każdą minutą staje się coraz gorszy.

Na domiar złego popsulo się światło, choć było zaledwie południe, i Brant domyślił się, że niebo pokryły chmury. Zrobił sobie krótką przer-

\*wę w nadziei, że może się przejaśni, ale ponieważ nie zanosilo się na to, ponownie przystąpił do pracy. Teraz albo nigdy – jeśli nie poradzi sobie z tymi włosami, ze wszystkiego zrezygnuje...

Kończyło się popołudnie, lecz zajęty pracą Brant nie zwracał uwagi na upływ czasu. Parę razy zdawało mu się, że grzmi, więc przyszło mu na myśl, że zbiera się na burzę, bo niebo wciąż było ciemne.

Nic bardziej nie deprymuje człowieka niż nagle, zupełnie nieoczekiwane przeświadczenie, że nie jest już sam. Trudno powiedzieć, co sprawiło, że Brant powoli odłożył pędzel i nawet jeszcze wolniej odwrócił się w stronę wielkiego wejścia, które miał kilkanaście metrów za plecami. Stojący tam człowiek musiał wejść prawie bezszelestnie i nie wiadomo, jak długo obserwował Branta. Po chwili pojawili się jego dwaj towarzysze, którzy również nie przekroczyli progu.

Brant wstał z wolna, całkowicie oszołomiony. Przez chwilę był prawie gotów pomyśleć, że powróciły duchy przeszłości Shastar, by go straszyć, lecz rozsądek zwyciężył. W końcu dlaczego nie miałby spotkać tu innych przybyszów, skoro sam nim był?

Zrobił kilkanaście kroków do przodu i jeden z obcych uczynił to samo. Kiedy znaleźli się o kilka metrów od siebie, ten drugi przemówił, bardzo wyraźnie i dość wolno:

– Mam nadzieję, że nie przeszkodziliśmy.

Nie był to zbyt dramatyczny początek rozmowy. Branta nieco zaintrygował akcent tego człowieka, a ściślej, jego przesadnie wyraźny sposób mówienia. Miał wrażenie, jakby tamten sądził, że w przeciwnym razie nie zostanie zrozumiany,

– Ależ skądże, nic się nie stało – odparł Brant równie wolno. – Ale mnie zaskoczyliście; nie spodziewałem się, że mogę tu kogoś spotkać.

– My również – rzekł tamten, z lekka się uśmiechając. – Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś jeszcze mieszka w Shastar.

– Ja tu wcale nie mieszkam – wyjaśnił Brant. – Jestem tylko gościem jak wy.

Obcy popatrzyli na siebie, jak gdyby równocześnie przypomnieli sobie jakiś im tylko znany dowcip. Potem jeden z nich uniósł do ust niewielki, wiszący u jego pasa metalowy przedmiot i powiedział kilka słów, jednak za cicho, by Brant je usłyszał. Domyślił się, że reszta towarzystwa jest w drodze, i zmartwiła go bliska perspektywa całkowitej utraty samotności.

Dwaj obcy podeszli do wielkiego malowidła na ścianie i zaczęli krytycznie mu się przyglądać. Branta ciekawiło, o czym myśleli. Trochę żałował, że musi dzielić swój skarb z ludźmi, którzy nie podchodzą doń z takim samym szacunkiem, jak on, i dla których jest tylko ślicznym obrazkiem. Trzeci pozostał przy Brancie, jak najdyskretniej porównując jego kopię z oryginałem. Wszyscy zdawali się umyślnie unikać rozmowy. Zapanowało długie, kłopotliwe milczenie i wtedy powrócili dwaj pozostali.

– No, Erlyn, co o tym sądzisz? – spytał jeden z nich, wskazując rękę na fresk.

Wszyscy trzej jakby na chwilę zapomnieli o Brancie.

– To bardzo piękny prymityw z końca trzeciego tysiąclecia, równie dobry jak to, co mamy. Nie uważasz, Latvar?

– Niezupełnie. Nie powiedziałbym, że to późne trzecie. Po pierwsze, tematyka...

– Daj spokój tym swoim teoriom! Ale chyba masz rację. To zbyt dobre, jak na koniec tego okresu. Zastanowiwszy się, datowałbym to na około 2500. Co ty na to, Trescon?

– Podzielam twoje zdanie. Prawdopodobnie Aroon albo jeden z jego uczniów.

– Bzdura! – rzekł Latvar.

– Nonsens! – parsknął Erlyn.

– Znakomicie – powiedział ubawiony Trescon. – Ja studiowałem ten okres zaledwie trzydzieści lat, a wy poczytaliście sobie coś niecoś na ten temat po naszym starciu. Chylę czoło przed waszą wiedzą.

Brant śledził rozmowę z rosnącym zdziwieniem, coraz bardziej zdezorientowany.

– Czy wszyscy trzej jesteście artystami? – wypalił w końcu.

– Oczywiście – odparł Trescon z godnością. – Inaczej co byśmy tutaj robili?

– Nie łyj – powiedział Erlyn, nawet nie podnosząc głosu. – Nie zostaniesz artystą, nawet 'gdybyś żył tysiąc lat. Jesteś zwykłym ekspertem i doskonale o tym wiesz. Kto może – jest, kto nie może – krytykuje.

– Skąd przybyliście? – trochę nieśmiało spytał Brant. Nigdy jeszcze nie spotkał tak niezwykłych ludzi. Wszyscy trzej byli w średnim wieku, lecz odznaczali się prawie młodzieńczą werwą i entuzjazmem. Ich ruchy i gesty trochę raziły nienaturalnością, a kiedy rozmawiali między sobą, mówili tak szybko, że Brant ledwo ich rozumiał. Zanim którykolwiek zdążył odpowiedzieć, ponownie im przerwano. W wejściu ukazało się kilkunastu mężczyzn, którzy stanęli jak wryci na widok wielkiego malowidła. Potem pospiesznie przyłączyli się do grupki wokół Branta, który teraz znalazł się w centrum niewielkiego tłumu.

– Proszę, Kondarze – powiedział Trescon, wskazując na Branta. – Oto znaleźliśmy kogoś, kto może odpowiedzieć na twoje pytania.

Człowiek, do którego skierowano te słowa, uważnie przyjrzał się Brantowi, rzucił przelotne spojrzenie na jego nie skończony obraz i lekko się uśmiechnął. Potem odwrócił twarz do Trescona z pytająco uniesionymi brwiami.

– Nie – rzucił krótko Trescon.

Zaczęło to irytować Branta. Niczego nie rozumiał i czuł się dotknięty-

– Może mi powiecie, o co tu idzie? – spytał żałośnie. Kondar popatrzył nań z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Może uda mi się lepiej wszystko wyjaśnić – rzekł cicho – jeśli wyjdziemy na zewnątrz.

Powiedział to takim tonem, jakby nigdy nie musiał niczego powtarzać dwa razy, i Brant wyszedł za nim bez słowa, a tuż za jego plecami toczyli się pozostali. Przed samym wyjściem Kondar odsunął się w bok i gestem przepuścił go przed sobą.

W dalszym ciągu panowała nienaturalna ciemność, jak gdyby słońce zakryła chmura burzowa, lecz cień, który padał na całą Shastar, nie był cieniem chmury.

Kilkanaście par oczu obserwowało Branta, który patrzył w niebo i próbował ocenić rzeczywistą wielkość unoszącego się nad miastem statku. Wisiał tak nisko, że traciło się wszelkie poczucie perspektywy – do świadomości docierała jedynie ogromna płaszczyzna metalu, zanikająca nad horyzontem. Żaden dźwięk, po prostu nic nie wskazywało, jaka siła utrzymuje tę potworną masę, nad Shastar – zalegała jedynie głęboka cisza, jakiej Brant jeszcze nie znał. Nawet mewy umilkły, jakby one również przestraszyły się intruza, który uzurpował sobie prawo do ich nieba.

W końcu Brant odwrócił się do zgromadzonych za nim mężczyzn. Wiedział, że czekają na jego reakcję, i nagle zrozumiał, dlaczego odnosili się doń z taką dziwną rezerwą, choć całkiem przyjaźnie. Dla tych ludzi, cieszących się posiadaniem mocy bogów, był pewnie dzikusiem, który przypadkowo mówi tym samym językiem – przeżytkiem ich własnej, na poły zapomnianej przeszłości, przypomnieniem czasów, kiedy ich i jego przodkowie zamieszkiwali wspólnie Ziemię.

– Teraz rozumiesz, kim jesteśmy? – spytał Kandor. Brant skinął głową.

– Długo was nie było – rzekł. – Prawie już zapomnieliście o nas.

Jeszcze raz popatrzył na ogromną, przesłaniającą niebo płaszczyznę metalu i pomyślał – jakie to dziwne, że pierwsze spotkanie po tylu wiekach wypadło akurat tutaj, w tym opuszczonym przez ludzi mieście. Chyba jednak tam, wśród gwiazd, dobrze zapamiętano Shastar, gdyż Trescon i jego przyjaciele pojawili się tu, doskonale ją znając.

I wtedy, daleko na północy, wzrok Branta pochwyił nagły błysk odbitego światła słonecznego. Prostopadle do pasa nieba zasłoniętego przez statek sunął inny metalowy olbrzym, który mógł być jego bliźniakiem, choć pomniejszonym przez odległość. Przemknął nad horyzontem i po kilku sekundach zginął z oczu.

A więc to nie jedyny statek; ile jeszcze mogło ich tam być? Myśl ta w dziwny sposób skojarzyła mu się z wielkim malowidłem, na które niedawno patrzył, i z tą flotą inwazyjną, płynącą z morderczymi zamiarami w stronę skazanego na zagładę miasta. Równocześnie pojawił się,

wypełzając z otchłani pamięci, atawistyczny strach przed obcymi, którzy niegdyś byli przekleństwem ludzkości. Brant odwrócił się do Kondara i wykrzyknął tonem oskarżenia:

– Jesteście najeźdźcami!

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem przemówił Trescon z lekką ironią w głosie:

– No, mów, komandorze. Wcześniej czy później musisz to wyjaśnić. Masz teraz doskonałą okazję. Na twarzy komandora Kondara ukazał się cień uśmiechu, zakłopotania, który początkowo uspokoił Branta, a potem napełnił jeszcze gorszymi przeczuciami.

– Wyrządzasz nam krzywdę, młody człowieku – powiedział z powagą. – Nie jesteśmy najeźdźcami. Po prostu ewakuujemy Ziemię.

– Mam nadzieję – rzekł Trescon, który teraz protekcyjnie zainteresował się Brantem – że tym razem była to lekcja dla uczonych, chociaż wątpię. Mówią po prostu, że wypadki się zdarzają, a kiedy zrobią porządek z jedną sprawą, natychmiast zabałaganiają coś innego. Dotychczas ich największym fiaskiem okazało się Pole Sigma, ale nie ustają w postępkach.

– A co będzie, jeśli uderzy ono w Ziemię?

– To samo, co się stało z aparaturą kontrolną, kiedy Pole im uciekło: rozsypie się równomiernie po całym Kosmosie. A wy z nią, jeśli w porę nie zdążymy was stąd zabrać.

– Ale dlaczego? – spytał Brant.

– Chyba nie żadasz ode mnie szczegółów technicznych, prawda? To ma coś wspólnego z Nieokreślonością. Już starożytni Grecy, a może Egipcjanie, odkryli, że nie można określić pozycji żadnego atomu z abso-

lutną dokładnością; istnieje niewielkie, lecz określone prawdopodobieństwo, że taki atom może znaleźć się w dowolnym miejscu w Kosmosie. Ludzie, którzy stworzyli Pole, myśleli, że da się je wykorzystać jako napęd. Miało zwiększyć możliwości atomów, aby na przykład statek orbitujący wokół Węgi mógł nagle przenieść się błyskawicznie na orbitę wokół Betelgezy. Jednak wydaje się, że Pole Sigma spełniło pokładane w nim nadzieje tylko w połowie: zwiększyło liczbę możliwości, nie organizując ich. A teraz samopas wędruje sobie bezładnie wśród gwiazd, doładowując się pyłem kosmicznym i przypadkowo napotkanymi słońcami. Jeszcze nie wymyślono sposobu zneutralizowania Pola, choć już ktoś wystąpił z przerażającą propozycją, żeby wytworzyć jego bliźniaka i przeprowadzić eksperymentalną kolizję. Jeśli do tego dojdzie, doskonale wiem, co się stanie.

– Nie widzę powodu do zmartwień – rzekł Brant. – Jest jeszcze o dziesięć lat świetlnych stąd.

– Dziesięć lat świetlnych to za blisko dla czegoś takiego jak Pole Sigma. Zygzakuje bezładnie „chodem pijaka”, jak to nazwali matematycy. Jeżeli będziemy mieli pecha, może znaleźć się tu nawet jutro. Lecz szansę, że Ziemia pozostanie nietknięta, mają się jak dwadzieścia do jednego. Za kilka lat będziemy mogli powrócić do domu, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

„Jak gdyby nigdy nic się nie stało!” Cokolwiek przyniesie przyszłość, dotychczasowy tryb życia zmieni się na zawsze. To, co dzieje się w Shastar, musi odbywać się teraz na całej planecie. Szeroko otwartymi oczami Brant obserwował, jak wspaniałymi ulicami toczą się dziwne maszyny, usuwając nagromadzony tam przez wieki gruz i przygotowując miasto do ponownego zamieszkania. Bowiem tak jak prawie wygasła gwiazda może wybuchnąć płomieniem w ostatniej godzinie chwały, podobnie na kilka miesięcy Shastar stanie się jedną ze stolic świata, zamieszkaną przez armię uczonych, techników i organizatorów, którzy przybyli z Kosmosu.

Brant poznawał intruzów coraz lepiej. Ich energia, przesada we wszystkim, co robili, i prawie dziecięca radość, z jaką korzystali ze swej nadludzkiej potęgi, nie przestawały go dziwić. To oni, jego kuzyni, są spadkobiercami całego Wszechświata, którego cuda jeszcze ich nie wyczerpały ani tajemnice nie znużyły. Mimo całej swej wiedzy w wielu rzeczach, które robili, wciąż odczuwało się niepotrzebne eksperymentowanie, a nawet beztroski brak odpowiedzialności. Za przykład może służyć Pole Sigma – popełnili błąd, ale sprawiają wrażenie, jakby w najmniejszym stopniu tym się nie przejmowali, i są święcie przekonani, że wcześniej czy później wszystko naprawią.

Pomimo zgiełku panującego w Shastar, a właściwie na całej planecie, Brant uporczywie trwał przy swym zadaniu. Dawało mu poczucie czegoś ustalonego, pewnej stabilizacji w świecie zmiennych wartości, kurczowo więc się tego trzymał. Od czasu do czasu odwiedzał go Trescon lub jego koledzy, udzielając mu rad – zazwyczaj doskonałych, lecz nie zawsze z nich korzystał. Czasem, kiedy się zmęczył i pragnął dać wytchnienie swym oczom czy umysłowi, opuszczał wielkie, puste galerie i wychodził na odmienione ulice miasta. Było to typowe dla jego nowych mieszkańców, że chociaż mieli pozostać tu jedynie kilka miesięcy, nie szczędzili wysiłków, by uczynić z Shastar czyste i sprawnie funkcjonujące miasto i nadać mu absolutne piękno, które zdumiałoby nawet jego budowniczych.

Pod koniec czwartego dnia – jeszcze nigdy nie poświęcił tyle czasu jednemu obrazowi – B ran t przerwał pracę. Mógłby mordować się z nim bez końca, ale to tylko pogorszyłoby wszystko. W miarę zadowolony ze swego dzieła, udał się na poszukiwanie Trescona.

Znalazł krytyka jak zwykle spierającego się z kolegami o to, co należy uratować z nagromadzonej sztuki ludzkości. Latvar i Erlyn grozili, że dojdzie do rękoczynów, jeżeli na pokładzie znajdzie się jeszcze jeden Picasso, albo odrzuci się jakiegoś Fra Angelico. Brant nie słyszał o żadnym z nich, bez żalu więc zrezygnował z forsowania własnego zdania w tej sprawie.

Trescon stał przed obrazem w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na oryginał. Jego pierwsza uwaga była zupełnie zaskakująca.

– Co to za dziewczyna? – spytał.

– Sam mi przecież mówiłeś, że to Helena... – zaczął Brant.

– Ale ta, którą naprawdę namalowałeś.

Brant spojrział na swoje płótno, a potem znów na oryginał. Dziwne, że wcześniej nie zauważył różnic, ale niewątpliwie kobieta, którą malował na murach fortecy, miała w sobie coś z Yradne. To nie była zwykła kopia, jaką zamierzał zrobić. Jego ręką kierowało serce.

, – Wiem, o co ci idzie – powiedział z wolna. – W mojej wsi jest pewna dziewczyna. Tak naprawdę to przyszedłem do Shastar, żeby znaleźć jakiś prezent dla niej... coś, co zrobi na niej wrażenie.

– Niepotrzebnie tracisz czas – odrzekł bez ogródek Trascon. – Jeśli rzeczywiście cię kocha, wkrótce ci to powie, a jeśli nie, nie zmusisz jej do tego. To przecież takie proste.

Brant miał zupełnie inne zdanie, lecz postanowił się nie spierać.

– Ale nie powiedziałeś mi, co sądzisz o moim obrazie – zwrócił mu uwagę.

– Obiecujący – ostrożnie odparł Trescon. – Za jakieś trzydzieści, no, powiedzmy, dwadzieścia lat, może do czegoś dojdiesz, jeżeli wytrwasz. Jesteś jeszcze surowy; spójrz na tę rękę: wygląda jak kiść bananów. Ale masz ładną, śmiałą kreskę i podoba mi się, że nie malowałeś w sposób fotograficzny, bo na to stać każdego durnia. Masz pewną indywidualność, lecz potrzeba ci jeszcze praktyki, a przede wszystkim doświadczenia. Cóż, chyba będziemy mogli ci to zapewnić.

– Jeśli masz na myśli opuszczenie Ziemi – rzekł Brant – nie chcę tego rodzaju doświadczenia.

– Dobrze ci to robi. Czyżby myśl o podróży do gwiazd nie budziła w tobie żadnego podniecenia?

– Nie, tylko mnie przeraża. Ale nie biorę tego poważnie, bo nie wierzę, że zmusicie nas do wyjazdu.

Trescon uśmiechnął się trochę bezlitośnie.

– Bardzo szybko sami się wyniesiecie, kiedy Pole Sigma pochłonie światło waszych gwiazd. Może to i lepiej, jak się tu pojawi. Mam wrażenie, że przybyliśmy akurat na czas. Choć często śmieję się z uczonych, muszę przyznać, że na zawsze uwolnili nas od stagnacji, która opanowała waszą rasę. Będziecie musieli opuścić Ziemię, Brant. Żaden człowiek, który przez całe życie mieszka na jednej planecie, nigdy naprawdę nie widział gwiazd, a jedynie ich blade cienie. Czy możesz sobie wyobrazić, co znaczy być zawieszonym w przestrzeni, w środku jednego z wielkich, złożonych układów, których barwne słońca świecą dookoła, ze wszystkich stron? Ja tam byłem, widziałem gwiazdy unoszące się wśród pierścieni szkarłatnego ognia jak ta wasza planeta Saturn, tyle że tysiąc razy większe. A czy możesz wyobrazić sobie noc na planecie w pobliżu jądra Galaktyki, gdzie całe niebo wypełnia świecąca mgiełka gwiazdna, z której jeszcze nie narodziły się słońca?



Wasza Droga Mleczna jest tylko rozproszoną garstką trzeciorzędnych słońc. Poczekaj, aż zobaczysz Mgławicę Centralną! To są wielkie rzeczy, ale te małe są równie cudowne. Na-syć się tym, co ofiarowuje ci Wszechświat, a potem, jeśli chcesz, wracaj na Ziemię ze wspomnieniami. Dopiero wówczas zacznij pracować. Wówczas, ale nie wcześniej, będziesz wiedział, czy jesteś artystą.

Wywarło to silne wrażenie na Brancie, lecz go nie przekonało.

– Z tego, co mówisz, wynika, że prawdziwa sztuka nie istniała przed podróżami kosmicznymi.

– Pewna szkoła krytyki opiera się w całości na tym założeniu. Podróże kosmiczne były oczywiście jednym z najkorzystniejszych dla rozwoju sztuki wydarzeń. Podróże, wyprawy badawcze, kontakty z innymi kulturami – oto ogromny bodziec dla całej działalności intelektualnej.

Trescon wskazał na malowidło ścienne za ich plecami.

– Ludzie, którzy stworzyli tę legendę – mówił dalej – byli żeglarzami, a połowa towarów na świecie przechodziła przez ich porty. Lecz po kilku tysiącach lat morze okazało się za małe, żeby dawać natchnienie czy przygodę, i nadszedł czas, by wyruszyć w Kosmos. No, cóż, teraz taki czas przyszedł na was, czy wam się to podoba, czy nie.

– Mnie się nie podoba. Ja chcę spokojnie żyć z Yradne.

– Czego ludzie chcą, a co jest dla nich dobre, to dwie różne sprawy. Życzę ci powodzenia w malarstwie, lecz nie wiem, czy mam ci życzyć

tego samego w pozostałych twoich zamiarach. Wielka sztuka i szczęście domowe wzajemnie się wykluczają. Wcześniej czy później będziesz musiał dokonać wyboru.

Wcześniej czy później będziesz musiał dokonać wyboru. Słowa te wciąż rozbrzmiewały jak echo w myślach Branta, kiedy z trudem wspinał się na szczyt wzgórza, na spotkanie z wiatrem, który zerwał się nad wielką drogą. Sunbeam była zła, że jej urlop się skończył, więc szli pod górę nawet wolniej, niż wymagało nachylenie stoku. Lecz stopniowo coraz więcej widzieli wokół siebie, horyzont za morzem powoli się odsuwał, a miasto przypominało już zabawkę zbudowaną z kolorowych klocków – zabawkę, nad którą górował statek wiszący nad nią nieruchomo i bez wysiłku.

Po raz pierwszy Brant mógł zobaczyć go w całości, gdyż teraz unosił się prawie na wysokości jego oczu, co pozwalało mu objąć go jednym spojrzeniem. Miał z grubsza kształt cylindra zakończonego skomplikowanymi wielościennymi konstrukcjami, których funkcji nie mógł odgadnąć. Na potężnym wypukłym grzbiecie znajdowało się mnóstwo równie tajemniczych wyrzuseń, wyżłobień i kopuł. Wszystko to miało w sobie dużo siły i celowości, lecz żadnego piękna i Brant patrzył na statek z o-brzydzeniem.

I ten wiszący potwór rości sobie prawo do nieba – żeby tak chciał zniknąć jak te chmury, co przepływają wzdłuż jego boków! Ale nie zniknie, bo taka jest jego wola. Brant wiedział, że w porównaniu z siłami, które teraz się zbierały, jego sprawy nie miały żadnego znaczenia. Była to tylko krótka chwila przerwy, kiedy historia wstrzymuje oddech, moment ciszy między błyskawicą a uderzeniem pioruna. Wkrótce grzmot przetoczy się wokół, po całej planecie; wkrótce może w ogóle nie być planety, a on i jego lud zostaną bezdomnymi tułaczami wśród gwiazd. Nie miał ochoty na taką przyszłość – przyszłość, jakiej obawiał się bardziej, niż mogli to zrozumieć Trescon i jego towarzysze, dla których Wszechświat stanowił zabawkę od pięciu tysięcy lat.

Byłaby to wielka niesprawiedliwość, gdyby miało się to stać akurat teraz, po tylu stuleciach wytchnienia. Lecz ludzie nie mogą targować się z Losem i wybierać pokój czy przygodę, stosownie do swych życzeń. Przygoda i Zmiana znów pojawiły się na planecie i on, Brant, musi je jak najlepiej wykorzystać – jak to uczynili jego przodkowie, kiedy rozpoczęła się era kosmiczna i pierwsze, kruche statki ruszyły na podbój gwiazd.

Po raz ostami pozdrowił Shastar, a potem odwrócił się tyłem do morza. Słońce świeciło mu prosto w oczy i miał wrażenie, że jakaś jasna, migocąca mgiełka otula biegnącą przed nim drogę, która drgała jak miraż

albo jak światło księżycy na falach. Przez chwilę Brant myślał, że go wzrok myli, lecz szybko przekonał się, że to nie złudzenie.

Jak daleko sięgnął okiem, drogę i ziemię po obu jej stronach pokrywały niezliczone niteczki babiego lata, tak delikatne i cienkie, że dały się zauważyć jedynie w świetle słońca. Szedł wśród nich przez ostatnie kilkaset metrów, a one stawiały mu opór nie większy od dymu.

Przez całe rano niesione wiatrem pajęczki musiały milionami spadać z nieba i kiedy Brant spoglądał do góry w błękit, mógł jeszcze chwilami dostrzec błyski światła słonecznego na unoszących się w powietrzu, jedwabnych niteczkach z ich spóźnionymi pasażerami. Nie wiedząc, dokąd podróżują, te malutkie stworzonka odważnie – i samotnie – puszczały się w otchłań bardziej nieprzyjazną i niezgłębioną niż ta, której miał stawić czoło, gdy nadejdzie czas pożegnania z Ziemią. Tę lekcję zapamięta na całe tygodnie i miesiące.

Sfinks z wolna zniknął za horyzontem, śladem Shastar schowanej za ginącym we mgle sierpem wzgórz. Brant tylko raz się obejrzał, by spojrzeć na przyczajonego potwora, którego odwieczne czuwanie dobiegało końca. Potem powoli ruszył naprzód, prosto w słońce, a po jego twarzy od czasu do czasu przesuwały się niewyczuwalne palce, kiedy nadlatywały jedwabne pasemka, niesione wiatrem wiejącym od domu.

## 7. Posterunek

Kiedy następnym razem będziecie oglądali Księżyc w pełni na południowym niebie, uważnie przyjrzyjcie się jego krawędzi z prawej strony i przebiegnijcie wzrokiem po łuku tarczy. Mniej więcej tam, gdzie na zegarze jest godzina druga, zauważycie niewielki, ciemny owal – całkiem łatwo może go dostrzec człowiek o normalnym wzroku. To wielka, otoczona ścianą gór dolina, jedna z najpiękniejszych na Księżycu, znana jako Marę Crisium – Morze Przesileń. Ze swą bez mała pięciusetkilo-metrową średnicą i prawie całkowicie zamkniętą kręgiem wspaniałych gór, nie było jeszcze zbadane, gdy znaleźliśmy się tam pod koniec lata 1996 roku.

Nasza ekspedycja należała do większych. Mieliśmy dwa potężne statki towarowe, które przemieściły nasze zaopatrzenie i sprzęt z głównej bazy księżycowej do Marę Serenitatis na odległość ośmiuset kilometrów. Były jeszcze trzy małe rakiety przeznaczone do transportu na krótkie dystanse w rejonach, w których nie mogły poruszać się nasze pojazdy naziemne. Na szczęście Marę Crisium jest przeważnie bardzo płaskie. Nie ma tam żadnych wielkich rozpadlin, tak powszechnych i tak niebezpiecznych gdzie indziej, natomiast jest kilka różnej wielkości kraterów i gór. Według wszelkich przypuszczeń naszymi silnymi traktorami na gąsienicach mogliśmy dotrzeć wszędzie bez trudności.

Byłem geologiem – a ściślej selenologiem, jeśli mam się wyrazić dokładnie – kierującym grupą, która badała południowe rejony Marę Crisium. W ciągu tygodnia pokonaliśmy sto sześćdziesiąt kilometrów, objeżdżając podgórze wzdłuż brzegu dawnego morza, które falowało tu przed około miliardem lat. Kiedy na Ziemi zaczynało się życie, morze to już kończyło swój żywot. Cofające się spod strzelistych skał wody uciekły w głąb pustego wnętrza Księżyca. W miejscu, przez które przejeżdżaliśmy, szumiał kiedyś bezpływowo ocean o głębokości ośmiuset metrów, a teraz jedynym śladem wilgoci był szron, spotykany tylko w jaskiniach, dokąd nigdy nie docierało palące światło Słońca.

Rozpoczęliśmy naszą podróż wczesnym, powoli wstającym świtem księżycowym, a do zapadnięcia nocy pozostawał nam tydzień według czasu ziemskiego. Kilka razy dziennie mieliśmy wychodzić z naszego pojazdu w skafandrach kosmicznych i polować na interesujące minerały lub stawiać znaki orientacyjne dla przyszłych podróżników. W badaniach

Księżyca nie ma nic niebezpiecznego czy szczególnie podniecającego. Nasze hermetyczne traktory zapewniały wygodne życie przez miesiąc, a w razie jakichkolwiek kłopotów można było zawsze wezwać pomoc przez radio i czekać w szczelnych wnętrzach pojazdów, aż statek przyłeci na ratunek. Kiedy takie coś się zdarzało, podnoszono okropny krzyk, że niepotrzebnie zużywa się paliwo rakietowe, a więc traktory wysyłały sygnały SOS tylko w razie poważnej awarii.

Przed chwilą powiedziałem, że nie ma nic podniecającego w badaniach Księżyca, ale oczywiście to nieprawda. Człowiekowi nigdy dość widoku tych niewiarygodnych gór, o wiele bardziej poszarpanych niż ich łagodne odpowiedniki na Ziemi. Objeżdżając przylądki dawnego morza, nigdy nie wiedzieliśmy, jakie wspaniałości ukażą się naszym oczom. Cały południowy łuk Marę Crisium jest ogromną deltą, gdzie niegdyś uchodziły do oceanu liczne rzeki, prawdopodobnie zasilane ulewnymi deszczami, które musiały obmywać góry w czasie krótkiej ery wulkanicznej, za młodych lat Księżyca. Każda z tych dawnych dolin zapraszała nas, prowokując do wspinaczki po nieznanych górach za nimi. Lecz my mieliśmy przed sobą jeszcze sto sześćdziesiąt kilometrów drogi i mogliśmy jedynie tęsknie spoglądać na szczyty, które przemierzają inni.

Życie w traktorach biegło według czasu ziemskiego – dokładnie o 22.00 wysłamy przez radio ostatnią wiadomość i na tym skończy się nasz dzień. Tymczasem skały na zewnątrz wciąż będzie paliło Słońce stojące prawie w zenicie, lecz dla nas to już noc, póki nie obudzimy się po ośmiu godzinach. Potem jeden z nas przygotowuje śniadanie, rozlegnie się warkot elektrycznych golarek, ktoś włączy krótkofalówkę i usłyszymy program z Ziemi. A kiedy kabinę wypełnia zapach

smażonego boczku, naprawdę trudno czasami uwierzyć, że nie jesteśmy z powrotem na naszej planecie – wszystko jest takie normalne i jak w domu, poza uczuciem zmniejszonej wagi i nienaturalną powolnością, z jaką spadają przedmioty.

Kolej przygotowania śniadania w kącie głównej kabiny, który służył nam za kuchnię, wypadła na mnie. Nawet po tylu latach bardzo dobrze pamiętam tę chwilę, gdyż radio akurat nadawało jedną z moich ulubionych melodii, starą pieśń walijską „Dawid z White Rock”. Nasz kierowca wyszedł już w swym skafandrze kosmicznym na zewnątrz i sprawdzał gąsienice. Mój zastępca, Louis Garnett, siedział na swoim służbowym miejscu i dokonywał jakiegoś spóźnionego wpisu z wczorajszego dnia do dziennika pokładowego.

Stojąc tak nad patelnią i czekając niby jakaś gospodyni domu na Ziemi, aż kiełbaski zbrązowieją, spoglądałem leniwie na ścianę gór zamykającą od południa cały horyzont i ginącą na wschodzie i zachodzie za wypukłością Księżyca. Góry zdawały się wznosić w odległości zaledwie dwóch-trzech kilometrów od traktora, ale wiedziałem, że najbliższą dzieli od nas trzydzieści. Na Księżycu szczegóły oczywiście nie zacierają się

wraz z odległością, bowiem nie ma tam tej prawie niewidocznej mgielki, która zamazuje i czasami pozornie zmienia kształt odległych obiektów na Ziemi.

Te góry miały około trzech tysięcy metrów wysokości i stromo wyrastały z równiny, jak gdyby przed wiekami jakiś podziemny wybuch wyrzucił je ku niebu poprzez roztopioną skorupę. Nie widać było podstawy nawet najbliższej góry, gdyż kryła się za stromą wypukłością równiny, bowiem Księżyc jest bardzo małym ciałem niebieskim i miejsce, w którym stałem, dzieliły od horyzontu zaledwie trzy kilometry.

Uniosłem wzrok ku szczytom, na które człowiek jeszcze nigdy się nie wspiał, ku szczytom, które przed przybyciem istot żywych z Ziemi patrzyły, jak cofające się oceany powoli schodziły do grobu, zabierając ze sobą nadzieję i poranną zapowiedź powstania planety. Słońce biło w te szczyty swym blaskiem, który mógł porazić wzrok, ale tuż nad nimi, na niebie czarniejszym od najciemniejszej zimowej północy na Ziemi, widać było świecące stałym blaskiem gwiazdy.

Już odwracałem oczy od tego widoku, gdy wzrok mój dostrzegł metaliczny odbłask wysoko na grani wielkiego cypla wrzynającego się w morze pięćdziesiąt kilometrów na zachód. Wyglądało to, jakby jeden z tych groźnych szczytów schwytał pazurami gwiazdę z nieba; pomyślałem sobie, że to kawałek gładkiej powierzchni skały odbija światło słoneczne prosto w moje oczy. Nie było w tym nic niezwykłego. Kiedy Księżyc jest w drugiej kwadrze, obserwatorzy z Ziemi widzą czasem, jak wielkie łańcuchy górskie na Oceanus Procellarum płoną niebieska-wobiałym blaskiem, kiedy na ich stoki pada światło Słońca i przeskakuje z planety na planetę. Ale ja byłem ciekaw, co to za skała świeci tam tak jasno. Wdrapałem się więc do wieżyczki obserwacyjnej i skierowałem na zachód nasz dziesięciocentymetrowy teleskop.

Zobaczyłem akurat tyle, żeby zaczęło mnie to dręczyć. Szczyty gór, których czysty i wyraźny obraz oglądałem w polu widzenia, zdawały się odległe tylko o niecały kilometr, ale to, co odbijało promienie słoneczne, było wciąż za małe, aby dało się rozpoznać. Miało jednak w sobie ledwo uchwytną symetrię, a szczyt, na którym leżało, był zdumiewająco płaski. Przez dłuższy czas przyglądałem się tej błyszczącej zagadce, wyrażając wzrok w przestrzeń, póki nie poczułem dochodzącego z kuchni zapachu spalenizny, po czym zorientowałem się, że nasze śniadaniowe kiełbaski na próżno odbyły swą podróż z Ziemi.

Cały ranek spieraliśmy się na temat wyboru drogi przez Marę Cri-sium, a tymczasem zachodnie góry wznosiły się coraz wyżej na niebie. Nawet kiedy w kosmicznych skafandrach prowadziliśmy badania w otwartym terenie, kontynuowaliśmy dyskusję przez radio. Moi towarzysze z absolutnym przekonaniem dowodzili, że na Księżycu nigdy nie istniało żadne inteligentne życie. Jedyne formy życia, które kiedykolwiek

8–Spotkanie..

tam istniały, to tylko kilka prymitywnych roślin i ich nieco mniej zdegenerowani przodkowie. Dobrze o tym wiedziałem jak wszyscy, ale czasem naukowiec nie powinien bać się że mógłby narazić się na śmieszność.

– Słuchajcie – powiedziałem w końcu. – Mam zamiar tam się wybrać, choćby tylko dla zachowania spokoju ducha. Góra ma niespełna cztery tysiące metrów wysokości, tyle, co sześćset metrów w polu ciężenia ziemskiego, a więc wycieczka ta zajmie mi najwyżej dwadzieścia godzin. W każdym razie zawsze chciałem pochodzić sobie po tych górach i choćby to może być doskonałym pretekstem.

– Jeśli nie złamiesz sobie karku – rzekł Garnett – staniesz się pośmiewiskiem całej wyprawy, kiedy wrócimy do bazy. Od tej chwili ta góra będzie prawdopodobnie nazywała się Wyglup Wilsona.

– Nie złamię karku – powiedziałem z przekonaniem. – Czy przypominasz sobie, kto był pierwszym człowiekiem, który wspiął się na Pico i Kelicon?

– Ale czy nie byłeś wtedy nieco młodszy? – spytał delikatnie Louis.

– To równie dobry powód, żeby tam pójść – odparłem z godnością.

Podjechawszy traktorem na niecały kilometr od cypla, tego wieczoru poszliśmy wcześniej spać. Rano miał mi towarzyszyć Garnett, który był dobrym wspinaczem i przedtem często chodził ze mną na takie wycieczki. Nasz kierowca tylko się ucieszył, że pozostanie sam przy maszynie.

Na pierwszy rzut oka skały te wydawały się całkowicie niedostępne, ale dla kogoś, kto nie boi się wysokości, wspinaczka nie sprawia żadnych trudności na planecie, gdzie wyszystko ma zaledwie jedną szóstą swej normalnej wagi. Prawdziwym niebezpieczeństwem w księżycowych górach była nadmierna pewność siebie: upadek z dwustu metrów na Księżycu zabija tak samo dokładnie jak z trzydziestu na Ziemi.

Pierwszy postój zrobiliśmy na szerokiej półce, około tysiąca dwustu metrów nad równiną. Wspinaczka nie była zbyt trudna, ale zeszywniały mi kończyny jeszcze nie przyzwyczajone do tego rodzaju wysiłku, więc ucieszyłem się, że odpocznę. Wciąż widzieliśmy traktor, który stał daleko w dole jak mały metalowy owad u podnóża skały. Przed dalszą wspinaczką przekazaliśmy kierowcy informację o dotychczasowych postępach.

Z każdą godziną rozszerzał się horyzont i widzieliśmy coraz większy obszar ogromnej równiny. Teraz mogliśmy spoglądać w głąb Marę na odległość osiemdziesięciu kilometrów, a nawet dostrzegaliśmy szczyty gór na jego przeciwległym brzegu, oddalonym od nas o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Zaledwie kilka wielkich równin księżycowych jest tak płaskich jak Marę Crisium, co sprawiało, że niemal mieliśmy złudzenie, jakby półtora kilometra pod nami rozciągało się nie morze skał, lecz wody. Wrażenie to psuła jedynie grupa kraterów na horyzoncie.

Nasz ciągle jeszcze niewidoczny cel krył się na grani gór, a my po-

1

suwaliśmy się według mapy, mając Ziemię za przewodniczkę. Jej wielki srebrzysty półksiężyc, już dobrze w pierwszej kwadrze, wisiał prawie dokładnie na wschód od nas. Słońce i gwiazdy z wolna przesuną się po niebie i wkrótce zaczną! zachodzić, a ona zawsze tam pozostanie na swoim stałym miejscu, przybывая i ubывая z upływem pór roku i lat. Za dziesięć dni stanie się oślepiającą tarczą, która zaleje te skały swym nocnym światłem, pięćdziesiąt razy jaśniejszym od blasku Księżycy w pełni.

Lecz my musimy opuścić te góry na długo przed zapadnięciem nocy, inaczej pozostaliśmy tu na zawsze.

Wewnątrz naszych skafandrów panował przyjemny chłód, gdyż urządzenia klimatyzacyjne walczyły ze słoneczną spiekotą, odprowadzając na zewnątrz nadmiar ciepła wytworzonego przez nasze ciała podczas wysiłku. Rzadko odzywaliśmy się do siebie poza krótkimi uwagami na temat samej wspinaczki i wyboru drogi. Nie wiedziałem, o czym myślał Garnett, ale prawdopodobnie uważał to za najbardziej wariacką wyprawę, w jakiej kiedykolwiek brał udział. Zgadzałem się z nim bardziej niż w połowie, ale radość z samej wspinaczki, świadomość, że jeszcze nikt nigdy tędy nie szedł, i przyjemność oglądania coraz rozleglejszego krajobrazu wszystko mi wynagradzały.

Nie powiem, żebym odczuwał jakieś szczególne podniecenie, kiedy zobaczyłem przed sobą skalną ścianę, którą po raz pierwszy oglądałem przez teleskop z odległości pięćdziesięciu kilometrów. Około piętnastu metrów nad naszymi głowami przejdzie w płaskowyż, a tam będzie to, co przyciągnęło moją uwagę w tym jałowym pustkowiu. Miałem prawie całkowitą pewność, że to jedynie zwykła skała, którą przed wiekami rozłupał spadający meteoryt, a płaszczyzny powstałej w ten sposób szczeliny są wciąż świeże i błyszczące w tej niezmaconej, niezmiennej ciszy.

Zupełna gładkość ściany nie dawała żadnego zaczepienia dla ręki, musieliśmy więc użyć drapacza. Moje zmęczone ręce jakby nabrały nowych sił, kiedy wyrzucałem nad głowę ku gwiazdom metalową kotwiczkę o trzech łapach. Za pierwszym razem nie chwyciła i powoli opadała z powrotem, kiedy pociągnęliśmy za linę. Przy trzeciej próbie łapy mocno chwyciły grunt i kotwiczki nie ruszył ciężar obu naszych ciał.

Garnett spojrział na mnie pytająco. Wiedziałem, że chce iść pierwszy, ale tylko uśmiechnąłem się przez szybę hełmu i pokręciłem głową. Powoli, bez pośpiechu rozpocząłem ostatni etap wspinaczki.

Nawet łącznie ze skafandrem kosmicznym ważyłem tutaj zaledwie dwadzieścia kilogramów, więc podciągałem się samymi rękami, bez pomocy nóg. Przy krawędzi zatrzymałem się i pomachałem ręką mojemu towarzyszowi, a potem wgramoliłem się na szczyt, wstałem i popatrzyłem przed siebie.

Musicie zrozumieć, że do tej chwili byłem prawie całkowicie przekonany, iż nie zastanę tam nic niezwykłego czy dziwnego. Ryłem prawie pewien, ale nie zupełnie – przywiodła mnie tutaj właśnie ta natrętna niepewność. No cóż, nie miałem już wątpliwości, ale prawdziwa niepewność dopiero się zaczęła.

Stałem na płaskowyżu o średnicy jakichś trzydziestu metrów. Jego powierzchnia była niegdyś gładka – zbyt gładka, żeby mogła powstać w sposób naturalny – lecz spadające meteoryty zryły ją i pocięły przez niezliczone wieki. Wyrównano ją, by umieścić tam błyszczącą piramidę, dwukrotnie wyższą od człowieka, osadzoną w skale jak gigantyczny wie-łościenny klejnot.

Przez kilka sekund nie odczuwałem w ogóle żadnych emocji. Potem serce wrypełniła mi jakaś wielka, dziwna, nie dająca się wyrazić radość. Kochałem bowiem Księżyc i teraz wiedziałem, że pelzający mech z Arystarcha i Eratostenesa nie był jedyną formą życia, którą wydał na świat za czasów swej młodości. Dawne, zdyskredytowane marzenie pierwszych badaczy okazało się prawdą. A jednak istniała jakaś cywilizacja na Księżycu; ja zaś byłem pierwszym człowiekiem, który ją odnalazł. Fakt, że spóźniłem się może o jakieś sto milionów lat, wcale mnie nie martwił – wystarczyło, że w ogóle tu dotarłem.

Umysł mój zaczął funkcjonować normalnie – analizował i stawiał pytania. Czy to budynek, świątynia – a może coś jeszcze nie nazwanego? Jeśli to budynek, to dlaczego wzniesiono go w tak wyjątkowo niedostępnym miejscu? Zastanawiałem się, czy mogłaby to być świątynia, i już wyobrażałem sobie wyznawców jakiejś nieznannej religii, na próżno wzywających swych bogów, by ich zachowali, kiedy życie na Księżycu ginęło wraz ze znikającym oceanem.

Zrobiłem kilkanaście kroków do przodu, by dokładniej zbadać ten obiekt, ale coś mnie powstrzymało przed zbyt blizim zbliżaniem się do niego. Za mało znałem archeologię, więc tylko próbowałem odgadnąć, jaki był poziom kultury tej cywilizacji, która zniwelowała tę górę i wzniosła te ściany o lustrzanym połysku, wciąż rażące mój wzrok.

Pomyślałem, sobie, że czegoś takiego mogliby dokonać Egipcjanie, gdyby ich robotnicy dysponowali podobnie dziwnymi materiałami, jakich używali ci jeszcze wcześniejsi od nich budowniczy. Ze względu na niewielkie rozmiary budowli nie przyszło mi do głowy, że mogę oglądać dzieło rasy bardziej rozwiniętej od mojej. Myśl, że w ogóle istniało jakieś inteligentne życie na Księżycu, była wciąż zbyt wstrząsająca, abym całkowicie mógł ją pojąć, a duma nie pozwalała mi pokornie pogrążyć się w niej bez reszty.

I wówczas zauważyłem coś, co sprawiło, że włosy stanęły mi dęba – coś tak zwykłego i niewinnego, że wielu w ogóle by tego nie dostrzegło. Powiedziałem już, że płaskowyż był zryty

przez meteory; pokrywał go kilkunastocentymetrową warstwą również pył kosmiczny, który zawsze osiada na powierzchni wszystkich planet, gdzie nie ma unoszących go

wiatrów. Jednak pył i ślady uderzeń meteorytów kończyły się zupełnie nagle na granicy koła otaczającego niewielką piramidę, jak gdyby jakaś niewidzialna ściana chroniła ją przed niszczącym wpływem czasu i powolnego, lecz nieustannego bombardowania z Kosmosu.

Słyszałem jakieś krzyki w słuchawkach i uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu woła mnie Garnett. Chwiejnym krokiem podszedłem do krawędzi przepaści i ręką dałem mu sygnał, żeby do mnie dołączył, nie wierząc, że uda mi się dobrać głosu. Potem wróciłem do koła w pyle. Podniosłem kawałek odłupanej skały i rzuciłem go delikatnie w stronę świecącej zagadki. Nie zdziwiłbym się, gdyby kamyk ten zniknął za niewidzialną barierą, ale miałem wrażenie, jakby uderzył w gładką, wypukłą powierzchnię i ześlizgnął się po niej na ziemię.

Wiedziałem, że patrzę na coś, z czym nie mogło się równać nic z okresu starożytności mojej rasy. Nie był to budynek, lecz jakieś urządzenie broniące się siłami, które rzuciły wyzwanie Wieczności. Bez względu na swój charakter siły te wciąż działały i może podszedłem do nich zbyt blisko. Pomyślałem o wszelkiego rodzaju promieniowaniu, które człowiek w ciągu ostatnich stu lat odkrył i poskromił. Podejrzywałem, że czeka mnie zguba, jak gdybym znalazł się w zasięgu śmiertelnej, bezgłosnej emanacji nie osłoniętego stosu atomowego.

Pamiętam, że wówczas odwróciłem się do Garnetta, który dołączył do mnie i teraz stał bez ruchu obok. Zdawał się zapomnieć o mojej obecności, więc nie chciałem mu przeszkadzać i podszedłem do krawędzi przepaści, by uporządkować myśli. W dole przede mną leżało Morze Cri-sium – prawdziwe Morze Przesilen – dziwne i niesamowite dla większości ludzi, lecz dla mnie uspokajająco znajome. Podniosłem oczy ku półksiężycowi Ziemi leżącej w swej kołysce z gwiazd i zastanawiałem się, co zasłaniały jej chmury, kiedy ci nieznani budowniczości kończyli swe dzieło. Czy była to parna dżungla karbońska, czy niegościnnie brzeg, na który musiały wpełznąć pierwsze płazy, by zawojować ląd – czy też, jeszcze wcześniej, odwieczne pustkowia przed pojawieniem się życia?

Nie pytajcie, dlaczego wcześniej nie udało mi się odgadnąć prawdy – prawdy, która teraz wydaje się tak oczywista. Podekscytowany swym odkryciem, w pierwszej chwili założyłem, że to krystaliczne zjawisko stworzyła niewątpliwie jakaś rasa żyjąca na Księżycu w odległej przeszłości, lecz potem nagle doszedłem do głębokiego przekonania, że jest ono równie obce Księżycowi jak ja. Przez dwadzieścia lat nie znaleźliśmy żadnego śladu życia oprócz kilku zdegenerowanych roślin. Żadna księżycowa cywilizacja, bez względu na jej los, nie mogłaby zostawić po sobie tylko jednego śladu swego istnienia.

Znów popatrzyłem na świecąca piramidę, która wydawała mi się mieć coraz mniej wspólnego z Księżycem. Nagle wstrząsnął mną głupi, histeryczny śmiech, wywołany podnieceniem i przemęczeniem – wyobraziłem sobie bowiem, że ta piramidka umie mówić i odzywa się do mnie w te słowa:

– Przykro mi, ale ja też jestem nietutejsza.

Przez dwadzieścia lat nie mogliśmy rozbić niewidzialnej osłony i dotrzeć do maszynierii ukrytej za tymi kryształowymi ścianami. To, czego nie potrafiliśmy zrozumieć, rozbiliśmy w końcu za pomocą barbarzyńskiej siły energii atomowej i teraz patrzę na fragmenty tej cudownej, błyszczącej piramidy, którą znalazłem tam, na szczycie góry.

Nic mi nie mówią. Mechanizmy piramidy – jeśli w rzeczywistości są mechanizmami – należą do techniki znacznie przekraczającej nasze horyzonty, być może do techniki sił parafizycznych.

Tajemnica ta nie daje nam spokoju, tym bardziej że dotarliśmy do pozostałych planet i wiemy, że tylko na Ziemi powstało inteligentne życie. Nie mogła również tego zbudować żadna z zaginionych cywilizacji naszej planety, gdyż grubość warstwy pyłu z meteorytów na płaskowyżu pozwoliła nam ustalić wiek piramidy. Postawiono ją tam, zanim życie na Ziemi wyszło z morza.

Kiedy nasza planeta osiągnęła połowę swego obecnego wieku, coś nadleciało z gwiazd, przemknęło przez Układ Słoneczny, pozostawiło ten dowód swego przejścia i ruszyło swoją drogą. Dopóki nie zniszczyliśmy piramidy, jej mechanizmy służyły celowi swych budowniczych, a jaki był ten cel, mogę tylko snuć domysły.

W pasie Drogi Mlecznej krąży blisko sto miliardów gwiazd i dawno temu jakieś rasy z planet innych słońc musiały osiągnąć i przekroczyć szczyty, do których my dopiero dotarliśmy. Wyobraźcie sobie takie cywilizacje, istniejące bardzo dawno temu na tle gasnącej poświaty Stworzenia i będące panami Wszechświata jeszcze tak młodego, że życie pojawiło się dopiero co, zaledwie na garstce planet. Ich udziałem była samotność dla nas niewyobrażalna, samotność bogów spoglądających w nieskończoność i nie znajdujących nikogo, z kim mogliby dzielić myśli.

Musieli badać gromady gwiazd, tak jak my badaliśmy planety. Wszystkie te gwiazdy miały planety, ale puste lub zamieszkałe jedynie przez pelzające, bezmyślne stwory. Tak było z naszą własną Ziemią, nad którą unosiły się jeszcze dymy wielkich wulkanów, gdy z otchłani za Plutonem nadleciał pierwszy statek istot z zarania. Minęli zamarznęte planety zewnętrzne, wiedząc, że życie nie mogło być ich przeznaczeniem. Zatrzymali się wśród planet wewnętrznych, grzejących się wokół Słońca w jego ogniu i czekających na początek swej historii.

Wędrowcy przyjrzeni się Ziemi, krążącej w bezpiecznej strefie między ogniem a lodem, i domyślili się, że była ukochanym dzieckiem Słoń-

ca. Tu, w7 odległej przyszłości, miała powstać inteligencja, ale mieli przed sobą jeszcze niezliczone gwiazdy do zbadania i mogli nigdy więcej tutaj nie powrócić.

Zostawili więc posterunek, jeden z milionów mu podobnych, rozrzuconych po całym Wszechświecie i obserwujących planety rokujące nadzieje, że kiedyś powstanie na nich życie. Była to więc radiolatarnia, która przez wieki sygnalizowała fakt, że nikt jej nie odkrył.

Może teraz zrozumiecie, dlaczego kryształową piramidę postawiono na Księżycu zamiast na Ziemi. Jej budowniczych nie obchodziły rasy dopiero tworzące cywilizację. Nasza mogła interesować ich tylko wtedy, gdy udowodni, że zdolna jest już przetrwać, gdyż może poruszać się w Kosmosie i w ten sposób uciec z Ziemi, naszej kolebki. Prędzej czy później wszystkie inteligentne rasy muszą stanąć przed taką próbą sił. Jest to podwójne wyzwanie, gdyż z kolei zależy od opanowania energii atomowej, która umożliwi dokonanie ostatecznego wyboru między życiem a śmiercią.

Wówczas odnalezienie i rozbicie piramidy było tylko kwestią czasu. Skoro przestała już wysyłać sygnały, ci, których obowiązkiem jest ich odbieranie, zwrócą uwagę na Ziemię. Być może pragną pomóc naszej młodej cywilizacji. Lecz zapewne są bardzo, bardzo starzy, a często się zdarza, że starcy obłąkańczo zazdroszczą młodym.

Nie mogę teraz patrzeć na Drogę Mleczną, nie zastanawiając się, z której z tych spiętrzonych chmur nadlecą emisariusze. Wybaczcie mi tak banalne porównanie, ale rozbiliśmy szybkę alarmu pożarowego i możemy tylko czekać.

Nie sądzę, żebyśmy musieli czekać zbyt długo.



## 8. Cały czas świata

Usłyszawszy ciche pukanie do drzwi, Robert Ashton ogarnął pokój jednym szybkim spojrzeniem. W miarę przyzwoity wygląd pomieszczenia zadowolił go i powinien wzbudzić zaufanie każdego przybysza. Nie miał powodu spodziewać się policji, ale nie było sensu ryzykować.

– Proszę – rzekł, chwytając przedtem Dialogi Platona z półki za plecami. Może był to gest zbyt ostentacyjny, ale zawsze robił wrażenie na klientach.

Drzwi powoli się otworzyły. W pierwszej chwili Ashton nie przerwał uważnej lektury i nawet nie zadał sobie trudu, by podnieść wzrok. Tylko serce zabiło mu trochę żywiej i poczuł w piersiach łagodny, a nawet radosny ucisk. Oczywiście, że nie glina – dostałby przecież cynk. Jednakże każdy nie zapowiedziany gość był czymś niezwykłym, a przez to potencjalnie niebezpiecznym.

Ashton odłożył książkę, spojrzął w stronę drzwi i odezwał się obojętnym głosem:

– Czym mogę służyć?

Nie wstał – taka kurtuazja należała do przeszłości, którą już dawno temu pogrzebał. Poza wszystkim, gość okazał się kobietą, a w kręgach, w których obecnie się obracał, kobiety przyzwyczajone były do otrzymywania klejnotów, ubrań i pieniędzy, ale nigdy nie traktowano ich z szacunkiem.

Miała w sobie jednak coś, co sprawiło, że z wolna wstał. Nie była to po prostu jej uroda, lecz autorytet połączony z niewymuszoną swobodą, co zdradzało, że należy do zupełnie innego świata niż te krzykliwe wystrojone panienki, z jakimi normalnie miał do czynienia w swych interesach. Za tym spokojnym spojrzeniem badawczych oczu krył się mózg i cel; Ashton podejrzewał, że ten mózg dorównywał jego własnemu.

Nie wiedział, jak bardzo jej nie doceniał.

– Panie Ashton – zaczęła – nie traćmy czasu. Wiem, kim pan jest, i mam dla pana zajęcie. Oto moje listy uwierzytelniające.

Otworzyła dużą, elegancką torebkę i wyjęła z niej gruby plik banknotów.

– Może pan to uważać za zaliczkę – rzekła. Ashton chwycił plik rzucony niedbale w jego stronę. Była to największa suma, jaką kiedykolwiek trzymał w ręku – przynajmniej ze sto pięćfuntówek; wszystkie nowe, z kolejnymi numerami. Obmacywał je palcami. Jeśli nie są prawdziwe, wyglądają na tak dobre, że nie ma to praktycznie żadnego znaczenia.

Przesunął kciukiem po grzbiecie paczki, jakby szukał znaczonej karty w talii, a potem rzekł z namysłem:

– Chciałbym wiedzieć, skąd je pani ma. Jeśli nie są fałszywe, to muszą być gorące i mogą sprawić kłopoty.

– Są prawdziwe. Jeszcze do niedawna znajdowały się w Banku Angielskim. Ale jeśli nie przydadzą się panu, proszę je wrzucić do ognia. Dałam je po to, by udowodnić, że sprawę traktuję poważnie.

– Słucham więc.

Gestem wskazał gościowi jedyne krzesło, a sam przysiadł na brzegu stołu.

Dama wyciągnęła z przepastnej torebki plik dokumentów i podała mu przez stół.

– Jestem gotowa zapłacić każdą sumę, jaką pan sobie życzy, za zdobycie tego i przekazanie mi w czasie i miejscu, które podam. Co więcej, zagwarantuję panu całkowite bezpieczeństwo osobiste w dokonywaniu tych kradzieży.

Ashton spojrzął na wykaz i westchnął. Ta kobieta była szalona, lepiej więc jej nie drażnić. Tam, skąd go wyjęła, mogło być jeszcze więcej pieniędzy.

– Widzę – powiedział łagodnie – że wszystkie te przedmioty znajdują się w British Museum, a większość z nich jest całkiem dosłownie bezcenna. Oznacza to, że nie można ich ani kupić, ani sprzedać.

– Nie pragnę ich sprzedawać. Jestem kolekcjonerką.

– Tak mi się zdawało. A ile pani jest gotowa zapłacić za zdobycie tego?

– Proszę w7ymienić sumę.

Nastąpiło krótkie milczenie. Ashton rozważał możliwości. W pewnym sensie odczuwał zawodową dumę ze swego zajęcia, ale z drugiej strony, są rzeczy, których nie można osiągnąć za żadne pieniądze. Jednakże dla zabawy warto zobaczyć, do jakiej wysokości dojdzie ta licytacja.

– Myślę, że okrągłutki milion będzie całkiem przyzwoitą sumą za to wszystko.

– Obawiam się, że nie traktuje mnie pan zbyt poważnie. Z pańskimi kontaktami powinien pan sobie z tym poradzić.

Z błyskiem światła coś zaiskrzyło się w powietrzu. Ashton schwycił naszyjnik, zanim ten spadł na podłogę, i wbrew swym zwyczajom aż wytrzeszczył oczy ze zdumienia. W jego palcach lśniła fortuna. Środkowy brylant był największy, jaki kiedykolwiek widział – musiał należeć do najszlachetniejszych klejnotów na świecie.

Kobieta zdawała się zachowywać całkowitą obojętność, gdy Ashton

wsuwał naszyjnik do kieszeni. Był ogromnie wstrząśnięty widząc, że ona nie udaje. Ten wspaniały klejnot nie miał dla niej większej wartości niż kostka cukru. Było to szaleństwo na niewyobrażalną skalę.

– Zakładając, że może pani dostarczyć te pieniądze – rzekł – jak pani sobie wyobraża, że to, o co pani prosi, jest fizycznie możliwe? Można ukraść jedną rzecz z tego wykazu, ale w ciągu paru godzin muzeum będzie pełne policji.

Mając w kieszeni taki majątek, mógł sobie pozwolić na szczerość. Poza tym pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o swym fantastycznym gościu.

Dama uśmiechnęła się raczej smutno, jakby ustępowała niedorozwiniętemu dziecku.

– A jeśli pokażę panu jak – powiedziała cicho – zrobi pan to?

– Tak... za milion.

– Czy nie zauważył pan czegoś dziwnego od chwili, gdy przyszedłem? Czyż nie jest... bardzo cicho?

Ashton nasłuchiwał. Mój Boże, ona ma rację! W tym pokoju nigdy nie było zupełnie cicho, nawet nocą. Przecież wiatr hulał po dachu – co się z nim teraz stało? Nie dochodziły odgłosy dalekiego ruchu ulicznego; jeszcze pięć minut temu przeklinał lokomotywy przestawiające wagony na górze rozrządowej przy końcu ulicy. Co się z tym wszystkim stało?

– Proszę podejść do okna.

Posłusznie wykonał rozkaz i odsunął lepkie od brudu firanki rękami, które lekko drżały, choć za wszelką cenę starał się je opanować. Odetchnął. Ulica była pusta, co często się zdarzało o tej porze dnia. Nie było ruchu, a więc nie mógł nic słyszeć. Potem, wzdłuż szeregu niewielkich domków, spojrzął na górkę rozrządową.

Kobieta uśmiechnęła się, kiedy Ashton zeszywniał z wrażenia.

– Proszę mi powiedzieć, co pan widzi, panie Ashton?

Powoli odwrócił się z pobladłą twarzą i gwałtownie przelżykał ślinę.

– Kim pani jest? – wykrztusił. – Czarownicą?

– Niech pan się nie wygłupia. Wszystko łatwo wytłumaczyć. To nie świat się zmienił, lecz pan.

Ashton jeszcze raz spojrzął ze zdumieniem na tę niewiarygodną lokomotywę manewrową, nad którą unoszący się pióropusz pary zamarł w bezruchu, jakby był z waty. Teraz uzmysłowił sobie, że również chmury tkwiły nieruchomo, choć powinny szybko sunąć po niebie. Wszystko wokół wyglądało nienaturalnie, jak na zdjęciu wykonanym przy bardzo krótkiej ekspozycji; uderzało nierealnością widoku ukazującego się w świetle błyskawicy.

– Pan jest na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, jeśli nawet nie może pan zrozumieć, jak do tego doszło.

Zmieniła się skala pańskiego czasu: rok w tym pokoju równałby się minucie poza nim".

Ponownie otworzyła torebkę i tym razem wyjęła z niej przedmiot, który wyglądał jak bransoletka wykonana z jakiegoś srebrzystego metalu, zaopatrzona w szereg tarcz i przełączników.

– Można to nazwać osobistym generatorem – rzekła. – Mając to na ręku, jest pan niezwyciężony. Może się pan wszędzie poruszać bez przeszkód, ukraść wszystkie podane w spisie przedmioty i przekazać mi je, zanim strażnik w muzeum zdąży mrugnąć powieką. Po wykonaniu zadania, o całe kilometry stamtąd wyłączy-pan pole i wróci do normalnego świata. A teraz proszę słuchać uważnie i robić dokładnie to, co powiem. Promień pola ma około dwóch metrów, więc musi pan zachowywać przynajmniej tę odległość od najbliższej osoby. Po drugie, nie wolno wyłączać pola przed wykonaniem zadania i póki nie otrzyma pan ode mnie zapłaty. To bardzo ważne. A plan, który opracowałam, przedstawia się następująco...

Jeszcze nigdy w historii świata żaden przestępca nie dysponował taką mocą. Po prostu upajała Ashtona, lecz on zastanawiał się, czy kiedykolwiek do niej przywyknie. Nie dbał o wyjaśnienia, przynajmniej do chwili, gdy wykona pracę i odbierze zapłatę. A później może wyjedzie z Anglii daleko i będzie się cieszył zasłużoną emeryturą.

Kobieta dała mu jeszcze kilka minut, lecz kiedy wyszedł na ulicę, widok w ogóle się nie zmienił. Chociaż był przygotowany, wrażenie to wciąż go deprymowało. Nagły impuls kazał mu się pośpieszyć, jak gdyby stan ten nie mógł trwać długo, a przecież musi wykonać pracę, zanim wyczerpie się prąd zasilający tę zabawkę. Lecz, jak go zapewniono, to było niemożliwe.

Na High Street zwolnił, by przyjrzeć się zamartwionemu pojazdowi i sparaliżowanym przechodniom. Uważał, by do nikogo za bardzo się nie zbliżyć i nie objąć działaniem pola. Jak śmiesznie wyglądają ludzie odarci z gracji, której dodaje im ruch, a te ich usta, półotwarte w głupawym wyrazie!

Szukanie pomocy było wbrew jego naturze, ale pewnej części roboty nie mógł podjąć sam. Poza tym stać go, by hojnie zapłacić i nawet nie' odczuje tego. Ashton zdawał sobie sprawę, że główna trudność polega na znalezieniu kogoś dostatecznie inteligentnego, żeby się nie przestraszył, albo tak głupiego, by uznał wszystko za normalne. Postanowił najpierw spróbować tego pierwszego.

Tony Marchetti mieszkał przy bocznej ulicy w niewielkiej odległości od komisariatu, co sprawiło wrażenie, że naprawdę przesadza z wyborem kryjówki. Mijając wejście do komisariatu, Ashton spojrzął na sie-

dzącego za biurkiem sierżanta na służbie i omal nie uległ pokusie połączenia obowiązku z przyjemnością. Ale to mogło poczekać.

Drzwi Tony'ego otworzyły się, kiedy przed nimi stanął. Było to tak naturalne w świecie, w którym wszystko jest nienormalne, że dopiero po chwili Ashton uzmysłowił sobie, co to oznaczało. Czyżby zawiódł generator? Pośpiesznie spojrzął przez ramię na ulicę i martwy obraz, który zobaczył za sobą, uspokoił go.

– No, no, przecież to Bob Ashton! – powiedział znajomy głos. – Co za spotkanie tak wcześnie rano. A jaką masz dziwną bransoletę. Myślałem, że tylko ja jeden mam taką.

– Cześć, Aram – odparł Ashton. – Wygląda na to, że dzieje się mnóstwo różnych rzeczy, o których żaden z nas nie ma pojęcia. Wynająłeś już Tony'ego, czy jeszcze jest wolny?

– Przykro mi, ale mamy pewną robótkę, która zajmie go na jakiś czas.

– Możesz mi nie mówić gdzie. National Gallery albo Tatę. Aram Albenkian przebierał palcami w swej koziej bródce.

– Kto ci to powiedział? – spytał.

– Nikt. Ale tak czy inaczej, jako handlarz sztuki jesteś największym krętaczem w tej branży i zaczynam rozumieć, co się święci. Czy tej bransoletki i spisu zakupów nie dostałeś przypadkiem od wysokiej, bardzo ładnej brunetki?

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym ci odpowiadać, ale to był facet.

Na moment zaskoczyło to Ashtona, lecz po chwili wzruszył ramionami.

– Mogłem się domyślić, że jest ich więcej. Chciałbym wiedzieć, kto za tym stoi.

– A czy domyślasz się kto? – ostrożnie spytał Albenkian. Ashton uznał, że warto zaryzykować i częściowo podzielić się informacjami, by zobaczyć, jak zareaguje ten drugi.

– To jasne, że nie interesują ich pieniądze. Mają ich, ile chcą, a mogą zdobyć jeszcze więcej za pomocą tej zabawki. Kobieta, która do mnie przysłała, powiedziała, że jest kolekcjonerką. Wziąłem to za żart, ale teraz widzę, że mówiła poważnie.

– Ale po co nas w to wciągnęli? Co im przeszkadza zrobić to samemu? – spytał Albenkian.

– Może się boją. Albo potrzebują naszej, hm, fachowej wiedzy. Niektóre rzeczy z mojego wykazu są bardzo dobrze schowane. Domyślam się, że muszą to być agenci jakiegoś zwariowanego milionera.

Przypuszczenie to niezbyt trzymało się kupy i Ashton o tym wiedział. Chciał jednak zobaczyć, gdzie Albenkian będzie próbował je podeprzeć.

– Mój drogi – rzekł ten drugi, odsłaniając nadgarstek – a jak wytłumaczysz ten drobiazg? Nie znam się na nauce, ale nawet ja mogę powiedzieć, że to przekracza najśmielsze marzenia naszej techniki. Z tego można wyciągnąć tylko jeden wniosek.

– To znaczy?

– Ci ludzie są... skądinąd. Naszą planetę systematycznie okrada się ze skarbów. Znasz to wszystko, co piszą o rakietach i statkach kosmicznych? No to już ktoś to robił przed nami.

Ashton się nie roześmiał. Przypuszczenie to wcale nie było fantastycznie j sze od faktów.

– Kimkolwiek są – rzekł – zdaje się, że bardzo dobrze wiedzą, co robią. Ciekaw jestem, ile mają zespołów? Może w tej samej chwili robią rozpoznanie Luvru i Prado? Zanim skończy się dzień, świat czeka niezły wrzrząs. j

Rozstali się dość przyjaźnie, nie zdradziwszy żadnego z naprawdę istotnych szczegółów swych zadań. Przez krótką chwilę Ashton myślał, czy by nie spróbować przekupić Tony'ego, ale nie było sensu zrażać sobie Albenkiana. Będzie musiał wystarczyć Steve Regan. Oznaczało to półtorakilometrowy marsz, gdyż oczywiście nie mógł skorzystać z żadnego środka transportu. Umarłby ze starości, zanim by dojechał na miejsce autobusem. Ashton nie miał pewności, co może wyniknąć, jeśli spróbuje pojechać samochodem, ale przestrzegano go przed wszelkimi eksperymentami.

Zdziwiło Ashtona, że ten prawie patentowany kretyn Steve przyjął akcelerator tak spokojnie; mimo wszystko chyba nie należy źle mówić o komiksach, które prawdopodobnie były jego jedyną lekturą. Po kilku słowach szalenie uproszczonych wyjaśnień, Steve zapiął drugą bransoletę, którą Ashton otrzymał od kobiety bez komentarza, co go nieco zaskoczyło. Potem wyruszyli na długi spacer.

Ashton, a raczej jego klientka pomyślała o wszystkim. Raz zatrzymali się przy ławce, by zjeść parę kanapek i trochę odsapnąć. Kiedy w końcu dotarli do muzeum, żaden z nich nie czuł się gorzej z powodu zażywania ruchu, do czego nie byli przyzwyczajeni.

Razem przeszli przez bramę prowadzącą do muzeum – wbrew logice rozmawiając ze sobą szeptem – a potem po szerokich, kamiennych schodach dostali się do hallu wejściowego. Ashton doskonale znał drogę. W przyływie przekornego humoru okazywał swą kartę wstępu do czytelnicy, kiedy mijali zmienionych w posągi bileterów. Przyszło mu do głowy, że użytkownicy wielkiej sali przeważnie wyglądają dokładnie tak jak zawsze, nawet bez pomocy akceleratora.

Zbieranie podanych w spisie książek było zajęciem prostym, lecz nudnym. Wybrano je chyba ze względu na ich wartość jako dzieł sztuki

oraz treści literackie. Wyboru dokonał ktoś doskonale zorientowany. Ashton zastanawiał się, czy o n i zrobili to sami, czy też przekupili fachowców, tak jak jego samego. Ciekaw był, czy kiedykolwiek pozna wszystkie rozgałęzienia tej zmywy.

Wiele gablot trzeba było rozbijać, lecz Ashton uważał, by nie uszkodzić książek, nawet niepotrzebnych. Za każdym razem, gdy uzbierał dostateczną liczbę tomów, by dały się w miarę wygodnie unieść, Steve przenosił je na dziedziniec i układał na płytach chodnika, aż utworzyły małą piramidę.

Nie przeszkadzało, że na krótko pozostawały poza polem akceleratora. Nikt nie zauważył mgnienia ich obecności w normalnym świecie.

Według swojego czasu przebywali w bibliotece już dwie godziny i zrobili sobie przerwę na drugą przekąskę przed następnym zadaniem. Po drodze Ashton zatrzymał się w drobnej, prywatnej sprawie. Brzęk-nęło szkło, gdy niewielka gablotka, stojąca samotnie dla podkreślenia wspaniałości tego, co zawiera, oddawała swój skarb: rękopis A licji w krainie czarów znalazł bezpieczne schronienie w kieszeni Ashtona.

W starożytnościach nie za bardzo się orientował. Z każdej galerii miał zabrać po kilka eksponatów, ale czasami trudno mu było zrozumieć powody, dla których je wybrano. Miał wrażenie – i tutaj przypomniał sobie słowa Albenkiana – że te dzieła sztuki wybierał ktoś kierujący się całkowicie innymi kryteriami. Tym razem, z kilkoma wyjątkami, najwyraźniej nie radzili się fachowców.

Po raz drugi w historii rozbito gablotę z Wazą Portlandzką. Ashton pomyślał, że za pięć sekund w muzeum rozdzwonią się alarmy i w całym budynku podniosą krzyk. A on po pięciu sekundach może być o kilometry stąd. Myśl ta upajała go, a kiedy tak szybko pracował, by wywiązać się z umowy, zaczął żałować, że zbyt mało zażądał za jej wykonanie. W tej chwili jeszcze nie było za późno.

Jak dobry fachowiec poczuł wewnętrzne zadowolenie, gdy patrzył na Steve'a wynoszącego na dziedziniec wielką srebrną tacę ze Skarbu Mildenhall i kładącego ją na imponującym stosie.

– To wszystko – powiedział. – Rozliczymy się wieczorem u mnie. Teraz zdejmę ci tę zabawkę.

Wyszli na High Holborn i wybrali zaciszną, boczną uliczkę, gdzie w pobliżu nie było przechodniów. Ashton rozpiął osobliwą sprzączkę i odsunął się od swego pomocnika, patrząc, jak ten zamiera w bezruchu. Wróciwszy do normalnego czasu, Steve był znowu narażony na niebezpieczeństwo wśród innych ludzi. Ale zanim podniosą alarm, on zdąży zniknąć w londyńskim tłumie.

Kiedy ponownie wszedł na dziedziniec muzeum, skarbu już tam nie było. W miejscu, gdzie leżał, stała ta kobieta... od jak dawna? Zachowała wdzięk i swobodę, ale Ashton pomyślał, że wygląda na trochę zmęczoną.

Podszedł bliżej, połączyły się ich pola i już nie dzieliła ich przepaść ciszy aie do pokonania.

– Mam nadzieję, że jest pani zadowolona – rzekł. – Jak się pani udało tak szybko to wszystko zabrać?

Dotknęła bransolety na swym przegubie i uśmiechnęła się blado.

– Poza tą mamy jeszcze inne moce.

– Dlaczego więc potrzebowaliście mojej pomocy?

– Z powodów technicznych. Trzeba było oddzielić potrzebne nam przedmioty od pozostałych. W ten sposób mogliśmy zabrać tylko to, czego szukaliśmy, nie marnując naszych ograniczonych, że tak powiem, możliwości transportowych. A teraz, czy mogę prosić o zwrot bransolety?

Ashton bez pośpiechu wręczył jej bransoletę, którą miał przy sobie, ale nie kwapił się do zdejmowania własnej. Mogło to grozić niebezpieczeństwem, ale miał zamiar zrejterować, gdyby dostrzegł jego pierwszą oznakę.

– Jestem gotów spuścić z ceny – rzekł. – Właściwie mogę zupełnie zrezygnować z zapłaty. W zamian za to.

Dotknął swego przegubu, gdzie w świetle słonecznym błyszczała intrygująca metalowa opaska.

Patrzyła nań z wyrazem tak nieprzeniknionym jak uśmiech Giocon-dy. (Ashton zastanawiał się, czy ją również dołączono do skarbów, które zebrał. Ile wzięli z Luwru?).

– Nie nazwałabym tego obniżeniem ceny. Nie kupi pan takiej bransolety za wszystkie pieniądze na Ziemi.

– Ani tego, co pani dałam.

– Pan jest zachłanny, panie Ashton. Pan wie, że z akceleratorem można opanować cały świat.

– No i co z tego? Czy interesuje was jeszcze nasza planeta, skoro już zabraliście to, co było wam potrzebne?

Po krótkiej chwili uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

– A więc domyślił się pan, że nie należę do pańskiego świata.

– Tak. I wiem, że poza mną ma pani jeszcze innych agentów. Czy pani jest z Marsa? A może nie chce mi pani tego powiedzieć?

– Bardzo chętnie to zrobię, ale jeśli powiem, być może nie będzie mi pan za to wdzięczny.

Ashton spojrział na nią podejrzliwie. Co ona miała na myśli? Nieświadomie schował rękę za plecami, zasłaniając sobą bransoletę.

– Nie. Nie jestem z Marsa, ani z żadnej planety, o której kiedykolwiek pan słyszał. Nie zrozumie pan, kim jestem. Jednak powiem to panu. Jestem z Przyszłości.

– Z Przyszłości!? To absurd!

– Czyżby? Chciałabym wiedzieć dlaczego.

– Gdyby coś takiego było możliwe, nasza historia byłaby pełna podróżników w czasie. Poza tym pociągnęłoby to za sobą *reductio ad absurdum*. Podróżowanie w przeszłość zmieniałoby teraźniejszość, powodując wszelkiego rodzaju paradoksy.

– Są to słuszne uwagi, choć chyba nie tak oryginalne, jak pan sądzi. Lecz dowodzą jedynie, że niemożliwa jest podróż w czasie tylko w sensie ogólnym, a nie w tak bardzo szczególny sposób, jak w naszym przypadku.

– A cóż jest w nim tak szczególnego? – spytał.

– Niesłychanie rzadko i kosztem wyzwolenia ogromnej ilości energii można wytworzyć w czasie pewien niezwykle stan. W tym ułamku sekundy, w którym się pojawia, przeszłość jest dostępna dla przyszłości, choć jedynie w ograniczonym zakresie. Możemy wysłać wstecz do was tylko nasze umysły, ale nie nasze ciała.

– To znaczy – rzekł Ashton – że pani pożyczyła ciało, które widzę?

– Tak, ale zapłaciłam za nie, tak jak płacę panu. Właścicielka przyjęła nasze warunki. Jesteśmy bardzo sumienni w tych sprawach.

Ashton myślał błyskawicznie. Jeśli ta historia jest prawdziwa, daje mu to wyraźną przewagę.

– To znaczy – mówił dalej – nie ma pani bezpośredniej kontroli nad materią i musi pracować za pośrednictwem ludzi?

– Tak. Nawet te bransolety wykonano tutaj pod nadzorem naszych myśli.

Zbyt chętnie i za wiele wyjaśniała, ujawniając wszystkie swe słabości. Głęboko w mózgu Ashton migotało światełko ostrzegawcze, ale zbytnio się zaangażował, by się wycofać.

– Zatem wydaje mi się – powiedział z wolna – że nie może mnie pani zmusić do oddania tej bransolety.

– Absolutna prawda.

– To wszystko, co chciałem wiedzieć.

Teraz uśmiechała się do niego, ale w uśmiechu tym było coś, co zmroziło go do szpiku kości.

– Nie jesteśmy niezyczliwi, czy mściwi, panie Ashton – powiedziała spokojnie. – To, co zamierzam teraz uczynić, jest zgodne z moim poczuciem sprawiedliwości. Poprosił pan o bransoletę, więc może ją pan zachować. A teraz powiem panu, jak bardzo się przyda.

Wiedziony nagłym impulsem, przez chwilę chciał oddać akcelerator. Musiała odgadnąć jego myśli.

– Nie, za późno. Żądam, żeby go pan zachował. I pod jednym względem mogę pana uspokoić: nie zużyje się. Będzie panu służyć – i znów ten tajemniczy uśmiech – do końca życia. Czy ma pan coś przeciwko temu, że się przespacerujemy, panie Ashton? Skończyłam już to, co miałam tutaj zrobić, i chciałabym po raz ostatni rzucić okiem na waszą planetę, zanim opuszczę ją na zawsze.

Nie czekając na odpowiedź, skierowała się w stronę żelaznej bramy. Trawiony ciekawością Ashton ruszył za nią..

Szli w milczeniu, aż w końcu zatrzymali się w zamarłym ruchu ulicznym Tottenham Court Road. Kobieta stała przez chwilę, patrząc na zastygłe w ruchu tłumy, a potem westchnęła.

– Nic na to nie poradzę, że muszę im współczuć. Panu również. Ciekawa jestem, do czego byście doszli.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Przed chwilą, panie Ashton, powiedział pan, że przyszłość nie może sięgać w przeszłość, ponieważ zmieniliby to historię. Trafna uwaga, ale obawiam się, nie w tym przypadku. Widzi pan, wasza planeta nie ma już więcej historii do zmieniania.

Wskazała na coś po drugiej stronie ulicy i Ashton szybko odwrócił się na pięcie. Nie było tam niczego poza gazeciarzem przycupniętym nad stosem gazet. Jakiś plakat wygiął się w nieprawdopodobny łuk na wietrze, który dał w tym nieruchomym świetle. Ashton z trudnością odczytał niedbale napisane słowa:

DZIŚ TEST SUPERBOMBY

Głos, który słyszał, zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

– Powiedziałam panu, że podróż w czasie, nawet w tej ograniczonej formie, wymaga wyzwolenia ogromnej energii, znacznie większej niż podczas wybuchu jednej bomby, panie Ashton. Ale ta bomba to tylko zapalnik...

Wskazała na stały grunt pod ich stopami.

– Czy cokolwiek wie pan o swej własnej planecie? Chyba nie. Pańska rasa nauczyła się tak niewiele. Ale nawet wasi uczeni odkryli, że na głębokości trzech tysięcy kilometrów znajduje się gęste, płynne jądro Ziemi. Składa się ono z materii pod ciśnieniem, która może istnieć w jednym z dwóch stałych stanów. Pod wpływem jakiegoś bodźca może przejść z jednego stanu w drugi, jak huśtawka opadająca za dotknięciem palca. Ale ta zmiana, panie Ashton, wyzwoli tyle energii, ile miały razem wzięte wszystkie trzęsienia ziemi od czasu powstania waszej planety. Oceany i kontynenty wylecą w Kosmos, a Słońce otrzyma drugi pas asteroidów. Kataklizm ten poniesie się echem przez wieki i otworzy nam ułamek sekundy w waszym czasie. W tej krótkiej chwili próbujemy uratować, co tylko nam się uda, spośród skarbów waszej planety. To wszystko, co możemy zrobić. Jeśli nawet wasze motywy były czysto egoistyczne i całkowicie nieuczciwe, oddalicie swej rasie niezamierzoną przysługę. A teraz muszę wracać na statek czekający nad ruinami Ziemi prawie o sto tysięcy lat w przyszłości. Może pan zatrzymać bransoletę.

9 – Spotkanie..

Odeszła momentalnie. Nagle zamarła i stała się jedną z nieruchomych postaci na wypełnionej ciszą ulicy. Został sam.

Sam! Ashton trzymał przed oczami połyskującą bransoletę, zahipnotyzowany jej skomplikowaną budową i zawartą w niej mocą. Zrobił interes i musi ją zachować. Mógł jeszcze przeżyć swe życie do końca kosztem samotności, jakiej żaden człowiek jeszcze nie zaznał. Jeśli wyłączy pole, ostatnie sekundy historii miną nieubłagane.

Sekundy? W rzeczywistości miał jeszcze mniej czasu. Wiedział bowiem, że bomba już musiała wybuchnąć.

Usiadł na brzegu chodnika i zaczął myśleć. Nie wpadał w panikę – musiał wszystko rozważyć spokojnie, bez hysterii. Mimo wszystko, miał jeszcze mnóstwo czasu.

Cały czas świata.

## 9. Napięcie

Grant właśnie dokonywał wpisu do dziennika pokładowego Gwiazdnej Królowej, gdy usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi kabiny. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się obejrzeć – nie miał potrzeby, gdyż na pokładzie statku przebywał poza nim tylko jeden człowiek. Lecz kiedy nic nie nastąpiło, a McNeil ani się nie odezwał, ani nie wchodził, długotrwała cisza w końcu zaintrygowała Granta, który odwrócił się wraz z siedzeniem zawieszonym na kardanie.

McNeil po prostu stał w drzwiach z miną, jakby zobaczył ducha. To banalne porównanie od razu nasunęło się Grantowi. Chwilowo nie wiedział, jak bliskie było prawdy. W pewnym sensie McNeil zobaczył ducha, najbardziej przerażającego ze wszystkich: własnego.

– Co jest? – spytał Grant ze złością. – Chory jesteś, czy co?

Inżynier przecząco pokręcił głową. Grant zauważył niewielkie kropelki potu, które odrywały się od czoła McNeila i połyskując leciały przez kabinę po swych idealnie prostych trajektoriach. Chciał coś powiedzieć, ale przez moment nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wyglądał, jakby miał zamiar płakać.

– Koniec z nami – wyszeptał ostatecznie. – Poszła rezerwa tlenu.

I dopiero wtedy się rozplakał. Przypominał sflaczałą lalkę, która sama się składała. Nie mógł upaść, bo nie było ciężenia, więc po prostu złożył się w pół WT powietrzu.

Grant nic nie powiedział. Całkiem podświadomie zaczął rozgniewać w popielniczce swego tłącego się papierosa, rozcierając go do ostatniej, najmniejszej iskierki. Miał wrażenie, że powietrze wokół niego już gęstnieje, kiedy ścisnęło go za gardło prerażenie wywołane najdawniejszym postrachem kosmicznych szlaków.

Powoli odpiął elastyczne pasy, które, kiedy siedział, dawały pewne złudzenie ciężenia, i z wprawą skierował się ku drzwiom. McNeil nie próbował iść za nim. Nawet uwzględniając wstrząs, jaki przeżył, zachowywał się zdaniem Granta, bardzo brzydko. Mijając inżyniera, ze złością trzepnął go otwartą dłonią i kazał mu się opanować.

Ładownia była dużym, półkulistym pomieszczeniem z grubą kolumną pośrodku, w której biegły kable i przewody układu sterowania do drugiej, znajdującej się w odległości stu metrów, połowy przypomina-

jącego hantle statku kosmicznego. Wypełniały ją skrzynki i pudła ułożone w abstrakcyjną, trójwymiarową kompozycję, prawie niepodatną na ciężenie.

Gdyby nawet cały ładunek nagle znikł, Grant pewnie by tego nie zauważył. Wpatrywał się w ogromny, wyższy od niego zbiornik tlenu, umocowany sworzniami do ściany w pobliżu wewnętrznych drzwi śluzy powietrznej.

Zbiornik nie zmienił wyglądu od czasu, kiedy widział go ostatnim razem – lśnił aluminiową farbą, a ścianki były chłodne w dotyku i tylko to świadczyło o jego zawartości. Wszystkie przewody wydawały się w doskonałym stanie. Nic nie wskazywało, że coś jest nie w porządku, poza jednym, małym szczegółem – strzałka wskaźnika poziomu stała nieruchomo na zerze.

Grant wpatrywał się w milczący symbol jak mieszkaniec średniowiecznego Londynu, który wraca do domu w czasie zarazy i widzi nagryzmołony pośpiesznie, świeży znak krzyża na swych drzwiach. Potem kilkakrotnie puknął w szkiełko wskaźnika w próżnej nadziei, że strzałka się zacięła, choć naprawdę ani przez chwilę nie wątpił w jej wskazanie. Zła wieść sama w sobie stanowi gwarancję zawartej w niej prawdy. Jedynie dobre wiadomości wymagają potwierdzenia.

Kiedy Grant powrócił do sterowni, McNeil znów był sobą. Jedno spojrzenie na otwartą apteczkę ujawniło przyczynę jego szybkiego dojścia do siebie. Nawet silił się na dobry humor.

– To meteoryt – rzekł. – Podobno statek tej wielkości nie powinien częściej zderzać się z meteoritem niż raz na sto lat, a więc chyba pośpieszyliśmy się z tym o dziewięćdziesiąt pięć lat.



– Ale dlaczego nie zadziałał system alarmowy? Ciśnienie powietrza wydaje się normalne, więc gdzie jest ta dziura?

– Nie ma jej – odparł McNeil. – Nie wiesz, że tlen krąży w spiralnej chłodnicy po zaciemnionej stronie, żeby zachować ciekły stan? Meteoryt musiał ją rozbić i jej zawartość wyparowała.

Grant milczał, zbierając myśli. Stała się rzecz poważna, bardzo poważna, ale nie musi skończyć się śmiercią. W każdym razie przecież mieli już za sobą trzy czwarte drogi.

– Chyba regenerotorowi uda się dostarczyć dość powietrza do oddychania, jeśli nawet będzie trochę duszno? – spytał z nadzieją. McNeil pokręcił głową.

– Jeszcze nie rozpracowałem tego szczegółowo, ale znam odpowiedź. Kiedy dwutlenek węgla się rozkłada, do cyrkulacji powraca wolny tlen, ale z dziesięcioprocentową stratą. Dlatego właśnie musimy mieć rezerwę.

– Skafandry! – wykrzyknął Grant w nagłym podnieceniu. – A co z ich zbiornikami?

Powiedział to bez zastanowienia, a kiedy uświadomił sobie swój błąd, poczuł się jeszcze gorzej niż przedtem.

– Nie możemy trzymać w nich tlenu, bo wyparowałyby w ciągu kilku dni. Jest tam dosyć sprężonego powietrza do oddychania przez pół godziny, co wystarcza, żeby na wypadek awarii dotrzeć do głównego zbiornika.

– Musi być jakieś wyjście, jeśli nawet trzeba będzie wyrzucić ładunek i pędzić na złamanie karku. Skończmy te zgadywanki i dokładnie zastanówmy się, gdzie jesteśmy.

Grant był tyle wściekły, co przestraszony. Złościł go McNeil, bo się załamał, a także projektanci statku, gdyż nie przewidzieli tej jednej możliwości na ileś tam milionów. Do nieodwołalnego terminu pozostawało jeszcze kilka tygodni, a w tym czasie wiele może się zdarzyć. Myśl ta pozwoliła mu chwilowo utrzymać strach na odległość wyciągniętej ręki.

Położenie było bez wątpienia wyjątkowe – jedna z tych osobiście przewlekłych sytuacji, które zdarzają się chyba jedynie w Kosmosie. Zostało mnóstwo czasu do myślenia, może nawet aż za dużo.

Grant zajął miejsce pilota, przypiął się pasami i wyciągnął blok do pisania.

– Uporządkujmy fakty – rzekł udając spokój. – Mamy powietrze, które w dalszym ciągu krąży po statku, i za każdym razem, gdy przechodzi przez regenerator, tracimy dziesięć procent tlenu. Zechcesz mi podrzucić instrukcję obsługi? Nigdy nie pamiętam, ile metrów sześciennych zużywamy w ciągu doby.

Mówiąc, że Gwiazdna Królowa może się spodziewać uderzenia meteorytu raz na sto lat, McNeil ogromnie uprosił sprawę, choć było to nieuniknione. Decydują o tym bowiem tak liczne czynniki, że trzem pokoleniom statystyków udało się jedynie ustalić na tyle mętne zasady, by towarzystwa ubezpieczeniowe trzęsły się ze strachu, kiedy deszcz meteorytów przelatuje jak burza przez orbity wewnętrznych planet.

Oczywiście wszystko zależy od tego, co się rozumie pod słowem „meteoryt”. Każda grudka kosmicznego żużlu, docierająca do powierzchni Ziemi, ma miliony mniejszych braci całkowicie ginących w przestworzach, gdzie atmosfera jeszcze całkiem się nie kończy, a Kosmos jeszcze nie zaczyna – w upiornych obszarach, po których czasem nocą spaceruje Aurora.

To są właśnie te dobrze znane, spadające gwiazdy, rzadko większe od łebka szpilki; a z kolei są jeszcze miliony razy liczniejsze od nich cząsteczki, tak małe, że nie widać żadnych śladów ich unicestwienia, kiedy spadają z nieba. Wszystkie te niezliczone drobiny pyłu, rzadziej kamienie, a nawet wędrujące w Kosmosie góry, z jakimi Ziemia spotyka się może raz na milion lat – wszystko to są meteoryty.

W lotach kosmicznych meteoritem jest tylko to, co może przebić powłokę statku, pozostawiając otwór dostatecznie duży, by groził nie-, bezpieczeństwem. Zależy to od względnej szybkości, a także od rozmiarów. Opracowano tabele podające w przybliżeniu okresy możliwych kolizji w poszczególnych rejonach Układu Słonecznego oraz różne wielkości meteorytów, aż po masy rzędu kilku miligramów.

Ten, który uderzył Gwiazdną Królową był olbrzymem, o średnicy prawie centymetra i wadze całych dziesięciu gramów. Według tabel czas oczekiwania na zderzenie z takim potworem wynosi dziesięć dni do potęgi dziewiątej: powiedzmy trzy miliony lat. Absolutna pewność, że coś takiego ponownie się nie zdarzy w historii ludzkości, była dla Granta i McNeila bardzo niewielkim pocieszeniem.

Jednakże mogło być gorzej. Gwiazdna Królowa znajdowała się na swej orbicie od stu piętnastu dni i do końca lotu pozostało jej tylko trzydzieści. Jak wszystkie statki towarowe poruszała się po wydłużonej elipsie stykającej się z orbitami Ziemi i Wenus po przeciwnych stronach Słońca. Szybkie statki pasażerskie podróżowały bezpośrednio między planetami z trzykrotnie większą prędkością, zużywając dziesięć razy tyle paliwa, Gwiazdna Królowa zaś musiała mozolnie trzymać się swej ustalonej trasy jak tramwaj, a każda jej podróż trwała mniej więcej 145 dni.

Trudno sobie wyobrazić coś mniej podobnego do statków kosmicznych z początków dwudziestego wieku niż Gwiazdna Królowa. Składała się z dwóch kul: jednej o średnicy pięćdziesięciu metrów, a drugiej – dwudziestu, połączonych około stumetrowym cylindrem. Wszystko razem wyglądało jak model atomu wodoru, wykonany z zapalki i plasteliny. Załoga, ładunek i sterownia znajdowały się w większej kuli, natomiast mniejsza mieściła silniki atomowe i, oględnie mówiąc, znajdowała się w strefie zakazanej dla żywej materii.

Gwiazdną Królową zbudowano w Kosmosie i nigdy nie mogłaby wystartować nawet z powierzchni Księżyca. Przy pełnej mocy jej napęd dawał przyspieszenie jednej dwudziestej G, co w ciągu godziny nadawało jej wystarczającą prędkość, by z satelity Ziemi stać się satelitą Wenus.

Przewożeniem ładunku z planet na statek zajmowały się silne, niewielkie rakiety chemiczne. Za miesiąc z Wenus uniosą się holowniki na spotkanie Gwiazdnej Królowej, lecz ona nie wyhamuje, gdyż nikt nią nie będzie kierował. Ślepo trzymając się swej orbity, minie Wenus i za pięć miesięcy powróci na orbitę ziemską, choć Ziemia będzie wówczas daleko.

Zdumiewające, ile czasu zabiera zwykle dodawanie, jeśli od wyniku zależy czyjeś życie. Grant zliczał niewielki słupek liczb kilka razy, zanim ostatecznie porzucił nadzieję, że wynik może się zmienić. Potem siedział bazgrząc nerwowo po białym plastyku, pokrywającym pulpity pilota.

– Uwzględniając wszelkie możliwości oszczędzania – rzekł – przetrwamy około dwudziestu dni. Oznacza to, że do Wenus pozostanie nam jeszcze dziesięć dni, kiedy...

Głos jego zawisł z próżni.

Dziesięć dni to niewiele – lecz równie dobrze mogłoby to być dziesięć lat. Grant ze złośliwą ironią pomyślał o tych wszystkich literatach, którzy tłuką historyjki przygodowa i słuchowiska radiowe pełne właśnie takich sytuacji. Według tych powielających swoje pomysły ekspertów, z których tylko niewielu poleciało dalej niż na Księżyc, w takich okolicznościach były trzy wyjścia.

Właściwe, już mocno wyświechtane rozwiązanie polegało na przekształceniu statku w szklarnię lub gospodarstwo hydroponiczne, a reszta należała do fotosyntezy. Albo też można było dokonywać cudów inżynierii chemicznej czy atomowej, opisywanych z nudnymi szczegółami technicznymi, by zbudować urządzenie wytwarzające tlen, które nie tylko uratuje życie zainteresowanemu – i oczywiście bohaterce – ale również pozwoli mu stać się właścicielem niesłychanie cennych patentów. Trzecie rozwiązanie, typu deus ex machina, to pojawienie się statku kosmicznego, któremu przypadkowo kurs wypadł akurat w pobliżu.

Lecz to tylko fantazja – w rzeczywistości wszystko wygląda zupełnie inaczej. Choć pierwszy pomysł w teorii zdawał się sensowny, na pokładzie Gwiazdnej Królowej nie było nawet ani jednego opakowania z nasionami trawy. Jeśli idzie o błyskotliwe rozwiązania inżynierskie, dwóch ludzi, choćby najinteligentniejszych i najbardziej zdesperowanych, nie może w ciągu kilku dni udoskonalić wyników uzyskanych przez dziesiątki wielkich instytucji badawczych przemysłu w ciągu ponad stu lat.

Pojawienie się zaś statku kosmicznego, któremu „przypadkowo kurs wypadł akurat w pobliżu”, było prawie niemożliwe z samej definicji. Gdyby nawet inne statki towarowe krążyły po tej samej elipsie – a Grant wiedział, że takich nie ma – zgodnie z prawami rządzącymi w Kosmosie

musiałyby zachować między sobą odległość początkową. Natomiast nie było całkiem niemożliwe pojawienie się w odległości kilkuset tysięcy kilometrów od nich jakiegoś statku pasażerskiego, pędzącego po swej hiper-bolicznej orbicie, ale z tak dużą prędkością, że będzie w równym stopniu nieosiągalny jak Pluton.

– Jeśli wyrzucimy ładunek – odezwał się w końcu McNeil – to czy nie uda nam się zmienić naszej orbity? Grant przecząco pokręcił głową.

– Miałem taką nadzieję – odparł – ale nic z tego. Gdybyśmy chcieli, możemy dotrzeć do Wenus w ciągu tygodnia, ale zabraknie nam paliwa do hamowania i żaden statek z Wenus nie przechwyci nas w chwili jej mijania.

– Nawet pasażer?

– Według Rejestru Lloyda Wenus ma w tej chwili tylko parę frachtowców. W każdym razie manewr ten praktycznie jest niemożliwy. Jeśli nawet statkowi ratowniczemu uda się osiągnąć naszą szybkość, to jak powróci? A potrzebuje przecież pięćdziesięciu kilometrów na sekundę, żeby nas dogonić!

– Skoro my nie umiemy znaleźć wyjścia – rzekł McNeil – to może ktoś na Wenus potrafi. Lepiej skontaktujmy się z nimi.

– Mam zamiar to zrobić – odparł Grant – gdy tylko ustalę, co mam powiedzieć. Idź przygotować nadajnik, dobrze?

Popatrzył za McNeilem wypływającym z kabiny. Chyba przez najbliższe dni będzie miał z nim kłopoty. Dotychczas współzycie układało się im raczej dobrze – jak większość ludzi otyłych McNeil był dobroduszny i wyrozumiały. Lecz teraz Grant uświadomił sobie, że brakowało mu charakteru. Wskutek zbyt długiego przebywania w Kosmosie stał się za słaby – i fizycznie, i psychicznie.

Z tablicy rozdzielczej nadajnika zabrzmiał brzęczyk. Paraboliczne lustro, znajdujące się na zewnątrz statku, celowało w świecąca jak lampa łukowa Wenus, która biegła po prawie równoległej drodze, w odległości zaledwie dziesięciu milionów kilometrów. Trzymilimetrowe fale z nadajnika statku pokonają ten dystans w ciągu nieco ponad pół minuty. Gorzka była świadomość, że tylko trzydzieści sekund dzieliło ich od bezpieczeństwa.

Automatyczna stacja radiowa na Wenus wysłała bezosobowy sygnał „nadawać” i Grant zaczął mówić pewnym i, miał nadzieję, beznamiętnym głosem. Dokładnie zanalizował sytuację i zakończył prośbą o radę. Nie wspomniał o swych obawach co do McNeila. Dobrze wiedział bowiem, że inżynier, obsługujący nadajnik, wszystko słyszy.

Jak dotąd na Wenus nikt jeszcze nic nie wiedział, choć mimo opóźnienia wynikającego z odległości, wiadomość już -tam dotarła. Została zapisana na taśmie magnetofonowej, którą dopiero za kilka minut przyjdzie przesłuchać niczego nie podejrzewający radiooficer.

Nie będzie miał pojęcia, jaka bomba wybuchnie, kiedy telewizja i dzienniki podejmą ten temat, dając początek fali współczucia na wszystkich zamieszkanym planetach. Wypadek w Kosmosie ma dramaturgię, która spycha z nagłówków wszelkie inne sprawy.

Dotychczas Grant był zbyt zajęty własnym bezpieczeństwem, aby myśleć o znajdującym się pod jego opieką ładunku. Dawnego kapitana morskiego, który najpierw myślał o swym statku, taka postawa mogłaby zaszokować. Grant jednakże nie miał powodu do obaw o ładunek.

Gwiezdna Królowa nie mogła zatonać, ani wjechać na nie oznaczone na mapie skały, czy też zaginąć bez wieści na zawsze, jak wiele dawnych

statków. Nic jej nie grozi bez względu na to, co może przydarzyć się załodze. Pozostawiona sama sobie krążyłaby w kółko po swojej orbicie z taką dokładnością, że można by według niej układać kalendarze na całe stulecia.

Grant nagle przypomniał sobie, że ładunek ubezpieczono na przeszło dwadzieścia milionów dolarów. Istniało niewiele rzeczy na tyle cennych, by transportować je z jednej planety na drugą, i skrzynki w ładowni miały przeważnie większą wartość, niż wynosiła ich waga – lub raczej masa

– w złocie. Być może zawartość niektórych z nich przydałaby się w tej sytuacji i Grant podszedł do sejfu, by odszukać listy przewozowe.

Rozkładał właśnie cienkie, mocne arkusiki, gdy do kabiny wszedł McNeil.

– Obniżyłem ciśnienie powietrza – rzekł. – Statek ma pewne przecieki, które w normalnych warunkach nie miałyby żadnego znaczenia.

Grant z roztargnieniem skinął głową, wręczając plik dokumentów McNeilowi.

– To nasze listy przewozowe. Proponuję, żebyśmy je przejrzyli, bo może ładunek zawiera coś, co mogłoby nam pomóc.

Chciał dodać, że gdyby to nie dało żadnego wyniku, przynajmniej będą mieli jakieś zajęcie – ale nie zrobił tego. Kiedy przebiegał wzrokiem po długich kolumnach ponumerowanych pozycji – obrazujących przekrój całego handlu międzyplanetarnego – Grant zaczął się zastanawiać, co kryje się za tymi martwymi symbolami. Pozycja 347 – 1 książka

– 4 kg brutto.

Gwizdnął zauważywszy, że pozycję tę oznaczono gwiazdką i ubezpieczono na sto tysięcy dolarów, i nagle przypomniał sobie, jak przez radio mówili, iż Instytut Hesperyjski właśnie zakupił egzemplarz pierwszego wydania Siedmiu filarów mądrości.

Kilka stron dalej natknął się na bardzo kontrastującą z tym pozycję

– książki różne – 25 kg – bez istotnej wartości.

Wysłanie ich na Wenus kosztowało małą fortunę, a jednak nie mają „istotnej wartości”. Grant popuścił wodze fantazji. Być może ktoś opuszczał Ziemię na zawsze i na nową planetę zabierał ze sobą najukochańsze skarby – kilkanaście książek, które najbardziej ze wszystkich wpłynęły na ukształtowanie jego psychiki.

Pozycja 564 – 12 szpul z filmami.

To oczywiście superfilm o Neronie, „J?iedy plonie Rzym”, który ledwie zdążył uciec z Ziemi przed decyzją cenzury. Wenus czeka nań z niecierpliwością.

Lekarstwa – 50 kg. Pudełko cygar – 1 kg. Narzędzia precyzyjne

– 75 kg. I dalej podobnie. Każda pozycja oznaczała coś rzadkiego albo coś, czego przemysł i nauka młodszej cywilizacji nie mogły jeszcze wytworzyć.

Cały ładunek wyraźnie dzielił się na dwie kategorie: olśniewający luksus albo zwykła konieczność. Pośrednich rzeczy było niewiele. A wśród tego wszystkiego Grant nie znalazł nic, w ogóle nic, co dawałoby mu choćby cień nadziei. Nie spodziewał się, że będzie inaczej, co jednak nie uchroniło go przed uczuciem całkiem nieuzasadnionego rozczarowania.

Kiedy w końcu nadeszła odpowiedź z Wenus, magnetofon zapisywał ją przez całą godzinę. Zawierała tyle szczegółowych pytań, że przygnębiony Grant zastanawiał się, czy starczy mu życia, by na wszystkie odpowiedzieć. Większość z nich dotyczyła spraw technicznych, związanych ze statkiem. Specjaliści z dwóch planet wspólnie wyciężali umysły, próbując uratować Gwiazdą Królową i jej ładunek.

– No i co o tym myślisz? – spytał Grant McNeila, kiedy ten zapoznał się z treścią odpowiedzi. Uważnie obserwował inżyniera, szukając dalszych oznak przemęczenia.

Minął dłuższy czas, zanim McNeil przemówił. Wzruszył ramionami, a jego pierwsze słowa były echem myśli Granta.

– To oczywiście nas zajmie. Nie dam rady przeprowadzić tych wszystkich prób przed upływem doby. Z grubsza orientuję się, do czego zmierzają, ale niektóre pytania są po prostu idiotyczne.

Grant myślał tak samo, lecz mu nie przerywał.

– Pytanie o wielkość wycieku z kadłuba wydaje się sensowne, ale po co im sprawność naszej osłony przed radiacją? Moim zdaniem chcą podtrzymać nasze morale udając, że wpadli na jakiś wspólny pomysł, albo też chcą nas tak zająć, żebyśmy nie mieli czasu się martwić.

Spokój McNeila przyniósł Graniowi ulgę, ale i poirytował. Ulżyło mu, obawiał się bowiem następnej sceny, lecz drażniło go, że McNeil w ogóle nie pasował do psychicznej kategorii, do

jakiej go zaliczył. Czy jego zachowanie na początku było dla niego typowe, czy też mogło przydarzyć się każdemu?

Granta, dla którego wszystko na świecie było albo czarne, albo białe, złościła niemożność ustalenia, czy McNeil jest tchórzliwy, czy odważny. Nigdy mu nie przyszło do głowy, że mógł być i taki, i taki.

Podczas lotu w Kosmosie, jak nigdzie indziej, brak oznak upływu czasu. Nawet na Księżycu cienie leniwie przesuwają się po skałach, kiedy Słońce odbywa swą powolną drogę po niebie. Blisko Ziemi zawsze widać glob obracający się jak zegar, którego wskazówkami są kontynenty. Lecz w czasie długiej podróży stabilizowanym żyroskopowe statkiem światło Słońca rzuca na ścianę i podłogę niezmiennie cienie i tylko zegar bez sensu odfajkownie godziny i dni.

Grant i McNeil już dawno nauczyli się według niego regulować swoje życie. W głębi Kosmosu ich ruchy były leniwe, a ożywiały się

jedynie, kiedy nadchodził koniec podróży i należało zaczynać manewr hamowania. Choć teraz wisiał nad nimi wyrok śmierci, w dalszym ciągu posuwali się utartymi ścieżkami przyzwyczajenia.

Grant codziennie dokonywał wpisów do dziennika pokładowego, sprawdzał pozycję statku i pełnił swe zwykle obowiązki. Można powiedzieć, że również McNeil zachowywał się normalnie, chociaż Grant podejrzewał go o niezbyt skrupulatne wykonywanie pewnych prac związanych z konserwacją urządzeń.

Od zderzenia z meteoritem upłynęły już trzy dni. Ziemia i Wenus konferowały od dwudziestu czterech godzin i Grant zastanawiał się, kiedy otrzyma wyniki tych obrad. Nie wierzył, by nawet najlepsze umysły techniczne w Układzie Słonecznym potrafiły ich teraz uratować, lecz trudno porzucać nadzieję, kiedy wszystko zdaje się normalne, a powietrze jest wciąż czyste i świeże.

Czwartego dnia ponownie odezwała się Wenus. Odarta ze szczegółów technicznych wiadomość była niczym więcej, jak tylko mową pogrzebową. Granta i McNeila spisano na straty, lecz udzielono im szczegółowych instrukcji w sprawie zabezpieczenia ładunku.

Na Ziemi astronomowie obliczali wszystkie możliwe orbity ratunkowe, które pozwoliłyby zbliżyć się do Gwiazdnej Królowej w ciągu najbliższych kilku lat. Istniała nawet pewna szansa, że za sześć lub siedem miesięcy, gdy statek ponownie znajdzie się w aphelium, uda się dotrzeć do niego z Ziemi, lecz manewr ten może przeprowadzić jedynie pusty, szybki statek pasażerski, a paliwo kosztowałoby fortunę.

Wkrótce po otrzymaniu tej wiadomości McNeil zniknął. Początkowo sprawiło to Grantowi pewną ulgę. Jeśli McNeil woli być sam, to jego sprawa. Poza tym trzeba napisać listy, a później zająć się sprawą testamentu.

Tym razem wypadła kolej McNeila na przygotowanie „wieczornego” posiłku, a on znajdował w tym przyjemność, bo lubił dogadzać swemu żołądkowi. Kiedy Grant nie usłyszał odgłosów, które wówczas zwykle dochodzą z kuchni, udał się na poszukiwanie swej załogi.

Znalazł McNeila leżącego w koi, pogodzonego ze światem. Obok niego, w powietrzu wisiała duża, metalowa skrzynka nosząca ślady włamania. Grant nie musiał sprawdzać jej zawartości. Wystarczyło spojrzeć na McNeila.

– To wstyd – rzekł inżynier bez śladu zażenowania – ciągnąć to przez rurkę. Nie możesz dać trochę ciężenia, żebyśmy mogli pić normalnie?

Grant rzucił mu ze złością pogardliwe spojrzenie, lecz McNeil, nie tracąc kontenansu, patrzył mu w oczy.

– Nie krzyw się! Sam się napij. Jakże to ma teraz znaczenie?

Pchnął w jego stronę butelkę, którą Grant zręcznie schwycił, kiedy przelatowała obok niego. Było to niesłychanie cenne wino – przypominał sobie teraz tę przesyłkę – a zawartość niewielkiej skrzynki musiała być warta tysiące.

– Uważam, że nie ma potrzeby zachowywać się jak świnia – rzekł poważnie Grant – nawet w takich okolicznościach.

McNeil nie był jeszcze pijany. Dotarł zaledwie do jasno oświetlonego przedsionka upojenia i nie całkiem stracił kontakt z bezbarwnym światem zewnętrznym.

– Jestem gotów – powiedział bardzo uroczyście – wysłuchać wszystkich argumentów przeciwko mojemu obecnemu postępowaniu – postępowaniu, które mnie wydaje się wybitnie rozsądne. Ale radzę ci przekonywać mnie szybko, póki jeszcze reaguję na argumenty.

Znów nacisnął plastikową bańkę i purpurowy strumień trysnął mu do ust.

– Pomijając fakt, że okradasz firmę z własności, którą wcześniej czy później z pewnością uratują, nie będziesz się upijał zbyt długo.

– Zobaczymy – rzekł pogrążony w myślach McNeil.

– Nie sądzę – odpalił Grant.

Oparł się mocniej o ścianę i ze złością pchnął skrzynkę, która wyleciała przez otwarte drzwi. Kiedy dał nurka w ślad za nią i zatrzasnął drzwi, usłyszał, jak McNeil wykrzykuje:

– To największe świństwo!

Trochę potrwa, zanim inżynier – szczególnie w tym stanie – zdoła się odpiąć i wyjść. Grant skierował skrzynkę z powrotem do ładowni i zamknął wejście do niej na klucz. Ponieważ nie było potrzeby zamykania jej, gdy statek przebywał w Kosmosie, McNeil nie miał klucza, a drugi, który znajdował się w sterowni, Grant mógł schować.

Kiedy w jakiś czas później przechodził koło jego kabiny, McNeil coś wyśpiewywał. Miał jeszcze kilka butelek do towarzystwa i wydzierał się:

„Nieważne, co się dzieje z tlenem

Byłe nie było go w winie...”

Grant, który otrzymał wykształcenie techniczne, nie wiedział, skąd pochodzi ten cytat. Zatrzymawszy się, by posłuchać, poczuł, że nagle ogarnia go uczucie, przed którym – trzeba mu oddać sprawiedliwość – przez chwilę się wzdragał.

Minęło tak szybko, jak się pojawiło, lecz Grant źle się poczuł i drżał. Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że jego niechęć do McNeila powoli przeradza się w nienawiść.

Według jednej z podstawowych zasad lotu kosmicznego, wynikających ze zdrowych, psychologicznych przesłanek, w długotrwałej podróży załoga powinna składać się nie mniej niż z trzech osób.

Lecz przepisy są po to, żeby je obchodzić i armatorzy Gwiazdnej Królowej uzyskali zezwolenie Rady Kontroli Ruchu Kosmicznego i towarzystw ubezpieczeniowych na odlot frachtowca na Wenus bez przepisowego kapitana.

Rozchorował się w ostatniej chwili, a nie było nikogo w zastępstwie. Ponieważ planety nie czekają, aż człowiek uporządkuje swoje sprawy, gdyby statek nie odleciał o czasie, nie odleciałby w ogóle.

W grę wchodziły miliony dolarów, a więc odleciał. Zarówno Grant, jak i McNeil byli doskonałymi fachowcami i nie mieli nic przeciwko zarobieniu podwójnej stawki swego zwykłego wynagrodzenia minimalnie większym nakładem pracy. Mimo zasadniczo różnych temperamentów dosyć dobrze współżyli ze sobą w normalnych warunkach. Nikt nie ponosił winy za to, że teraz warunki daleko odbiegały od normalności.

Mówi się, że wystarczą trzy dni bez jedzenia, aby zniknęła wątpliwa granica między człowiekiem cywilizowanym a dzikusiem. Grant i McNeil jeszcze nie odczuwali dolegliwości fizycznych, ale ich wyobraźnia była zbyt pobudzona i obecnie mieli więcej wspólnego z dwoma wygłodzonymi wyspiarzami w łodzi zagubionej na Pacyfiku, niż chcieliby przyznać.

Istniał bowiem pewien, a przy tym najważniejszy aspekt powstałej sytuacji, o którym jeszcze nie było mowy. Kiedy Grant już wielokrotnie sprawdził wypisane przez siebie liczby, obliczenia jeszcze nie zostały całkiem zakończone. Obaj natychmiast zrobili ten jeden krok naprzód i każdy z nich doszedł równocześnie do tego samego, nie wypowiedzianego wyniku.

Było to przerażająco proste – makabryczna parodia zadania z początków arytmetyki, które zaczyna się od słów: „Jeśli sześciu ludzi montuje pięć helikopterów w ciągu dwóch dni, to jak długo...”

Ilość tlenu na statku pozwoli przetrwać dwóm mężczyznom około dwudziestu dni, a do Wenus pozostawało trzydzieści. Nie trzeba być geniuszem matematyki, by od razu dostrzec, że jeden i tylko jeden mógł dożyć spaceru po metalowych ulicach Portu Hesperusa.

Do potwierdzonego terminu ostatecznego pozostało jeszcze dwadzieścia dni, ale tylko dziesięć do przemilczanego. Do tego czasu powietrza starczy dla obu, a później tylko dla jednego. Postronnemu obserwatorowi sytuacja ta mogła wydawać się interesująca.

Taka zmowa milczenia rzecz jasna nie mogła dłużej trwać. Dwóm ludziom, nawet w najlepszych stosunkach, trudno jednak polubownie ustalić, który z nich powinien popełnić samobójstwo. A jeszcze trudniej, gdy nie rozmawiają ze sobą.

Grant chciał być całkowicie uczciwy. Jedyne więc, co mógł zrobić, to czekać, aż McNeil wytrzeźwieje, i wówczas szczerze postawić sprawę. Najlepiej myślało mu się przy swym pulpicie, więc przeszedł do sterowni i przymocował się pasami do fotela pilota.

Przez chwilę patrzył zamyślony w przestrzeń. Uznał, że lepiej będzie przedstawić całą sprawę na piśmie, szczególnie w obecnym stanie stosunków dyplomatycznych z McNeilem. Przypiął kartkę papieru do pulpitu i zaczął: „Szanowny Panie McNeil...” Potem wyrwał ją i zaczął od nowa: „McNeil...”

Pisał przez prawie trzy godziny, a mimo to nie był zupełnie zadowolony. Bardzo trudno przelać pewne rzeczy na papier. Ostatecznie udało mu się dobrać do końca.

List w zaklejonej kopercie włożył do sejfu. Mógł poczekać dzień czy dwa.

Tylko parę osób spośród milionów na Ziemi i Wenus oczekujących wieści z Kosmosu mogło sobie choć w części wyobrazić napięcie powoli rosnące na pokładzie Gwiazdnej Królowej. Całymi dniami prasa i radio snuły fantastyczne projekty operacji ratunkowych. Na trzech zamieszkałych planetach rzadko poruszano w rozmowach inne tematy. Ale do dwóch ludzi, którzy wywołali całe to zamieszanie, docierały tylko jego słabe echa.

Stacja na Wenus mogła w każdej chwili rozmawiać z Gwiazdną Królową, ale niewiele miała do powiedzenia. Przyzwoitość nie pozwala pocieszać skazańców w celi śmierci, jeśli nawet termin egzekucji nie jest zbyt dokładnie znany.

Wenus zatem ograniczała się do przekazywania zwykłych, codziennych informacji, blokując nieustanny potok nawoływań i gazetowych propozycji, napływających z Ziemi. Wobec tego prywatne stacje radiowe na Ziemi gorączkowo próbowały bezpośrednio połączyć się z Gwiazdną Królową. Nie udało im się tylko dlatego, że po prostu Graniowi i McNeilowi nie przyszło do głowy nastawić odbiornik na inne radiostacje oprócz tej na Wenus, która teraz była tak prowokująco bliska, prawie pod ręką.

Kiedy pewnego razu McNeil wyszedł z kabiny, Grant odczuł zakłopotanie; ponieważ jednak stosunki między nimi nie odznaczały się szczególną serdecznością, życie na pokładzie Gwiazdnej Królowej toczyło się przeważnie jak dawniej.

Poza snem Grant spędzał większość czasu na stanowisku pilota, obliczając manewry zbliżania i wypisując nie kończące się listy do swej żony. Gdyby chciał, mógł z nią porozmawiać, ale nie pozwalały mu na to miliony czyhających uszu. Teoretycznie podsłuchiwanie rozmów międzyplanetarnych było zabronione, ale tą interesowało się zbyt dużo ludzi.

Grant zapewniał siebie samego, że w ciągu kilku dni przekaże swój list inżynierowi i obaj zadecydują, co należy zrobić. Takie opóźnienie również McNeilowi dawało możliwość poruszenia tego tematu. Grant nie dopuszczał do siebie myśli, że powodem wahań McNeila mogło być co innego.

Często zastanawiał się, jak inżynier spędza czas. Dysponował dużym zbiorem mikrofilmów, gdyż sporo czytał i miał niezwykle szerokie zainteresowania. Grant wiedział, że jego ulubioną książką był Jurgen i może nawet teraz próbował zapomnieć o swym losie, poddając się jej -dziwnemu czarowi. Pozostałe książki McNeila nie zasługiwały na większy szacunek i wiele z nich dałoby się zaliczyć do kategorii dziwnie nazwanej „osobliwościami”.

Prawda zaś polegała na tym, że McNeil miał zbyt subtelną i złożoną osobowość, by Grant mógł go zrozumieć. Był hedonistą i znajdował przyjemność w radościach życia, tym bardziej że przez długie miesiące pozostawały dlań niedostępne. W żadnym wypadku nie był moralnym słabeuszem, za jakiego uważał go pozbawiony wyobraźni i trochę pury-tański Grant.

Co prawda zupełnie się załamał pod wpływem pierwszego szoku i jego zachowanie w sprawie wina było – zdaniem Granta – karygodne. Ale McNeil już zdążył otrząsnąć się z załamania. Na tym polegała różnica między nim a twardym, lecz kruchym Grantem.

Choć dzięki milczącej zgodzie powrócił normalny tok codziennych obowiązków, napięcie prawie się nie zmniejszyło. Poza wspólnymi posiłkami obaj robili wszystko, by się unikać. Kiedy przypadkowa dochodziło do spotkania, traktowali się z przesadną uprzejmością, jak gdyby za wszelką cenę chcieli udowodnić, że są całkowicie normalni, a nie wiadomo dlaczego, nigdy im się to nie udawało.

Grant miał nadzieję, że McNeil sam poruszy sprawę samobójstwa, uwalniając go w ten sposób od przykrego obowiązku. Kiedy inżynier uparcie nic takiego nie chciał uczynić, jeszcze bardziej zwiększyło to tylko pogardę i złość Granta. Co gorsza, męczyły go teraz koszmary nocne i bardzo źle sypiał.

Miał zawsze ten sam koszmarny sen. W dzieciństwie często czytał przed zaśnięciem, a zdarzało się, że lektura była zbyt interesująca, aby odkładać ją do rana. Chcąc uniknąć wykrycia czytał dalej pod kołdrą, przy latarce, zawinięty w przytulny kokon o białych ścianach. Co jakieś dziesięć minut robiło się tak duszno, że nie mógł oddychać i wówczas wysuwał głowę na rozkosznie chłodne powietrze, co zresztą należało do głównych punktów zabawy.

Teraz po trzydziestu latach, te niewinne godziny z dzieciństwa powróciły, by go straszyć. Śniło mu się, że nie może wydostać się z dusznej pościeli, a powietrze coraz bezlitośniej gęstnieje.

Zamierzał wręczyć list McNeilowi po dwóch dniach, lecz jakoś znów odłożył to na później. Takie zwlekanie było bardzo niepodobne do Granta, lecz udało mu się wyperswadować sobie, że właśnie tak należało postąpić.

Dawał McNeilowi szansę poprawy – udowodnienia, że nie jest tchórzem, jeśli pierwszy poruszy tę sprawę. To, że McNeil może od niego oczekiwać dokładnie tego smegu, jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy.

Jeszcze tylko pięć dni dzieliło ich od dosłownie ostatecznego terminu, kiedy Graniowi po raz pierwszy przemknęła myśl o morderstwie. Siedział sobie po „wieczornym” posiłku, starając się odprężyć, a McNeil hałasował w kuchni, jego zdaniem bardziej, niż musiał.

Jaki pożytek, zadawał sobie pytanie, przynosił inżynier światu? Nie miał żadnych zobowiązań ani rodziny – nikt bardziej od niego nie zasługiwał na śmierć. Natomiast Grant miał żonę i troje dzieci, które kochał umiarkowanie, choć z jakiegoś niejasnego powodu, one odwzajemniały się czymś więcej niż uczuciem z obowiązku.

Żaden bezstronny sędzia nie miałby najmniejszych trudności z rozstrzygnięciem, który z nich powinien przeżyć. Gdyby McNeil zachował choć odrobinę przyzwoitości, już by doszedł do tego samego wniosku. Ponieważ nic takiego nie zrobił, stracił prawo do tego, by uwzględnić jego wszelkie dalsze roszczenia.

Taka była podstawowa logika podświadomości Granta, która już od kilku dni miała gotową odpowiedź, ale dopiero teraz udało się jej zwrócić na nią uwagę świadomości, o co tak natarczywie się dopominała. Na korzyść Granta przemawia fakt, że natychmiast z przerażeniem odrzucił myśl o morderstwie.

Jako człowiek prawy i uczciwy miał bardzo surowe zasady. Nawet sporadyczne mordercze impulsy, zdarzające się ludziom omyłkowo zwanym normalnymi, rzadko niepokoiły jego umysł. Ale w ciągu tych bardzo niewielu dni, które mu jeszcze pozostały, myślał o tym coraz częściej.

Powietrze stało się już wyczuwalnie stęchłe. Choć wciąż jeszcze nie mieli istotnych trudności z oddychaniem, fakt ten nieustannie przypominał o tym, co ich czeka, a Grantowi nie pozwalał



zasnąć. Nie było to dlań zbyt wielką stratą, gdyż chroniło go przed koszmarami, lecz wyczerpywało fizycznie.

Również stan jego nerwów szybko się pogarszał, co podkreślał fakt, że McNeil zdawał się zachowywać z nieoczekiwanym i irytującym spokojem. Grant uzmysłowił sobie, że doszedł do punktu, w którym dalsze zwlekanie z ujawnianiem zamiarów byłoby niebezpieczne.

McNeil jak zwykle siedział w swojej kabynie, kiedy Grant wszedł do sterowni po list, który zamknął w sejfie; zdawało się, że było to już tak dawno temu. Zastanawiał się, czy nie trzeba jeszcze czegoś dopisać. Wówczas uprzytomnił sobie, że to tylko kolejny pretekst. Zdecydowanie ruszył w stronę kabiny McNeila.

Jeden mały neutron rozpoczyna reakcję łańcuchową, która momentalnie może pozbawić życia miliony ludzi i unicestwić zdobywcze pokoleń. Na pozór tak samo nieistotne i nieważne są pewne zapalne wydarzenia, które czasem mogą zmienić bieg wypadków, a tym samym całą przyszłość człowieka.

Nie było nic niezwykłego w tym, co spowodowało, że Grant zatrzymał się w korytarzu pod drzwiami kabiny McNeila. W normalnych warunkach nawet by tego nie zauważył. Poczł mianowicie woń dymu – dymu tytoniowego.

Na myśl, że inżynier-sybaryta jest do tego stopnia nieopanowany, by trwonić ostatnie litry bezcennego tlenu w tak haniebny sposób, Granta ogarnęła ślepa wściekłość. Z wrażenia przez chwilę stał jak sparaliżowany.

Potem powoli zmiął trzymany w ręku list. Myśl, która najpierw była niepożądanym intruzem, następnie przedmiotem coraz częstszych rozważań, została ostatecznie w pełni zaakceptowana. McNeil miał szansę, lecz swym niewiarygodnym, samolubnym postępowaniem udowodnił, że na nią nie zasłużył. I bardzo dobrze – musi umrzeć.

Szybkość, z jaką Grant doszedł do tego wniosku, wiele by powiedziała nawet najmarniejszemu psychologowi. Odszedł spod drzwi kabiny McNeila z uczuciem ulgi i nienawiści. Dotychczas chciał siebie samego przekonać, że nie ma potrzeby postępować uczciwie i proponować gry dającej McNeilowi równe szansę przeżycia.

Potrzebował właśnie takiego usprawiedliwienia i uczepił się go dla spokoju własnego sumienia. Choć bowiem był w stanie planować morderstwo, a nawet mógł je popełnić, należał jednak do tych, którzy muszą to czynić według swych specyficznych zasad moralnych.

Jak się okazało – zresztą nie po raz pierwszy – źle ocenił McNeila. Inżynier, jako zagorzały palacz, nawet w normalnych warunkach potrzebował tytoniu dla zachowania dobrego samopoczucia psychicznego. A jak bardzo potrzebował go właśnie teraz, Grant, sam palący tylko od czasu do czasu i bez szczególnej przyjemności, nigdy by tego nie zrozumiał.

McNeil przeprowadził szczegółowe obliczenia i zadowalał się czterema papierosami dziennie, co tylko w nieznacznym stopniu uszczuplało zapas tlenu na statku, ich brak zaś miałby ogromny wpływ na stan jego nerwów, a pośrednio również na nerwy Granta.

Wyjaśnianie tego Grantowi nie miało sensu. Palił więc po kryjomu u siebie ze wstrzemięźliwością, która, jak stwierdził z przyjemnością, a nawet z rozkoszą, która zdumiała nawet jego samego. Był to prawdziwy pech, że Grant musiał akurat trafić na moment, kiedy palił jednego ze swych codziennych czterech papierosów.

Jak na człowieka, który dopiero co postanowił dokonać morderstwa, Grant postępował niezwykle metodycznie. Bez wahania wrócił do sterowni i otworzył apteczkę z jej licznymi, starannie oznaczonymi przegródkami, zawierającymi środki, które pozwalały radzić sobie prawie we wszystkich wypadkach, jakie mogły zdarzyć się w Kosmosie.

Uwzględniono nawet sytuacje ostateczne, gdyż pod elastyczną opaską znajdowała się tam niewielka buteleczka, której szukał i której obraz przez wszystkie te dni leżał głęboko ukryty w nieznanach zakamarkach jego umysłu. Miała na sobie białą etykietkę z trupią główką i skrzyżowanymi

10 – Spotkanie..

piszczelami, pod którymi widniał napis: „Ok. 1/2 g powoduje bezbolesny i prawie natychmiastowy zgon”.

Trucizna działała bezboleśnie i prawie natychmiastowo – to dobrze. Ale jeszcze ważniejszy był fakt nie podany na etykiecie – nie miała żadnego smaku.

Kontrast między posiłkami przygotowanymi przez Granta a tymi, które starannie i umiejętnie przyrządzał McNeil, był uderzający. Każdy, kto lubi dobrze zjeść i spędza kawał życia w Kosmosie, zazwyczaj w samoobronie uczy się sztuki gotowania. McNeil opanował tę sztukę już dawno.

Zdaniem Granta natomiast, jedzenie należało do tych koniecznych, lecz kłopotliwych zajęć, które jak najszybciej należało mieć za sobą. Tę opinię odzwierciedlały jego potrawy. McNeil przestał już na nie narzekać, ale z pewnością zainteresowałby się, dlaczego akurat z tą Grant zadaje sobie tyle trudu.

Jeśli nawet zauważył rosnącą nerwowość Granta w czasie posiłku, nic nie powiedział. Jedli prawie w milczeniu, lecz to nie było nic niezwykłego, gdyż dawno już zdążyli wyczerpać większość tematów do beztrudnych rozmów. Kiedy sprzątnięto ostatnie naczynia – głębokie miski z zawiniętymi brzegami, które nie pozwalały zawartości wydostać się na zewnątrz – Grant poszedł do kuchni zrobić kawę.

Trwało to trochę długo, ponieważ w ostatniej chwili wynikło coś idiotycznego i denerwującego: przypomniał sobie nagle pewien klasyczny film sprzed stu lat, w którym Charlie Chaplin próbuje otruć złą żonę i przypadkowo zamienia kieliszki.

Było to najbardziej niestosowne wspomnienie, gdyż sprawiło, że roztrzęsiony Grant uległ atakowi bezgłośnej hysterii. Zadziałał „Bies przewrotności” Poe’go, demon rozkoszujący się postępowaniem wbrew kanonom ostrożności instynktu samozachowawczego, i minęła dobra minuta, zanim Grant odzyskał panowanie nad sobą.

Miał pewność, że przynajmniej na zewnątrz był całkiem spokojny, kiedy niósł dwa plastikowe pojemniki z rurkami do picia. Niebezpieczeństwo pomyłki nie groziło, gdyż na pojemniku inżyniera wyraźnie namalowano litery MAC.

Na myśl o pomyłce Grant był bliski psychopatycznego chichotu, ale trzeźwa refleksja, że jego nerwy są nawet w gorszym stanie, niż sobie wyobrażał, pozwoliła mu zapanować nad sobą.

Patrzył zafascynowany, nie dając tego po sobie poznać, jak McNeil bawi się swym pojemnikiem. Inżynier zdawał się nie śpieszyć; patrzył zadumany w przestrzeń. Potem chwycił ustami rurkę i pociągnął niewielki łyk.

Po chwili delikatnie splunął, a Graniowi wydało się, że jakaś lodowata ręka chwytą go za serce i nie zwalnia uścisku. Wówczas McNeil odwrócił się do niego i rzekł spokojnie:

– Przynajmniej raz zrobiłeś dobrą kawę. Jest dość gorąca.

Serce Granta z wolna podjęło przerwana pracę. Nie sądził, że uda mu się mówić normalnie, więc tylko wymijająco skinął głową. McNeil pieczołowicie zawiesił pojemnik w powietrzu, o kilkanaście centymetrów od swej twarzy.

Zdawał się intensywnie myśleć, jakby chciał powiedzieć coś ważnego. Grant przeklinał siebie za przygotowanie tak gorącego napoju; to jedno z takich drobnych niedopatrzeń, które zaprowadzają morderców na szubienicę. Jeśli McNeil będzie za bardzo zwlekał, Granta zdradzi nerwowość.

– Jak sądzę – odezwał się McNeil swobodnym tonem – przyszło ci do głowy, że wciąż jest dość powietrza, by jeden z nas dotrwał do Wenus.

Grant z wysiłkiem opanował rozdygotane nerwy i oderwał wzrok od pojemnika.

– Przy... przyszło mi to na myśl – wyjąkał, jakby zaschło mu w gardle.

McNeil dotknął pojemnika i stwierdził, że w dalszym ciągu jest za gorący.

– A zatem – ciągnął dalej z namysłem – czy nie byłoby rozsądniej, gdyby jeden z nas zdecydował się wyjść przez służbę powietrzną albo, powiedzmy, zażyć tamtej trucizny?

Wskazał kciukiem apteczkę, widoczną z miejsca, w którym siedzieli.

Grant skinął głową.

– Oczywiście – dodał inżynier – jedyny kłopot polega na tym, jak ustalić, który z nas ma być tym nieszczęśnikiem. Uważam, że najlepiej będzie ciągnąć karty, albo zdecydować o tym w jakiś inny sposób, który uznamy za stosowny.

Grant patrzył na McNeila z osłupieniem, chyba większym od jego rosnącej nerwowości. Nigdy by nie uwierzył, że inżynier może mówić na ten temat tak spokojnie. Był pewien, że McNeil niczego nie podejrzewa. Najwyraźniej również on myślał o tym samym i nawet trudno uznać to za zbieg okoliczności, że wybrał akurat ten moment, by poruszyć tę sprawę.

McNeil uważnie go obserwował, jakby oceniając jego reakcję.

– Masz rację – usłyszał Grant swój głos. – Musimy to omówić. > – Tak – rzekł całkiem beznamiętnie McNeil. – Musimy.

Potem znów sięgnął po pojemnik, przyłożył rurkę do ust i zaczął powoli sączyć kawę.

Grant nie miał już sił dłużej czekać, aż skończy. Dziwił się, że nie nadchodzi ulga, której oczekiwał. Poczł ukłucie żalu, choć niezupełnie

były to wyrzuty sumienia. Trochę za późno, by teraz o tym myśleć, ale nagle uświadomił sobie, że ostatecznie na pokładzie Gwiezdnej Królowej sam, niepokojony własnymi myślami przez ponad trzy tygodnie, zanim przyjdzie pomoc.

Nie chciał patrzeć na śmierć McNeila i zrobiło mu się niedobrze. Nawet nie spojrzawszy na swoją ofiarę, skierował się do wyjścia. ""

Nieruchome, ostre słońce i nie mrugające gwiazdy spoglądały na Gwiezdną Królową, która jak one zdawała się wisieć bez ruchu. Nic nie wskazywało, że małe hantle statku osiągnęły teraz prawie swą maksymalną prędkość i że miliony koni mechanicznych w ich mniejszej kuli czekały na chwilę uwolnienia. Właściwie nic nie wskazywało, że wewnątrz jest w ogóle jakieś życie.

Z wolna otworzyła się jedna ze śluz powietrznych po zaciętej stronie statku, wypuszczając na zewnątrz strumień światła. Dziwnie wyglądało zawieszony w ciemności, świetliste koło. Nagle pociemniało, gdy dwie postacie wypłynęły ze statku.

Jedna z nich była wyraźnie bardziej nieruchawa od drugiej i to raczej z ważnego powodu miała na sobie skafander kosmiczny. Skoro już o nim mowa, istnieją pewne elementy stroju, które nosi się albo nie, w zależności od fantazji, lecz ich obecność czy brak może grozić co najwyżej utratą prestiżu towarzyskiego. Ale skafandry kosmiczne do nich nie należą.

Nie było widać, co działo się tam, w ciemności\* Wtem mniejsza postać ruszyła, zrazu wolno, a potem coraz szybciej. Wysunęła się z cienia statku i znalazła w pełnym blasku Słońca; dopiero teraz dało się zauważyć, że do pleców miała umocowaną niewielką butlę z gazem, z której tryskała delikatna mgiełka, prawie natychmiast znikająca w Kosmosie.

Była to prymitywna, lecz skuteczna rakietka. Nie istniało niebezpieczeństwo, że słabe pole grawitacyjne statku przyciągnie ciało z powrotem.

Obracając się powoli, trup małał na tle gwiazd, aż zupełnie zniknął w ciągu niecałej minuty. Postać w służbie bez ruchu obserwowała jego odlot. Potem zewnętrzna kłapa zamknęła się, jasne koło zniknęło i na zaciętej ścianie statku migotał jedynie słaby odbłask Ziemi.

Nic więcej się nie wydarzyło przez następne dwadzieścia trzy dni.

Kapitan Herkulesa odwrócił się do swego zastępcy z westchnieniem ulgi.

– Bałem się, że nie da rady. To musiała być ogromna robota, żeby samemu zmienić orbitę i do tego w takiej duchocie, jaka tam teraz musi panować. Kiedy do niego dotrzemy?

– Za jakąś godzinę. Jego orbicie daleko jeszcze do kolistej, ale ją skorygujemy.

– W porządku. Zawiadom Lewiatana i Tytana, że możemy się z nim połączyć, i powiedz im, żeby startowały, dpfirze? Ale dopóki nie połączymy się na dobre, nie wspominaj o tym fv^im przyjaciołom od komentarzy prasowych. ', 4

Zastępca kapitana był na tyle przyzwoity, żeby się zaczerwienić.

– Nie mam zamiaru – rzekł nieco urażonym tonem, delikatnie naciskając klawisze kalkulatora. ;

Zdawał się rozczarowany odpowiedzią, która natychmiast zaświeciła na ekranie.

– Będzie lepiej, jeśli przejdziemy na pokład Królowej i sami zmniejszymy jej prędkość do orbitalnej, nim zawołamy tamte holowniki – powiedział – bo inaczej stracimy zbyt dużo paliwa. Ten statek wciąż pędzi . szybkością prawie kilometra na sekundę.

– Dobra myśl. Powiedz Lewiatanowi i Tytanowi, żeby czekały w pogotowiu, ale nie startowały, zanim nie podamy nowej orbity.

Kiedy wiadomość ta znajdowała się w drodze poprzez chmury pokrywające pół nieba pod nimi, pogrążony w myślach zastępca kapitana zauważył: . •

– Ciekaw jestem, co on teraz czuje?

– Mogę ci powiedzieć. Jest tak zadowolony, że żyje, że już nic więcej go nie obchodzi. ' •

– Ja jednak chyba bym nie chciał zostawić swego kolegi w Kosmosie, żeby samemu wrócić do domu.

– Nikt by nie chciał. Ale słyszałeś, co podawali przez radio: spokojnie to sobie obgadali i ten, który przegraj, wyszedł przez służbę powietrzną. To było jedyne rozsądne wyjście.."

– Może i rozsądne, ale to okropne tak z zimną krwią pozwolić komuś poświęcić życie, żeby samemu się uratować.

– Nie bądź tak cholernie sentymentalny. Mogę się założyć, że gdyby nam coś takiego się przytrafiło, wypchnąłbysfmnie w Kosmos, zanim zdążyłbym się pomodlić.

– O ile przedtem ty byś mnie nie wyrzucił. Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek to samo stało się z Herkulesem. Wylatujemy z portu najwyżej na pięć dni, no nie? A tyle się mówi o romantyczności lotów kosmicznych! •

Kapitan nie odpowiedział. Patrzył w wizjer teleskopu nawigacyjnego, ponieważ Gwiezdna Królowa powinna już być w zasięgu kontaktu wzrokowego. Jakiś czas trwało ustawienie noniusza, a potem odetchnął z zadowoleniem.

– No, jest. W odległości dziewięciuset pięćdziesięciu kilometrów. Powiedz załodze, żeby była w pogotowiu, a jerrfu pošlij parę słów, by go podnieść na duchu. Powiedz, że będziemy tam za "pół godziny, nawet jeśli to nie całkiem prawda. †

Nylonowe liny długości tysiąca metrów z wolna się naprężyły, pochłaniając względny impet statków, a potem znowu rozluźniły, gdy Gwiezdna Królowa i Herkules zmierzały ku sobie. Ruszyły elektryczne kołowroty i Herkules podciągnął się do frachtowca jak pajak po nitce.

Ludzie w kosmicznych skafandrach pocili się z ciężkimi silnikami odrzutowymi – bardzo skomplikowana robota – aż zgrali służby powietrzne i można było je łączyć. Odsunęły się zewnętrzne klapy i wymieszało się powietrze z obu służ – świeże i zużyte. Czekając z butlą w ręku, zastępca kapitana zastanawiał się, w jakiej formie jest uratowany. Wówczas odsunęła się wewnętrzna klapa Gwiezdnej Królowej.

Przez krótką chwilę dwaj mężczyźni stali, patrząc na siebie poprzez krótki korytarz, który łączył teraz obie służby powietrzne. Zastępcę kapitana zaskoczył i trochę rozczerował brak jakichkolwiek szczególnych oznak dramatu, który tam się rozegrał.

Tyle wydarzeń poprzedzało tę chwilę, że kiedy w końcu stała się faktem, prawie nie było w niej napięcia, nawet w momencie, gdy odchodziła w przeszłość. Zastępca kapitana, jako niepoprawny romantyk, pragnął powiedzieć coś pamiętnego, co przejdzie do historii niczym słynne „Doktor Livingstone, jak sądzę?" Jednak rzekł tylko:

– Cieszę się, że pana widzę, McNeil.

Choć znacznie schudł i zmizerniał, McNeil dobrze zniósł tę ciężką próbę. Z rozkoszą oddychał czystym powietrzem, lecz odrzucił propozycję odpoczynku czy snu. Wyjaśnił, że przez ostatni tydzień prawie nic innego nie robił, żeby oszczędzać powietrza. Pierwszemu oficerowi wyraźnie sprawiło to ulgę, obawiał się bowiem, że będzie musiał jeszcze poczekać na relację.

Podczas gdy przenoszono ładunek, a pozostałe dwa holowniki wznosiły się z wielkiego, oślepiającego półksiężyca Wenus, McNeil odtwarzał wydarzenia ostatnich kilku tygodni, ukradkiem notowane przez zastępcę kapitana.

McNeil mówił spokojnie i bezosobowo, jakby opowiadał o przygodzie, którą przeżył kto inny albo która naprawdę nigdy się nie wydarzyła. Oczywiście do pewnego stopnia tak było, choć spotkałaby go niesprawiedliwość, gdyby ktoś zarzucił mu kłamstwo.

Niczego nie wymyślił, lecz wiele przemilczał. Miał trzy tygodnie na przygotowanie swej relacji i nie sądził, by czegoś w niej brakowało.

Grant był już przy drzwiach, gdy McNeil powiedział doń spokojnie:

– Skąd ten pośpiech? Myślałem, że mamy coś do omówienia.

Grant przytrzymał się drzwi, by wyhamować swój pęd w ucieczce na złamanie karku. Powoli się odwrócił i z niedowierzaniem wlepił wzrok w inżyniera. McNeil powinien już być martwy, lecz siedział całkiem normalnie, patrząc nań z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

– Siadaj! – powiedział ostrym tonem.

W tej samej chwili wydało się, jakby nagle cały autorytet przeszedł na niego. Grant usiadł, całkiem bezwolnie. Coś zawiodło, choć nie miał pojęcia co.

Milczenie w sterowni zdawało się trwać całe wieki. Pierwszy odezwał się McNeil, raczej smutnym głosem:

– Miałem nadzieję, Grant, że stać cię na więcej. W końcu Grant wydobył z siebie głos, lecz sam z ledwością go poznawał.

– Co masz na myśli? – wyszeptał.

– A jak uważasz? – odparł McNeil tonem lekkiej tylko irytacji. – Myślę oczywiście o twojej próbie otrucia mnie.

Chwiejący się świat Granta ostatecznie runął, lecz jemu samemu już na niczym nie zależało. McNeil zaczął uważnie przyglądać się swoim doskonale wypielęgnowanym paznokciom.

– Tak z ciekawości – rzekł, jakby pytał o godzinę – kiedy postanowiłeś mnie zabić?

Grant miał tak nieprzeparte wrażenie nierealności, że zdawało mu się, jak gdyby grał jakąś rolę, jakby to wszystko nie miało w ogóle nic wspólnego z rzeczywistością.

– Dopiero dziś rano – odparł i wierzył w to.

– Hm – mruknął McNeil najwyraźniej bez przekonania.

Wstał i podszedł do apteczki. Grant wodził za nim oczami, kiedy McNeil grzebał w przegródce, a potem wracał z niewielką buteleczką trucizny. W dalszym ciągu wyglądała na pełną. Grant zadbał o to.

– Właściwie powinienem być wyciekły z powodu tej całej sprawy – mówił dalej McNeil tonem zwykłej rozmowy, trzymając buteleczkę dwoma palcami. – Ale jakoś nie jestem. Może dlatego, że nigdy nie miałem zbyt wielu złudzeń co do ludzkiej natury. A poza tym dawno temu zauważyłem oczywiście, co się szykuje.

Tylko ostatnie zdanie naprawdę dotarło do świadomości franta.

– Ty... zauważyłeś, co się szykuje?

– Na Boga, tak! Obawiam się, że zbyt łatwo cię przejrzeć, byś mógł być dobrym przestępcą. A teraz, skoro na nic się zdały twoje knowania, obaj znaleźliśmy się w głupiej sytuacji, prawda?

Na takie mistrzowskie niedomówienie nie było żadnej odpowiedzi.

– Po sprawiedliwości – mówił dalej inżynier w zamyśleniu – powinienem teraz wpaść w gniew, połączyć się z Wenus i zadenuncjować cię przed władzami. Ale to byłoby banalne, a zresztą nigdy zbyt łatwo nie wpadałem w gniew. Powiesz oczywiście, że z lenistwa, ale ja tak nie uważam.

Krzywo uśmiechnął się do Granta.

– Och, wiem, co o mnie myślisz. Dokładnie mnie zaszufładowałeś

w tym swoim uporządkowanym umyśle, może nie? Jestem miękki i pobłażam sobie, nie mam odwagi cywilnej, w ogóle brak mi moralności i gwizdzę na wszystko poza sobą. Cóż, nie przeczę. Może to i prawda w dziewięćdziesięciu procentach. Ale pozostałe dziesięć procent, Grant, jest cholernie ważne!

Grant nie miał nastroju do psychoanalizy i czas zdawał się po temu nieodpowiedni. Poza tym wciąż męczyła go sprawa nieudanego morderstwa i tajemniczego uniknięcia śmierci przez McNeila. Ten zaś, doskonale zdając sobie z tego sprawę, zdawał się nie śpieszyć z wyjaśnieniami.

– Cóż więc zamierzasz teraz zrobić? – spytał Grant, pragnąc mieć już to za sobą.

– Chciałbym – rzekł spokojnie McNeil – kontynuować naszą dyskusję od momentu, gdy przerwała nam ją kawa.

– Chyba nie myślisz...

– Ależ tak. Po prostu jak gdyby nic się nie stało.

– To nie ma sensu. Ty coś knujesz! – wykrzyknął Grant. McNeil westchnął. Odłożył buteleczkę z trucizną i spojrzał twardo na Granta.

– Ty nie możesz mi zarzucać, że coś knuję. Dla przypomnienia powtarzam, że proponuję ustalić, który z nas ma zażyć truciznę, tylko już bez żadnych jednostronnych decyzji. I tym razem – znów podniósł buteleczkę – będzie to prawdziwa trucizna. Proszek, który tu się znajduje, pozostawia jedynie po sobie niesmak w ustach.

Graniowi zaświtało coś.

– Zamieniłeś truciznę!

– Naturalnie. Możesz sobie myśleć, Grant, że jesteś dobrym aktorem, ale powiem ci szczerze i wprost, że twoją grę czułem na odległość. Wiedziałem, że coś knujesz, prawdopodobnie jeszcze zanim sam zdałeś sobie z tego sprawę. W ciągu ostatnich dni dość dokładnie oczyściłem statek ze wszystkiego, czym mógłbyś mnie załatwić. Myślenie o wszystkich sposobach, jakie mógłbyś w tym celu wykorzystać, było całkiem zabawne i pomagało mi zabijać czas. Trucizna była tak oczywista, że najpierw uporałem się z nią. Ale trochę przesadziłem z sygnałami o niebezpieczeństwie i omal się nie zdradziłem, kiedy wziąłem pierwszy łyk. Sól nie daje dobrego połączenia z kawą.

Znów krzywo się uśmiechnął.

– Miałem również nadzieję, że będzie to coś bardziej wyrafinowanego. Dotychczas ustaliłem piętnaście niezawodnych sposobów dokonania morderstwa na pokładzie statku kosmicznego. Ale nie mam zamiaru teraz ich opisywać.

Grant uznał to za dziwactwo. McNeil traktował go nie jak przestępcę, lecz jak niezbyt rozgarniętego ucznia, który źle odrobił pracę domową.

– I ty znowu chcesz zaczynać wszystko od początku? – spytał z niedowierzaniem. – I sam zażyjesz truciznę, jeśli przegrasz?

McNeil przez dłuższy czas milczał. Potem zaczął powoli mówić.

– Widzę, że ciągle mi nie wierzysz. To wszystko w ogóle nie pasuje do twojego uporządkowanego obrazka, prawda? Może jednak zrozumiesz, jak ci wytłumaczę. To naprawdę bardzo proste. Cieszyłem się życiem, Grant, rzadko się wahając i niczego nie żałując, ale jego lepszą część mam już za sobą i nie trzymam się tego, co mi jeszcze pozostało, tak rozpaczliwie, jak ty to sobie wyobrażasz. Skoro jednak żyję, do pewnych rzeczy przywiązuję wagę. Może to cię zaskoczy, jeśli powiem, że w ogóle mam jakieś ideały. A jednak mam, Grant: całe życie starałem się postępować jak cywilizowana istota rozumna. Nie zawsze z powodzeniem. Kiedy mi się nie udawało, wówczas próbowałem jakoś to naprawić.

Przerwał, a kiedy znów zaczął mówić, wyglądało, jakby to on potrzebował się bronić, a nie Grant.

– Nigdy za bardzo cię nie lubiłem, Grant, ale podziwiałem cię i dlatego tak mi przykro, że do tego doszło. Najbardziej cię podziwiałem tego dnia, kiedy przedziurawiło statek.

Przez chwilę McNeil zdawał się mieć trudności z doбором słów. Kiedy znów zaczął mówić, unikał wzroku Granta.

– Wtedy nie zachowałem się zbyt dobrze. Stało się coś, co uważałem za niemożliwe. Zawsze byłem absolutnie pewien, że nigdy nie stracę głowy, lecz cóż, to stało się tak nagle, że ścięło mnie z nóg.

Próbował ukryć zakłopotanie, siłąc się na humor.

– Coś podobnego zdarzyło się podczas mojej pierwszej podróży. Byłem przekonany, że nigdy nie dostanę mdłości w Kosmosie, a w rezultacie czułem się znacznie gorzej, niż gdybym nie był przesadnie pewny siebie. Ale opanowałem się tak jak i tym razem. Przeżyłem jedną z największych niespodzianek w życiu, Grant, gdy zobaczyłem, że to ty zaczynasz się załamywać. No tak, sprawa z tym winem! Przecież widzę, że o tym myślisz. Cóż, to jedyna rzecz, której nie żałuję. Powiedziałem ci, że zawsze starałem się postępować jak człowiek cywilizowany, a człowiek cywilizowany powinien wiedzieć, kiedy można się upić. Ale ty tego nie zrozumiesz.

Rzecz dziwna, ale Grant jednak zaczynał pojmować. Po raz pierwszy naprawdę dostrzegł złożoną i pogmatwaną osobowość McNeila i uświadomił sobie, jak błędnie go oceniał. Może nie błędnie – pod wieloma względami jego ocena była prawidłowa. Lecz dotyczyła tylko powierzchni; Grant nigdy nie podejrzewał, że pod nią kryją się takie głębie.

W przyptywie przenikliwości, jakiego nigdy dotąd nie doznał i z natury rzeczy już nigdy nie zazna, Grant zrozumiał przyczyny zachowania McNeila. To nie był po prostu zwykły tchórz, starający się

dobłą opinię w oczach świata, gdyż nikt nie musi wiedzieć, co wydarzyło się na pokładzie Gwiezdnej Królowej.

W każdym razie McNeil chyba nie dbał o opinię świata, zadowolając się wygodną samowystarczalnością, która tak często drażniła Granta. Ale ta samowystarczalność oznaczała, że za wszelką cenę musi zachować dobrą opinię o sobie samym. Bez tego nie warto byłoby żyć, a McNeil stosował do życia własne kryteria.

Inżynier uważnie nań patrzył i musiał domyślić się, że Grant był bliski prawdy, gdyż nagle zmienił ton, jakby żałował, iż tak się obnażył.

– Nie myśl, że znajduję donkiszotowską przyjemność, nadstawiając drugi policzek – rzekł. – Popatrz na to z punktu widzenia czystej logiki. Mimo wszystko musimy dojść do jakiegoś porozumienia. Czy nie przyszło ci do głowy, że kiedy jeden z nas przeżyje, a drugi nie przygotuje zawnazu wyjaśniającej wiadomości, to mogą wyniknąć bardzo poważne kłopoty z wytłumaczeniem, co naprawdę się wydarzyło?

Zaślepiiony wściekłością Grant zupełnie o tym zapomniał. Jednak nie wierzył, by miało to w ogóle jakieś znaczenie dla McNeila.

– Tak – rzekł. – Chyba masz rację.

Teraz poczuł się znacznie lepiej. Opadła zeń cała nienawiść i uspokoił się. Poznał prawdę i zaakceptował ją. To, że tak bardzo się różniła od jego pierwotnych wyobrażeń, zdawało się nie mieć teraz żadnego znaczenia.

–r A więc niech to będzie już za nami – rzekł obojętnie. – Gdzieś tutaj jest nowa talia kart.

– Uważam, że najpierw powinniśmy porozmawiać z Wenus. Obaj – odparł McNeil, akcentując ostatnie słowo. – Chcemy przecież, by całe nasze porozumienie zostało nagrane, na wypadek, gdyby ktoś później zadawał krępujące pytania.

Grant skinął machinalnie głową. Teraz było mu wszystko jedno. Dziesięć minut później nawet się uśmiechnął, gdy wyciągnął z talii swoją kartę i położył ją odkrytą przy karcie McNeila.

– I to już cała historia, prawda? – spytał pierwszy oficer, zastanawiając się, jak by najszybciej dotrzeć do nadajnika, nie obrażając rozmówcy zbytnim pośpiechem.

– Tak – spokojnie odparł McNeil – to byłoby wszystko na ten temat.

Oficer gryzł ołówek, próbując ułożyć następne pytanie.

– Przypuszczam, że Grant przyjął to całkiem spokojnie?

Kapitan rzucił mu piorunujące spojrzenie, lecz on unikał jego wzroku, McNeil zaś popatrzył nań zimno, jakby go przejrzał i widział ukryte za pytaniem sensacyjne tytuły; potem wstał i zbliżył się do iluminatora obserwacyjnego.

– Słyszał pan, co powiedział przez radio, prawda? Czy to nie było wystarczająco spokojne?

Oficer westchnął. Wciąż nie chciało mu się wierzyć, że w takich okolicznościach dwóch ludzi mogło się zachować w sposób tak rozsądny i beznamiętny. Potrafił sobie wyobrazić wiele dramatycznych sytuacji

– nagły wybuch szału, a nawet próbę morderstwa. Jednak według McNeila w ogóle nic się nie wydarzyło. A to pech. McNeil znowu przemówił, jakby do siebie.

– Taak, Grant zachował się bardzo dobrze, naprawdę bardzo dobrze. Jaka szkoda, że...

I zdawało się, że w tym momencie pochłonął go za każdym razem nowy, wspaniały widok zbliżającej się planety. Niezbyt odległe, z każdą chwilą bliższe o kilometry, śnieżnobiałe, półkoliste ramiona Wenus obejmowały ponad połowę nieba. Tam w dole było życie i ciepło cywilizacji

– i powietrze.

Przyszłość, która tak niedawno zdawała się skupiać w małym punkcie, znów się otwierała, ukazując wszystkie swe nieznanne możliwości i cuda. Lecz McNeil czuł na sobie wzrok swych wybawców – badawczy, pytający i, tak, tak, również potępiający.

Przez całe życie będzie słyszał szepty. Jakież głosy za jego plecami będą mówiły:

– Czy to nie ten człowiek, który...?

Nie dbał o to. Przynajmniej raz w życiu bowiem zrobił coś, czego nie musi się wstydzić. Może pewnego dnia, bezlitośnie analizując siebie samego, obnaży prawdziwe motywy swego postępowania i jego własne sumienie szepnie mu do ucha:

– Altruizm? Nie bądź głupcem! Zrobiłeś to, bo chciałeś podtrzymać własną, dobrą opinię o sobie, o wiele ważniejszą od cudzej!

Lecz te przewrotne, irytujące głosy, które przez całe jego życie odbierały wartość wszystkiemu, umilkły na chwilę i McNeil poczuł zadowolenie. Osiągnął spokój w samym środku huraganu. Póki trwa, będzie się napawał tym spokojem do syta.



## 10. Nie będzie jutra

– Ależ to straszne! – myślał Najwyższy Uczony. – Na pewno coś możemy zrobić!

– Tak, Jaśnie Oświecony, ale to niesłuchanie trudne. Ta planeta znajduje się w odległości ponad pięciuset lat świetlnych i bardzo trudno się z nią skontaktować. Uważamy jednak, że możemy przetrzymać most. Niestety, to nie jedyny problem. Dotychczas w ogóle nie mogliśmy porozumieć się z tymi istotami. Ich zdolności telepatyczne są nadzwyczaj szczątkowe... może nawet nie istnieją. A jeśli nie możemy z nimi rozmawiać, nie ma sposobu udzielenia im pomocy.

Między umysłami obu mężczyzn zapadło długie milczenie, podczas którego Najwyższy Uczony analizował sytuację i, jak zwykle, doszedł do właściwego wniosku.

– W każdej inteligentnej rasie musi być choć kilku osobników ze zdolnościami telepatycznymi – rozmyślał. – Trzeba wysłać setki obserwatorów, nastrojonych na uchwycenie śladów pierwszej zbłąkanej myśli. Jeśli znajdziecie choć jeden reagujący umysł, na nim skoncentrujcie wszystkie swe wysiłki. Musimy przekazać tę wiadomość.

– Doskonale, Jaśnie Oświecony, tak zrobimy.

Przez otchłań, wskroś przestrzeń, którą światło pokonuje w ciągu pół tysiąca lat, umysły mieszkańców planety Thaar słały wici w rozpaczliwym poszukiwaniu choć jednej istoty ludzkiej zdolnej odczuć ich obecność. Szczęśliwie się złożyło, że trafiły na Billa Crossa.

Przynajmniej wówczas tak uważali, lecz później nie byli tego pewni. W każdym razie nie mieli wyboru. Zbieg okoliczności, który otworzył przed nimi umysł Billa, trwał zaledwie kilka sekund i było nieprawdopodobne, aby mógł znów się powtórzyć po tej stronie wieczności.

Na ten cud złożyły się trzy czynniki i trudno powiedzieć, który z nich odegrał najważniejszą rolę. Pierwszy z nich to przypadek, który zadecydował o pozycji. Butelka z wodą, kiedy pada na nią światło słońca, może stać się naturalną soczewką, skupiającą promienie na niewielkim obszarze. Na nieporównywalnie większą skalę gęste jądro Ziemi skupiło fale docierające z Thaar. Promienie wysyłane przez myśl zwykle nie ulegają wpływom materii – przechodzą przez nią z łatwością jak światło przez szkło. Lecz na każdej planecie jest raczej mnóstwo materii i Ziemia stała się gigantyczną soczewką. Tak się złożyło, że Bili znajdował się

akurat w jej ognisku, kiedy słabe impulsy myśli z Thaaru osiągnęły tysiąckrotne skupienie.

Wprawdzie miliony innych ludzi przebywały w równie dogodnych miejscach, lecz nie byli oni inżynierami budującymi rakiety i przez długie lata nie zajmowali się myśleniem i marzeniami o Kosmosie, które by się stały częścią ich istnienia.

Nie spili się też tak kompletnie, prawie do utraty resztek świadomości, jak Bili próbujący uciec przed rzeczywistością w świat marzeń, w którym nie było rozczarowań i niepowodzeń.

Rozumiał oczywiście wojskowy punkt widzenia.

– Płacimy panu, doktorze Cross – powiedział mu generał Potter z niepotrzebnym naciskiem – za projektowanie pocisków, a nie, hm, statków kosmicznych. Co pan robi w wolnym czasie, to pańska sprawa, ale muszę pana prosić, aby nie używał pan urządzeń przedsiębiorstwa dla własnego hobby. Od dziś wszystkie zlecenia dla sekcji komputerowej muszą być zatwierdzone przeze mnie. To wszystko.

Oczywiście nie mogli go wylać – był im za bardzo potrzebny. Ale nie miał pewności, czy sam chce tam pozostać. Tak naprawdę nie był pewien niczego poza tym, że praca ta wywarła niepożądany wpływ na jego sprawy osobiste, bo w końcu Brenda odeszła z Johnnym Gardnerem – by zacząć od najważniejszego wydarzenia.

Trochę załamany, podpierając brodę dłońmi, Bili wpatrywał się bezmyślnie w pomalowaną na biało ścianę, pod którą stał stół. Jediną jego ozdobę stanowił kalendarz Lockheeda oraz błyszcząca pocztówka Aerojetu, przedstawiająca start L'il'Abner Mark I z dopalaczem. Bili patrzył posępnie w

punkt leżący w połowie między tymi obrazkami, opróżniwszy umysł z wszelkiej myśli. Nie było już żadnych barier...

W tym momencie zmasowane umysły Thaaru wydały bezgłośny okrzyk triumfu i ściana przed Bilem z wolna rozplynęła się w wirującej mgle. Zdawało mu się, że patrzy w głąb tunelu ciągnącego się w nieskończoność. I rzeczywiście tak było.

Bili patrzył na to zjawisko z umiarkowanym zainteresowaniem. Miało w sobie coś nowego w porównaniu z poprzednimi halucynacjami. A kiedy w jego umyśle przemówił ten głos, pozwolił mu tam błądzić przez jakiś czas, zanim cokolwiek uczynił. Nawet kiedy był pijany, żywił staromodne uprzedzenie do rozmów z samym sobą.

– Bili – zaczął ten głos – posłuchaj uważnie. Mamy ogromne trudności z kontaktowaniem się z wami, a jest to niezwykle ważne. Bili wątpił w to z zasady. Dla niego nic już nie było ważne.

– Mówimy do ciebie z bardzo dalekiej planety – ciągnął dalej głos po przyjacielsku nagłym tonem. – Jesteś jedyną istotą ludzką, z którą udało nam się nawiązać kontakt, musisz więc zrozumieć, co do ciebie mówimy.

Bili zaniepokoił się nieco, choć raczej bezosobowo, gdyż trudno mu było skoncentrować się teraz na własnych sprawach. Zastanawiał się, czy stan jego jest aż tak poważny, że słyszy głosy? Cóż, najlepiej zachować spokój. Możesz ich słuchać, albo nie, doktorze Cross, pomyślał. Posłuchamy sobie, póki nie staną się nieznośne.

– W porządku – odezwał się tonem znudzonej obojętności. – Mówcie dalej. Nie mam nic przeciwko temu, jeśli to będzie interesujące.

Nastąpiła przerwa. Potem głos mówił dalej w sposób zdradzający pewne zaniepokojenie.

– Nie bardzo rozumiemy. To, co chcemy powiedzieć, nie jest ot tak, po prostu interesujące. To sprawa najwyższej wagi dla całej waszej rasy i musisz niezwłocznie zawiadomić o tym rząd.

– Służę uprzejmie – rzekł Bili. – To mnie trochę zajmie.

W odległości pięciuset lat świetlnych Thaarowie spieszenie się naradzali. Coś było nie w porządku, lecz nie mogli dokładnie ustalić co. Niewątpliwie nawiązali kontakt, lecz nie oczekiwali takiej reakcji. Mogli więc tylko przystąpić do rzeczy i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Słuchaj, Bili – kontynuowali. – Nasi naukowcy właśnie odkryli, że wasze słońce wkrótce wybuchnie. Nastąpi to za trzy dni, a dokładnie za siedemdziesiąt cztery godziny. Nic nie może powstrzymać eksplozji. Ale nie trzeba wpadać w panikę. Możemy was uratować, jeśli zrobicie, co powiemy.

– No, to jazda – rzekł Bili. Ta halucynacja była nawet zabawna.

– Możemy stworzyć coś, co wy nazywacie mostem. Jest to rodzaj tunelu w przestrzeni jak ten, który teraz widzisz. Jego podstawy teoretyczne są bardzo skomplikowane i trudno je wytłumaczyć nawet waszym najlepszym matematykiem.

– Zaraz, zaraz! – zaprotestował Bili. – Ja sam jestem matematykiem i to cholernie dołbym, nawet po trzeźwemu. Przeczytałem wszystko na ten temat w czasopiśmie fantastyczno-naukowych. Przypuszczam, że mówicie o czymś w rodzaju skrótu przez jakiś wyższy wymiar w przestrzeni. Stara historia, jeszcze przed Einsteina.

Do mózgu Billa z wolna docierało wrażenie wyraźnego zaskoczenia.

– Nie wiedzieliśmy, że jesteście tak zaawansowani – powiedzieli Thaarowie. – Ale nie mamy czasu na teoretyczne rozważania. Krótko mówiąc, jeśli wejdiesz w otwór, który widzisz przed sobą, natychmiast znajdziesz się na innej planecie. To jest właśnie, jak ty to określiłeś, skróty, w tym wypadku przez trzydziesty siódmy wymiar.

– I prowadzi na waszą planetę?

– Ależ skądże! Tutaj nie moglibyście żyć. Ale we wszechświecie jest mnóstwo planet podobnych do Ziemi i znaleźliśmy taką, która będzie

dla was odpowiednia. Takie mosty przerzucimy do różnych punktów na całej Ziemi i wystarczy, że wasi ludzie przez nie przejdą, by się uratować. Oczywiście, w nowym miejscu będą musieli od

początku budować cywilizację, ale to ich jedyna nadzieja. Musisz dalej przekazać tę wiadomość i powiedzieć im, co mają robić.

– Akurat mnie posłuchają – odparł Bili. – Dlaczego nie idziecie z tym do prezydenta?

– Bo tylko z twoim umysłem mogliśmy się skontaktować. Pozostałe wydają się dla nas zamknięte. Nie rozumiemy dlaczego.

– Mógłbym wam powiedzieć – rzekł Bili.

Popatrzył na stojącą przed nim prawie pustą butelkę. Z pewnością warto było ją kupić. Umysł ludzki jest wspaniały! W tym dialogu nie było oczywiście nic oryginalnego – wiadomo, skąd się to wszystko wzięło. Zaledwie tydzień temu czytał opowiadanie o końcu świata, a te mosty i tunele to tylko pobożne życzenia, będące najwyraźniej nagrodą za pięcioletnie borykanie się z krnąbrnymi raketami.

– A jeśli słońce wybuchnie – spytał nagle Bili, próbując zaskoczyć halucynację – to co się stanie?

– Też pytanie. Wasza planeta natychmiast się stopi. Właściwie wszystkie planety, łącznie z Jowiszem.

Bili uznał to za doskonały pomysł. Jego umysł bawił się tą myślą. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się podobało.

– Moja kochana halucynacyjko – odezwał się z politowaniem. – Gdybym ci wierzył, wiesz, co bym ci powiedział?

– Ale ty musisz nam wierzyć! – wykrzyknął zrozpaczony głos z odległości pięciuset lat świetlnych.

Bili zignorował go. Coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu.

– I tak ci powiem. To najlepsze, co mogłoby się wydarzyć. Tak, to by oszczędziło całego mnóstwa cierpienia. Nikt już nie musiałby przejmować się Rosjanami, bombą atomową i rosnącymi kosztami utrzymania. Ach, jak byłoby cudownie! Tego właśnie każdy naprawdę pragnie! To miło, że przysłiście nam to powiedzieć, ale wracajcie do domu i zabierajcie ten wasz głupi most ze sobą.

Na Thaarze zapanowała konsternacja. Mózg Najwyższego Uczonego, unosząc się jak wielka masa koralu w zbiorniku z roztworem odżywczym, lekko zżółkł na brzegach, czego nie robił od czasu inwazji z Xantil przed pięcioma tysiącami lat. Co najmniej piętnastu psychologów załamało się nerwowo i nigdy już nie było sobą. Główny komputer Instytutu Kosmo-fizyki zaczął dzielić przez zero każdą liczbę zakodowaną w obwodach swej elektronicznej pamięci i przepaliły mu się wszystkie bezpieczniki.

A na Ziemi Bili Cross był w swoim żywiole.

– Spójrzcie na mnie – rzekł, wskazując drżącym palcem na swą pierś. – Przez całe lata starałem się, by rakiety robiły coś pożytecznego, a oni mówią, że wolno mi tylko budować pociski kierowane, żebyśmy mogli wysadzić się wzajemnie w powietrze. Słońce robi to lepiej od nas, a gdybyście dali nam inną planetę, zaczęliśmy to całe draństwo od początku.

Przerwał ze smutkiem, porządkując niezdrawe myśli.

– A teraz Brenda wyjeżdża z miasta, nie zostawiając nawet kartki. Wybaczenie mi więc brak entuzjazmu dla tej waszej harcerskiej akcji.

Bili uświadomił sobie, że nie może wymówić słowa „entuzjazm”, lecz w myślach powtarzał je z łatwością, co było dlań interesującym odkryciem naukowym. A jeśli będzie coraz bardziej pijany, to czy w końcu zacznie myśleć słowami jednosylabowymi? Oj, niemal zbiło go to z pantałyku!

W ostatnim, rozpaczliwym wysiłku Thaarowie wysłali swe myśli korytarzem wśród gwiazd.

– Chyba naprawdę tak nie myślisz, Bili! Czy wszystkie istoty ludzkie są takie jak ty?

No, nareszcie interesująca kwestia filozoficzna! Bili zastanowił się nad tym głęboko, albo raczej na tyle głęboko, na ile pozwalała mu ciepła, różowa mgiełka, która teraz zaczęła go otaczać. Mimo wszystko mogło być gorzej. Chyba poszuka innej pracy, choćby tylko dla samej przyjemności powiedzenia generałowi Potterowi, gdzie może sobie wsadzić swoje trzy gwiazdki. A jeśli idzie o Brendę – cóż, kobiety są jak tramwaje: za minutę będzie następna.

Doskonale, że jest ta druga butelka whisky w segregatorze z napisem „ściśle tajne”. Ach, co za wspaniały dzień! Niepewnie wstał i zatoczył się po pokoju.

Thaar przemówił do Ziemi po raz ostatni.

– Bili! — powtórzył rozpaczliwie. – Na pewno nie wszyscy ludzie są tacy jak ty!

Bili odwrócił się i spojrzał w wirujący tunel. Dziwne – zdawał się jarzyć plamkami światła gwiazd i wyglądał naprawdę pięknie. Bili był dumny z siebie: nie każdego stać na wyobrażenie sobie czegoś takiego.

– Jak ja? – rzekł. – Nie, nie są.

Posłał uśmiech zadowolenia z siebie przez lata świetlne, kiedy rosnąca fala euforii wyrwała go z przygnębienia.

– Jak się nad tym zastanowić – dodał – to kupie ludzi powodzi się znacznie gorzej niż mnie. Tak, chyba mimo wszystko należę do szczęśliwców.

Lekko zdziwiony zamrugał oczami, bo tunel nagle się zapadł i Bili znów ujrzał pomalowaną na biało ścianę, dokładnie w tym samym miejscu, co zawsze. Thaar umiał przegrywać z honorem.

– No i po halucynacji – pomyślał Bili. – W każdym razie zaczynała mnie już trochę męczyć. Zobaczmy, jaka będzie następna.

Tak się składa, że nie było następnej halucynacji, gdyż pięć sekund później Bili zupełnie stracił przytomność podczas nastawiania szyfru zamka szafy z segregatorami.

Przez następne dwa dni chodził jak błędny z zaczerwienionymi oczami i całkiem zapomniał o tej rozmowie.

Trzeciego dnia coś w głębi umysłu nie dawało mu spokoju i może wszystko by sobie przypomniał, gdyby znów nie pojawiła się Brenda i nie zajęła go udzielaniem jej przebaczenia.

A czwartego dnia oczywiście nie było.

## 11. Wyprawa na Księżyc

### 1. Linia startu

Tyle razy opisywano historię pierwszej wyprawy na Księżyc, że niektórzy ludzie wątpią, by udało się powiedzieć coś nowego na ten temat. Jednak moim zdaniem żadne oficjalne raporty i relacje naocznych świadków, czy też bezpośrednie sprawozdania radiowe i telewizyjne, nigdy nie przedstawiły pełnego obrazu. Mówi się w nich bardzo dużo o dokonanych odkryciach, lecz tak niewiele o ludziach, których były zasługą.

Jako kapitan Endeavour, a zatem dowódca ekipy brytyjskiej, mogłem zaobserwować mnóstwo rzeczy, jakich nie znajdziecie w książkach historycznych i niektóre z nich, choć nie wszystkie, można teraz opowiedzieć. Mam nadzieję, że kiedyś dowódcy Goddarda i Ciołkowskiego przedstawią swój punkt wadzenia. Ponieważ jednak komandor Yandenburg jest wciąż na Marsie, a komandor Krasnin przebywa gdzieś wewnątrz orbity Wenus, na ich pamiętniki będziemy chyba musieli poczekać jeszcze kilka lat.

Podobno wyznaczenie przynosi ulgę. Z pewnością poczuję się lepiej, kiedy opowiem prawdziwą historię tego, co kryło się za wspólnym startem do pierwszego lotu na Księżyc i co zawsze było dość niejasne.

Jak wszystkim wiadomo, uczestniczące w wyprawie statki – amerykański, rosyjski i brytyjski – zmontowano na orbicie Stacji Kosmicznej III, znajdującej się osiemset kilometrów nad Ziemią, z części sprowadzanych etapami za pomocą rakiet transportowych. Chociaż wszystko to były elementy prefabrykowane, montaż i próby ze statkami zajęły ponad dwa lata i do tego czasu mnóstwo ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy ze złożoności zadania, zaczynało się z lekka niecierpliwić. Widzieli dziesiątki zdjęć i programów telewizyjnych, przedstawiających trzy statki unoszące się w Kosmosie w pobliżu Stacji III, pozornie całkowicie ukończone i w każdej chwili gotowe do startu. Lecz zdjęcia te nie przedstawiały wciąż trwających starannych i mozolnych operacji, związanych z instalowaniem tysięcy rur, kabli, silników i instrumentów, które następnie poddawano wszelkiego rodzaju próbom.

Nie było ścisłej daty odlotu; Księżyc znajduje się zawsze mniej więcej w tej samej odległości, można więc startować prawie w dowolnym czasie – o ile jest się gotowym. Z punktu widzenia zużycia paliwa praktycznie nie ma żadnej różnicy, czy odpali się silniki w czasie pełni czy nowiu, czy też w dowolnej porze między nimi. Byliśmy bardzo ostrożni, jeśli idzie o termin odpalenia, choć wszyscy ciągle próbowali nas zmuszać do podania konkretnej daty. Tyle rzeczy może zawieść na pokładzie statku kosmicznego, że nie zamierzaliśmy żegnać się z Ziemią, nie mając pewności, iż jesteśmy całkowicie przygotowani nawet w najdrobniejszych szczegółach.

Nigdy nie zapomnę ostatniej konferencji dowódców, która odbyła się na pokładzie stacji kosmicznej, kiedy wszyscy oznajmiliśmy, że jesteśmy gotowi. Ponieważ wyprawa była wspólna, a każda ekipa miała swoje specjalne zadania, ustaliliśmy, że wszyscy wylądujemy w ciągu jednej doby, w uprzednio wybranym miejscu na Marę Imbrium. Jednakże szczegóły podróży pozostawiono do decyzji samych dowódców w nadziei, że uniknie się w ten sposób powtarzania błędów.

– Jestem gotów – rzekł komandor Yandenburg – przeprowadzić próbny start jutro o 9.00. A panowie? Czy mamy prosić ośrodek kontroli lotu, by przygotował się do startu wszystkich trzech statków?

– Dla mnie O.K. – powiedział Krasnin, który nigdy nie dał się przekonać, że używa amerykańskiego slangu sprzed dwudziestu lat.

Ja wyraziłem zgodę skinieniem głowy. Co prawda jeden zespół wskaźników paliwa wciąż niezbyt dobrze się sprawował, ale to żaden kłopot, gdyż doprowadzi się je do porządku, zanim zbiorniki zostaną napełnione.

Próbny start polega na tym, że wszystko jest idealną kopią prawdziwego odpalania i każdy wykonuje swoje czynności jak podczas startu. Oczywiście ćwiczyliśmy pozorowane starty na Ziemi, ale czekające nas próby miały być dokładną imitacją wszystkiego, co nastąpi, kiedy naprawdę wystartujemy na Księżyc. Brakować będzie jedynie ryku silników, który oznajmi nam, że podróż się zaczęła.

Przeprowadziliśmy sześć próbnych odpaleń, potem rozebraliśmy statki na kawałki, by usunąć wykryte usterki, a następnie zrobiliśmy sześć dalszych prób. Endeavour, Goddard i Ciołkowski znajdowały się w takim samym stanie gotowości. Teraz pozostawało jedynie pobrać paliwo i będziemy gotowi do odlotu.

Nie chciałem jeszcze raz przeżywać napięcia tych kilku ostatnich godzin. Cały świat patrzył na nas; ustalono już czas odlotu z dokładnością do zaledwie paru godzin. Przeprowadzono wszystkie próby końcowe i byliśmy przekonani, że jesteśmy gotowi w stopniu, na jaki pozwalała ludzka moc. I akurat wtedy miałem pilną, tajną, osobistą rozmowę przez radio, podczas której pewien naprawdę bardzo wysoki urzędnik państwowy zrobił mi pewną propozycję tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że to rozkaz. Przypomniał mi, że pierwszy lot na Księżyc jest wyprawą wspólną, ale powinienem pomyśleć, jak bardzo zyskałby nasz prestiż, gdybyśmy dotarli tam pierwsi – wystarczy tylko o kilka godzin wcześniej...

Propozycja ta zaszokowała mnie i nie ukrywałem tego przed nim. Zdażyłem zaprzyjaźnić się z Yandenburgiem i Krasninem i wszystko było naszym wspólnym udziałem. Wykręcałem się, jak tylko mogłem, i powiedziałem, że ponieważ trasy naszych lotów już wyliczono, nic się nie da zrobić. Każdy statek odbędzie podróż najekonomiczniejszą drogą, żeby oszczędzać paliwa. Jeśli wystartujemy razem, powinniśmy razem wylądować – w ciągu kilku sekund.

Niestety, ktoś już pomyślał, jak to ma wyglądać. Nasze trzy statki z pełnymi zbiornikami i załogami w stanie całkowitej gotowości będą krążyły przez kilka godzin, zanim wystartują ze swych orbit satelitarnych i ruszą w stronę Księżyca. Na wysokości ośmiuset kilometrów okrążenie Ziemi trwa dziewięćdziesiąt pięć minut i podczas każdego obrotu jest tylko jeden odpowiedni moment do startu. Popełniając falstart tylko o jedno okrążenie, zmusilibyśmy pozostałych do czekania dziewięćdziesiąt pięć minut, nim by mogli wyruszyć za nami. A więc wylądowaliby dziewięćdziesiąt minut po nas...

Nie będę tego roztrząsał, ale jest mi wciąż wstyd, że uległem i zgodziłem się oszukać moich dwóch kolegów. Znajdowaliśmy się w cieniu Ziemi, w chwilowym zaćmieniu, kiedy nadszedł skrupulatnie wyliczony moment. Obaj moi ucaeiwi towarzysze, Yandenburg i Krasnin, myśleli, że wraz z nimi dokonam jeszcze jednego okrążenia, a potem wyruszymy razem. Chyba nigdy w życiu nie miałem podlejszego nastroju niż wówczas, gdy nacisnąłem guzik odpalania i poczułem nagły ciąg silników, coraz szybciej oddalających mnie od macierzystej planety.

Przez następne dziesięć minut nie mieliśmy na nic czasu, zajmując się jedynie instrumentami, by sprawdzić, czy Endeavour podąża po swej uprzednio wyliczonej orbicie. Prawie w tej samej chwili, gdy w końcu wyrwaliśmy się Ziemi i można było wyłączyć silniki, wypadliśmy z cienia i znaleźliśmy się w pełnym blasku Słońca. Nie będzie już nocy, póki nie dotrzemy do Księżyca po pięciu dniach spokojnego szybowania bez wysiłku w Kosmosie.

Stacja Kosmiczna III i pozostałe dwa statki muszą już być ze dwa tysiące kilometrów za nami. Za osiemdziesiąt pięć minut Yandenburg i Krasnin ponownie znajdą się w odpowiednim punkcie i będą mogli wystartować za mną, co planowaliśmy zrobić wspólnie. Lecz nigdy już mnie nie przegonią i miałem nadzieję, że nie będą wściekli na mnie, kiedy się spotkamy na Księżycu.

Włączyłem tylną kamerę i spojrzałem za siebie na błyszczącą stację, która właśnie wychodziła z cienia Ziemi. Minęło kilka chwil, zanim uzmysłowiłem sobie, że Goddard i Ciołkowski już nie unoszą się koło niej tam> gdzie je opuściłem...

Nie, oba statki znajdowały się w odległości około kilometra ode mnie, lecąc dokładnie z taką samą jak ja prędkością. Przez sekundę patrzyłem na nie, absolutnie nie wierząc własnym oczom, zanim dotarło do mnie, że wszyscy trzej wpadliśmy na ten sam pomysł.

– A to krętacze! – westchnąłem.

Potem wybuchnąłem takim śmiechem, że upłynęło kilka minut, nim ośmieliłem się w7ezwać ośrodek kontroli lotu i powiedzieć, że wszystko przebiega zgodnie z planem – choć w żadnym wypadku nie było tego w planie, który początkowo ogłoszono...

Bardzo zakłopotani, składaliśmy sobie wzajemnie gratulacje przez radio. Myślę jednak, że równocześnie każdy z nas był w duchu zadowolony z takiego obrotu sprawy. Przez resztę drogi nigdy nie znajdowaliśmy się od siebie dalej niż o kilka kilometrów, a manewry lądowania zsynchronizowano tak doskonale, że płomienie z dysz hamujących wszystkich statków uderzyły w grunt księżycowy równocześnie.

Hm, prawie równocześnie. Zapewne mógłbym wykorzystać fakt, że taśma zapisu wykazuje, iż dotknąłem ziemi dwie piąte sekundy przed Krasninem, lecz lepiej tego nie robić, gdyż Yandenburg wyprzedził mnie dokładnie o tyle samo.

Na trasie długości czterystu tysięcy kilometrów moim zdaniem przyszliliśmy łeb w łeb...

## 2. Robin Hood, członek Królewskiego Towarzystwa Naukowego

Wylądowaliśmy wczesnym świtem długiego księżycowego dnia i ukośne cienie wokół nas ciągnęły się kilometrami po równinie. Zaczną się powoli skracać, gdy Słońce będzie coraz wyżej na niebie, a w południe prawie znikną – lecz do południa mieliśmy jeszcze pięć dni według czasu ziemskiego, a do nocy pozostawało dalszych siedem. Przed nami zatem prawie dwa tygodnie światła słonecznego, nim zapadnie noc i świecąca błękitnym blaskiem Ziemia stanie się panią nieba.

W ciągu tych pierwszych, gorączkowych dni mieliśmy mało czasu na badania. Musieliśmy rozładować statki, przyzwycząić się do obcych nam warunków, nauczyć prowadzenia elektrycznych traktorów i skuterów oraz ustawić przypominające igloo domy, które będą służyły nam za mieszkania, biura i laboratoria do czasu odlotu. W ostateczności mogliśmy spać na pokładzie statków kosmicznych, ale tam jest ciasno i niewygodnie. Domki te nie były wprawdzie zbyt przestronne, ale stanowiły luksus po pięciodniowym pobycie w Kosmosie. Ich ściany z mocnego, elastycznego plastyku nadmuchiwało się jak balon, uzyskując wnętrze podzielone na poszczególne pomieszczenia. Śluzy powietrzne umożliwiały kontakt ze światem zewnętrznym, a potężne instalacje, połączone z urządzeniami do oczyszczania powietrza na statkach, zapewniały atmosferę do oddychania.

Nie muszę chyba mówić, że największe igloo było amerykańskie, które wyposażono absolutnie we wszystko, łącznie ze zlewozmywakiem, nie mówiąc już o pralce, którą zawsze od nich pożyczaliśmy, podobnie jak Rosjanie.

Dopiero późnym „popołudniem” – po około dziesięciu dniach od wylądowania – byliśmy już odpowiednio zorganizowani, by móc myśleć o poważnej pracy naukowej. Pierwsze grupy już nerwowo penetrowały pustkowie wokół bazy, by zapoznać się z otoczeniem. Oczywiście dysponowaliśmy bardzo szczegółowymi mapami i fotografiami rejonu, w którym wylądowaliśmy, ale czasem zdumiewająco wprowadzały nas one w błąd. To, co na mapie zaznaczono jako wzgórze, wydawało się wysoką górą człowiekowi z trudem poruszającemu się w kosmicznym skafandrze, a pozornie gładkie równiny często pokrywała głęboka po kolana warstwa pyłu, który sprawiał, że marsz był niezwykle powolny i męczący.

Jednakże te drobne przeszkody w dużym stopniu kompensowało niewielkie ciężenie, dzięki czemu wszystkie przedmioty miały zaledwie jedną szóstą swej ziemskiej wagi. Kiedy naukowcy zaczęli gromadzić wyniki badań i okazy, coraz częściej korzystaliśmy z radiowych i telewizyjnych

połączeń z Ziemią, które w końcu pracowały nieprzerwanie. Nie chcieliśmy ryzykować – gdyby nawet nie udało się nam powrócić do domu, dotrze tam wiedza, którą tu zbieraliśmy.

Pierwsza automatyczna rakieta z zaopatrzeniem wylądowała dwa dni przed zachodem słońca, dokładnie według planu. Zobaczyliśmy błysk płomieni z jej silników hamujących najpierw na tle gwiazd, a potem jeszcze raz nagły wybuch ognia na krótko przed dotknięciem gruntu. Samego lądowania nie widzieliśmy, gdyż z uwagi na bezpieczeństwo rejon zrzutu znajdował się o pięć kilometrów od bazy. Na Księżycu zaś oznaczało to, że leży dobrze za horyzontem.

Kiedy tam dotarliśmy, rakieta stała trochę krzywo na swych trzech amortyzatorach, ale była w doskonałym stanie. Na jej pokładzie znaleźliśmy wszystko – od instrumentów po żywność. Triumfalnie przetransportowaliśmy zapasy do bazy, gdzie zorganizowaliśmy nieco spóźnioną uroczystość. Ludzie pracowali zbyt ciężko i należała im się jakaś rozrywka.

Nieźle się zabawiliśmy, a moim zdaniem główną atrakcją był komandor Krasnin, który próbował tańczyć kozaka w skafandrze. Potem chcieliśmy zorganizować zawody sportowe, ale stwierdziliśmy, że z oczywistych powodów zajęcia w otwartym terenie są raczej ograniczone. Mogliśmy zagrać w krokieta lub w kręgle, gdybyśmy mieli sprzęt, ale krykiet czy piłka nożna były zdecydowanie wykluczone. Przy takim ciężeniu nawet piłka poleciałaby prawie na kilometr, jeśli mocno ją kopnąć, a lanki do krykieta już by się więcej nie zobaczyły.

Profesor Trevor Williams pierwszy pomyślał o dyscyplinie sportu, którą z powodzeniem można uprawiać na Księżycu. Ten nasz astronom,

najmłodszy w historii członek Królewskiego Towarzystwa Naukowego, miał zaledwie trzydzieści lat, kiedy dostąpił tego najwyższego zaszczytu. Jego prace nad metodami nawigacji międzyplanetarnej przyniosły mu światową sławę, lecz mniej znano jego sukcesy w łucznictwie sportowym. Przez kolejne dwa lata zdobywał mistrzostwo Walii. Nie zdziwiłem się zatem, odkrywając, że strzela do celu ustawionego na kupie księżycowego żużlu.

Miał dziwny łuk, wykonany z linki sterowej i laminatu. Zastanawiało mnie, jak Trevorowi udało się zdobyć te materiały, i wówczas przypomniałem sobie, że rozszabrowano już automatyczną rakietę dostawczą i jej kawałki widywało się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Jednak naprawdę interesujące były strzały. Aby zapewnić im stabilność na Księżycu, gdzie nie ma powietrza i lotki są oczywiście bezużyteczne, Trevor wprawiał je w ruch obrotowy. Łuk miał niewielkie urządzenie, które sprawiało, że wypuszczone zeń strzały zaczynały się obracać jak kule karabinowe, w ten sposób utrzymując się na kursie.

Za pomocą nawet tego raczej prowizorycznego sprzętu można było strzelać na odległość ponad półtora kilometra. Jednak Trevor nie chciał tracić trudnych do wykonania strzał, bardziej natomiast interesował się celnością. Niesamowity był widok prawie płaskiej trajektorii strzał, które zdawały się lecieć równoległe do powierzchni Księżyca. Ktoś przestrzegał Trevora, by uważał, bo jego pociski mogą stać się satelitami, które po zamknięciu orbity trafią go w plecy.

Druga rakieta dostawcza wylądowała następnego dnia, lecz rym razem niezupełnie zgodnie z planem. Doskonale manewrowała, ale sterowany radarem pilot automatyczny zrobił niestety jeden z tych błędów, które takie proste maszyny uwielbiają popełniać. Dostrzegł jedyne naprawdę niedostępne wzgórze w sąsiedztwie, namierzył wiązkę promieni na jego szczyt i osiadł tam jak orzeł w swym górskim gnieździe.

Tak bardzo potrzebne nam dostawy znajdowały się osiemdziesiąt metrów nad naszymi głowami, a za kilka godzin zapadnie noc. Co robić?

Około piętnastu osób równocześnie zaproponowało to samo i przez następny kwadrans pospiesznie biegaliśmy po całej bazie w poszukiwaniu nylonowych lin. Wkrótce u stóp Trevora leżało ponad tysiąc metrów liny w eleganckich zwojach i wszyscy stali pełni oczekiwaniami. Trevor przywiązał jeden koniec liny do strzały, napiął łuk i na próbę puścił ją prosto w gwiazdy. Doleciała nieco powyżej połowy skały, a potem ściągnął ją ciężar liny.

– Przykro mi – powiedział Trevor. – Po prostu nie dam rady. I nie zapominajcie, że musielibyśmy posłać tam również jakąś kotwiczkę, żeby lina mogła się o coś zaczepić.



Na kilka minut zapanowało przygnębienie, kiedy obserwowaliśmy powoli opadające z nieba zwoje liny. Sytuacja była naprawdę trochę absurdalna. Nasze statki dysponowały energią, która mogła nas przenieść na odległość czterystu tysięcy kilometrów od Księżyca – a tutaj tyle kłopotów sprawia nam taka mizerna skałka. Mając więcej czasu, prawdopodobnie znaleźlibyśmy drogę na szczyt z drugiej strony wzgórza, lecz trzeba by pokonać kilka kilometrów. W ciągu paru godzin światła dziennego, jakie nam pozostały, mogłoby to być niebezpieczne i równie dobrze niemożliwe.

Naukowcy szybko radzą sobie z kłopotami, a zbyt wiele genialnych (czasem za genialnych) umysłów pracowało nad tym zadaniem, żeby nie dało się rozwiązać. Lecz tym razem było nieco trudniejsze i tylko trzy osoby jednocześnie znalazły rozwiązanie.

Trevor przemyślał je, a potem rzekł z rezerwą:

– Cóż, można spróbować.

Przygotowania nie trwały zbyt długo, a my tymczasem z niepokojem obserwowaliśmy promienie zachodzącego Słońca, które padały coraz wyżej na stromo wznoszącą się nad nami skałę. Pomyślałem sobie, że gdyby nawet udało się Trevorowi wysłać tam linę i ucześć ją za pomocą kotwiczki, wcale nie będzie łatwo wspiąć się po niej w krępującym ruchu skafandrze kosmicznej. Ja mam lęk wysokości i byłem zadowolony, że kilku entuzjastów wspinalczki zgłosiło się na ochotnika.

W końcu wszystko było gotowe. Pieczołowicie ułożono linę, by unosząc się z ziemi, stawiała jak najmniejszy opór. Kilkadziesiąt centymetrów za strzałą umocowano do liny lekką kotwiczkę. Mieliśmy nadzieję, że będzie dobrze trzymać i nie zawiedzie nas, kiedy jej zaufamy.

Tym razem Trevor nie użył jednej strzały. Umocował do liny cztery, co dwieście metrów. Nigdy nie zapomnę przedziwnego widoku ubranej w kosmiczny skafander postaci, błyszczącej w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i celującej w niebo z napiętego łuku.

Strzała pomknęła w kierunku gwiazd i zanim osiągnęła wysokość dziesięciu metrów, Trevor zakładał już następną na cięciwę swego zaimprovizowanego łuku. Poleciała za swą poprzedniczką, ciągnąc za sobą drugi koniec długiej pętli, która teraz unosiła się w Kosmos. Prawie natychmiast pomknęła za nimi trzecia, wynosząc swój kawałek liny i mogąc przysiąc, że czwarta strzała, wraz ze swoim odcinkiem liny, już znajdowała się w drodze, nim pierwsza zaczęła tracić impet.

Kiedy do transportu liny zamiast jednej strzały użyto czterech, bez trudu osiągnęła ona wymaganą wysokość. Za pierwszym i drugim razem kotwiczka spadła z powrotem, a potem mocno chwyciła gdzieś na niewidocznym, płaskim szczycie – i pierwszy ochotnik już się wspinał po linie. Co prawda przy tak słabym ciężeniu ważył zaledwie około piętnastu kilogramów, lecz mimo to mógłby spaść z wysoka.

Ale nie spadł. Po godzinie zapasy dostarczone przez raketę towarową zaczęły do nas docierać i przed zapadnięciem nocy najpotrzebniej-

sze z nich były już na dole. Muszę jednak przyznać, że jeden z inżynierów przy gasił trochę moją satysfakcję, pokazując mi organki, które wysłał z Ziemi. Już wówczas byłem pewien, że ten instrument bardzo nas wszystkich zmęczy, zanim skończy się ta długa księżycowa noc.

Ale oczywiście to nie wina Trevora. Kiedy wracaliśmy do bazy przez wielkie obszary cienia szybko zapadającego nad równiną, zaproponował coś, co z pewnością zaintryguje tysiące ludzi po opublikowaniu szczegółowych map pierwszej ekspedycji na Księżyc.

Ostatecznie może wydawać się trochę dziwne, że płaską, pozbawioną życia równinę z niewielką górą pośrodku oznaczono na wszystkich mapach Księżyca jako Las Sherwoodzki.

### 3. Ogrodnik

Teraz, niestety za późno, bardzo żałuję, że nigdy nie poznałem Włodzimierza Surowa. Pamiętam go jako dość niskiego mężczyznę, który rozumiał angielski, ale znał go za słabo, by rozmawiać w tym języku. Podejrzewam, że nawet dla swych kolegów był trochę tajemniczy. Kiedy tylko

wchodziłem na pokład Ciołkowskiego, on zawsze siedział nad swymi notatkami lub patrzył w mikroskop, trzymając się na uboczu nawet w ciasnej i niewielkiej przestrzeni statku kosmicznego. Jego rezerwa zdawała się nie przeszkadzać pozostałym członkom załogi; kiedy rozmawiali z nim, traktowali go najwyraźniej z pełną tolerancją sympatią i szacunkiem. Nic dziwnego: jego prace nad wyhodowaniem roślin i drzew, które mogły rosnąć daleko poza kręgiem polarnym, uczyniły zeń najbardziej znanego rosyjskiego botanika.

Fakt, że ekipa rosyjska zabrała na Księżyc botanika, bardzo wszystkim ubawił, choć nie było to dziwniejsze od obecności biologów na statku amerykańskim i angielskim. W latach poprzedzających pierwszą wyprawę na Księżyc zebrano sporo dowodów wskazujących na możliwość istnienia tam pewnych form roślinności mimo braku powietrza i wody. Prezes Akademii Nauk ZSRR był jednym z czołowych głosicieli tej teorii, a ponieważ sam był za stary, aby polecieć, wysłał Surowa.

Całkowity brak śladów tego rodzaju roślinności, czy to w formie żywej, czy w postaci skamielin, na około dwu i pół tysiącach kilometrów kwadratowych zbadanego przez nas obszaru, był pierwszym rozczarowaniem, jakie zachował dla nas Księżyc. Nawet sceptycy, całkowicie przekonani, że na Księżycu życie nie może istnieć w żadnej formie, ucieszyliby się, gdyby udowodniono, że nie mieli racji – a oczywiście nie mieli, gdyż pięć lat później Richards i Shannon dokonali swego zdumiewającego odkrycia na wielkiej, otoczonej skalnymi ścianami równinie Eratostenesa. Lecz wówczas ta re\*welacja należała jeszcze do przy-

szości i w czasach pierwszego lądowania zdawało się, że Surow przybył na Księżyc niepotrzebnie. Nie wyglądał na zbyt zmartwionego i był równie zajęty jak reszta załogi, badając próbki gleby i doglądając niewielkiej hodowli hydroponicznej, której przezroczyste hermetyczne rury tworzyły błyszczącą sieć wokół Ciołkowskiego. Ani myśmy tego nie robili, ani Amerykanie, ponieważ bardziej nam się opłacało sprowadzanie żywności z Ziemi niż uzyskiwanie jej z hodowli na miejscu – przynajmniej do czasu założenia stałej bazy. Mielśmy rację w kategoriach ekonomicznych, ale nie z punktu widzenia morale. Małe hermetyczne szklarnie, gdzie Surow hodował swoje warzywa i karłowate drzewka owocowe, były oazą, której widok rozkoszował nasze oczy, zmęczone oglądaniem otaczającego nas pustkowie.

Ujemną stroną obowiązków dowódcy było to, że rzadko mogłem czynnie zajmować się eksploracją; za bardzo pochłaniało mnie przygotowywanie raportów dla Ziemi, sprawdzanie zapasów, układanie programów i grafików dyżurów<sup>7</sup>, konferowanie z dowódcami pozostałych statków i zgadywanie – nie zawsze z powodzeniem – co z kolei nawali. W wyniku tego bywało, że w ogóle nie opuszczałem bazy przez dwa czy trzy dni i stale sobie żartowano, że mój skafander kosmiczny jest rajem dla moli.

Być może dlatego tak dobrze pamiętam każde wyjście: oczywiście przypominam sobie również jedyne moje spotkanie z Surowem. Zbliżało się południe – Słońce stało wysoko nad południowymi górami, a nów Ziemi był ledwo widoczną nitką srebra, połyskującą o kilka stopni od niego. Henderson, nasz geofizyk, chciał odczytać wyniki badań magnetycznych w kilku punktach kontrolnych, leżących o parę kilometrów na wschód od bazy. Wszyscy pozostali byli zajęci, a ja chwilowo nie miałem nic do roboty, więc wyruszyliśmy razem pieszo.

Droga nie była na tyle długa, by wymagała zabrania skutera, zwłaszcza że akumulatory prawie się wyczerpały. Tak czy inaczej zawsze lubiłem spacerować po Księżycu. I to po prostu nie z powodu scenerii, do której po jakimś czasie można się przyzwyczaić, jeśli nawet budzi przerażenie. Nie – zwyczajnie nigdy mi się nie znudziło to zwołnione poruszanie się bez trudu, w którym każdy krok unosił mnie wysoko nad powierzchnią dając poczucie swobody, znanej ludziom przed nadejściem ery lotów kosmicznych jedynie ze snów.

Zrobiliśmy, co trzeba, i znajdowaliśmy się w połowie drogi powrotnej, gdy zauważyłem idącą przez równinę postać w odległości około półtora kilometra na południe od nas – właściwie, niezbyt daleko od rosyjskiej bazy. Szybko uniosłem do oczu polową lornetkę wewnątrz hełmu i

dokładnie przyjrzałem się temu badaczowi. Nawet z bliska nie można rozpoznać człowdeka w skafandrze kosmicznym, ale w praktyce nie sprawa to żadnego kłopotu, gdyż skafandry oznaczone są kolorem i numerem.

– Kto to? – spytałem Hendersona przez krótkofalówkę na ustalonym kanale łączności.

– Niebieski skafander, numer trzy. To pewnie Surow. Ale nic z tego nie rozumiem. On jest sam.

Jedną z podstawowych zasad prowadzenia badań na Księżycu jest zakaz chodzenia po powierzchni satelity w pojedynkę. Nawet błahy wypadek może mieć fatalne skutki, gdy jest się samemu. C2y, na przykład, można sobie poradzić, jeśli w skafandrze powstanie na plecach drobne uszkodzenie, przez które powoli ucieka powietrze, a samemu trudno przykleić łatkę? Może to brzmi zabawnie, ale już się tak zdarzyło.

– Pewnie jego kolega miał wypadek i on idzie sprowadzić pomoc – podsunął Henderson. – Lepiej go zawołajmy.

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Surowowi najwyraźniej się nie śpieszyło. Zrobił sobie wycieczkę i teraz powoli wraca na Ciołkowskiego. Nie mój interes, że komandor Krasnin pozwala swoim ludziom odbywać wycieczki samodzielnie, choć wydaje się to godną ubolewania praktyką. A jeśli Surow łamie przepisy, to również nie moja sprawa, żeby składać na niego raport.

W ciągu następnych dwóch miesięcy moi ludzie często widywali samotnego Surowa, który zawsze ich unikał, gdy próbowali się doń zbliżyć. Przeprowadziłem dyskretne śledztwo i stwierdziłem, że ze względu na brak ludzi komandor Krasnin musiał trochę złagodzić przepisy dotyczące bezpieczeństwa. Nie udało mi się jednak ustalić, co Surow tam robił, ale nawet mi się nie śniło, że również jego dowódca nie miał o tym pojęcia.

Z uczuciem typu „A nie mówiłem?” odebrałem wezwanie Krasnina o pomoc. Wszyscy mieliśmy już jakieś kłopoty z ludźmi, którym trzeba było wysłać pomoc, ale teraz po raz pierwszy ktoś zaginął i nie odpowiadał na wezwania swego statku. Odbyła się pośpieszna konferencja przez radio, ustalono sposób działania i z każdego statku wachlarzykiem ruszyły grupy poszukiwawcze.

Znowu byłem z Hendersonem i kierując się logiką wracaliśmy do bazy trasą, którą szedł Surow, kiedy go tam widzieliśmy. Obszar ten uważaliśmy za „nasz” teren, gdyż leżał w dość znacznej odległości od statku Surowa. Kiedy wdrapaliśmy się na niskie wzgórza u stóp gór, po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może Rosjanin chciał ukryć przed swymi kolegami to, co robił. Nie miałem pojęcia, co to mogło być.

Znalazł go Henderson i wezwał pomoc przez radio. Było jednak o wiele za późno. Surow leżał twarzą w dół w pomarszczonym z braku powietrza skafandrze. Klęczał, kiedy coś strzaskało plastikową kopułę jego hełmu – widać było, jak rzucił się do przodu i natychmiast umarł.

Przerwałem mu głośnym okrzykiem. Coś z hałasem uderzyło w metalowy pas mojego skafandra. Nie wyrządziło żadnych szkód, lecz było tak nagłe i nieoczekiwane, że całkowicie mnie zaskoczyło.

U moich stóp leżało nasienie, mniej więcej wielkości i kształtu pestki śliwki. Kilka metrów dalej znaleźliśmy drugie, które strzaskało hełm Surowa, kiedy ten się pochylał. Musiał wiedzieć, że roślina już dojrzała, ale kierowany chęcią jej zbadania zapomniał, czym groziła. Widziałem kaktus strzelający nasionami na czterysta metrów w słabym przyciąganiu Księżycy. Surowa zastrzelił jego własny twór z bezpośredniej odległości.

#### 4. Ach., te błyskotki

Jest to wprawdzie historia, którą znam od komandora Yandenburga, ale on przebywa teraz za daleko, aby mógł ją sam opowiedzieć. Dotyczy jego geofizyka, doktora Payntera, o którym powszechnie się mówiło, że poleciał na Księżyc, by uciec przed żoną.

Mówiąc szczerze, nasze żony podejrzewały nas wszystkich, że właśnie to robimy. Jednakże Paynter miał po prostu dostateczne powody.

I to nie dlatego, że nie lubił swej żony; można by nawet powiedzieć, wręcz przeciwnie. Zrobiłby dla niej wszystko, ale niestety rzeczy, których od niego żądała, były raczej zbyt kosztowne. Była damą o ekstrawaganckich gustach, a takie kobiety nie powinny wychodzić za uczonych, jeśli nawet wybierają się oni na Księżyc.

Pani Paynter miała słabość do klejnotów, a szczególnie do diamentów. Jak można się było spodziewać, słabość ta sprawiała jej mężowi sporo kłopotów. Jako solidny i kochający mąż, nie poprzestawał jedynie na martwieniu się i coś koło tego robił. Stał się jednym z czołowych specjalistów od diamentów na świecie, raczej z punktu widzenia naukowego niż handlowego, i prawdopodobnie więcej wiedział o ich składzie, własnościach i pochodzeniu niż ktokolwiek inny na świecie. Niestety, można dużo wiedzieć o diamentach, nie posiadając nawet jednego, a pani Paynter, idąc na przyjęcie, nie mogła ozdobić sobie szyi erudycją męża.

Jak wspomniałem, doktor Paynter zajmował się przede wszystkim geofizyką, diamenty zaś interesowały go tylko na marginesie. Opracował wiele znakomitych instrumentów pomiarowych, które służyły do badań wnętrza Ziemi za pomocą impulsów elektrycznych i fal magnetycznych, dając jakby rentgenowski obraz najgłębszych, ukrytych przed ludzkim okiem warstw. Nic dziwnego zatem, że znalazł się wśród ludzi wybranych po to, by zajrzeć do tajemniczego wnętrza Księżyca. \*

Bardzo chciał polecieć na Księżyc, ale komandorowi Yandenburgowi zdawało się, że Paynter niechętnie opuszczał Ziemię właśnie w tym momencie. Niektórzy ludzie objawiali takie symptomy; czasami wynikały one z obaw, które nie dały się pokonać i wówczas należało zrezygnować z człowieka skądinąd obiecującego. Jednak w przypadku Payntera ociąganie się miało inne przyczyny. Znajdował się w środku wielkiego eksperymentu, nad którym pracował przez całe życie, i nie chciał opuszczać Ziemi przed jego zakończeniem. Lecz pierwsza wyprawa na Księżyc nie mogła na niego czekać, musiał więc zlecić kontynuowanie swej pracy asystentom. Wymieniał z nimi tajemnicze informacje przez radio, czym irytował dział łączności Stacji Kosmicznej III.

Dziwy nowego świata, który czekał na zbadanie, sprawiły, że Paynter wkrótce zapomniał o swych ziemskich zajęciach. Pędził tu i tam po powierzchni Księżyca jednym z tych zabranych przez Amerykanów zgrabnych skuterów elektrycznych, wożąc seismografy, magnetometry, mierniki grawitacji i wszelkiego rodzaju inne tajemnicze instrumenty, używane przez geofizyków. W ciągu kilku tygodni chciał się dowiedzieć tego, co ludziom na ich własnej planecie zajęło setki lat. Co prawda miał do zbadania zaledwie niewielki obszar z ponad 36 milionów kilometrów kwadratowych powierzchni Księżyca, ale pragnął to zrobić jak najdokładniej.

Od czasu do czasu w dalszym ciągu otrzymywał informacje od swych kolegów na Ziemi oraz krótkie, ale czułe wiadomości od pani P. Żadne z nich nie wydawały się za bardzo go interesować; jeśli nawet człowiek nie jest tak zajęty, że prawie nie ma czasu na sen, to jednak czterysta milionów kilometrów stawia jego sprawy osobiste wrzecznie w zupełnie innej perspektywie. Uważam, że na Księżycu doktor Paynter był naprawdę szczęśliwy po raz pierwszy w życiu. I nie on jeden.

Niedaleko naszej bazy znajdował się całkiem niezły krater – wielkie zagłębienie w powierzchni Księżyca o średnicy ponad trzech kilometrów. Choć był nieomal pod ręką, leżał poza obszarem naszych normalnych, wspólnych działań i minęło już sześć tygodni naszego pobytu na Księżycu, zanim Paynter z grupą trzech ludzi wyruszył jednym z minitrak-torów, by rzucić okiem na to miejsce. Kiedy zniknęli za horyzontem, straciliśmy z nimi łączność radiową, ale tym się nie przejmowaliśmy, gdyż w wypadku jakichkolwiek kłopotów mogli zawsze połączyć się z Ziemią, która przekazałaby nam ich wezwanie.

Paynter i jego ludzie nie było już od czterdziestu ośmiu godzin, a tyle mniej więcej wynosiło maksimum nieprzerwanej pracy na Księżycu, nawet po zażyciu środków pobudzających. Początkowo ich mała wyprawa odbywała się bez wydarzeń, a więc nie była zbyt ekscytująca – wszystko przebiegało według planu. Dotarli do krateru, nadmuchali ciśnieniowe igloo i rozładowali zapasy. Odczytali wskazania instrumentów i rozstawili przenośną wieżę wiertniczą, by pobrać

próbki skał. Czekając, aż wiertło pozwoli mu nieźle poznać przekrój Księżyca, Paynter dokonał swego drugiego wielkiego odkrycia. Pierwsze miało miejsce dziesięć godzin wcześniej, ale on jeszcze o tym nie wiedział.

Wokół brzegu krateru, wyrzucone siłą potężnych wybuchów, jakie wstrząsnęły Księżycem trzysta milionów lat temu, leżały ogromne zwaliska skał, które przedtem musiały znajdować się wiele kilometrów pod powierzchnią. To, co mógł wydobyć za pomocą świdra, nie dało się nawet z tym porównać. Niestety, leżące dookoła okazy geologiczne wielkości góry nie zachowały swego właściwego porządku – rozrzuciła je bezładnie po całej powierzchni, dalej niż sięgał wzrok, siła erupcji, która uniosła je w Kosmos.

Paynter wspinał się na te ogromne kupy żużlu, zbierając próbki za pomocą swego małego młotka. Nagle jego koledzy usłyszeli okrzyk radości i zobaczyli, że biegnie do nich, trzymając w ręku bryłę, wyglądającą na niskiej jakości szkło. Upłynęło sporo czasu, zanim jego chaotyczna relacja ułożyła się w logiczną całość, wyjaśniającą, skąd ten cały krzyk, a jeszcze więcej czasu, nim ekspedycja przypomniała sobie, jakie było jej właściwe zadanie, i zabrała się do pracy.

Yandenburg obserwował powracającą na statek grupę. Jej czterej członkowie nie wyglądali na tak zmęczonych, jak należało się spodziewać, biorąc pod uwagę fakt, że byli na nogach nieprzerwanie od dwóch dni. Właściwie w ich ruchach dostrzegano pewną żwawość, której nie mogły całkowicie ukryć nawet skafandry kosmiczne. Widać było, że wyprawa zakończyła się pomyślnie. W tym wypadku Paynter mógł przyjmować gratulacje z dwóch powodów. Z Ziemi nadeszła właśnie pilna, bardzo tajemnicza wiadomość, z której jasno wynikało, że dzieło Payntera, czymkolwiek było, doczekało się triumfalnego zakończenia.

Komandor Yandenburg omal nie zapomniał o tej wiadomości, zobaczywszy, co Paynter trzyma w ręku. Wiedział, jak wygląda surowy diament, a ten był drugim co do wielkości okazem, jaki kiedykolwiek widziano. Jedynie Cullinan, którego waga wynosi 3026 karatów, minimalnie go przewyższał.

– Należało się tego spodziewać – trąkotał uszczęśliwiony Paynter. – Diamenty zawsze znajduje się w pobliżu wylotów wulkanów, ale jakoś nigdy nie pomyślałem, że tak samo jest tutaj.

Nagle Yandenburg przypomniał sobie o wiadomości z Ziemi i wręczył ją Paynterowi. Ten szybko ją przeczytał i zmarmotniał. Yandenburg powiedział mi później, że nigdy w życiu nie widział człowieka, na którym telegram z gratulacjami zrobiłby tak przygnębiające wrażenie, jak na Paynterze. Wiadomość brzmiała następująco: **DOKONALIŚMY TEGO. CAŁKOWITE POWODZENIE PRÓBY 541 ZE ZMODYFIKOWANĄ KOMORĄ CIŚNIENIOWĄ. WIELKOŚĆ PRAKTYCZNIE BEZ OGRANICZEŃ. KOSZTY ZNIKOME.**

– Co się stało? – spytał Yandenburg zobaczywszy wyraz twarzy Payntera. – Zdaje mi się, że to nie jest zła wiadomość, bez względu na jej treść.

Paynter poruszał ustami jak wyjęta z wody ryba, a potem bezradnie popatrzył na wielki kryształ, który prawie zakrywał mu dłoń. Potem rzucił go prosto w górę, a ten spadał w zwolnionym tempie jak wszystko w księżycowym polu grawitacyjnym.

W końcu odzyskał głos.

– Moje laboratorium pracowało od lat – rzekł – nad syntetycznymi diamentami. Wczoraj ten był wart milion dolarów, a teraz ledwie kilkaset. Wcale nie jestem pewien, czy zabiorę go na Ziemię.

Cóż, jednak zabrał – żał mu było go zostawiać. Przez około trzy miesiące pani P. miała najpiękniejszy diamentowy naszyjnik na świecie, którego każdy kamyk wart był tysiąc dolarów, na co składały się głównie koszty cięcia i szlifowania. Potem metodę Payntera zastosowano w masowej produkcji, a miesiąc później pani P. uzyskała rozwód. Jako uzasadnienie podano wyjątkowe okrucieństwo psychiczne i moim zdaniem, nie bez racji.

5. Prosimy o uwagę

Zajrzawszy do odpowiednich źródeł, ze zdumieniem odkryłem, że najsłynniejsze doświadczenie, jakie przeprowadziliśmy podczas naszego pobytu na Księżycu, sięgało początkami roku 1955. Wówczas to przez zaledwie dziesięć lat prowadzono badania za pomocą rakiet stratosferycznych, głównie w White Sands WT stanie Nowy Meksyk. W roku 1955 przeprowadzono najbardziej spektakularne z ówczesnych doświadczeń, polegające na rozpyleniu sodu w górnych warstwach atmosfery.

Na Ziemi, nawet w najbardziej bezchmurną noc, niebo między gwiazdami nie jest zupełnie ciemne. Jest tam delikatna poświata, która częściowo wynika z fluorescencji atomów sodu na wysokości około stu pięćdziesięciu kilometrów. Ponieważ sól rozproszony w wielu kilometrach sześciennych górnych warstw atmosfery zmieściłby się w pudełku od zapalek, ówczesnym badaczom zdawało się, że zrobią niezły fajerwerk, jeśli użyją rakiety, która rozpyli w jonosferze kilka kilogramów tego pierwiastka.

Mieli rację. Sód, rozpylony za pomocą rakiety nad White Sands na początku roku 1955, wytworzył na niebie silną żółtawą poświatę, przypominającą sztuczne światło księżycowe, która utrzymywała się przez ponad godzinę, póki atomy nie uległy rozproszeniu. Doświadczenie to przeprowadzono nie dla rozrywki (choć jej dostarczyło), lecz w poważnych celach naukowych. Wycelowane w poświatę instrumenty umożliwiły uzyskanie nowych informacji o górnych warstwach atmosfery, co uzupełniło zasób wiedzy, bez której loty kosmiczne byłyby niemożliwe.

Znalazłszy się na Księżycu, Amerykanie wpadli na pomysł powtórzenia eksperymentu w znacznie większej skali. Kilkaset kilogramów sodu wyrzuconego z powierzchni Księżyca wytworzyłoby lunę, która rozświetli jego atmosferę i będzie widoczna z Ziemi przez dobrą lornetkę.

(A tak na marginesie – do niektórych ludzi jeszcze nie dotarł fakt, że Księżyc ma atmosferę. Jest wprawdzie milion razy za rzadka, by nadawała się do oddychania, ale mając odpowiednie instrumenty, można ją wykryć. Doskonale funkcjonuje jako tarcza ochronna przed meteorytami, choć bowiem jest rozrzedzona, ma jednak grubość kilkuset kilometrów.)

Od wielu dni wszyscy mówili jedynie o tym doświadczeniu. Bombę sodową przywozła z Ziemi ostatnia rakiet dostawcza. Wyglądała bardzo imponująco, a działała w sposób niesłychanie prosty: po detonacji ładunek zapalający zamieniał sól w parę, a kiedy osiągała ona odpowiednie ciśnienie, pękała przegroda i wszystko wylatywało w niebo przez dyszę o specjalnym kształcie. Bomba miała być odpalona tuż po zapadnięciu nocy, a kiedy chmura sodu wyjdzie z cienia Księżyca i znajdzie się w promieniach Słońca, zacznie świecić osłepiającym blaskiem.

Zapadanie nocy na Księżycu jest jednym z najbardziej imponujących widoków w naturze, tym bardziej że obserwując płonącą tarczę Słońca, która powoli chowa się za górami, człowiek ma świadomość, iż zobaczy ją dopiero po czternastu dniach. Noc jednak nie przynosi ciemności, przynajmniej po tej stronie Księżyca. Zawsze bowiem wisi na niebie Ziemia, jedyne ciało niebieskie, które ani nie wstaje, ani nie zachodzi. Światło słoneczne odbite od jej chmur i oceanów zalewa krajobraz Księżyca łagodną, niebieskozieloną poświatą, tak więc często łatwiej znaleźć drogę nocą niż w nieznośnym blasku Słońca za dnia.

Nawet ci, którzy nie mieli akurat służby, przyszedli popatrzeć na doświadczenie. Bombę sodową umieszczono pośrodku wielkiego trójkąta, utworzonego przez trzy nasze statki, w pozycji pionowej, z dyszą skierowaną w gwiazdy. Dr Andersen, astronom ekipy amerykańskiej, sprawdzał urządzenie zapłonowe, lecz wszyscy inni stali w bezpiecznej odległości. Bomba wylądała groźnie, jak na bombę przystało, choć nie wyrządziłaby więcej szkody niż syfon z wodą sodową.

Do zarejestrowania tego przedstawienia zgromadzono chyba cały sprzęt optyczny wszystkich trzech ekspedycji. Teleskopy, spektroskopy, kamery filmowe i wszystko, co tylko może człowiekowi przyjść do głowy, stały szeregiem, gotowe do działania. A wiedziałem, że to nic wobec baterii sprzętu wycelowanego w nas na Ziemi. Każdy astronom--amator, który mógł tej nocy obserwować Księżyc, stał pewnie w swym ogródku, słuchając komentarza radiowego na temat przebiegu doświadczenia. Spojrzałem na błyszczącą planetę, która dominowała na niebie:

łądy były wolne od chmur, ludzie więc mieli dobry widok z domu. I chyba dobrze się stało, bo to przecież oni za wszystko płacili.

12 –Spotkanie..

Pozostało jeszcze piętnaście minut. Nie po raz pierwszy zapragnąłem, by istniał jakiś niezawodny sposób palenia papierosów w skafandrze kosmicznym bez tego potwornego zadymiania helmu, które sprawiało, że nic nie było widać. Nasi naukowcy rozwiązali tyle znacznie trudniejszych problemów. Szkoda, że na to nic jeszcze nie wymyślili.

Dla zabicia czasu – w eksperymencie tym nie miałem nic do roboty – włączyłem radio i słuchałem Dave'a Boltona, który przekazywał bardzo dobry komentarz. Dave był naszym głównym nawigatorem i doskonałym matematykiem. Miał również łatwość wystawiania się – używał dość barwnych wyrażen i czasem jego nagrania musiały być cenzurowane przez BBC. Ale teraz nic nie mogli zrobić, gdyż stacje naziemne przekazywały jego komentarz na żywo.

Dave skończył krótkie i klarowne wyjaśnienia zasad eksperymentu. Opisał, jak chmura świecącego sodu pozwoli nam dokonać analizy atmosfery Księżyca, kiedy będzie przez nią przechodziła z prędkością w przybliżeniu ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę.

– Jednakże – kontynuował informowanie milionów ludzi czekających na Ziemi – trzeba sobie jasno powiedzieć, że przez dziesięć minut od odpalenia bomby w ogóle guzik zobaczycie – i my również. Podczas wznoszenia się w cieniu Księżyca chmura sodowa pozostanie całkiem niewidoczna. Rozbłyśnie potem zupełnie nagle, gdy znajdzie się w promieniach Słońca, które biegną nad naszymi głowami, kiedy teraz patrzymy w Kosmos. Nikt nie jest całkowicie pewien, jaka będzie intensywność jej światła, ale z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że uda wam się ją zobaczyć przez każdy teleskop o średnicy ponad pięć centymetrów. A zatem wystarczy zwykła dobra lornetka.

Mówił w ten sposób przez następne dziesięć minut, a ja podziwiałem, go, że tak doskonale sobie radzi. Potem nadeszła wielka chwila i Anderson włączył obwód odpalania. W bombie zaczęło się gotować i ciśnienie zamienianego w parę sodu rosło. Po trzydziestu sekundach z wycelowanej w niebo, długiej wąskiej dyszy, wystrzelił nagle kłęb dymu. A potem musieliśmy czekać następne dziesięć minut, aż niewidoczna chmura wzniesie się ku gwiazdom. Strach pomyśleć, co będzie, jeśli po tych wszystkich przygotowaniach nic z tego nie wyjdzie.

Mijały sekundy i minuty. A potem po niebie zaczął się nagle rozprzestrzeniać żółty blask, jak olbrzymia nie migocąca zorza, która w oczach stawała się coraz jaśniejsza. Wyglądało to, jak gdyby jakiś malarz przeciągał po gwiazdach pędzlem zanurzonym w płomieniach. I nagle zorientowałem się, że ktoś zrobił największą reklamę w historii, pociągnięcia ułożyły się bowiem w litery, a litery w dwa słowa – w nazwę pewnego napoju bezalkoholowego, który jest za dobrze znany, żebym jeszcze ja musiał go reklamować.

Jak oni to zrobili? Odpowiedź była oczywista. Ktoś umieścił w dyszy

bomby sodowe,) odpowiednio wycięty szablon, aby wylatująca z niej para ułożyła się w słowa. Ponieważ nic nie mogło ich zniekształcić, napis w nienaruszonym stanie wznosił się niewidocznie ku gwiazdom. Widziałem napisy na ziemskim niebie, ale ten tutaj był znacznie większy. Cokolwiek bym sobie pomyślał o ludziach, którzy dopuścili się tego czynu, nie mogłem powstrzymać się od zachwytu nad ich pomysłowością. Litery „o” i „a” sprawiły im trochę kłopotu, ale „c” i „l” były doskonałe.

Z satysfakcją stwierdzam, że kiedy minął początkowy szok, program naukowy przebiegał zgodnie z planem. Niestety, nie pamiętam, jak sobie z tym poradził w swoim komentarzu Dave Bolton, ale nawet dla jego szybkiej orientacji musiała to być ciężka przeprawa. Tymczasem połowa Ziemi oczywiście widziała, co opisywał. Następnego dnia rano wszystkie gazety na planecie zamieściły słynne zdjęcie półksiężyca ze świecą reklamą na jego ciemnej części.

Napis błyszczał na niebie przez ponad godzinę, aż w końcu rozplynał się w Kosmosie. Osiągnął wówczas długość prawie półtora tysiąca kilometrów i już się zamazywał. Lecz wciąż był czytelny, póki ostatecznie nie zniknął w próżni między planetami.

I dopiero wtedy zaczął się prawdziwy fajerwerk. Komandor Yanden-burg wpadł we wściekłość i natychmiast zaczął przesłuchiwać wszystkich swoich ludzi. Jednak w końcu okazało się, że sabotażysta – jeśli można go tak nazwać – był na Ziemi. Tam przygotowano bombę i stamtąd wysłano gotową do użytku. Wkrótce odnaleziono i wyrzucono z pracy inżyniera, który się tego dopuścił. W ogóle się tym nie przejął, bo zarobił dosyć na parę ładnych lat.

Jeśli idzie o sam eksperyment, to z naukowego punktu widzenia zakończył się całkowitym powodzeniem; doskonale spisały się wszystkie instrumenty rejestrujące, które analizowały światło chmury o tak nieoczekiwanym kształcie. Ale nigdy nie darowaliśmy tego Amerykanom i obawiam się, że najbardziej ucierpiał z tego powodu biedny komandor Yandenburg. Zanim znalazł się na Księżycu, był zagorzałym abstynentem i najczęściej zaspokajał pragnienie za pomocą pewnej butelki, zwężonej jak osa. Obecnie jednak dla zasady pije piwo, chociaż go nie cierpi.

## 6. Zależy od miejsca pobytu

Opisałem już, że tak powiem, manewrowanie w celu uzyskania dogodnej pozycji startowej w pierwszym locie na Księżyc. Jak się okazało, Amerykanie, Rosjanie i Anglicy wylądowali prawie równocześnie. Nigdy jednak nie wyjaśniono, dlaczego statek brytyjski wrócił na Ziemię prawie dwa tygodnie później od pozostałych.

Och, znam oficjalną wersję; powinienem znać, bo sam brałem udział w jej przygotowaniu. Wszystko, co zawiera, to prawda, lecz nie cała.

Wspólna ekspedycja była pod każdym względem ogromnym sukcesem. Podczas niej zginął tylko jeden człowiek, Włodzimierz Surow, ale za to w sposób, który uczynił go nieśmiertelnym. Zebraliśmy informacje, które dadzą zajęcie kilku pokoleniom ziemskich naukowców i zrewolucjonizują prawie wszystkie nasze wyobrażenia o naturze Wszechświata. Tak, dobrze wykorzystano te pięć miesięcy na Księżycu, mogliśmy więc wracać na Ziemię, spodziewając się przyjęcia, z jakim przedtem spotykało się tylko niewielu bohaterów.

Jednak pozostawało jeszcze wiele do uporządkowania. Rozproszone po całym Księżycu instrumenty rejestrujące wciąż pracowały, a wielu z zebranych przez nie informacji nie dało się automatycznie przekazywać drogą radiową na Ziemię. Nie było potrzeby, aby wszystkie trzy ekipy pozostały na Księżycu do ostatniej chwili – do zakończenia pracy wystarczyła obsada jednej. Ale kto na ochotnika zechce wszystkiego pilnować, gdy pozostali wrócą, by cieszyć się sławą? Ten trudny problem należało jak najszybciej rozwiązać.

Jeśli idzie o zaopatrzenie, nie było powodu do zmartwień. Automatyczne rakiety dostawcze mogły zaopatrywać nas w powietrze, żywność i wodę tak długo, jak pragnęlibyśmy pozostać na Księżycu. Wszyscy cieszyliśmy się dobrym zdrowiem, choć odczuwaliśmy pewne zmęczenie. Nie doszło do spodziewanych kłopotów natury psychicznej, być może dlatego, że wszyscy byliśmy tak bardzo zajęci absorbującymi zadaniami, iż nie mieliśmy czasu obawiać się pomieszczenia zmysłów. Ale wszyscy oczywiście pragnęli jak najszybciej powrócić na Ziemię i znów zobaczyć się z rodziną.

Do pierwszej zmiany w planach zmusił nas Ciołkowski, którego unieruchomiło nagle zapadnięcie się gruntu pod jedną z łap jego trójnożu do lądowania. Statek zachował pozycję pionową, ale jego kadłub paskudnie się skręcił i powstały dziesiątki uszkodzeń w kabine ciśnieniowej. Wiele dyskutowano na temat przeprowadzenia naprawy na miejscu, lecz uznano, że start w takich warunkach byłby zbyt ryzykowny. Rosjanie nie mieli innego wyboru, jak tylko poprosić o podwiezienie na pokładzie Goddarda i Endeavour, korzystając z niepotrzebnego już Ciołkowskiemu paliwa, nasze statki mogłyby zabrać ten dodatkowy ładunek. Jednakże lot powrotny odbywałby się w niesłychanej ciasnocie i niewygodzie, a wszyscy zainteresowani musieliby spać i jeść na zmiany.

Zatem albo Amerykanie, albo Anglicy powrócą na Ziemię jako pierwsi. W ciągu ostatnich tygodni, kiedy ekspedycja zbliżała się do końca, moje stosunki z komandorem Yandenburgiem były



cokolwiek napięte. Już nawet zacząłem się zastanawiać, czy nie powinniśmy rozstrzygnąć sprawy drogą losowania...

Drugim problemem, który absorbował moją uwagę, była dyscyplina załogi. Może jest to zbyt mocne określenie, a nie chciałbym, aby ktokolwiek pomyślał sobie, że istniało prawdopodobieństwo buntu. Lecz wszyscy moi ludzie byli teraz trochę rozkojarzeni poza służbą i najczęściej chowali się po kątach, pisząc coś zawzięcie. Bardzo dobrze wiedziałem, co się dzieje, gdyż i mnie to nie ominęło. Nie było na Księżycu człowieka, u którego jakaś gazeta czy tygodnik nie zamówiłby artykułu na prawach wyłączności, a straszyły nas nieuchronnie zbliżające się terminy. Łączący nas z Ziemią dalekopis pracował nieprzerwanie, przekazując dziesiątki tysięcy słów dziennie, a większe kawałki wiekopomnej prozy dyktowano kanałami łączności głosowej.

Pewnego dnia przyszedł do mnie profesor Williams, nasz astronom o bardzo praktycznym umyśle, przynosząc ze sobą rozwiązanie mojego głównego problemu.

– Sefie – rzekł siadając ostrożnie na brzegu stanowczo zbyt łatwego składającego się stolika, którego używałem do pracy w moim igloo – czy naprawdę istnieje jakiś powód natury technicznej, dla którego powinniśmy znaleźć się z powrotem na Ziemi jako pierwsi?

– Nie – odparłem – jedynie chęć zdobycia sławy, majątku, a także ujrzenia naszych bliskich. Ale muszę przyznać, że powodów technicznych nie ma. Moglibyśmy pozostać tu jeszcze przez rok, gdyby Ziemia przysłała nam zaopatrzenie. Jeśli pan jednak chce właśnie to zaproponować, z wielką przyjemnością pana uduszę.

– Nie jest tak źle. Kiedy już większość wyjedzie, ci, co zostaną, mogą kontynuować pracę przez co najmniej dwa, trzy tygodnie. Faktycznie przypadnie im wielki zaszczyt za poświęcenie, skromność i tym podobne cnoty.

– Co będzie bardzo niewielką nagrodą za to, że nie powrócą do domu jako pierwsi.

– Racja. Potrzebujemy więc czegoś, co im to wynagrodzi. Czegoś bardziej materialnego.

– Zgoda. Co pan proponuje?

Williams wskazał na kalendarz wiszący przede mną na ścianie, między skradzionymi z Goddarda dwoma zdjęciami roznegliżowanych dziewczyn. Długość naszego pobytu wyznaczała liczba dni skreślonych czerwonym tuszem, a wielki znak zapytania wskazywał datę powrotu pierwszego statku na Ziemię za dwa tygodnie.

– Tu. ma pan odpowiedź – rzekł. – Czy uświadamia pan sobie, co się stanie, jeśli wówczas wyruszymy? Powiem panu.

I powiedział, a ja byłem na siebie wściekły, że pierwszy o tym nie pomyślałem.

Następnego dnia wyjaśniałem swoją decyzję Yandenburgowi i Krasninowi.

Kiedy na miejsce dotarł komandor Krasnin, wciąż z niedowierzaniem wpatrywaliśmy się w obiekt badany przez Surowa tuż przed śmiercią. Skórzasty, zielonkawy owal wysokości około jednego metra trzymał się skały rozłożystą siecią przypominających korzenie wici. Tak – korzenie, gdyż była to roślina. W pobliżu znajdowały się jeszcze dwa okazy, lecz znacznie mniejsze i widocznie martwe, ponieważ były poczerniałe i zwiędłe.

W pierwszej chwili pomyślałem sobie, że mimo wszystko na Księżycu jest życie. Jednak dopiero gdy usłyszałem w uszach głos Krasnina, uświadomiłem sobie, że prawda jest jeszcze bardziej oszałamiająca.

– Biedny Włodzimierz – rzekł. – Wiedział, że jest geniuszem, a myśmy go wyśmiali, kiedy powiedział nam o swym marzeniu. Trzymał więc swoje największe dzieło w sekrecie. Zawojował Arktykę swą krzyżówką pszenicy, lecz to był dopiero początek. Przeniósł życie na Księżyc, a także śmierć.

Kiedy stałem tam, w pierwszej chwili zaskoczony tą rewelacją, wszystko wciąż zdawało się cudem. Dzisiaj historię „kaktusa Surowa”, tak ochrzczonego nieuchronnie i całkiem niewłaściwie, zna cały świat, a sama roślina straciła wiele ze swej sensacyjności. Całą tę historię podają notatki Surowa, opisujące lata doświadczeń, które w końcu doprowadziły do powstania nowej rośliny. Jej skórzasta

pokrywa umożliwia życie w próżni, a długie, wydzielające kwas korzenie pozwalają jej rosnąć na skałach, gdzie trudno byłoby utrzymać się nawet porostom. Widzieliśmy również urzeczywistnienie drugiego etapu marzeń Surowa, gdyż kaktus, który na zawsze będzie nosił jego imię, skruszył już ogromne obszary skał księżycowych i w ten sposób otworzył drogę bardziej wyspecjalizowanym roślinom, jakimi obecnie żywią się wszyscy ludzie na Księżycu.

Krasnin pochylił się nad ciałem kolegi i podniósł je bez wysiłku, pokonując niewielkie ciężenie. Obracał w palcach kawałki strzaskanego hełmu z plastyku i zdumiony kręcił głową.

– Co mu się przytrafiło? – rzekł. – Wygląda na to, że zrobiła to ta roślina. Absurd.

Tu, na już nie jałowej równinie, tkwiła zielona zagadka, dręcząc nas swą tajemniczością i tym, co mogła zapowiadać. Wtem odezwał się Henderson i zaczął powoli mówić, jak gdyby głośno myśląc.

– Sądzę, że znalazłem odpowiedź; przypomniałem sobie właśnie pewne rzeczy z przerabianej w szkole botaniki. Jeśli Surow zaprojektował tę roślinę do życia w warunkach księżycowych, to jak zamierzał przygotować ją do rozmnażania? Nasiona powinny być rozrzucone na bardzo dużym obszarze, by znalazły odpowiednie miejsce do rozwoju. Tutaj nie ma ptaków czy zwierząt, które mogłyby je przynieść, jak to się dzieje na Ziemi. Do głowy przychodzi mi tylko jedno rozwiązanie, a pewne ziemskie rośliny już z niego korzystają.

– Pozostaniemy tu i doprowadzimy wszystko do końca – powiedziałem. – To sprawa zdrowego rozsądku. Goddard jest znacznie większym statkiem od naszego i może zabrać dodatkowo czterech ludzi, my zaś zaledwie dwóch, a i tak będzie ścisk. Jeśli nie polecisz pierwszy, Van, mnóstwo ludzi będzie tutaj umierało z tęsknoty dłużej niż trzeba.

– To naprawdę bardzo ładnie z twojej strony – odparł Yanden-burg. – Nie będę ukrywał, że z rozkoszą powrócimy do domu. I przyznaję, że to logiczne, skoro Ciołkowski jest wyłączony z akcji. Niemniej jednak oznacza to spore poświęcenie z waszej strony i naprawdę nie chcę tego wykorzystywać.

Machnąłem ostentacyjnie ręką.

– Nie ma o czym mówić – odpowiedziałem. – Jeśli tylko twoi chłopcy nie zagarną wszystkich zaszczytów, to i na nas przyjdzie kolej. Mimo wszystko zostajemy tu sami na scenie, kiedy wy wrócicie na Ziemię.

Krasnin patrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby coś sobie kalkulował, a mnie było wyjątkowo trudno wytrzymać to spojrzenie.

– Nie chciałbym być cyniczny – rzekł – ale nauczyłem się trochę niedowierzać ludziom, którzy robią komuś przysługę bez wyraźnego powodu. Szczerze mówiąc, dla mnie twoje uzasadnienie jest niezbyt przekonujące. Czy przypadkiem czegoś nie ukrywasz?

– No więc dobrze – westchnąłem. – Miałem nadzieję trochę na tym zyskać, ale nie widzę potrzeby przekonywania kogokolwiek o niewinności moich motywów. Mam pewien powód, który wy również możecie poznać. Ale proszę, nie mówcie o nim nikomu, gdyż nie chciałbym rozczarowywać tych na Ziemi. Ciągłe uważają nas za szlachetnych i bohaterkich poszukiwaczy wiedzy, pozwólmy im więc w dalszym ciągu tak myśleć w interesie nas wszystkich.

Potem zdjąłem kalendarz i powtórzyłem Yandenburgowi i Krasni-nowi to, co powiedział mi Williams. Początkowo słuchali sceptycznie, lecz potem z rosnącym zrozumieniem.

– Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle – rzekł w końcu Van-den-burg.

– Amerykanie nigdy nie mają – powiedziałem ze smutkiem. – W każdym razie tak jest od pół wieku i sytuacja nie wydaje się poprawiać. A więc zgadzacie się z moją propozycją?

– Oczywiście. Tak czy owak nam to bardzo odpowiada. Do następnej wyprawy macie cały Księżyc do dyspozycji.

Przypomniałem sobie to zdanie, kiedy w dwa tygodnie później patrzyłem, jak Goddard wystrzelił w niebo, w stronę odległej, przyzywającej Ziemi. Zrobiło się pusto, kiedy odlecieli Amerykanie i, z wyjątkiem dwóch, Rosjanie. Z zazdrością oglądaliśmy w telewizji, jak ich przyjmo-

wano w czasie triumfalnego przejazdu przez Moskwę i Nowy Jork. Potem wróciliśmy do pracy i uzbroiliśmy się w cierpliwość. Kiedy tylko odczuwaliśmy przygnębienie, robiliśmy drobne rachunki na kawałku papieru i natychmiast powracał nam dobry humor.

Wraz z upływem krótkich ziemskich dni – dni, które zdawały się mieć niewiele wspólnego z powolnym cyklem czasu księżycowego – rosła liczba czerwonych krzyżyków na kalendarzu. W końcu byliśmy gotowi; zebraliśmy wszystkie dane przekazane przez instrumenty, a wszelkie okazy i próbki znalazły się dobrze zapakowane na pokładzie statku. Z rykiem ożyły silniki, dając nam chwilowo zwiększoną wagę, którą znów poczujemy, znalazłszy się z powrotem na Ziemi. Poszarpany krajobraz księżycowy, który tak dobrze poznaliśmy, szybko pozostawał w tyle; po kilku sekundach nie mogliśmy już dostrzec budynków i instrumentów, które ustawialiśmy z takim trudem i które pewnego dnia będą służyć przyszłym badaczom.

Zaczęła się droga do domu. Powróciliśmy na Ziemię w pozbawionej wydarzeń niewygodzie i w pobliżu Stacji Kosmicznej III dołączyliśmy do rozmontowanego już w połowie Goddarda, a potem szybko przewieziono nas promem na planetę, którą opuściliśmy przed siedmioma miesiącami.

Siedem miesięcy – to bardzo ważne, jak podkreślił Williams. Przebywaliśmy na Księżycu przez ponad pół roku finansowego, a dla nas wszystkich był to najbardziej intratny rok w życiu.

Przypuszczam, że wcześniej czy później wypełnią tę międzyplanetarną lukę w przepisach. Tymczasem Ministerstwo Finansów robi wszystko, żeby ściągnąć podatek za nasze szlachetne poświęcenie, ale wydaje się, że doskonale pasujemy do postanowień Działu 57, Paragrafu 8 Ustawy o dochodach z roku 1972. Napisałszy wiele książek i artykułów o Księżycu i dopóki nie powstanie jakiś rząd księżycowy, który obciąży nas podatkiem dochodowym, dopóty nie oddamy ani pensa.

A jeśli orzeczenie sądu okaże się dla nas niekorzystne – cóż, zawsze pozostaje nam jeszcze Mars...

112. Pieśni dalekiej Ziemi

Pod palmami czekała Lora, patrząc na morze. Widziała już łódź Cly-de'a jako niewielką kreseczkę na dalekim horyzoncie – jedyną skazę na idealnym połączeniu morza z niebem. Rosła z minuty na minutę, aż zaczęła się wyraźnie odcinać na tle pustego błękitu otaczającego planetę. Teraz Lora widziała już Clyde'a: stał na dziobie jak posąg, jedną ręką obejmując sztag i szukając Lory wzrokiem wśród cieni.

– Gdzie jesteś, Loro? – pytał żałośnie jego głos dochodzący z komunikatora w kształcie bransolety, który podarował jej w dniu zaręczyn. – Chodź mi pomóc. Dużo złowiłem i musimy przewieźć to do domu.

A więc to tak, powiedziała Lora do siebie, to dlatego poprosiłeś mnie, żebym zeszła na plażę.

Tylko po to, żeby go ukarać i odpowiednio zaniepokoić, zupełnie zignorowała jego wezwanie i zareagowała dopiero wówczas, gdy kilkakrotnie je powtórzył. A i wtedy nie nacisnęła pięknej, złocistej perły oprawionej w guzik z napisem „odbiór”, lecz powoli wrywała z cienia wielkich drzew i ruszyła plażą łagodnie opadającą ku morzu.

Clyde popatrzył na nią z wyrzutem, ale czując się winnym pocałował ją zaraz po przybiciu do brzegu i zabezpieczeniu łodzi. Zaczęli potem wspólnie wyładowywać połów, wybierając duże i małe ryby z obu kadłubów katamarana. Lora kręciła nosem, ale dzielnie pomagała, aż czekające na piasku sanie pokryła góra ofiar zręczności Clyde'a.

Półów się udał; Lora pomyślała z dumą, że kiedy wyjdzie za Clyde'a, nigdy nie umrze z głodu. Te niezgrabne, uzbrojone w pancerz stworzenia z morza młodej planety właściwie nie były rybami – upłynię jeszcze ze sto milionów lat, zanim natura wymyśli tutaj łuski. Stanowiły jednak dość dobre pożywienie i pierwsi koloniści nadali im nazwy przywiezione wraz z wieloma innymi tradycjami z niezapomnianej Ziemi.

– To wszystko! – mruknął Clyde, ciskając niezłą imitację łososia na lśniący stos. – Sieciami zajmę się później. Ruszajmy!

Z niejakim trudem znajdując miejsce na postawienie stopy, Lora wskoczyła za nim na mechaniczne sanie. Elastyczne rolki przez chwilę ślizgały się po piasku, a potem odzyskały przyczepność. Clyde i Lora, wraz z pięćdziesięcioma kilogramami różnej wielkości ryb, zaczęli szybko sunąć po plaży pobrużdżonej niby muszla. Znajdowali się w połowie krótkiej drogi do domu, kiedy proste, beztróskie życie w świecie, w którym spędzili wszystkie swoje młode lata, nagle się skończyło.

Znak tego był wypisany w górze, na niebie, jakby ktoś ogromną ręką przeciągnął kawałkiem kredy po błękitnym nieboskłonie. Jeszcze gdy Lora i Clyde na to patrzyli, jasna smuga pary zaczęła się strzępić po bokach, przekształcając się w kosmyki chmur.

I już z odległości wielu kilometrów usłyszeli opadający dźwięk, którego ta planeta nie znała od pokoleń. Instynktownie ścisnęli się za ręce, patrząc na rozcinającą niebo śnieżnobiałą bruzdę i słuchając cienkiego świstu z pogranicza Kosmosu. Opadający statek zniknął już za horyzontem, nim zdążyli spojrzeć na siebie i wyszeptać, prawie z nabożeństwem, to samo magiczne słowo:

– Ziemia!

Po trzystu latach milczenia macierzysta planeta znów przypomniała sobie o Thalassie...

Dlaczego? pomyślała Lora, kiedy minęła dłuższa chwila objawienia i z nieba nie dochodziło już echo rozdzierającego powietrze świstu. Co się stało, że potężna Ziemia po tylu latach wysłała statek na tę cichą i spokojną planetę? Nie było tu już miejsca dla większej liczby kolonistów, na tej jedynej wyspie wśród mórz całkowicie pokrywających planetę, i Ziemia dobrze o tym wiedziała. Roboty sporządziły jej mapę i zbadały planetę z Kosmosu pięć wieków temu, kiedy rozpoczęto międzygwiazdą eksplorację. Na długo przed tym, zanim człowiek sam odważył zapuścić się między gwiazdy, drogę tę przebyli jego elektroniczni słudzy, okrążając planety nieznanych słońc, i powrócili z informacjami jak pszczoły znoszące miód do ula.

Jeden z takich zwiadowców odnalazł Thalassę, wyjątkową planetę z dużą, pojedynczą wyspą na bezbrzeżnym oceanie. Kiedyś powstaną tu kontynenty, lecz była to młoda planeta, której historii jeszcze nie zaczęto pisać.

Sto lat zajął robotowi powrót do domu, a przez następne stulecie zebrane przezeń informacje drzemały w pamięci wielkich komputerów, przechowujących całą wiedzę Ziemi. Pierwsza fala kolonistów ominęła Thalassę – najpierw zajęto się kolonizacją planet przynoszących większe korzyści i nie składających się w dziewięciu dziesiątych z wody. W końcu jednak i tu pojawili się pionierzy – w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów od miejsca, gdzie teraz znajdowała się Lora, jej przodkowie po raz pierwszy postawili nogę na planecie, która w ten sposób stała się własnością ludzkości.

S plantowali wzgórze, posiali zboże, przesunęli rzeki, zbudowali miasta i fabryki i rozprzestrzeniali się do naturalnych granic ich lądu. Ze swą żyzną glebą, obfitością wód i łagodnością dającej się przewidywać pogody Thalassa była planetą nie wymagającą zbyt wiele od swoich przybranych dzieci. Duch pionierski przetrwał może dwa pokolenia, a potem koloniści zadowalali się pracą, na ile było trzeba, lecz nic ponad to,

a także nostalgicznymi marzeniami o Ziemi, nie martwiąc się o przyszłość. Miasteczko wrzało od domysłów, kiedy pojawili się tam Clyde i Lora. Z północnego krańca wyspy dotarła wieść, że statek wytracił już cały swój szalony pęd i powracał na niewielkiej wysokości, najwyraźniej szukając miejsca do lądowania.

– Mają jeszcze stare mapy – powiedział ktoś. – Założę się, że wylądują na wzgórzach, tam gdzie pierwsza ekspedycja.

Był to trafny domysł i w ciągu dziesięciu minut wszystkie dostępne środki transportu opuściły miasteczko i sunęły rzadko używaną drogą na zachód. Jak przystało na burmistrza tak ważnego ośrodka życia kulturalnego, jakim było Palm Bay (ludność: 572; główne zajęcia: rybołówstwo, hydroponika; przemysł: brak), ojciec Lory przewodził kolumnie w służbowym samochodzie.

Niezbyt szczęśliwie się złożyło, że dopiero zbliżał się termin dorocznego malowania samochodu burmistrza i nie pozostawało nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że goście nie zauważą miejscami przeświecającego metalu. Poza tym samochód był całkiem nowy – Lora wciąż pamiętała podniecenie towarzyszące jego pojawieniu się ledwie przed trzynastu laty.

Skromna kawalkada wszelkiego rodzaju pojazdów, w tym nawet kilku sań mechanicznych, pędała ze wszystkich sił grzbietem wzgórza, by zatrzymać się przy wyblakłym znaku, "na którym widniały proste, lecz ważne słowa:

LĄDOWISKO PIERWSZEJ EKSPEDYJCJI NA THALASSE

1 STYCZNIA ROKU ZEROWEGO

(28 MAJA ROKU 2626 N.E.)

– Pierwszej ekspedycji – cicho powtórzyła Lora. – Drugiej nigdy nie było, ale oto jest...

Statek nadleciał tak nisko i cicho, że uzmysłowili sobie jego obecność dopiero wówczas, gdy znalazł się prawie bezpośrednio nad ich głowami. Nie słyszeli odgłosów pracy silników – jedynie szelest liści drzew, poruszanych podmuchem powietrza. Potem znowu zapanowała cisza, lecz Lorze zdawało się, że ze świecącego, jajowatego kształtu o srebrzystej powierzchni zaraz wykluje się coś nowego, obcego spokojnej planecie Thalassie.

– Ale to małe – wyszeptał ktoś za jej plecami. – Z Ziemi nie mogliby przylecieć czymś takim!

– Pewnie, że nie – odpowiedział zawsze obecny w takich wypadkach jakiś samorodny znawca. – To tylko łódź ratunkowa. Prawdziwy statek jest w Kosmosie. Nie pamiętasz, że pierwsza ekspedycja...

– Ćśś! – upomniał go inny głos. – Wychodzą!

Wszystko stało się w ciągu jednego uderzenia serca. Pozbawiona jakichkolwiek sppeń powierzchnia pojazdu była tak gładka i bez skazy, że wzrok na próżno szukał śladu otworu, a w chwilę potem uchylły się owalne drzwi i na ziemię opadł krótki trap. Nic się nie poruszyło, lecz coś się wydarzyło. Jak to się stało, Lora nie mogła sobie uzmysłowić, ale ten cud jej nie zaskoczył.. Należało się tego spodziewać po statku, który przybył z Ziemi.

W cieniu wejścia poruszało się kilka postaci; z tłumu czekających nie dochodził żaden dźwięk, gdy goście zaczęli się powoli ukazywać, mrużąc oczy nie przyzwyczajone do ostrego światła. Było ich siedmiu – sami mężczyźni, wcale nie przypominający superistot, które Lora spodziewała się ujrzeć. Co prawda przekraczali wzrostem przeciętność i mieli ostre rysy, ale ich biała skóra była prawie biała. Poza tym wydawali się zaniepokojeni i niepewni, co bardzo zdziwiło Lorę. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że to lądowanie na Thalassie mogło być przypadkowe i że goście są równie zaskoczeni, jak wyspiarze, którzy przyszli ich powitać.

W tej najważniejszej w swojej karierze chwili burmistrz Palm Bay wystąpił z tłumu, by wygłosić mowę, którą gorączkowo przygotowywał sobie od momentu wyjazdu z miasteczka. Już otwierał usta, gdy nagle wątpliwość wypełniła mu umysł pustką. Wszyscy automatycznie założyli, że statek przybył z Ziemi, ale to był tylko domysł. Równie dobrze mógł przylecieć z innych kolonii, których przynajmniej z tuzin znajdowało się znacznie bliżej niż macierzysta planeta. W panice spowodowanej obawą o naruszenie protokołu ojciec Lory zdobył się jedynie na kilka słów.

– Witamy na Thalassie – wrykrztusił. – Jesteście z Ziemi... jak sądzę?

Owo „jak sądzę?” miało uczynić burmistrza Fordyce'a nieśmiertelnym; dopiero po stu latach odkryto, że wyrażenie to nie jest całkiem oryginalne.

Jedyną osobą w tłumie, która nie usłyszała twierdzącej odpowiedzi, udzielonej angielszczyzną, jakby nieco przyspieszoną w ciągu wieków odosobnienia, była Lora. W tej samej chwili bowiem zobaczyła po raz pierwszy Lena.

Wyszedł ze statku i jak najdyskretniej przyłączył się do współtowarzyszy stojących na dole przy trapie. Może dlatego zszedł później, że musiał wyregulować aparaturę sterującą, a może, co wydawało się bardziej prawdopodobne, składał sprawozdanie wielkiemu statkowi-bazie, który wisiał gdzieś daleko poza granicami atmosfery. W każdym razie od tego czasu Lora widziała już tylko jego.

Nawet w tej pierwszej chwili wiedziała, że jej życie już nigdy nie będzie takie samo jak dotychczas. Było to coś zupełnie nowego, czego jeszcze nigdy nie przeżywała i co równocześnie ją zdumiewało i napawało lękiem. Obawiała się o swą miłość do Clyde'a, a dziwiło ją to coś nowego i nieznanego, co wkroczyło w jej życie.

Len nie dorównywał wzrostem swym towarzyszom, lecz był o wiele bardziej od nich krępy, co sprawiało wrażenie siły i pewności siebie. Jego pełne życia, bardzo ciemne oczy patrzyły z twarzy o kanciastych rysach, której nikt nie nazwałby przystojną, lecz która niepokojąco przyciągała Lorę. Oto miała przed sobą mężczyznę, który oglądał widoki, jakich nie mogła sobie wyobrazić, który być może chodził po ulicach na Ziemi i widział jej legendarne miasta. Co tu robi na samotnej Thalassie i skąd się wzięły te ślady napięcia i zmartwień wokół jego badawczych oczu?

Już raz na nią spojrzął, lecz wówczas jego wzrok tylko się po niej prześlizgnął; ale teraz, jak gdyby przypomniał sobie, powrócił i Len po raz pierwszy patrzył na nią tak świadomie, jak ona przez cały ten czas na niego. Zwarli się oczami, a ich spojrzenia utworzyły most nad dzielącą ich przepaścią czasu, przestrzeni i doświadczeń. Bruzdy niepokoju zniknęły z jego czoła, wygładziły się jego rysy i teraz się uśmiechał.

Zmierzało, kiedy skończyły się wszystkie przemówienia, bankiety, przyjęcia i wywiady. Len był bardzo zmęczony, lecz jego pobudzony umysł nie pozwalał mu zasnąć. Po napięciach ostatnich tygodni, kiedy wyrwany ze snu przeraźliwym dzwonkiem alarmu walczył wraz z kolegami o uratowanie uszkodzonego statku, nje chciało się wierzyć, że w końcu są bezpieczni. Co za nieprawdopodobne szczęście, że ta zamieszkana planeta znajdowała się tak blisko! Gdyby nawet nie udało się im naprawić statku i dokończyć dwóchsetletniego lotu, który mieli jeszcze przed sobą, tutaj mogli przynajmniej pozostać wśród przyjaciół. Żaden rozbitek na morzu czy w Kosmosie nie mógłby marzyć o niczym więcej'.

Noc była chłodna, spokojna i świeciła nie znanymi mu gwiazdami. Jednak odnalazł wśród nich kilka dobrych znajomych, choć odwieczne konstelacje beznadziejnie się zmieniły. Oto potężny Rigel, nic nie ciemniejszy mimo tych wszystkich dodatkowych lat świetlnych, które musi pokonać jego światło, zanim tu dotrze. A to powinien być olbrzym Kano-pus, leżący prawie na linii prowadzącej do ich celu, ale tak daleki, że nawet stąd nie był chyba jaśniejszy niż na ziemskim globie.

Len potrząsnął głową, jakby chciał z niej wyrzucić ogłupiający, hipnotyczny obraz bezmiaru Wszechświata.

– Zapomnij o gwiazdach – rzekł do siebie – i tak wkrótce będziesz miał z nimi do czynienia. Trzymaj się tej małej planety, skoro już tutaj jesteś, gdyby nawet była tylko pyłkiem na drodze między Ziemią, której już nigdy nie zobaczysz, a celem, czekającym na ciebie przy końcu podróży za dwieście lat.

Jego przyjaciele, zmęczeni i zadowoleni, już spali, do czego zresztą mieli prawo. Niedługo pójdzie w ich ślady, kiedy pozwoli mu na to

jego niespokojny duch. Lecz przedtem rozejrzy się trochę po tej planecie, na którą przywiódł go przypadek, po tej oazie w bezmiarze Kosmosu, zaludnionej jego współbraćmi.

Wszedł z długiego, jednopiętrowego domu gościnnego, który przygotowano dla nich ze zrozumiałym pośpiechem, i znalazł się na jedynej ulicy Palm Bay. W pobliżu nie było nikogo, choć z kilku domów dochodziły dźwięki sennej muzyki. Wyglądało na to, że mieszkańcy miasteczka lubili wcześniej chodzić spać lub też czuli się wyczerpani pełnym podniecenia dniem i własną gościnnością. Odpowiadało to Lenowi, który chciał być sam, dopóki nie ustanie gonitwa jego myśli.

W otaczającej go nocnej ciszy słyszał jedynie szept morza i odgłos swych kroków na pustej ulicy. Kiedy światła miasteczka pozostały za nim, znalazł się w ciemnościach wśród palm, ale mniejszy z dwóch księżyców Thalassy stał wysoko na południowym niebie i ze swym dziwnym, żółtawym blaskiem był mu wystarczającym przewodnikiem. Len przeszedł już wąski pas drzew i za stromo opadającą plażą dostrzegł ocean, który pokrywał prawie całą planetę.

Nad brzegiem wody stał rząd rybackich łodzi i Len ruszył w ich stronę, gdyż ciekawiło go, jak rzemieślnicy Thalassy rozwiązyali jeden z najstarszych problemów człowieka. Z aprobatą oglądał starannie wykonane plastikowe kadłuby, wąskie pływaki niewodów, windę z silnikiem do podnoszenia sieci, niewielki motor, radio z namiernikiem. Ta prawie prymitywna, jednak najzupełniej wystarczająca prostota wywarła na nim głębokie wrażenie; nie mógł wyobrazić sobie nic bardziej kontrastującego z labiryntami potężnego statku kosmicznego, który wisiał gdzieś tam w górze. Na chwilę oddał się marzeniom – jak przyjemnie byłoby zapomnieć o tych latach treningu i nauki, zamienić życie inżyniera--specjalisty od napędu statków międzygwiazdnych na spokojną, skromną egzystencję rybaka! Na pewno potrzebują kogoś, kto zatroszczyłby się o ich łodzie, a można by też pomyśleć o kilku usprawnieniach...

Wzruszywszy ramionami odsunął od siebie to przyjemne marzenie, nie trując się nawet, by wyrzucić zeń oczywiste iluzje, i ruszył wzdłuż przesuwającej się linii piany, gdzie fale wytracały do reszty swą siłę przy zetknięciu z lądem. Pod nogami miał resztki niemowlęcego życia tego młodego oceanu – puste muszle i skorupy, jakie mogły znajdować się na brzegach ziemskich mórz przed miliardem lat. Tutaj, na przykład, leżała ciasno skręcona, wapienna spirala, jaką z całą pewnością widział kiedyś w muzeum. Ostatecznie Natura po kolei na wszystkich planetach powtarzała formy, które już raz służyły do pewnych celów.

Bładożółty blask szybko rozlewał się po wschodnim niebie; Len dostrzegł ruch Selene, wewnętrznego księżyca Thalassy, jak wynurza się zza horyzontu. Ze zdumiewającą szybkością jego znajdująca się prawie w pełni tarcza wychynęła z oceanu, nagle zalewając plażę światłem.

I w tym nagłym wybuchu jasności Len zauważył, że nie jest sam.

Dziewczyna siedziała na jednej z łodzi, około pięćdziesięciu metrów dalej na plaży. Odwrócona tyłem do niego, patrzyła na morze, jak gdyby nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Len zawahał się, nie chcąc zakłócać jej samotności i nie będąc pewny miejscowych zwyczajów w tych sprawach. Było bardzo prawdopodobne, że o takiej porze i w takim miejscu czeka na kogoś, a zatem będzie bezpieczniej i taktowniej po cichu wrócić do miasteczka.

Jednak za późno się zdecydował. Jakby zaskoczona powodzią światła na plaży, dziewczyna rozejrzała się i od razu go zauważyła. Wstała z niespiesznym wdziękiem, nie okazując żadnego strachu ani zaniepokojenia. Gdyby Len dobrze widział jej twarz w świetle księżyca, zaskoczyłby go malujący się na niej wyraz skrywanego zadowolenia.

Jeszcze przed dwunastoma godzinami Lora by się oburzyła, gdyby ktoś jej powiedział, że spotka się z zupełnie obcym mężczyzną na tej samotnej plaży, kiedy pozostali mieszkańcy śpią. Nawet teraz mogłaby próbować usprawiedliwić swoje zachowanie i twierdzić, że czuła się nie najlepiej i nie mogła zasnąć, a zatem postanowiła się przejść. Lecz w głębi serca wiedziała, że to nieprawda – przez cały dzień prześladował ją obraz tego młodego inżyniera, którego imię i stanowisko udało się jej ustalić, z nadzieją, że nie wzbudza zbyt wielkiej ciekawości u swych znajomych.

Nie był to nawet szczęśliwy zbieg okoliczności, że zauważyła, jak wychodził z domu gościnnego. Przez cały wieczór stała na ganku znajdującej się po drugiej stronie ulicy rezydencji swego ojca i obserwowała. I to nie wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, lecz dzięki świadomemu i dokładnemu planowaniu znalazła się akurat w tym miejscu na plaży, kiedy miała pewność, że Len zmierza właśnie w tę stronę.

Zatrzymał się o parę kroków przed nią. (Czy ją poznał? Czy domyślił się, że to nie przypadek? Na chwilę nieomal opuściła ją odwaga, lecz było za późno, żeby się wycofać.) I wtedy uśmiechnął się dziwnie i trochę krzywo, co zdawało się rozjaśniać mu twarz i sprawiło, że wyglądał młodziej niż w rzeczywistości.

– Dobry wieczór – powiedział. – Nie spodziewałem się zastać tu kogokolwiek o tej porze. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Oczywiście, że nie – odparła Lora, starając się ze wszystkich sił, by głos jej brzmiał pewnie i obojętnie.

– Wiesz, jestem ze statku. Pomyślałem sobie, że trzeba trochę się rozejrzeć po Thalassie, póki tu jestem.

Przy tych ostatnich słowach wyraz twarzy Lory nagle się zmienił – Lena zaskoczył smutek, którego nie uzasadniało. I wtedy momentalnie doznał wstrząsu, poznał ją bowiem; przypomniał sobie, że już przedtem ją widział i domyślił się, co tutaj robi. To właśnie ta dziewczyna uśmiechała się doń, kiedy wyszedł ze statku – nie, to nie tak, pierwszy uśmiechnął się on...

Zdawało się, że słowa są niepotrzebne. Patrzyli na siebie ponad zmarszczonym piaskiem plaży, dziwiąc się, że w tak cudowny sposób doszło do ich spotkania w nieskończoności czasu i przestrzeni. Potem, jakby kierowani podświadomym porozumieniem, usiedli naprzeciw siebie na burcie łodzi, wciąż bez słowa.

To czyste szaleństwo, pomyślał Len. Co ja tu robię? Jakim prawem ja, wędrowiec, który przelotem znalazł się na tej planecie, wtrącam się do życia jej mieszkańców? Powiniennem przeprosić tę dziewczynę i odejść, pozostawiając ją plaży i morzu, do których ona ma prawo od urodzenia, a nie ja.

Nie odszedł jednak. Jasna tarcza Selene już na pół dłoni unosiła się nad morzem, kiedy w końcu się odezwał.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Lora – odparła miękko, śpiewnym akcentem wyspiarzy, który był tak miły dla ucha, lecz nie zawsze łatwy do zrozumienia.

– A ja jestem Len Carrell, drugi inżynier napędu statku międzygwiazdowego Magellan.

Z lekka się uśmiechnęła, kiedy się przedstawił, co go upewniło, że już знаła jego imię. I w tej samej chwili przemknęła mu przez głowę całkiem niedorzeczna i dziwna myśl: jeszcze przed kilkoma minutami padał ze zmęczenia i miał już wracać, by udać się na zaległy odpoczynek i zasnąć; jednakże teraz był zupełnie trzeźwy i rześki – jakby w oczekiwaniu nowej, niemożliwej do przewidzenia przygody.

Lecz pytanie Lory dało się przewidzieć.

– Jak ci się podoba Thalassa?

– Daj mi trochę czasu – odparł. – Widziałem jedynie Palm Bay i to też niedokładnie.

– Czy... długo tu zostanieie?

Zawiesiła głos prawie niezauważalnie, lecz jego ucho to wychwyciło. A zatem to była ta naprawdę istotna sprawa.

– Nie jestem pewien – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Wszystko zależy, ile potrwa naprawa.

– A co się stało?

– Och, po prostu uderzyliśmy w coś za dużego dla naszej osłony przed meteorytami. Usłyszeliśmy potężne buch! i po niej. Musimy więc zrobić nową.

– Uważasz, że możecie ją zrobić tutaj?

– Mamy taką nadzieję. Najważniejszy problem to przetransportowanie na Magellana około miliona ton wody. Na szczęście Thalassa ma jej mnóstwo.

– Wody? Nie rozumiem.

– Hm, wiesz chyba, że statek międzygwiazdny porusza się prawie z prędkością światła, a mimo to trzeba lat, żeby dokądkolwiek dotrzeć. Musimy zatem poddawać się hibernacji, pozostawiając sterowanie statkiem automatom.

– Oczywiście – przytaknęła Lora – w ten sposób dotarli tu nasi przodkowie.

– Cóż, szybkość taka nie stwarzałaby kłopotów, gdyby Kosmos był naprawdę pusty – ale nie jest. W każdej sekundzie lotu statek zderza się z tysiącami atomów wodoru, z pyłem kosmicznym, a czasem z czymś większym. Przy szybkości podświetlonej, te kawałki kosmicznych odpadków mają ogromną energię i mogłyby szybko spalić statek. Dlatego wieziemy przed sobą osłonę w odległości półtora kilometra i to ona się spala zamiast nas. Czy macie parasolki na tej planecie?

– Ależ oczywiście – odpowiedziała Lora, najwyraźniej zaskoczona tak absurdalnym pytaniem.



– A zatem możesz porównać statek międzygwiazdny do człowieka, który z pochyloną głową idzie w czasie ulewy pod osłoną parasola. Deszcz to pył kosmiczny w przestrzeni międzygwiazdnej, a nasz statek pechowo stracił swój parasol.

– I nowy możecie zrobić z wody?

– Tak, to najtańszy materiał budowlany we Wszechświecie. Zamrażamy ją i podróżuje przed nami w formie góry lodowej. Czy może być coś prostszego?

Lora nie odpowiedziała; jej myśli zdawały się biec innym torem. Teraz odezwała się tak cichym i pełnym zadumy głosem, że Len musiał się pochylić, by usłyszeć jej słowa, zagłuszone szumem przyboju.

– Opuściliście Ziemię sto lat temu.

– Sto cztery. Mamy oczywiście wrażenie, że to zaledwie kilka tygodni, ponieważ spaliliśmy głęboko do chwili, gdy obudził nas pilot automatyczny. Wszyscy koloniści są wciąż jeszcze w stanie hibernacji i nawet nie mają pojęcia, że coś się wydarzyło.

– A potem wy przyłączycie się do nich i prześpicie całą waszą drogę do gwiazd.

Len skinął głową, unikając jej wzroku.

– Nasze lądowanie na wyznaczonej planecie opóźni się o parę miesięcy, ale cóż to znaczy wobec podróży trwającej trzysta lat?

Lora wskazała na wyspę za ich plecami, a potem na bezbrzeżne morze przed nimi.

– To dziwne tak sobie pomyśleć, że twoi śpiący przyjaciele tam wr gorze nigdy nie po mają tego wszystkiego. Współczuję im.

– Tak, tylko my, około pięćdziesięciu inżynierów, zachowamy jakieś wspomnienia z Thalassy. Dla wszystkich pozostałych, którzy są na statku,

i

nasz przystanek będzie jedynie stuletnim zapisem w dzienniku pokładowym.

Popatrzył na twarz Lory i znów dojrzał w jej oczach smutek.

– Co cię tak martwi?

Pokręciła głową, niezdolna odpowiedzieć. Jakże wyrazić poczucie osamotnienia, które wywołały w niej słowa Lena? Życie ludzi, z ich wszystkimi nadziejami i obawami, tak mało znaczyło wobec niewyobrażalnego bezmiaru, któremu oni ośmielili się rzucić wyzwanie. Na myśl o tej trzechsetletniej, jeszcze nie zakończonej podróży, ogarnęło ją przerażenie. A przecież w jej żyłach płynęła krew dawnych pionierów, którzy przed wiekami odbyli tę samą drogę na Thalassę.

Noc przestała być przyjazna; Lora nagle zatęskniła za swym domem i rodziną, za swoim małym pokoikiem, w którym trzymała wszystko, co posiadała, i który był całym znanym jej i potrzebnym światem. Chłód Kosmosu mroził jej serce; pragnęła teraz, by nigdy nie doszło do tej szalonej przygody. Powinna odejść, nie tylko dlatego, że jest późno.

Wstając zauważyła, że siedzieli na łodzi Clyde'a, i zastanowiło ją, co za podświadomy impuls kazał jej wybrać właśnie ją spośród całej niewielkiej flotylli stojącej rzędem na plaży. Na myśl o Clydzie opanowała ją niepewność, a nawet poczucie winy. Nigdy w życiu, poza krótkimi chwilkami, nie myślała o innym mężczyźnie oprócz niego. Teraz już nie może powiedzieć, że to prawda.

– Co się stało? – spytał Len. – Czy ci zimno?

Wyciągnął do niej rękę i po raz pierwszy ich palce się spotkały, kiedy machinalnie uczyniła to samo. Lecz w chwili zetknięcia Lora spłoszyła się jak przerażone zwierzę i gwałtownie cofnęła rękę.

– Nic mi nie jest – odparła prawie ze złością. – Już późno... Muszę iść do domu. Do widzenia.

Jej nagła reakcja zaskoczyła Lena. Zastanawiał się, czy jej czymś nie uraził. Już odchodziła szybkim krokiem, kiedy zawołał:

– Czy jeszcze się zobaczymy?

Jeśli odpowiedziała, jej słowa zagłuszył szum fal. Patrzył za odchodzącą Lorą zakłopotany i nieco urażony, nie po raz pierwszy w życiu myśląc, jak trudno zrozumieć kobietę.

Przez chwilę chciał pójść za nią i powtórzyć pytanie, ale w głębi serca wiedział, że to niepotrzebne. Ich ponowne spotkanie było tak pewne jak to, że jutro rano wstanie słońce.

Teraz życie na wyspie zdominowały sprawy kalekiego olbrzyma, wiszącego w7 Kosmosie w odległości półtora tysiąca kilometrów. Przed świtem i po zachodzie słońca, gdy na planecie panował mrok, ale w górze jaśniało światło słoneczne, Magellan jawił się jak błyszcząca gwiazda – najjaśniejszy obiekt na niebie poza dwoma księżycami. Lecz jeśli nawet

13 –Spotkanie..

nie można było go zobaczyć – kiedy ginął w blasku dnia czy w cieniu Thalassy – ludzie nie przestawali o nim myśleć.

Trudno uwierzyć, że nie spało tylko pięćdziesięciu członków załogi statku gwiazdowego i że nawet niespełna połowa z nich przez cały czas znajdowała się na Thalassie. Zdawało się, że wszędzie ich pełno – w niewielkich grupkach, po dwóch czy trzech, szybko maszerowali w jakichś tajemniczych sprawach lub jeździli małymi skuterami antygravitacyjnymi, które unosiły się na niedużej wysokości nad ziemią tak cicho, że życie w miasteczku stało się dość niebezpieczne. Mimo usilnych zaproszeń goście wciąż odmawiali udziału w organizowanych na wyspie imprezach kulturalnych i towarzyskich. Tłumaczyli grzecznie, lecz stanowczo, że dopóki nie zapewnią bezpieczeństwa statkowi, dopóty nie znajdą czasu na jakiegokolwiek inne zainteresowania. Później, oczywiście tak, ale nie teraz...

Thalassa musiała zatem czekać, 'poddając próbie swą cierpliwość, Ziemianie zaś rozstawiali instrumenty, dokonywali pomiarów, głęboko wwiercali się w skały wyspy i robili dziesiątki doświadczeń, które na pozór nie miały nic wspólnego z ich kłopotami. Czasami prowadzili krótkie konsultacje z miejscowymi uczonymi, ale na ogół przebywali we własnym gronie. Nie z powodu wrogości czy rezerwy – po prostu pracowali tak wściekle i z takim poświęceniem, że prawie nikogo wokół siebie nie zauważali.

Minęły dwa dni od pierwszego spotkania, zanim ponownie doszło do rozmowy między Lorą a Lenem. Widywała go od czasu do czasu śpieszącego przez miasteczko, zazwyczaj z pękatą teczką i zamyślnego, ale mogli wymienić zaledwie króciutkie uśmiechy. Lecz i to wystarczyło, by wprowadzić niepokój do jej uczuć, zburzyć spokój ducha i zatruć stosunki z Clyde'em.

Jak daleko sięgała pamięcią wstecz, zawsze był częścią jej życia; czasem się kłócili i nie zgadzali ze sobą, ale nikt nie mógł z nim konkurować o miejsce w jej sercu. Za kilka miesięcy mieli wziąć ślub, lecz teraz nie była pewna tego, jeśli w ogóle była czegoś pewna.

„Zaślepienie" jest brzydkim słowem, którego używa się w stosunku do innych. Ale jakże inaczej wytłumaczyć to pragnienie bycia z mężczyzną, który znikąd tak nagle pojawił się w jej życiu i który znów musi wyjechać za kilka dni czy tygodni? Niewątpliwie częściowo wynikało to z uroku i romantyczności jego pochodzenia, lecz samo to nie wystarczyło, by aż tak nią wstrząsnąć. Byli przecież inni Ziemianie, nawet przystojniejsi od niego, jednak widziała tylko jego, a jej życie zdawało się puste, kiedy nie było go w pobliżu.

Pod koniec pierwszego dnia tylko jej rodzina zdawała sobie sprawę ze stanu jej uczuć, ale kiedy mijał drugi dzień, każda napotkana osoba uśmiechała się do niej ze zrozumieniem. Nie sposób utrzymać coś w tajem-

nicy w tak zwartej i rozmownej grupie, jaką tworzyli mieszkańcy Palm Bay, a Lora, dobrze o tym wiedząc, nawet nie próbowała tego skrywać. Do jej drugiego spotkania z Lenem doszło przypadkowo – o ile cokolwiek w tych sprawach jest przypadkiem. Pomagała ojcu odpowiadać na listy i pytania napływające do miasteczka nieprzerwanymi potokami od czasu przybycia Ziemian i akurat próbowała uporządkować swoje notatki, gdy otworzyły się drzwi biura. W ciągu ostatnich kilku dni otwierały się tak często, że przestała patrzeć, kto wchodzi; interesantami zajmowała się jej młodsza siostra. Wtem usłyszała głos Lena i tekst rozmazał się jej przed oczami, jakby napisano go w jakimś nieznanym języku.

– Czy mógłbym zobaczyć się z burmistrzem?

– Oczywiście, panie...?

– Drugi inżynier Carrell.

– Już po niego idę. Zechce pan spocząć.

Zmęczony Len ciężko usiał w antycznym fotelu, najwygodniejszym, jaki w sali recepcyjnej oddano do dyspozycji rzadkim interesantom, i dopiero wtedy zauważył, że z drugiej strony sali w milczeniu obserwuje go Lora. Natychmiast opadło zeń zmęczenie i skoczył na równe nogi.

– Dzień dobry... Nie wiedziałem, że tu pracujesz.

– Mieszkam tu. Burmistrz jest moim ojcem.

Informacja ta zdawała się nie robić na nim stosownego wrażenia. Podszedł do biurka Lory i podniósł opasły tom, który czytała dla przyjemności w przerwach między wykonywaniem obowiązków sekretarki.

– Krótka historia Ziemi – przeczytał na głos – od zarania cywilizacji do pierwszych lotów międzygwiazdnych. I to wszystko na tysiącu stron! Szkoda, że kończy się trzysta lat temu.

– Mamy nadzieję, że ją uaktualnicie. Ile wydarzyło się w tym czasie?

– Przypuszczam, że wystarczyłoby tego dla pięćdziesięciu bibliotek. Ale zanim was opuścimy, zostawimy wam odpisy wszystkich naszych kronik i będziecie opóźnieni jedynie o sto lat.

Krążyli wokół siebie, unikając najważniejszego pytania: Kiedy znów się spotkamy? Nie dawało ono spokoju Lorze, ale nie mogło jej przejść przez usta. Czy on naprawdę mnie lubi, a może tylko rozmawia z uprzejmości?

Otworzyły się drzwi gabinetu, ukazując burmistrza z przepaszającym wyrazem na twarzy.

– Przykro mi, że musiał pan czekać, panie Carrell, ale miałem rozmowę z prezydentem. Przyjeżdża dziś po południu. Czym mogę panu służyć?

Lora udawała, że pracuje, ale przepisywała jedno zdanie osiem razy, Len zaś przekazywał w tym czasie wiadomość od dowódcy Magellana.

Lora nie była o wiele mądrzejsza, kiedy skończył, lecz chyba inżynierowie ze statku gwiazdowego chcieli coś zbudować na cyplu o półtora kilometra od miasteczka i pragnęli się upewnić, czy nikt nie ma nic przeciwko temu.

– Ależ proszę bardzo! – rzekł burmistrz Fordyce tonem „wszystko dla naszych gości”. – Możecie zaczynać natychmiast, ten teren do nikogo nie należy i nikt tam nie mieszka. Co chcecie tam robić?

– Pragniemy zbudować neutralizator grawitacji, a generator musi stać na mocnym podłożu skalnym. Po uruchomieniu może trochę hałasować, ale nie sądzę, by wam tu, w miasteczku, zbyt przeszkadzał. No i oczywiście wszystko usuniemy, kiedy skończymy.

Lora musiała podziwiać swego ojca. Doskonale wiedziała, że to, co powiedział Len, tak samo nic nie mówiło ojcu, jak jej, lecz nikomu nie przyszłoby to do głowy.

– To doskonale. Cieszę się, że mogę wam w czymś pomóc. Zechce pan poinformować kapitana Golda, że prezydent przyjeżdża o piątej po południu? Wyślę po kapitana swój samochód. Przyjęcie rozpoczyna się o piątej trzydzieści w ratuszu.

Kiedy Len podziękował i opuścił biuro, burmistrz Fordyce podszedł do swej córki i wziął cienki plik korespondencji, którą zdążyła niezbyt dobrze przepisać na maszynie.

– Wygląda na miłego, młodego człowieka – rzekł – ale nie uważasz, że to przesada aż tak bardzo go lubić?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Ależ, Loro! Ostatecznie jestem twoim ojcem i jeszcze nie zupełnie ślepy.

– On ani trochę – pociągnęła nosem – się mną nie interesuje.

– A ty nim?

– Nie wiem. Och, tatusiu, jestem taka nieszczęśliwa! Burmistrz nie należał do odważnych, więc mógł zrobić tylko jedno – podał jej chusteczkę do nosa i uciekł do swego gabinetu.

To natrudniejsza ze spraw, przed jakimi stanął w swym życiu Clyde, a nie znał precedensów, które mogłyby mu pomóc. Lora należała do niego i wszyscy o tym wiedzieli. Gdyby jego rywalem był jakiś mieszkaniec miasteczka albo ktoś z innego rejonu Thalassy, Clyde doskonale by wiedział, co

zrobić. Jednak prawo gościnności, a przede wszystkim naturalna obawa przed tym, co pochodziło z Ziemi, nie pozwalały mu bezpośrednio poprosić Lenę, by swe zainteresowanie skierował na kogo innego. Nie po raz pierwszy powstała taka sytuacja i nigdy nie miał z tym najmniejszego kłopotu – być może z powodu swych ponad stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, proporcjonalnej budowy i braku tłuszczu przy niespełna dziewięćdziesięciu kilogramach wagi.

i

Podczas długich godzin spędzonych na morzu, kiedy poza rozmyślaniami nie miał nic innego do roboty, Clyde zastanawiał się, czy nie załatwić sprawy z Leną ostro i krótko. Właściwie bardzo krótko; choć Len nie był tak chudy, jak pozostali Ziemianie, jednak jego bladeść i wycieńczenie wskazywały, że nie stanowił żadnego partnera do męskich rozmów dla kogoś, kto prowadził życie pełne fizycznej aktywności. Kłopot polegał na tym, że byłoby to nieuczciwe. Clyde wiedział, jak bardzo wzburzyłby opinię publiczną bijąc się z Leną, nawet z uzasadnionych powodów.

A jakie miał uzasadnione powody? To właśnie ten wulki problem, który martwił Clyde'a tak samo jak parę miliardów mężczyzn przed nim. Wyglądało, że Lena uznano już prawie za członka rodziny burmistrza; kiedy tylko Clyde zjawiał się w jego domu, ten Ziemianin zdawał się zawsze tam przebywać pod takim czy innym pretekstem. Zazdrość należała do uczuć, których dotąd Clyde jeszcze nie przeżywał i jej objawy wcale nie sprawiały mu przyjemności.

Wciąż jeszcze był wściekły o zabawę taneczną. Była to największa impreza towarzyska od lat; chyba naprawdę nigdy nie będzie większej w całej historii Palm Bay. Prawdopodobnie już nie uda się gościć prezydenta, połowy Rady i pięćdziesięciu Ziemian równocześnie.

Mimo swego wzrostu i siły Clyde bardzo dobrze tańczył, szczególnie z Lorą. Lecz tego wieczoru miał niewiele okazji, by zademonstrować swoje umiejętności: Len przez cały czas pokazywał najnowsze kroki z Ziemi (najnowsze, jeśli pominąć fakt, że wyszły z mody przed stu laty – chyba że znów stały się modne). Zdaniem Clyde'a, technika Lena prezentowała się nienadzwyczajnie, a tańce, które pokazywał, były brzydkie, Lora zaś ze swym zainteresowaniem nimi okazała się zupełnie śmieszna.

Uczył niemiędrze mówiąc jej o tym, kiedy nadarzyła się okazja, i wówczas po raz ostatni tańczył z Lorą tego wieczoru. Potem przestał dla niej istnieć. Clyde znosił ten bojkot tak długo, jak tylko mógł, by ostatecznie udać się do baru w określonym celu. Bardzo szybko go osiągnął i dopiero następnego dnia rano, kiedy odzyskał przytomność, uświadomił sobie, co stracił.

Tańce skończyły się wcześniej, a potem prezydent wygłosił krótkie przemówienie, trzecie tego wieczoru, przedstawiając dowódcę statku gwiazdowego i zapowiadając małą niespodziankę. Kapitan Gold również się streszczał; należał do osób bardziej przyzwyczajonych wydawać rozkazy niż wygłaszać mowy.

– Przyjaciele – zaczął – wiecie, dlaczego tu jesteśmy, i chyba nie trzeba wam mówić, jak bardzo cenimy sobie waszą gościnność i uprzejmość. Nigdy was nie zapomnimy i bardzo żałujemy, że tak mało czasu mamy na zwiedzenie waszej pięknej wyspy i lepsze poznanie jej mieszkań-

Podczas długich godzin spędzonych na morzu, kiedy poza rozmyślaniami nie miał nic innego do roboty, Clyde zastanawiał się, czy nie załatwić sprawy z Leną ostro i krótko. Właściwie bardzo krótko; choć Len nie był tak chudy, jak pozostali Ziemianie, jednak jego bladeść i wycieńczenie wskazywały, że nie stanowił żadnego partnera do męskich rozmów dla kogoś, kto prowadził życie pełne fizycznej aktywności. Kłopot polegał na tym, że byłoby to nieuczciwe. Clyde wiedział, jak bardzo wzburzyłby opinię publiczną bijąc się z Leną, nawet z uzasadnionych powodów.

A jakie miał uzasadnione powody? To właśnie ten wulki problem, który martwił Clyde'a tak samo jak parę miliardów mężczyzn przed nim. Wyglądało, że Lena uznano już prawie za członka rodziny burmistrza; kiedy tylko Clyde zjawiał się w jego domu, ten Ziemianin zdawał się zawsze tam przebywać pod takim czy innym pretekstem. Zazdrość należała do uczuć, których dotąd Clyde jeszcze nie przeżywał i jej objawy wcale nie sprawiały mu przyjemności.

Wciąż jeszcze był wściekły o zabawę taneczną. Była to największa impreza towarzyska od lat; chyba naprawdę nigdy nie będzie większej w całej historii Palm Bay. Prawdopodobnie już nie uda się gościć prezydenta, połowy Rady i pięćdziesięciu Ziemian równocześnie.

Mimo swego wzrostu i siły Clyde bardzo dobrze tańczył, szczególnie z Lorą. Lecz tego wieczoru miał niewiele okazji, by zademonstrować swoje umiejętności: Len przez cały czas pokazywał najnowsze kroki z Ziemi (najnowsze, jeśli pominąć fakt, że wyszły z mody przed stu laty – chyba że znów stały się modne). Zdaniem Clyde'a, technika Lena prezentowała się nienadzwyczajnie, a tańce, które pokazywał, były brzydkie, Lora zaś ze swym zainteresowaniem nimi okazała się zupełnie śmieszna.

Uczył niemiędrze mówiąc jej o tym, kiedy nadarzyła się okazja, i wówczas po raz ostatni tańczył z Lorą tego wieczoru. Potem przestał dla niej istnieć. Clyde znosił ten bojkot tak długo, jak tylko mógł, by ostatecznie udać się do baru w określonym celu. Bardzo szybko go osiągnął i dopiero następnego dnia rano, kiedy odzyskał przytomność, uświadomił sobie, co stracił.

Tańce skończyły się wcześniej, a potem prezydent wygłosił krótkie przemówienie, trzecie tego wieczoru, przedstawiając dowódcę statku gwiazdowego i zapowiadając małą niespodziankę. Kapitan Gold również się streszczał; należał do osób bardziej przyzwyczajonych wydawać rozkazy niż wygłaszać mowy.

– Przyjaciele – zaczął – wiecie, dlaczego tu jesteśmy, i chyba nie trzeba wam mówić, jak bardzo cenimy sobie waszą gościnność i uprzejmość. Nigdy was nie zapomnimy i bardzo żałujemy, że tak mało czasu mamy na zwiedzenie waszej pięknej wyspy i lepsze poznanie jej mieszkań-

Muzyka ucichła, rozplywając się w ciemności; z zamglonymi oczami mieszkańcy Thalassy powoli rozchodzili się do domów, unikając słów. Na miejscu pozostała jedynie Lora; przed samotnością, która przeszywała ją do głębi, mogła bronić się tylko w jeden sposób. I teraz właśnie go znalazła w nocnym ciepłe lasu, kiedy Len objął ją ramionami i połączyły się ich dusze i ciała. Jak zagubieni we wrociej, bezludnej pustce wędrowcy szukali ciepła i pociechy w ogniu miłości. Kiedy ogień ten płonął, nie groziły im cienie czające się w ciemnościach nocy, a cały Wszechświat ze swymi gwiazdami i planetami skurczył się do rozmiarów zabawki, którą mogli wziąć w rękę.

Dla Lena wszystko to nigdy nie było całkiem rzeczywiste. Choć sprowadziła go tutaj awaria i związane z nią niebezpieczeństwo, miał wrażenie, że kiedy podróż się skończy, trudno mu będzie przekonać samego siebie, że Thalassa nie jest wyłącznie marzeniem, które pojawiło się w czasie długiego snu. Na przykład ta gorąca i skazana z góry na niepowodzenie miłość; nie chciał jej – po prostu spadła na niego. Pomyślał jednak, że niewielu mężczyzn by jej nie przyjęło, gdyby po tygodniach dokuczliwych pragnień wylądowali jak on na tej spokojnej, tak miłej planecie.

Kiedy mógł wyrwać się z pracy, odbywał z Lorą długie spacerunki polami, z dala od miasteczka, gdzie ludzie rzadko przebywali, a samotność zakłócały jedynie roboty-kultywatory. Lora godzinami wypytywała o Ziemię, lecz nigdy nie wspominała o planecie, do której zmierzał Magellan. Len dobrze ją rozumiał i jak tylko mógł zaspokajał jej niewyczerpaną ciekawość świata, który dotychczas był domem większej liczby ludzi niż kiedykolwiek udało im się obojgu łącznie zobaczyć.

Lora gorzko się rozczarowała, słysząc, że minęła już epoka miast. Chociaż Len opowiedział jej wszystko, co mógł, o zupełnie zdecentralizowanej kulturze, która teraz obejmowała całą planetę od bieguna do bieguna, wciąż myślała o Ziemi w kategoriach takich nie istniejących już gigantów, jak Chandrigar, Londyn, Astrograd czy Nowy Jork, i nie mogła uzmysłwić sobie, że już zniknęły na zawsze, a wraz z nimi charakterystyczny dla nich tryb życia.

– Kiedy opuszczaliśmy Ziemię – wyjaśniał Len – największymi skupiskami ludności były miasta uniwersyteckie, na przykład Oxford, Ann Arbor czy Canberra. Niektóre z nich miały pięćdziesiąt tysięcy studentów i profesorów. Nie ma żadnych innych miast nawet w połowie tak dużych.

– Alecośznimistało?

– Och, nie było jakiejś jednej przyczyny, a wszystko zaczęło się od rozwoju łączności. Kiedy już każdy mieszkaniec Ziemi mógł po naciśnięciu guzika zobaczyć dowolnie wybraną osobę i rozmawiać z nią,

miasta w przeważającej mierze straciły rację bytu. Potem wynaleziono antygravitację i to pozwoliło przenosić towary, domy i co tylko kto chciał, bez względu na odległość. Wynalazek ten ukoronował wysiłki zmierzające do rozwiązania problemu pokonywania dystansu, których pierwszym efektem było zbudowanie samolotu parę wieków wcześniej. Potem ludzie zaczęli mieszkać, gdzie im się spodobało, i miasta zanikły.

Lora przez chwilę nic nie mówiła; leżała na trawie, obserwując pszczołę, której przodkowie, jak jej samej, byli obywatelami Ziemi. Na próżno próbowała zebrać nektar z jakiegoś rodzimego kwiatu Thalassy: świat owadów jeszcze nie powstał na tej planecie i tych kilka miejscowych kwiatów nie zdążyło rozwinąć w sobie cech przyciągających napowietrznych gości.

Zawiedziona pszczoła zrezygnowała z beznadziejnego zadania i odleciała, brzęcząc ze złości. Lora miała nadzieję, że owad będzie miał dość rozumu, by wrócić do ogrodów, w których znajdzie chętniejsze do współpracy kwiaty. Kiedy Lora odezwała się ponownie, wspomniała o marzeniu, które nie dawało spokoju ludzkości od prawie tysiąca lat.

– Czy sądzisz – rzekła w zadumie – że kiedykolwiek uda się przekroczyć prędkość światła?

Len uśmiechnął się, wiedząc, do czego zmierzała. Podróżować szybciej od światła – polecieć do domu na Ziemię, a potem wrócić i zastać przyjaciół jeszcze żyjących – każdy kolonista musiał od czasu do czasu o tym marzyć. Żaden problem w całej historii rodzaju ludzkiego nie wymagał tyle wysiłku i nie był tak oporny jak ten.

– Nie wierzę w to – odparł. – Jeśli byłoby to możliwe, ktoś już by na to wpadł. Nie, dalej musimy poruszać się tak wolno, bo nie ma na to sposobu. Tak właśnie zbudowany jest Wszechświat i nic na to nie poradzimy.

– Ale mimo to na pewno możemy pozostawać w kontakcie! Len skinął głową.

– To prawda – rzekł – i próbujemy. Nie wTiem, co się stało, ale już dawno powinniście mieć wiadomości z Ziemi. Do wszystkich kolonii wysyłaliśmy roboty z informacjami o tym, co się wydarzyło od czasu opuszczenia Ziemi przez kolonistów i z prośbą o sprawozdania. Kiedy jakaś wiadomość dociera do Ziemi, powiela się ją i rozsyła kurierami. Mamy więc rodzaj międzygwiazdnej służby informacyjnej, której centralą jest Ziemia. Oczywiście funkcjonuje wolno, ale inaczej nie da się tego robić. Jeśli ostatni kurier wysłany na Thalassę zaginął, następny musi być w drodze, w odległości kilkunastu, dwudziestu czy trzydziestu lat.

Lora próbowała wyobrazić sobie ogromną, obejmującą gwiazdy sieć kurierów, poruszających się ruchem wahadłowym tam i z powrotem między Ziemią a jej rozproszonymi dziećmi, i zastanawiała się, dlaczego przeoczono Thalassę. Jednak z Lenem u boku wszystko to wydawało się mało ważne. On był tutaj a Ziemia i gwiazdy bardzo daleko. Równie odległa jawiła się jej przyszłość, bez względu na nieszczęścia, jakie mogła przynieść...

Do końca tygodnia na skalistym nadmorskim cyplu goście zbudowali przysadzistą, mocną piramidę z metalowych szyn, mieszczącą jakieś nieokreślone urządzenia, Lora obserwowała pierwszą próbę wspólnie z pozostałymi mieszkańcami Palm Bay w liczbie 571 i kilkoma tysiącami turystów, którzy zjechali do miasteczka. Nikomu nie pozwolono podejść do piramidy bliżej niż na czterysta metrów – co poważnie zaniepokoiło bardziej nerwowych wyspiarzy. Czy Ziemianie wiedzą, co robią? Przypuśćmy, że coś nawali. A w ogóle, co oni tam właściwie robią?

Len ze swymi towarzyszami znajdował się wewnątrz metalowej piramidy, dokonując ostatnich przygotowań – nazwał to „wstępnym ogniskowaniem”, co i tak nic nie mówiło Lorze. Patrzyła z takim samym nerwowym niezrozumieniem jak pozostali wyspiarze, póki w oddali nie ukazały się postacie wychodzących z maszyny Ziemian i nie podeszły do skraju płaskiego szczytu skały, na której ją umieszczono. Stali tam niewielką, odcinającą się na tle oceanu grupką, patrząc na wodę.

W odległości półtora kilometra od brzegu z wodą działo się coś dziwnego. Wyglądało to, jak gdyby zaczynał się sztorm, lecz sztorm ten obejmował jedynie powierzchnię o średnicy kilkuset metrów.

Wznosiły się ogromne fale, uderzały o siebie i szybko znów opadały. W ciągu kilku minut falowanie dotarło do brzegu, lecz środek niewielkiego sztormu pozostał bez ruchu. Lora pomyślała, że sprawiało to wrażenie, jakby niewidzialnym palcem ktoś zamieszał morze.

Nagle cały obraz się zmienił. Teraz fale już nie uderzały o siebie – utworzyły coraz szybciej obracające się, ciasne koło. Z morza wznosił się stożek wody, z każdą sekundą coraz wyższy i cieńszy. Już miał trzydzieści metrów wysokości, a towarzyszący jego narodzinom dźwięk zabrzmiał w powietrzu wściekłym rykiem, napełniającym trwogą serca tych wszystkich, którzy go słyszeli. Wszystkich, poza niewielką grupką mężczyzn, którzy wywołali tego potwora z głębi oceanu i wciąż go obserwowali z pełną spokojną pewnością siebie, nie zwracając uwagi na fale łamiące się prawie u ich stóp.

Teraz wirująca wieża wody szybko unosiła się w niebo, przebijając chmury jak strzała w drodze ku Kosmosowi. Jej pokryty pianą szczyt już zginął z oczu, a z nieba lunęła solidna ulewa; krople deszczu były niezwykle duże jak tuż przed burzą z piorunami. Unoszona z jedyne go oceanu Thalassy woda nie docierała do swego odległego celu w całości; część jej wymykała się potężnej sile i na granicy Kosmosu opadała z powrotem.

Z wolna tłum patrzących się rozchodził; zdumienie i trwoga ustąpiły miejsca spokojnej akceptacji. Człowiek od pięciuset lat panował nad grawitacją i ta sztuczka, choć niewątpliwie bardzo widowiskowa, nie mogła

nawet równać się z cudem wprawiania w ruch statku międzygwiazdowego, który leci między słońcami z szybkością tylko nieco mniejszą od prędkości światła.

Ziemiańcy wracali teraz do swej maszyny, wyraźnie zadowoleni z uzyskanego efektu. Nawet z tej odległości widać było, że są szczęśliwi i rozluźnieni – chyba po raz pierwszy od swego przybycia na Thalassę. Woda, potrzebna do odbudowania tarczy ochronnej Magellana, znajdowała się teraz w drodze w Kosmos, gdzie ją ukształtują i zamrożą inne dziwne moce, które służyły tym ludziom. Za kilka dni będą gotowi do odlotu swą zupełnie jak nową, międzygwiazdową arką.

Aż do tej chwili Lora miała nadzieję, że może im się nie uda. Obecnie z nadziei tej nic nie pozostało, kiedy patrzyła na stworzoną przez człowieka trąbę wodną, która unosiła swe brzemień z morza, chwiejąc się czasem, gdy jej podstawa przesuwała się w tę i z powrotem, jakby chwytając równowagę między potężnymi i niewidzialnymi siłami. Lecz całkowicie znajdowała się pod kontrolą i wykona zadanie, które miała spełnić. Dla Lory oznaczało to tylko jedno – wkrótce musi pożegnać się z Lenem.

Szła powoli w stronę odległej grupki Ziemiańców, próbując uporządkować myśli i opanować uczucia. Po chwili Len odłączył się od przyjaciół i wyszedł jej na spotkanie – jego twarz promieniała szczęściem i ulgą, które jednak szybko zniknęły, kiedy zobaczył wyraz twarzy Lory.

– A więc – rzekł bez przekonania, prawie jak złapany na psocie uczeń – dokonaliśmy tego.

– A teraz... jak długo jeszcze tu pozostaniecie?

Len przestępował z nogi na nogę, nie mogąc spojrzeć jej w oczy.

– Och, około trzech dni... może cztery.

Próbowała przyjąć te słowa spokojnie; mimo wszystko spodziewała się je usłyszeć, nie były więc niczym nowym. Jednak spotkało ją całkowite niepowodzenie i dobrze się stało, że w pobliżu nie było nikogo.

– Nie możesz wyjechać! – krzyknęła z rozpaczą. – Zostań na Thalassie!

Len łagodnie ujął jej dłonie.

– Nie, Loro – szepnął – to nie jest mój świat, nie pasuję do niego. Pół życia przygotowywałem się do pracy, którą teraz wykonuję i tutaj, gdzie nie ma dla mnie pola do działania, nigdy nie mógłbym być szczęśliwy. Po miesiącu umarłbym z nudów.

– W takim razie zabierz mnie ze sobą!

– Nie mówisz tego poważnie.

– Właśnie że tak!

– Tak ci się tylko wydaje. Jeszcze bardziej nie pasujesz do mojego świata niż ja do twojego.

– Nauczę się... jest tyle rzeczy, które mogłabym robić. Żebyśmy tylko byli razem!

Wyprostowanymi rękami ujął ją za ramiona, patrząc jej prosto w oczy. Ujrzał w nich smutek i szczerłość. Naprawdę wierzy w to, co mówi, pomyślał. Po raz pierwszy poczuł wyrzuty sumienia. Zapomniał, albo wolał nie pamiętać, że kobiety traktują te sprawy o wiele poważniej od mężczyzn. Nigdy nie chciał sprawić Lorie bólu; zawsze bardzo ją lubił i na całe życie zachował o niej wspomnienia. Teraz odkrył, jak tyłu mężczyzn przed nim, że nie zawsze łatwo powiedzieć „Do widzenia”.

Mógł uczynić tylko jedno. Lepszy jest krótki, ostry ból niż długotrwała gorycz.

– Chodź ze mną, Loro – rzekł. – Coś ci pokażę!

Oboje milczeli, kiedy Len prowadził ją na polanę używaną przez Ziemiaków za lądowisko. Walały się po niej części jakiegoś tajemniczego sprzętu. Niektóre z nich pakowano, inne zaś zostawiano do wykorzystania wyspiarzom. W cieniu palm parkowało kilka skuterów antygravitacyjnych, które nawet w spoczynku gardziły kontaktem z ziemią, unosząc się kilkadziesiąt centymetrów nad trawą. Lecz nie to interesowało Lenę – zdecydowanym krokiem podszedł do błyszczącego owalu, który górował nad polaną, i powiedział kilka słów do stojącego przy nim inżyniera. Przez krótką chwilę o coś się spierali, a w końcu ten drugi skapitulował.

– Jeszcze nie wszystko załadowali – wyjaśnił Len, pomagając Lorie wejść na trap. – W każdym razie lecimy. Tak czy inaczej za pół godziny wyląduje następny wahadłowiec.

Już teraz Lora była w świecie, jakiego dotychczas nie знаła, w świecie techniki, w którym pogubili się nawet najlepsi inżynierowie czy naukowcy z Thalassy. Wyspiarze mieli wszystkie potrzebne im do życia i szczęścia maszyny, ale czegoś takiego jeszcze nie oglądali. Lora widziała kiedyś olbrzymi komputer, który był faktycznym władcą jej ludu i którego decyzje nie budziły sprzeciwu mieszkańców nawet raz na pokolenie. Lecz ten gigantyczny mózg był tak wielki i skomplikowany, że oglądane teraz urządzenie swą niesłychaną prostotą wywarło ogromne wrażenie na jej nietechnicznym umyśle. Kiedy Len zasiadł do niezwykle małej tablicy sterowniczej, jego dłonie zdawały się jedynie lekko na niej spoczywać.

Nagle ściany stały się przezroczyste, ukazując malejącą w oddali Thalassę. Nie odczuwało się żadnego ruchu, nie słychać było najmniejszego dźwięku, lecz wyspa zmniejszała się w oczach. Z każdą mijającą sekundą coraz bardziej wyginał się łuk oddzielający błękit morza od aksamitnej czerni Kosmosu na zamglonych krańcach planety.

– Spójrz – rzekł Len, wskazując gwiazdy.

Lora dostrzegła już statek i nagle rozczarowała się jego niewielkimi rozmiarami. Widziała kilka otworów wejściowych wokół centralnej części, lecz nie zauważyła żadnych innych przerw w kanciastym i przysadzistym kadłubie statku.

Złudzenie to trwało tylko sekundę. Potem niedowierzanie wstrząsnęło jej zmysłami, prawie do zawrotu głowy, kiedy zorientowała się, jak beznadziejnie zmylił ją wzrok. To wcale nie otwory wejściowe; do statku pozostało jeszcze wiele kilometrów. To, co zobaczyła, było otwartymi lukami, przez które wahadłowo przelatywały promy kosmiczne na swej drodze między statkiem a Thalassą.

W przestrzeni kosmicznej traci się poczucie perspektywy, gdyż wszystkie obiekty widać ostro i wyraźnie, bez względu na odległość. Nawet kiedy w pobliżu ukazał się kadłub statku w postaci wypukłej, metalowej ściany, która przysłaniała gwiazdy, Lorie nie udało się ocenić jego rozmiarów. Mogła jedynie przypuszczać, że mierzył przynajmniej ze trzy kilometry.

Prom przycumował, zdaniem Lory, bez udziału Leny. Wyszła za nim z niewielkiej sterowni, a kiedy otworzyła się śluza powietrzna, ze zdumieniem zauważyła, że mogli przejść bezpośrednio do jednego z korytarzy gwiazdowego statku.

Stali w długim, cylindrycznym korytarzu, ciągnącym się w obie strony tak daleko, jak sięgał wzrok. Ruchomy chodnik niósł ich szybko i bez wysiłku – Lora ze zdziwieniem zauważyła, że nie odczuła najmniejszego wstrząsu, kiedy weszła na mknący pas, który teraz przynosił ją



błyskawicznie wnętrzem statku. To jeszcze jedna tajemnica, której nigdy nie zdoła wyjaśnić, ale spotka się z wieloma innymi, zanim Len skończy pokazywać jej Magellana.

Dopiero po godzinie spotkali innego człowieka. W tym czasie przebyli z pewnością wiele kilometrów, to korzystając z, ruchomych korytarzy, to znów unosząc się w górę cylindrami, w których wyłączono ciężenie. Było rzeczą oczywistą, co chciał uczynić Len: próbował choćby w najmniejszym stopniu uzmysłwić jej rozmiary i złożoność sztucznego świata, który zbudowano w celu przeniesienia zalążków nowej cywilizacji do gwiazd.

Sam tylko przedział silnikowy, ze swymi śpiącymi, obudowanymi potworami z metalu i kryształu, musiał mieć prawie kilometr długości. Kiedy stali na balkonie, wysoko ponad tą ogromną areną drzemiącej siły, Len z dumą i chyba niezbyt zgodnie z prawdą powiedział:

– One są moje.

Lora spojrzała w dół na ogromne, nic jej nie mówiące kształty, które niosły ku niej Lena przez całe lata świetlne, i nie wiedziała, czy ma

je błogosławić za to, co dla niej zrobiły, czy też przeklinać za to, co wkrótce mogą jej zabrać.

Pędzili poprzez przepastne ładownie, wypełnione wszelkiego rodzaju maszynami, narzędziami i zapasami niezbędnymi do przekształcania dziewiczej planety i uczynienia z niej odpowiedniego domu dla ludzi. Znajdowały się tam kilometry półek z dziedzictwem kulturowym ludzkości, zapisanym na taśmach czy mikrofilmach, a może w jeszcze pojemniejszej formie. Spotkali tutaj grupę raczej oszołomionych specjalistów z Thalassy, próbujących ustalić, ile tego bogactwa uda im się zagarnąć w ciągu tych kilku godzin, które im pozostały.

Lora zastanawiała się, czy jej przodkowie byli równie dobrze wyposażeni, kiedy sami wyruszali w Kosmos. Wątpiła w to; mieli znacznie mniejszy statek, a Ziemia zapewne rozwinęła technikę wypraw międzygwiazdnych od czasu odkrycia Thalassy. Kiedy śpiący podróżnicy dotrą Magellanem do swego nowego domu, z pewnością wszystko im się uda, jeśli duchem dorównują tym zasobom materialnym.

Teraz podeszli do wielkich białych drzwi, które cicho się rozsunęły, ukazując jeden z najbardziej 'absurdalnych widoków na pokładzie statku kosmicznego – garderobę wypełnioną rzędami wieszaków z grubymi futrami. Len pomógł Lorze wrzucić jedno z nich, a drugie wybrał dla siebie. Nic nie rozumiejąc, ruszyła za nim, kiedy skierował się w stronę osadzonego w podłodze koła z matowego szkła. Potem Len odwrócił się do niej i rzekł:

– Tam, dokąd idziemy, nie ma grawitacji, trzymaj się więc blisko mnie i rób, co ci powiem.

Kryształowa pokrywa uniosła się niby szkiełko zegarka kieszonkowego, a z głębi wionęło takim chłodem, jakiego Lora nie mogła sobie przedtem wyobrazić, a tym bardziej doświadczyć. Cienkie pasemka wilgoci, skraplającej się w mroźnym powietrzu, tańczyły wokół niej jak duchy. Popatrzyła na Lena, jakby pragnęła powiedzieć: – Chyba nie chcesz, żebym tam weszła!?

Uspokajającym gestem wziął ją za ramię.

– Nie bój się – rzekł. – Po kilku minutach przestaniesz zwracać uwagę na zimno. Pójdę pierwszy.

Zniknął w otworze. Lora wahała się przez chwilę, a potem opuściła się za nim. „Opuściła”? Nie, to nie jest odpowiednie słowo – góra i dół już tutaj nie istniały. Zniesiono grawitację – jakby nic nie ważąc, Lora unosiła się swobodnie w tym śnieżnobiałym, mroźnym świecie. Wokół niej błyszczały szklane plastry miodu, utworzone z tysięcy i dziesiątków tysięcy sześciokątnych komór. Oplatały je pęki rur i przewodów, a każda z nich mogła pomieścić człowieka.

I w każdej był człowiek. To tutaj spały tysiące kolonistów', dla których Ziemia była dosłownie zmarłym wspomnieniem wczorajszego dnia. O czym śnili? Czy w ogóle mogli śnić w tym przyćmionym świecie na pograniczu życia i śmierci?

Wzdłuż przedniej ściany plastra sunął wąski pas bez końca, co kilkadziesiąt centymetrów zaopatrzony w uchwyty. Len schwycił się jednego z nich, a ten szybko pociągnął oboje po wielkiej mozaice z sześciokątów. Dwukrotnie zmieniali kierunek, przenosząc się z jednego pasa na drugi, by ostatecznie dotrzeć do miejsca, które leżało chyba aż czterysta metrów od wejścia.

Len puścił uchwyt i po krótkim, swobodnym locie zatrzymali się przed jedną z komór, niczym się nie wyróżniającą wśród tysięcy innych. Lecz kiedy Lora dostrzegła wyraz twarzy Lena, zrozumiała, po co ją tu przyprowadził, i uświadomiła sobie, że przegrała.

Twarz dziewczyny w kryształowej trumnie, może niezbyt piękna, była pełna charakteru i inteligencji. Nawet podczas tego długotrwałego spoczynku wyrażała zdecydowanie i zaradność. To twarz pionierki, kobiety z kresów, która może stanąć u boku męża i pomóc mu w posługiwaniu się wszelkimi narzędziami, jakie dała mu nauka, by zbudował nową Ziemię wśród gwiazd.

Przez dłuższy czas, zapominając o zimnie, Lora wpatrywała się w śpiącą rywalkę, która nigdy nie dowie się o jej istnieniu. Czy jakaś miłość, pomyślała, w całej historii świata, skończyła się kiedykolwiek w1 tak dziwnym miejscu?

W końcu przemówiła przyciszonym głosem, jakby bała się zbudzić zastępy pogrążonych w7e śnie ludzi.

– Czy to twoja żona? Len skinął głową.

– Przykro mi, Loro. Nigdy nie chciałem sprawić ci bólu...

– Teraz to już nie ma znaczenia. To również moja wina – przerwała i uważniej przyjrzała się śpiącej kobiecie. – To dziecko też twoje?

– Urodzi się w trzy miesiące po wylądowaniu.

Pomyśleć, że ciąża może trwać dziewięć miesięcy i trzysta lat! Jednak wszystko to należało do tego samego modelu życia i Lora wiedziała, że dla niej nie było w nim miejsca.

Ten cierpliwy tłum będzie nawiedzał ją w snach przez resztę życia. Kiedy kryształowa pokrywa zamknęła się za nią i ciepło ponownie rozgrzało jej ciało, zapragnęła, by z taką samą łatwością dało się usunąć chłód z jej serca. Może kiedyś, lecz zanim to nastąpi, musi jeszcze upłynąć wiele dni i samotnych nocy.

Nic nie zapamiętała z powrotnej drogi przez labirynt korytarzy i dudniących echem pomieszczeń; zaskoczona stwierdziła w pewnej chwili, że

znów jest w kabinie małego promu, który przywiózł ich z Thalassy. Len podszedł do tablicy sterowniczej, coś tam nastawił, ale nie usiadł.

– Żegnaj, Loro – powiedział. – Skończyłem to, co miałem zrobić. Będzie lepiej, jeśli tu zostanę.

Ujął jej dłonie w swe ręce; teraz, w tej ostatniej ze wspólnie spędzonych chwil, Lora nie mogła wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Nie widziała nawet twarzy Lena, bowiem jego obraz rozpułynał się w łzach.

Len uściśnął jej dłonie, a potem je puścił. Wydał z siebie stłumiony szloch, a kiedy Lora otarła łzy, kabina była pusta.

W dłuższy czas po tym z tablicy kontrolnej odezwał się miły, sztuczny głos:

– Wylądowaliśmy. Wyjście przednią śluzą powietrzną.

Otwierające się kolejno drzwi wskazywały jej drogę i teraz patrzyła na pełną ruchu polanę, którą opuściła, zdawać by się mogło, dawno temu.

Niewielki tłum obserwował statek z wyraźnym zainteresowaniem, jakby lądował po raz pierwszy. Przez chwilę nie rozumiała, z jakiego powodu, a potem usłyszała ryk Clyde'a.

– Gdzie on jest?! Mam tego dość!

Kilkoma susami znalazł się na rampie i brutalnie schwycił ją za ramię.

– Powiedz mu, żeby wyszedł, jak mężczyzna! Lora popatrzyła nań obojętnie.

– Nie ma go tutaj – odparła. – Pożegnałam się z nim. Już go nigdy nie zobaczę.

Clyde wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, a potem zobaczył, że mówi prawdę. W tej samej chwili z płaczem rzuciła mu się w ramiona, łkając, jakby miało jej serce pęknąć. Kiedy ujrzał ją tak załamana, opuścił go gniew i zapomniał wszystko, co chciał jej powiedzieć. Znowu należała do niego, a reszta nie miała znaczenia.

Przez prawie pięćdziesiąt godzin ryczał gejzer unoszący się z Thalassy, zanim wykonał swą pracę. Cała wyspa obserwowała w telewizorach formowanie góry lodowej, która będzie poprzedzała Magellana w jego drodze do gwiazd. Wszyscy modlili się, żeby nowa tarcza służyła mu lepiej od

tej, którą przywiózł z Ziemi. W ciągu kilku godzin, póki wielki stożek lodu znajdował się blisko słońca Thalassy, przed palącymi promieniami chroniła go cienka jak papier, wypolerowana folia metalowa, która przez cały czas dawała mu cień. Zostawią ją, gdy zacznie się podróż – nie będzie potrzebna w międzygwiazdnej pustce.

Nadszedł ostatni dzień pobytu i właśnie się kończył. Nie tylko serce Lory wypełniał smutek, kiedy słońce zachodziło i ludzie z Ziemi ostatecznie żegnali się z planetą, której nigdy nie zapomną i której ich śpiący

przyjaciele nigdy nie będą pamiętali. Równie cicho, jak wylądowało po raz pierwszy, błyszczące jajo uniosło się z polany, zawisło na moment w salucie nad miasteczkiem i zaczęło wracać do swego naturalnego żywiołu. Potem Thalassa czekała.

Noc rozbłysła bezzwicznym wybuchem światła. Nie większy od gwiazdy punkt pulsującej jasności przyćmił wszystkich gospodarzy nieba, łącznie z bladą tarczą Selene, rzucając ostre cienie na ziemię – cienie, które przesuwają się w oczach patrzących. Tam, w górze, na skraju Kosmosu, płonął teraz ogień, taki jak ten, który zasila słońca, przygotowując się do wyrzucenia statku gwiazdowego w bezmiar, do ostatniego etapu jego przerwanej podróży.

Suchymi oczami Lora obserwowała bezzwiczny punkt jasności, z którą ulatywała ku gwiazdom połowa jej serca. Teraz nie odczuwała nic, a jeśli zbierało się jej na płacz, lzy popłyną później.

Len już śpi, czy też patrzy na Thalassę, myśląc o tym, że mogłoby być inaczej? Śpi czy czuwa, jakie to ma teraz znaczenie...?

Z radością powitała obejmujące ją ramiona Clyde'a, które dawały ukojenie w przeciwieństwie do samotności Kosmosu, Tu było jej miejsce i już nigdy jej serce nie zabłądzi. Żegnaj, Lenie – bądź szczęśliwy na tej dalekiej planecie, którą ty i twoje dzieci zdobędziecie dla ludzkości. Ale czasem pomyśl o mnie, pozostawionej przed dwustu laty na drodze ku Ziemi.

Odwróciła się od płonącego nieba i ukryła twarz w ramionach Clyde'a, szukając tam schronienia. Poglądził ją po włosach z niezgrabną delikatnością, pragnąc znaleźć słowa pociechy, lecz wiedział, że teraz najlepiej milczeć. Nie czuł się zwycięzcą; chociaż Lora znów do niego należała, nieodwołalnie minęła ich dawna, niewinna zażyłość. Pamięć o Lenie zblednie, ale nigdy całkiem nie zaginie. Clyde wiedział, że przez całe życie cień Lena będzie kładł się między nimi – cień człowieka, który nawet o jeden dzień się nie zestarzeje, kiedy oni będą już leżeli w grobie.

Światło na niebie przygasało w gwałtownym pędzie ku gwiazdom na samotnej drodze bez powrotu. Lora tylko raz uniosła głowę z objęć Clyde'a, by odwrócić się i spojrzeć na odlatujący statek. Jego podróż dopiero się zaczęła, lecz mknął już po niebie szybciej od meteorów; za kilka chwil skryje się za horyzontem, przecinając orbitę Thalassy w drodze poza jałowe planety zewnętrzne i dalej w otchłan.

Gwałtownie przywarła do silnych ramion, które ją obejmowały; na policzku czuła bicie serca Clyde'a – serca należącego do niej, którym nigdy już nie wzgardzi. W ciszy nocy usłyszała nagle, długo powstrzymywane westchnienie ulgi, które wyrwało się z piersi tysięcy patrzących; wiedziała, że w tej właśnie chwili Magellan zniknął im z oczu na skraju planety. Wszystko się skończyło.

Spojrzała w puste niebo, wypełniane się powracającymi gwiazdami, na które nigdy nie będzie mogła patrzeć bez myśli o Lenie. Jednak miał rację – to nie była droga dla niej. Teraz wiedziała, nad wiek mądra, że gwiazdny statek Magellan oddalał się, by tworzyć historię, w której Thalassa już więcej nie weźmie udziału. Jej historia zaczęła się i skończyła, kiedy pionierzy przybyli tu trzysta lat temu, lecz koloniści z Magellana sięgną po zwycięstwa i zdobycze większe od dotychczas opisanych przez ludzkość w jej sagach. Len i jego towarzysze zajmą się przesuwaniem mórz, niwelowaniem gór i walką z nieznanymi niebezpieczeństwami, a ósme pokolenie potomków Lory będzie wówczas wciąż drzemało pod zalanymi słońcem palmami.

A co lepsze – któż to wie?



### 13. Lato na Ikarze

Kiedy Colin Sherrard otworzył oczy po katastrofie, nie wiedział, gdzie się znajduje. Zdawało mu się, że leży w jakimś pojeździe jak w potrzasku, na szczycie okrągłego wzgórza, którego stoki stromo opadają we wszystkie strony. Jego powierzchnia była osmalona i poczerniała, jak gdyby spalił ją potężny ogień. Sherrard zobaczył nad sobą czarne jak smoła niebo, pokryte gwiazdami – jedna z nich wisiała tuż nad horyzontem niby maleńkie, błyszczące słońce.

Czy mogło to być Słońce? Czyżby znajdował się tak daleko od Ziemi? Nie – to niemożliwe. Jakieś nieznośne wspomnienie mówiło mu, że Słońce jest bardzo blisko – okropnie blisko – a nie tak daleko, żeby mogło skurczyć się do rozmiarów gwiazdy. Z tą myślą powróciła pełna świadomość. Sherrard już dokładnie wiedział, gdzie jest, i to było tak straszne, że omal znów nie zemdleł.

Był pierwszym człowiekiem, który znalazł się aż tak blisko Słońca. Jego uszkodzona kapsuła nie leżała na żadnym wzgórzu, lecz na powierzchni planетки o średnicy zaledwie trzech kilometrów. A ta błyszcząca gwiazda, szybko znikająca na zachodzie, była światłem Prometeusza, statku, który przywiózł go tutaj, pokonując w Kosmosie miliony kilometrów. Wisi tam, wśród gwiazd, zastanawiając się, dlaczego ta kapsuła nie powróciła jak gołąb pocztowy na swą grzędę. Za chwilę zniknie z oczu, kryjąc się za horyzontem w bezustannej grze w chowanego ze Słońcem.

W grze tej Sherrard przegrał. Wciąż znajdował się na nocnej półkuli asteroidu, bezpieczny w chłodzie jej cienia, ale krótka noc niedługo się skończy. Czterogodzinna doba Ikara sprawiała, że szybko zbliżał się straszny świt, kiedy to Słońce, trzydziestokrotnie większe niż widziane z Ziemi, zaleje ogniem te skały. Sherrard zbyt dobrze wiedział, dlaczego wszystko wokół jest osmalone i poczerniałe. Ikarowi do perihelium pozostał jeszcze tydzień, ale temperatura w południe już przekraczała pięćset stopni Celsjusza.

Choć nie był to odpowiedni czas na żarty, przypomniał sobie nagle, jak opisał Ikara kapitan McClellan: „Najgorętszy kawałek gruntu w Układzie Słonecznym”. Zawartą w tym żarcie prawdę potwierdził przed kilku dniami jeden z tych prostych i nienaukowych eksperymentów, które robią większe wrażenie od największej liczby wykresów i danych zarejestrowanych przez instrumenty.

Tuż przed świtem, na szczyt jednego z niewielkich wzgórz ktoś rzucił kawałek drewna. Sherrard obserwował wszystko z bezpiecznego miejsca na nocnej półkuli, kiedy pierwsze promienie wstającego Słońca padły na wzgórze. Kiedy odzyskał wzrok po pierwszym, nagłym wybuchu światła, zobaczył, że drewno już zaczynało czernieć i spalać się na wręgiel. Patyk wybuchłby płomieniem, gdyby istniała tu jakaś atmosfera; tak oto wygląda świt na Ikarze.

Kiedy przed pięcioma tygodniami przecinali orbitę Wenus, nie było tak nieznośnie gorąco podczas pierwszego lądowania. Prometeusz dogonił asteroid, zrównał swą prędkość z szybkością tej planетки i wylądował na jej powierzchni delikatnie jak płatek śniegu. (Pomyśleć – płatek śniegu na Ikarze...) Potem naukowcy rozbiegli się wachlarzykiem po pięćdziesięciu kilometrach kwadratowych powierzchni asteroidu pokrytej przeważnie nieregularnymi bryłami żelazoniklu, rozstawiając instrumenty, ustalając punkty kontrolne, zbierając próbki i prowadząc nie kończące się obserwacje.

Wszystko skrupulatnie zaplanowano jeszcze przed laty, jako część programu Międzynarodowej Dekady Astrofizycznej. Tutaj statek badawczy miał wyjątkową okazję znalezienia się w odległości zaledwie trzydziestu milionów kilometrów od Słońca, osłonięty przed jego żarem trzema 1 kilometrami skał i żelaza. W cieniu Ikara statek mógł bezpiecznie krążyć wokół ogrzewającego wszystkie planety, centralnego ognia, od którego zależało istnienie wszelkiego życia. Podobnie jak legendarny Prometeusz, który zrobił ludzkości podarunek z ognia, tak samo statek nazwany jego imieniem powróci na Ziemię, przywożąc ze sobą niewyobrażalne sekrety niebios.

Do chwili, gdy Prometeusz musiał wystartować w poszukiwaniu ciągłego cienia nocy, pozostawało jeszcze mnóstwo czasu na rozstawienie instrumentów i dokonanie pomiarów. Nawet

kiedy odleciał, ludzie w niewielkich, posiadających własny napęd kapsułach – miniaturowych statkach kosmicznych o długości zaledwie trzech metrów – mogli pracować przez godzinę do dwóch po zaciętej stronie, póki nie dotarła do nich przesuająca się linia Słońca. Zdawać by się mogło, że dość łatwo spełnić ten warunek na planecie, gdzie świt przesuwa się z szybkością ledwie półtora kilometra na godzinę, lecz Sherrard go nie spełnił, a karą jest śmierć.

Wciąż nie bardzo wiedział, co się stało. Wymieniał nadajnik w sejsmografie na stanowisku nr 145, nieoficjalnie zwanym Mount Everest, ponieważ znajdowało się całe dwadzieścia osiem metrów wyżej od otoczenia. Było to niezwykle proste zadanie, chociaż musiał wykonywać je za pomocą mechanicznych rąk swej kapsuły. Sherrard opanował to po mistrzowsku – metalowymi palcami robił węzły prawie tak szybko jak wła-

snymi. Praca ta zajęła mu nieco ponad dwadzieścia minut i radiosejsmo-graf znów zaczął nadawać, rejestrując niewielkie wstrząsy i drżenia astero-idu, których liczba rosła wraz z jego zbliżaniem się do Słońca. Niewielką pociechę dawała świadomość, że oto udało mu się znacznie poprawić rekord. Po sprawdzeniu sygnałów pieczołowicie umieścił z powrotem ekrany przeciwsłoneczne wokół instrumentu. Aż trudno uwierzyć, że te cieniutkie arkusze wypolerowanej folii metalowej, nie grubsze od papieru, mogą odbijać fale promieniowania, które stopiłoby ołów czy cynę w kilka sekund. Ale pierwszy ekran odbijał ponad dziewięćdziesiąt procent padającego na jego lustrzaną powierzchnię światła słonecznego, drugi zaś prawie całą resztę, zatem przez oba przenikał tylko niewielki ułamek ciepła.

Zameldował o wykonaniu zadania, otrzymał potwierdzenie odbioru meldunku i przygotowywał się do powrotu na statek. Światło reflektorów Prometeusza, bez których po nocnej stronie asteroidu panowałaby całkowita ciemność, nieomylnie wskazywało cel na niebie. Statek znajdował się zaledwie trzy kilometry w górze i przy tak słabej grawitacji Sherrard mógłby jednym skokiem pokonać tę odległość, gdyby dysponował używanym na planetach skafandrem kosmicznym ze sprężynującymi nogawkami. Ale i tak mikrorakiety o niskiej mocy, napędzające jego kapsułę, pozwolą mu tam dotrzeć w ciągu pięciu minut.

Wycelował pojazd za pomocą żyroskopów, nastawił tylne silniki na dwójkę i nacisnął guzik odpalania. W pobliżu jego stóp nastąpiła gwałtowna eksplozja i oderwał się od Ikaru – lecz nie w kierunku statku. Coś straszliwie zawiodło – rzuciło go w bok i nie mógł sięgnąć do sterownicy. Odpalił tylko jeden silnik i z tym nie zrównoważonym napędem kapsuła coraz szybciej kręciła się w kółko po niebie jak fajerwerk. Próbował znaleźć wyłącznik, ale ruch obrotowy całkiem go zdezorientował. Kiedy w końcu wymacał sterownicę, w pierwszym odruchu jeszcze pogorszył sytuację – całkowicie otworzył przepustnicę jak zdenerwowany kierowca, który naciska gaz zamiast hamulca. Naprawienie błędu i wyłączenie silnika trwało zaledwie sekundę, ale w tym czasie kręcił się już tak szybko, że gwiazdy pędziły wokół niego jasnymi kołami.

Wszystko działo się tak szybko, że nie miał czasu na strach, a tym bardziej na wezwanie statku i zameldowanie o tym, co się stało. Zdjął ręce ze sterownicy – dotykanie jej teraz jeszcze bardziej by wszystko pogorszyło. Dwie do trzech minut ostrożnego manewrowania pozwoliłoby mu z tego wyjść, ale migające coraz bliżej skały świadczyły niezbicie, że nie pozostało mu nawet tyle sekund. Sherrard przypomniał sobie radę z Podręcznika astronautów. „Jeśli nie wiesz, co robić, nie rób nic”. Postępował zgodnie z tą radą, kiedy Ikar spadł na niego i zgasły gwiazdy.

Tylko cudem kapsuła nie pękła i nie uciekło z niej powietrze do oddychania. (Pół godziny później żałował tego, kiedy zaczęła zawodzić

izolacja cieplna...) Pojazd był oczywiście uszkodzony. Stracił oba lusterka wsteczne na zewnątrz przezroczystej plastikowej kopuły osłaniającej mu głowę, a więc bez wykręcania szyi nie mógł już zobaczyć, co się dzieje z tyłu. Ale to głupstwo; znacznie poważniejszą sprawą były zerwane w czasie zderzenia anteny radiowe. Nie mógł teraz wezwać statku ani statek jego. Z radia dochodziły jedynie słabe trzaski, prawdopodobnie powstające w samym aparacie. Był absolutnie sam, odcięty od reszty ludzi.

Położenie stało się rozpaczliwe, choć świecił jeszcze blady promyk nadziei. Mimo wszystko Sherrard nie był całkowicie bezradny. Jeśli nawet nie mógł użyć rakiet kapsuły – domyślił się, że prawy silnik podczas odpalania zniszczył przewód paliwowy, co według projektantów miało być niemożliwa – to jednak zachował zdolność poruszania się. Miał przecież mechaniczne ręce.

Ale w którą stronę powinien się czołgać? Zupełnie stracił orientację; choć bowiem wystartował z Mount Everest, mógł teraz równie dobrze znajdować się o tysiące metrów od niego. Na tej maleńkiej planecie brakowało punktów orientacyjnych; najlepszym przewodnikiem był zachodzący Promeieusz i jeśli uda mu się utrzymać go w polu widzenia, będzie bezpieczny. Powinni zauważyć jego nieobecność w ciągu kilku minut, jeśli jeszcze tak się nie stało. Jednakże bez radia może dużo czasu upłynąć, zanim koledzy go odnajdą; mimo że Ikar jest tak niewielki, pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych jego fantastycznie poszarpanej powierzchni zapewnia skuteczną kryjówkę trzymetrowemu cylindrowi. Zlokalizowanie Sherrarda może potrwać godzinę, co oznacza, że musi uciekać przed morderczym wschodem Słońca.

Wsunął palce w urządzenie do manipulowania mechanicznymi rękami. Ożyły sztuczne ręce wre wrogiej, otaczającej go próżni na zewnątrz pojazdu; opadły, wsparły się na żelaznej powierzchni asteroidu i uniosły kapsułę. Sherrard ugiął je i pojazd ruszył do przodu jak jakiś dziwny, dwunożny owad... najpierw prawe ramię, potem lewe, teraz znowu prawe...

Obawiał się, że będzie to trudniejsze, a teraz po raz pierwszy odzyskał pewność siebie. Mechaniczne ręce zaprojektowano wprawdzie do wykonywania lekkiej, precyzyjnej pracy, lecz wprawianie w ruch kapsuły w tym pozbawionym ciężenia otoczeniu nie wymagało zbyt dużej siły. Grawitacja Ikara była dziesięć tysięcy razy słabsza od ziemskiej – Sherrard ze swym pojazdem ważył tu niecałe trzy gramy, a kiedy już ruszył, płynął do przodu bez wysiłku, jak we śnie.

Łatwość ta niosła za sobą pewne niebezpieczeństwo. Przejechał w ten sposób kilkaset metrów i szybko, przeganiał zachodzącą gwiazdę Prome-teusza, gdy zwriodła go nadmierna pewność siebie. (To dziwne, jak szybko umysł przechodzi z jednej skrajności w drugą – przed kilkoma minutami szykował się na spotkanie śmierci, a teraz zastanawiał się, czy zdąży na obiad.) Chyba w dalszym ciągu odczuwał skutki zderzenia, a może do katastrofy doprowadził fakt, że ten ruch był dlań nowością i nie przypominał niczego, co dotychczas robił.

Jak wszyscy astronauty, Sherrard nauczył się orientować w przestrzeni kosmicznej i przywykł do życia i pracy w warunkach, w których ziemskie pojęcia góry i dołu są bez znaczenia. Na takiej planecie jak Ikar trzeba udawać, że „pod” nogami jest prawdziwy, stały grunt i że człowiek porusza się po płaskiej powierzchni. Bez tego niewinnego sa-mooszukiwania się można dostać kosmicznego kręčka.

Atak nastąpił, jak zwykle, bez ostrzeżenia. Całkiem nagle Sherrardo-wi wydało się, że Ikar już nie jest pod nim, a gwiazdy nad nim. Wszechświat pochylił się pod kątem prostym; on sunął w górę po pionowej skale jak alpinista, a choć rozsądek mówił mu, że to złudzenie, wszystkie jego zmysły krzyczały, że to prawda. Za moment ciężenie oderwie go od tej pionowej ściany i będzie spadał bez końca kilometr za kilometrem, aż roztrzaska się w nicłość.

Najgorsze miało dopiero nadejść – fałszywy pion wciąż kiwał się jak igła kompasu, która zgubiła północ. Teraz, niczym uczepiona sufity mucha, znajdował się pod ogromnym, skalnym dachem, który za chwilę znów stanie się ścianą, ale tym razem on będzie posuwał się w dół, zamiast do góry...

Zupełnie przestał panować nad pojazdem, a lepki pot, który zrosił mu czoło, ostrzegł go, że wkrótce straci kontrolę nad własnym ciałem. Mógł zrobić tylko jedno – mocno zacisnął powieki, wtulił się jak najgłębiej w swój maleńki, zamknięty świat kapsuły i ze wszystkich sił udawał, że Kosmos na zewnątrz nie istnieje. Nie dopuścił, by nawet powolny, delikatny zgrzyt drugiego zderzenia zakłócił mu tę autohipnozę.

Kiedy zdobył się na odwagę i otworzył oczy, zobaczył, że kapsuła zatrzymała się na dużym głazie. Mechaniczne ręce osłabiły siłę uderzenia, ale kosztem, na który nie mógł sobie pozwolić. Choć kapsuła prawie nic tutaj nie ważyła, w dalszym ciągu zachowywała swoją normalną, ćwierć-

tonową masę i poruszała się z szybkością chyba ponad sześciu kilometrów na godzinę. Impet był za duży, aby metalowe ręce mogły go złagodzić – jedną strzaskął, a drugą beznadziejnie zgiął.

Zobaczywszy, co się stało, Sherrard najpierw zareagował nie rozpaczą, lecz złością. Był tak pewien powodzenia, kiedy kapsuła zaczęła się posuwać po jałowej tarczy Ikara, a teraz musiało się zdarzyć coś takiego – wszystko przez tę chwilę fizycznej słabości! Ale Kosmos nie toleruje ludzkich słabości czy uczuć i człowiek, który nie uznaje tego faktu, nie ma prawa w nim przebywać.

Goniąc statek zyskał przynajmniej trochę cennego czasu – o dziesięć minut, jeśli nie więcej, przedłużył okres dzielący go od świtu. Wkrótce się

dowie, czy te dziesięć minut jedynie przeciągnie agonię, czy też pozwoli kolegom go odnaleźć.

Gdzie oni są? Na pewno już rozpoczęli poszukiwania! Wytężając wzrok, spojrzął w kierunku błyszczącej gwiazdy statku WT nadziei, że zobaczy blade światła zbliżających się kapsuł, ale nic więcej nie dostrzegł na powoli obracającym się nieboskłonie.

Lepiej zdać się na własne, choć tak skromne możliwości. Tylko kilka minut pozostało do chwili, gdy Prometeusz i jego światła znikną za krawędzią asteroidu, po czym Sherrarda ogarną ciemności. Co prawda tylko na krótko, ale nim to nastąpi, może uda mu się znaleźć jakieś schronienie przed nadchodzącym dniem. Na przykład, ta skała, w którą uderzył...

Tak, da trochę cienia, póki Słońce nie stanie w zenicie. Nic już go nie osłoni, jeśli znajdzie się wprost nad głową, chyba że na tej szerokości Słońce nigdy nie wznosi się wysoko nad horyzontem o tej porze roku, trwającego na Ikarze czterysta dziewięć dni. Wówczas mógłby jakoś przetrwać krótki okres światła dziennego – to jedyna nadzieja, jeśli ratownicy nie odnajdą go przed świtem.

Prometeusz i jego światła zniknęły za skrajem planety. Uwolnione od konkurencji gwiazdy zajaśniały zdwojonym blaskiem. Najwspanialej, jak latarnia morska, świeciła Ziemia z Księżycem u swego boku, a sam jej widok omal nie wycisnął łez z oczu Sherrarda. Na Ziemi się urodził, a po Księżycu spacerował – czy jeszcze kiedyś zobaczy któreś z nich?

Dziwne, że dotychczas nie pomyślał o żonie i dzieciach, a także o tym wszystkim, co ukochał w życiu, które zdawało się teraz tak odległe. Przez chwilę miał poczucie winy, które jednak szybko minęło. Więzy uczuć nie osłabły, choć od rodziny dzieliły go setki milionów kilometrów. W takiej chwili po prostu nie miały znaczenia. 'Był teraz prymitywnym, egocen-trycznym zwierzęciem, walczącym o życie, a jego jedyną bronią był mózg. W walce tej nie ma miejsca dla uczuć – stanowiłyby tylko przeszkodę w dokonywaniu prawidłowych ocen i podejmowaniu decyzji.

I wówczas zobaczył coś, co sprawiło, że natychmiast przestał myśleć o swym dalekim domu. Za jego plecami, nad horyzontem, rozlewając się po gwiazdach jak mleczna mgielka, wznosił się błady i upiorny stożek fosforoscencji. To zwiastun Słońca – piękne, perłowe widmo korony, rzadko widywane na Ziemi, jedynie podczas całkowitego zaćmienia. Kiedy ukazuje się korona, Słońce jest tuż za nią i zaraz z furją porazi ten mały skrawek ładu.

Sherrard skorzystał z tego ostrzeżenia. Teraz mógł z dość dużą dokładnością ustalić miejsce, w którym wszędzie Słońce. Pełznąć wolno i niezgrabnie na złamanych kikutach metalowych rąk, podciągnął kapsułę do skały od strony, która dawała najwięcej cienia. Ledwo tam dotarł, a już Słońce spadło nań jak drapieżna bestia, zalewając eksplozją światła jego maleńką planetkę.

Zakładał coraz więcej filtrów przyciemniających wewnątrz hełmu, aż blask przestał go razić. Poza szerokim cieniem skały wszystko wyglądało jak wnętrze pieca. Bezlitosne światło wydobywało wszystkie szczegóły pustkowia wokół niego – nie było szarości, tylko oślepiająca biel i niezgłębiona czerń. Wszystkie zacienione szczeliny i zagłębienia jakby wypełniał atrament, a wyższe partie powierzchni już zdawały się płonąć, kiedy padło na nie Słońce. A przecież od świtu upłynęła dopiero minuta.

Teraz Sherrard zrozumiał, w jaki sposób miliardy skwarnych lat zmieniły Ikara w kosmiczny żużel, prażąc skały, póki nie wyparowały z nich ostatnie ślady gazu. Zadawał sobie pełne gorczy pytanie, po co ludzie przemierzają gwiazdną otchłań i w dodatku tak bardzo ryzykując – czy tylko po to, by wylądować na tej wirującej bryle żużlu? Wiedział, że z tych samych powodów walczyli niegdyś o dotarcie na szczyt Mount Everest i do biegunów oraz innych odległych miejsc na Ziemi –



aby doznać podniecia, jaką ciału daje przygoda, a umysłowi trwalsze od niej odkrycie. Było to jednak dlań niewielkim pocieszeniem, skoro ma się wkrótce upiec na Ikarze jak na obracającym się roźnie.

Poczuł już pierwszy powiew gorąca na twarzy. Skała, za którą leżał, chroniła tylko przed bezpośrednimi promieniami Słońca, ale jego blask odbijał się od płonących skał, odległych zaledwie o kilka metrów, przenikając do wnętrza kopuły z przezroczystego plastyku. Temperatura będzie szybko rosła w miarę wznoszenia się Słońca; Sherrardowi pozostało nawet mniej czasu, niż sądził, a świadomość tego spowodowała nań rezygnację i przekraczające już strach odrętwienie. Jeśli mu się uda, poczeka, aż zaleje go światło wschodzącego Słońca i układ chłodzący pojazdu ulegnie w tej nierównej walce – wówczas rozhermuje kapsułę i wypuści powietrze w próżnię Kosmosu.

W ciągu tych kilku minut, które pozostały do chwili, gdy skurczy się jego kawałek cienia, mógł tylko siedzieć i myśleć. Nie próbował kierować swoimi myślami, lecz pozwolił im swobodnie błądzić. To dziwne, że musiał teraz umierać tylko dlatego, że w latach czterdziestych XX wieku – wiele lat przed narodzeniem Sherrarda – jakiś człowiek na Palomar zauważył smugę światła na płycie fotograficznej i tak trafnie nazwał ją imieniem chłopca, który za bardzo zbliżył się do Słońca.

Pomyślał sobie, że pewnego dnia tu, na tej spękanej równinie, postawią mu pomnik. A co na nim napiszą? „Tu poświęcił swe życie nauce Colin Sherrard, inżynier-astronik”. To będzie zabawne, gdyż nigdy, nawet w połowie nie rozumiał tego, co próbowali robić naukowcy.

Jednakże częściowo udzielało mu się podniecenie towarzyszące ich odkryciom. Przypomnił sobie, jak geologowie zdrapali kawałek spalonej powierzchni Ikara i wypolerowali znajdującą się pod nią warstwę metalu. Pokrywały ją dziwne kreski i rysy, które układały się w osobliwy deseń, przypominający abstrakcyjne obrazy, malowane przez postpicassowskich dekadentów. Ale te kreski miały jakiś sens – przedstawiały historię asteroidu, choć jedynie geologowie potrafili ją odczytać. Sherrard dowiedział się od nich, że ta bryła żelaza i skał nie zawsze samotnie unosiła się w Kosmosie. Kiedyś, w bardzo odległej przeszłości, znajdowała się pod ogromnym ciśnieniem, a to mogło oznaczać tylko jedno: miliardy lat temu była częścią znacznie większego ciała, być może planety podobnej do Ziemi. Z jakiegoś powodu owa planeta wybuchła, a w wyniku tej kosmicznej eksplozji powstał Ikar wraz z tysiącami innych asteroidów.

Nawet w tej chwili, kiedy coraz bardziej zbliżała się rozżarzona granica światła słonecznego, jego umysł pobudzała tylko ta myśl. To, na czym obecnie leżał Sherrard, było jądrem planety – być może planety, na której kiedyś istniało życie. W jakiś dziwny, irracjonalny sposób pocieszała go świadomość, że może nie będzie jedynym duchem, straszącym na Ikarze do końca czasu.

Hełm zaczęła pokrywać mgielka, co mogło tylko oznaczać, że układ chłodzący wkrótce zawiedzie. Dobrze spełniał swoje zadanie – nawet w tej chwili, gdy skały w odległości zaledwie kilku metrów musiały być rozpalone do czerwoności, upał wewnątrz kapsuły dał się jeszcze wytrzymać. Kiedy chłodzenie ostatecznie zawiedzie, nastąpi to nagle, a skutki będą katastrofalne.

Sięgnął do czerwonej dźwigni, która pozbawi Słońce ofiary, ale zanim ją pociągnie, jeszcze ostatni raz popatrzy na Ziemię. Ostrożnie opuszczał filtry przyciemniające, pozostawiając ich tylko tyle, by zmniejszały siłę blasku bijącego od skał, ale pozwalały mu równocześnie widzieć Kosmos.

Gwiazdy teraz zbladły, przyćmione jasnością ukazującej się korony. Tuż nad głazem, którego osłona wkrótce nie wystarczy, dojrzał język pąsowego płomienia, zakrzywiony palec ognia, sterczący wprost z krawędzi Słońca. Pozostały mu tylko sekundy.

Ziemia i Księżyc są tam. Pożegnał je i znajdujących się na nich przyjaciół i najbliższych. Kiedy tak patrzył w niebo, światło Słońca zaczęło lizać podstawę kapsuły i poczuł pierwsze dotknięcie ognia. W równie machinalnym, co bezcelowym odruchu podciągnął nogi, próbując uciec od postępującej fali gorąca.

Co to? Jasny błysk światła, nieskończenie jaśniejszy od gwiazd, nagle eksplodował mu nad głową. O całe kilometry nad nim, po niebie żeglowało ogromne lustro i odbijało promienie Słońca, powoli

obracając się w Kosmosie. Takie coś było absolutnie niemożliwe; zaczynał mieć halucynacje, a więc najwyższy czas odejść. Pot już zlewał mu ciało, a za kilka sekund kapsuła stanie się wnętrzem rozpalonego pieca.

Już dłużej nie czekał – resztkami słabnących sił pociągnął dźwignię awaryjną i zebrawszy się w sobie, czekał 'końca.

Lecz nic nie nastąpiło – dźwignia ani drgnęła. Szarpnął ją kilka razy, zanim dotarło doń, że beznadziejnie się zacięła. Nie miał już łatwego wyjścia – nie czekała go łagodna śmierć z braku powietrza. I dopiero wtedy, gdy obleciał go strach wywołany tą sytuacją, jego nerwy w końcu nie wytrzymały i zaczął wyć jak schwyte w pułapkę zwierzę. Kiedy usłyszał mówiący doń głos kapitana McClellana, słaby, choć wyraźny, sądził, że to jeszcze jedna halucynacja. Jednak jakieś resztki dyscypliny i opanowania sprawiły, że przestał krzyczeć – zacisnął zęby i słuchał znajomego, rozkazującego głosu.

– Sherrard! Trzymaj się, człowieku! Mamy cię w niemiary, ale musisz krzyczeć!

– Tu jestem! – wykrzyknął – ale śpieszcie się na rany boskie! Pałę się!

Resztkami rozsądku uświadomił sobie, co się stało. Kikuty jego połamanych anten musiały wysyłać jakieś nikłe sygnały i ci, którzy go szukali, usłyszeli jego krzyki – i on też ich słyszał. To znaczy, że są bardzo blisko i świadomość tego nagle dodała mu sił.

Wyteżał wzrok przez zamglony plastik kopuły w poszukiwaniu tego nieprawdopodobnego lustra na niebie. Znów je dojrzał – i teraz uświadomił sobie, że jego zmysły zwiódła zaskakująca perspektywa Kosmosu. Lustro nie znajdowało się w odległości wielu kilometrów, ani też nie miało ogromnych rozmiarów. Po prostu było tuż nad nim i szybko się poruszało.

Wciąż krzyczał, kiedy prześlizgiwało się przez tarczę wstającego Słońca, rzucając błogosławiony cień jak powiew zimnego wiatru w środku zimy, wiejącego nad kilometrami pokrytej śniegiem i lodem przestrzeni. Z tak niewielkiej odległości od razu je rozpoznał – było po prostu dużą osłoną przeciwradiacyjną z metalowej folii, niewątpliwie w pośpiechu zabraną z jakiegoś stanowiska z instrumentami. W jej bezpiecznym cieniu szukali go przyjaciele.

Nad jego głową unosiła się dwuosobowa kapsuła, przeznaczona do pracy w ciężkich warunkach; jedną parą mechanicznych rąk trzymała błyszczącą tarczę, a drugą wyciągała po niego. Nawet poprzez zaporowaną kopułę i mimo otumanienia żarem, który wciąż przytępiał mu zmysły, poznał zatroskaną twarz kapitana McClellana, który spoglądał nań z kapsuły.

A więc tak wyglądają narodziny: miał bowiem wrażenie, jakby ponownie się urodził. Był zbyt wyczerpany, aby okazać wdzięczność – zrobi to później – lecz kiedy wznosił się spośród płonących skał, odszukał wzrokiem jasną gwiazdę Ziemi.

– Tu jestem – rzekł cicho. – Już wracam. Oto powracał do świata, który uważał za stracony na zawsze, i znów będzie się cieszył jego wszystkimi urokami. Nie – nie wszystkimi. Już nigdy nie będzie lubił lata.

## 14. Wiatr od Słońca

Ogromną tarczę rozpiętego na takielunku żagla wypełnił już wiatr, który wieje między planetami. Regaty rozpoczną się za trzy minuty, jednak obecnie John Merton odczuwał większy spokój i odprężenie niż przez cały ostatni rok. Cokolwiek się wydarzy po tym, jak komodor da sygnał startu – czy Diana poprowadzi go do zwycięstwa, czy nie – już dopiął swego. Całe życie projektował statki dla innych, a teraz sam po-żegluje własnym.

– Dwie minuty do startu – odezwało się radio w kabinie. – Proszę potwierdzić gotowość.

Kolejno padały odpowiedzi pozostałych kapitanów. Merton poznawał wszystkie głosy – jedne napięte, inne spokojne – gdyż należały do jego przyjaciół i rywali. Na czterech zamieszkałych planetach zaledwie dwudziestu ludzi umiało prowadzić jachty słoneczne i wszyscy znajdowali się tu tam – albo na linii startowej, albo na pokładzie statków eskortowych, orbitujących trzydzieści cztery tysiące kilometrów nad równikiem.

– Numer jeden, Babie lato, gotów do startu.

– Numer dwa, Sama Maria, wszystko w porządku.

– Numer trzy, Promień słońca, gotów.

– Numer cztery, Woomera, wszystkie układy działają.

Merton uśmiechnął się słysząc ten ostatni zwrot, sięgający początków astronautyki. Stał się on jednak częścią tradycji w Kosmosie, gdyż czasem człowiek musi przywoływać duchy tych, którzy przed nim ruszyli ku gwiazdom.

– Numer pięć, Lebediew, jesteśmy gotowi.

– Numer sześć, Arachne, gotów.

Teraz jego kolej, na końcu stawki. Pomyśleć, że słowa, które wypowiadał w swej maleńkiej kabinie, słyszało przynajmniej pięć miliardów ludzi.

– Numer siedem, Diana, gotów do startu.

– Potwierdzam od jednego do siódmego – odpowiedział bezosobowy głos ze statku sędziowskiego.

– Do startu jedna minuta.

Merton prawie tego nie słyszał. Po raz ostatni sprawdzał naciąg takielunku. Wskazówki wszystkich dynamometrów stały nieruchomo; ogromny żagiel był naprężony, a jego błyszcząca powierzchnia wspaniale połyskiwała w słońcu.

Unosząc się w stanie nieważkości przy peryskopie, Merton miał wrażenie, że żagiel wypełnia całe niebo. Mogło mu się tak zdawać, gdyż na zewnątrz znajdowało się ponad pięć milionów sześćset pięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych żagla, umocowanego do jego kapsuły ponad stu pięćdziesięcioma kilometrami lin. Całe płótno wszystkich kliprów herbacianych, niegdyś mknących jak chmury po morzach chińskich, pozszywane w jedną gigantyczną płaszczyznę, nie dorównałoby powierzchnią wystawionemu na słońce żaglowi Diany. Był on jednak tylko nieco grubszy od ścianek bańki mydlanej; jego ponad pięć kilometrów kwadratowych pokrytego aluminium plastyku miało grubość kilkunastu milionowych centymetra.

– Dziesięć sekund do startu. Włączyć kamery rejestrujące.

Trudno wyobrazić sobie coś tak ogromnego, a jednocześnie delikatnego. Jeszcze trudniej zaś pojąć, że takie kruche lustro może swobodnie oderwać go od Ziemi samą siłą światła słonecznego, które uda mu się schwycić.

– ...pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, TNIJ!

Siedem ostrzy przecięło siedem cienkich lin, jakimi przywiązano jachty do statków-matek, które zebrały się tutaj, by je obsługiwać. Do tej chwili wszystkie razem krążyły wokół Ziemi w szyku zwartym, teraz zaś jachty zaczną się rozpraszać jak unoszone wiatrem nasiona dmuchawca. A zwycięży ten, który pierwszy minie Księżyc.

Na pokładzie Diany nie odnosiło się wrażenia, że cokolwiek uległo zmianie. Lecz Merton wiedział lepiej. Choć jego ciało nie odczuwało ciągu, instrumenty pokładowe powiedziały mu, że przyspieszenie wynosi prawie 0,001 G. Byłoby ono śmieszne dla rakiety, ale jachtowi słonecznemu udało się osiągnąć tę prędkość po raz pierwszy. Dianę zaprojektowano bardzo dobrze; ogromny żagiel pracował zgodnie z obliczeniami. Przy takim tempie wystarczą dwa obroty wokół Ziemi, by osiągnąć prędkość ucieczki i wówczas jacht będzie mógł ruszyć w stronę Księżyca pełną siłą Słońca, które znajdzie się z tyłu.

„Pełną siłą Słońca”... Uśmiechnął się krzywo, przypominając sobie wszystkie swe próby wyjaśnienia słuchaczom jego odczytów na Ziemi, na czym polega żeglarstwo słoneczne. Początkowo tylko w ten sposób zdobywał pieniądze. Mógłby zostać głównym projektantem Cosmodyne Corporation, i mieć na swym koncie mnóstwo udanych statków kosmicznych, lecz firma ta nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do jego hobby.

– Wyciągnijcie ręce do Słońca – mówił wówczas. – Co czujecie? Ciepło, oczywiście. Ale jest tam również ciśnienie, chociaż tak niewielkie, że nigdy go nie zauważyliście. Na całej powierzchni waszych rąk wynosi ono zaledwie około trzydziestu milionowych grama. Ale w Kosmosie nawet tak małe ciśnienie może się przydać, gdyż działa nieprzerwanie przez cały czas, w każdej chwili, codziennie. W przeciwieństwie do paliwa raketowego jest bezpłatne i nieograniczone. Gdybyśmy chcieli, można je wykorzystać. Możemy zbudować żagle napędzane wiatrem słonecznym.

Wówczas wyjmował kilka metrów kwadratowych materiału na taki żagiel i rzucał w stronę publiczności. Cienki srebrzysty materiał zwijał się i skręcał, a potem z wolna unosił do sufitu w prądach ciepłego powietrza.

– Widzicie, jakie to lekkie – ciągnął. – Dwa i pół kilometra kwadratowego tego materiału waży zaledwie jedną tonę, a na taką powierzchnię oddziałuje ciśnienie z siłą dwu i pół kilograma. Materiał zacznie się więc poruszać i może nas pociągnąć, jeśli zaopatrzymy go w odpowiedni takielunek. Przyspieszenie będzie oczywiście niewielkie: około jednej tysięcznej G. Nie wydaje się to dużo, ale zastanówmy się, co to oznacza. A mianowicie: w pierwszej sekundzie pokonamy około pół centymetra. Przypuszczam, że zdrowy ślimak jest szybszy. Ale po minucie przebędzie-my prawie dwieście metrów, nasza szybkość zaś wyniesie ponad półtora kilometra na godzinę. To chyba nieźle jak na statek napędzany zwykłym światłem słonecznym! Po godzinie znajdziemy się sześćdziesiąt pięć kilometrów od punktu wyjścia, a nasza szybkość osiągnie sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Proszę pamiętać, że w Kosmosie nie ma tarcia, jeśli więc puści się coś w ruch, będzie poruszało się bez końca. Zdziwią się państwo, gdy im powiem, że pod koniec pierwszego dnia podróży nasz statek żaglowy, napędzany siłą jednej tysięcznej G, będzie miał prędkość ponad trzy tysiące dwieście kilometrów na godzinę. Wystartuje z orbity, bo oczywiście musi, a osiągnie prędkość ucieczki po kilku dniach. A wszystko to bez kropli paliwa.

No cóż, przekonał ich, a w końcu przekonał nawet Cosmodyne. W ciągu minionych dwudziestu lat powstała nowa dyscyplina sportu. Nazywano ją sportem dla miliarderów, co odpowiadało prawdzie. Lecz uprawianie jej zaczęło się opłacać, zapewniając rozgłos i przyciągając telewizję. Od wyniku tych regat, które miały największą widownię w historii, zależał prestiż dwóch planet i czterech kontynentów.

Diana wystartowała dobrze; czas popatrzeć na przeciwników. Poruszając się bardzo ostrożnie – nie chciał ryzykować, chociaż między kapsułą sterowniczą a delikatnym takielunkiem znajdowały się amortyzatory – Merton zajął stanowisko przy peryskopie.

Były tam jak dziwne, srebrzyste kwiaty, zasadzone na ciemnych polach Kosmosu. Najbliższy jacht, Santa Maria z Ameryki Południowej, znajdował się w odległości zaledwie osiemdziesięciu kilometrów; bardzo przypominał dziecięcy latawiec, lecz o boku ponad półtora kilometra. Trochę dalej Lebidew Uniwersytetu Astrogradzkiego, wyglądający jak krzyż maltański; jego żagle, tworzące cztery ramiona, mogły najwyraźniej

zmieniać kąt nastawienia, co ułatwiało sterowanie. Kontrastowała z nim Woomera Federacji Australazyjskiej, będąca zwykłym spadochronem o obwodzie sześciu i pół kilometra. Arachne firmy General Spacecraft, zgodnie ze swą nazwą przypominała pajęczynę. Zbudowały ją w ten sposób wahadłowce-roboty, które poruszały się spiralnie z centralnego punktu. Jacht Babie lato z Eurospace Corporation zaprojektowano w identyczny sposób, tylko na nieco mniejszą skalę. A Promień słońca Republiki Marsjańskiej był płaskim kołem z ośmiusetmetrową dziurą pośrodku, które powoli się obracało, tak żeby siła odśrodkowa zapewniała sztywność żaglowi. To bardzo stary pomysł, jednak dotychczas nikomu jeszcze się nie udało go zrealizować i Merton był prawie pewien, że mieszkańcy kolonii znajdują się w poważnych tarapatkach, kiedy przyjdzie zrobić zwrot.

Ale miało to nastąpić dopiero za sześć godzin, w czasie których jachty będą powoli i dostojnie poruszały się po pierwszej ćwiartce swej dwudziestoczworgodzinnej orbity. Obecnie, na początku regat, jachty oddalały się od Słońca, niejako uciekając przed słonecznym wiatrem. Należało jak najlepiej wykorzystać ten etap, zanim statki dotrą na drugą stronę Ziemi i ponownie ruszą ku Słońcu.

Merton pomyślał, że czas na pierwszą kontrolę, dopóki nie ma innych kłopotów z nawigacją. Za pomocą peryskopu sprawdził żagiel, koncentrując się na punktach zaczepienia takielunku. Liny want – wąskie taśmy nie srebrzonego plastyku – byłyby niewidoczne bez warstwy farby fluorescencyjnej. Teraz tworzyły napięte wstęgi kolorowego światła, zwężające się na całej swej kilkusetmetrowej długości aż po gigantyczny żagiel. Każda z nich miała własną elektryczną windę, niewiele większą od wędkarskiego kołowrotka. Windy były w nieustannym ruchu, luzując i wybierając liny zgodnie z rozkazami autopilota, ustawiającego żagiel pod właściwym kątem do Słońca.

Z przyjemnością obserwowało się cudowną grę światła słonecznego na tym wielkim, elastycznym lustrze. Żagiel falował powoli i dostojnie, odbijając zwielokrotniony obraz Słońca, który przesuwał się po srebrzystej powierzchni do jej krańców, gdzie znikał. Takie powolne drgania są normalne dla tej rozległej, cienkiej struktury. Chociaż zwykle nieszkodliwe, jednak Merton obserwował je uważnie, gdyż czasami przechodziły w katastrofalne falowanie, zwane wirowym, które może porwać żagiel w strzępy.

Kiedy z zadowoleniem uznał, że wszystko jest we wzorowym porządku, zatoczył peryskopem po niebie, ponownie sprawdzając pozycje swych rywali. Wszystko przebiegało zgodnie z jego przewidywaniami: rozpoczął się przesiew i gorsze jachty zostawały za rufą. Lecz prawdziwa próba nastąpi, gdy wejdą w cień Ziemi. Wówczas liczyć się będzie nie tylko szybkość, lecz także sterowność.

Może to się wydawać dziwne na samym początku regat, lecz pomyślał, że dobrze byłoby się zdrzemnąć. Dwuosobowe załogi pozostałych jachtów mogły to robić na przemian, ale Merton nie miał nikogo, kto by go zastąpił. Musiał polegać wyłącznie na sobie, jak inny samotnik, Joshua Slocum, na swym niewielkim Sprayu. Ten amerykański żeglarz samotnie opłynął dookoła świata i nigdy nie mógł nawet marzyć, że dwadzieścia lat później ktoś będzie żeglował samotnie z Ziemi na Księżyc, przynajmniej częściowo zainspirowany jego przykładem.

Merton przypiął się do siedzenia elastycznymi pasami i do czoła przyłożył sobie elektrody wzbudnika snu. Nastawił zegar na trzy godziny później i rozluźnił się. Przez czołowe płyty jego mózgu przeszedł dreszcz bardzo delikatnego, hipnotyzującego prądu. Pod zamkniętymi powiekami zobaczył kolorowe spirale światła, rozchodzące się w nieskończoność. I już nic nie widział...

Bezlitosny brzęczyk wyrwał go ze snu bez marzeń. Natychmiast otrzeźwiał i przebiegł wzrokiem po tablicy przyrządów. Minęły tylko dwie godziny, lecz nad szybkościomierzem błyskało czerwone światełko. Zmniejszył się ciąg i Diana traciła szybkość.

W pierwszej chwili Merton pomyślał, że stało się coś z żaglem; być może zawiodły urządzenia przeciwskręcieniowe i doszło do splątania lin. Szybko sprawdził wskaźniki naprężenia want. Dziwna rzecz – z jednej strony żagla odczyt był normalny, z drugiej zaś naciąg z wolna spadał, nawet w oczach.

Merton nagle się zorientował, chwycił peryskop, nastawił go na szeroki kąt widzenia i zaczął badać wzrokiem brzeg żagla. Tak, tam był cały kłopot i mógł mieć tylko jedną przyczynę.

Olbrzymi, ostry cień przesuwiał się po błyszczącym srebrze żagla. Diana znalazła się w ciemności, jak gdyby między nią a Słońcem przechodziła chmura. W ciemności tej, ograbiona z promieni, które ją napędzały, straci cały ciąg i zacznie bezradnie dryfować w Kosmosie.

Lecz oczywiście tutaj, na wysokości ponad trzydziestu kilometrów nad Ziemią, nie było żadnych chmur. Cień więc spowodował człowiek.

Merton uśmiechnął się, kierując peryskop w stronę Słońca i włączając filtry, które pozwolą mu patrzeć prosto w jego płonąca tarczę bez narażania się na oślepienie,

– Manewr 4A – mruknął do siebie. – Zobaczmy, kto jest lepszy w tej grze.

Jakby gigantyczna planeta przecinała tarczę Słońca: wielki, czarny dysk wgryzł się głęboko w jego krawędź. Dwadzieścia mil za rufą Babie lato próbowało stworzyć sztuczne zaciemnienie, specjalnie dla Diany.

Manewr ten był całkowicie dozwolony. Dawniej, w czasach morskich regat, kapitanowie często próbowali odbierać sobie wiatr. Przy odrobinie szczęścia udawało się pozostawić rywala bez wiatru, z obwisłymi żaglami, i skoczyć do przodu tak, że trudno mu było nadrobić tę stratę.

Merton nie zamierzał dać się tak łatwo złapać. Miał mnóstwo czasu na unik – wszystko odbywa się wolno w czasie żeglowania jachtem słonecznym. Jeszcze upłynie co najmniej ze dwadzieścia minut, zanim Babie lato zdoła całkowicie zasłonić tarczę Słońca.

Niewielki komputer Diany – o wymiarach zaledwie pudełka od zapalek, lecz sprawnością dorównujący tysiącu matematyków – przeana-lizował zadanie w ciągu pełnej sekundy i odpowiedź zabłysła na ekranie. Musi otworzyć trzecią i czwartą klapę sterującą, póki kąt ustawienia żagla nie powiększy się o dodatkowe dwadzieścia stopni i wówczas ciśnienie promieniowania wypchnie go z niebezpiecznego cienia Babiego lata; w ten sposób jacht znów znajdzie się w pełnym blasku Słońca. Przykro wtrącać się do sterowania autopilotowi, który tak starannie zaprogramowano, by uzyskać możliwie największą szybkość, ale w końcu po to na pokładzie znajduje się człowiek. W przeciwnym razie słoneczny jachting nie byłby sportem, lecz walką między komputerami.

Poluzowały się liny sterujące numer jeden i sześć i natychmiast zwiotczały, powoli falując jak ospałe węże. W odległości trzech kilometrów zaczęły się leniwie otwierać trójkątne klapy, przepuszczając światło słoneczne przez żagiel. Przez dłuższy czas jak gdyby nic się nie działo. Trudno przywyknąć do tego świata o zwolnionych ruchach, w którym na efekty każdego działania trzeba czekać całe minuty, nim oko je dostrzeże. Dopiero teraz Merton zobaczył, że żagiel zmienił kąt w stosunku do Słońca – nieszkodliwy już cień Babiego lata oddalał się wraz ze stożkiem ciemności, ginącym w czerni kosmicznej nocy.

Na długo przedtem, zanim cień zniknął i tarcza Słońca znowu stała się czysta, Merton z powrotem ustawił żagiel jak poprzednio i ponownie sprowadził Dianę na kurs. Inercja pozwoli jej uniknąć niebezpieczeństwa i nie należało przesadzać z unikiem, aby nie zaprzepaścić wszystkich obliczeń. To jeszcze jedna zasada, której trudno się nauczyć: w chwili rozpoczynania jakiegoś manewru w Kosmosie czas już myśleć o jego przerwaniu.

Ponownie ustawił urządzenie alarmowe, aby zadziałało przy następnej sytuacji awaryjnej, powstałej z przyczyn naturalnych czy też z winy człowieka. Babie lato albo jakiś inny zawodnik znów może spróbować podobnego wybiegu. Tymczasem nadeszła pora posiłku, choć Merton nie czuł szczególnego głodu. W Kosmosie zużywa się niewiele energii, łatwo więc zapomnieć o jedzeniu. Łatwo, lecz niebezpiecznie, gdyż w przypadku nagłej awarii może nie wystarczyć sił.

Otworzył pierwszą paczkę z jedzeniem i bez entuzjazmu obejrzał jej zawartość. Spojrzał na etykietę – „Kosmiczny smakołyk” – sama nazwa była odstręczająca. Poważne wątpliwości budziła wydrukowana niżej obietnica: „Gwarantowany bezokruczowy”. Ludzie mówią, że okru-chy w statku kosmicznym to niebezpieczeństwo większe od meteorytów,

gdyż potrafią, unosząc się swobodnie, dotrzeć do najbardziej nieprawdopodobnych miejsc i powodować krótkie snycia, zatkać ważne dysze i przeniknąć do wnętrza instrumentów, które ponoć są hermetyczne.

Jednak zjadł tę wątrobiankę z dość dużym apetytem; smakowała mu również czekolada i przecier ananasowy. Plastikowy pojemnik z kawą właśnie się podgrzewał, kiedy świat zewnętrzny wdarł się w samotność Mertona głosem radiooperatora, który wzywał go z pokładu statku komo-dora.

– Doktor Merton? Jeśli ma pan wolną chwilę, Jeremy Blair chciałby zamienić z panem parę słów.

Blair należał do bardziej odpowiedzialnych dziennikarzy i Merton wielokrotnie uczestniczył w jego programach. Oczywiście mógł odmówić wywiadu, ale lubił Blaira i akurat w tej chwili nie był zbyt zajęty.

– Zgoda – odpowiedział.

– Witam, doktorze Merton – z miejsca odezwał się komentator. – Cieszę się, że może mi pan poświęcić kilka minut. Moje gratulacje; zdaje się, że jest pan na czele stawki.

– Jeszcze za wcześnie na gratulacje, gra dopiero się zaczęła – ostrożnie odparł Merton.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze, dlaczego postanowił pan poprowadzić Dianę samotnie? Czy tylko dlatego, że jeszcze pan tego nie robił?

– Cóż, czy to nie dostateczny powód? Ale przyznaję, że oczywiście nie jedyny.

Przerwał, uważnie dobierając słów.

– Pan wie, jak bardzo sprawność jachtu słonecznego zależy od jego masy. Drugi członek załogi wraz z niezbędnym wyposażeniem oznaczałby dodatkowe dwieście pięćdziesiąt kilogramów. A to mogłoby uniemożliwić zwycięstwo.

– A jest pan absolutnie przekonany, że samotnie poradzi pan sobie z Dianą"?

– Mam podstawy, by tak sądzić, dzięki zaprojektowanym przeze mnie urządzeniom automatycznego sterowania, Mnie pozostaje tylko nadzór nad nimi i podejmowanie decyzji.

– Jednakże... pięć kilometrów kwadratowych żagla! Wydaje się wprost niemożliwe, żeby jeden człowiek z tym wszystkim sobie poradził.

– Dlaczego nie? – zaśmiał się Merton. – Te pięć kilometrów kwadratowych daje maksymalny ciąg o sile zaledwie pięciu kilogramów. Więcej uniosę małym palcem.

– Cóż, dziękuję, doktorze. Powodzenia. Będę próbował znów się z panem połączyć.

Po sygnale kończącym rozmowę Mertonowi zrobiło się trochę wstyd. Powiedział bowiem zaledwie część prawdy i był pewien, że Blair jest na tyle bystry, by to wiedzieć.

15 – Spotkanie..

Tylko z jednego powodu znajdował się tutaj, w Kosmosie, samotnie. Przez ponad czterdzieści lat pracował z zespołami składającymi się z setek, a nawet tysięcy ludzi, uczestnicząc w projektowaniu najbardziej skomplikowanych pojazdów, jakich świat jeszcze nie znał. W ciągu ostatnich dwudziestu lat prowadził jeden z takich zespołów i widział, jak twory jego pracy odlatywały ku gwiazdom (jeśli nawet bez jego winy czasem zdarzały się niepowodzenia, nie mógł o nich zapomnieć). Był znany, miał za sobą pełną sukcesów<sup>7</sup> karierę. Lecz nigdy niczego nie dokonał sam – zawsze był jednym z wielu.

To była ostatnia szansa sięgnięcia po sukces indywidualny, którego z nikim nie będzie musiał dzielić. Przez co najmniej najbliższe pięć lat nie da się uprawiać żeglarstwa słonecznego, ponieważ kończył się okres spokojnego Słońca i rozpoczynał cykl złej pogody z burzami radiacyjnymi, szalejącymi po całym Układzie Słonecznym. Kiedy takie delikatne, pozbawione osłon statki zaczną znów bezpiecznie unosić się w Kosmosie, on już będzie za stary. Właściwie chyba już teraz jest za stary...

Wyrzucił puste pojemniki po jedzeniu do zbiornika odpadków i ponownie spojrzął w peryskop. Początkowo odnalazł tylko pięć z pozostałych jachtów; nie było śladu Woomery. Odszukanie jej zajęło mu kilka minut – ukazała się jako niewyraźna, przyćmiona przez gwiazdy zjawka, zgrabnie

złapana w cień Lebediewa. Wyobrażał sobie gorączkowe wysiłki Australczyków pragnących się odeń uwolnić i zastanawiał się, w jaki sposób wpadli w tę pułapkę. Wyglądało na to, że Lebediew był niezwykle zwrotny. Szukał pewnie następnej ofiary, choć znajdował się za daleko, by w tej chwili mógł zaszkodzić Dianie.

Teraz Ziemia zniknęła prawie całkowicie; zmniejszyła się do rozmiarów wąskiego, błyszczącego łuku światła, stale przesuwającego się w stronę Słońca. Ten płonący łuk stanowił niewyraźną granicę nocnej strony planety, tu i ówdzie, przez dziury w chmurach, połyskującej fosforycznie błyskami wielkich miast. Ciemna tarcza przysłoniła już ogromną część Drogi Mlecznej. W ciągu kilku minut zacznie przykrywać Słońce.

Gasło światło dnia; zmrok kładł się na żaglu barwą purpury – odbłaskiem wielu zachodów słońca o tysiące kilometrów niżej – kiedy Diana bezgłośnie weszła w cień Ziemi. Słońce zniknęło za niewidocznym horyzontem; po kilku minutach zapadła noc.

Merton spojrział wstecz na orbitę, po której krążył; miał za sobą ćwierć drogi wokół planety. Zobaczył, jak pozostałe jachty, migając niczym gwiazdy, kolejno wchodziły jego śladem w krótką noc. Upłynie godzina, zanim Słońce ukaże się zza tej ogromnej czarnej tarczy, a przez cały ten czas pozbawione napędu jachty będą dryfowały zupełnie bezradnie.

Włączył zewnętrzny szperacz i w jego świetle zaczął sprawdzać pociemniały teraz żagiel. Hektary jego powierzchni poczęły się już marszczyć i wiotczyć. Liny want obwisły i należało je nawinąć, by się nie splątały. Lecz na to był przygotowany; wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Pięćdziesiąt mil za jego rufą Arachne i Santa Maria nie miały tyle szczęścia. Merton dowiedział się o ich kłopotach, kiedy nagle ożywiło się radio w paśmie częstotliwości alarmowych.

– Numer dwa i numer sześć, tu kontrola. Jesteście na kursie kolizyjnym; wasze orbity przetną się za sześćdziesiąt pięć minut! Nie potrzebujecie pomocy?

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której obaj kapitanowie przetrwaliali tę złą wiadomość. Merton zastanawiał się, kogo należało za to winić. Być może jeden z nich próbował schwytać drugi jacht w swój cień i nie dokończył manewru, bo zaskoczyła ich ciemność. Teraz żaden z nich nie mógł nic zrobić. Powroli, lecz nieuchronnie jachty zbliżały się do siebie, niezdolne do zmiany kursu nawet o ułamek stopnia.

Jednak te sześćdziesiąt pięć minut! Pozostanie im jeszcze pięć, kiedy ponownie znajdą się w świetle Słońca po opuszczeniu cienia Ziemi. Mieli niewielką szansę, jeżeli ich żaglom uda się schwytać dość energii, by uniknąć zderzenia. Na pokładzie Arachne i Sama Marii muszą teraz dokonywać gorączkowych obliczeń.

Arachne odpowiedziała jako pierwsza. Merton spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Numer sześć wzywa kontrolę. Dziękujemy za pomoc. Poradzimy sobie sami.

Ciekawe jak, pomyślał Merton. Przynajmniej będzie na co popatrzeć. Zbliżał się pierwszy prawdziwy dramat w tych regatach, dokładnie nad linią wyznaczającą na Ziemi północ.

Przez następną godzinę za bardzo absorbował Mertona jego własny żagiel, by mógł martwić się o Arachne i Sama Marię. W wąskiej smudze światła szperacza i w blasku wciąż odległego Księżyca trudno dobrze obserwować cztery miliony sześćset pięćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych plastyku znajdującego się daleko w ciemności. Od tej chwili, przez prawie pół orbity wokół Ziemi musi utrzymywać całą tę ogromną powierzchnię prostopadle do Słońca. W ciągu najbliższych dwunastu czy czternastu godzin żagiel będzie tylko bezużytecznym ciężarem, ponieważ statek, lecąc po swej orbicie pod Słońce, byłby wówczas jedynie hamowany przez jego promienie. Szkoda, że Merton nie mógł całkowicie zwinąć żagla do czasu, gdy znów stanie się potrzebny, ale nikt jeszcze nie wymyślił praktycznego sposobu przeprowadzania takiej operacji.

Daleko w dole, na krawędzi Ziemi, dostrzegł pierwszą, nieśmiałą zapowiedź świtu. Za dziesięć minut Słońce wyjdzie z zaćmienia. Dryfujące jachty nabiorą życia z pierwszym uderzeniem promieni w żagle. Będzie to krytyczna chwila dla Arachne \ Sama Marii – a właściwie



dla wszystkich jachtów. Merton obracał peryskopem na wszystkie strony, aż znalazł dwa przesuwane się cienie na tle gwiazd. Były bardzo blisko siebie – odległość między nimi wynosiła chyba mniej niż trzy mile. Doszedł do wniosku, że może im się udać...

Kiedy Słońce uniosło się zza Pacyfiku, świt wybuchnął blaskiem nad krawędzią Ziemi. Żagiel i liny want pokryły się czerwienią, następnie złotem, by w końcu zajaśnieć czystym, białym światłem dnia. Wskazówki dynamometrów przesunęły się z zera, lecz tylko odrobinę. Diana wciąż była w prawie zupełnej nieważkości, gdyż żagiel celował krawędzią w Słońce, więc jej przyspieszenie wynosiło zaledwie kilka milionowych G.

Natomiast Arachne i Sama Maria, w rozpaczliwej próbie trzymania się z dala od siebie, rozwijały jak najwięcej żagla. Teraz odległość między nimi spadła poniżej dwóch mil, a błyszczące plastikowe chmury ich żagli rozwijały się i rozpościerały w pierwszych delikatnych promieniach Słońca z doprowadzającą do rozpazy powolnością. Ekran prawie wszystkich telewizorów na Ziemi przedstawiały ten przedłużający się dramat, którego wyniku nie dało się przewidzieć nawet teraz, w ostatniej minucie.

Obaj kapitanowie byli uparci. Każdy mógł odrzucić żagiel i ustąpić z drogi, dając drugiemu szansę, ale żaden z nich tego nie uczynił. W grę wchodził przecież prestiż, miliony i sława. Tak więc, bezgłośnie i miękko jak płatki śniegu w zimową noc, zderzyły się ze sobą Arachne i Santa Maria.

Kwadratowy latawiec prawie niezauważalnie stał się okrągłą pajęczyną. Długie wstęgi want skręcały się i płątały powoli jak we śnie. Nawet Merton na pokładzie Diany, zajęty własnym takielunkiem, prawie nie mógł oderwać oczu od tej cichej, przeciągającej się w czasie katastrofy.

Świecące, skłębione chmury plastiku zbijały się w jednolitą masę przez ponad dziesięć minut. Potem odłączyły się kapsuły załogowe i ruszyły oddzielnie, przechodząc obok siebie ledwie o setki metrów. Statki ratownicze, strzelając dyszami, pośpieszyły w ich stronę.

Pozostało nas pięciu, pomyślał Merton. Współczuł kapitanom, którzy tak skutecznie wyeliminowali się wzajemnie z regat zaledwie kilka godzin po starcie, ale byli to ludzie młodzi i mieli jeszcze szansę.

Po kilku minutach z pięciu zrobiło się czterech. Powoli obracający się Promień słońca od samego początku budził wątpliwości Mertona, które obecnie znalazły potwierdzenie.

Statek marsjański nie mógł prawidłowo manewrować ze względu na stabilizującą rotację żagla, który obrócił się płaszczyzną do Słońca zamiast krawędzią. Jacht spychało wstecz prawie z maksymalnym przyspieszeniem.

Chyba nic bardziej irytującego nie mogło spotkać kapitana jachtu – to było gorsze od zderzenia, gdyż winę ponosił wyłącznie on sam.

Nikt jednak zbyt nie współczuł mieszkańcom kolonii z wolną znikającym za rufą. Za bardzo chwalili się przed regatami i to, co się stało, tylko potwierdziło istnienie sprawiedliwości na tym świecie. '

Jednak nie należało całkowicie spisywać Promienia słońca na straty – mając przed sobą jeszcze prawie milion mil, może równie dobrze wyjść na czoło. Prawdę powiedziawszy, gdyby wydarzyło się kilka dalszych wypadków, mógłby zostać nawet jedynym jachtem w regatach. Już tak bywało.

Następne dwanaście godzin przebiegło bez wydarzeń, a w tym czasie Ziemia przeszła z nowiu w pełnię. Nie było nic do roboty, kiedy niewielka flota dryfowała bez napędu przez połowę orbity, lecz Mertonowi czas się nie dłużył. Kilka godzin spał, zjadł dwa posiłki, dokonał wpisu do dziennika pokładowego i udzielił kilku wywiadów przez radio. Czasem, choć rzadko, rozmawiał z innymi kapitanami, wymieniając pozdrowienia i przyjacielskie docinki. Lecz głównie cieszył się dryfowaniem w nieważkości na pełnym luzie, z dala od ziemskich kłopotów, w poczuciu szczęścia, jakiego nie przeżywał od wielu lat. Na ile pozwalał Kosmos, był panem swego losu, żeglując statkiem, w który włożył tak wiele umiejętności, tyle serca, że stał się częścią jego samego.

Kolejny wypadek nastąpił, kiedy przecinali linię łączącą Ziemię ze Słońcem, rozpoczynając odcinek lotu po orbicie z wykorzystaniem napędu. Z pokładu Diany Merton zobaczył, jak

zmieniając kąt ustawienia, żagiel sztywnieje, by schwycić napędzające go promienie. Powoli rosło przyśpieszenie, choć upłyną jeszcze całe godziny, zanim osiągnie wartość maksymalną.

Babie law nigdy jej nie osiągnie. Moment pierwszego uderzenia energii słonecznej jest zawsze krytyczny i jachtowi temu nie udało się go przetrwać.

Wiadomość tę podał Blair w czasie swego komentarza radiowego, którego Merton słuchał przy ściszym odbiorniku.

– Halo, Babie lato się skręca!

Merton pośpieszył do peryskopu, lecz w pierwszej chwili nie zauważył, by coś złego działo się z wielką, okrągłą tarczą żagla Babiego lata. Wszystko widział niezbyt dokładnie, gdyż skierowany doń krawędzią żagiel wyglądał jak płaska elipsa, lecz teraz dostrzegł, że skręca się we wszystkie strony w powolnych, nie dających się opanować drgnieniach. Jeżeli załodze nie uda się ich stłumić delikatnymi, odpowiednio zgranymi pociągnięciami za wanty, żagiel podrze się na kawałki.

Robili, co tylko mogli, i po dwudziestu minutach wyglądało na to, że się im udało. Potem, gdzieś blisko środka żagla, cienki plastik zaczął się pruć. Pod wpływem ciśnienia promieni rozdarcie powoli przesunęło się do brzegu jak ulatująca z ogniska strużka dymu. Po kwadransie zostały jedynie promieniste maszty, podtrzymujące wielką sieć. Znow zaświeciły dysze wylotowe i statek ratowniczy ruszył w jej stronę, by podjąć kapsułę Babiego lata z jego przygnębioną załogą.

– Jesteśmy coraz samotniejsi, prawda? – odezwał się jakiś głos z krótkofalówki.

– Nie ty, Dymitrze – odparł Merton. – Ty masz jeszcze towarzystwo tam, przy końcu stawki. To ja jestem samotny, tu, na przedzie.

Nie była to czcza przechwałka. Diana wyprzedzała najbliższego współzawodnika o trzysta mil i powinna zwiększyć dystans w ciągu najbliższych godzin.

Na pokładzie Lebidiewa Dymitr Marków zaśmiał się dobrodusznie. Merton pomyślał, że nie jest to śmiech człowieka, który pogodził się z przegraną.

– Przypomnij sobie baikę o żółwiu i zającu – odpowiedział Rosjanin. – Jeszcze mnóstwo rzeczy może się wydarzyć przez najbliższe dwieście pięćdziesiąt tysięcy mil.

Stało się to znacznie wcześniej, kiedy kończyli pierwszy obrót wokół Ziemi, ponownie zbliżając się do linii startu, lecz tym razem półtora tysiąca kilometrów wyżej, dzięki dodatkowej energii, którą dały im promienie Słońca. Merton uważnie obserwował pozostałe jachty, przekazując dane komputerowi. Odpowiedź, którą otrzymał na temat Woomery, była tak absurdalna, że niezwłocznie powtórzył namiar.

Nie miał żadnych wątpliwości – Australożyjczycy doganiali go w fantastycznym tempie. Żaden jacht słoneczny nie mógł uzyskać takiego przyśpieszenia, chyba że...

Krótkie spojrzenie w peryskop dało mu odpowiedź. Nie wytrzymał takielunek Woomery, który zaprojektowano tak, aby miał jak najmniejszą masę. A zatem był to tylko sam jej żagiel, który zachowawszy swój kształt, pędził za nim jak unoszona wiatrem chustka. Dw7ie godziny później przemknął obok niego w odległości niecałych dwudziestu mil, lecz Australożyjczycy już dawno przyłączyli się do coraz liczniejszej załogi statku ratowniczego komodora.

Teraz więc był to już tylko pojedynek między Dianą a Lebidiewem, choć bowiem Marsjanie jeszcze nie zrezygnowali z walki, jednak pozostając tysiąc mil za nimi, przestali już się liczyć jako groźny przeciwnik. Trudno przewidzieć, co uczyni Lebidiew, by prześcignąć Dianę, ale na drugim etapie, ponownie w zaciemnieniu i w czasie długiego, powolnego dryfowania ku Słońcu, Merton odczuwał rosnący niepokój.

Znał rosyjskich pilotów i projektantów. Próbowali wygrać te regaty od dwudziestu lat – i ostatecznie należało im się, bo czyż to nie Piotr Nikołajewicz Lebidiew odkrył na początku dwudziestego wieku ciśnienie promieni słonecznych? Ale dotychczas im się nie udało.

Nigdy jednak nie przestaną próbować. Dymitr coś szykował i zrobi to efektownie.

Na pokładzie statku komisji sędziowskiej, tysiąc mil za ścigającymi się jachtami, przerażony komodor van Stratten patrzył ze złością na radiogram. Dotarł doń z odległości ponad stu

sześćdziesięciu milionów kilometrów, z łańcucha obserwatoriów zawieszonych wysoko ponad płonąca powierzchnią Słońca, przekazując wiadomość najgorszą z możliwych.

Komodor – człowiek noszący ten tytuł, oczywiście tylko podczas regat, na Ziemi był profesorem astrofizyki w Harvardzie – spodziewał się tego. Jeszcze nigdy nie organizowano regat tak późno. Opóźnienie nastąpiło z wielu powodów – zaryzykowali, a teraz pewnie wszyscy przegrają.

Głęboko pod powierzchnią Słońca zbierały się ogromne siły. W każdej chwili mogła nastąpić eksplozja energii równa sile wybuchu miliona bomb wodorowych, znana jako rozbłysk chromosfery. Wznosząc się z szybkością milionów kilometrów na godzinę, niewidzialna kula ognia, wielokrotnie większa od Ziemi, wyskoczy ze Słońca i ruszy w Kosmos.

Chmura naelektryzowanego gazu prawdopodobnie całkowicie ominie Ziemię. W przeciwnym razie znajdzie się tutaj w ciągu jednej doby. Statki kosmiczne są bezpieczne, gdyż mają osłony i silne ekrany magnetyczne, ale kosmiczne jachty o lekkiej budowie, ze swymi cienkimi jak papier ścianami, będą bezbronne wobec takiego niebezpieczeństwa. Należałoby zdjąć załogi i przerwać regaty.

John Merton nic o tym nie wiedział, po raz drugi prowadząc Dianę wokół Ziemi. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie to ostatni obrót zarówno dla niego, jak i dla Rosjan. Wzniesli się spiralą o tysiące mil, czerpiąc energię z promieni Słońca. Na tym etapie powinni całkowicie wyzwolić się spod działania siły przyciągania Ziemi i ruszyć w długą podróż do Księżyca. Teraz regaty stały się rzeczywiście pojedykiem – wyczerpana załoga Promienia słońca wycofała się w końcu, po przeszło stu tysiącach mil męźnych zmagania z obracającym się żaglem.

Merton nie czuł zmęczenia; był najedzony i wyspany, a Diana świetnie się sprawowała. Napinając liny jak pracowity pająk, autopilot ustawiał żagiel do Słońca dokładniej niż najlepszy żeglarz. Chociaż kilometry kwadratowe plastikowego żagla musiały już być podziurawione jak sito przez setki mikrometeorytów, otwory wielkości główki od szpilki nie zmniejszały ciągu.

Miał tylko dwa zmartwienia. Pierwsze to wana numer osiem, którą właściwie już nie mógł manewrować. Bez żadnego ostrzeżenia zacięła się jej winda – w próżni czasem zacierają się łożyska, nawet po tylu latach rozwoju inżynierii astronautycznej. Nie mógł ani luzować, ani wybierać tej liny i będzie musiał żeglować, maksymalnie wykorzystując pozostałe. Najtrudniejsze manewry szczęśliwie już się skończyły. Od tej chwili Diana, mając Słońce za sobą, pożegluje pełnym wiatrem słonecznym. A jak mawiali dawni żeglarze, łatwo radzić sobie ze statkiem, gdy wiatr wieje w plecy.

Drugim zmartwieniem był Lebediew, następujący mu na piąty trzysta mil za rufą. Rosyjski jacht odznaczał się wyjątkową zwrotnością dzięki wielkim płaszczyznom, które dały się ustawiać pod kątem do głównego żagla. W czasie okrążania Ziemi wykonywał zwroty z niesłychaną precyzją. Ale zyskując na zwrotności, musiał poświęcić szybkość. Można mieć albo jedno, albo drugie; na długim, prostym halsie Merton powinien wyjść obronną ręką. Jednak nie mógł być pewien zwycięstwa, póki za trzy do czterech dni Diana nie znajdzie się po drugiej stronie Księżyca.

I wówczas, w pięćdziesiątej godzinie regat, akurat po zakończeniu drugiego obrotu wokół Ziemi, Marków zrobił mu niespodziankę.

– Halo, John – powiedział jak gdyby nigdy nic przez krótkofalówkę. – Chciałbym, żebyś na to popatrzył. Powinno być ciekawe.

Merton podciągnął się do peryskopu i nastawił go na maksymalne powiększenie. W polu widzenia zobaczył jeden z najbardziej nieprawdopodobnych widoków na tle gwiazd – świecący krzyż maltański Lebie-diewa, maleńki, lecz bardzo wyraźny. Kiedy tak patrzył, cztery ramiona krzyża powoli oddzieliły się od centralnego kwadratu i odpłynęły w Kosmos wraz ze swymi wszystkimi masztami i olinowaniem.

Marków pozbył się całej niepotrzebnej masy, skoro zbliżał się do prędkości ucieczki i nie musiał już mozolnie i cierpliwie nabierać rozpędu za każdym obrotem wokół Ziemi. Od tej chwili Lebediew będzie prawie zupełnie pozbawiony zwrotności, ale to nie miało znaczenia, gdyż całą

zawiła nawigację miał już za sobą. To tak, jakby dawny żeglarz świadomie pozbył się steru i ciężkiego kila, wiedząc że na pozostałym odcinku regat popłynie z wiatrem po spokojnym morzu.

– Moje gratulacje, Dymitrze – powiedział Merton przez radio. – Chytra sztuczka, ale mało skuteczna. Teraz już nie możesz mnie dogonić.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł Rosjanin. – W mojej ojczyźnie jest taka stara, zimowa opowieść o saniach, ściganych przez wilki. Powożący, żeby się uratować, musi po kolei wyrzucać pasażerów. Nie widzisz analogii?

Merton oczywiście widział, aż za dobrze. Na ostatnim, prostym etapie, Dymitr już nie potrzebował drugiego pilota. Lebidiew naprawdę mógł pozbyć się wszystkiego, co było już zbędne.

– Aleksy nie będzie tym zachwycony – rzekł Merton. – A poza tym to wbrew przepisom.

– Aleksy nie jest zachwycony, ale ja tu jestem kapitanem. Po prostu poczeka sobie jakieś dziesięć minut, aż podejmie go komodor. A przepisy nic nie mówią o liczebności załogi, co powinieneś wiedzieć.

Merton nie odpowiedział – był zbyt zajęty pośpieszonymi obliczeniami, opartymi na jego znajomości budowy Lebidiewa. Zanim skończył, wiedział już, że wynik regat jest wciąż niepewny. Lebidiew będzie go doganiał akurat w czasie, gdy miał nadzieję mijać Księżyc.

Lecz wynik regat już się decydował w odległości stu pięćdziesięciu milionów kilometrów.

Na pokładzie Obserwatorium Słonecznego III, wewnątrz orbity Merkurego, automatyczne instrumenty zapisały całą historię rozbłysku chromosfery. Dwieście pięćdziesiąt milionów kilometrów kwadratowych powierzchni Słońca wybuchło tak gwałtownie białoniebieskim ogniem, że jego blask przyćmił światło pozostałej części tarczy. Z tego wrzącego piekła wysoko wzbiła się naelektryzowana plazma wielkiego rozbłysku, skręcając się i wijąc w7 magnetycznych polach własnej kreacji niczym jakaś żywa istota. Poprzedzał ją ostrzegawczy błysk promieni ultrafioletowych i rentgenowskich, które, stosunkowo nieszkodliwe, z szybkością światła dotrą do Ziemi po ośmiu minutach. Natomiast naładowane atomy, poruszające się ich śladem z prędkością zaledwie sześciu i pół miliona kilometrów na godzinę, po upływie doby otoczą Dianę, Lebidiewa i towarzyszącą im flotyllę chmurą zabójczego promieniowania.

Komodor zwlekał z decyzją do ostatniej chwili. Nawet kiedy strumień plazmy przecinał już orbitę Wenus, istniała jeszcze szansa, że ominie Ziemię. Lecz gdy znalazł się w odległości niespełna czterech godzin, co wykryła sieć radarowa na Księżycu, nie było już nadziei. Skończyło się słoneczne żeglowanie na najbliższe pięć do sześciu lat, póki Słońce znów się nie uspokoi.

W całym układzie słonecznym słychać było westchnienia rozczarowania. Diana i Lebidiew znajdowały się w połowie drogi do Księżyca, idąc łeb w łeb – teraz nikt już się nie dowie, który jacht jest lepszy. Przez lata całe kibice będą się sprzeczać o to, kto mógł wygrać, a historia po prostu odnotuje: „Regaty przerwano z powodu burzy na Słońcu”.

Kiedy rozkaz przerwania regat dotarł do Mertona, ten poczuł gorzyc, jakiej nie zaznał od dzieciństwa. Pojawił mu się przed oczami czysty i wyraźny obraz wspomnienia z dawnych lat, kiedy obchodził dziesiąte urodziny. Obiecano mu dokładny model słynnego statku kosmicznego Gwiazda poranna. Od wielu tygodni planował, jak go będzie składał i gdzie powiesi w swoim pokoju. I wtedy, w ostatniej chwili, ojciec powiedział: „Przykro mi, John, jest za drogi. Może w przyszłym roku...”

Pół wieku później, mając za sobą pełne sukcesów życie, znowu był małym chłopcem ze złamanym sercem.

Przeniknęła mu myśl, by nie posłuchać rozkazu. A może pożeglować dalej, ignorując ostrzeżenie? Jeśli nawet unieważnią regaty, mógłby minąć Księżyc i fakt ten odnotowałyby księgi rekordów na całe pokolenia.

Lecz to gorsze niż głupota – równa się przecież samobójstwu i to samobójstwu w bardzo nieprzyjemnej formie. Widział ludzi umierających wskutek napromieniowania, kiedy w głębi Kosmosu zawiodły osłony magnetyczne ich statków. Nie, nie warto aż tak się poświęcać...

Współczuł zarówno sobie, jak i Markowowi. Obaj zasłużyli na zwycięstwo, a teraz żadnemu z nich nie przypadnie ono w udziale. Nie można sprzeciwić się Słońcu, kiedy wpada w furję, jeśli nawet dzięki jego promieniom można dotrzeć do krańców Kosmosu.

W odległości zaledwie pięćdziesięciu mil za rufą, statek komodora powoli zbliżał się teraz do Lebidiewa, by wziąć na swój pokład jego kapitana. Daleko pofrunął srebrzysty żagiel, kiedy Dymitr przeciął liny z uczuciem, które Merton z nim dzielił. Niewielką kapsułę sprowadzi się na Ziemię i może ponownie wykorzysta, ale żagiel stawiano tylko na jeden rejs.

Merton już teraz mógł nacisnąć guzik, by pozbyć się żagla i oszczędzić swym wybawcom kilka minut. Lecz nie chciał tego zrobić. Pragnął pozostać na pokładzie do samego końca, na tej łodzi, która tak długo była częścią jego marzeń i życia. Wielki żagiel, ustawiony teraz pod właściwym kątem do Słońca, zapewniał największy ciąg. Dawno temu z łatwością oderwał od Ziemi Dianę, która wciąż nabierała szybkości.

I wtedy, ni stąd, ni zowąd, Mortonowi przyszła do głowy pewna myśl i zdecydował się bez żadnych wahań czy wątpliwości. Ostatni raz usiadł przy komputerze, który pilotował go aż do połowy drogi na Księżyc.

Skończywszy spakował dziennik pokładowy i kilka rzeczy osobistych. Niezdarnie, gdyż wyszedł z wprawy, a poza tym niełatwo to robić samemu, włożył na siebie skafander ratowniczy. Dokręcał właśnie hełm, kiedy przez radio odezwał się komodor.

– Kapitanie, za pięć minut będziemy przy panu. Proszę odciąć żagiel, żebyśmy się z nim nie zderzyli.

John Merton, pierwszy i ostatni kapitan jachtu słonecznego Diana, zawahał się na moment. Ostatni raz rozejrzał się po maleńkiej kabine wypełnionej błyszczącymi instrumentami i starannie rozmieszczonymi urządzeniami sterowniczymi, teraz zablokowanymi w maksymalnym wychyleniu. Potem powiedział do mikrofonu:

– Opuszczam statek. Nie śpieszczcie się z zabieraniem mnie. Diana sama sobie poradzi.

Komodor nie odpowiedział, za co był mu wręczący. Profesor van Stratten wszystkiego się domyślił – wiedział, że w tych ostatnich chwilach Merton pragnął być sam.

Nie czekał na wyrównanie się ciśnienia w śluzie powietrznej i pęd uciekającego gazu łagodnie wyrzucił go w Kosmos. Zaufanie, którym wówczas obdarzył Dianę, było jego ostatnim prezentem dla niej. Odpływała od niego w dal, wspaniale połyskując żaglem w świetle Słońca, które będzie do niej należało przez wieki. Za dwa dni przemknie obok Księżyc, ale Księżyc, tak jak Ziemia, już nigdy nie zdoła jej schwytać. Bez Mertona, którego masa tylko powstrzymałaby jej lot, będzie zegłowała z prędkością co dzień o półtora tysiąca kilometrów większą. Za miesiąc

pomknie szybciej od każdego statku, jaki kiedykolwiek zbudował człowiek.

Promieniowanie słoneczne słabnie wraz z odległością i w końcu jej szybkość zacznie spadać. Ale nim tak się stanie, Diana osiągnie prędkość, która nie pozwoli Słońcu jej zatrzymać. Pomknie w otchłań szybciej od komet nadlatujących z gwiazd.

W odległości kilku mil Merton dostrzegł światła dysz. Z szybkością tysiąc razy większą od tej, którą mogła rozwinąć Diana, zbliżał się po niego statek ratowniczy. Lecz jego silniki mogły pracować tylko kilka minut, dopóki nie wyczerpie się paliwo – natomiast Diana będzie nabierała szybkości, napędzana odwiecznym światłem Słońca jeszcze przez całe wieki.

– Żegnaj, stateczku – rzekł John Merton. – Ciekaw jestem, czy-jeż oczy cię ujrzą, za ile tysięcy lat? Był już spokojny, kiedy w pobliżu zobaczył otwarty dziób statku ratowniczego. Nigdy nie wygra regat do Księżyc, ale jego statek na zawsze pozostanie pierwszym, który ruszył pod żaglami do gwiazd.

## 15. Tranzyt Ziemi

PRÓBA MIKROFONU, raz, dwa, trzy, cztery, pięć...

Mówi Evans. Będę nagrywał, jak długo się da. To jest kaseeta dwugodzinna, ale wątpię, bym ją wypełnił.

Ta fotografia prześladowała mnie przez całe życie; teraz wiem dlaczego, lecz niestety za późno. Ale czy to by coś zmieniło, gdybym wiedział wcześniej? Jest to jedno z takich nonsensownych pytań bez odpowiedzi, które nieustannie drażą myśl jak koniec języka obmacujący złamany ząb.

Nie widziałem jej od lat, lecz wystarczy zamknąć oczy i już jestem w tym krajobrazie prawie tak wrogim – i tak pięknym – jak ten. Osiemdziesiąt pięć milionów kilometrów bliżej Słońca i siedemdziesiąt dwa lata wcześniej pięciu ludzi patrzyło w obiektyw aparatu wśród śniegów Antarktydy. Nawet grube futra nie mogą ukryć wyczerpania i porażki przebijających z tych postaci, a ich twarze już zdradzają dotknięcie śmierci.

Było ich pięciu. Nas też było pięciu i oczywiście również zrobiliśmy sobie grupową fotografię. Poza tym jednak wszystkim się od nich różniliśmy. Myśmy się uśmiechali – weseli, pewni siebie. I nasze zdjęcie znalazło się na wszystkich ekranach na Ziemi w ciągu dziesięciu minut. Zanim odnaleziono i c h aparat i przetransportowano do cywilizowanego świata, minęły długie miesiące.

I my umieramy komfortowo, ze wszystkimi wygodami, łącznie z wieloma takimi, jakich Robert Falcon Scott nie mógł sobie nawet wyobrazić, kiedy stał na Biegunie Południowym w 1912 roku.

Dwie godziny później. Zacznę podawać dokładny czas, kiedy to będzie ważne.

Wszystkie fakty są w dzienniku pokładowym i cały świat zdążył już je poznać. Przypuszczam więc, że robię to głównie dla uspokojenia umysłu, żeby łatwiej stawić czoło nieuniknionemu. Kłopot z tym, że nie jestem pewien, co pominąć, a czego nie. Hm, jest tylko jeden sposób.

Punkt pierwszy: najdalej za dwadzieścia cztery godziny skończy się tlen. Wówczas pozostaną mi do wyboru trzy klasyczne rozwiązania. Mogę poczekać, aż nagromadzi się dwutlenek węgla i stracę przytomność. Mogę wyjść na zewnątrz i rozpruć skafander, a Mars zrobi swoje w ciągu dwóch minut. Mogę także skorzystać z tabletek, które są w apteczce.

CO<sub>2</sub>. Wszyscy mówią, że to bardzo łatwe – po prostu zasypiasz. Nie wątpię, że to prawda; niestety w moim przypadku kojarzy mi się to z koszmarem numer jeden...

Wolałbym nigdy nie czytać tej przeklętej książki pod tytułem Prawdziwe historie z II wojny światowej, czy coś w tym rodzaju. Był w niej rozdział o niemieckiej łodzi podwodnej, którą odnaleziono i wydobyto po wojnie. Załoga w dalszym ciągu była wewnątrz – po dwóch w koi. A między każdą parą szkieletów jeden respirator, z którego wspólnie korzystali...

No, cóż, tutaj przynajmniej to się nie wydarzy. Ale jestem absolutnie pewien, że kiedy zacznę mieć trudności z oddychaniem, poczuję się jak w tej skazanej na zagładę łodzi...

A może wybrać szybszy sposób? W próżni traci się przytomność po dziesięciu czy piętnastu sekundach, a ludzie, którzy to przeszli, mówią, że to nic nie boli – ma się tylko dziwne uczucie. Lecz myśl, by oddychać czymś, czego nie ma, zbytnio przypomina mi koszmar numer dwa.

Tym razem sam to przeżyłem. Jako dziecko dużo nurkowałem podczas wakacji spędzanych z rodziną na Karaibach. Był tam stary frachtowiec, który przed dwudziestu laty zatonął na rafie i leżał kilka metrów pod powierzchnią wody. Jego luki w większości były otwarte, więc z łatwością każdy mógł dostać się do wnętrza, szukać pamiątek i polować na duże ryby, które lubią chować się w takich miejscach.

Było to oczywiście niebezpieczne, jeśli nie używało się sprzętu do nurkowania. Jakież chłopiec oparłby się takiemu wyzwaniu?

Moja ulubiona trasa zaczynała się od głębokiego nurka w luk na przednim pokładzie, skąd przepływałem około piętnastu metrów korytarzem, do którego co kilka metrów wpadało przyćmione światło z iluminatorów, a potem pod kątem unosiłem się wzdłuż krótkiego biegu

schodów i wynurzałem przez drzwi w rozbitej nadbudówce. Cała wycieczka trwała niecałą minutę – nic trudnego dla osoby w dobrej kondycji. Miałem nawet dość czasu, żeby się rozejrzeć czy pobawić z rybami. Czasami dla odmiany pokonywałem tę trasę w odwrotnym kierunku, zaczynając od drzwi i kończąc przy luku.

Właśnie w ten sposób płynąłem ostatnim razem. Od tygodnia nie nurkowałem – szalał sztorm i morze było zbyt wzburzone – więc bardzo się niecierpliwiłem.

Na powierzchni wziąłem kilka głębokich oddechów, aż poczułem w czubkach palców mrowienie, co oznaczało, że już dość. Wtedy skoczyłem do wody i ostrożnie skierowałem się ku ciemnemu prostokątowi drzwi.

Zawsze wyglądały złowieszczo i groźnie, co było częścią emocji. Przez pierwsze kilka metrów nie widziałem prawie nic; kontrast między

tropikalnym światłem nad wodą a ciemnością na międzypokładziu był tak wielki, że wzrok przyzwyczał się dopiero po dłuższym czasie. Zwykle w połowie korytarza już wszystko dobrze widziałem. Potem stawało się coraz jaśniej w miarę zbliżania się do otwartego luku, gdzie snop światła słonecznego malował oślepiający prostokąt na zardzewiałej, pokrytej skorupiakami, metalowej podłodze.

Zbliżałem się do końca drogi, gdy uzmysłowiłem sobie, że tym razem nic się nie rozjaśnia. Nie widziałem przed sobą ukośnego słupa światła słonecznego, który zwykle prowadził mnie do świata, gdzie było powietrze i życie. Skonsternowany, przez sekundę zastanawiałem się, czy nie zabłądziłem. I wtedy zrozumiałem, co się stało – konsternacja przeszła w najzwyczajszą panikę. Sztorm musiał zatrzaskać pokrywę luku, a ta ważyła przynajmniej z ćwierć tony.

Nie pamiętam, jak zawróciłem; przypominam sobie jedynie, że dosyć wolno płynąłem z powrotem korytarzem, powtarzając w myśli: nie śpiesz się, powietrza wystarczy ci na dłużej, jeśli nie będziesz się szarpał. Doskonale wszystko widziałem, gdyż upłynęło dość czasu, żeby wzrok przyzwyczał się do ciemności. Dostrzegłem mnóstwo szczegółów, których przedtem nie zauważyłem, na przykład przyczajone w cieniu, czerwone hajduki, zielone liście i algi rosnące w niewielkich plamach światła wokół iluminatorów, a nawet samotny kalosz, najwyraźniej w doskonałym stanie, leżący tam, gdzie ktoś musiał go zrzucić z nogi. W pewnej chwili w bocznym korytarzu zauważyłem dużego strzępiela z półotwartymi, grubymi wargami, który gapił się na mnie wyłupiastymi oczyma, jakby zdziwiony moim wtargnięciem.

Stalowa obręcz ścisnęła mi klatkę piersiową coraz mocniej. Już dłużej nie mogłem wstrzymać oddechu – lecz schody zdawały się nieskończenie odległe. Wypuściłem z ust kilka baniek powietrza. Na moment poczułem się lepiej, ale ten częściowy wydech sprawił, że ból w płucach stał się jeszcze bardziej nieznosny.

Teraz nie było już sensu się oszczędzać i posuwać równomiernymi, niespiesznymi ruchami. Z maski na twarzy wysłałem resztki powietrza – czułem jak zacisnęła mi nos, kiedy to robiłem – i wciągnąłem je do spragnionych płuc. Równocześnie rzuciłem się do przodu ze wszystkich sił...

To wszystko, co zapamiętałem do chwili, gdy parszkając i kaszląc znalazłem się na powierzchni, kurczowo przywarty do kikuta złamanego masztu. Zdziwiło mnie, że woda dookoła jest czerwona od krwi. Wówczas z ogromnym zaskoczeniem dostrzegłem, że mam głębokie rozcięcie na prawej łydce. Musiałem zawadzić o jakąś ostrą przeszkodę, ale w ogóle jej nie zauważyłem i nawet potem nie czułem bólu.

Na tym skończyło się moje nurkowanie do czasu, gdy dziesięć lat później rozpocząłem trening astronautów i wszedłem do podwodnego

symulatora nieważkości. Tym razem było inaczej, bo używałem skafandra. Lecz miewałem paskudne chwile i bałem się, że psychologowie je zauważą – zawsze wystrzegałem się przebywania pod wodą z prawie pustą butlą. Już raz omal się nie udusiłem i nie miałem zamiaru znowu ryzykować...

Dokładnie wiem, jak będzie wyglądało oddychanie tym zbliżonym do próżni, lodowatym czymś, co na Marsie uchodzi za atmosferę. Nie, dziękuję.

A co złego jest w truciznie? Przypuszczam, że nic. Powiedziano nam, że ta, którą mamy, załatwia całą sprawę w ciągu zaledwie piętnastu sekund. Ale wszystko we mnie się sprzeciwia, jeśli nawet nie ma sensownej alternatywy.

Radio właśnie wydrukowało wiadomość z Ziemi, przypominającą mi, że tranzyt rozpocznie się za dwie godziny. Jak gdybym miał o tym zapomnieć – jeśli czterech już nie żyje, będę przecież pierwszym człowiekiem, który to zobaczy. I jedynym przez dokładnie sto lat. Nieczęsto Słońce, Ziemia i Mars znajdują się akurat w jednej linii; ostatnim razem w 1905 roku, kiedy jeszcze biedny, stary Lowell pisał te swoje wspaniałe bzdury o kanałach i wielkiej ginącej cywilizacji, która je zbudowała. Jaka szkoda, że wszystko to okazało się iluzją.

Lepiej sprawdzę teleskop i chronometry.

Dziś Słońce jest spokojne – takie w każdym razie powinno być blisko połowy cyklu. Parę małych plam i kilka niewielkich obszarów turbulencji wokół nich. Taka pogoda ustaliła się na Słońcu na kilka najbliższych miesięcy. Jest to jedyna rzecz, którą tamci nie muszą się przejmować w drodze powrotnej do domu.

Sądzę, że najgorsze chwile przeżywalismy obserwując, jak Olympus startuje z Phobosa i kieruje się ku Ziemi. Choć od tygodni wiedzieliśmy, że nic nie można zrobić, było to jak nieodwołalne zamknięcie drzwi.

Była noc, więc dokładnie wszystko widzieliśmy. Kilka godzin wcześniej Phobos wyskoczył od zachodu i jak szalony pędził po niebie, zmieniając się z małego sierpa w półksiężyc; przed osiągnięciem zenitu zniknie w cieniu Marsa, znalazłszy się w zaćmieniu.

Słuchaliśmy odliczania, próbując oczywiście pracować normalnie. W końcu niełatwo pogodzić się z faktem, że na Marsa przybyło nas piętnastu, a powróci tylko dziesięciu. Przypuszczam, że mimo wszystko miliony ludzi na Ziemi wciąż nie mogą zrozumieć dlaczego. Musi im się to wydawać niewiarygodne, że Olympus nie mógł nadłożyć zaledwie siedmiu tysięcy kilometrów drogi, by nas zabrać. Zarząd Przestrzeni Kosmicznej bombardowano zwariowanymi pomysłami przeprowadzenia akcji ratunkowej; Bóg jedyny wie, ile sami o tym myśleliśmy. Lecz kiedy zapadł się stały lód pod płytą lądowiska nr 3 i Pegasus się przewrócił, to był już koniec. Tylko cudem statek nie wyleciał w powietrze, kiedy pękł zbiornik z paliwem...

Znów odbiegłem od tematu. Wróćmy do Phobosa i odliczania.

Kiedy się oddzieliśmy i sami zaczęliśmy schodzić, na monitorze teleskopu wyraźnie widzieliśmy pęknięcie płyty w miejscu, gdzie wylądował Olympus. Choć nasi przyjaciele nigdy nie wylądują na Marsie, mieli przynajmniej swoją własną, małą planetę do badania; nawet na tak niewielkim satelicie jak Phobos na każdego człowieka przypadało pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych. Wystarczy, żeby szukać nieznanymi minerałów i okruchów materii z Kosmosu, czy też wyskrobać swoje nazwisko, by przyszłe wieki wiedziały, że tędy przechodził pierwszy ze wszystkich ludzi.

Wyraźnie widzieliśmy przysadzisty, jasny cylinder na tle ciemnoszarych skał; od czasu do czasu jakaś płaska powierzchnia jak lustro odbijała światło szybko poruszającego się Słońca. Ale na około pięć minut przed startem, obraz ten stał się nagle różowy, potem szkarłatny, by później całkowicie zniknąć, kiedy Phobos wpadł w cień.

Do końca odliczania pozostawało jeszcze dziesięć sekund, gdy zaskoczył nas potężny błysk światła. Przez chwilę zastanawialiśmy się, czy Olympus również nie uległ katastrofie. Wówczas doszło do naszej świadomości, że ktoś filmował start i zapalono zewnętrzne reflektory.

Sądzę, że na te kilka ostatnich sekund wszyscy zapomnieliśmy o naszych własnych kłopotach – myślami byliśmy na pokładzie Olympusa i pragnęliśmy, by ciąg zwiększał się równo, unosząc statek ze słabego pola grawitacyjnego Phobosa, a potem, z dala od Marsa, w długą drogę ku Słońcu. Słyszeliśmy, jak komandor Richmond powiedział: „Zapłon”, potem na krótko obraz się zamazał i w polu widzenia teleskopu zobaczyliśmy poruszającą się plamę światła.

To wszystko. Nie widzieliśmy płonącego słupa ognia, ponieważ faktycznie zapłonu oczywiście nie ma, kiedy odpala się raketę atomową. „Odpala się” – rzeczywiście! To jeszcze jedna pozostałość



po starej technice chemicznej. Lecz strumienia gorącego wodoru w ogóle nie widać; szkoda, że już nigdy nie zobaczymy czegoś tak widowiskowego, jak odpalenie Saturna czy Korolowa.

Tuż przed końcem odpalania Olympus wyszedł z cienia Marsa i znów znalazł się w świetle Słońca, ukazując się ponownie prawie od razu niby jasna, szybko przemykająca gwiazda. Blask światła musiał ich oślepić, bo słyszeliśmy, jak ktoś krzyknął „Zasłoń to okno!” Potem, kilka sekund później, Richmond powiedział „Wyłączyć silnik”. Cokolwiek by się stało, Olympus nieodwołalnie zmierzał z powrotem ku Ziemi.

Jakiś głos, którego nie rozpoznałem – chociaż musiał to być komandor – powiedział „Żegna, Pegasusie” i wyłączono radio. Oczywiście nie było sensu życzyć nam szczęścia. Wszystko rozstrzygnęło się przed tygodniami.

Właśnie to sobie przesłuchałem. Kiedy już mowa o szczęściu, to kogoś je spotkało, ale nie nas. Mając zaledwie dziesięcioosobową załogę na pokładzie, Olympus mógł pozbyć się jednej trzeciej zapasów i zmniejszyć swą wagę o kilka ton. Teraz wróci do domu na miesiąc przed czasem.

W ciągu tego miesiąca mogłyby wyniknąć liczne komplikacje; kto wie, może nasza nieobecność jeszcze uratuje ekspedycję? Oczywiście nigdy się tego nie dowiemy – jednak sama myśl jest przyjemna.

Puszczam sobie mnóstwo muzyki, na pełen regulator – bo już nikomu to nie przeszkadza. Gdyby nawet istnieli jacyś Marsjanie, to jak sądzę, ten cień atmosfery nie może przenosić dźwięków dalej niż na kilka metrów.

Mamy niezłą fonotekę, ale muszę starannie wybierać. Żadnego jazzu ani nic, co wymaga zbyt wiele koncentracji. A przede wszystkim bez śpiewu. Ograniczam się więc do lżejszej klasyki orkiestrowej; symfonia Nowy świat i koncerty fortepianowe Griega doskonale nadają się do tego celu. W tej chwili słucham Rapsodii na temat Paganniego Rachmaninowa, ale teraz muszę wyłączyć i zabrać się do pracy.

Pozostało mi jeszcze pięć minut. Cały sprzęt jest w doskonałym stanie. Teleskop podąża za Słońcem, magnetowid czeka, chronometr odmierza czas.

Obserwacje przeprowadzę najdokładniej, jak tylko potrafię. Winien jestem to moim utraconym towarzyszom, do których wkrótce dołączę. Oddali mi swój tlen, żebym dożył tej chwili. Mam nadzieję, że będziecie o tym pamiętali za sto czy dwieście lat, przekazując te dane komputerowi.

Jeszcze tylko minuta; zabieram się do pracy. Do protokołu: rok 1984, miesiąc maj, dzień 11, zbliża się godzina czwarta trzydzieści czasu efemerydalnego... już!

Pół minuty do kontaktu. Nastawiam magnetowid i chronometr na maksimum. Sprawdziłem kąt pozycyjny, by upewnić się, że patrzę na właściwe miejsce na krawędzi Słońca. Pięćsetkrotnie powiększony obraz jest doskonały, nawet przy tym niewielkim kącie podniesienia.

Czwarta trzydzieści dwie. W każdej chwili...

Jest... jest! Aż trudno uwierzyć! Maleńka, czarna szczerba na krawędzi Słońca... rośnie, rośnie, rośnie...

Halo, Ziemia. Popatrzcie na mnie, na najjaśniejszą gwiazdę na waszym niebie, bezpośrednio nad wami o północy...

Zmniejszyłem prędkość przesuwu taśmy w magnetowidzie.

16–Spotkanie...

Czwarta trzydzieści pięć. Jakby ktoś wsadzał palec w krawędź Słońca, głębiej, coraz głębiej... Fascynujący widok...

Czwarta czterdzieści jeden. Dokładnie w połowie. Ziemia jest idealnym, czarnym półksiężycem – równym wycięciem w Słońcu. Jakby zżerała je jakaś choroba...

Czwarta czterdzieści osiem. Weszła już dokładnie w trzech czwartych.

Godzina czwarta\* trzydzieści dziewięć minut i trzydzieści sekund. Magnetowid ponownie na maksimum.

Przerwa na krawędzi Słońca szybko się kurczy. Teraz jest ledwo widoczną czarną nitką. Za kilka sekund Ziemia w całości znajdzie się na tle Słońca.

Teraz widzę efekty w atmosferze. Wąskie halo obejmuje czarny krążek na Słońcu. Dziwne, że w tej właśnie chwili widzę jarzące się barwy wszystkich wschodów i zachodów Słońca...

Koniec wejścia — godzina czwarta, pięćdziesiąt minut i pięć sekund. Cała planeta przesuwa się po tarczy Słońca. Idealnie okrągły, czarny krążek odcina się od tego piekła oddalonego o sto pięćdziesiąt trzy miliony kilometrów. Jest większy, niż oczekiwałem, można łatwo go wziąć za dość dużą plamę na Słońcu.

Teraz nie będzie nic ciekawego do oglądania przez sześć godzin, aż ukaże się Księżyc, ciągnący śladem Ziemi przez pół szerokości Słońca. Prześlę dane z magnetowidu do Lunacomu, a potem spróbuję trochę się przespać.

Mój ostatni sen. Ciekawe, czy będę potrzebował proszków. Wydaje się, że szkoda marnować ostatnie godziny, ale pragnę zachować siły i o-szczędzić nieco tlenu.

Chyba to doktor Johnson powiedział, że nic tak cudownie nie uspokaja umysłu człowieka jak - świadomość, że rano go powieszają. Skąd, u diabła, on to wiedział?

Godzina dziesiąta minut trzydzieści osiem czasu efemerydalnego. Doktor Johnson miał rację. Wziąłem tylko jeden proszek i nie pamiętam żadnych snów.

Skazaniec zjadł również przyzwoite śniadanie. (Wytnijcie to...

Z powrotem przy teleskopie. Teraz Ziemia jest w połowie tarczy, mija jej środek dość daleko od północy. Za dziesięć minut powinienem zobaczyć Księżyc.

Właśnie nastawiłem teleskop na maksymalne powiększenie — dwa tysiące razy. Obraz jest trochę zamazany, ale\* w dalszym ciągu dosyć dobry; bardzo wyraźne halo. Mam nadzieję zobaczyć miasta po ciemnej stronie Ziemi...

Nie mam szczęścia. Za dużo chmur. Szkoda, teoretycznie to możliwe, ale nigdy nam się nie udało. Chciałbym... nieważne...

Godzina dziesiąta minut czterdzieści. Magnetowid na wolnych obrotach. Mam nadzieję, że patrzę na właściwe miejsce.

Zaczynam za piętnaście sekund. Magnetowid na maksimum.

Cholera — spóźniłem się. Nie szkodzi — magnetowid złapał ten moment. Słońce ma już z boku maleńką szczerbę. Kontakt musiał nastąpić około godziny dziesiątej minut czterdzieści jeden i dwadzieścia sekund c.e.

Jakże ogromna odległość dzieli Ziemię i Księżyc — jest to połowa szerokości Słońca. Nikt by nie pomyślał, że te dwa ciała mają ze sobą coś wspólnego. Człowiek uzmysławia sobie, jak naprawdę wielkie jest Słońce...

Godzina dziesiąta minut czterdzieści cztery. Dokładnie połowa Księżyca minęła krawędź. Widzę wyraźną, półkolistą szczerbę na krawędzi Słońca.

Godzina dziesiąta minut czterdzieści siedem i pięć sekund. Kontakt wewnętrzny. Księżyc minął krawędź i jest w całości na tle Słońca. Niech wam się nie wydaje, że mogę\* coś dojrzeć po jego ciemnej stronie, ale spróbuję jeszcze powiększyć obraz.

Zabawne.

No, no! Ktoś chce mi coś powiedzieć; widzę jakieś pulsujące światełko na ciemnej stronie Księżyca. To prawdopodobnie laser w bazie Imbrium.

Bardzo was przepraszam. Wszystko, co miałem do powiedzenia na pożegnanie, już powiedziałem i nie będę tego powtarzał. Teraz nie może być ważnych spraw.

Jednak to prawie hipnotyzuje — taki mrugający punkcik, świecący z samego Słońca. Trudno uwierzyć, że po przebyciu takiej odległości jego promień ma zaledwie jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów szerokości. Że też Lunacom zadaje sobie tyle trudu, by wycelować go dokładnie we mnie — myślę, że ignorując go, powinienem czuć się winny. Ale się nie czuję.

Prawie skończyłem swoją pracę, a sprawy ziemskie już mnie przestały obchodzić.

Godzina dziesiąta pięćdziesiąt. Magnetowid wyłączony. To byłoby wszystko — aż do końca tranzytu Ziemi przez tarczę Słońca, co nastąpi od tej chwili za dwie godziny.

Przegryzłem coś i w tym momencie po raz ostatni oglądam widok z kopuły obserwacyjnej. Słońce jest jeszcze wysoko, więc nie ma zbyt wielkiego kontrastu, lecz światło ożywia wszystkie barwy – niezliczone odcienie czerwieni, różu, purpury, tak zaskakujące na tle granatowego nieba. Zupełnie inaczej niż na Księżycu, choć tam też jest pięknie.

To dziwne, jak mogą zaskakiwać rzeczy oczywiste. Wszyscy wiedzieliśmy, że Mars jest czerwony. Ale naprawdę nie spodziewaliśmy się zobaczyć czerwieni rdzy czy krwi. Zupełnie jak z Kolorową Pustynią w Arizonie – po chwili oko tęskni za zielenią.

Na północy jedyna mile widziana zmiana barwy – śnieżna czapa dwutlenku węgla na Mount Burroughs tworzy osłepiająco białą piramidę. I jeszcze jedna niespodzianka. Wysokość Mount Burroughs sięga stu czterdziestu tysięcy metrów ponad średnią podstawę odniesienia; kiedy byłem mały, sądzono, że na Marsie nie ma żadnych gór...

Najbliższa wydma piaszczysta leży w odległości czterystu metrów i również na jej zacienionym stoku są płaty śniegu. Sądziliśmy, że w czasie ostatniej burzy przesunęła się o kilka metrów, ale nie mieliśmy pewności. Oczywiście tutejsze wydmy wędrują, jak na Ziemi. Przypuszczam, że piasek kiedyś przysypie tę bazę – ukaze się znowu dopiero za tysiąc lat. Albo dziesięć tysięcy.

Ta dziwna grupa skał – Słoń, Kapitol i Biskup – jeszcze zachowała swoje sekrety, a drażni mnie wspomnieniem o naszym pierwszym wielkim rozczarowaniu. Moglibyśmy przysiąc, że są to skały osadowe; jak ochoczo pędziliśmy tam, by szukać skamielin! Nawet teraz nie wiemy, jak powstały. Geologia Marsa jest wciąż pełna sprzeczności i tajemnic...

Pozostawiamy przyszłości wiele problemów do rozwiązania, a ci, którzy po nas tu przyjdą, znajdą ich o wiele więcej. Jest jednak pewna tajemnica, o której nigdy nie zawiadomiliśmy Ziemi, a nawet nigdy jej nie zapisaliśmy w dzienniku...

Pierwszej nocy po wylądowaniu kolejno trzymaliśmy wartę. Zaraz po północy, w czasie swego dyżuru obudził mnie Brennan. Byłem wściekły – zrobił to przed czasem – i wtedy powiedział mi, że widział jakieś światło poruszające się wokół podstawy Kapitulu.

Obserwowaliśmy przynajmniej godzinę, aż przyszła moja kolej na objęcie warty. Lecz nic nie zobaczyliśmy; cokolwiek było to światło, już nigdy więcej się nie ukazało.

A Brennan był osobą zrównoważoną i pozbawioną bujnej wyobraźni; jeśli więc powiedział, że widział jakieś światło, to znaczy je widział. Może to było jakieś wylądowanie elektryczne albo odbłask Phobosa na wypolerowanej przez piasek skale. W każdym razie postanowiliśmy nie wspominać o tym Lunacomowi, póki znowu go nie zobaczymy...

Od kiedy zostałem sam, często budziłem się w nocy i patrzyłem na te skały. W słabym świetle Phobosa i Deimosa przypominały mi sylwetkę ciemnego miasta na tle nieba. Pozostało ciemne na zawsze. Żadne światła nigdy mi się tam nie ukazały...

Godzina dwunasta minut czterdzieści dziewięć czasu efemerydalnego. Zaraz rozpocznie się ostatni akt. Ziemia prawie dotyka krawędzi Słońca. Dwa wąskie rogi światła, które ją obejmują, ledwo się stykają...

Magnetowid na maksimum.

Kontakt! Godzina dwunasta minut pięćdziesiąt i szesnaście sekund. Sierpy światła już się nie stykają. Na krawędzi Słońca ukazała się mała, czarna plamka, a więc Ziemia zaczyna przez nią przechodzić. Plamka zwęża się, zwęża...

Zwolniłem obroty magnetowidu. Za osiemnaście minut Ziemia całkowicie zejdzie z tarczy Słońca. Księżyc ma ponad połowę drogi; jeszcze nie osiągnął środkowego punktu swego tranzytu. Wygląda jak mała kropelka atramentu o wymiarach zaledwie jednej czwartej wielkości Ziemi. Nie ma już błysków światła. Lunacom musiał zrezygnować.

No, cóż. Pozostało mi jeszcze pół godziny, tu, w moim ostatnim domu. Czas wydaje się biec coraz szybciej jak w ostatnich minutach przed startem. Zresztą to nieważne; już wszystko zrobiłem. Mogę nawet sobie odpocząć.

Już teraz czuję się częścią historii.-Jak ci, którzy z kapitanem Cookiem obserwowali na Tahiti tranzyt Wenus przez tarczę Słońca w roku 1769. Poza obrazem ciągnącego się z tyłu Księżyca wszystko musiało wyglądać tak samo...

Co by sobie pomyślał Cook ponad dwieście lat temu, gdyby wiedział, że pewnego dnia jakiś człowiek będzie z innej planety obserwował tranzyt Ziemi? Z pewnością byłby zdziwiony, a potem by się ucieszył...

Ja jednak czuję się bliższy człowiekowi, który jeszcze się nie narodził. Mam nadzieję, że słyszysz te słowa, gdziekolwiek jesteś. Może za tysiąc lat staniesz w tym samym miejscu, kiedy wypadnie następny tranzyt?

Pozdrowienia na dzień 10 listopada 2084 roku! Życzę ci, byś miał więcej szczęścia od nas. Przypuszczam, że dotrzesz tu na pokładzie luksusowego statku pasażerskiego. Albo urodzisz się na Marsie i będziesz obcym na Ziemi. Poznasz rzeczy, których ja nie mogę sobie wyobrazić. Jakoś jednak ci nie zazdroszczę. Nawet nie zamieniłbym się z tobą.

Ty bowiem zapamiętasz moje nazwisko i będziesz wiedział, że to ja właśnie, jako pierwszy ze wszystkich ludzi, widziałem tranzyt Ziemi. I nikt tego nie zobaczy przez sto lat...

Godzina dwunasta minut pięćdziesiąt dziewięć. Dokładnie połowa emersji. Ziemia jest idealnym półksiężycem – czarnym cieniem na tarczy Słońca. Ciągłe nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś nadgryzło złocisty dysk. Za dziewięć minut szczerba zniknie i Słońce znów będzie całe.

Godzina trzynasta siedem. W krawędzi Słońca jest tylko płytki, płaski dołek. Można by go wziąć za niewielką plamę przechodzącą przez krawędź.

Godzina trzynasta osiem.

Odchodzi, odchodzi, odchodzi. Żegnaj, żeg...

Już dobrze. Wszystkie zapisy chronometru odesłałem do domu w wiązce fal radiowych. Za pięć minut powiększą nagromadzoną wiedzę całej ludzkości. Lunacom zaś będzie wiedział, że wytrzymałem na posterunku.

Tego jednak nie wyślę. Zostawię tutaj dla następnej ekspedycji – nieważne, kiedy się zjawi. Może upłynie dziesięć albo dwadzieścia lat, zanim ponownie ktoś tu dotrze. Nie ma sensu odwiedzać starych miejsc, kiedy na zbadanie czeka cały świat...

Zatem ta kaseta zostanie tutaj jak dziennik Scotta w namiocie, aż znajdą ją następni. Ale mnie nie znajdują.

To dziwne, jak trudno uwolnić się od Scotta. Myślę, że to on-pod-sunął mi ten pomysł.

Jego zamrożone ciało nie będzie bowiem wiecznie spoczywać na Antarktydzie, poza wielkim cyklem życia i śmierci. Dawno temu jego samotny namiot zaczął przesunąć się w stronę morza. Po kilku latach przysypał go padający śnieg i stał się częścią lodowca, który bezustannie oddalacie od bieguna. Minie kilka krótkich wieków i żeglarz powróci do morza. Ponownie włączy się w obieg życia i będzie istniał w planktonie, fokach, pingwinach, wielorybach, w licznej faunie Oceanu Lodowatego.

Tu, na Marsie, nie ma oceanów, nie było ich też przynajmniej przez ostatnie pięć miliardów lat. Ale tam, na pustynnych obszarach Chaosu II, których nigdy nie mieliśmy czasu zbadać, jest jakieś życie.

Te przemieszczające się plamy na fotografiach zrobionych z orbity są dowodem, że nie erozja, lecz jakieś inne siły usunęły kraterzy z całych obszarów Marsa. A jeszcze ten długi łańcuch optycznie czynnych cząstek węgla, przechwyconych przez próbniki atmosferyczne.

I oczywiście tajemnica Vikinga 6. Nawet teraz nikt nie może doszukać się sensu w ostatnich wskazaniach jego przyrządów, zanim coś dużego i ciężkiego zmiotło sondę w ciszy lodowatej, marsjańskiej nocy...

I proszę mi nie wspominać o prymitywnych formach życia w takim miejscu jak to! Cokolwiek tu przetrwało, musi być tak skomplikowane, że możemy przy tym wyglądać jak dinozaury.

W zbiornikach statku jest jeszcze dość paliwa, by pojazd terenowy mógł z powodzeniem objechać Marsa dookoła. Pozostało mi trzy godziny światła dziennego – mnóstwo czasu, by zjechać w

doliny, a potem ruszyć dalej, w głąb Chaosu. Po zachodzie Słońca, mogę w dalszym ciągu utrzymywać przyzwoitą szybkość, oświetlając sobie drogę reflektorami. Jakie to romantyczne, tak jechać nocą w świetle księżyców Marsa...

Przed odjazdem mam jeszcze coś do załatwienia. Nie podoba mi się pozycja Sama, tam, na zewnątrz. Zawsze tak ładnie się poruszał, można powiedzieć z wdziękiem. Chyba to nie w porządku, że teraz wygląda tak niezgrabnie. Muszę coś z tym zrobić.

Ciekaw jestem, czy przeszedłbym sto metrów bez skafandra, idąc powoli, wytrwale – jak on – do samego końca.

Muszę zobaczyć wyraz jego twarzy.

I tyle. Wszystko w idealnym porządku. Jestem gotów do odjazdu.

Terapia okazała się skuteczna. Jestem spokojny – nawet zadowolony – kiedy już wiem, co zrobię. Dawne koszmary straciły swą moc.

To prawda: wszyscy umieramy w samotności. Ostatecznie co za różnica, że się umiera osiemdziesiąt pięć milionów kilometrów od domu?

Z przyjemnością pojadę przez ten cudownie kolorowy krajobraz. Będę myślał o tych wszystkich, którzy marzyli o Marsie – o Wellsie, Lowellu i Burroughsie, o Weinbaumie i Bradburym. Wszyscy się mylili – lecz rzeczywistość jest tu dokładnie tak dziwna, dokładnie tak piękna, jak sobie wyobrażali.

Nie wiem, co mnie tam czeka i prawdopodobnie nigdy tego nie zobaczę. Ale na tej wygłodniałej planecie to coś musi rozpaczliwie pragnąć węgla, fosforu, tlenu, wapnia. Może skorzystać ze mnie.

A kiedy usłyszę ostatnie „ping” alarmu spowodowanego wyczerpaniem się tlenu, skończę w wielkim stylu. Jak tylko pojawią się trudności z oddychaniem, wysiądę i zacznę iść – z odtwarzaczem podłączonym do słuchawek w kasku i nastawionym na pełen regulator.

W całej muzyce nic tak nie oddaje triumfującej siły i chwały, jak Toccata z fugą d-moll. Nie starczy mi czasu, żeby wysłuchać tego do końca – nie szkodzi.

Oto idę, Janie Sebastianie.

## 16. Spotkanie z meduzą

### 1. Pamiętny dzień

Królowa Elżbieta znajdowała się na wysokości pięciu kilometrów nad Wielkim Kanionem, spokojnie sunąc leniwą sto osiemdziesiątką, kiedy Howard Falcon dostrzegł platformę zdjęciową, która zbliżała się z prawej strony. Spodziewał się tego widoku – tylko platforma miała prawo latać na tej wysokości – lecz 'nie był zbyt zadowolony, że ma towarzystwo. Choć miłe były mu publiczne oznaki zainteresowania, jednak pragnął równocześnie mieć jak najwięcej wolnej przestrzeni. Był wszakże pierwszym człowiekiem, który prowadził sterowiec długości pół kilometra...

Dotychczas pierwszy próbny lot przebiegał doskonale; jak na ironię, kłopot sprawiał jedynie stuletni lotniskowiec Przewodniczący Mao, wypożyczony z Muzeum Floty w San Diego do operacji pomocniczych. Działał jeszcze tylko jeden z jego czterech reaktorów atomowych, co ograniczało szybkość Mao do zaledwie trzydziestu węzłów. Na szczęście prędkość wiatru na poziomie morza była o przeszło połowę mniejsza, nie sprawiało więc zbytnej trudności utrzymanie w bezruchu powietrza nad pokładem startowym. Aczkolwiek po zwolnieniu cum mieli kilka nerwowych momentów podczas gwałtownych podmuchów wiatru, lecz wielki sterowiec gładko wzbił się prosto w niebo, jakby unoszony niewidzialną windą. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Królowa Elżbieta IV przez tydzień nie spotka Przewodniczącego Mao.

Wszystko znajdowało się pod nieustanną obserwacją; wskazania całej aparatury kontrolnej były normalne. Komandor Falcon postanowił pójść na górę, by czuwać nad przebiegiem spotkania. Przekazał komendę swemu drugiemu oficerowi i ruszył przezroczystym tunelem, który przechodził przez środek statku. Tam, jak zwykle, przytłoczył go widok największej przestrzeni, jaką kiedykolwiek udało się zamknąć człowiekowi.

Dziesięć kulistych zbiorników gazu, każdy o średnicy trzydziestu pięciu metrów, ustawiono tam rzędem, jeden za drugim, jak gigantyczne bańki mydlane. Mocny plastik, z którego je wykonano, był tak przejrzysty, że przez cały szereg ich ścian Falcon mógł ze swego miejsca dostrzec detale znajdującego się za zbiornikami mechanizmu steru wysokości, odległego o ponad pięćset metrów. Zewsząd otaczały go, niczym jakiś trójwymiarowy labirynt, elementy konstrukcyjne szkieletu statku – wielkie wzdłużniki biegnące od dziobu do ogona, a piętnaście różnej wielkości

1

kół, stanowiących żebra tego powietrznego kolosa, nadawało mu wdzięczny, opływowy kształt.

Przy tej niewielkiej szybkości dał się słyszeć jedynie cichy szum powietrza opływającego powłokę i od czasu do czasu skrzypnięcie metalu, wywołane zmianą naprężenia. Bezcieniowe lampy biegnące nad głową Falcona nadawały całej scenie dziwnie podwodny wygląd, a wrażenie to potęgowała dodatkowo przezroczystość zbiorników gazu. Widział kiedyś eskadrę wielkich, choć nieszkodliwych meduz, które bezmyślnie przepływały pulsującymi ruchami nad płytką tropikalną rafą: plastikowe kule unoszące w powietrzu Królową Elżbietę bardzo mu je przypominały, szczególnie gdy marszczyły się wskutek zmian ciśnienia i połyskiwały odbitym światłem.

Falcon szedł wzdłuż osi statku, aż dotarł do windy między pierwszym zbiornikiem a drugim. Jadąc na pokład obserwacyjny zauważył jakiś niepokojący wzrost temperatury, więc zrobił sobie krótką notatkę na ten temat za pomocą kieszonkowego dyktafonu. Prawie jedną czwartą swej siły nośnej Królowa Elżbieta uzyskiwała z ciepła odlotowego, które w nieograniczonych ilościach wytwarzała jej termojądrowa siłownia. W czasie tego lotu pod tak naprawdę niewielkim obciążeniem, tylko sześć zbiorników zawierało hel, a pozostałe cztery – powietrze. Mimo to statek wiózł dwieście ton wody balastowej. Jednakże przy podwyższonej temperaturze powstawał problem schładzania

przewodów doprowadzających gaz do zbiorników; było oczywiste, że należało jeszcze nad tym popracować.

Orzeźwiający podmuch chłodniejszego powietrza uderzył go w twarz, kiedy wyszedł na pokład obserwacyjny i znalazł się w oślepiającym świetle słońca, którego promienie wpadały przez dach z plexiglasu. Sześciu robotników z pomocą tyluż superszympanów pracowicie- kładło już prawie ukończony parkiet do tańca, inni zaś instalowali przewody elektryczne i mocowali meble. Scena ta przedstawiała sobą obraz kontrolowanego chaosu i Falconowi nie chciało się wierzyć, że wszystko będzie gotowe na dziewiczy lot, który miał się rozpocząć za cztery tygodnie. Jednakże, dzięki Bogu, było to nie jego zmartwienie. Jest tylko kapitanem, a nie dyrektorem Działu Obsługi Ruchu Pasażerskiego.

Robotnicy pomachali mu dłońmi, a superszympany w uśmiechu zaświeciły bielą zębów, kiedy szedł przez ten rozgardiasz w stronę podniebnej sali klubowej. Było to jego ulubione miejsce na statku, a wiedział, że kiedy rozpocznie się normalna eksploatacja, nigdy już nie będzie miał całej tej sali wyłącznie dla siebie. Pozwolił sobie cieszyć się nią w samotności zaledwie przez pięć minut.

Wezwał mostek, sprawdził, czy wszystko jest w należyтым porządku, i wygodnie usadowił się w jednym z obrotowych foteli. Popatrzył w dół na cieszącą oko rozległą wypukłość srebrzystej powłoki statku. Z naj-

wyższego punktu podziwiał ogrom największego pojazdu, jaki kiedykolwiek zbudowano. A kiedy zmęczył się tym widokiem, przeniósł wzrok na sięgającą horyzontu fantastyczną pustynię, którą rzeka Colorado przecina już pół miliarda lat.

Poza platformą zdjęciową (cofnęła się nieco i filmowała z trawersu) miał całe niebo dla siebie. Było błękitne i puste, przejrzyste aż po horyzont. Falcon wiedział, że za czasów jego dziadka zasnuwały je dymy i przecinały smugi pary. Teraz zanieczyszczeń tych już nie było: jako uboczny produkt dawnej, prymitywnej techniki zniknęły wraz z nią, a w obecnym stuleciu szlaki komunikacyjne przebiegały tak wysoko, że lecących statków ani się nie widziało, ani nie słyszało z ziemi. I znów dolne warstwy atmosfery należały do ptaków i chmur, a w tej chwili również do Królowej Elżbiety IV.

Prawdę mówili pionierzy takich lotów na początku XX wieku: tylko w ten sposób można naprawdę podróżować – w ciszy i luksusie, wdychając powietrze i nie uciekając od niego; tak blisko ziemi, by móc podziwiać zmieniającą się urodę lądów i mórz. W poddźwiękowych odrzutowcach lat osiemdziesiątych XX wieku, zatłoczonych setkami pasażerów siedzących po dziesięciu w jednym rzędzie, trudno było nawet marzyć o takiej wygodzie i przestrzeni.

Oczywiście Królowa nigdy nie odegra ważnej roli w gospodarce, a jeśli nawet powstaną jej, znajdujące się obecnie w projektach, statki siostrzane, tylko niewielu spośród ćwierci miliarda mieszkańców Ziemi będzie mogło cieszyć się takim spokojnym lotem po niebie. Ale solidni i dobrze sytuowani światowcy mogą sobie pozwolić na tego rodzaju kaprysy, rzeczywiście potrzebne im dla odmiany i rozrywki. Na Ziemi żyje przynajmniej milion osób, których dochody przekraczają tysiąc neo-dolarów rocznie, a zatem Królowej nie zabraknie pasażerów.

Odezwał się buczonek kieszonkowego komunikatora Falcona. Wzywał go z mostka drugi pilot.

– Zaczynamy randkę, panie kapitanie? Mamy wszystkie potrzebne parametry lotu, a ci z telewizji bardzo się niecierpliwia.

Falcon spojrział na platformę zdjęciową, która w odległości stu pięćdziesięciu metrów zrównywała się z Królową.

– Zaczynamy – odpowiedział. – Postępujcie zgodnie z ustaleniami. Ja stąd będę obserwował.

Poprzez gorączkową krzątaninę pokładu obserwacyjnego wrócił na śródkręcie, skąd mógł lepiej wszystko widzieć. Po drodze wyczuł zmianę wibracji pod stopami; zanim doszedł do tylnej ściany sali klubowej, statek już się zatrzymał. Uniwersalnym kluczem otworzył sobie wyjście na niewielki zewnętrzny pomost za pokładem. Mogło się tam pomieścić zaledwie sześć osób, które jedynie

niska barierka oddzielała od ogromnej powłoki i od powierzchni ziemi znajdującej się tysiąc metrów niżej. Prze-

bywanie tam dostarczało wielu wrażeń, a równocześnie miejsce to było całkowicie bezpieczne nawet przy pełnej szybkości statku, gdyż znajdowało się w martwym polu, gdzie nie docierały strugi powietrza, spływające z wielkiej nadbudówki pokładu obserwacyjnego na grzbiecie sterowca. Jednak nie zamierzano wpuszczać tam pasażerów, gdyż widok stamtąd mógłby przyprawić ich o zawrót głowy.

Pokrywy przedniego luku ładunkowego już się otworzyły jak gigantyczna zapadnia, a platforma zdjęciowa zawisała nad nimi, przygotowując się do zbliżenia. Tą drogą w przyszłości przechodzić będą tysiące pasażerów i tony zapasów. Tylko z rzadka bowiem Królowa opuszczać się będzie nad samo morze, by dokować w swej pływającej bazie.

Nagły podmuch bocznego wiatru uderzył w policzek Falcona, który mocniej zacisnął dłonie na barierce. Wielki Kanion nie był zbyt bezpiecznym miejscem w czasie gwałtownych ruchów powietrza, jednak komandor nie sądził, by na tej wysokości mogło wydarzyć się coś złego. Bez szczególnego niepokoju skupił uwagę na zbliżającej się platformie, która teraz znajdowała się około pięćdziesięciu metrów nad statkiem. Wiedział, że operator, który kierował tym zdalnie sterowanym pojazdem, ma wysokie kwalifikacje i już wielokrotnie wykonywał ten prosty manewr, byłoby więc niepojęte, gdyby miał jakieś trudności.

Chyba jednak zbyt ospale reagował. Ostatni podmuch zniósł platformę prawie na krawędź otwartego luku. Z pewnością pilot mógł zawnocześnie dokonać poprawki... Czyżby miał jakieś kłopoty ze sterowaniem? Było to mało prawdopodobne – te zdalnie kierowane pojazdy wyposażono w zwielokrotnione, odporne na uszkodzenia układy sterowania oraz w mnóstwo systemów zabezpieczających. O awariach prawie się nie słyszało.

A zatem dlaczego znów zniosło go w lewo? Chyba nie był pijany? Choć wyglądało to nieprawdopodobnie, przez chwilę Falcon poważnie brał taką możliwość pod uwagę, a następnie sięgnął po mikrofon.

I znów podmuch wiatru uderzył go w twarz bez żadnego ostrzeżenia. Prawie go nie poczuł, gdyż patrzył z przerażeniem na platformę. Daleki operator starał się ją opanować, próbując wyrównać lot pojazdu za pomocą silników odrzutowych, ale tylko pogorszył sprawę. Przechyły pojazdu były coraz głębsze: dwadzieścia stopni, czterdzieści, sześćdziesiąt, dziewięćdziesiąt...

– Włącz pilota automatycznego, durniu! – bezskutecznie krzyczał do mikrofonu Falcon. – Ręczne sterowanie nie działa!

Platforma przewróciła się na grzbiet. Silniki odrzutowe już jej nie unosiły, lecz szybko pchały ku ziemi, stając się nagle sprzymierzeńcami ciężenia, z którym dotychczas walczyły.

Falcon nie słyszał zderzenia, choć je poczuł; był już na pokładzie obserwacyjnym, pędząc do windy, którą miał zamiar dotrzeć na mostek.

Wołali za nim zaniepokojeni robotnicy, pytając; co się stało. Minie wiele miesięcy, nim znajdzie odpowiedź na to pytanie.

W chwili, gdy wchodził do klatki windy, zmienił, zdanie. A jeśli nastąpiła awaria sieci elektrycznej? Lepiej być przezornym, nawet jeśli potrwa to dłużej i choć zależało mu na czasie. Ruszył biegiem w dół spiralą klatki schodowej, oplatającą szyb windy.

W połowie drogi przystanął, by obejrzeć uszkodzenia. Ta'przeklęta platforma przebiła statek na wylot i rozpruła dwa zbiorniki z gazem. Ich ściany jeszcze z wolna opadały wielkimi fałdami plastyku. Nie obawiał się utraty siły nośnej – wystarczyło wyrzucić balast, o ile pozostałe osiem zbiorników jest jeszcze nietknięte. Znacznie groźniejsze mogło być uszkodzenie konstrukcji nośnej. Słyszał zewsząd jęki kratownicy protestującej przeciwko nienormalnym obciążeniom. Nie wystarczyło mieć dość siły nośnej – jeśli jej rozkład nie był równomierny, statek mógł się przełamać.

Akurat kiedy znów zaczął schodzić, jakiś przeraźliwie piszczący ze strachu superszympan z niewiarygodną prędkością, szybko przebijając łapami, posuwał się w dół po zewnętrznej ścianie



szybu. Opanowane strachem, biedne zwierzę zdarło z siebie służbowy mundur, być może podczas nieświadomej próby odzyskania tej swobody, którą cieszyli się jego przodkowie.

Biegący co sił w nogach Falcon z pewną obawą obserwował zbliżające się zwierzę. Prerażony szympanś jest silny i niebezpieczny, szczególnie gdy działa pod wpływem strachu. Kiedy mijał komandora, zaczął wykrzykiwać jakieś słowa, które mieszały się ze sobą i Falcon rozpoznał tylko często powtarzany żałośnie wyraz „szef. Uświadomił sobie, że nawet w takiej chwili zwierzę szukało przewodnictwa człowieka. Żał mu się zrobiło stworzenia, które w katastrofie znalazło się z ludzkiej winy, niczego nie pojmowało i za nic nie ponosiło odpowiedzialności.

Szympanś zatrzymał się przy Falconie, po drugiej stronie okratowania. Nic by nie zatrzymało zwierzęcia, gdyby zechciało przejść przez kratki. Ich twarze dzieliło tylko kilkanaście centymetrów i Falcon patrzył prosto w przerażone oczy. Nigdy jeszcze nie znajdował się tak blisko superszympanśa i nigdy nie widział tak wyraźnie jego rysów. Opanowało go dziwne uczucie pokrewieństwa i skrępowania, jakiego doznają wszyscy ludzie spoglądający w ten sposób w zwierciadło czasu.

Jego obecność zdawała się uspokajać zwierzę. Falcon wskazał ręką w stronę pokładu obserwacyjnego i rzekł, bardzo wyraźnie i dobitnie wymawiając słowa: „Szef, szef – idź”. Z ulgą stwierdził, że szympanś zrozumiał, bo zrobił grymas, który mógł być uśmiechem i natychmiast szybko pospieszył z powrotem. To najlepsza rada, jakiej Falcon mógł udzielić. Jeśli gdziekolwiek na pokładzie Królowej było bezpiecznie, to właśnie tam. Lecz jego obowiązkiem było znaleźć się gdzie indziej.

Dotarł już prawie do celu, kiedy z dźwiękiem pękającego metalu statek poleciał dziobem w dół i zgąsło światło. Widział jednak całkiem dobrze, gdyż promienie słońca wpadały przez otwarty luk i ogromną wyrwę w powłoce. Wiele lat temu stał w wielkiej nawie katedry i obserwował światło, które przenikało do wnętrza przez kolorowe witraże i tworzyło wielobarwne plamy na wiekowej, kamiennej posadzce. Chwilę tę przypomniał mu snop oślepiającego światła słonecznego, wpadający z góry przez rozdarty materiał. Teraz znajdował się w metalowej katedrze, która spadała z nieba.

Kiedy dotarł na mostek i mógł po raz pierwszy wyrzec na zewnątrz, przeraziła go bliskość ziemi. Za ledwie tysiąc metrów pod nim sterczały przepiękne i groźące śmiertelnym niebezpieczeństwem iglice skał i płynęły czerwone rzeki błota, które w dalszym ciągu żłobiły swe koryta w przeszłość. W zasięgu wzroku nie znalazł kawałka terenu, gdzie statek wielkości Królowej mógłby stanąć na równej ścieżce.

Jedno spojrzenie na tablicę przyrządów powiedziało mu, że zrzucano już cały balast. Jednakże udało się zmniejszyć prędkość opadania do kilku metrów na sekundę; jeszcze mieli szansę w tej walce.

Falcon bez słowa zajął miejsce pilota i starał się wykorzystać resztki zachowanej sterowności. Tablica przyrządów pokazywała mu wszystko, co pragnął wiedzieć; rozmowy były zupełnie zbyteczne. Słyszał, jak radio-oficer na bieżąco wysyła meldunki w eter. Tymczasem z pewnością już zarezerwowano wszystkie kanały łączności prasowej i wyobrażał sobie całkowitą bezsilność redaktorów. Miała oto nastąpić jedna z największych katastrof w historii, a żadna kamera nie mogła jej uwiecznić. Ostatnie chwile Królowej nigdy nie przyprowadzą milionów ludzi o dreszcz przerażenia i grozy, jak to miało miejsce z Hindenburgiem półtora wieku temu.

Teraz ziemia znajdowała się w odległości za ledwie około pięciuset metrów i ciągle powoli się zbliżała. Choć dysponował jeszcze pełną siłą ciągu, dotąd nie ośmielił się z niej skorzystać, żeby osłabiona konstrukcja nie rozpadła się do reszty, ale w tej chwili uświadomił sobie, że nie ma wyboru. Wiatr znosił ich w stronę kanionu, gdzie rzekę rozcinał klin skały jak dziób olbrzymiego, archaicznego statku z kamienia. Jeśli Królowa nie zejdzie z obecnego kursu, wówczas siądzie okrakiem na trójkątnej, płaskiej skale i przynajmniej jedna trzecia jej kadłuba zawisnie nad otchłanią – złamie się jak nadgniły patyk.

Z oddali Falcon usłyszał głośniejszy od trzasku naprężonego metalu i syku uciekającego gazu, znajomy gwizd bocznych silników odrzutowych, które właśnie włączył. Statek zachwiał się i zaczął skręcać w lewo. Przeraził trzaski pękającego metalu słyhać było teraz prawie bez przerwy – szybkość opadania zaczęła wyraźnie wzrastać. Jedno spojrzenie na tablicę wskaźników uświadomiło Falconowi, że właśnie poszedł zbiornik nr 5.

Już tylko metry dzieliły ich od ziemi. Jeszcze nie mógł powiedzieć, czy jego manewr powiedzie się, czy nie. Ustawił w pionie wektory ciągu, maksymalnie zwiększając siłę nośną, żeby osłabić impet uderzenia..

Zdawało się ono trwać wiecznie. Nie było gwałtowne – po prostu przedłużone i nie do powstrzymania. Falcon miał wrażenie, że wali się cały wszechświat

Zbliżał się dźwięk chrzęszczącego metalu, jakby jakieś bestie przegryzały się przez statek.

Podłoga i sufit ścisnęły Falcona jak imadło.

## 2. „Bo jest”

– Dlaczego chcesz polecieć na Jowisza?

– Jak to ładnie powiedział Springer, kiedy startował na Plutona: bo jest.

– Dziękuję. A teraz, jak już to mamy za sobą, prawdziwy powód.

Howard Falcon uśmiechnął się, choć tylko dobrze go znający ludzie mogli wziąć ten lekki grymas skórzastej twarzy za uśmiech. Webster był jednym z nich – od ponad dwudziestu lat wzajemnie uczestniczyli w swoich przedsięwzięciach. Razem święcili triumfy i przeżywali katastrofy, łącznie z największą, jaka kiedykolwiek się wydarzyła.

– No, cóż, frazes Springera jest wciąż aktualny. Byliśmy już na wszystkich planetach stałych, ale jeszcze nigdy na gazowych olbrzymach. Jest to jedyna, prawdziwa próba sił, jaka nam pozostała w Układzie Słonecznym.

– Dość droga. Obliczyłeś jej koszty?

– Jak tylko umiałem. Oto kosztorys. Pamiętaj jednak, że potrzebna jest nie jedna rakieta, lecz cały system transportowy. Jeśli się sprawdzi, będzie go można wykorzystać wielokrotnie. Otworzy nam drogę nie tylko do Jowisza, ale także do wszystkich olbrzymów.

Webster popatrzył na liczby i gwizdnął.

– A może by zacząć od jakiejś łatwiejszej planety, na przykład Urana. Ciężenie o połowę mniejsze i o przeszło połowę mniejsza prędkość ucieczki. A poza tym spokojniejsza pogoda, jeśli to odpowiednie słowo.

Webster z pewnością musiał tak mówić. Inaczej nie byłby oczywiście szefem Planowania Perspektywicznego.

– Nie da się wiele zaoszczędzić, jeśli uwzględnisz odległość i sprawy logistyczne. W wyprawie na Jowisza można wykorzystać urządzenia na Ganimesie. Za Saturnem musielibyśmy zakładać nową bazę zaopatrzeniową.

To logiczne, pomyślał Webster, lecz był pewien, że co innego stanowiło prawdziwy powód. Jowisz jest panem wśród planet Układu

Słonecznego, a Falcona nie zainteresowałoby nic mniej frapującego.

– Poza tym – ciągnął Falcóh – Jowisz to jeden z największych skandali w nauce. Upięknęło ponad sto lat od wykrycia na nim burz radiowych, ale w dalszym ciągu nie wiemy, co je powoduje, a Wielka Czerwona Plama wciąż jest głęboką tajemnicą. Może właśnie dlatego wydostanę fundusze z Urzędu Astronautyki. Czy wiesz, ile sond wysłali w atmosferę Jowisza?

– Chyba ze dwieście.

– Trzysta dwadzieścia sześć w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, a mniej więcej jedna czwarta tego to całkowita klapa. Oczywiście dowiedzieli się mnóstwa różnych rzeczy, ale to tylko kropla w morzu. Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielka jest ta planeta?

– Ponad dziesięć razy większa od Ziemi.

– Tak, tak, ale czy wiesz, co to naprawdę oznacza? Falcon wskazał na duży globus w rogu gabinetu Webstera.

– Spójrz na Indie, jak małe się wydają. A teraz, gdybyś z Ziemi zdjął skórę i rozpostarł ją na powierzchni Jowisza, wyglądałaby tak, jak Indie tutaj.

W czasie długiego milczenia, które potem zapadło, Webster zastanawiał się nad stosunkiem: Jowisz ma się tak do Ziemi, jak Ziemia do Indii. Oczywiście Falcon wybrał przykład najlepszy z możliwych...

Czy to naprawdę było dziesięć lat temu? Tak, z pewnością. Katastrofa już od siedmiu lat należała do przeszłości (dzień ten wrył mu się w serce), a pierwsze próby przeprowadzono na trzy lata przed pierwszym, a zarazem ostatnim lotem Królowej Elżbiety.

Wtedy to, dziesięć lat temu, komandor (nie, komandor porucznik) Falcon zaprosił go na prywatny pokaz – trzydniowe dryfowanie nad północnymi nizinami Indii z widokiem na Himalaje.

– To będzie całkowicie bezpieczne – obiecywał. – Oderwiesz się od biura i dowiesz, na czym to wszystko polega.

Webster nie rozczarował się. Poza jego pierwszą podróżą na Księżyc było to dlań najbardziej pamiętne przeżycie. A przecież, zgodnie z zapewnieniami Falcona, absolutnie bezpieczne i pozbawione wydarzeń.

Wystartowali ze Szrinagaru tuż przed świtem, zawieszeni pod olbrzymią, srebrzystą kulą, odbijającą pierwsze promienie słońca. Wznosili się w zupełnej ciszy – nie było żadnych wyjących palników propano-wych, które dawniej unosiły do góry balony na gorące powietrze. Całe potrzebne im ciepło wytwarzał niewielki pulsacyjny reaktor termojądrowy, który ważył zaledwie około stu dziesięciu kilogramów, wiszący w otworze wlotowym powłoki. Podczas wznoszenia jego laser zapalał odrobinę deuteru dziesięć razy na sekundę. Po osiągnięciu pułapu będzie to robił kilka razy na minutę, uzupełniając ciepło utracone przez balon nad ich głowami.

Tak więc, choć znajdowali się około półtora kilometra nad ziemią, słyszeli szczekanie psów, okrzyki ludzi, bijące dzwony. Rozległy? zalany słońcem krajobraz z wolna się powiększał. Dwie godziny później osiągnęli wysokość pięciu kilometrów i często musieli korzystać z aparatu tlenowego. Mogli odpoczywać i podziwiać widoki – całą pracę wykonywały instrumenty pokładowe, zbierające informacje potrzebne projektantom jeszcze nie nazwanego, podniebnego statku pasażerskiego.

Dzień był prześliczny. Do południowo-zachodniego monsunu pozostawał jeszcze miesiąc i niebo było prawie bez chmurki. Czas jakby się zatrzymał; irytowały ich cogodzinne meldunki przez radio, które przerywały im zadumę. A wszystko dokoła, aż po daleki horyzont, było nieskończonym, odwiecznym krajobrazem, przesiąkniętym historią – szachownicą wiosek, pól, świątyń, jezior, kanałów nawadniających...

Z prawdziwym wysiłkiem Webster otrząsnął się z hipnotycznej fali wspomnień sprzed dziesięciu lat. Przypomniały mu lot aparatem lżejszym od powietrza i uzmysłowiły ogrom Indii, nawet na planecie, którą można oblecieć dookoła w ciągu dziewięćdziesięciu minut. A jednak jeszcze powtarzał: Jowisz ma się tak do Ziemi, jak Ziemia do Indii...

– Zakładając, że twoja argumentacja jest słuszna – rzekł – i przyjmując, że otrzymasz potrzebne fundusze, musisz odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie. Dlaczego ty masz to zrobić lepiej niż te, ile ich tam było, trzysta dwadzieścia sześć automatycznych sond, które już odbyły tę podróż?

– Mam od nich wyższe kwalifikacje jako pilot i obserwator. Szczególnie jako pilot. Nie zapominaj, że mam więcej doświadczenia w lotach balonem niż ktokolwiek inny na świecie.

– Niemniej jednak mógłbyś kierować wszystkim, siedząc bezpiecznie na Ganimesesie.

– Ale w tym cały problem! Już to robili. Nie pamiętasz, co spowodowało katastrofę Królowej?

Webster doskonale wiedział, więc zamiast odpowiedzi, rzekł tylko:

– Mów dalej.

– Opóźnienie, po prostu opóźnienie! Ten idiota kierujący platformą myślał, że robi to bezpośrednio, ale przypadkowo jego impulsy szły poprzez satelitę. Może to i nie jego wina, ale powinien był zauważyć. Daje to półsekundowe opóźnienie sygnału biegnącego tą drogą tam i z powrotem. Nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby lot odbywał się w spokojnym powietrzu. Lecz nad Wielkim Kanionem są zaburzenia, które doprowadziły do katastrofy. Kiedy platforma się przechyliła, on chciał wyrównać, ale miał już przechył w drugą stronę. Próbowales kiedykolwiek prowadzić samochód po wyboistej drodze z półsekundowym opóźnieniem w kierowaniu?

– Nie i nie mam zamiaru. Jednak mogę to sobie wyobrazić.

– A więc Ganimeses znajduje się w odległości miliona kilometrów od Jowisza, co sprawia, że opóźnienie sygnału biegnącego tam i z powrotem wynosi sześć sekund. Nie, kierujący potrzebny jest na miejscu, żeby mógł radzić sobie z nagłymi sytuacjami w czasie rzeczywistym. Pozwól, że coś ci pokażę. Mogę z tego skorzystać?

– Proszę.

Falcon wziął pocztówkę leżącą na biurku Webstera. Na Ziemi pocztówki już prawie wyszły z mody, lecz ta przedstawiała trójwymiarowy widok krajobrazu marsjańskiego, a zdobiły ją egzotyczne i drogie znaczki. Ujął ją tak, że zwisała w jego palcach pionowo.

– To stara sztuczka, ale pomoże mi cię przekonać. Obejmij ją dwoma palcami, nie dotykając jej. O, właśnie tak.

Webster wyciągnął rękę i pocztówka znalazła się między jego kciukiem i palcem wskazującym, które prawie jej dotykały.

– A teraz spróbuj ją złapać.

Falcon odczekał kilka sekund, a potem bez uprzedzenia puścił pocztówkę. Palce Webstera schwyciły powietrze.

– Zrobię to jeszcze raz, by ci pokazać, że nie ma w tym żadnego oszukaństwa. Popatrz.

I znów spadająca pocztówka prześliznęła się między palcami Webstera. – A teraz spróbuj ze mną. Tym razem Webster wziął pocztówkę i puścił ją bez uprzedzenia. Falcon schwycił ją prawie w tej samej chwili. Jego reakcja była tak błyskawiczna, że Websterowi wydawało się, jakby słyszał kłapanie palców o pocztówkę.

– Kiedy mnie składano – zauważył Falcon beznamiętnym głosem – chirurdzy zrobili parę usprawnień. To właśnie jedno z nich, ale są jeszcze inne. Chciałbym je jak najlepiej wykorzystać, a najodpowiedniejszym do tego miejscem jest Jowisz.

Webster przez dłuższy czas wpatrywał się w leżącą pocztówkę, chłonąc nieprawdopodobne barwy Trivium Charontis.

– Rozumiem – odezwał się potem cicho. – Ile ci to zajmie?

– Z pomocą twoją, Urzędu i wszystkich fundacji naukowych, jakie uda nam się do tego wciągnąć – jakieś trzy lata. Do tego rok na próby, a trzeba wysłać przynajmniej dwa próbne modele. Tak więc, jeśli szczęście mi dopisze, w sumie pięć lat. /

– I tak też mniej więcej sądziłem. Mam nadzieję, że szczęście ci dopisze, zasłużyłeś na nie. Ale jednego nie zrobię.

– A cóż to takiego?

– Kiedy następnym razem polecisz balonem, nie spodziewaj się, że będziesz miał mnie za pasażera.

### 3. Planeta bogów

Opadanie z Jowisza V na samego Jowisza trwa zaledwie trzy i pół godziny. Niewielu ludzi mogłoby spać spokojnie podczas takiej wzbudzającej grozę podróży. Sen był słabością, której Howard Falcon nienawidził, a ta odrobina, jakiej potrzebował, sprowadzała nań takie koszmary, że nawet czas nie mógł ich odpędzić. Spodziewał się, że nie znajdzie chwili wytchnienia w ciągu trzech dni, które mu pozostały i że musi zdobyć jak najwięcej informacji podczas długiego opadania w oceanie chmur leżącym jakieś sto kilometrów niżej.

Jak tylko Kon-Tiki wszedł na orbitę pośrednią i komputer potwierdził, że wszystko jest w porządku, Falcon przygotował się do snu, być może po raz ostatni. Chwila wydawała się stosowna, gdyż prawie w tym samym momencie Jowisz przysłonił niewielką jasną tarczę Słońca, kiedy statek wchodził w monstrualny cień planety. Przez kilka minut znajdował się w dziwnym, złotawym półcieniu, a potem jedna czwarta nieba stała się całkowicie czarną dziurą w przestrzeni, reszta zaś rozbłysła gwiazdami. Bez względu na to, jak daleko podróżuje się w Układzie Słonecznym, one nigdy się nie zmieniają – te same konstelacje świeciły teraz nad Ziemią, o miliony kilometrów stąd. Jedynym wyjątkiem były małe, blade sierpy Callisto i Ganimedesa; niewątpliwie znajdowało się tam jeszcze kilkanaście innych księżyców, lecz o wiele za małych lub zbyt odległych, by można je dostrzec gołym okiem.

– Wyłączam się na dwie godziny – przekazał statkowi-bazie, który wisiał prawie półtora tysiąca kilometrów nad pustynnymi skałami Jowisza V, w cieniu tego niewielkiego satelity, osłaniającym go przed radiacją. Jeśli nawet nigdy nie służył żadnemu innemu, pożytecznemu celowi, Jowisz V był kosmicznym buldożerem, zgarniającym naładowane cząstki, które sprawiały, że dłuższe przebywanie w pobliżu Jowisza szkodzi zdrowiu. Przestrzeń w cieniu satelity jest prawie wolna od radiacji i statki mogą tam bezpiecznie parkować, chociaż wokół niewidocznie czai się śmierć.

Falcon włączył wzbudnik snu i zapadł w nieświadomość, gdy prąd elektryczny zaczął delikatnie wibrować w jego mózgu. Kiedy Kon-Tiki pędził ku Jowiszowi, z każdą sekundą nabierając szybkości w jego potężnym polu grawitacyjnym, on spał bez snów. Pojawiały się one zawsze przed przebudzeniem, a Falcon swe koszmary przywiózł ze sobą z Ziemi.

Nigdy jednak w jego marzeniach sennych nie pojawiał się sam moment zderzenia, choć często zbiegał w nich kręconymi schodami i widział przed sobą twarz przerażonego superszympana. Żaden z szympansów nie przeżył wypadku. Te, które nie zginęły na miejscu, odniosły tak ciężkie obrażenia, że poddano je bezbolesnej eutanazji. Często zastanawiał się, dlaczego w snach widzi tylko to skazane na zagładę zwierzę, spotkane

po raz pierwszy w ostatnich minutach jego życia, a nigdy przyjaciół i kolegów, których stracił na pokładzie ginącej Królowej.

Najbardziej bał się snów, których początek zbiegał się z pierwszym przebłyskiem świadomości. Miał wtedy wrażenie niewielkiego bólu fizycznego, choć właściwie nic nie czuł. Wokół panowała cisza i ciemność, a on zdawał się nawet nie oddychać. Co najdziwniejsze – nie czuł swych kończyn. Nie mógł poruszyć ani ręką, ani nogą, gdyż nie wiedział, gdzie są.

Najpierw ustąpiła cisza. Po wielu godzinach, a może dniach, do jego świadomości dotarło jakieś słabe pulsowanie i w końcu, po dłuższym zastanowieniu, wydedukował, że to bicie jego własnego serca. I to była pierwsza z jego wielu pomyłek.

Potem pojawiły się jakby delikatne ukłucia szpilek, błyski światła, cień uścisku na wciąż jeszcze bezwładne kończyny. Kolejno wracały zmysły, a wraz z nimi przyszedł ból. Wszystkiego musiał uczyć się od nowa, jak gdyby jeszcze raz przeżywał okres niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa. Choć zachował pamięć i rozumiał wszystkie słowa, które doń kierowano, minęły długie miesiące, zanim mógł zareagować ledwie drgnieniem powiek. Pamiętał chwile triumfu, gdy udało mu się powiedzieć pierwsze słowo, odwrócić kartkę książki, a w końcu poruszać się o własnych siłach. Było to prawdziwe zwycięstwo, a przygotowania do niego zajęły mu prawie dwa lata. Setki razy zazdrościł temu martwemu su-perszympanowi, ale nie miał żadnego wyboru. Zdecydowali lekarze i teraz, po dwunastu latach, znajdował się tam, dokąd nigdy przedtem nie dotarła żadna istota ludzka, a poruszał się najszybciej ze wszystkich ludzi w historii.

Kon-Tiki akurat wrynurzał się z cienia, a jowiszowy świt rysował na niebie ogromny łuk światła, kiedy uporczywe dzwonienie budzika wyrwało Falcona ze snu. Natrętne koszmary (próbował wezwać pielęgniarkę, ale nawet nie miał siły nacisnąć guzika) szybko zniknęły z jego świadomości. Miał przed sobą największą – a może ostatnią – przygodę w życiu.

Wezwał stację kontroli lotu, znajdującą się teraz prawie sto tysięcy kilometrów od niego i szybko opadającą poniżej krzywizny Jowisza, by zawiadomić, że wszystko jest w porządku. Jego szybkość

właśnie zbliżała się do pięćdziesięciu kilometrów na sekundę (taką zanotował w dzienniku pokładowym) i za pół godziny rozpocznie najtrudniejsze wejście w atmosferę w całym Układzie Słonecznym, uderzając w jej zewnętrzną warstwę. Chociaż dziesiątki sond przetrwały tę próbę ognia, lecz były to zbite masy solidnie umocowanych instrumentów, zdolne wytrzymać przeciążenia kilkaset razy większe od przyciągania ziemskiego. Na Kon-Tiki podziela chwilami blisko trzydzieści G, a przeciętnie powyżej dziesięciu, zanim zatrzyma się w górnych partiach jowiszowej atmosfery. Z wielką uwagą i bardzo dokładnie Falcon zaczął przymocowywać skomplikowaną

uprzęż amortyzującą, którą przypnie się do ścian kabiny. Kiedy skończył, stał się naprawdę częścią statku.

Zegar zaczął odliczanie na sto sekund przed momentem wejścia w atmosferę. Teraz Falcon był na łasce losu. Za półtorej minuty zetknie się z atmosferą Jowisza i nieodwołalnie pozostanie w jego uścisku.

Odliczanie opóźniło się o trzy sekundy, co wcale nie było takie złe, biorąc pod uwagę oczekujące Falcona nieznanne. Przez ściany kabiny dochodził upiorny świst, który stopniowo się wzmacniał, aż przeszedł w wysoki, świdrujący grzmot. Był to zupełnie inny hałas od tego, który towarzyszył lądowaniu na Ziemi czy Marsie; w rzadkiej atmosferze wodoru i helu wszystkie dźwięki przesuwają się o parę oktaw w górę. Na Jowiszu zaś nawet grom zabrzmiałby falsetem.

Wraz z narastającym grzmotem zaczął odczuwać coraz większy ciężar, który unieruchomił go w ciągu kilku sekund. Pole widzenia Falcona zmniejszało się aż do chwili, gdy obejmowało jedynie zegar akcelerometru – piętnaście G i jeszcze czterysta osiem sekund takiego lotu...

Ani na moment nie stracił przytomności, lecz z drugiej strony spodziewał się tego. Droga Kon-Tiki przez atmosferę Jowisza musiała wyglądać efektownie – do tej chwili miała już tysiące kilometrów długości. Pięć sekund po wejściu przeciążenie zaczęło się zmniejszać: dziesięć G, pięć G, dwa... Potem zniknęło prawie zupełnie. Opadał swobodnie, wytraciwszy całą ogromną prędkość orbitalną. Nagły wstrząs świadczył, że odpadły rozżarzone resztki osłony termicznej. Spełniła swe zadanie i więcej nie będzie potrzebna; teraz Jowisz może ją sobie zatrzymać. Odpiął wszystkie klamry upręży poza dwiema i czekał, aż automat rozpocznie następny, najbardziej krytyczny etap lądowania.

Nie zauważył momentu wyrzucenia spadochronu hamującego, ale odczuł lekki wstrząs i tempo spadania natychmiast się zmniejszyło. Kon-Tiki wytracił całą szybkość horyzontalną i leciał teraz pionowo w dół, prawie siedemset kilometrów na godzinę. Wszystko zależało od tego, co się wydarzy w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund.

Otworzył się drugi spadochron hamujący. Falcon spojrzał przez okno w suficie i z ogromną ulgą dostrzegł falującą nad statkiem chmurę lśniącej folii. Niczym ogromny, rozwijający się kwiat, tysiące metrów sześciennych balonu chwyciło na tle nieba rozrzedzony gaz, aż do całkowitego wypełnienia. Tempo opadania Kon-Tiki zmniejszyło się do kilku kilometrów na godzinę i ustaliło. Teraz miał mnóstwo czasu – upłyną dni, zanim przebędzie całą drogę do powierzchni Jowisza.

W końcu dotarłby do niej, gdyby nawet nic w tym celu nie robił. Balon nad nim działał po prostu jak skuteczny spadochron. Nie miał i nie mógł mieć żadnej siły nośnej, póki gaz wypełniający powłokę był w takim samym stanie jak na zewnątrz.

Ze swym charakterystycznym i raczej nieprzyjemnym trzaskiem włączył się reaktor termojądrowy i zaczął wtłaczać ogromne ilości ciepła do wiszącej nad nim powłoki. W ciągu piętnastu minut tempo opadania zmniejszyło się do zera, a po następnej minucie statek zaczął się wznosić. Według radarowego wysokościomierza leciał około czterystu dwudziestu dziewięciu kilometrów nad powierzchnią lub nad tym, co uchodziło za nią na Jowiszu.

W atmosferze wodoru, który jest najlżejszym gazem, mógł funkcjonować tylko jeden balon – wypełniony gorącym wodorem. Dopóki działał reaktor, dopóty Falcon był zdolny unosić się swobodnym lotem nad planetą, na której zmieściłaby się setka Pacyfików. Przebywszy prawie

pięćset milionów kilometrów Kon-Tiki zaczął w końcu uzasadniać swą nazwę: był napowietrzną tratwą, unoszoną prądami jowiszowej atmosfery.

Chociaż cały ten nieznaną świat zewsząd go otaczał, dopiero po przeszło godzinie Falcon mógł uważniej mu się przyjrzeć. Najpierw musiał sprawdzić wszystkie układy statku i jego sterowność, a także ustalić ilość ciepła potrzebną do uzyskania określonego tempa wznoszenia oraz ile gazu powinien wypuścić, by opaść. Najważniejszą sprawą była stabilność: musiał zmienić długość lin łączących kapsułę z ogromnym, gruszkowatym balonem, żeby zmniejszyć wibrację i tym samym uzyskać jak najspokojniejszy lot. Dotychczas szczęście mu sprzyjało – na tej wysokości wiatr był stały, a dopplerowski pomiar odległości na niewidocznej powierzchni wykazał szybkość poziomą trzystu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Skromnie jak na Jowisza – zaobserwowano tam wiatry wiejące z prędkością ponad półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Ale sama prędkość wiatru oczywiście nie miała znaczenia – prawdziwe niebezpieczeństwo stwarzały turbulencje. Gdyby na jakąś się natknął, tylko doświadczenie i błyskawiczna reakcja mogły go uratować, a tego nie dało się wprowadzić do komputera.

Dopiero kiedy uznał, że czuje już swój osobliwy statek, zwrócił uwagę na błagalne wezwania stacji kontroli lotu. Wysunął na zewnątrz wysięgniki z instrumentami i próbnikami atmosfery. Kapsuła przypominała teraz dość niechlujnie ubraną choinkę, lecz w dalszym ciągu leciała spokojnie, niesiona jowiszowymi wiatrami, zalewając potokami informacji aparaturę rejestrującą statek-bazy znajdującego się wiele kilometrów nad nim. I teraz Falcon mógł się w końcu rozejrzeć...

Pierwsze wrażenie zaskoczyło go, a nawet nieco rozczerowało. Jeśli idzie o skalę, mogło mu się wydawać, że leci nad zwykłym krajobrazem, jaki tworzą chmury na Ziemi. Horyzont zdawał się leżeć w normalnej odległości i Falcon nie odnosił wrażenia, że unosi się nad planetą o średnicy dwanaście razy większej od ziemskiej. Potem popatrzył na ekran radaru noktowizyjnego, sondującego niżej leżące warstwy atmosfery, i zorientował się, jak bardzo zmyliły go oczy.

Warstwa chmur, znajdująca się pozornie w odległości około pięciu kilometrów, faktycznie była oddalona o prawie sześćdziesiąt. Horyzont zaś, którego odległość oszacowałby na nieco ponad dwieście, właściwie znajdował się o przeszło trzy tysiące kilometrów od statku.

Krystaliczna przejrzystość atmosfery wodoru i ogromna krzywizna planety zwiodyły go doszczętnie. Tutaj nawet trudniej było ocenić odległość niż na Księżycu – wszystko, co widział, należało mnożyć przynajmniej przez dziesięć.

Przecież to takie proste i powinien być na to przygotowany, lecz jakoś nie dawało mu to spokoju. Miał wrażenie, że to nie Jowisz jest ogromny, ale że on sam skurczył się do jednej dziesiątej swych normalnych rozmiarów. Może z czasem przyzwyczai się do tej skali nie na miarę człowieka; jednak patrząc na niewiarygodnie odległy horyzont czuł, jakby mu w duszy hulał wiatr mroźniejszy niż w otaczającej statek atmosferze. Mimo tylu jego własnych argumentów mogło się okazać, że nie jest to miejsce dla człowieka. Byłby wówczas pierwszym i ostatnim z ludzi, który opada w chmurach Jowisza.

Niebo w górze było prawie czarne, z wyjątkiem kilku strzępków cir-rusów z amoniaku jakieś dwadzieścia kilometrów wyżej. Tam w górze, na granicy przestrzeni kosmicznej, panował mróz, lecz zarówno temperatura, jak i ciśnienie szybko rosły wraz z głębokością. Na obecnym pułapie Kon--Tiki było pięćdziesiąt stopni poniżej zera, a ciśnienie wynosiło pięć atmosfer. Sto pięćdziesiąt kilometrów niżej będzie tak ciepło jak w pasie równikowym na Ziemi, ciśnienie zaś osiągnie wartość mniej więcej taką, jak na dnie płytkiego morza. Idealne warunki dla życia...

Minęła już jedna czwarta dnia jowiszowego, Słońce znajdowało się w połowie swej drogi do góry, lecz nieprzerwaną masę leżących niżej chmur pokrywało osobliwie łagodne światło. Te dodatkowe pięćset milionów kilometrów odebrało Słońcu całą moc. Mimo czystego nieba Falcon złapał się na tym, że stale uważa dzień za bardzo pochmurny. Kiedy nadejdzie noc, ciemność zapadnie naprawdę szybko: chociaż było jeszcze rano, panował jakby jesienny półmrok. Lecz jesień nigdy nie występuje na Jowiszu. Tutaj nie ma żadnych pór roku.

Kon-Tiki opadł dokładnie pośrodku strefy równikowej – najbardziej bezbarwnego rejonu planety. Rozciągające się aż po horyzont morze chmur miało kolor bladłososiu7y – nie było tam żółci, różowości, a na-wrót ożywiających wyższe warstwy atmosfery Jowisza czerwieni. Wielka Czerwona Plama – najefektowniejszy element krajobrazu planety – leżała o tysiące kilometrów stąd na południe. Falcona kusiło, żeby właśnie tam się skierować, lecz nie uczynił tego ze względu na wyjątkową aktywność zaburzeń w południowej strefie tropikalnej z prądami powietrza,

których prędkość przekraczała tysiąc trzysta pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Pchanie się w wir nieznanymi siłami byłoby szukaniem guza. Wielka Czerwona Plama i jej tajemnice muszą poczekać do następnych wypraw.

Słońce, które posuwało się po niebie dwukrotnie szybciej niż na Ziemi, zbliżało się teraz do zenitu, przysłonięte wielką srebrną kulą balonu. W dalszym ciągu Kon-Tiki leciał szybko i spokojnie na zachód ze stałą prędkością trzystu pięćdziesięciu kilometrów, o czym świadczył jedynie radar. Falcon zastanawiał się, czy tu zawsze jest tak spokojnie. W każdym razie naukowcy, którzy tak uczenie rozprawiali o pasach ciszy na Jowiszu i przewidywali, że równik będzie najspokojniejszym miejscem, wiedzieli chyba, co mówią. Falcon miał bardzo sceptyczny stosunek do takich prognoz i zgadzał się z jednym, niezwykle skromnym badaczem, który powiedział mu wprost, że nikt jeszcze tego na własne oczy nie widział. Ha, trudno, ale pod koniec tego dnia przynajmniej jeden taki się znajdzie.

Jeśli do tego czasu uda mu się przeżyć.

#### 4. Głosy z głębi

Tego pierwszego dnia los się do niego uśmiechnął. Tu, na Jowiszu, było tak cicho i spokojnie, jak przed laty, kiedy leciał z Websterem nad równiną pomocnych Indii. Falcon miał czas na opanowanie umiejętności sterowania Kon-Tiki w nowych warunkach; statek zdawał się teraz częścią jego samego. Miał więcej szczęścia, niż mógł oczekiwać w najśmielszych marzeniach, i zaczął się zastanawiać, jakąż to cenę przyjdzie mu za to zapłacić.

Pięciogodzinny dzień prawie już minął; chmury w dole były pełne cieni, które nadawały im zwartą masywność, jakiej nie miały, gdy Słońce stało wyżej. Niebo szybko traciło swe barwy, z wyjątkiem samego zachodu, gdzie nad horyzontem rozciągał się pas coraz głębszej czerwieni. Nad pasem tym wisiał wąski, blady sierp jednego z bliższych księżyców, bielejący na tle zupełnie czarnego nieba.

Z dostrzegalną dla oka prędkością Słońce zmierzało prostu ku krawędzi Jowisza odległej o ponad trzy tysiące kilometrów. Pojawiły się niezliczone zastępy gwiazd, a wśród nich, na samym skraju półcienia, piękna gwiazda wieczorna – Ziemia – przypominająca Falconowi, jak daleko jest jego dom. Zniknęła na zachodzie w ślad za Słońcem. Rozpoczęła się pierwsza noc człowieka na Jowiszu.

Z nadejściem ciemności Kon-Tiki zaczął opadać. Balonu już nie ogrzewało nikłe światło słoneczne i tracił część swej siły nośnej. Falcon nie uczynił nic – oczekiwał tego i zamierzał obniżyć lot.

Do niewidocznej warstwy chmur w dole pozostawało jeszcze ponad pięćdziesiąt kilometrów; osiągnie je około północy. Wyraźnie rysowała się

na ekranie noktowizyjnego radaru, który informował również, że jest w niej wiele złożonych związków węgla i jak zwykle tlen, hel i amoniak. Chemicy marzyli o próbkach tej różowej, kłaczkowatej mieszaniny; choć sondy atmosferyczne zebrały już kilka jej gramów, zaostriżyło to tylko ich apetyty. Występowała w niej połowa potrzebnych do życia molekuł, unoszących się wysoko ponad powierzchnią Jowisza. A jeśli jest pożywienie, to czy wiele może brakować do życia? Na to pytanie od ponad stu lat nikt nie mógł dać odpowiedzi.

Chmury były zaporą nie do przebycia dla promieni podczerwonych, ale przenikały je mikrofały radaru, ukazując kolejne warstwy, aż po ukrytą pod nimi, niewidoczną powierzchnię, leżącą przeszło czterysta kilometrów niżej. W dotarciu do niej przeszkadzało mu ogromne ciśnienie i



wysokie temperatury; nawet robotom nigdy nie udało się dotrzeć tam bez uszkodzeń. Widział ją w dole ekranu radaru, jak – prowokująco niedostępna i z lekka zamazana – ukazywała swą dziwnie ziarnistą budowę, której nie potrafiła zanalizować jego aparatura.

W godzinę po zachodzie słońca wypuścił pierwszą sondę. Szybko opadała przez jakieś sto kilometrów, a potem zaczęła unosić się w gęstszej atmosferze, wysyłając potoki sygnałów radiowych, które przekazywał dalej, do stacji kontroli lotu. Do świtu nie miał żadnych zajęć poza obserwowaniem tempa opadania i wskazań instrumentów oraz udzielaniem odpowiedzi na sporadyczne pytania. Unoszony stałym prądem Kon-Tiki mógł dbać sam o siebie.

Tuż przed północą jakaś kobieta objęła dyżur przy pulpicie kontrolnym i przedstawiła się, jak zwykle żartując. Dziesięć minut później ponownie się zgłosiła, a jej ton zdradzał zarazem powagę i podniecenie.

– Howard! Posłuchaj sobie na kanale czterdziestym szóstym przy dużym wzmocnieniu.

Czterdziestym szóstym? Było tyle kanałów telemetrycznych, że pamiętał jedynie numery najważniejszych. Kiedy jednak przestawił przełącznik, natychmiast zorientował się, że jest to kanał przekazujący dźwięki odbierane przez mikrofon sondy unoszącej się przes2ło sto dwadzieścia kilometrów pod nim, w atmosferze, która ma tam prawie gęstość wody.

Najpierw usłyszał tylko cichy szum, niczym jakiegoś dziwnego wiatru, wiejącego tam na dole, w ciemnościach tego niewyobrażalnego świata. A potem na tle szumu dało się słyszeć dudniącą, powoli narastającą, coraz głośniejszą wibrację, jak dźwięk gigantycznego bębna. Dźwięk był tak niski, że odbierał go nie tylko słuchem, ale również dotykiem, a tempo uderzeń stale rosło, choć ich wysokość pozostawała niezmienna. Teraz przeszedł w prawie infradźwiękowe drgania. Wtem urwało się w połowie tak nagle, że umysł nie mógł znieść ciszy, a pamięć powtarzała ich upiorne echo w najgłębszych zakamarkach mózgu.

Był to najbardziej niezwykły dźwięk, jaki kiedykolwiek Falconowi udało się słyszeć, nawet wśród mnogości hałasów na Ziemi. Nie przychodziło mu do głowy żadne zjawisko naturalne, które mogło go spowodować; nie przypominał krzyku żadnego zwierzęcia, ani nawet dźwięków wydawanych przez duże wieloryby...

Dźwięk powtórzył się dokładnie tak samo jak przedtem. Teraz, kiedy był już nań przygotowany, mógł ustalić długość sekwencji – od pierwszego słabego drgnienia do finałowego crescendo, wszystko trwało nieco ponad dziesięć sekund.

Tym razem usłyszał prawdziwe echo, bardzo słabe i odległe. Być może dźwięk odbił się od jednej z wielu warstw atmosfery, a może pochodził z jakiegoś innego, dalej leżącego źródła. Falcon chciał usłyszeć echo jeszcze raz, lecz się nie doczekał.

Stacja kontroli lotu zareagowała natychmiast i poleciła mu wysłać niezwłocznie następną sondę. Może za pomocą dwóch mikrofonów uda się w przybliżeniu zlokalizować źródła dźwięków. Rzecz dziwna, lecz żaden z zewnętrznych mikrofonów Kon-Tiki nie odbierał nic poza szumem wiatru. Dudnienie, bez względu na jego źródło, musiała odbijać i ukierunkowywać jakaś nisko zalegająca warstwa atmosfery.

Wkrótce ustalono, że dźwięki dochodziły z grupki źródeł leżącej w odległości około dwóch tysięcy kilometrów<sup>7</sup>. Z takiej odległości trudno było ocenić ich natężenie – w oceanach na Ziemi całkiem słabe dźwięki mogły odbywać równie daleką drogę. Główny egzobiolog szybko wykluczył ewentualność, która sama się narzucała, że dźwięki te wydają jakieś żywe istoty.

– Byłbym bardzo rozczarowany – powiedział dr Brenner – jeśli okaże się, że nie ma tam żadnych mikroorganizmów czy roślin. Ale nie zwierzęta, gdyż tlen nie występuje w stanie wolnym. Wszystkie reakcje na Jowiszu są niskoenergetyczne, bo po prostu żywe stworzenie w żaden sposób nie może wytworzyć dostatecznej ilości potrzebnej mu do funkcjonowania energii.

Falcon zastanawiał się, czy to prawda; już przedtem słyszał ten argument i powstrzymywał się z oceną.

– W każdym razie – mówił dalej Brenner – niektóre z tych fal mają prawie sto metrów długości! Nawet tak duże zwierzę jak wieloryb nie mogłoby ich wytworzyć. Muszą być pochodzenia naturalnego.

Tak, to było do przyjęcia i przypuszczalnie fizykom uda się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Co by pomyślał na Ziemi niewidomy przybysz z Kosmosu, gdyby znalazł się w pobliżu wzburzonego morza, gejzeru, wulkanu czy też wodospadu? Mógłby równie dobrze sądzić, że to jakieś ogromne zwierzę.

Na godzinę przed wschodem słońca głosy z głębi ucichły i Falcon zajął się przygotowaniami do świtu swego drugiego dnia na Jowiszu.

Kon-Tiki znajdował się teraz zaledwie pięć kilometrów ponad najbliższą warstwą chmur. Ciśnienie na zewnątrz wzrosło do dziesięciu atmosfer, a temperatura była tropikalna i wynosiła trzydzieści stopni. Człowiek czułby się tu dobrze, mając jedynie maskę do oddychania i odpowiednią mieszankę tlenu z helem.

– Mamy dla ciebie dobrą wiadomość – poinformowała Falcona stacja kontroli lotu zaraz po wschodzie słońca. – Warstwa chmur się przeciera. Za godzinę będziesz miał częściowe przejaśnienia, ale uważaj na turbulencje.

– Sam już to zauważyłem – odpowiedział. – Jaką będę miał widzialność w dół?

– Przynajmniej dwadzieścia kilometrów, do drugiej termokliny. Tamten pokład chmur jest bardzo zbity i nigdy nie ma w nim żadnych przerw.

– I jest poza moim zasięgiem – mruknął do siebie Falcon. Temperatura tam w dole musi przekraczać sto stopni. Po raz pierwszy pilot balonu martwił się warunkami panującymi nie w górze, lecz w dole!

Minęło dziesięć minut i zobaczył to, co dostrzegła już stacja kontroli lotu ze swego wyżej położonego punktu obserwacyjnego. Blisko horyzontu nastąpiła zmiana zabarwienia i warstwa chmur zaczęła się strzępić i wybrzuszać, jakby coś ją rozdzierało. Zwiększył płomień jądrowego pieca i Kon-Tiki wzniósł się o pięć kilometrów, skąd był lepszy widok.

Niebo pod nim szybko się przejaśniło, jak gdyby coś rozpuszczało pokrywę chmur. Przed oczyma otwierała się przepaść. Po chwili żeglował nad skrajem kanionu z chmur o głębokości około dwudziestu kilometrów i szerokiego na tysiąc.

W dole rozciągał się nowy świat – Jowisz zdarł z siebie jedną z licznych zasłon. Następną warstwą chmur, leżąca na nieosiągalnej głębokości, miała znacznie ciemniejszą barwę od pierwszej – prawie łośośio-woróżową, dziwnie nakrapianą wysepkami ceglastej czerwieni. Te owalne wysepki swymi dłuższymi końcami celowały na wschód i na zachód, zgodnie z kierunkiem przeważającego wiatru. Były ich setki, a wszystkie miały mniej więcej tę samą wielkość i przypominały Falconowi małe, puszyste kumulusy na ziemskim niebie.

Zredukował siłę nośną i Kon-Tiki zaczął opadać wzdłuż ściany rozwiewającego się urwiska. I wtedy zauważył śnieg.

W powietrzu powstawały białe płatki i niesione wiatrem, powoli opadały. Lecz przecież było o wiele za ciepło na śnieg, a w każdym razie na tej wysokości nie ma nawet śladu wody. Ponadto płatki te nie błyszczały i nie skrzyły się, kiedy spadały kaskadami w otchłań. A kiedy kilka z nich osiadło na wysięgniku z czujnikami, zobaczył, że są matowo-białe – wcale nie krystaliczne – i dosyć duże; ich średnica wynosiła kilkanaście centymetrów. Przypominały wosk i Falcon domyślił się, że

właśnie z niego powstały. W otaczającej go atmosferze zachodziła jakaś reakcja chemiczna, której wynikiem była kondensacja węglowodorów' unoszących się w powietrzu Jowisza.

Około stu kilometrów przed nim powitało jakieś zawirowanie w warstwie chmur. Porwało małe, czerwone owrale, które ułożyły się w spiralę

– znajomy kształt cyklonu z meteorologii Ziemi. Wir kręcił się z zadziwiającą prędkością; Falcon pomyślał sobie, że jeśli to burze, będzie miał duże kłopoty.

I wówczas jego niepokój przerodził się w zdumienie, a potem w strach. To, co działo się w linii jego lotu, wcale nie było burzą. Przez chmury wznosiło się coś ogromnego, o średnicy dziesiątków kilometrów<sup>7</sup>.

Pocieszającą myśl, że to także chmura – czoło burzy podnoszące się z niższych warstw atmosfery – trwała zaledwie kilka sekund. Nie, to jednak ciało stałe. Przepychało się przez łososioworóżową pokrywę chmur jak wyłaniająca się z głębi góra lodowa.

Góra lodowa pływająca w wodrze? Oczywiście niemożliwe, ale to chyba niezbyt odległa analogia. Jak tylko nastawił ostrość teleskopu na tę zagadkę, zobaczył białawą, krystaliczną masę, pokrytą czerwonymi i brązowymi prążkami. Uznał, że z takiego samego tworzywa powstały płatki „śniegu”, padającego wokół niego; było to zatem pasmo górskie z wrosku. Wkrótce uzmysłowił sobie, że nie jest to ciało tak stałe, jak początkowo sądził: nieprzerwanie kruszyło się na brzegach i odtwarzało...

– Wiem, co to jest – zwrócił się do stacji kontroli lotu, która od kilku minut zadawała gorączkowe pytania. – To masa baniek, jakaś piana. Węglowodorowa piana. Niech chemicy... Chwileczkę!

– Co to? – wołano ze stacji kontroli. – Co to jest?

Zignorował natarczywe pytania z Kosmosu i skoncentrował się na obrazie w polu widzenia teleskopu. Musi mieć pewność – jeżeli popełni błąd, stanie się pośmiewiskiem całego Układu Słonecznego.

Potem rozluźnił się, spojrzął na zegarek i wyłączył nieznośny głos z Jowisza V.

– Halo, stacja kontroli lotu – powiedział bardzo oficjalnym tonem.

– Tu Howard Falcon z pokładu Kon-Tiki. Czas efemerydalny: dziewiętnasta dwadzieścia jeden i piętnaście sekund. Szerokość północna: zero stopni pięć minut. Długość: sto pięć stopni czterdzieści dwie minuty. System Pierwszy. A potem dodał:

– Powiedzcie doktorowi Brennerowi, że na Jowiszu jest życie. I to bardzo duże...

## 5. Koło Posejdon

– Bardzo się cieszę, że nie miałem racji – wesoło odpowiedział dr Brenner przez radio. – Przyroda zawsze trzyma coś w zanadru. Niech pan cały czas fotografuje przez teleobiektyw i przekazuje nam najlepsze zdjęcia, jakie tylko uda się panu zrobić.

– Te stworzenia, które bez przerwy poruszały się w górę i w dół po woskowych stokach, znajdowały się jeszcze zbyt daleko, by Falcon mógł dostrzec wiele szczegółów, ale musiały być bardzo duże, ponieważ widział je aż z takiej odległości. Prawie czarne, w kształcie podobne do grotów strzał, poruszały się powolnymi, falistymi ruchami całego ciała niby gigantyczne płaszczki płynące nad jakąś tropikalną rafą.

Może były powietrzną trzodą na pastwiskach jowiszowych chmur, gdyż sprawiały wrażenie, jakby się pasły w tych ciemnych, czerwono-brązowych bruzdach, które niczym wyschnięte koryta rzek przecinały zbocza unoszących się w powietrzu urwisk. Czasem jakieś zwierzę dawało nurka w górę piany i całkowicie ginęło z oczu.

Kon-Tiki posuwał się powoli w stosunku do warstwy chmur w dół; miną co najmniej trzy godziny, zanim znajdzie się nad tymi efemerycznymi wzgórzami. Statek szedł w zawody ze Słońcem. Falcon miał nadzieję, że przed zapadnięciem ciemności uda mu się dobrze przyjrzeć, tym płaszczkom – tak je bowiem ochrzcił – a także temu nietrwałemu krajobrazowi, w którym unosiły się trzepocząc skrzydłami.

Były to trzy bardzo długie godziny. Przez cały ten czas mikrofony trzymał na maksymalnym wzmacnieniu, zastanawiając się, czy to nie tutaj znajdowało się źródło nocnego dudnienia. Płaszczki są dostatecznie duże, aby wydawać z siebie takie dźwięki – kiedy udało mu się je zmierzyć, ustalił, że rozpiętość ich skrzydeł wynosi prawie sto metrów. Przekraczało to długość największego wieloryba, choć wątpił, by mogły ważyć więcej niż kilka ton.

Na pół godziny przed zachodem słońca Kon-Tiki znalazł się prawie nad tymi „górami”.

– Nie – rzekł Falcon w odpowiedzi na pytanie o płaszczyki wielokrotnie zadawane mu przez stację kontroli lotu – nie okazują żadnej reakcji na moją obecność. Nie sądzę, by były inteligentne i wyglądają na nieszkodliwe wegetarianki. A nawet gdyby chciały na mnie zapolować, jestem pewien, że nie wzbiją się na tę wysokość.

Odczuwał jednak pewne rozczarowanie, że płaszczyki nie okazywały mu najmniejszego zainteresowania, kiedy żeglował wysoko nad ich pastwiskami. Może niejniały czym wykryć jego obecności? Kiedy je oglądał i fotografował przez teleobiektyw, nie dostrzegł u nich żadnych oznak istnienia zmysłów. Stworzenia te to po prostu ogromne, czarne delty,

1

falujące nad wzgórzami i dolinami, w rzeczywistości tylko nieco gęstsze od chmur na Ziemi. Chociaż wyglądały na ciała stałe, Falcon wiedział, że ktokolwiek by postawił nogę na tych białych górach, przeleci przez nie z trzaskiem jak przez bibułkę.

Z bliska mógł zobaczyć miriady komórek czy pęcherzyków, z których się składały. Niektóre z tych komórek były całkiem duże – miały około metra średnicy – i Falcon zastanawiał się, w jakim czarodziejskim kotle węglowodorów je warzono. W głębi atmosfery Jowisza musi być wystarczająco dużo związków petrochemicznych, by zaspokoić wszystkie potrzeby Ziemi na milion lat.

Krótki dzień już prawie minął, kiedy statek przelatywał nad łańcuchem woskowych wzgórz. Światło szybko zniknęło z dolnych partii ich zboczy. Po zachodniej stronie nie było płaszczyk i z jakiegoś powodu topografia wyglądała zupełnie inaczej. Piana tworzyła długie, płaskie tarasy jak we wnętrzu księżycowych kraterów. W wyobraźni Falcona przedstawiały się prawie jak gigantyczne schody, prowadzące w głąb do ukrytej powierzchni planety.

Na najniższym stopniu, akurat wolnym od kłębiących się chmur, które przebiła góra sunąc ku niebu, leżała zbliżona do owalu masa o średnicy dwóch-trzech kilometrów. Ledwo ją dostrzegł, gdyż miała tylko nieco ciemniejszą barwę od szarobiałej piany, na której leżała. W pierwszej chwili Falcon pomyślał, że patrzy na las białych drzew, przypominających ogromne grzyby, które nigdy nie widziały Słońca.

Tak, to musi być las – widział setki cienkich pni wystających z białej, woskowatej piany, w której były zakorzenione. Lecz drzewa te stały tak zdumiewająco blisko siebie, że niemal się stykały. A może to nie las, ale pojedyncze, gigantyczne drzewo, podobne do tych ogromnych, wielopiennych figowców indyjskich? Na Jawie widział kiedyś taki figowiec o średnicy sześciuset metrów, lecz tutaj ten potwór był co najmniej dziesięć razy większy.

Światło dnia już prawie zgasło. Krajobraz zmienił barwę na czerwoną od załamujących się promieni słońca, które także znikną za kilka sekund. W ostatnim błysku światła swego drugiego dnia na Jowiszu Howard Falcon zobaczył – albo tak mu się zdawało – coś, co podważyło jego interpretację białego owalu.

Jeśli gasnące światło nie zwiódło go całkowicie, to te setki cienkich pni poruszały się tam i z powrotem w doskonałej koordynacji, jak kołysane falami wodorosty.

I drzewo już nie znajdowało się tam, gdzie zobaczył je po raz pierwszy.

– Bardzo nam przykro – usłyszał głos ze stacji kontroli zaraz po wschodzie słońca – ale naszym zdaniem źródło Beta wybuchnie w ciągu godziny. Prawdopodobieństwo siedemdziesięciopięcioprocentowe.

Falcon natychmiast spojrział na mapę. Beta – szerokość jowiszowa sto czterdzieści stopni – leżała przed nim w odległości prawie trzydziestu tysięcy kilometrów, daleko za horyzontem. Chociaż większe erupcje osiągały siłę do dziesięciu megaton, odległość była zbyt duża, żeby fala uderzeniowa mogła stanowić poważne zagrożenie. Jednak wybuch spowoduje burzę radiową, ale to już całkiem inna sprawa.

Wybuchy dziesięciometrowych fal radiowych od czasu do czasu czyniły z Jowisza najsilniejsze radioźródło na niebie, a odkryto je w latach pięćdziesiątych XX wieku. Obecnie, po upływie ponad

stu lat, ich rzeczywista przyczyna jest w dalszym ciągu tajemnicą. Znane są jedynie symptomy, lecz pozostają całkowicie niewyjaśnione.

Teoria, że ich źródłem są wulkany, najlepiej wytrzymała próbę czasu, chociaż nikt nie uważał, iż słowo to ma takie samo znaczenie na Jowiszu, jak na Ziemi. W krótkich odstępach czasu – często kilka razy dziennie – dochodzi do potężnych erupcji w najgłębszych partiach atmosfery, prawdopodobnie na ukrytej przed wzrokiem powierzchni planety. Wielki słup gazu wzbija się wówczas na wysokość ponad tysiąca kilometrów, jakby chciał uciec w przestrzeń kosmiczną.

Nie ma na to żadnych szans w polu grawitacyjnym najsilniejszym spośród wszystkich planet. Jednak pewnej resztki – jakimś paru milionom ton – udaje się zwykle dotrzeć do jonosfery i wtedy otwiera się piekło.

Otoczające Ziemię słabe pasy Van Allena są karzełkami w porównaniu z pasami radiacji wokół Jowisza. Kiedy więc wznoszący się słup gazu spowoduje krótkie spięcie między nimi, rezultatem jest wyładowanie elektryczne, miliony razy potężniejsze od ziemskich błyskawic. Wysyła ono kolosalną porcję fal radiowych, które w postaci szumu zalewają cały Układ Słoneczny i przestrzeń międzygwiazdną.

Odkryto, że erupcje wywołujące burze radiowe występują głównie w czterech rejonach planety. Być może są to obszary o słabszej strukturze, co sprawia, że z płonącego wnętrza globu od czasu do czasu wybucha ogień. Naukowcy z Ganimedesa, największego z licznych księżyców Jowisza, uważają, że mogą już przewidywać tego rodzaju burze fal dziesięciometrowych. Ich przewidywania sprawdzają się mniej więcej tak, jak prognozy pogody z początku XX wieku.

Falcon nie wiedział, czy ma się cieszyć z powodu burzy radiowej, czy też martwić. Spotkanie z nią, jeżeli je przeżyje, zapewne przyniosłoby jakieś korzyści wyprawie. Jego kurs zaplanowano tak, aby przebiegał jak najdalej od głównych ośrodków erupcji, a przede wszystkim od najaktywniejszego z nich – źródła Alfa. Los tak chciał, że grożąca burzą Beta znajdowała się akurat najbliżej. Falcon miał jednak nadzieję, że dzieląca go od niej odległość – prawie dwie trzecie obwodu Ziemi – będzie dostatecznie bezpieczna.

270

– Prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt procent – poinformowała go stacja kontroli wyraźnie ponagląjącym tonem. – I proszę zapomnieć o tej godzinie. Ganimedes twierdzi, że może nastąpić w każdej chwili.

Zaledwie radio umilkło, a już krzywa zapisu czujnika natężenia pola magnetycznego ruszyła ostro do góry. Zanim zdążyła przekroczyć skalę, zawróciła i zaczęła opadać tak szybko, jak przedtem się wznosiła. Hen, daleko, tysiące kilometrów niżej, coś potężnie wstrząsnęło płynnym jądrem planety.

– Wybucho! – zawołała stacja kontroli.

– Dziękuję, już wiem. Kiedy dotrze do mnie pierwsze uderzenie burzy?

– Możesz się go spodziewać za pięć minut, a szczyt nastąpi za dziesięć.

Daleko za krzywizną Jowisza słup gazu o średnicy Oceanu Spokojnego pędził w górę z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę. Już w tej chwili w dolnych partiach atmosfery szalały wokół niego burze z piorunami; ale to nic w porównaniu z piekłem, które się rozpęta, kiedy gaz osiągnie pas radiacji, zalewając nadmiarem elektronów planetę. Falcon zaczął chować wszystkie wysięgniki z instrumentami, które sterczały na zewnątrz statku. Nie mógł przedsięwziąć żadnych innych środków ostrożności. Miną jeszcze cztery godziny, zanim dotrze doń powietrzna fala uderzeniowa, ale strumień fal radiowych, poruszający się z szybkością światła, znajdzie się tu w ułamku sekundy po wybuchu.

Radiomonitor, przeszukujący cały zakres tam i z powrotem, jeszcze niczego nie wykrył poza normalnym szumem. I wówczas Falcon zauważył, że natężenie szumu powoli rośnie. Wybuch nabierał siły.

Nigdy nie przypuszczał, że z takiej odległości może cokolwiek zobaczyć. Lecz nagle od wschodu, nad horyzontem zatańczył odblask dalekiej błyskawicy. Równocześnie na głównej tablicy

rozdzielczej wyskoczyła połowa bezpieczników, zgasło światło i przerwała się łączność na wszystkich kanałach.

Spróbował się poruszyć, lecz próżne były jego wysiłki. To nie strach go sparaliżował – miał wrażenie, że całkowicie stracił panowanie nad kończynami i poczuł bolesne mrowienie w całym ciele. Niemożliwe, żeby pole elektryczne przeniknęło przez ekran osłaniający kabinę. Jednak tablicę przyrządów pokrywała migocząca poświata i wyraźnie słyszał trzaski snopiastych wyładowań.

Serią ostrych trzasków włączył się układ awaryjny – napięcia powróciły do normy, ponownie zamigotało światło. A paraliż Falcona zniknął tak szybko, jak się pojawił.

Rzuciwszy okiem na tablicę przyrządów, żeby sprawdzić, czy wszystkie obwody znów pracują normalnie, Falcon szybko podszedł do iluminatorów obserwacyjnych.

Nie musiał włączać reflektorów – liny podtrzymujące statek zdawały się płonąć. Od obręczy nośnej do równika ogromnego balonu ciągnęły się w ciemności linie elektrycznego błękitu, a po kilku z nich powoli toczyły się oślepiające kule ognia.

Widok był tak niezwykły i zarazem tak piękny, że zapominało się o groźącym niebezpieczeństwie. Falcon wiedział, że niewiele osób oglądało z tak bliska pioruny kuliste, a z całą pewnością nikt tego nie przeżył, jeśli leciał wówczas w atmosferze ziemskiej balonem wypełnionym wodorem. Przypomniawszy sobie pożar Hindenburga, który spłonął od przypadkowej iskry podczas dokowania w Lakehurst w 1939 roku. Przez myśl przemknęła mu, co przedtem tak często się zdarzało, stara, wstrząsająca kronika filmowa, która przedstawiała ten wypadek. Lecz to samo bynajmniej nie mogło się tutaj przytrafić, choć nad jego głową znajdowało się więcej wodoru niż kiedykolwiek było w tamtym ostatnim zeppelinie. Minie zapewne parę miliardów lat, nim komukolwiek uda się rozniecić ognisko w atmosferze Jowisza.

Z dźwiękiem przypominającym skwierczenie smażonego boczku odżył kanał łączności głosowej.

– Halo, Kon-Tiki, słyszysz mnie? Słyszysz mnie? Głos był przerywany i bardzo zniekształcony, lecz Falcon wszystko rozumiał. Podniosło go to na duchu – znowu miał kontakt z ludźmi.

– Słyszę was – rzekł. – Elektryczność urządza mi tu wspaniałe widowisko, lecz na razie bez szkód.

– Dziękujemy za wiadomość. Sądziliśmy, że już po tobie. Proszę sprawdzić kanał pierwszy, siódmy i dwudziesty szósty, a także wzmocnienie kamery numer dwa. Nie za bardzo też wierzymy zewnętrznym czujnikom jonizacji...

Falcon niechętnie oderwał wzrok od fascynującego widowiska pirotechnicznego wokół Kon-Tiki, chociaż od czasu do czasu spoglądał jednak w iluminatory. Pierwsze zniknęły kuliste pioruny – ogniste kule powoli rosły do wielkości krytycznej i wtedy bezgłośnie wybuchały. Lecz nawet po godzinie wokół wszystkich metalowych części na zewnątrz statku w dalszym ciągu jaśniała błada poświata, a na kanałach łączności radiowej słychać było trzaski jeszcze dobrze po północy.

Pozostałe godziny ciemności minęły spokojnie – prawie do samego świtu. Ponieważ wszystko działo się na wschodzie, Falcon przypuszczał, że dostrzega pierwsze oznaki wstającego słońca. Wówczas uświadomił sobie, że do wschodu brakuje jeszcze dwadzieścia minut, a jasność, która pojawiła się za horyzontem, po prostu zbliża się w oczach. Szybko oderwała się od łuku gwiazd wyznaczającego niewidoczny kraniec planety, a wtedy Falcon zobaczył, że był to stosunkowo wąski pas o dość ostrych konturach. Pod chmurami sunął snop światła niczym z ogromnego reflektora.

Może sto kilometrów za pierwszą pędzącą smugą światła ukazała się druga, podobna do tamtej i poruszająca się z taką samą prędkością. A za nią następna i jeszcze jedna, aż całe niebo zamigotało wielkimi płaszczyznami na przemian światła i ciemności.

Falcon tymczasem pomyślał sobie, że zdążył już przyzwycząić się do dziwnych rzeczy, a to bezdźwięczne widowisko świetlne nie zdawało się grozić nawet najmniejszym niebezpieczeństwem. Lecz było ono tak zdumiewające – i tak niewytłumaczalne – że poczuł zwyczajny, mrozący strach. Widząc coś takiego, każdy czułby się jak bezbronny pigmej wobec sił, których nie może pojąć. Czy mimo wszystko jest możliwe, by na Jowiszu istniało nie tylko życie,

lecz także inteligencja? A może jakaś rozumna istota dopiero teraz zaczęła reagować na jego obecność?

– Tak, my również to widzimy – powiedziała stacja kontroli głosem, w którym brzmiało echo jego własnego strachu. – Prosimy się nie rozłączać, wzywamy Ganimesesa.

Niezwykłe światła z wolna przygasały; świetliste smugi, pędzące od strony dalekiego horyzontu, stały się już znacznie mniej widoczne, jakby ubywało zasilającej je energii. Po pięciu minutach wszystko się skończyło; ostatnie blade światełko zamigotało na niebie od zachodu i zniknęło, co sprawiło Falconowi ogromną ulgę. Widok ten tak hipnotyzował i niepokoił, że lepiej było nie myśleć o nim zbyt długo dla zachowania spokoju ducha.

Nikommu by się nie przyznał, jak bardzo poruszył go ten widok. Burzę elektryczną mógł zrozumieć, ale to było całkowicie niepojęte.

Stacja kontroli w dalszym ciągu milczała. Wiedział, że teraz przetrząsa się banki informacji na Ganimesesie, gdyż komputery i ludzie skoncentrowali się na tej sprawie. Jeśli tam nie znajdą odpowiedzi, trzeba będzie skontaktować się z Ziemią, a to oznaczało prawie godzinne opóźnienie. Falcon nie dopuszczał do siebie myśli, że nawet Ziemia może okazać się bezradna.

Nigdy jeszcze tak bardzo nie ucieszyło go zgłoszenie się stacji kontroli, kiedy w końcu usłyszał na linii głos doktora Brennera. Biolog starał się ukryć przebijającą z jego głosu ulgę, jak człowiek, który właśnie wyszedł z jakiegoś poważnego kryzysu psychicznego.

– Halo, Kon-Tiki. Mamy rozwiązanie, ale aż trudno w nie uwierzyć. To, co pan widział, jest bioluminescencją, bardzo przypominającą zjawisko, które wywołują mikroorganizmy w morzach tropikalnych na Ziemi. Tylko że tutaj są one w atmosferze, a nie w oceanie, lecz zasada jest ta sama.

– Ale to wszystko – zaprotestował Falcon – było przecież takie regularne, takie sztuczne. I te setki kilometrów średnicy!

– Było nawet jeszcze większe, niż pan sobie wyobraża. Pan widział tylko niewielką część. Całość miała szerokość ponad pięciu tysięcy kilo-

18 – Spotkanie..

metrów i wyglądała jak obracające się koło. Pan widział tylko szprychy mijające statek z prędkością tysiąca metrów na sekundę...

– Na sekundę! – Falcon nie mógł powstrzymać okrzyku. – Żadne zwierzę nie porusza się z taką szybkością!

– Oczywiście, ale chciałem wyjaśnić, że to, co pan widział, wywołała fala uderzeniowa wybuchu Źródła Beta, poruszająca się z prędkością dźwięku.

– A ta regularność? – upierał się Falcon.

– Tak, to było zaskakujące. Zjawisko takie jest bardzo rzadkie, ale identyczne koła światła, tyle że tysiąc razy mniejsze, zaobserwowano w Zatoce Perskiej i na Oceanie Indyjskim. Niech pan posłucha: statek Parna Brytyjskiej Spółki Indyjskiej, Zatoka Perska, maj 1880 roku, godzina 23.30: „przy burcie pojawiło się ogromne, obracające się koło świetlne, którego szprychy omiały statek. Długość tych szprych wynosiła 200–300 metrów... każde koło miało około szesnastu szprych...” A oto jeszcze jedno doniesienie z Zatoki Omańskiej, z dnia 23 maja 1906 roku: „Z dużą prędkością zbliżała się do nas intensywna światłość, szybko strzelająca raz po raz na zachód wyraźnymi promieniami przypominającymi smugę światła reflektora okrętu wojennego... Z lewej strony utworzyło się ogromne ogniste koło, którego szprychy biegły tak daleko, jak tylko sięgał wzrok. Koło kręciło się mniej więcej dwie – trzy minuty...” Komputer na Ganimesesie wykopał z archiwum blisko pięćset takich przypadków. Wydrukowałby ich znacznie więcej, gdybyśmy go w porę nie wyłączyli.

– Przekonał mnie pan, choć w dalszym ciągu jest to dla mnie dziwne.

– Nie mam panu tego za złe. Zjawisko to całkowicie wyjaśniono dopiero pod koniec XX wieku. Wydaje się, że te koła świetlne są wynikiem podmorskich trzęsień ziemi, a zawsze występują w płytkich wodach, w których fala uderzeniowa może się odbijać, wzbudzając fale stojące. Czasem

mają one kształt walca, a kiedy indziej obracających się kół – „Kół Posejdona”, jak je nazywano. Słuszność tej teorii ostatecznie potwierdzono za pomocą podwodnych wybuchów, których skutki sfotografowano z satelity. Nic dziwnego, że marynarze byli przesądni. Któż by uwierzył w coś takiego?

A więc to tak, pomyślał Falcon. Kiedy Źródło Beta wybuchło, musiało wysłać w7e wszystkie strony fale uderzeniowe przez gęsty gaz niższych warstw atmosfery i stały grunt Jowisza. Kiedy fale te zaczęły się spotykać i przecinać, w jednym miejscu wzajemnie się zniosły, a w innym wzmocniły i cała planeta musiała zabrzmieć jak dzwon.

Jednakże wyjaśnienie to nie zmąciło wrażenia, że działo się coś wspaniałego. Nigdy nie zapomni tych migoczących smug światła, pędzących poprzez nieosiągalne głębie jowiszowej atmosfery. Miał uczucie, że nie

znajduje się najzwyczajniej na obcym globie, lecz w jakimś zaczarowanym świecie, między fantazją a rzeczywistością.

W świecie tym mogło zdarzyć się absolutnie wszystko i nikt nie był zdolny przewidzieć, co przyniesie przyszłość.

A miał przed sobą jeszcze cały dzień lotu.

## 6. Meduza

Kiedy w końcu zaświtało na dobre, nagle zmieniła się pogoda. Kon-Tiki wpadł w zamieć; śnieg z wosku sypał tak gęsto, że widzialność spadła do zera. Falcon zaczął się obawiać, czy padający śnieg nie obciąży zbyt powłoki. Wówczas zauważył, że wszystkie płatki, które osiadły za oknami, szybko znikają – natychmiast wyparowywały wskutek ciepła wydzielanego przez Kon-Tiki.

Odbywając podróż balonem na Ziemi, zaniepokoiłby się również możliwością kolizji. Lecz przynajmniej to nie groziło tutaj na Jowiszu – jakiegokolwiek góry znajdowały się kilkaset kilometrów niżej. Jeśli zaś idzie o unoszące się wyspy piany, zderzenie z nimi prawdopodobnie przypominałoby rozprucie bańki mydlanej o nieco grubszych ściankach.

Niemniej jednak włączył radar horyzontalny, z którego dotychczas w ogóle nie korzystał; przedtem używał jedynie radaru pionowego do mierzenia odległości od niewidocznej planety. I wtedy spotkała go następna niespodzianka.

Na ekranie dojrzał dziesiątki dużych, jasnych ech, porozrzucanych na olbrzymim sektorze nieba. Były wyraźnie oddzielone od siebie i zdawały się wisieć w przestrzeni bez żadnego podparcia. Falcon przypomniał sobie powiedzenie pierwszych lotników, którego używali do określania jednego z niebezpieczeństw swego zawodu: „chmury wypchane skałami”. Opis ten doskonale pasował do tego, co widział na drodze Kon-Tiki.

Widok ten zaniepokoił go – Falcon musiał jeszcze uświadomić sobie, że żadne naprawdę stałe ciało nie może unosić się w tej atmosferze. Czyżby to było jakieś dziwne zjawisko meteorologiczne? W każdym razie najbliższe echo znajdowało się w odległości około dwustu kilometrów.

Zawiadomił stację kontroli, która nie potrafiła tego wyjaśnić, natomiast przekazała mu miłą informację, że wyjdzie z zamieci w ciągu trzydziestu minut.

Stacja jednak nie wspominała nic na temat gwałtownego wiatru bocznego, który nagle schwycił Kon-Tiki i pchnął go prawie prostopadle do jego dotychczasowego toru. Falcon musiał maksymalnie wykorzystać swe umiejętności oraz niewielką możliwość sterowania nieruchawym statkiem, by uchronić go od obrócenia gondolą do góry. Przez kilka minut gnał na północ ponad pięćset kilometrów na godzinę. Potem wiatr ustał tak

nagle, jak się zaczął; statek miał wprawdzie jeszcze dużą prędkość, lecz nie było już zawirowań. Falcon zastanawiał się, czy przypadkiem nie wpadł w objęcia jowiszowego odpowiednika nawalnicy wysokościowej. 'Zamieć ustąpiła i wówczas zobaczył, co gotował mu Jowisz.



Kon-Tiki znalazł się w gigantycznym wirze o średnicy około tysiąca kilometrów. Porwany nim, balon leciał wzdłuż wklęsłej ściany chmur. Nad nim świeciło słońce na czystym niebie, lecz poniżej, daleko w dole, wielka dziura w atmosferze wwiercała się aż po nieznane głębie, sięgając mglistego dna, gdzie błyskało się prawie bez przerwy.

Chociaż statek wciągało tak powoli, że nie groziło mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, Falcon zwiększył dopływ ciepła do powłoki, póki Kon-Tiki nie zaczął się unosić na stałej wysokości. Dopiero wówczas oderwał oczy od fantastycznego widowiska i ponownie zajął się obrazem na ekranie radaru.

Najbliższe echo znajdowało się w odległości czterdziestu kilometrów. Szybko uzmysłowił sobie, że wszystkie echa leżą na ścianie wiru i poruszają się wraz z nim, widocznie porwane jak Kon-Tiki. Skierował teleskop na sektor objęty namiarem radaru i dostrzegł dziwną cętkowaną chmurę, która prawie wypełniała sobą pole widzenia.

Nielatwo dała się zauważyć, gdyż była tylko nieco ciemniejsza od ściany kłębiącej się mgły, która stanowiła jej tło. Dopiero po kilku minutach Falcon przypomniał sobie, że już ją kiedyś widział.

Za pierwszym razem pełzła po unoszących się górach piany i omyłkowo wziął ją za ogromne, wielopienne drzewo. Teraz mógł w końcu ocenić jej rzeczywistą wielkość i złożoną formę, a także odpowiednio ją nazwać, by lepiej utrwalić w pamięci jej obraz. W ogóle nie przypominała drzewa, a raczej chłopcę – meduzę, jaką można spotkać w ciepłych wodach Prądu Zatokowego, kiedy unosząc się w wodzie, wlecze za sobą swe odnóża.

Średnica tej meduzy wynosiła dobrze ponad półtora kilometra, a jej liczne zwisające odnóża miały długość setek metrów. Falowały z wolna tam i z powrotem w doskonałej harmonii, a pojedynczy ruch trwał ponad minutę, jakby stwór ten niezgrabnie wiosłował po niebie.

Pozostałe echa były również meduzami, poruszającymi się w większej odległości. Falcon nastawił ostrość teleskopu na kilka z nich i nie mógł dostrzec żadnych różnic w kształcie czy wielkości. Wszystkie zdawały się należeć do tego samego gatunku. Zastanawiał się, dlaczego tak po prostu suną leniwie po orbicie na wysokości tysiąca kilometrów. Być może odżywiają się tutaj napowietrznym planktonem, wessanym przez wir jak Kon-Tiki.

– Howard, czy zdaje pan sobie sprawę, że każda z nich jest około stu tysięcy razy większa od największego wieloryba? – rzekł doktor Brenner, kiedy otrząsnął się ze zdumienia. – A jeśli nawet jest to balon, musi ważyć z milion ton! Nawet nie próbuję się domyślać, jak tam wygląda metabolizm. Musi w każdym razie wytwarzać całe megawaty ciepła, żeby to unosić.

– Lecz jeśli to tylko balon, dlaczego tak doskonale odbija fale radaru?

– Nie mam zielonego pojęcia. Czy może pan jeszcze trochę się zbliżyć?

Pytanie Brennera nie było przypadkowe. Gdyby Falcon zmienił pułap, chcąc wykorzystać różnice w prędkości wiatru, mógłby dowolnie zbliżyć się do meduzy. Jednakże wolał tymczasem pozostać w obecnej odległości czterdziestu kilometrów, co powiedział stanowczym tonem.

– Wiem, co pan ma na myśli – odpowiedział z pewną niechęcią Brenner. – Zostańmy tu, gdzie jesteśmy.

To „my” gorzko ubawiło Falcona – dodatkowe sto tysięcy kilometrów mogło jednak stanowić dla kogoś istotną różnicę.

Przez następne dwie godziny Kon-Tiki leciał spokojnie, unoszony ogromnym wirem, a tymczasem Falcon eksperymentował z filtrami i kontrastem kamery, by uzyskać wyraźny obraz meduzy. Zaczął się zastanawiać, czy jej nieuchwytnie ubarwienie jest rodzajem maskowania. Być może, jak wiele zwierząt na Ziemi, starała się nie odróżniać od otoczenia. Maskowanie stosują przecież zarówno myśliwi, jak i ich ofiary.

Do której kategorii należała meduza? Nie należało oczekiwać, że na pytanie to uda się znaleźć odpowiedź w tak krótkim czasie, jaki mu jeszcze pozostał. Ale tuż przed południem, bez najmniejszego uprzedzenia, nadeszła odpowiedź...

Jak eskadra starodawnych myśliwców odrzutowych, ze ściany mgły, która tworzyła lej wiru, wypadło pięć płaszczyk. Leciały w szyku klina bojowego, bezpośrednio w stronę bladoszarej

chmury meduzy i Falcon ani przez chwilę nie wątpił, że atakowały. Całkowicie się więc pomylił, biorąc je za nieszkodliwe wegetarianki.

Wszystko odbywało się jednak w tak powolnym tempie, że przypominało oglądanie zwolnionego filmu. Płaszczki falowały z prędkością może pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zdawało się, że minęły całe wieki, zanim dotarły do meduzy wiosłującej niewzruszenie chyba nawet jeszcze wolniej. Chociaż płaszczki były olbrzymie, przy potworze, do którego się zbliżały, wyglądały jak maleństwa. Kiedy dopadły jej grzbietu, wyglądały jak ptaki lądujące na wielorybie.

Falcon zastanawiał się, czy meduza może się bronić. Jego zdaniem, atakującym płaszczkom nic nie groziło, o ile tylko uda im się uniknąć ogromnych, niezgrabnych odnóży. Może nawet meduza nie zdawała sobie sprawy z ich obecności – mogły przecież być nieszkodliwymi pasożytami jak pchły dla psa.

Lecz teraz meduza najwyraźniej poczuła niebezpieczeństwo. Z przeraźliwą powolnością zaczęła przewracać się na grzbiet jak uderzony falą statek. W ciągu dziesięciu minut udało się jej przechylić pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a równocześnie szybko traciła wysokość. Falcon nie mógł nie współczuć obleganemu potworowi – widok ten wywołał przykre wspomnienia. W groteskowy sposób opadanie meduzy przypominało ostatnie chwile Królozoej.

Wiedział jednak, że swe współczucie skierował w niewłaściwą stronę. Wysoka inteligencja mogła się rozwinąć tylko u drapieżników, a nie istot roślinożernych, unoszących się w morzu czy też w powietrzu. Płaszczki były mu znacznie bliższe niż ten potworny balon z gazem. A poza tym któż mógłby współczuć istocie sto tysięcy razy większej od wieloryba?

Wówczas zauważył, że taktyka meduzy zdawała się przynosić pewne efekty. Płaszczki zaniepokoił jej powolny przewrót i odleciały z jej grzbietu, ciężko machając skrzydlastymi płetwami jak obżarte sępy, którym przerwano posiłek. Ale nie odleciawszy zbyt daleko, sunęły kilka metrów nad ciągle przewracającym się potworem.

Nagle Falcona poraził oślepiający błysk światła; w tej samej chwili usłyszał trzask w odbiorniku radiowym. Jedna z płaszczyk wijąc się poleciała pionowo w dół jak kamień. Kiedy tak leciała, ciągnąc za sobą smugę czarnego dymu, do złudzenia przypominała spadający w płomieniach samolot.

Pozostałe płaszczki równocześnie dały nurka i stromym lotem oddaliły się od meduzy, nabierając dzięki temu szybkości. W ciągu kilku minut z powrotem zniknęły w ścianie chmur, z której wyleciały. Meduza przestała opadać i zaczęła powracać do pozycji horyzontalnej. Wkrótce ponownie żeglowała na równej stępcie, jak gdyby nic się nie stało.

– Pięknie! – powiedział doktor Brenner po chwili milczenia wywołanego oszołomieniem. – Rozwinęła w sobie elektryczny aparat obronny jak niektóre z naszych węgorzy czy płaszczyk. Ale to musiało mieć z milion woltów! Czy widzi pan jakieś organy, które mogłyby wytworzyć takie wyładowanie? Jakież elektrody?

– Nie – odpowiedział Falcon, nastawiając jednocześnie teleskop na maksymalne powiększenie. – Ale jest tam coś dziwnego. Czy widzi pan ten pas? Proszę porównać z wcześniejszymi zdjęciami. Jestem pewien, że przedtem go tam nie było.

Na boku meduzy pojawił się szeroki, cętkowany pas. Tworzył zdumiewająco regularną szachownicę, której każdy kwadrat pokrywały, krótkie poziome kreski, układające się w skomplikowany deseń. Kreski te znajdowały się w jednakowej odległości od siebie i były uszeregowane w geometrycznie doskonałe rzędy i kolumny.

– Ma pan rację – powiedział doktor Brenner, a ton jego głosu wyrażał coś, co bardzo przypominało strach. – To się dopiero co pokazało. Boję się panu powiedzieć, co to moim zdaniem jest.

– Cóż, mogę się zbliżnić, przynajmniej jako biolog. Mam powiedzieć, czego się domyślani?

– Proszę.

– Duży, wielozakresowy układ radiowy. Używano tego na początku XX wieku.

– Obawiałem się, że właśnie to pan powie. Teraz już wiemy, skąd się wzięło tak potężne echo.

– Ale dlaczego to pokazało się dopiero teraz?  
– Prawdopodobnie jako uboczny skutek wyładowania.  
– A mnie co innego przyszło do głowy – powiedział z wolna Falcon. – Czy nie sądzi pan, że ona nas słucha?

– Na tej częstotliwości? Wątpię. Sądząc po wielkości, są to anteny fal metrowych... nie, dekametrowych. Hm... znakomity pomysł!

Doktor Brenner zamilkł, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając.

– Założę się, że są nastrojone na wybuchy radiowe! – rzekł po chwili. – Czegoś takiego na Ziemi natura nie wymyśliła... Mamy zwierzęta z organami hydrolokacyjnymi czy nawet elektrycznymi, ale żadne nie rozwinęło organu wysyłającego fale radiowe. Lecz dlaczego, skoro tu tyle światła?

– Tu jest inaczej. Atmosfera Jowisza jest pełna energii radiowej. Warto ją jakoś wykorzystać. Meduza może być latającym źródłem tej energii!

Do rozmowy włączył się nowy głos.

– Tu kierownik wyprawy. To wszystko jest bardzo ciekawe, ale mamy znacznie ważniejszą kwestię do rozstrzygnięcia. Czy ona jest inteligentna? Jeśli tak, musimy zastosować się do dyrektyw dotyczących pierwszego kontaktu.

– Zanim tu przyjechałem – rzekł doktor Brenner nieco smutnym głosem – mogłem przysiąc, że wszystko, co zdolne jest wytworzyć krótkofalowy system antenowy, musi być inteligentne. Teraz nie jestem pewien. W tym wypadku mógł on powstać w sposób naturalny. Przypuszczam, że nie ma w tym nic bardziej fantastycznego niż w ludzkim oku.

– Zatem bezpieczniej będzie założyć, że mamy do czynienia z inteligencją. A więc tymczasem ekspedycję obowiązuja wszystkie postanowienia głównej dyrektywy.

Zapadło długie milczenie, podczas którego wszyscy uczestnicy rozmowy przez radio zastanawiali się nad konsekwencjami tego stwierdzenia. Po raz pierwszy w historii lotów kosmicznych zasady ustanowione w wyniku ponad stuletnich sporów mogły znaleźć zastosowanie. Kierowano się nadzieją, że człowiek nauczył się czegoś na swych błędach popełnionych na Ziemi. Nie tylko ze względów moralnych, ale również we własnym interesie nie wolno ich powtórzyć na innych planetach.

Traktowanie jakiejś wyższej inteligencji tak, jak to zrobili osadnicy w Ameryce z Indianami czy też prawie wszyscy z Afrykanami, mogło mieć katastrofalne skutki...

Pierwsza zasada, to trzymać się z dala. Nie zbliżać się i nie kontaktować, dopóki „oni” nie będą mieli dostatecznie dużo czasu na poznanie przybyszów. Nikt nigdy nie mógł dokładnie określić, jak długo miało to trwać. Pozostawiono to do uznania ludziom znajdującym się na miejscu.

Obowiązek ten, o czym Howard Falcon nawet nie śnił, spoczywa teraz na nim. W ciągu tych kilku godzin, które mu jeszcze pozostały na Jowiszu, mógł stać się pierwszym ambasadorem rasy ludzkiej.

O ironio! Prawie żałował, że w czasie przebytej operacji chirurgicznej nie przywrócono mu zdolności śmiania się.

## 7. Nadrzędna dyrektywa

Ciemniało, lecz Falcon prawie tego nie zauważył, gdyż wyteżał wzrok, obserwując żywą chmurę w polu widzenia teleskopu. Wiatr, który ze stałą prędkością niósł Kon-Tiki wokół leja ogromnego wiru, zbliżył teraz statek do meduzy na odległość dwudziestu kilometrów. Kiedy przekroczy granicę dziesięciu, Falcon zacznie robić uniki. Chociaż miał pewność, że zasięg rażenia elektrycznej broni meduzy jest krótki, wolał tego nie sprawdzać. Pozostawił to przyszłym badaczom i życzył im powodzenia.

Teraz w kapsule było zupełnie ciemno. To dziwne, bo do zachodu brakowało jeszcze paru godzin. Machinalnie spojrzął na ekran radaru horyzontalnego, jak to robił co kilka minut. Poza meduzą, którą obserwował, w promieniu stu kilometrów nie widział żadnego innego obiektu.

Nagle z ogromną siłą zabrzmiał dźwięk słyszany pierwszej nocy na Jowiszu – coraz szybsza, pulsująca vibracja, która urywała się w połowie crescendo. Cała kapsuła drgała w jej rytm jak groch w bębnie.

W boleśnie dzwoniącej, naglej ciszy Falcon uświadomił sobie dwie rzeczy prawie równocześnie. Tym razem dźwięk ten nie dochodził z odległości tysięcy kilometrów i nie przez radio. Wypełniał otaczającą statek atmosferę.

Druga myśl nawet jeszcze bardziej go zaniepokoiła. Zupełnie zapomniał – a było to niewybaczalne, lecz jego umysł absorbowały widocznie ważniejsze sprawy – że niebo nad nim prawie całkowicie zasłaniał balon Kon-Tiki. Powłoka tego wielkiego balonu, lekko posrebrzona w celu zatrzymania ciepła, skutecznie odbijało fale świetlne i radarowe.

Oczywiście wiedział o tym słabym punkcie konstrukcji, tolerowanym tylko dlatego, że nie wydawał się istotny. Teraz okazał się bardzo ważny,

kiedy Falcon zobaczył płot z gigantycznych odnóży, grubszych od konarów drzew, opuszczający się wokół kapsuły.

– Proszę pamiętać o nadrzędnej dyrektywie! – krzyknął Brenner. – niech pan jej nie niepokoi!

Zanim zdążył udzielić stosownej odpowiedzi, ponownie zabrzmiał ten potworny werbel, zagłuszający wszystkie inne dźwięki.

O tym, czy ktoś jest dobrym pilotem doświadczalnym, nie świadczy jego reakcja na dające się przewidzieć sytuacje awaryjne, lecz na takie, których spodziewać się nie sposób. Nie więcej niż sekunda wahania pozwoliła Falconowi zanalizować sytuację. Błyskawicznym ruchem pociągnął za linkę otwierającą powłokę balonu.

Był to przeżytek z czasów pierwszych, napełnianych wodorem balonów – w przypadku Kon-Tiki linka nie otwierała powłoki całkowicie, lecz zaledwie kilka otworów w górnej jej części. Gorący gaz zaczął natychmiast ulatywać. Pozbawiony siły nośnej Kon-Tiki szybko opadał w polu grawitacyjnym dwa i pół raza silniejszym od ziemskiego.

Falconowi mignęły przed oczami wielkie, bijące we wszystkie strony odnóże. Zauważył tylko, że miały ogromne pęcherze czy torbiele, przypuszczalnie zapewniające im zdolność unoszenia się, a na końcach przechodziły w mnóstwo czulków, podobnych do korzeni roślin. Spodziewał się uderzenia piorunu, ale nic się nie wydarzyło.

Gwałtowne tempo opadania zmniejszyło się wskutek gęstnienia atmosfery, a i powłoka z wypuszczonym powietrzem działała jak spadochron. Kiedy Kon-Tiki opadł jakieś trzy kilometry, Falcon uznał, że należy zamknąć otwory w powłoce. Zanim odzyskał zdolność unoszenia się na jednym pułapie, stracił jeszcze półtora kilometra wysokości i poważnie zbliżył się do granicy bezpieczeństwa.

Niespokojnie spoglądał w górne iluminatory, chociaż nie spodziewał się zobaczyć nic poza przesłaniającym wszystko ogromem powłoki balonu. Lecz podczas opadania ześliznął się w bok i dojrzał fragment meduzy w odległości paru kilometrów w górze. Znajdowała się znacznie bliżej, niż oczekiwał, i w dalszym ciągu opadała, szybciej, niż sądził.

Niespokojnie wzywała go stacja kontroli.

– Wszystko w porządku, ale dalej mnie ściga – wykrzyknął. — Już nie mogę zejść niżej.

Było to niezupełnie zgodne z prawdą. Mógł opuścić się jeszcze znacznie niżej – około trzystu kilometrów, lecz byłaby to podróż tylko w jedną stronę, co go wcale nie interesowało.

I wtedy z ogromną ulgą zauważył, że meduza zatrzymała się około półtora kilometra nad nim. Może postanowiła ostrożnie zbliżyć się do intruza, albo także uznała głębsze warstwy atmosfery za nieprzyjemnie gorące. Temperatura przekraczała pięćdziesiąt stopni Celsjusza i Falcon zastanawiał się, jak długo klimatyzator kabiny będzie sobie z nią radził.

Ponownie odezwał się doktor Brenner, w dalszym ciągu zaabsorbowany sprawą nadrzędnej dyrektywy.

– Proszę pamiętać, że może kierować się jedynie ciekawością – krzyknął bez przekonania. – Niech pan się stara jej nie przestraszyć!

Te rady zaczynały już męczyć Falcona, który przypomniał sobie pewną dyskusję telewizyjną między prawnikiem zajmującym się przestrzenią kosmiczną a astronautą. Kiedy już dokładnie przeanalizowano wszelkie możliwe konsekwencje głównej dyrektywy, astronautą wykrzyknął z niedowierzaniem: „Jeśli więc nie ma wyboru, muszę spokojnie czekać, aż mnie zje?” Prawnik nawet się nie uśmiechnął, kiedy odpowiedział: „To doskonałe podsumowanie”.

Wówczas wydawało się to śmieszne, a teraz wcale nie było zabawne.

I wtedy Falcon zobaczył coś jeszcze bardziej niepokojącego. Meduza w dalszym ciągu unosiła się około półtora kilometra nad nim, lecz jedno z jej odnóży zaczęło niewiarygodnie wydłużać się w kierunku Kon-Tiki, równocześnie cieniejąc. Będąc chłopcem, widział kiedyś trąbę powietrzną opadającą z chmury burzowej nad równinami stanu Kansas. To zbliżające się odnoże wywołało żywe wspomnienie czarnego, wijącego się na niebie węża trąby powietrznej.

– Już prawie nie mam wyboru – zawiadomił stację kontroli. – Teraz mogą ją tylko wystraszyć albo przyprawić o ból brzucha. Uważam, że Kon-Tiki nie jest zbyt strasny, jeśli ona to właśnie ma na myśli.

Czekał na komentarz Brennera, lecz biolog milczał.

– No, dobrze. Mam jeszcze dwadzieścia siedem minut, ale włączam starter sekwencyjny. Chyba moja rezerwa wystarczy, by później skorygować orbitę.

Nie mógł już zobaczyć meduzy – ponownie znajdowała się bezpośrednio nad nim. Wiedział jednak, że opuszczające się odnoże musi być teraz blisko balona. Doprowadzenie reaktora do pełnej mocy zajmie prawie pięć minut.

Zapalnik już zastartował. Komputer orbitalny nie odrzucił sytuacji jako całkowicie nie do przyjęcia. Wloty powietrza były otwarte, gotowe na żądanie wciągnąć z otoczenia tony mieszaniny wodoru z helem. Nawet w optymalnych warunkach byłaby to chwila decydującej próby, gdyż dotąd nie istniała możliwość sprawdzenia, jak naprawdę pracuje jądrowy silnik strumieniowy w atmosferze Jowisza.

Coś bardzo delikatnie zakołysało statkiem. Falcon próbował nie zwracać na to uwagi.

Zgodnie z planem, włączenie zapłonu miało nastąpić na pułapie wyższym o dziesięć kilometrów, w atmosferze rzadszej prawie o jedną czwartą i w temperaturze niższej o trzydzieści stopni. Trudno.

Jak głęboko może zanurkować, żeby się wydostać i żeby wloty powietrza mogły pracować? Kiedy silnik zacznie działać, dwa i pół G po-

pechnie go w stronę Jowisza. Czy uda mu się wyjść z tego na czas?

Duża, ciężka łapa poklepała balon. Cały statek podskakiwał jak jo-jo, które niedawno stało się największym szaleństwem na Ziemi.

Brenner oczywiście mógł mieć całkowitą rację. Być może meduza chciała w ten sposób okazać przyjazne uczucia. Może powinien powiedzieć coś do niej przez radio: „Kizia mizia”? „Leżeć, Reks”?, a może „Zaprowadź mnie do swego przywódcy”?

Stosunek trytu do wodoru był właściwy. Wszystko gotowe do zapalenia świecy zapalką o temperaturze stu milionów stopni.

W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, zza krawędzi balonu wychynął cienki koniuszek odnoża. Wielkością przypominał trąbę słońca, a wrażenie to podkreślał jego delikatny sposób poruszania się, co wskazywało, że jest równie czuły. Na jego końcu znajdowały się niewielkie macki jak badawcze wargi. Doktor Brenner z pewnością byłby zachwycony.

Chwila ta zdawała się równie odpowiednia jak każda. Falcon rzucił ostatnie spojrzenie na całą tablicę kontrolną, włączył odliczanie ostatnich czterech sekund przed właściwym zapłonem, złamał pieczęć bezpieczeństwa i nacisnął guzik z napisem ODRZUCENIE POWŁOKI.

Nastąpił gwałtowny wybuch i natychmiastowa utrata wagi. Kon-Tiki spadał swobodnie nosem w dół. Nad nim uwolniony balon pędził w górę, pociągając za sobą badawcze odnoże. Falcon nie miał czasu sprawdzić, czy balon uderzył meduzę, w tym czasie bowiem silnik strumieniowy buchnął ogniem, więc miał inne sprawy na głowie.

Z dysz silnika wydobywał się ryczący słup gorącej mieszaniny wodoru z helem, szybko zwiększając ciąg, lecz w kierunku Jowisza, a nie przeciwnie. Na razie Falcon nie mógł wyjść z lotu nurkowego, gdyż sterowanie wektorowe nie było jeszcze zbyt skuteczne. Jeśli w ciągu najbliższych pięciu sekund nie uda mu się całkowicie opanować statku i przejść do lotu poziomego, pojazd wejdzie zbyt głęboko w atmosferę i ulegnie zniszczeniu.

Przeraźliwie wolno – te pięć sekund trwało jak pięćdziesiąt – udało mu się wyrównać, a potem skierować nos statku w górę. Obejrzał się tylko raz i w przelocie rzucił ostatnie spojrzenie na odległą o kilometry meduzę. Uwolniony balon Kon-Tiki widocznie wyrwał się z jej objęć, gdyż nie widział nawet śladu po nim.

Teraz znów był panem – już nie leciał bezwolnie, unoszony wiatrami Jowisza, lecz pchany atomowym ogniem, wracał do gwiazd. Miał pewność, że silnik strumieniowy będzie wytrwale zwiększał szybkość i wysokość lotu, aż na skraju atmosfery statek osiągnie prawie orbitalną prędkość. Potem na krótko włączy się zwykły silnik raketowy i wówczas odzyska swobodę w Kosmosie.

W połowie drogi na orbitę spojrział na południe i zobaczył, jak ogromna, tajemnicza Wielka Czerwona Plama – pływająca wyspa, dwukrotnie większa od Ziemi – wychynęła spoza horyzontu. Wpatrywał się w jej tajemnicze piękno, póki komputer nie uprzedził go, że do chwili włączenia silnika raketowego pozostało tylko sześćdziesiąt sekund. Niechętnie oderwał wzrok od tego widoku.

– Innym razem – mruknął.

– Słucham? – odezwała się stacja kontroli. – Co pan powiedział?

– Nieważne – odparł.

## 8. Między dwoma światami

– Jesteś teraz bohaterem – rzekł Webster – a nie tylko wielką sławą. Mają o czym myśleć, wniosłeś nieco życia w ich egzystencję. Obecnie podróż do Gigantów Zewnętrznych odbywać będzie nie jeden na milion, lecz, w wyobraźni, cały ludzki ród. A to się liczy.

– Cieszy mnie, że udało mi się trochę ułatwić ci zadanie.

Webster był zbyt starym przyjacielem, żeby uraziła go ta nutka ironii. Niemniej zdziwił się. To nie jedyna zmiana, którą zauważył u Ho-warda po jego powrocie z Jowisza.

Administrator wskazał popularny znak, leżący na jego biurku, zapożyczony od impresaria sprzed stu lat: ZADZIWI MNIE!

– Nie wstydzę się tego, co robię. Nowa wiedza, nowe zasoby, wszystko w porządku. Ale ludzie potrzebują również czegoś zupełnie nowego i emocji. Podróże w Kosmosie to już rutyna, a ty znów uczyniłeś z tego przygodę. Upłynie dużo, bardzo dużo czasu, zanim odłożymy sprawę Jowisza do szuflady. A upłynie go może jeszcze więcej, zanim zrozumiemy te meduzy. W dalszym ciągu uważam, że ta twoja znała twoje słabe punkty. Tak, czy inaczej, zdecydowałeś już, dokąd polecisz następnym razem? Saturn? Uran? Neptun? Sam powiedz.

– Jeszcze nie wiem. Myślałem o Saturnie, ale tak naprawdę nie jestem tam potrzebny. Takie samo ciążenie, a nie dwa i pół raza większe, jak na Jowiszu. Ludzie więc poradzą sobie sami.

Ludzie, pomyślał Webster. On powiedział – ludzie. Nigdy przedtem tak nie mówił. Kiedy ostatni raz słyszałem, jak mówi „my”? Zmienia się, oddala od nas...

– A więc – powiedział na głos, wstając z krzesła, żeby ukryć zakłopotanie – zaczynamy tę konferencję. Kamery są gotowe i wszyscy czekają. Spotkasz wielu starych przyjaciół.

Ostatnie słowo powiedział z naciskiem, ale Howard na to nie zareagował. Coraz trudniej było wyczytać coś z tej twarzy pozbawionej wyrazu. Falcon bez słowa odjechał od biurka administratora, odblokował wózek tak, że już przestał uyci krzesłem, i za pomocą swego układu hydraulicznego wyciągnął się do pełnych dwóch metrów trzynastu centymetrów wzro-

stu. Chirurdzy użyli znakomitego chwytu psychologicznego, dodając mu trzydzieści centymetrów, by cokolwiek zrekompensować to, co stracił podczas wypadku Królowej.\*

Falcon zaczął, aż Webster otworzy drzwi, potem zgrabnie obrócił się na swych pneumatykach i gładko, spokojnie wyjechał z pokoju z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Ta demonstracja szybkości i precyzji nie była przejawem arogancji – Falcon popisał się tym raczej całkiem nieświadomie.

Howard Falcon, który niegdyś był człowiekiem i przez telefon mógł jeszcze zań uchodzić, doznał uczucia, że przekroczył jakiś próg i po raz pierwszy od lat zaznał czegoś w rodzaju spokoju ducha. Od chwili powrotu z Jowisza koszmary przestały go gnębić. W końcu odnalazł swą rolę.

Teraz wiedział, dlaczego śnił mu się superszympan z pokładu skazanej na zagładę Królowej Elżbiety. Ni to człowiek, ni zwierzę –znajdował się między dwoma światami jak on sam. On jeden mógł poruszać się bez skafandra po powierzchni Księżyca. Układ regulacji biologicznej, który znajdował się wewnątrz metalowego cylindra, jakim zastąpiono jego kruche ciało, funkcjonował równie dobrze w Kosmosie, jak i pod wodą. Dziesięciokrotnie większe od ziemskiego pole grawitacyjne stanowiło tylko niewygodę – nic więcej. A nieważkość była dlań najlepsza...

Ród ludzki coraz bardziej się oddalał, więzy pokrewieństwa słabły. Te oddychające powietrzem, podatne na radiację zlepki nietrwałych związków węgla chyba nie miały prawa przebywać poza atmosferą i powinny trzymać się swych naturalnych siedlisk – Ziemi, Księżyca, Marsa.

Pewnego dnia prawdziwymi panami Kosmosu staną się maszyny – nie ludzie – zaś on nie należał ani do jednych, ani do drugich. Świadom już własnego losu, odczuwał posępną dumę ze swej niezwyklej samotności – jako pierwsza, nieśmiertelna postać przejściowa między dwiema formami istnienia.

A jednak zostanie ambasadorem – między starym i nowym, między istotami z węgla a istotami z metalu, które pewnego dnia zajmą ich miejsce.

I jedno, i drugie będą go potrzebowały w niespokojnych stuleciach, które miały przed sobą.